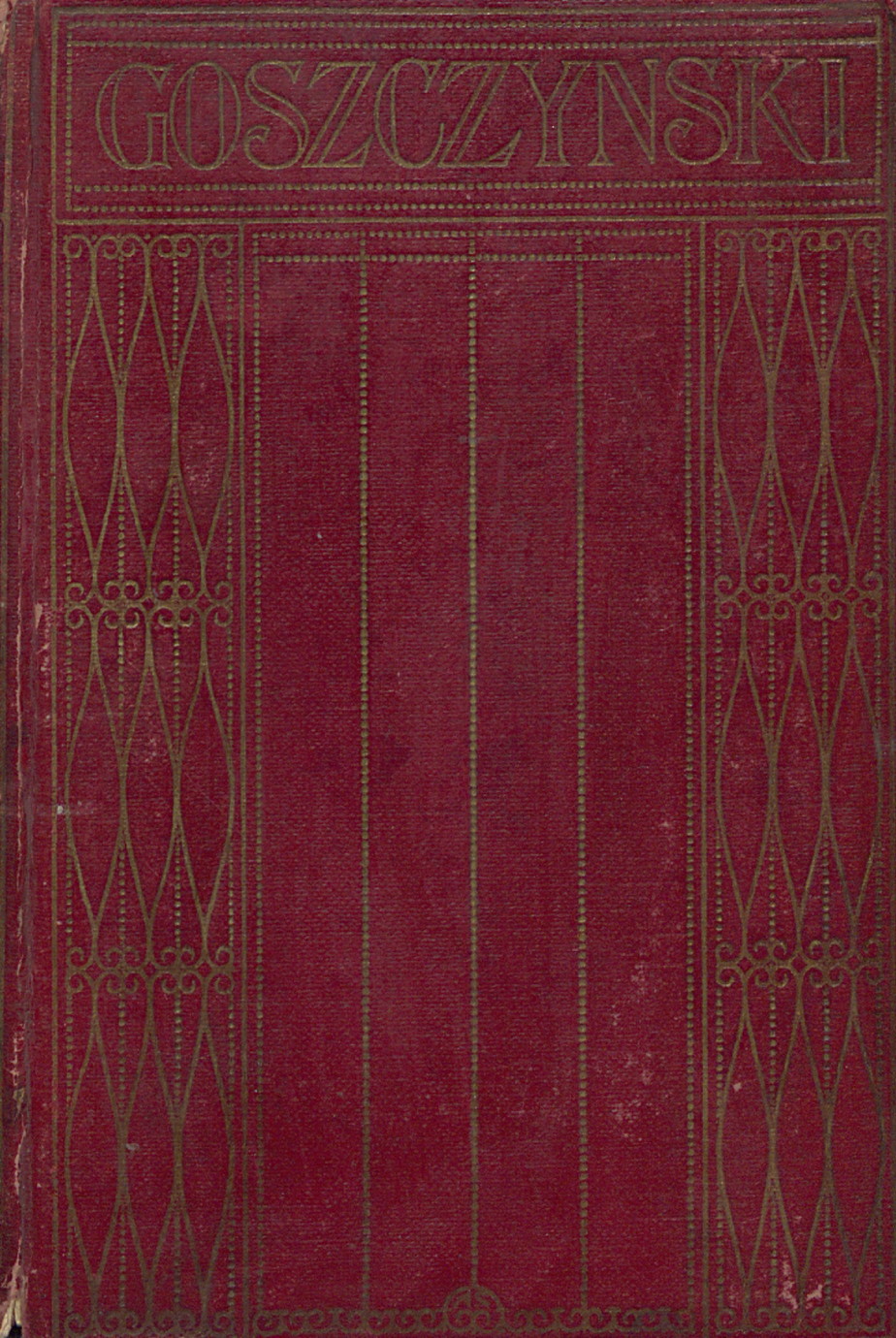
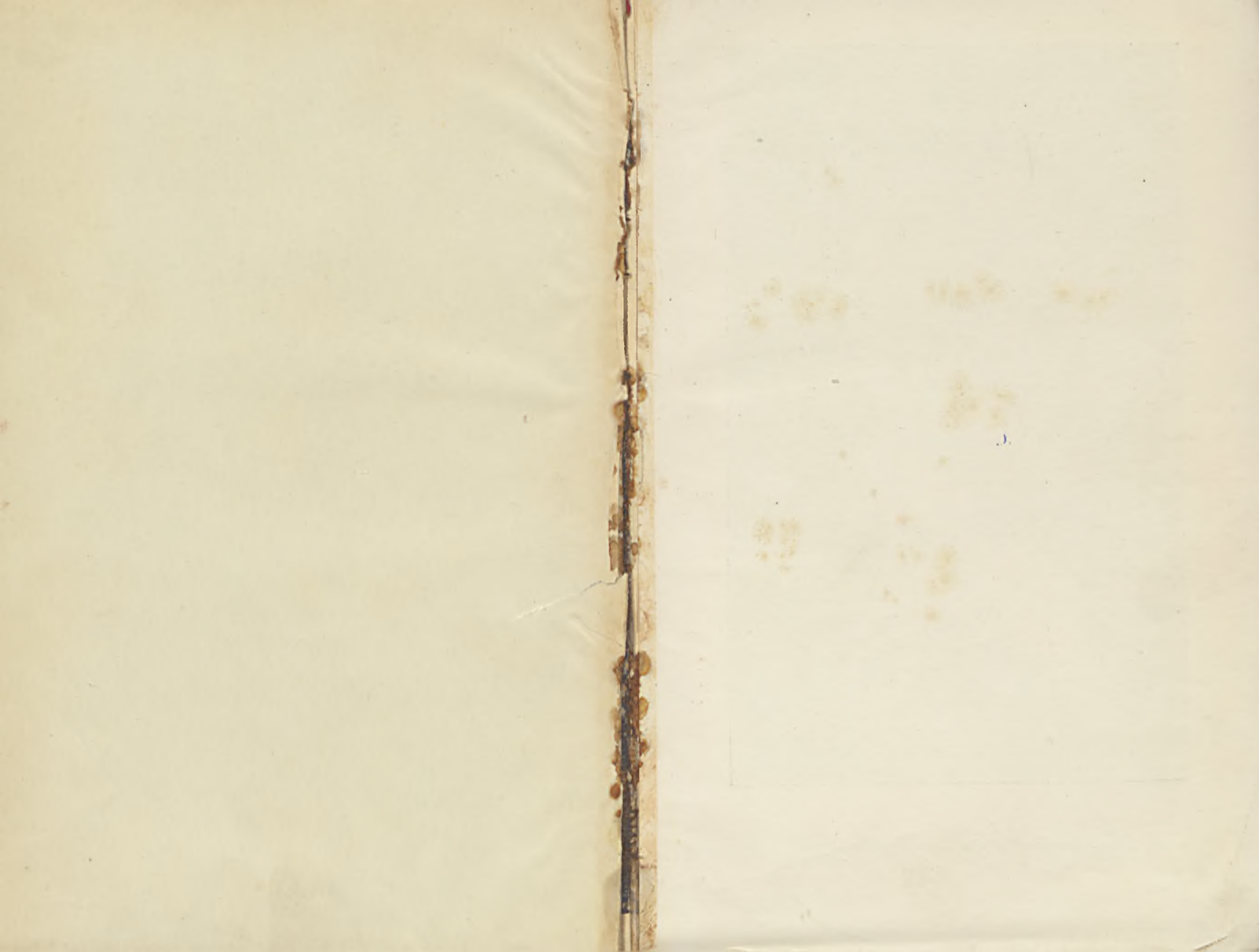


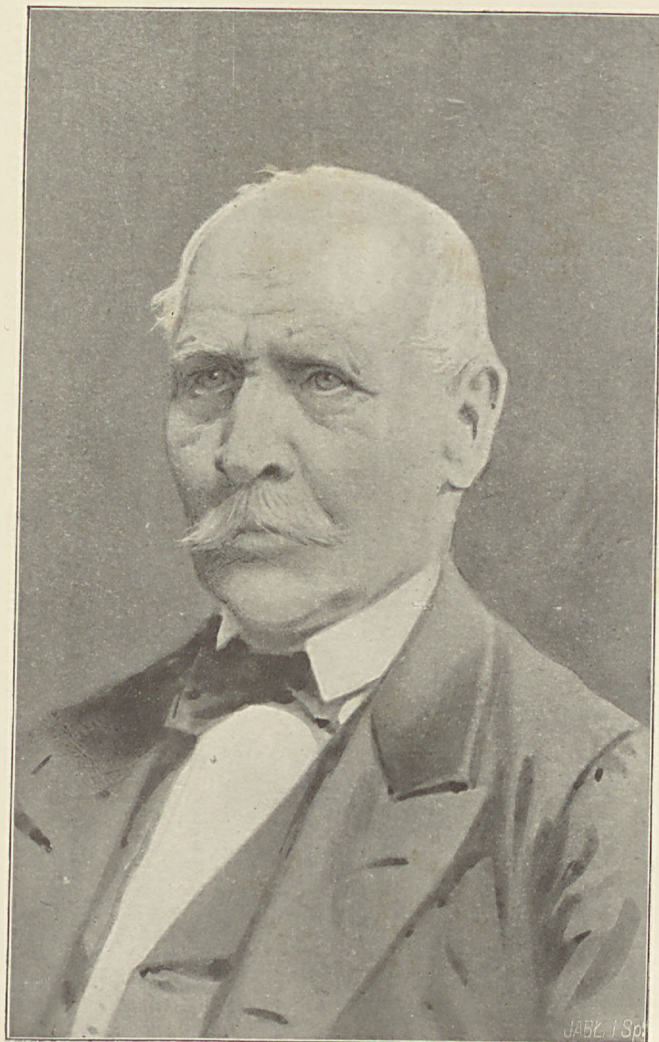
GOSZCZYNSKI











DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO.

Seweryn Goszczyński

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

TOM IV
PISMA POLITYCZNE

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

Do udeśnienienia
tylko Czytelnik



47923

884-1 + 884-3 + 884-92 + 884(92) Ogólna

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47923



BGZs 47923

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

SPIS RZECZY TOMU IV.

	Str.		Str.
ROZPRAWY POLITYCZNE.		*Bałagudy	151
*Memoriał	3	*Szlachcic i grupia frant	160
*Główny żywioł demokra- cyi polskiej	29	*Zoografia Bałagudy- szlachcica	165
*Konieczność stosunków literackich Polski z jej emigracją	48	*Zoografia Jezu	170
*Moralna podstawa sprawy polskiej	58	*29 listopada	
PISMA SATYRYCZNE „PSZONKI”		I. Marzenie o rzeczy- wistości	177
*Wydawcy „Pszonki” do Czytelników	81	II. Widzenie tego, co jest	181
*Oślarnia królewska	89	III. Widzenie tego, co daj Boże	189
*Nowy ukaz J. K. Mei	96	*Nie źle jest czasem nie dospać	191
*Kwesta na ojczyznę	100	*Co to z nami dalej będzie	196
*Nie przynęcasz wróbla plewą	114	*Dziesięć obrazów, itd.	198
*Czartoryscy jedenasta pla- ga egipska	125	PO PRZEŁOMIE MORALNO- RELIGIJNYM.	
*Święto Wielkanocno	127	*Słowo o poświęceniu	209
*Jeszcze jedno wspomnie- nie wspomnienia	130	*Mowa nad grobem Mickie- wicza	257
*Kilkastów do tej szlachty, co szczerze chce Polski Pierwsze słowo	133	*Mowa nad grobem Izabelli Dobrowolskiej	263
*Drugie słowo do tych, co chcą Polski niepodległej a nie chcą jej robić	140	Przedmowa do wydania wrocławskiego z r. 1852	266
*Uprzejme rady z powodu wieści o amnestyi mo- skiewskiej	147	*Przedmowa do poematu „Posłanie do Polski”	271
		*Rzecz o poezyi polskiej	275
		*NOC BELWEDERSKA	289
		*BIBLIOGRAFIA	363

R Y C I N Y :

Portret G-o według fotografii na schyłku życia.
Podobizna karty tytułowej „Nocy Belwederskiej”.

UWAGA. * oznaczamy utwór, który pierwszy raz wcielony
został do zbiorowego wydania pism G-o, lub też wszedł tutaj ze
zmienionym przez autora tekstem.

ROZPRAWY POLITYCZNE.

MEMORYAŁ.

Do Centralizacyi Polskiego Towarzystwa Demokratycznego ¹.

Obywatele!

Dopiero przed kilkunastu dniami przyszedłem do takiego stanu zdrowia, że mogę się oddać ciągłej, kilkogodzinnej pracy; miałem za powinność poświęcić pierwsze tego stanu chwile obiecanemu wam przeze mnie pismu. Ukończyłem je wreszcie; oto je macie.

Zdaje mi się, obywatele, że dla dwóch głównie powodów żądaliście porozumienia się ze mną; raz, aby się dowiedzieć, na jakiej stopie zostawiłem w kraju naukę demokratyczną — potem, abym wam przedstawił z mojej strony środki, jakie, oparty na kilkuletnim pobycie w kraju, uważam za najwłaściwsze dla dania tej nauce stanowczej przewagi, podniesienia jej do naczelnej potęgi i zamienienia jak najrychlej w czyn powszechnego narodowego powstania. Będę bardzo rad z siebie, jeżeli w rozwiązaniu tych dwóch pytań potrafię się zdobyć chociaż na kilka przydatnych wam uwag.

Co do pierwszego. Przymuszony naturą samą tego pisma i innemi okolicznościami być najzwężlejszym w całym jego ciągu, ograniczę się w tem miejscu na wymienieniu głównych żywiołów, tworzących polską ludność, odznaczając każdy jego charakterystycznemi rysami w taki sposób, żebyście mieli w ogólnym widoku całą masę pomocy i zawał przy uskutecznianiu waszych zamiarów. Tu uprzedzam was, obywatele, raz na zawsze, że w całym ciągu pisma odnoszę się głównie do Galicyi. W Galicyi

¹) Memoryał ten ogłoszony został po raz pierwszy drukiem w książce Z. Wasilowskiego: „Z życia poety romantycznego. S. Goszczyński w Galicyi“. Lwów, 1910.

przepędziłem te kilka lat mojej tułaczki, ja jedynie miałem zrzeczność dokładnie poznać, o niej tylko mogę dawać sumienne zdanie. Jednak obok tego śmiem ręczyć, że z Galicyi można mieć mniej więcej dokładne wyobrażenie o całej Polsce.

Macie więc arystokrację, do której nigdy nie traficie — dlatego tylko tyle o niej powiem, że jest śmiertelnym wrogiem nowych wyobrażeń, że się chwyci najpodlejszego środka, byle demokracją przytłumić, że woli, jednym słowem, ugiąć się przed obcym panowaniem, jak przed ludowładztwem narodowym, a z tych przyczyn trzeba i ją mieć bardzo na oku i równie przed nią się pilnować.

Macie szlachtę właściwą, dziedziców i niedziedziców, klasę, głównie nękaną przez nieprzyjacielskie rządy, główny cel ich zamachów jako jedyna przechowawczka świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej, przedsięsiatkowaną klęskami związków, zniechęconą do nich, zawichrzoną mniemaniami politycznymi niezliczonej barwy, w części demokratyczną, w części mającą się na baczności przed demokracją (która dotąd objawiła się więcej jako zazdrosna dobremu bytowi, aniżeli jako przeciwniczka niewczesnej instytucyi, więcej jako rabuś, aniżeli sprawiedliwość ludzkości), nie pojmującą stanu odrodzonej Polski, nie widzącą w niej tylko przewagę niesprawiedliwości, gwałtów, grabieży, tyranii uciśnionej dotąd części narodu, jednym słowem, samą okropność dzieła burzącego, niszczącego, a żadnych korzyści, do których sądzi mieć prawo jako jedyny historyczny żywioł polskiej przeszłości, jako jedyna dźwignia polska w chwilach obecnych, zresztą, jako część ogółu narodowego, mimo to wszystko pragnącą ojczyzny, jak zbawienia, władającą pośrednio i bezpośrednio wszystkimi środkami materialnymi, umysłowymi i moralnymi narodu, wszechmocną, prawie w kraju, jedyną, przez którą w dniach przygotowawczych można coś zrobić, na którą w samym powstaniu najwięcej rachować można, długo jeszcze najposilniejszy żywioł demokracji, najzdolniejszą wszystko pojąć, przyjąć, poświęcić własny swój interes i zrobić powstanie.

Macie młodzież szkolną taką, jak wszędzie i zawsze:

bezinteresowną w działaniu, zapaloną, nierozważną, namiętną do konspiracyi, najniezręczniejszą w ich prowadzeniu, na drodze politycznych czynności wpadającą łatwo w zarozumiałość, nie widzącą nic prócz siebie, skwapliwą do najprędzszego chwycenia się tej doktryny, która jest najprzesadzeńszem marzeniem, ogłoszoną systematem edukacyjnym, zaprowadzoną przez przywłaścicieli, potrzebującą wielkiej reformy pod względem moralności, w przygotowawczych działaniach, w bezpośrednim do nich użyciu więcej szkodliwą, jak pożyteczną, niezawodną siłą w powstaniu — dla przyszłości wszystko.

Macie stan miejski, mieszaninę Polaków, Niemców i Żydów: Żydów bez najmniejszego dla sprawy użytku, bez najmniejszego podobieństwa, aby kiedykolwiek mogli być użyteczni, cierpiących każdy rząd, każde położenie Polski, skoro jest wolność zbierania pieniędzy i oszukiwania — Niemców, podobnych w tem do żydów, nadto jeszcze wprost nieprzychylnych Polsce z pobudek różnoplemienności — Polaków, niegodnych po największej części tego nazwiska najwięcej przez brak ukształcenia politycznego, z wyjątkami miast większych, klasy uboższej i rzemieślniczej, gdzie w uczuciu narodowości tłą jeszcze zabytki narodowego życia i chęć do działań politycznych.

Macie masę urzędników, leżących na Polsce, jak grobowy kamień w całym znaczeniu tego słowa, obojętnych tak dla Polski, jak dla jej ciemieców, maszyny piszące i trawiące, których sprężynami porusza jedynie kawałek chleba, które za jego kierunkiem gotowe zwrócić swoją usługę i czynności.

Macie wojsko, a w wojsku Węgrów, nieprzyjaznych austriackiemu rządowi, pomiędzy nimi prostych żołnierzy, na których liczyć nie można, między oficerami zaś wielu otwarcie sprzyjających sprawie Polski — pułki sławiańskie do niczego — na koniec pułki polskie wiele obiecują, a między żołnierzami więcej nawet, jak między oficerami, którzy po większej części są cudzoziemcy.

W duchowieństwie macie Jezuitów, pracujących jedynie dla swego zakonu, a z tej przyczyny służących każdemu rządowi, który im nie odmawia swej opieki, dążących do swego celu przez propagandę religijnego fanatyzmu, za-

bobonów, ciemnoty, nienawiści ku nowym wyobrażeniom i ku wszelkiemu umysłowemu postępowi, mających dziś wielki udział w krzywieniu umysłów młodzieży, w prowadzeniu tajnej rządowej policyi, w cenzurze, w tłumieniu polskiej narodowości, szerzących katolicyzm gwałtownymi nawet czynami, a stąd niecierpianych przez inne wyznania chrześcijańskie, głównie przez księży unickich i świeckich — macie duchowieństwo świeckie, złożone w wielkiej części z włóczęgów węgierskich, czeskich, morawskich, a po największej części z łotrów, z obojętnych dla Polski lub jej nieprzyjaznych, w malej bardzo z dobrych Polaków, z ludzi ukształconych i pocziwych — macie duchowieństwo unickie, przenoszące rząd moskiewski nad austriacki, nurtowane przez Moskali za pośrednictwem moskiewskiego związku, mającego swoje gniazdo we Lwowie, znanego pod nazwiskiem „Stanropigia“, złożonego z dygnitarzy unickich, urzędników i profesorów, rozgałęzionego na prowincyi głównie między starszem pokoleniem parochów, macie je więc bardziej moskiewskie, jak polskie i nie tające tego, i macie jednak seminaria, w ostatnich czasach bardzo przedziesiątkowane dla swoich mniemań nowoczesnych, bardzo skłonne ku dobremu, bardzo ważne dla propagatorów, a ruskie lepsze od katolickiego.

Macie osadników niemieckich, bezwarunkowo przeciwnych bytowi Polski, gardzących Polakami, niecierpianych przez Polaków.

Macie lud wiejski polski i ruski i, oddzielny prawie od tych obydwóch, lud góralski, a wszystkie nie lubiące się wzajemnie. Lud polski, plemię w całej może Polsce najdzielniejsze, ale zepsute w wysokim stopniu przez machiawelizm austriackiego rządu, nie uważające się prawie za jedno z Polakami, nie cierpiące szlachty, jako panów i Polaków, ufające rządowi, który ma za ojcowski, trudne do nawracania dla wielkiej ku Polakom nieufności — mimo to usposobione już nieco przez wypadki ostatnie i propagandę, którego wszakże przysposobienie do powstania i poruszenie w całej masie możliwe jest tylko przez szlachtę właścicieli, a przynajmniej przez krajowców. Górale wyżsi są od mieszańców równi i fizycznie i umysłowo; lud

zręczny, pojętny, zuchwały, zacięty, straszny w wojnie, prowadzonej w jego okolicach, zwących wszystkich niegóralskich Polaków nienawistnem nazwiskiem „Lachów“ — nieuległy, najprzystępniejszy z ludu wiejskiego propagandzie, ale przytem najskrytszy, najchytrzejszy, najdowzmacniejszy i dlatego wymagający w postępowaniu z nim wielkiej zręczności i ostrożności apostołów. Lud ruski nienawidzi Polaków nienawiścią plemienia, języka, wiary i niewolnika; najbardziej znękany, najbardziej spodlony, mimo to, a może i dlatego przyjmuje najszerzej słowa zbawienia i ostatnie wypadki dały mu zręczność pokazać się albo z mniejszą nienawiścią, jak lud innych okolic, ku propagatorom, tj. emigrantom, albo wprost z większą przychylnością, która dochodziła niekiedy do rozrzewniających poświęceń się.

O ludzie wiejskim w ogólności można to jeszcze powiedzieć, że starzy są lepsi od młodych, że głównie psują wojskowi, na urlopiach będący, że wszystkie uciski rządowe panom przypisuje, że go demoralizuje wielkie pijalstwo, że jego uczucia religijne są tylko systematem zabobonów, fanatyzmu i czci zewnętrznej, że nakoniec niema podobieństwa, ażeby przed powstaniem można wlać w niego pojęcie całej ważności przyszłego powstania i usposobić go na lud, godny Rzeczypospolitej.

Zresztą macie kobiety Polki, rozumne, jak mężczyźni, a szlachetniejsze od nich, bardziej gotowe do poświęcenia się, do przyjęcia wszystkiego, co się na tej zasadzie opiera, z czystszejszem, z żywszem uczuciem narodowości, pod względem enót i prywatnych i publicznych wyższe niezaprzeczenie od kobiet innych narodów, z wyobraźnią żywą, łatwą do rozpalenia — biorące udział w każdej sprawie bardziej czuciem, jak głową, przywiązujące się do raz wziętej całą mocą miłości, a przeto nie obojętne dla robót demokratycznych.

Na zapytanie wprost, jak w kraju stoi nauka demokratyczna — wprost odpowiadam, że się bardzo zachwiała. Liczba jej wyznawców jest może większa, niż była kiedykolwiek — ogień jej przeniknął do każdego prawie żywiołu polskiej ludności, każdego się prawie chwycił, ale obok tego niezmiernie się rozprószył, odosobnił ze swoją szkodą; są to oddzielne płomyki, które tu zapalają się, tu

gasną lub tleją tylko bez mocy, bez sposobu zlania się w jedno ognisko, mniej może obszerne, ale obszerne i coraz żywsze.

Nie mogę, obywatele, odmalować wam w prawdziwszym obrazie stanu demokracji w kraju. Smutny to widok jej rozprószenia się bez siły jednoczącej. A główna przyczyna tego upadku leży w samejże krajowej demokracji.

Z jednej strony, cokolwiek przyleci z zagranicy z nowych teorii w nowej lada broszurce, z nowym lada emi-saryuszem, chwytań jest bezrozpoznawania za ideę demokratyczną, podciągane pod nią i to tem skwapliwiej, im ta nowość nosi na sobie cechę wyuzdańszego marzenia, śmielszego wyegzaltowania. Przez to potworzyły się w łonie demokracji partye, zawichrzenie, walka po omacku, chwianie się pomiędzy najróżnorodniejszymi opiniami: okoliczność ta, wyległa z szczerego popędu dążenia za postępiem zagranicznym, roztacza demokrację, jak robak w jej teorii zamknięty, marnuje jej siły w niezgodzie wewnętrznej, nie pozwala skupiać się i iść po jednej drodze do ściśle oznaczonego celu. Z drugiej strony, nieroztropnie prowadzona propaganda przestraszyła mieszkańców, obudziła w najwyższym stopniu czujność politycy, a tym sposobem przysporzyła nieprzyjaciół demokracji między obcymi i swoimi — co większa nieprzyjaciiele-Polacy, jako bardziej zatrwożeni, jako mający większą niżli rządy sposobność szpiegowania czynności demokracji i niweczenia ich, są może straszniejsi, niż obcy. Jednem słowem demokracja w ostatnich czasach bita była z wewnątrz, nie miała żadnego punktu oparcia się, była więc w stanie wielkiego upadku.

Co do drugiego zapytania: Jak zrobić powstanie w Polsce przez ideę demokratyczną? — Podnieść tę ideę do potrzebnej potęgi. Jak ją podnieść? — Przez tajemny związek. Jak ten związek urządzić i prowadzić? Rozstrzygnięcie tego pytania rozstrzygnie cały szereg poprzedzających.

Tu się zatrzymam na chwilę nad pojmovaniem przeze mnie tajemnych związków w ogólności. Za związek prawdziwie narodowy w całym znaczeniu tego słowa, a zatem jedynie pożyteczny, jedynie potrzebny narodowi, uważam

ciało, uświęcone takim celem, z takich złożone osób, władające takimi środkami, że ma sympatyę z najpotężniejszą swoim życiem częścią narodu; że naród nie nadeń nie widzi, że w jego wzroście widzi zbliżające się spełnienie swoich nadziei, że jego istnienie zaspakaja wszystkie jego polityczne potrzeby, że jego upadek uważałby za śmiertelną całego narodu klęskę. Takim, podług mnie, powinien być wszelki związek narodowy, a więc powinien być naczyniem najżywotniejszych soków narodu, składem wszystkich pierwiastków jego życia, jego sercem, więcej, jak sercem, bo zarazem i głową. Z tego wynika najprzód, ażeby wyobrażał potrzeby swojego narodu w swoim czasie, t. j. jego żywotną ideę zastosowaną do danego czasu, żeby ją zatem jasno pojmował, szczególnie jej stan chwilowy w danym czasie. Takiego związku obowiązkiem będzie nieprzerwana czynność. Dla uczynienia swemu powołaniu zadość powinien trzymać nad narodem oko wiecznie otwarte, jak Opatrzność, czytać w jego sumieniu czyli opinii każdą myśl najprzelotniejszą, trzymać w swoich rękach najdelikatniejsze sprężyny tej opinii, dla jej wyrobienia i prowadzenia stosownie do kierunku, jaki wskazuje gwiazda narodowej idei, być w każdym czasie, w każdym miejscu swojego narodu, jak Bóg, dla zaspakania tej idei przeciwko wszelkim zamachom jej nieprzyjaciół i dla oczyszczenia jej drogi aż do stanowiska wskazanego przez ducha czasu. Z tego wynika drugi warunek, że związek narodowy, a przynajmniej jego naczelnictwo, jego główna siła, jego jądro żywotne, powinny istnieć w kraju i głównie z krajowców się składać. Za utworzeniem takiego tylko związku głos daję; wszelki inny uważam za igraszkę próżnych ludzi, o tyle niewinną, o ile nie wiedzą o nim kraj i nieprzyjaciela kraju. Pewny jestem, że się na to wszyscy ze mną zgodzicie.

Zanim wejdę w przedmiot założenia związku narodowego w Polsce, powinienem jeszcze wam dać, obywatele, wyobrażenie, jak w tych czasach kraj był względem związków usposobiony. Po upadku ostatniej rewolucji tyle ich przeżył, a szczególnie Galicya tyle z ich powodu ucierpiała z tak małym dotąd wynagrodzeniem, że się powszechnie zraził, a nawet przestraszył nimi.

Do lepszej jeszcze części narodu, do czynniejszej, należą tacy, którzy wchodzą do związku z przekonania, że trzeba przecież coś robić, ale zarazem z pewnością, że jutro już związek skona. Tymczasem wszyscy, i najlękliwsi, czują potrzebę tajemnych związków, są przekonani, że bez tajemnych sposobów narodu nie połączyć, że bez tajemnie połączonych usiłowań nie zrobić powstania; przygotowani więc są do tajemnych związków, wyglądają tylko pomysłu, któryby dał rękojmię, że będzie lepszy, trwalszy, jak dotychczasowe. Nie pochlebiam sobie odgadnąć ten pomysł zupełnie; napatrzyłem się jednak tyle na błędy przeszłych związków, wyrozumiewałem tak bezstronnie opinię względem przyszłego, żadanego, że spodziewam się podać wam kilka zdrowych uwag w tym przedmiocie. Będę usiłował rozwijać rzecz o związku w takim porządku, w jakim-bym ją wykonywał.

Chociaż tajemne związki istnieją, a przynajmniej istniały do niedawna w Galicyi i w całej Polsce, żaden z nich jednak, o ile mi było wiadomo, nie może służyć za związek do przyszłego żadanego. Wszystkie są niedojrzałe, prowincjonalne, mniej więcej przygotowawcze, a razem tak bezsilne, już to przez ułomne urządzenie, już przez skład osób, już przez niejasne pojmowanie potrzeb Polski, już to nakoniec przez brak materialnych środków, że żaden nie jest w stanie ogarnąć swoim działaniem całej Polski, przygotować powszechnego powstania. Mimo to dobrze byłoby przy tworzeniu związku narodowego poznać je wszystkie.

Pierwszymi warunkami pomyslnego zaczęcia tej pracy są: plan Związku i ustawa Związku.

Plan Związku. Uważam za rzecz nieoddzielną od każdej porządnej, zwłaszcza cokolwiek ważniejszej roboty, jej plan czyli poprzednie wykonanie w myśli; uważam go za konieczny w czynności obecnej, bo wiem na-przód z doświadczenia, jak wiele tego rodzaju przedsię-wzięć upadło jedynie brakiem planu i jak te niepowodzenia dały uczuć ludziom rozważnym jego potrzeby — a potem nie podobna wierzyć, żeby zabierając się do od-budowania Polski był do tego sposobny, jeżeli nie jest w stanie obrachować na-przód swoich czynności i w tym

obrachunku dowieść na oko, że ma ich pojęcie i odpowiednie umysłowe siły. Takiej rękojmi będzie potrzebował niezawodnie każdy, kto tylko zasługuje mieć w tem dziele udział.

Wypisać wszystko, co by o planie związku powiedzieć można, byłoby to sporządzić wykończony jego projekt; o tem nie myślę, mając do czynienia z wami, obywatelami — ale uważam za niezbytczne udzielić wam główniejszych ze strony krajowców w tym przedmiocie żądań:

1) Plan ma obejmować całe życie związku, od chwili jego objawienia się aż do rozwiązania się przez dopięcie założonego celu.

2) Ma wytknąć głównejsze stanowisko na drodze, którą między pierwszą a ostateczną chwilą związek przebyć zamierza, t. j. ma określić głównejsze czynności związku, zachowując logiczne ich następstwa — albo, jeszcze inaczej: ma wytknąć drogę związku celami, środkującymi pomiędzy pierwszym pomysłem związku a ostatecznym jej kresem.

W zastosowaniu przeto do związku polskiego powinien wyraźnie cel jego oznaczyć, który, podług mnie, nie może być bliższy, jak postawienie narodu na stopie wszechwładztwa, nie krępowanego żadnymi wewnętrznymi ani zewnętrznymi więzami — następnie powinien się zająć pierwiastkowem rozwijaniem się związku, przepisaniem dokładnem sposobów propagandy, ażeby ta, idąc do głównego celu, nie krzyżowała związkowi drogi do najważniejszego po nim, t. j. do uzyskania niepodległości zewnętrznej — wykazaniem sposobów, przez jakie związek ma się zasilać żywiołami zewnętrznymi, jako to: szlachtą, mieszczańami, duchowieństwem, kobietami, młodzieżą szkolną, chłopami itd., t. j. jaka ma być polityka związku względem wciągnięcia w swoją robotę wspomnianych żywiołów i pod jaką miarą każdego z nich użyć wypada — określeniem natury stosunków z narodami postronnymi, a głównie słowiańskimi, aby jak największą wyciągnąć stąd korzyść tak przed, jak w czasie powstania, propagandą już widoczniejszą, materialnemi przysposobieniami powstania, wilią powstania, a w niej utworzenia się władzy powstańskiej i jej czynności pierwszych, wybuchem,

wojną początkową, wojną w dalszym ciągu powstania i td.

Położyłem tu za ostateczny cel wolność narodu wewnętrzną — i w samej rzeczy związek demokratyczny nie może brać bliższego, jednak nie taję, że w moich oczach powstanie i niepodległość zewnętrzna tak jest koniecznym warunkiem osiągnięcia tego celu, że kraj tak powszechnie uczuwa tę prawdę, że wywiesiłbyin za godło związku powstanie, a drogę do celu statecznego położyłbym, jako środek zrobienia powstania. Cokolwiek niżej jaśniej się wytłumaczę. — Wielu utrzymuje, że plan powinien ściśle oznaczyć czas powstania. Ja sądzę, że to oznaczenie lub nieoznaczenie zależeć będzie od tego, czy ogół działających związkowych ujmie się ściśle w określony przeciąg czasu, czy ten czas wejdzie do nich, jako rzecz podrzędna i oznaczy się tylko przez „prędzej“ lub „później“ stosownie do rachuby, jaka wyniknie z poszczególnych działań.

Tyle o planie. Rozważywszy tych kilka myśli i objawszy całość działania, którą one napomykają, sami z łatwością reszty dopełnicie.

Ustawa Związku. Oto są główne punkta, których duch będzie duchem ustawy — dlatego nad każdym zastanowim się nieco. — Cel związku. Cel powinien być wydatny, przemawiający do uczucia jak największej części, pojętny dla niej, jednym słowem, że się wyrażę, jak najregularniejszy. Sądzę, że będzie miał te przymioty, jeżeli wyrazi myśl następującej treści: Powstanie przez bezwarunkowe usamowolnienie i uwłaszczenie włościan. Położenie tego celu ma tę wielką zaletę, że odsuwa na bok wszelkie spory i teorye, urządzające społeczność polską już wyjarzmioną, a kształty jej rządów już wtenczas, kiedy będzie zewnątrz i wewnątrz wolną. Podobne spory jak z jednej strony nie wzmacniają niczem narodu, gotującego powstanie przeciw nieprzyjacielowi jedynie strasz-nemu, bo despotcie zewnętrznemu, przeciwnie, osłabiają go bez żadnej skądinąd korzyści — tak słuszną jest zostawić te zagadnienia rozstrzygnięciu przez ogół narodu i w czasie, kiedy one zostaną żywotnemi jego bytu zagadnieniami, a naród będzie miał zupełną swobodę zająć się nimi. Podobne spory, jeżeli są w swoim miejscu, a przynajmniej nie tak szkodliwe w kółkach prywatnych,

w związkach, uczących się republikanizmu, zresztą w towarzystwach czysto propagacyjnych i to wśród narodu niepodległego, nigdy nie przystoją, nie schodzą się z naturą związków narodowych, mających za cel walkę z nieprzyjacielem zewnętrznym, dla których przeto jedynym żywotnem zagadnieniem jest, jakby skupić w jedną potęgę wszystko, co jest w narodzie żywiołem przeciwnym temu wrogowi — gdyż, jak powiedziałem, nie przydają żadnej siły podobnemu związkowi, a zamieniając się w szkolną zaciętość, mogą jedynie spowodować powtórzenie śmiesznie okropnych scen, towarzyszących upadkowi greckiego cesarstwa. Dla tych przyczyn byłbym nawet za tem, ażeby oddzielny artykuł ustawy wyraźnie zabraniał związkowym wszczynania podobnych sporów tak wewnątrz, jak i zewnątrz związku. — Cel powyższy obejmuje zarazem i wyznanie wiary politycznej związku, któryby dopełnić tylko potrzeba artykułami o braterstwie i bezwarunkowem poświęceniu się.

Część ustawy organizacyjna. Forma związku jak najściślej konspiracyjna: u szczytu instytucja naczelna samowładna, ma się rozumieć, w tem, czego ustawa nie uznala za potrzebę określić, swobodna w wyborze dróg i środków do osiągnięcia celu przez ustawę wytkniętego, niepodległa w tem żadnej kontroli, żadnemu obowiąz-kowi sprawozdań względem szczegółów swojego działania, mająca na sobie jeden tylko obowiązek, obowiązek zrobienia powstania — w tem jednym odpowiedzialna przed związkiem. W reszcie związkowych ślepe posłuszeństwo władzy naczelnej.

Władze związku podrzędne. Z natury związku konspiracyjnego i naczelnej władzy wynika, że inne władze, niższe, zależeć będą od wyższych, czyli, krócej mówiąc, stopniowanie ich idzie z góry na dół.

Siedlisko naczelnictwa. Do tego byłaby najstosowniejsza Warszawa, jako miejsce, uświęcone już urokiem tylu wypadków stanowczych dla narodu; jednak w początkach związku nie widzę dla jego ogniska dogodniejszego miejsca, jak Galicya, pod każdym względem ważna dla interesów związkowych.

Tajemnicę związku w całej jej obszerności posiada je-

dynie władza najwyższa; innym udziela jej o tyle, o ile dla dobra związku uzna za potrzebne. Między pojedynczymi członkami, nawet między władzami niezależnymi od siebie jak największe odosobnienie; żadnych przeto schadzek, zjazdów, sejmikowania. Powyższe artykuły mają za cel jak najmocniejsze scentralizowanie działań związkowych i jak najściślejsze zabezpieczenie tajemnicy; uważam je przeto za bardzo ważne. Za równie ważne z innych powodów uważam następujące.

Barwa związku wewnętrzną i zewnętrzną. Narodowość polska. Narodowość polska jest dziś jedyną potęgą, która daje odpór napastnikom narodu polskiego; jest świętością naszą. Nie znajdzie spólczenia w narodzie, kto okazuje dla niej pogardę lub ją lekceważy. Barwa zatem narodowości powinna się rozlać na całą budowę związku przyszłego, tak, aby jaśniała w jego celu, tchnęła z każdego szczegółu, ożywiała każdą myśl ustawy, aby się objawiła tak w nazwisku związku, jak i jego władz, jak nakoniec i związkowych, gdybyście wprowadzili użycie t. zw. nazwisk wojennych — krótko mówiąc, powinna promienić z wewnątrz dzieła, jak jego dusza, a zewnątrz odziewać je, jak ciało odziewa duszę. Tym sposobem możnaby wcielić w związek, co jest w przeszłości polskiej republikańskiego, demokratycznego, a przez to dać mu niejako za podstawę przeszłość. Sami przyznacie, że ta podstawa jest silna; nie pojmują nawet, czy może być inna i czy ją może coś zastąpić w związku, który ma być treścią narodu.

Nazwisko związku. Samo już nazwisko powinno charakteryzować naturę związku, powinno być niejako chórągiem dla wszystkich dobrych, poświęconych Polaków, dla tych nawet żeby miało pewny urok, którzy nie całkiem pojmują naukę demokratyczną; powinno, o ile możliwości, odzywać się do ogółu narodu. Zresztą, krajowcy związkowi wymagać będą po ustawie, ażeby wyjaśniała i określała udział, jaki sobie Tow. Dem. pol. chce zachować w czynnościach związku, stosunki ze związkiem, sposoby znoszenia się i t. p. — Nakoniec redakcja ustawy powinna być jak najtreściwsza.

Mając taki plan i taką ustawę, wykonane ostatecz-

nie w porozumieniu się z tymi krajowcami, którym byłoby powierzone, jako naczelnictwu związku, chociażby tylko tymczasowemu, a którzy przez swoje położenie świadomi kraju, mogliby zdrowymi uwagami wiele się przyłożyć do większego wspomnianych pism wnarodowienia, już jest zrobiony wstępny krok najważniejszy; z tem wszystkiem niedalekoby się zaszło, nie zniszczywszy wprzód pewnych przeszkód, przeciw którym te dwa pisma są niedostateczne.

Te przeszkody są dwojakie: moralne i materyalne. — Główne między moralnymi są: ów bezład umysłowy, owo zniechęcenie się związkami w ogólności, o czem już mówiłem, a wstręt do związków demokratycznych w szczególności już to z przyczyny niepolitycznych i przesadzonych odgrzań się przeciw interesowi szlachty, już to przez fałszywe pojmowanie tak nauki demokratycznej, jak i samego Tow. Dem. — Istnienie materyalnej przeszkody opieram wprawdzie na domyśle, ale zdaje mi się niemylnym: chcę tu mówić o braku pieniędzy, bez których podobna czynność daleko posunąć się nie da.

Zniszczyć, a przynajmniej osłabić wyliczone moralne przeszkody potrafią tylko pisma. Zaczę od tego, którym tymczasowa władza związku powinna otworzyć swoje czynności. Pismo to powinno być rodzajem odezwy do kraju, bez jej piętna, bez wyrażenia, kto nią przemawia, jednym słowem, rodzaj broszurki. Ma ono wystawić całą okropność obecnego położenia Polski i okropniejszą jeszcze przyszłość, jeżeli nie weźmie się do energicznego i systematycznego oddziaływania przeciw swoim wrogom, odmalować całą hańbę odpowiedzialności, jaką się obciąża obecne pokolenie przed przyszłością za swoją nieczynność lub czynność źle pomyślaną i kierowaną, wykazać możliwość pracowania w tych nawet okolicznościach, które dziś uciśkają Polskę, i wydobyć ją z nich własnymi siłami — wyświecić drobne interesa stronnictw lub osób, jako prawdziwe sprzymierzeńce nieprzyjaciół Polski, żywotne źródło ich przewagi nad narodem polskim, główną przyczynę dotychczasowych niepowodzeń i jedyne sprawce ostatecznej zagłady, jeżeli ta jest przeznaczona Polsce — podsunąć myśl, że tylko idea demokratyczna i połączenie

się w niej umysłów mogą stworzyć potęgą, zdolną zbawić Ojczyznę, a następnie, że jest konieczne, ażeby naród zjednoczył swoje usiłowania z usiłowaniami ciała, które dziś wyobraża tę ideę — dowieść, że praca odbudowania Polski może się udać tylko na drodze tajemnej, nakoniec — przemówić słowami zachęcenia do bezstronnego i gorliwego roztrząśnienia najskuteczniejszych środków ratunku, do tajemnego połączenia się, do poświęcenia tego wszystkiego, co jest przeciwne tym środkom, temu połączeniu się, do porozumienia się jak najprędszego i działania w duchu chrześcijańsko-polskim, do użycia w tym celu wszystkich środków moralnych, umysłowych, materialnych, jakimi szlachetniejsza część narodu może rozporządzać i do harmonijnego działania ku jednemu celowi, jak najprędszego powstania. Taka niby odczwa powinna poprzedzić wszystkie pisma, wszystkie inne czyny pracujących nad nowym związkiem — i jestem przekonany, że, dobrze napisana i rozrzucona po całym kraju w jednym czasie, w jak największej liczbie egzemplarzy, rozbudzi, zapali, zjednoczy i pobudzi do działania narodowy umysł.

Jednocześnie z puszczeniem w obieg wspomnianego pisemka, ciało, początkujące związek, powinno rozpocząć zabiegi około usunięcia przeszkody innego rodzaju, to jest, braku pieniędzy.

Na podatku związkowych, na dorywczych składkach nie można wiele budować. Podatki takie są zazwyczaj nieodpowiednie potrzebom związku. Składka dorywcza, wyczerpawszy się, naraża na nieprzyjemność powtarzania składki, co z czasem powszednieje i coraz mniej przynosi, a zawsze, szczególnie w tych ostatnich czasach, połączone jest z wielu kłopotami, nie wynagradzając ich zebraną ilością. Potrzeba więc pomyśleć o utworzeniu raz na zawsze kapitału związkowego i o zapewnienie mu wiecznej trwałości taką administracją, żeby zarazem i zaspakajał wszystkie potrzeby związkowi i sam sprytnie wzrastał. Do tego, podług mnie, można przyjąć oprócz stałego podatku związkowych, oprócz nadzwyczajnych z ich strony dobrowolnych ofiar, oprócz dorywczej międy niezwiązkowymi składki — przez rodzaj stowarzy-

szczenia akcyonaryuszów, zawiązanego w celu drukowania zagranicą, sprowadzania i upowszechniania pism, pożytecznych sprawie narodowej. Nad urządzeniem jego nie moja rzecz zastanawiać się. Wysłańcy, w kraju przebywający, są najzdolniejsi myśl tę urzeczywistnić. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na to, że tym sposobem osiąga się dwa cele najważniejsze: i zbiera się pieniądze, i upowszechnia się pisma. Materyalna strona sprawy wspiera moralną, a moralna materyalną — obie korzystają z siebie nawzajem. A wówczas i wasze przedsiębiorstwa literackie mogłyby pójść na obszerniejszą skalę i lepiej odpowiadać swojemu celowi.

Podniósłszy tymi sposobami nowy związek nad wymienioną podwójną przeszkodę, potrzeba wszelkimi siłami podpieierać ideę, która go poczęła i zamierza na swoją korzyść użyć, tj. potrzeba przekonywać naród: że Polska może być swój uzyskać tylko pod warunkiem zapewnienia każdemu Polakowi równego używania praw społecznych i politycznych, że samo Towarzystwo Demokratyczne najjaśniej wyobraża tę ideę, i że zatem naród powinien łącznie z niem działać. Tego może jedynie dokonać propaganda piśmienna; T-wo ma już niektóre pisma w duchu takiej propagandy, o inne powinno się jak najszybciej starać. Wymienię jedne i drugie w porządku, jaki uważam za stosowny przy puszczeniu ich między naród.

Manifest T-wa — niektóre okólniki, zajmujące się roztrząsaniem zagadnień, obchodzących obecność i przyszłość Polski — historia T-wa Dem. Polsk., o której już napomknąłem w jednym z poprzedzających moich listów. Historia ta powinna także obejmować dokładny rzut oka na dzieje całej emigracji, a mianowicie obraz czynności partyi arystokratycznej w emigracji, — a chociażby i dawniejszych czasów zasięgnąć — przyczem powinna odcharakteryzować tak stronnictwa emigracyjne, jak osoby, których działanie wywarło jakikolwiek wpływ na los emigracji i sprawy polskiej. Wiedzieć to wszystko dla narodu jest rzeczą bardzo potrzebną, a dzienniki emigracyjne nie są w tym względzie dla wielu przyczyn do użytku narodowego. Historia podobna tem lepszy sprawi skutek, im ściślej trzymać się będzie stanowiska histo-

rycznego i demokratycznego. Księga ludu przez Lamenege, katechizm polityczny ze stanowiska miary demokratycznej, słownik polityczny ludu polskiego, gdzieby w prawdziwym znaczeniu wyłożone było, co to jest król, pan, arystokrata, wszechwładztwo ludu i tym podobne wyrazy, a których rozumienie konieczne jest w pojmowaniu pism i nauk demokratycznych. Dwa powyższe dzieła powinny być napisane językiem, zrozumiałym dla najmniej ukształconych umysłów, niekoniecznie dlatego, aby je bezpośrednio lud wiejski czytał (nasz lud wiejski dziś nie czyta i niezawodnie przed wyjarzmieniem Polski czytać się nie nauczy) ale dlatego, aby apostołowie tego ludu uczyli się przemawiać do niego — rozwinięcie manifestu czyli rozbiór jasny szczegółowy jego zasad i widoków, wykazujący je w najstateczniejszych następstwach. Zapobieży się przez to jego wykrzywianiu przez tych, którzy z chęci lub nieudolności umysłowej opaczne wyciągają wnioski, a przyjdzie się w pomoc tym, którzy sami przez się niezdolni są pojąć go i w jego duchu rozmawiać, a z tej przyczyny albo są obojętni na manifest, jako zbyt ogólny, albo przed sobą i przed drugimi nie wiedzą, co o nim trzymać. Przyszłość Polski z wszechwładztwem ludu, a szczególnie z usamowalniającymi i uwłaszczającymi chłopami. W tem dziele powinno się dowieść, że taka Polska nie będzie to poczwara, która pożera całą przeszłość, aby karmiać ją żywioł w brudach wyrzucić, a najbardziej na tem się oprzeć, że za dobrym bytem chłopu nie idzie konieczna nędza dzisiejszych ziemskich właścicieli, że szczęście chłopów nie zagraża bynajmniej szczęściu szlachty, że szlachta za utratę kawałka ziemi znajdzie przewyższające wynagrodzenie w powiększonej masie krajowych bogactw i t. d. Ale potrzeba dowodzić liczbami, że tak powiem, a podobnie napisane dzieło może przychylić nauce demokratycznej więcej umysłów, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało.

Wszystko, co dotąd wyszło w przedmiocie nauki demokratycznej, nie zaspakaja jeszcze umysłu masy narodowej. Jak każda nauka, tak równie i nauka mająca za przedmiot naukę społeczeńską, aby się stała popularną, musi mieć elementarno swoje dzieła, t. j. dzieła, ułożone języ-

kiem i według metody, zastosowanej do najograniczonejszego pojęcia. W takim duchu radziłbym wypracować dzieło, zawierające doktrynę demokratyczną w całej jej obszerności. Chciałbym, ażeby wspomniane dzieło było rodzajem ewangelii demokratycznej. Zresztą jeszcze jedno dzieło uważałbym za nieodbitie konieczne, to jest, rozwinięcie tej doktryny w jej zastosowaniu do Polski, do jej obecnego stanu; jak dalece da się ona wprowadzić w życie narodu, jakie zapewnia korzyści w chwili powstania, наконец, w przyszłości ile szczęścia sprowadzi na naród.

Przedstawiam tę rzecz nie z wymaganiem, ma się rozumieć, aby wykonana była tym, a nie innym sposobem; bynajmniej. Miałem głównie na celu podać wam, obywatele, myśl ułożenia systematu dzieł takiego, żeby objął i rozwinał całą naukę demokratyczną i zarazem żeby przekonał naród polski o możliwości i potrzebie zastosowania jej do narodu i uznania za ideę narodową, jako o warunkach koniecznych odrodzenia się i trwałego na przyszłość bytu Polski. Bez pochodni takiego układu naród będzie chwiał się w swoim chodzie, jak dotąd. Nie zastąpią go ani żadne zagraniczne dzieła, ani nawet polskie, które dotąd wyszły.

Miedzy celnymi warunkami powodzenia się demokratycznych interesów w kraju jest dobór wysłańców i ich prowadzenie się tak polityczne, jak prywatne. Instrukcyje wysłańców powinny być z tego względu bardzo przeczonne i dotykać nawet drobnostek. Oddalonym od kraju i z tej przyczyny nie mogącym mieć odpowiedniej jego znajomości jej należyte ułożenie jest prawie niepodobne, chciałbym więc, obywatele, przysłużyć się wam kilkoma myślami o kraju i instrukcyach; o porządek nie troszczyłem się. Ważną sądzę być rzeczą, aby wysłaniec wiedział, jacy ludzie go czekają, jaka przygotowana jest dla niego ofiara — dlatego przedewszystkiem dam wam krótkie wyobrażenie, jak kraj uważa emigracyę, jakie spotka zarzuty przeciw T-wu D-mu w szczególności, co znajdzie między krajową demokracją.

Jedni utrzymują, że emigracya już się zużyła, że powołaniem jej było zaprotestować w obliczu Europy ostatni

gwałt Moskali i rzucić na ziemię rodzinną zachodnie wyobrażenia, że, tego dopełniwszy, przestała żyć politycznie w swej masie — inni zarzucają jej, że nie zna obecnego położenia Polski, nie pojmuje jej potrzeb, dewodni wszystkimi czynami niudolności wynalezienia i użycia środków zbawienia, że zesła z drogi narodowej, a więc jedynie prostej, że się zfrancuziła i chce Polskę francuzić, że na Polsce zamierza odbywać próby, które Francuzom na Francyi się nie udają, że przez to wszystko jej wpływ zaburza i przyprowadza sprawę do bezwładności; inni znowu wiele wprawdzie rachują na emigracyę w czasie powstania, a nawet cokolwiek w chwilach przygotowawczych, ale ją uważają za pomocniczkę tylko kraju, za pośredniczkę między zachodem a Polską. Inni nakoniec powstają na emigrantów za ich zarozumiałość, za uważanie siebie za wszystko dla sprawy polskiej, a kraj jakoby za rzecz podrzędną, za chęć przewodzenia w czynnościach politycznych, obok najniefortunniejszego postępowania i niezdolności do tajemnicy, lekceważenia i narażania krajowców prawie rozmyślnego, systematycznego — za tyranię w narzucaniu swoich opinii itp. To mniemanie dało się nieprzyjemnie uczuć nawet emigrantom, w kraju przebywającym i, trzeba przyznać, usprawiedliwiały je na ten raz szaleństwa, wyprawiane w ostatnich czasach przez konspiracyjne emigranctwo. Przyszło do tego, że współwzrostowi krajowcy nie tylko z rządu szlachty, ale młodzież np. taka, jak lwowska, powszechnie prawie oświadczyli, że odtąd nie chcą należeć do żadnego związku, gdzieby się znajdowali emigranci. Krótko mówiąc, zaczęto uważać emigracyę za coś obcego krajowi, za coś szkodliwego, a przynajmniej niepożytecznego jego sprawie, co jest tem dotkliwsze, że to widzenie rzeczy wciska się nawet w umysły młodzieży.

Te wszystkie zarzuty, a mianowicie, wynarodowienie się, duch kosmopolityzmu, a raczej ślepe naśladowanie cudzoziemców ze szkodą sprawy narodowej, przenoszenie do kraju teorii, które w żadnym narodzie dotąd zastosować się nie dały, dla których jeszcze dzisiaj żaden naród nie dojrzał, które zresztą mogą być bardziej na swoim miejscu w krajach niepodległych zewnątrznie, ale

Polskę gubią — poświęcenie polskiej sprawy utopiom, opuszczanie najbliższego celu, jak n. p. niepodległości, dla celów, leżących za nim, Bóg wie, jak daleko — zupełna nieznajomość obecnego położenia i obecnych potrzeb, największa niefortuna w wyborze środków, stosowane są szczególnie, powiedziawszy prawdę, do emigracyi demokratycznej. Natomiast podnoszą się głosy pomiędzy przychylnymi nawet sprawie demokratycznej, że ze wszystkich działań emigracyjnych jedynie w działaniach Czarotorskiego i jego stronnictwa widać plan, rozwagę, sumienną o byt Polski troskliwość, że pobudkami do krzyków na niego są po większej części: nienawiść koteryjna, osobistość itd.

Temu wszystkiemu przydaje wagi zamęt umysłowy, wicherzący krajową demokrację. — Tam się roją, jakby się roilo robactwo na trupie już nieżywej Ojczyzny: Sensimoniści, Furyerzyści, Jakobini, terroryści z upodobania, czciciele gromady Grudziądz, apostołowie emancypacji politycznej kobiet, spółności kobiet, wspólnej własności, zgola, wszystko, o czem naród marzy lub marzył, wszystko, co wysmiano, potępiono, wygnano stamtąd nawet, gdzie się to poczęło. Bądź co bądź, mogą na zakończenie powiedzieć, że emigracya straciła w oczach krajowców cały prawie dawny swój urok, że każdy emigrant nowoprzybywający uważany jest jako emisaryusz, a każdy emisaryusz jako nowy żywioł zawięchrzenia, nowy poprzednik jakiejś kłeski prywatnej lub publicznej.

Wysłaniec powinien na to wszystko być przygotowany, ze wszystkiego wyjść z korzyścią dla swojej sprawy. Jakże ma sobie radzić? Byli i są demokraci, którzy się chwycili systematu przestraszania opinii, nakazania jej milczenia łajaniem i odkazywaniem zemsty na chwilę powstania, dojścia do swojego celu przebojem: ja sędzę, że ta droga nie doprowadzi do dobrego, widziałem przynajmniej, że dotąd kończyła się albo na wyjeździe z kraju, albo na celach karmelitańskich, albo na zupełnej bezczynności w kryjówce u jakiegoś szlachcica, do tego nie-demokraty — i jestem za postępowaniem przeciwnem; tego chce bliżej dotknąć w następnych myślach.

1^o Wysłaniec powinien znać z gruntu dzieje emigracyi i doktrynę swojej miary politycznej, a do równej znajomości kraju powinien jak najrychlej przychodzić.

2^o Przybywszy do kraju, nie ma zwierzać się z swoim wysłannictwem, chyba kilku osobom, i to przez konieczność spółdziałania. Szafowanie tą tajemnicą nie przynosi żadnej korzyści, a naraża na wielkie nieprzyjemności i niebezpieczeństwa tak ze strony policyi rządowych, jak i rodaków. Jak rządy, tak i strona Czarторыskiego ma swoich donosicieli; jak jedna, tak druga nie życzą sobie w kraju emigracyi demokratycznej. Lepiej jest udawać, że cały czas przepędziło się w Galicyi albo na Węgrzech. Gdyby przyjazd wysłańca z Francyi na jaw wyszedł, wypadłoby mu za powód interes prywatny, jakoto porozumienie się z rodziną lub tym podobnie.

3^o Niech nie spodziewa się znaleźć gdzieindziej pomocy i wsparcia, jak pomiędzy szlachtą właścicielami. Oni jedni posiadają jeszcze sposoby zabezpieczenia przed policyą, zasłonięcia przed szpiegami, możność ułatwienia przejazdów i zabezpieczenia tym podobnych potrzeb. Nie zastąpią ich w niczem ani miasta, ani, tem mniej, chłopci, ani nawet szlachta uboższa. Dlatego wysłaniec powinien się naprzód starać o przychylenie sobie kilku takich domów, któreby mógł uważać za stałą niby siedzibę i ucieczkę w razie potrzeby. Znalezenie ich nie będzie łatwe, bo domy przychylniejsze są wszystkie pod takim okiem policyi, że za podobny stały przytułek służyć nie mogą; trzeba więc szperać pomiędzy takimi, o których nikt nie gada, które zdają się być obce wszystkiemu, a tam najprędzej znajdzie i to, czego mu potrzeba, i to, czego się nie spodziewał. Znalezenie będzie niepodobne prawie, jeżeli będzie się po nich wymagało czystego pojęcia demokracji; potrzeba przestać na prywatnej pocziwości, na gościnności staropolskiej i na patryjotyzmie.

4^o Powinien mocno uzbroić się w cierpliwość i wstępować w swój zawód z przekonaniem, że tylko dobroć serca a rozumowanie spokojne i łagodne mogą mu zjednać zwolenników. Przedewszystkiem powinien ujmować sobie ludzi w prywatnem pożyciu, prywatnemi zalecaniami, przedewszystkiem powinien starać się, aby go za-

często szanować, jako człowieka, nie jako demokratę, aby nabrano przekonania, że jego miara polityczna ma raczej źródło w sercu, niż w wyrozumowaniu; po tak oczyszczonym przystępie do serca ludzi będzie łatwiejsza droga do ich głowy. I przeciwnie, powinien wszystkiego unikać, coby robiło jego pożycie ciężkie i niezdolne. Wszelkie uniesienia namiętne w sporach, zarozumiałość, groźby mordowania i wieszania, wszystko to, co cechuje jedynie fatatycznego sekiarza, odstręczy od niego, narobi mu nieprzyjaciół i utrudni niezmiernie powodzenie jego roboty. Każdy czyn wysłańca, każde słowo powinno przekonywać, że źródłem jego sposobu myślenia, że bodźcem jego czynności nie jest nienawiść ku pewnej części narodu, ale najczystsza miłość ogółu. Ażeby tem stalej postępował tą drogą, powinien wychodzić z tej prawdy, że jedynym dzisiaj zadaniem prawdziwych przyjaciół ludu polskiego jest nie burzyć społeczności polską obecną, bo do tego lepiej, niż my, są usposobieni Moskale i Niemcy, im więc to zostawmy ale, przeciwnie, tak ją postawić, aby zburzoną być nie mogła, przez naprawienie tego, co może być naprawione, przez ostrożne usuwanie części zupełnie zbutwiałych, przez wstawianie tak roztropne i takich materyałów, ażeby doskonale przystały do budowy, którą nam przeszłość zostawiła; mówiąc wyraźniej, utworzyć w czasach przedpowstania jak największą potęgę ducha narodowego przeciwko nieprzyjacielowi zewnętrznemu, a zatem, jeżeli nie zupełnie zjednoczyć, to przynajmniej sprzymierzyć różnorodne żywioły. Sposobem do tego celu — nie rozżarzać więc namiętności nienawistnych w piersiach narodu, ale je uciszać. Nie weiskam tu porady, ażeby dla świętego pokoju robić koncesye ze swoich opinii demokratycznych lub potakiwać przeciwnym, ale żeby wyklądać je sposobem nie oburzającym, co jest rzeczą ważną, jak to wiem z doświadczenia, co jest nawet rzeczą konieczną dla dobrze pojętego interesu samej demokracji, bo jak z jednej strony narzucanie nauki, pomieszanie jej z lajaniem i groźbami zaciera świętość jej charakteru, robi z niej przedmiot nienawiści lub przestachu, tak z drugiej nie jej tak nie zaleca, nie tak nie usposabia słuchaczy do jej dobrego

przyjmowania a nawet pojęcia, jak język miłości i pokoju. Zastosowując swoje postępowanie do szczególnych położań, które wyżej wymienilem, potępi z góry marzenia zapaleńców i odsądzi je od jakiegobądź powinowactwa z polską demokracją, prostuje wyobrażenia o robotach Czarotoryskiego i jego partyi niezaprzeczonymi faktami historycznymi bez uniesień, bez deklamacyi — na uprzedzenie przeciw demokracji odpowie rozumowanymi wykładem jej nagiej istoty, w dążeniu T-wa Dem. dowiedzie dążenia, kierowanego miłością narodowości, interesem narodu, zawsze w sposobie zimnego przekonywania, zawsze z pewną wyrozumiałością na błędne mniemania przeciwników, w duchu pojednania, językiem prawdy, czującej swą godność, pewnej siebie. Zastosuje także prywatne swe życie do świętości swego charakteru, rozwinię w powszednim życiu tę moralność, którą głosi z wyższego stanowiska, a następnie unika wszystkiego, coby dawało powód do zarzutu przeciw jego obyczajom. Pijatyka, gra w karty, rozpusta z kobietami, miłostki itp. są to słabe strony, które krajowcom bardzo się nie podobają w emigrantach, czyli, jak się wyrażają, w apostołach wolności, a za które nieprzyjaźni bardzo radzi i bardzo skwapliwie chwytają.

5° W zaspakajaniu powszednich swoich potrzeb powinienby być zupełnie niezawisły od krajowców, a szczególniej tyczy się to brania pieniędzy na własny użytek. Podobne żądanie poniżej w oczach krajowca ważność wysłańca i naprowadza go na wniosek, a przynajmniej daje powód nieprzyjaciółom do gadania, że to niby poświęcenie się sprawie krajowej jest tylko płaszczykiem dla próżnowania po emigrancku i wygodnego życia kosztem dobrodusznych krajowców.

6° Jeżeli któremu z członków T-wa, to wysłańcowi, odebrana jest wolność propagowania zdań indywidualnych, niezgodnych z nauką i ideami, przez T-wo przyjętemi, z systematem, kierującym działaniami związku. Widoczna rzecz, że tym sposobem krzyżowałby dzieło T-wa, zdradzałby jego zaufanie.

7° Jednym z głównych obowiązków wysłańca powinno być i to, ażeby, jak najstaranniej poznając kraj szczegól-

niej pod względem usposobienia, przysyłał Centralizacyi w peryodycznych sprawozdaniach swoje spostrzeżenia nad niemi i uwagi, co się da robić i jakim sposobem. Takie sprawozdanie miałyby tę korzyść, że Centralizacya mogłaby według nich nie tylko modyfikować swoje plany względem robót w kraju, ale nadto tak kierować duch T-wa, aby przez ściślejsze połączenie się z duchem krajowym znalazł się nakoniec w jedno i tym sposobem wcielił T-wo w naród, zamienił je w żywotną część narodu.

Nakoniec, co się tyczy liczby wysłańców do kraju, — sądzę, że ją można oznaczyć jak następuje: trzech w Poznzańskie, trzech do Galicyi, trzech do Królestwa Kongresowego, trzech do Litwy, trzech do ziem ruskich. Większą liczbę uważałbym za zbyt dużą, a, mając wzgląd na coraz większą trudność tajemniczego przebywania, za szkodliwą. Liczba ta powinna być nieśmiertelna, t. j. w razie ubycia jakimkolwiek sposobem jednego z trzech wysłańców powinien go w jak najprędszym czasie świeży zastąpić. Za zbyt dużą rzecz uważam zatrzymywanie waszą uwagę nad tem, jak ciągle porozumiewanie się powinno być pomiędzy wysłańcami, przynajmniej pracującymi w jednej i tejże samej prowincyi.

Powołanie wysłańców uważam za rzecz tak ważną, że Centralizacya powinna, podług mnie, utworzyć w T-wie Dem. rodzaj tajemnej instytucyi, gdzieby przeznaczeni na te stanowiska zawczasu stosownie się przygotowali i kształcili.

W chwili zamykania tego pisma przybywa mi jeszcze kilka myśli, które w moich oczach nie są bez ważności, dlatego i te jeszcze podaję pod waszą, obywatelu, uwagę w tym nieporządku, w jakim przychodzą.

Co się tyczy działań związkowych w kraju. 1°. Ażeby ta robota powiedła się, trzeba przedewszystkiem dać poznać krajowi naturę T-wa Dem., a głównie naturę Centr. w celu przekonania go, że tajemnice związku, nie będąc własnością całego T-wa, są dostatecznie zabezpieczone. 2°. Szkolna młodzież powinna być wyłączona od bezpośredniego należenia do głównego związku. Dostateczne są dla niej stowarzyszenia, mające na celu ich naukę i moralność, czyli stowarzyszenia przygotowawcze. Dopiero

w chwilach bliskich powstania można ją wprowadzić na drogę wprost polityczną. 3^a. Związek powinien się składać, przynajmniej do pewnego czasu, z jak najmniejszej liczby osób, jak najściślej dobieganych, a rozwinać się w całej sile krótko przed powstaniem. Długie trwanie licznego związku wyda go niezawodnie. 4^a. Związek powinien wcześniej postanowić, jak sobie postąpi w dwóch szczególnie wypadkach: raz, gdyby wojna zewnętrzna wzywała Polaków do powstania przed jej dojrzaniem — potem, gdyby wewnątrz kraju wydane było hasło do powstania od niedemokratów. Te wypadki często przychodziły mi na myśl; zastanawiałem się nad nimi i nie mogłem wynaleźć nic właściwszego nad to, co wam udzielię. Ażeby zabezpieczyć związkowi czynny udział, a może i przewagę w drugim wypadku, powinien on wywrzeć przedewszystkiem główne usiłowania na zdemokratyzowanie niektórych punktów w kraju. Takimi punktami mogą być znaczniejsze miasta, mogą być niektóre okolice, osiadłe ludem wiejskim, więcej obiecującym w chwilach przygotowania i wybuchu, nareszcie miejsca ważniejsze ze względów strategicznych.

Jedynie zdrowa i trzeźwa polityka tak Towarzystwa, jak związku, może w pewnym przypadku zapewnić demokracji polskiej chlubną rolę i wpływ stanowczy na losy Polski. Myślę, że będzie taką, jeżeli się oprze na następujących zasadach. W uskutecznianiu tak dzieł innych, jak równie i politycznych powinny wchodzić w rachubę czas i ludzie i natura dzieła. Natura dzieła wskazuje nam porządek czynności w czasie — żadnych zatem przeskoków w działaniu. Co do czasu: wychodzimy z chwili obecnej i przechodzimy szereg chwil, odpowiadających szeregowi szczegółów, składających dzieło — żadnych za tem przeskoków czasu. Co do ludzi: ludzie odpowiadają obecności — bierzemy więc takich, jacy są, aby przez nich kształcić takich, jakich sam postęp dzieła wymagać będzie; żadnych zatem marzeń o anielskich lub natchnionych między ludźmi istotach.

Czem są w innych robotach narzędzia względem materiałów, tem są w robotach politycznych ludzie bardziej sposobni względem mniej sposobnych. Przez pierwszych

można tylko utworzyć drugich. Zastosowując to do roboty w Polsce, zaczynajmy od demokratyzowania tej klasy, którą najłatwiej zdemokratyzować, bez której niema dziś nadziei zdemokratyzowania reszty narodu, t. j. zaczynajmy od klasy ukształconej umysłowo. Żadna idea nie spada z nieba. Jest odwiecznie na ziemi. Ma więc przeszłość, a tem samem żyła. Rozwinać ją może jedynie, który ją przyprowadził do stanu objawienia się — a ten wyda się przez zgodność swojej natury z naturą idei. W Polsce stan tylko szlachecki żywił ideę demokratyczną, bo sam tylko żył politycznie — i dziś idea ta może się wzmacniać zasilem żyjącej części narodu.

Osiągamy cel polityczny nie inaczej, jak potęgą połączonych środków moralnych, umysłowych i materialnych. Związek Polski powinien starać się o ujęcie w swój kierunek tych środków, gdziekolwiek się znajdują, i korzystać z nich, mniejsza o to, czy z ich wiedzą, czy mimo niej. Propaganda więc związku powinna być tak zastosowana do jego działań politycznych i konspiracyjnych, aby ich nie demaskowała, nie niszczyła; powinna iść pod zasłoną konspiracji w pozornym charakterze jej środka, nie ostatecznego głównego celu. Tem zdaniem zamykam przedmiot polityki T-wa. Wyczerpać go przechodzi zakres tego pisma i moje siły — wam więc, obywatele, resztę zostawiam.

Pominałbym rzecz jedną z najważniejszych, gdybym nie dotknął przedmiotu religii. Jeżeli nasz lud nie cały jest katolicki, to cały prawie chrześcijański. Ciało, politycznie działające, byłoby bardzo niepolityczne, gdyby okazywało pogardę dla chrześcijaństwa lub jego lekceważenie. Zarzut bezbożności może mieć jeszcze u ludu naszego bardzo wielką wagę, może być groźną przeciwną demokracji bronią w rękach ich przeciwników. Dla stępienia tej broni bez przychylenia się do katolicyzmu widzę jeden środek, tj. puszczać między lud polski, a głównie między duchowieństwo myśl kościoła narodowo-polskiego, któryby przyjął nabożeństwo w języku ojczystym, przyznał wszechwładztwo w rzeczach religijnych ogółowi duchowieństwa, stanowił zwierzchność kościelną przez wybory, zaprowadził zbory duchowne, urządzone demokra-

tycznie dla ostatecznego stanowienia w przedmiotach religii i kościoła polskiego, jednym słowem, utworzył duchowieństwo w zupełnej harmonii z niepodległością zewnętrzną i wszechwładztwem wewnętrznem całego narodu.

Nie mogę tych uwag i porad lepiej zakończyć, jak żądając po was, abyście w propagandzie i robotach w kraju nieostatnie dali miejsce usiłowaniom około rozpowszechniania moralności. Cnota, moralność, to są podstawy demokratycznej budowy; gdzie ich niema, tam wszelkie urządzenia społeczne są w mych oczach węglami, z których ostatni płomyk się wymknął i które przewiew wiatru prędey czy później w popiół obróci.

Otóż jest, obywateli, wszystko, co mogę przesłać na przypuszczone przeze mnie wasze zapytanie. Nie moja wina, jeżeli ich nie odgadnął, nie moja wina, jeżeli odgadnionych nie rozwiązałem dostatecznie. Zrobiłem, co mogłem. Sąd o wartości pracy całkiem na was zdaję. Jedyną moją powinnością było zrobić, jak można najlepiej. Tego dopełniłem; mam na to świadka w mojem sumieniu. Z całą dobrą chęcią służenia sprawie Polski przez sprawę demokratyczną, z całą ku wam przychylnością i szczerością, złożyłem wam owoc częstych rozmyślań i jakiegokolwiek doświadczenia w zawodzie politycznym. Czy się wam przyda naco, czy nie przyda ta moja praca — troszczyć się o to nie moja rzecz; i znowu muszę powtórzyć, że jedyną powinnością moją było dopełnienie jej, jak mogłem najlepiej. Przy tej sposobności miło mi jest przesłać wam, obywateli, szczere braterskie pozdrowienie.

Dnia 27 grudnia 1838.

GŁÓWNY ŻYWIÓŁ DEMOKRACJI POLSKIEJ.¹

I.

Ogólny widok naszej demokracji przedstawia dwa obozy: jeden z nich składa się z emigracji, drugi obejmuje Polskę.

Czynności jednego i drugiego, jakkolwiek są równie ważne dla sprawy i podobne do siebie pod pewnymi względami, wszakże pod innemi całkiem się różnią. Demokracja emigracyjna, przez swoje położenie zaoczyście pozbawiona wszelkich niemal środków materyalnych i bezpośrednich z ludem stosunków, a natomiast używająca swobody pisarskiej, jakiej żaden naród nie ma, musi przestać na powołaniu rozwijania myśli demokratycznej środkami jedynie pisemnymi; powołanie to jest wprawdzie ważne, jednak podrzędne wogóle robocie demokratycznej narodowej, równie jak jej czynności organiczne, ześrodkowania serc i umysłów emigracyjnych w myśli ludowej, związania ich w najściślejszą jedność, ujęcia w kierunek jednej woli i prowadzenia do celu spólnego z krajem, w zgodności z tokiem robót krajowych. Demokracja, tak działająca, objawia się jedynie, przynajmniej do czasu, który jej otworzy inny zawód, jako stowarzyszenie literacko-polityczne.

Powołanie demokracji krajowej jest bez porównania ważniejsze. Powinna ona być demokracją w całym znaczeniu tego słowa. Jeżeli emigracja może się uważać za korpus odwodowy w olbrzymiej obecnej walce myśli polskiej z pogańskim barbarzyństwem, to demokracja krajowa, zajmująca najważniejsze stanowisko wobec nieprzyjaciela, pod najwścieklejszym jego ogniem, jest bezsprzecznie głównym, naczelnym zastępem potęgi narodo-

¹) Z „Demokraty Polskiego“, Paryż 1842, IV, str. 187 i 198.

wej; powinna być takim ze swego przeznaczenia, może takim być przez konieczne swoje położenie, bo ma pod ręką swój żywioł — nie dosyć powiedzieć: główny, ale jedyny, żywioł ludu. Przyswojenie tego żywiołu jest niezbędnym warunkiem życia demokracji: stąd zdaje się nam, że to nie od rzeczy będzie rozjaśnić ten przedmiot kilka myślami.

Nim przystąpimy do rzeczy, chcemy przedewszystkiem uspokoić obawę tych, którym przedmiot stosunków demokracji z ludem zdaje się być nazbyt drażliwy, aby go tak na jaśnie podnosić.

Jakbyśmy ich słyszeli mówiących: „To publiczne wyznanie kompromituje demokrację, kompromituje lud, ostrzega nieprzyjazne nam rządy“. Potrzeba widzieć w tych rękach niezmiernie mniej rozumu i zdrowego sądu o rzeczach, niż go codziennie okazują, ażeby utrzymywać z sumiennym przekonaniem, że czekały naszego artykułu do wyjścia z myślnego wyobrażenia o demokracji, że dopiero artykuł nasz odkrył im ludowe jej dążenia. Wszystkie dotychczasowe roboty tajemnych związków nie powiedziały — im już tego? Samo nazwanie demokracji nie jest — że najwyraźnijszym ostrzeżeniem? Albo, jeszcze raz, potrzeba mocno wierzyć w ich głupotę, aby im podsuwać przekonanie o takim braku rozsądku w demokracji, że sama nie wie, dlaczego tak się nazwała, czego się podjęła, co robić powinna, że powstała z jakiegoś widzenia, stoi na powietrzu, zakłada propagandę w dziennikarskich sporach o abstrakcyę, nie ma przed sobą przyszłości, że wie o tem i ma się za demokrację. Nie, o taką ciemnotę umysłową ani rządy mogą posadzić demokrację, choćby z doświadczenia, ani demokracja rządów, także z doświadczenia. Nasza rzecz zatem nie narazi w niczem sprawy ludowej. Mimo to będziemy ją przeprowadzać z całą zręcznością dyplomatyczną, choćby dla zabezpieczenia się przeciw zarzutom złej wiary.

Wracamy do rzeczy. W dotychczasowem działaniu demokracji uderzają w oczy głównie dwie jej czynności, to jest: burzenie porządku szlacheckiego — i nawracanie klasy oświecenijszej, co także poniekąd do dzieła wymienionego burzenia policzyć można. Czynności te wypły-

nęły koniecznie z okoliczności, w jakich się znajduje demokracja polska, a przynajmniej część jej, grająca naczelną rolę, to jest emigracja demokratyczna; przytem konieczne one były, jako wstęp do dalszej roboty, niedostateczne jednak, gdybyśmy na nich tylko przestać chcieli.

Klasa oświecona, w największej części złożona ze szlachty, może się cała za szlachtę uważać. Szlachta, wzięta najogólniej, jako instytucja, jest przyrodzoną nieprzyjaciółką demokracji takiej, jaką dziś pojmujemy. Jej nawrócenie, jakkolwiek było rzeczą konieczną, jest jednak możną do pewnego tylko kresu; doszedłszy tego kresu, zostaje pracą podrzędną. Główną pracą jest spojenie się w myśli demokratycznej z ludem, a ludem nazywamy, idąc jedynie za chwilowym zwyczajem, część, narodu najliczniejszą, część uboższą, na koniec część uciskaną dotychczas. Lud, i lud taki, o jakim mówimy, jest poza obrębem dotychczasowego porządku rzeczy, wchodzi do składu przyszłości demokratycznej jako jej część najważniejsza, stanowi podstawę jej budowy, jest więc przyrodzonym sprzymierzeńcem, a właściwiej, jakeśmy już powiedzieli, żywotnym pierwiastkiem demokracji. Oto celny powód porozumienia się z ludem.

Że jest najliczniejszą częścią narodu, że wchodzi do składu jego potęgi materialnej w stosunku najważniejszym, że jest źródłem zasobów narodowych, te wszystkie względy i tym podobne są tak uderzające swoją widocznością, że przestaniemy na samem ich napomknieniu, a przejdziemy do rzadziej zauważanych, do mniej uznanych, a jednak niemniej ważnych, jak pierwsze. Najpierwszy podobno między nimi jest ten, że demokracja bez ludu jest niczem innem więcej, tylko szkołą rozprawiającą, utworem napowietrznym, zjawiskiem chwilowem, nie mającem nic na swoje wzmocnienie, bo jej zastęp ludem tylko dopełniać się może — niedołącznem wobec swoich przeciwników, którzy z przyrody swojego położenia społeczeńskiego władają wszystkimi siłami i zasobami narodu, a których przewagą potęgą ludu jedynie może zrównoważyć i zniszczyć. Z powyższej uwagi wypływa konieczność następująca: lud, zaniedbany od demokracji, zostaje pod wpływem jej przeciwnym, jest narzę-

dziem biernem ich siły i w każdej chwili na stanowczą szkodę demokracji użytym być może. Ta znowu, nad którą obszerniej się rozwiędziemy, jest jeszcze godniejsza uwagi: łączy się z nią zagadnienie zbrojnego działania.

Demokracja, zaniedbująca lud, może być nie pojęta przezeń w nagłej potrzebie. Roztrząśniliśmy to założenie przez odpowiedź na zapytanie następujące: Czy można odłożyć demokratyzowanie ludu na czas powstania? Na pierwszy rzut myśli zdawałoby się, że nie potrzeba, jak kilku wierszy rewolucyjnego prawa, kilku słów rewolucyjnej władzy, przypuściwszy, że ta władza będzie w ręku demokratów, aby cały naród postawić na stopie urządzenia ludowładnego — ale czy można spuścić się na to z zupełnem bezpieczeństwem? Nie wątpimy ani na chwilę, że, jak patryotyzm, tak demokracja, żyją wiecznie w sercach naszego ludu i gotowe są objawić się w każdej potrzebie, ale wiemy także z doświadczenia, że ogrom jego ma niepojęte chwile czy ciemnego pojmowania, czy obojętności. Czy taki stan jest winą samego ludu, czy tych, którzy chcą lud z niego wyprowadzić, na ten raz nie będziemy rozbiierać — dosyć, że miewał miejsce, a zatem powinien wchodzić koniecznie w rachubę przyszłego powstania, bo znowu być może. Czy przemawiający do ludu znajdują w nim od razu tyle miłości, tyle zaufania ku sobie, aby pięknymi słowami niespodzianie rzuconymi zyskali od razu jego wiarę? Czy te słowa będą dosyć jasne, dosyć silne w oczach ludu, aby go podciągnęły w danej chwili pod posłuszeństwo władzy rewolucyjnej? Czy nie rozsądniej przygotować lud do nich wprzód, dać się mu wprzód poznać, wprzód z nim się umówić? Są to zagadnienia ważne dla ludzi rewolucyi, a których rozwiązania nie utrafił zawsze w myśl naszą; tego jesteśmy pewni.

Przechodzimy nakoniec do myśli najważniejszej może. Demokracja dzisiejsza, jakeśmy to wyżej powiedzieli, z wielu koniecznych powodów zwracała dotąd głównie swoje prace ku nawracaniu oświecenijszej części narodu. Na jej głównie się opierała, przez nią głównie się utrzymywała, natura przeto jej roboty zmuszała ją iść do celu drogami więcej naukowemi, jak prostemi, czerpać zapasy walki w zbrojowni bardziej europejskiej, jak narodowej,

trzymać się w sferze bardziej ogólnonaukowej, jak polsko-gminnej. Tymczasem różnica między temi dwiema sferami jest niezmierna, jak różnica między ludem, niby nieoświeconym, mającym jednak wysoki rozum, właściwy sobie tylko, i wystarczający mu zupełnie — a klasą oświeconą, dlatego może tak zwaną, że ma dosyć przewrotnej wprawy do odziewania fałszów pozorem prawdy. Najzdolniejszy tutaj może się znaleźć całkiem bez zdolności do działania między gminem, może pokonać najbieglejszych rozprawiaczy z cudzoziemską, a nie będzie wiedział, o czym i jak gadać do ludu polskiego; nauka jego, wykończona według wszelkich wymagań szkoły, może nie trafić do prostego przekonania — nie będzie miał umiejętności ludu. Ta jednak umiejętność jest konieczna, a nabyć jej można tylko między ludem.

Ażebyśmy tem pewniej cel ten osiągnęli, nie miejmy się za jego nauczycieli, nie występujmy przed nim w roli mistrzów. Strzeżmy się tego! Byłaby to z naszej strony prosta zarozumiałość; ona-by skrzywiła nasze powołanie, zaszkodziłaby mu niezmiernie. Nasze stosunki tego rodzaju z ludem nie są stosunkami nauczyciela z uczniem, ale zobopólną zamianą wiadomości. Bez wątpienia wiele mu nowego objawimy, ale więcej nauczymy się od niego. I w rzeczy samej, jeżeli ktokolwiek ma prawo do wielkiego nauczycielstwa, to lud. W jego rozmowie źródło rozumu narodowego; głębia jego umysłu jest głębią wszelkiej wiedzy narodowej. O tyle jesteśmy mądrzy, o ile pojmujemy naród. Nam nie jego uczyć, ale uczyć się od niego. My wydobywamy tylko pierwiastki rodzime ludowej mądrości i przetwarzamy je stosownie do potrzeb ogółu na bezpośredni jego użytek. Możliwe to porównać z robotą górników około kruszców, a jeszcze trafniej z działaniem naczyn krwistych w ciele organicznem: naczynia owe nie dają same z siebie soków żywotnych, ale je wyrabiają z żywiołów, przez ogół ciała nabywanych; nie tworzą same z siebie życia, ale je zasilają. My jesteśmy tylko organami, wykludaczami wiedzy, złożonej w jądrze narodowego życia w chwili jego poczęcia się, a rozwijającej się z wiekami wzrostu, stosownie do potrzeb czasu.

Pierwszy przeto warunek naszego powołania: czerpać w wiedzy ludu, — drugi zaś: przetwarzać tę naukę w posiłek, odpowiedni jego istocie. Jednego i drugiego nie dopełnimy bez głębokiej znajomości ludu, a znajomości tej nie nabędziemy bez przeniknięcia do jego głębi. Tam dopiero, przez pozycie z nim, poznamy jego sposób zapatrywania się na rzeczy, jego złe i dobre skłonności, jego potrzeby, dojdziemy sprężyn jego serca, nauczymy się języka, który w każdej chwili otworzy nam jego pojęcie, zjedna miłość i zgodzi wolę jego z wolą naszą. Wtedy dopiero usiłowania nasze nie będą bezskuteczne, nadzieje pewne, przyszłość żyjąca, bo posiadziemy dwie wielkie korzyści: demokracja ustali się w ścisłym porozumieniu z ludem, oczyszczona zaś w ognisku wiedzy ludowej ze wszelkiej mieszaniny obcej, przybierze charakter czysto narodowy, objawi się jako pomazaniec ludu. Jest to myśl, według nas, wielkiego znaczenia.

Chcielibyśmy usunąć wielki cień z jej oczywistości, rozjaśnijmy ją więc jeszcze jednym, wielkim czynem historycznym. Co polskiej szlachcie dawało taką w przeszłości potęgę? Co ją złożyło w ognisko wielkości narodowej, tyle wieków takim blaskiem gorejące? Czy jej liczba, czy środki materyalne? Ależ dzisiaj ta szlachta jest i liczniejsza i trzyma w swoich rękach masę bogactw narodowych, większą może, jak dawniej! Czy siła młodzieńczej instytucji? Ależ wtedy cały naród miał młodość i znalazłby zapewne dosyć siły do oparcia się pierwiastkowym zamachom szlachty. Czy ciemnota ludu? Ależ nasamprzód trudno dowieść, że lud był ciemniejszy dawniej, jak dzisiaj — i owszem, prędzejby można przypuścić zdanie przeciwne; potem moc uczucia wolności niekoniecznie idzie na równi z rozwijaniem się rozumu: uczucie to, jak w człowieku, tak w narodzie jest wciąż mocne, niezawisłe od stopnia oświecenia, w dziecku, jak w mężu, w dzikim Czerkiesie, jak w republikanie północnej Ameryki.

Cóż więc podniosło i utrzymywało szlachtę? Lud. Szlachta ówczesna była bliższa ludu, stanowiła z nim całość zgodniejszą, niż to jest dzisiaj. Świeższa pamięć jednego początku, żywsze uczucie związku familijnego z narodem,

prostota obyczajów spólnych, tożsamość cnót domowych, skłonności rodzinnych, wyobrażeń plemiennych, trzymały ją w związkach spółzycia, jedności, miłości rodzinnej z resztą ludu, łagodziły jej uścisk, rozgrzeszały z nadużyć, jednym słowem, trzymały serce ludu otworem dla szlachty. Stąd potęga szlachty, bo się opierała na potęgę ludu — stąd jej wielkość, bo jej dostarczała dusza całego ludu. Słabły one, gasły w miarę, jak cudzoziemczenie się szlachty, tępiąc w niej uczucie braterstwa dla młodszych braci, dawało jej poczuwać nieznosienszy coraz ciężar jarzma ucisku, a lud wzamian skupiał swojego ducha w oddzielną sferę, zamykał braterskie serce, i stopniami wymykał podstawę swojego ogromu. Kiedy nakoniec w jej miejscu nienawisć tylko zostawił, szlachta, opuszczona, runęła, zgasła, rozwiązała się jako ciało żywotne. Żył więc przez spółzycie z ludem — oddaliwszy się od niego, w nie poszła. Ten przykład powinien być tem wymowniejszy, że jest historyczny i narodowy.

Po tem, cośmy dotąd wykładali, wypadałoby z porządku rzeczy przejść do wytknięcia najbliższego kresu propagandy i sposobu jej prowadzenia. Z powodów łatwych do odgadnienia, zresztą zamierzając później obszerniej w tym przedmiocie powiedzieć, o ile powiedzieć wolno, dotknijmy dziś obu powyższych myśli jak najogólniej. Bezpośrednim celem dzisiejszej propagandy nie może być nic innego, jak dać się poznać ludowi, pozyskać jego zaufanie i miłość, nakoniec zapewnić sobie jego spóldziałana na chwilę potrzeby. Co się tyczy sposobu, trybu i ducha propagandy, przypominamy przedewszystkiem, że dzisiaj nie idzie nam głównie o to, aby zburzyć porządek szlachecki, pomścić się nad tą lub ową formą rządu, pomnożyć grono demokratyczne dla chlubienia się jego liczbą, ale być apostołami myśli, która ma wykołysać pierwiastek życia polskiego, w małej dotąd części narodu rozwinięty, a następnie wypiastrować potęgę życia ojczystego, dopomódz jego zupełnemu rozwinięciu się i postawić Polskę na tem stanowisku ludzkości, którego widzenie Chrobry miał przed ośmiu wiekami, a które utraciliśmy później — przeto powinniśmy być budowniczymi, powinniśmy tworzyć, ożywiać, łączyć w całość organiczną, a do

takiej pracy niezbędnym warunkiem jest miłość, miłość rodzimo-polska. Jej światłem opromienieni zstępujemy do ludu, jej ogniem zasiewajmy serca ludu! Ona tylko jest zdolna dokonać naszego ludowego dzieła i dokona go niezawodnie.

I w rzeczy samej, poco ludowi gniewać się, nienawidzieć, mścić się, grozić? Wszystkie te namiętności, wszystkie te środki mogą się przydać, są właściwe sile organicznej, szamocącej się z oporem równie silnym, ale nie przystoją majestatowi ludu. Jest to taki ogrom, z potęgą tak wszechwładną u siebie, że niech tylko uzna się w swojej sile, niech tylko rozwinie wiedzę swojej istoty, swojego przeznaczenia, niech tylko powźmie ku niemu miłość i zacznie działać ze skupioną wolą, a wówczas jednym słowem „stań się“ zrobi, co zechce, zniszczy wszelki opór bez gniewu, jak się zgniata natrętne owady. Ale ten stan będzie stanem doskonałej bratniej miłości, i tylko drogą miłości dojdziemy do niego. Przewodnictwo w tem jest naszą chlubną powinnością.

Trudniej wchodzić w szczegóły środków propagandy. Winny one zastosować się do dzisiejszego położenia Polski i przeszkód, jakie stąd wynikają dla propagandy — ale, jak z jednej strony powinien jej przewodniczyć najogólniejszy rozum, tak z drugiej znowu najwyższa gorliwość pobudzać do niej powinna.

Pamiętajmy, że chwila przyszłego działania będzie wielka, stanowcza, że naród powinien wystąpić z całą siłą fizyczną i moralną, nadludzką prawie. Znaczną część dotychczasowych zasobów jego albo czas zużył, albo my sami potępili, jako nie mające wartości; na ich miejscu zapowiedzieliśmy nową potęgę. Pamiętajmy, że ta chwila coraz bliższa, że na koniec musi uderzyć. Pilnujmy się, aby nie przyszła mimo naszej wiedzy i nie znalazła nas nieprzygotowanych. Dobrowolnie przyjęliśmy na siebie czynność najważniejszą w obecnem położeniu Polski. Pojęliśmy, gdzie jest główny żywioł bytu narodowego, pokazaliśmy w nim zbawienie, opanowaliśmy go samowładnie, wobec całej historii rzuciliśmy klątwę na braci innowierców politycznych, wyparliśmy ich z najgłówniejszych stanowisk, osadziliśmy je swoim zastępem, ostate-

czny los walki, los przyszłości narodowej przywiązaliśmy do siebie, sami nałożyliśmy na siebie najsurowszą odpowiedzialność przed sądem narodu i przyszłości; pozostaje usprawiedliwić tę ufność w sobie, tę śmiałość. Usprawiedliwienie to leży w zwycięstwie.

Dzisiaj dwie tylko drogi przed nami: albo ustąpić z pierwszej linii z mniejszym wstydem i z mniejszą szkodą narodowej sprawy, jeżeli nie mamy dosyć silnego przekonania o swojej mocy — albo wydobyć, co tylko jest w nas i w narodzie męstwa, poświęcenia, rozumu — i zwyciężyć. Nic tu nie dokażemy pół-odwagą, pół-roztropnością, oglądaniem się to w tył, to naprzód, spuszczeniem się na los, na przyszłość.

Powiedzieliśmy: przyszłość jest nasza! Pilnujmyż, aby się nie wymknęła — ujmijmy ją całą potęgą narodu! Ta potęga spoczywa wśród ludu. Dążmy do niej gorliwie, ale mądrze.

II.

Poprzedzający nasz artykuł zakończyliśmy ogólnem uznaniem potrzeby gorliwego i mądrego działania pomiędzy ludem. W rzeczy samej, w tem zakończeniu zawiera się całkowita myśl nasza; ktokolwiek zastanowi się nad niem, potrafi z niego wyprowadzić wszystkie pobudki do działania, o jakim mówimy, i wszystkie jego warunki. Że jednak wyrażenie za ogólne, jakiego tam użyliśmy, nie wszystkim pojętnem być może, uważamy za użyteczne rozwinąć je cokolwiek — to nam także da sposobność dopełnić poprzedzający artykuł już to dotknięciem niektórych szczegółów jego z innej strony, już to dodatkiem nowych.

Bądźmy się trzymali naturalnego podziału zasadniczej naszej myśli na dwie części i nad każdą zastanowimy się z kolei, a naprzód, co się tyczy gorliwości w działaniu. Tu jest miejsce rzucić kilka słów nawiasowych względem stanowiska, z jakiego chcemy być słuchani. Nie pojąłby ten prawdziwego naszego zamiaru, ktoby myśli, tak w tym, jako i w poprzednim artykule zawarte, chciał uważać za coś innego, jak za rady, za proste napomknienia. Tak jest, niesiemy jedynie porady, jakie nieść każdy ma pra-

wo, gdy chodzi o przedmiot tak ważny; naprowadzamy jedynie uwagę narodu na tę jego ważność. Roztrzęsienie naszych zdań, zastosowanie się do nich zostawiamy sumiennosci i rozsądkowi tych, do których to należy, stosownie do położenia, w jakim się znajdują, do nagłych potrzeb narodowych, do usposobienia narodowego i tym podobnych względów.

Wracamy do rzeczy.

Przez gorliwość w działaniu rozumiemy pośpiech i wytrwałość, nierozłączne od siebie ani na chwilę. A najprzód pośpiech.

Wiara w życie Polski, wiara ślepa, powinna dzisiaj być niezaprzeczenie panującą w duszy każdego Polaka, głównym żywiołem jego życia; Polak, nie mający dzisiaj tej wiary, zginął już nawpół dla ojczystej sprawy, stoi na większej połowie drogi ku zupełnemu odstępstwu; ale ta wiara spomniona nie powinna być kwiatyżmem.

Lepsze tysiąc razy działanie, na prostej rachubie oparte, jak owe bezwarunkowe spuszczenie się na opatrność. Są rzeczy, należące do opatrności, których nigdy zrobić za nią nie potrafimy — są znowu inne sprawy, których załatwienie całkiem na nas spoczywa. Są to obowiązki, powinności naszego ziemskiego bytu, warunki życia, pod którymi żyć nam pozwolono, aniołowie-stróże naszych sumień, prawa do lepszej przyszłości, albo długa klątwa na naszej pamięci, za które, jednym słowem, sami jesteśmy odpowiedzialni przed potomnością, bez wolności odwoływania się na opatrność, na wiarę w opatrność, bo do ich spełnienia dostatecznymi opatrzone nas władzami. Taką powinnością naszą dzisiaj jest przywrócenie Polski, takim obowiązkiem jest pracowanie dla niej.

Polska nie jest to świat czysto duchowy, mistyczny, nadziemski; Polska jest to zbiór pewnej liczby ludzi na pewnej przestrzeni, jest to ciało, jak człowiek, żyjące na ziemi pod warunkami ziemskimi o tyle, o ile jej ciało żyje: nie da się osiąść, jak stan duchowy, pobożnymi myślami, dobrami chęciami, przychylnymi życzeniami, wiarą, martwą, chociażby najszczerzą, działaniem jedynie moralnem: potrzebuje ona jeszcze przez swoją stronę materialną żywiołów materialnych, czynności, jedynie do

sfery ziemskiej należących. Nieprzyjacielem nie zdolali dotąd jej zniszczyć! Prawda. W tem dowód wielkiej potęgi ducha, ale objawianie się tego ducha było zawsze przez ciało; nie stanie ciała, duch zniknie. A wszelkie ciało zniszczyć można, choćby to ciało było narodem. Mało-ż mamy narodów umarłych? Wracając do Polski, jest-że ona dzisiaj tem, czem była dawniej? Nie może-ż, im dalej, tem bardziej niknąć?

Niezawodnie, cokolwiek powiedzieliśmy, jest jak najprawdziwsze i widoczne: przyznajemy to sami. Dziwno może to wyda się komuś, żeśmy nawet usiłowali dowodzić, co pewne — ale w dzisiejszem zawichrzeniu naszego umysłu niema prawdy, któraby nie trafiła na swoich niedowiarków: dlatego nie przekreślimy, cośmy napisali — przeciwnie, opieramy się na powyższem, jako na głównej pobudce do śpiesznego działania wszystkimi sposobami dla Polski, kładąc na pierwszym miejscu wzmocnienie jej ducha potęgą ludu. Tam najmocniejsza i zarazem najsłabsza jej strona: najmocniejsza, kiedy ją do przyrodzonej siły przyprowadzić nie zaniedbamy; najsłabsza, kiedy zostawimy nieprzyjacielowi dowolne z niej korzystanie.

Nie oczywiście nie mówi, jak postępowanie samych-że nieprzyjaciół. Jedni z nich tępią szlachtę, to prawda — drudzy lekce ją ważą — ale wszystkich główne usiłowania są na lud zwrócone. Tę cechę każdy czyn ich nosi. Ludu całego zniszczyć nie można, więc go nie niszczą, ale, ujmując, oddzielają od szlachty, zaszczepiają w nim powoli obojętność dla ojczyzny, napawają powoli duchem obcym. Nie powinno-ż to nas wstydzić a razem uczyć, że niektórzy z nich, choć wrogci, choć obcy ludowi, więcej dobrego zrobili mu w kilkudziesięciu, w kilkunastu latach, jak my przez całe wieki, spółbracia tego ludu, spółchrześcijanie? I jesteśmy pewni, że jeszcze zrobią więcej: szczerze czy nieszczerze, pocziwie czy niepocziwie, mniej o to; dość, że Polska na tem traci. Wierzmy, że przenarodowienie ludu, choćby największymi łaskami, nie jest łatwe, a całkowite może niepodobne — ale czyż powinniśmy spuszczać się na tę wiarę i zaniedbywać dzisiaj tego, co zrobić możeby i powinniśmy?

Niema tu czasu do stracenia; po zmarnowaniu tyłu

wieków, każda dziś chwila ma wartość wieków. Ale na nic pośpiech, jeżeli rozpoczętego przezeń dzieła nie będzie prowadzić dalej niezmordowana, niezrażona wytrwałość, męstwo, poświęcenie — jednym słowem: gorliwość. Dzieło nieskończone można uważać za niezaczące; zwłaszcza w robotach tego rodzaju. Alboż ta myśl o ludzie jest nową? Alboż nie rozpoczynano pracy około niej? Że nigdy jednak nie doprowadzono do zupełnego końca, wszystkie więc roboty zostały z czasem bez żadnego śladu. Za nic znowu gorliwość w działaniu bez roztropności. I pośpiech i wytrwałość nie są jeszcze jedynymi warunkami pomyselnego działania.

Powiemy śmiało: lepiej nie robić, jak źle robić. Nieczynność może być niekiedy snem, snem posilnym, ożywym, ale krzywe działanie wprost marnotrawi siły wewnętrzne i sprowadza oddziaływanie zewnętrzne, a w jednym i drugim razie wspiera dzieło zniszczenia tego, co chce zbudować. Pocieszamy się męczennikami. Bez wątpienia, chwała męczenników jest święta, cześć dla nich powinna być bezwarunkowa — ale męczeństwo samo przez siebie nie zawsze zbawia sprawę. Nie było zmarłej, dziś religii, któraby nie miała swoich męczenników. Męczeństwo zatem powinno mieć swoje granice tam, gdzie się zaczyna bezpłodny mistycyzm — a nadewszystko w działaniu politycznym. Jego sfera jest mocno rzeczywista. Jakkolwiek przeto pośpiech i wytrwałość są konieczne w robocie z ludem, mimo to mogą się uważać raczej za pomocnicze, a przewodnikiem ich powinna być najwyższa oględność na wszystkie strony. Miejscowi najlepiej to sami czują, wszakże ośmielamy się przyjść im w pomoc z kilka ogólnymi uwagami.

Przedewszystkiem wypada porozumieć się względem wyobrażenia o propagandzie. Ażeby to wyobrażenie było prawdziwe, powinniśmy nasamprzód wyszukać w potrzebach dzisiejszej Polski, jaka rola na lud koniecznie wypada; powtóre, rozpatrzyć się z zimną rozwagą w rzeczywistym jego obecnym stanie. Pierwsze zagadnienie dawno już rozwiązane i zapewne w myśl wszystkich: przyspieszyć objawienie się myśli demokratycznej w potęgę ludu polskiego — oto najbliższy cel propagandy. Pozostaje dru-

gie: jaki jest dzisiaj rzeczywisty stan ludu? Propaganda ludu jest-że to samo, co propaganda szlachty? Można-ż ją prowadzić tym samym sposobem? Bynajmniej. Różnica pomiędzy nimi jest tak wielka, jak różnica pomiędzy stanem i położeniem szlachty, a położeniem i stanem ludu. Dosyć porównać obie części narodu: dosyć na sam lud spojrzeć. Lud nasz nie umie czytać, lud nasz jest pod czujnym okiem i ustawicznym wpływem naszych nieprzyjaciół zewnętrznych i przeciwników wewnętrznych. Co większa, lud nasz z najlepiej prowadzonej propagandy nie potrafi korzystać, dopóki trwa obecny stan Polski; nie potrafi odzyskać praw swoich w Polsce tak ujarzmionej, jak jest dzisiaj. Dla ludu więc naszego najważniejszym, stanowczym słowem propagandy—czyn powstania.

Z powyższych uwag wypływają wszystkie przepisy rozumnego z ludem postępowania, a wszystkie można objąć trzema głównymi rozdziałami: co potrzeba robić — jak robić — i kto ma robić? Przepraszamy za tę systematyczność, która wielu czytelnikom może się wydać za suchą; my nie możemy jej odrzucić. Niezdolni wyczerpać naszej myśli, chcielibyśmy przedstawić ją w całości jak najjaśniej, jak najporządniej, ażeby czytelnicy tem łatwiej dopełniali ją tam, gdzie my zmuszeni jesteśmy przestawać na samych napomknieniach.

Co dziś mamy robić? To, co potrzeba i można. Potrzebę określa najbliższy cel naszych prac narodowych, naszego polskiego życia, to jest, powstanie; naturę zaś roboty, granice jej możliwości widzimy w wielorakich względach na obecne położenie naszego ludu. Nie są tu podrzędne sobie ani potrzeba możliwości, ani możliwość potrzebie — są one raczej dwoma skazówkami, bez których niema zegaru naszego działania politycznego. Idąc za nimi przeto krok w krok, widzimy dowodnie, że, jakkolwiek niema silnego powstania bez przypuszczenia ludu do życia publicznego, kiedy jednak przypuszczenie to przed powstaniem jest niepodobieństwem, musimy dzisiaj ograniczyć się na takim tylko przygotowaniu ludu, aby to życie pojął, zapragnął go, a tem samem zapragnął powstania. Tym sposobem właściwa propaganda będzie dopiero w czynie rewolucyjnym otwarcia ludowi szranków świata publi-

cznego — a dzisiejsza jedynie wstępem, przygotowaniem do niej.

Ktokolwiek dobrze pojął myśl powyższą, ten łatwo przyzna za konieczne jej następstwo, co powiedzieć mamy, i równie łatwo sam z siebie dopełni, co my pobieżnie tylko dotknijemy albo może i opuścimy.

Jak robić? Jest to zagadnienie, w ważności swojej nie ustępujące pierwszemu, a w rozwiązaniu swoim takiej obszerności, jak działanie — takiej różnaitości, jak rozmaite są okoliczności działania. Żadna teorya, żadna instrukcyja nie obejmie wszystkich prawideł, jakie się stąd wywijają; są wszakże pewne główne warunki, gdzie się ten tłum szykuje. Cenniejsze pomiędzy nimi wytkniemy.

Najpierwsze miejsce trzyma tu skrytość działania. Ta skrytość leży po największej części w zrzeczności. Cała zaś zagadka tej zrzeczności — wejść z ludem w stosunki tak zwyczajne, tak przyrodzone, żeby nie ściągnąć podejrzeń najczujniejszych policyi, żeby najsroższy despotyzm nie znalazł pozoru do ich tamowania; propagować więcej czynami, jak słowem, наконец wyszukiwać przedewszystkiem organów propagandy pomiędzy samymże ludem, aby tym sposobem zacierać jak najprędzej ślad głównego jej źródła. O ile skrytość jest ważna, jako warunek propagandy — o tyle język, a raczej duch propagandy jest ważny, jako jej istota. Duch propagandy wypływa z koniecznych potrzeb Polski, a nagina się do względów na jej obecne położenie. Duch jest dziełem owej konieczności i możliwości, o których mówiliśmy wyżej.

W tem miejscu dotknijemy jedynie ducha propagandy ze stanowiska potrzeb narodowych. Najwidoczniejszą z nich jest podnoszenie narodowości polskiej. W jej uczuciu, mocniejszym lub słabszem, leży chwila odrodzenia się Polski. Jest to praca ważna, a nie trudna między takim, jak nasz, ludem. Jego cała istota, całe życie, cały świat są czysto-narodowe — ale ta narodowość przez byt jego dotychczasowy zostaje poniekąd bierną. Trzeba ją zamienić w czynną. Wejdzie zaś w tę czynność przez coraz większą miłość ku wszystkiemu, co polskie, z jednej strony — a z drugiej przez coraz większą nienawiść ku nieprzyjaciółom Polski.

Miłość ojczysta, rodzinna, plemienna, uczucie braterstwa polskiego jak najrozciąglejsze, powinny być najbliższym celem propagandy i głównem piętnem jej ducha i języka. Stoi tu jednak na wielkiej zawadzie stosunek szlachty do ludu. Ten stosunek jest tego rodzaju, że już wiele złego wyrządził sprawie narodowej i będzie wyrządzał, jak długo trwać będzie, a zatem i rozdział sercowy między jedną a drugą częścią narodu nie może zupełnie upaść, aż ze zniknięciem jego przyczyny; wszakże przez wzgląd, że nasi nieprzyjaciele korzystają także głównie z tego rozdziału, że mamy jedną część narodu, gdzie praca wynarodowienia nie jest tak trudna, jak w plemienu czysto polskim, że nienawiść wszelka jest ze swojej przyrody siłą jedynie burzącą, że dzisiaj chodzi nam głównie o skupienie i urządzenie całej potęgi ducha polskiego przeciw uciskowi zewnętrznemu, miarkujmy tak roztropnie nasze postępowanie, ażeby całą nienawiść ludu zwrócić głównie w stronę nieprzyjaciela obcego, a domowe nasze zajęcia postawić na stopie sporu domowego, rodzinnego i rozstrzygać je w sposób, któryby nie odsłaniał słabej naszej strony w walce zewnętrznej.

Niema w tem nic trudnego. Można być skrzywdzonym od brata, czuć swoją krzywdę, znać swoje prawa, a jednak czekać pory wrócenia do nich cierpliwie, bez nienawiści, z uczuciem, należnem bratu — i główne usiłowania zwracać tam, skąd zagraża spólna szkoda i zniszczenie praw, droższych, świętszych dla każdego, niż mogą być prawa pewnej osoby a nawet pewnej części narodu. Jak wszystkie prawa nasze, o ile są prawami pojedynczych osób, wypływają z naszej powinności względem Polski, są jej dobrodziejstwami, są podrzędne tej powinności — tak równie wszelkie nasze spory o nie powinny ustąpić pierwszego miejsca staraniu o Polskę, czyli interesa pojedyncze — jednemu ogólnemu interesowi.

Mówiąc to, nie jesteśmy w sprzeczności ani z wyznawaniami przez nas zasadami, ani z przyjętem powołaniem pracowania dla ludu szczególnie. Nie odstępujemy przez to praw jego, przyłożymy się do ich odzyskania w pierwszej chwili sposobnej i dlatego chcemy, aby się wcześniej przygotował na to — ale czujemy tak, że powinno się

dogodzić to powołanie demokratyczne z powołaniem Polaka. Przeciwna droga jest niebezpieczna choćby dlatego, że nieprzyjaciela zewnątrzni mogą jej także użyć, jak używali, na swoją korzyść, gdyby nawet przyszło im osłonić się płaszczem przyjaciół ludu; powinna być przeto raz na zawsze wyklęta.

To podnoszenie narodowości przez połączenie wszystkich serc w miłości narodowej nie jest dostateczne; ażeby je dopełnić, potrzeba jeszcze związać wszystkie umysły w jednej wiedzy narodowej. Tu dopiero, można powiedzieć, jest właściwe pole dla nauki demokratycznej i zawód najcięższy.

Jeżeli w jakiej czynności, to w tej szczególnie potrzeba jak najgłębiej zbadać istotę ludu, spoić się z nim jak najszczerzej i zastosować do niego jak najściślej tak duchem, jak formą nauki. Pierwszym warunkiem tego zastosowania się jest odrzucenie wszelkich doktryn cudzoziemskich, które w dzisiejszych czasach posuwają naukę demokratyczną za kres rzeczywistości a, rozsiewane między ludem, zawichrzyłyby jego umysł, zmarnowałyby niejeden żywioł pożyteczny tem szkodliwiej, że nigdyby się nie przyjęły w łonie ludu, same-by w końcu zgasły, jak owa zła iskra naszego przysłowia.

Wszelki lud, a w szczególności polski, jest zawsze najsamodzielniejszą częścią narodu, częścią najnarodowszą, a tem samem najwstrętniejszą wszelkiej obczyźnie. Z drugiej strony łatwo do niego przylega to wszystko, co ma w sobie powinowactwo z jego duchem: każda myśl istotnie narodowa splywa się z jego myślą, jak płomień z płomieniem. Że myśl demokratyczna była od wieków w narodzie polskim i jest dzisiaj, to przyjmujemy jako rzecz dowiedzioną już gdzieindziej i w każdym razie dowieść się mogąca. Owo zatem jej powinowactwo z duszą polską jest w jej duchu — ale piętno tego powinowactwa powinno być jeszcze na jej formie. Przez ten względ nauka demokratyczna powinna w objawieniu się swoim przyjąć formę, przez którą dotykalnie wyrażała się z podań przeszłości ludowej, zapewniała ludowi przyszłość, obejmowała całe jego życie, zapuszczała korzenie we wszystkie kryjówki jego serca, odpowiadała jego charakterowi,

uświęcała zwyczaje, pobrażała nawet przesądom i słabościom — jednym słowem, ażeby mu była niejako rodzajem objawienia, nie w pojedynczej głowie, nie w obcej wyklęcie, ale od wieków leżącego w duszy całego narodu, wykwitłego z wiary ojców. Inna myśl, w inny sposób przedstawiona, może wprawdzie wpłynąć na pojedyncze umysły, może je podnieść do pewnego stopnia nad ich zwyczajną sferę, ale nigdy całego ogromu polskiej rodziny nie wznieś do wysokości dzisiejszych potrzeb i dalszego powołania Polski. Nie obwiniajmy ludu, jeśli czasem nie znaleźliśmy przychylnego przezeń przyjęcia dla naszej nauki; widać, żeśmy nie umieli jej przedstawić w sposób właściwy, widać, że zakryliśmy prawdę formą nierodzinną. Potrzeba tu mieć na uwadze nie tylko ogólny duch ludu, ale często miejscowe okoliczności a nawet usposobienia pojedyncze.

Stąd najważniejszą częścią owego kaznodziejstwa nie jest nauka książkowa, ale głęboka znajomość ludu przez spółzycie z nim, przez doświadczenie. Owo spółzycie nauca także języka najwłaściwszego, najrozumialszego dla słuchaczy. Jeżeli jednak i tu możemy dać ogólną radę, to nam się zdaje, że ten język powinien mieć wszystkie przymioty języka religijnego, to jest: jasność, prostotę, szlachetność, spokojność, oświetlone najczystsza miłością. Wolelibyśmy jednak, aby najużywanym językiem był język czynów. Pożycie z ludem, prowadzenie się zgodne z zasadami demokratycznymi, przykłady cnót domowych i publicznych, poświęcenie się dla cierpiącego ludu w jego sferze domowej, oto jest, co najprędzej pojmie, co najpewniej pozyska jego miłość i zaufanie i skupi go w zastęp demokratyczny około nauczycieli, a co się najłatwiej wymknie czujności nieprzyjaciół.

Niezbędnym nakoniec warunkiem skuteczności całego tego działania jest jego zgodność na całej przestrzeni polskiej, czyli jedność. Nie można zabezpieczyć tej jedności bez wjaęmnego związania się pewną formą pod kierunkiem jednej, ogólnej myśli, to jest bez władzy i uległości dla niej. Wyobrażamy sobie wszelką władzę jako myśl pewną w najwyższym skupieniu jej potęgi, a zatem jako źródło i posiłek wszelkich sił pojedynczych. Przez władzę

każdy pojedynczy członek jest silny potęgą całego ogółu pod każdym względem, równie pod moralnym, jak pod materyalnym — stąd w porządku moralnym wszelkiej społeczności czy stowarzyszenia, przewaga powszechnej wiedzy nad wiedzą pojedynczą, czyli ład. Gdzie niema władzy, tam pomimo osobistej wartości pojedynczych, wicherzy ogółem bezład, a działanie wszystkich ma jedynie wagę działania pojedynczego, a zatem niedoskonałego, dopóki trwa rozprószenie. Są to surowe materyały do budowy — niema jeszcze budowy.

Demokracja z istoty swojej, ze swojego powołania, jest myślą urządzającą: apostołowie demokracji kłamałiby swojej nauce, gdyby pierwsi nie dali przykładu uległości, poddania się swojej myśli, która o tyle tylko ma rzeczywistość polityczną, o ile jest uosobiona we władzy widomej.

W tem ogólnem rozwiązaniu dwóch pierwszych z porządku pytań leży także rozwiązanie ostatniego czyli odpowiedź na to: kto ma robić propagandę między ludem polskim? Czynności, któreśmy wymienili, względy wielorakie, których dotknęliśmy, wzięte pod najściślejszą rozwagę, wszystkie mówią, że takimi apostołami mogą być najwłaściwiej osoby miejscowe. To nakazuje bezpieczeństwo nauczycieli, bezpieczeństwo uczniów i наконец bezpieczeństwo samej-że nauki. Pominąwszy konieczną znajomość ludu i równie konieczną obecność wśród niego ustawiczną rozsiewców demokracji, co jest łatwe i podobne jedynie ludziom miejscowym, stosunki ich z ludem są tak w zwyczajnym porządku rzeczy, pod taką jego opieką, i zasłoną, co większa, mogą mieć wszystkie pozory takiej konieczności, że żaden środek rządu, choćby najdzikszego, nie będzie zdolny im przeszkodzić, jak długo dobroczynność, przyjaźń, miłość chrześcijańska, cnoty chrześcijańskie, uczucia rodzinne, jednym słowem, ludzkość i religia nie będą ogłoszone za zbrodnie polityczne i karane jako zbrodnie.

Prawda, że tym sposobem zamykają się do czasu szranki ludu dla apostołów emigracyjnych: przyznajemy to sami, nie smucimy się tem jednak. Emigrant, jako emigrant, ma inne obowiązki, równie ważne, a objęte właściwą jemu

sferą. Jego cnoty i przymioty apostołskie gdy je posiada, są może potrzebniejsze w emigracji, jak w kraju. Niech tylko spojrzy wokoło siebie z sercem apostołskim, a pewni jesteśmy, że znajdzie niemało pracy równie korzystnej i koniecznej, jak prace pomiędzy ludem. Myli się, jeśli mniema, że robi w kraju, czego nie mógł zrobić w emigracji — że przyłoży się w kraju do panowania zgody, ładu, miłości, choć mu to w emigracji nie poszło. Nie. Co bierze za powołanie apostołskie, jest to poprostu niepokój ducha, zrażenie się pewnymi ludźmi, a może znużenie tułaczego życia: nie jest to pełność apostołskiego natchnienia. Niezdolny w emigracji, niezdolny będzie w kraju; robi tam więcej złego, jak dobrego. Niech nie zastawia się Konarskim. Na jednego Konarskiego — wieluż to nie-Konarskich!

Zostawmy więc krajowi, co kraj zrobić tylko może. Nasze dziś apostołstwo w przykładach miłości braterskiej, poświęcenia się, wytrwałości, nakoniec w gotowości do poparcia naszej nauki orężem i do przyjęcia śmierci dla niej.

1842.

KONIECZNOŚĆ STOSUNKÓW LITERACKICH POLSKI Z JEJ EMIGRACJĄ¹.

Chcemy tu powiedzieć kilka słów w przedmiocie, na który dotąd nie zwrócono należytej uwagi, a który, naszym zdaniem, jest takiej ważności dla sprawy narodowej, że, mniej lub więcej dobrze pojmowany przez Polskę, wpływa niemal stanowczo na złe lub dobre jej losy i przyspieszy lub opóźni zmianę obecnych. Tym przedmiotem jest piśmiennictwo, rozwijające się w emigracji polskiej — konieczność spojenia go jak najściślej z piśmiennictwem krajowem.

Nie postawimy się zapewne w sprzeczności z wiarą narodową, jeżeli rzecz naszą oprzemy na tym pewniku, że przyszłość Polski leży dziś głównie w jej potęgde umysłowej. Potrzeba-ż tego dowodzić? Potrzeba-ż dowodzić, że ona tylko, rozjaśniając, uszlachetniając, podnosząc rozum narodowy do wysokości powstania, jakie mamy przed sobą, uszlachetni, podniesie, wzmocni stronę narodu moralną i następnie popchnie do działania i pokieruje w działaniu siły materyjalne?

Potrzeba-ż tego dowodzić? Sądzimy, że nie. To tak widoczne, chociażby tylko z przykładu ostatniej polskiej rewolucyi. Czegoż nam w niej brakowało? Krocie ludności, najwaleczniejszej może w dzisiejszej Europie, ochoczej do boju, posłusznej pierwszemu zawezwaniu ojczyzny — miłość kraju rzadka, nienawiść wrogów równa tej miłości, odwaga bohatera, natchnienia pojedynczych poświęceń nadziemskie, zasoby walki ogromne, nieprzyjaciół osłupiały z podziwu, we wszystkim prawie wyższość nad

nim — wszystkie prawie rękojmie zwycięstwa — cóż się stało? Jeden brak wszystko udaremnił, zniszczył: brak pojęcia swojego stanu.

Nie oświecone gwiazdą przewodniczką, nie wsparte umysłową potęgą, najszlachetniejsze uczucia zatrzymały się w pędzie, zboczyły z toru, ugrzęzły nakoniec w nalogowych przesadach, w licznych widokach osobistości; zapal wdał się w mylne rachuby, ostygł przestrachem i osłabił wiarę. Osłabienie to przeszło natychmiast do potęgi materyjalnej — pierwsza jej klęska dosięgła znowu ducha. Zachwiał się on jeszcze mocniej, a następnie ciało narodowe; lecąc zgoła taką koleją z upadku w upadek, to jedna, to druga strona, obie zostały w końcu bez siły, i naród jeszcze raz rozwiązał się politycznie.

Była w tem straszna przestroga opatrności, ale nie nauka; inną drogą, w inny sposób miała ona zejść do narodu. Oto z najgrubszych cieniów rozpaczy narodowej wydobywa się iskra, z powalonego ciała narodu podnosi jego cząstka, kupi się przy świetnem zjawisku, słychać głos opatrności: „Polacy, upadliście znowu niedołężnością umysłową. Dosyć już tych upadków. Widzicie tę iskrę światła? To gwiazda waszego zbawienia, to ziarno waszej umysłowej potęgi. Idźcie za tą gwiazdą, pielęgnujcie ją! Wyrwę was z rodzinnej waszej ziemi, przetrnę wszystkie związki powszednie między wami a resztą świata, abyście mogli być sobą tylko i oddać się całkiem swojemu powołaniu. Osadzę was w ognisku oświaty, abyście poznali wszystko jej złe i dobre i oczyścili się z jednego, a przyswoili drugie. Idźcie, powołanie wasze ciężkie — ale wielkie! Ta gwiazda powinna przez was trud zajaśnieć słońcem nad Polską. Przez was powinien dojrzeć umysł narodowy aż do potęgi, która Polskę wskrzesi.“

Nie uwodzi nas fantazyja poetycka, kiedy to piszemy: najzimniejsza rozważa przyprowadzi do tej samej myśli każdego, kto się nad emigracją polską zastanowi zechce. Jakikolwiek był jej początek, jakikolwiek z początku były jej zamiary, nadzieje i czynności, wszystko to weszło w myśl powyżej wyrażoną, w powołanie działania na korzyść sprawy ojczystej głównie siłą umysłową. Powo-

¹ Z „Demokraty Polskiego“ (Paryż) T. IV., zeszyt z 24 stycznia 1841 roku.

lanie to jest ważne i przez emigrację tylko dopełnionem być może.

Dosyć rozważyć głównejsze okoliczności jej położenia: wszystkie do tego pomoce, które tylko w takim kraju, jak Francya, pod ręką mieć można, całą swobodę myślenia i pisanja, której używamy, owo odosobnienie wśród obcych, przez które tem mocniej czujemy się Polakami i szczerzej i ustawicznie myślimy o Polsce — sam ów stan niezwykajny, który, przy wielkich swoich niedogodnościach niekiedy nieznośny, ma tę jedną dogodność, że robi nas niezawisłymi od tych wszystkich stosunków, widoków, zatrudnień, często zbyt poziomych, zbyt sprzeczných z obowiązkami polskimi, które krępują szczęśliwszych od nas braci, do zwyczajnego bytu przykutych — sam wreszcie niedostatek emigrancki, w którym wypróbowana polska myśl, polska prawda, polski charakter nabierają większej wartości. Rozważyliśmy nieraz, nie powierzchownie, to wszystko i z sumiennem przekonaniem powiadamy, iż emigracya nasza ma wielkie powołanie rozwijania umysłowej polskiej potęgi, że do tej pracy znajdujemy się w korzystniejszym, niż kraj, położeniu, że jej działania nie w kraju nie zastąpi, że zresztą odpowiada swojemu powołaniu.

Ale nie dosyć jest usiłowań samej emigracji: potrzeba jeszcze ze strony kraju czynnego ich zużytkowania. Cóż więc Polska powinna robić, ażeby pod tym względem wyciągnęła wszelką korzyść? Odpowiadając na to zapytanie, nie będziemy wdawać się w drobne szczegóły naszej myśli; z przyczyny, łatwej do odgadnienia, dotkniemy tylko głównejszych jej części. Ażeby kraj wyciągnął z emigracji wszelką korzyść pod względem literackim, innemi słowy, ażeby wzajemnem zasilaniem się podniósł potęgę umysłową tak własną, jak emigracyjną, a przez to ogólną narodową, powinien naprzód urządzić u siebie w pewien systemat prace tego rodzaju, potem dopomódz emigracji w podobnem urządzeniu się, zaprowadzić na koniec wzajemny obu ognisk stosunek, porządný, nieprzerwany, i tym sposobem zlać w jedność działania rozłamanej Polski.

Dla obszerniejszego rozwinięcia tej myśli, wrócimy się

do użycia przez nas wyrażenia: dopomódz emigracji. Dopomódz emigracji! Emigracya jest-że w prawie wymagać tego po kraju? Nie ma-ż ona wyłącznego, właściwego sobie powołania? Nie powinna-ż je spełniać o własnych siłach? Kraj przygnieciony, osaczony przemocą zewnętrzną, wydola-ż dwóm tak ciężkim obowiązkom, obrońcie, własnej i zasilaniu zewnętrznemu?

Nie dowolnie położyliśmy te wszystkie zapytania — dlatego zastanowimy się nad nimi cokolwiek. Emigracya pomimo niektórych korzyści swojego położenia nie tylko, że jest w prawie żądać pomocy od kraju, ale bez niej obejść się nie potrafi, albo jej powołanie ułomnie będzie spełnione; kraj, pomimo ciężaru, leżącego na nim, nie tylko, że nie może odmawiać posilku emigracji, ale powinien go dawać. Emigracya, chociaż bogata w swobodę działania, przez wykorzenienie się z ojczystej posady pozbawiona jest w tymże stosunku wszelkich koniecznych do tego środków; jeżeli zyskała pod względem moralnym, utraciła pod fizycznym — co gorsza, nie zasilana techniem domowem, może się wyczerpać nawet w potęgę ducha. To wszystko, co wzrastać może, może i ubywać, a cokolwiek wzrasta właściwym sobie żywiołem, to może omdleć jego brakiem.

Duch emigracji jest strumieniem, a źródłem tego strumienia jest duch polski, który został na ziemi rodzinnej w przeszłości narodowej, odzianej ziemią polską, w myślach, trącających wiecznie o jej pomniki, w sercach, bolejących nad nimi bez ustanku, w duszach, wiodących z nimi rozmowę nieprzerwaną, zgoła w masie narodu, leżącej na jego łonie, na przestrzeni, od wieków na dom przeznaczonej, pod niebem, skąd zeszedł na ziemię wybraną, skąd wybranemu ludowi przez wieki przyświecał.

Pominąwszy ten wzgląd, który mimo wszystkich nadziemskich, nadmateryalnych przymiotów ducha mogli- byśmy rozwinąć według innej myśli jeszcze obszerniej i jaśniej, musimy nadewszystko przyznać, że emigracya jest częścią, a kraj całością, emigracya członkiem, a kraj zupełną osobą, emigracya życiem, zawisłem od życia krajowego. Gdybyśmy nawet mogli przypuścić, że emigracya jest istotą, czyli społeczeństwem, równie, jak kraj, samo-

dzielnem, gdybyśmy emigracyę uważali jedynie za rodzaj sprzymierzeńca, to jeszcze i w takim razie nie trafimy na powód, któryby rozgrzeszał kraj od jej wspierania.

Korzyści wzajemnego wspierania się codziennie możemy mieć przykłady na dwóch pierwszych lepszych ludziach, połączonych jednością celu. W tych przykładach znajdziemy zarazem naukę dla siebie. Gdzie jest takie połączenie, tam jest konieczność, że jeden ma to, co drugiemu brakuje, a następnie, że jeden drugiemu powinien dawać w zamian za brane, jeden drugim dopełniać się wzajemnie. Emigracya, jakieżmy już powiedzieli, posiada, czego kraj nie ma, i z tego powinna robić poświęcenie na korzyść kraju; za to też kraj powinien ją tem wzmacniać, co jej brakuje a jest dla niej konieczne. A powód najważniejszy, że wymaga tego wspólne dobro, niemożność obejścia się bez emigracyi; nie przestaniemy więc wołać o konieczność jak najściślejszego zespolenia się kraju z emigracyą, którego głównym warunkiem wzmacnianie emigracyi.

Teraz kilka słów o sposobach wspierania emigracyi.

Nie potrzebujemy, zdaje się, ostrzegać, że wspieranie to odnosimy tylko do literatury. Środki tego wspierania są różne i różnego rodzaju. Nie będziemy, nie śmiemy wdawać się w szczegółowe ich roztrząsanie. Mniemamy, że ubliżylibyśmy przez to zdrowemu rozsądkowi naszych braci w kraju, którzy sami przez siebie są zapewne zdolni przejrzeć się w nich, jak należy. Pozwalamy tylko sobie porozumieć się z nimi względem jednej myśli, bardzo ważnej naszym zdaniem.

Proste materyalne wspieranie literatury i pisarzy emigracyjnych nie jest tu głównem i dostatecznem wywiązaniem się kraju z jego obowiązku, a tem mniej wsparciem w tem znaczeniu, w jakim ten wyraz bierzemy. Ważniejszym nierównie od niego jest to, co właściwie nazywać się może stosunkiem literackim kraju z emigracyą; jest to połączenie się i wzajemne na siebie oddziaływanie w potężne umysłowej, wzajemna zamiana płodów umysłowych.

Potrzeba więc położyć sobie za święty, stały obowiązek: z jednej strony, zaopatrywania emigracyi we wszystkie

działa ojczyście, literatury, tak bieżącej, jak dawniejszej, tak dziennikarskiej, jak poważnej, w czem powinno trzymać przodek to głównie, co się odnosi do nauki dziejów polskich — z drugiej strony, ułatwiać rozpowszechnienie się po kraju literatury emigracyjnej.

Jeżeli mówimy „literatury“, nie żądamy opieki dla pism, nie zasługujących na miejsce w niej, a których poczet nie mały w emigracyi, jak i wszędzie — ale mamy jedynie na uwadze dzieła, mogące przynieść prawdziwy ojczystemu umysłowi pożytek, co zresztą byłoby na odpowiedzialności ciała, obowiązane do prowadzenia spraw podobnych.

Tym sposobem praca kraju będzie się ulepszać, dopełniać pracą emigracyi — i nawzajem, tym sposobem emigracya będzie się utrzymywać na wysokości ducha rodzimego, odpowiedniego i potrzebom bieżącem i okolicznościom, a potęgą ducha krajowego wzmacniać się żywiołami, które mu dzisiaj są niezbędne, a których sam przez siebie w niekorzystnem swoim dla takiej czynności położeniu zdobyć nie potrafi.

Nie jest nam tajny wstręt pewnej części narodu ku piśmiennictwu emigracyjnemu z obawy, ażeby napływ jego do kraju nie zrzucił więcej złego, niż dobrego. Obawy ich płonne, wstręt nie da się usprawiedliwić zdrowym widzeniem rzeczy. Zastanówmy się tylko!

Skupmy zarzuty, stawiane przeciw literaturze emigracyjnej, w jeden główny, najważniejszy, najczęściej dający się słyszeć, i połączmy go sobie w jego najprostszej, najmocniejszej wyrażeniu, jakby go położył najzacietszy tej literatury przeciwnik:

Literatura emigracyjna przez położenie swoich pisarzy więcej europejska, jak polska, wprowadzona do kraju, zawichrzy go wyobrażeniami cudzoziemskimi, teoryami nowymi, niewłaściwymi dla kraju, sporami szkolnemi, w tej właśnie chwili, kiedy główną dla nas rzeczą jest duch zgody, jedności moralnej i działania bardziej, jak rozprawiania.

Położyliśmy zarzut tak, jak go wyrażają najłękliwsi przeciwnicy literatury emigracyjnej, nie możemy jednak przyznać, ażeby określenie jej było ściśle prawdziwe,

i dlatego nasamprzód samo to określenie prostujemy. Rzecz łatwa do dowiedzenia sposobem dotykającym, przez przykłady najwyraźniejsze, że literatura emigracyjna jest bardziej polska, jak europejska. Pomińmy pojedyncze dzieła, które, co do narodowości źle pojęte, są w jej dzisiejszym stanie bez żadnej korzyści, weźmy ogół, obejrzymy powszechne jego piętno, wydobądźmy jego ducha, a przekonamy się, że pod temi wszystkimi względami jest tak narodowy, jak tylko być może i być powinien. Jeżeli w jakiejś części widno, że pisarze zanadto może wyszli z karbów polskiego umysłu, zanadto może przybrali dla swoich myśli formę cudzoziemską, a co gorsza, doktryny, nie odpowiednie ani duchowi naszego narodu, ani jego czasowym potrzebom, sporne z jego przyszłością, gotujące mu przyszłość napowietrzną — te wszystkie wybryki, zdrożności, są oparte na podstawach tak wątplych, są tak pozorne, rozdmuchane tak słabem natchnieniem, są zresztą tak drobnego rozmiaru do całości literatury emigracyjnej, że giną przed potęgą jej wewnętrznej wartości: mogą razić, mogą pstrzyć jej szatę, ale nie wpłyną nigdy na oblicze jej ducha, które jest najwyższej polskie, bo je ożywia najczystsza miłość całego ludu polskiego. Jeżeli i to jeszcze ma być kosmopolitycznem, czemuż nie wyklęto z dziedzin polskiej narodowości chrześcijaństwa, który z innego stanowiska do tego samego dąży, a uchodził przez tyle wieków za zgodny z narodowością polską, i w tem się tylko różni, że każe wierzyć w to, co my na rozum pokazujemy?

Przypuśćmy jednak, że piśmiennictwo emigracyjne jest w samej rzeczy bardziej europejskie, jak polskie, i przez to może zrobić wiele złego, przedarłszy się do kraju. Ażeby temu przeszkodzić, konieczny środek i najprostszy: zagrozić mu drogę do umysłu narodowego.

Zagrozić drogę myślom do myśli! Jest-że siła, któraby wydolała temu usiłowaniu? Chociażby ten napływ szedł drogą najmateryalniejszą, jedynie przez druki, to i wówczas nawet niepodobna go zatrzymać; cóż dopiero, kiedy weźmiemy niezliczone jego drożyny, nie ujęte przez najtroskliwszą ostrożność, nie dostrzeżone od najbystrzejszej obawy! Gdyby jeszcze naród był pod samowładztwem

jednej myśli, czuwał nad nią wszystkimi siłami! Ale tak nie jest. Umysł jego dawny, że tak powiemy, rozbity ostatnią klęską, zachwiany w samej podstawie dotychczasowej wiary, jest dzisiaj w pracy nowego usadowienia się duchowego, szuka sam z siebie, bez bodźca nawet zagranicznych wyobrażeń, nowej myśli, któraby mu zastąpiła niedostateczność dawniejszej; a że postępuje z rozwagą w tej pracy — nie chwytą pierwszego lepszego pomysłu, jaki mu się nawinie, ale wybiera pomiędzy wielą, ocenia je, porównywa, a przedewszystkiem każdy przed oczami mieć musi.

Stąd podział narodu na stronnictwa, stąd uwielbienie jednych dla nauki, którą drudzy potępiają — stąd opieka jednych temu, coby drudzy na granicy Polski zatrzymać chcieli, stąd wreszcie niepodobieństwo całkowitego wzbrowienia przystępu literaturze zaojczyściej. Nie mogąc przeszkodzić cząstkowym wkradaniom się literatury zagranicznej, lepiej jest całą wpuścić, to jest, postawić wszystkie różnorodne jej żywioły naprzeciw siebie, twarzą w twarz. Walka może przez to wybuchnąć gwałtowniej, ale prędzej się skończy, a myśl zwycięska da tem pewniejszy dowód swojej potęgi, swojej rodzimości na ziemi polskiej. Lepiej na to zezwolić, jak przywieść ją do konieczności ukradkowego działania. I owszem, otwórzcie szranki jak najwygodniejsze, oczyśćcie pole walki, niech wszystkie myśli razem wystąpią, niech się zmierzają pod okiem bezstronnem ducha narodowego z całą swobodą, z rozwinięciem wszystkich sił swoich — wtedy dopiero poznaćie przeznaczoną na Zbawiciela Polski. Nakoniec, lepiej jest, żeby ta walka odbyła się i rozstrzygnęła dzisiaj, jak później; bądźcie albowiem przekonani, że jest konieczna.

Dzisiejszy stan emigracji jest wyobrażeniem tego, co w kraju nastąpić musi, jeżeli przeszkodzić duchowym swoim siłom rozwijać się na równi z umysłem emigracyjnym. Naród musi koniecznie przechodzić koleje emigracji, bo jego potrzeba jest ta sama i cel ten sam. Nie spocznie on, nie ustali się, dopóki go nie osiągnie. Lepiej więc, że się ułatwi z tą ciężką pracą w chwilach dzisiejszych, niżeli w chwili działania, które w innym kierunku będzie potrzebowało wszystkich sił jego. Powiemy więcej:

owo ułatwienie się nie tylko, że przyspieszy tę chwilę, ale samo tylko może ją sprowadzić, a najpewniej, że ono tylko może zapewnić pomyślny powstaniu wypadek.

Do was głównie zwracamy się, wyznawcy naszych zasad, do was, co kochacie lud, jak bracia braci, jak Polacy Polaków, co wierzycie weń, co w przywróceniu jemu praw jego, w brataniu się z jego ogromem widzicie rozkaz Boga, czyn ludzkości i interes narodowy. Was głównie chcielibyśmy wprowadzić na wskazaną tu drogę. Jak my na ziemi obcej, tak wy na rodzinnej, potrzebujemy bardziej, niż ktokolwiek wzajemnego wsparcia, jak najściślej-szego połączenia się w celu, środkach i działaniu. Jak my, tak wy macie, bardziej niż ktokolwiek, zaciętszych i liczniejszych przeciw sobie nieprzyjaciół, silniejsze przeszkody; królowie, ciemiężcy nasi, mogą przez szpary palców pa-trzeć na innego rodzaju roboty polskie: mogą oni widzieć w nich żywioły bardziej obłąkiwania, wicherzenia narodu, jak postawienie go na groźnej stopie, żywioły zbutwiałe, nie mające w sobie dosyć soków do zasilenia takiego ogromu, jak lud polski, na taką ciężką potrzebę, jaką będzie przyszła walka Polski; mogą je nawet z czasem na własne wzmocnienie się obrócić. Walka między królami a podobnemi wyobrażeniami jest to chwilowa kłótnia, nieporozumienie się równego z równym, przywłaszczyciela z przywłaszczycielem, pana z panem, które z czasem umarzają się zobopólnem ustępstwem. Ale myśl demokratyczna!

O, między tą myślą a królami niema żadnego spółnictwa, żadnego zbliżenia się, przymierza, pokoju; tam wojna na zabój i zwycięstwo lub śmierć jednej lub drugiej strony — a potęga tej myśli w Polsce, to potęga, przed którą muszą się rozsypać moskiewskie i niemieckie siły starej Europy. Wiedzą o tem nasi nieprzyjaciele i stosownie też postępują. Wielkie z ich strony przeszkody, walka z nimi tem trudniejsza, że lichy interes osobisty, nałogi dawnego zepsucia, ciemne przesady zgrzybiałych myśli rozdwarzają nasze narodowe szeregi, zwracają nie-baczny oręż ku braciom, i w zaślepieniu osobistości zmieniają Polaków na wrogi Polaków ze szkodą pospolitej rzeczy, a na korzyść jej ciemiężców. Nie pokonamy ich,

dopóki nie rozwinie my w sobie całej braterskiej miłości, dopóki pod jej tchnieniem nie zlejemy się w najlichnieszą jedność, dopóki nie urzeczywistnimy tej jedności w działaniu roztropnem, gorliwem, systematycznym, dopóki nie zastосуemy każdego naszego czynu do tego systematu.

Wierzimy w przyszłość ludową, jak w sprawiedliwość boską, wiemy, że zwyciężymy wkońcu jej nieprzyjaciół — ale nie dosyć zwyciężyć, potrzeba zwyciężyć z jak najmniejszą stratą i jak najprędzej.

Śpieszcie się więc, rodacy! Dziewięć lat już upływa, jak przez opieszałość waszą nie wyciągnęliście wszystkich pło-nów, jakieby przysporzyła rola emigracyjna, uprawiana, jak należy; można powiedzieć, że przez lat dziesięć zоста-wiliśmy ją odłogiem. Emigracya zapewne sama przez siebie zrobiła niemało i jeszcze zrobić potrafi, ale to działanie nie zdejmuje z was grzechu przeciwko czystego: opiesza-łości. Działanie emigracyi bądźco leżeć na was grzechem o tyle cięższym, o ile byłoby zupełniejsze, gdybyście je wspierali według waszej powinności. Śpieszcie się, póki jest czas poprawy, pomnąc na to ustawicznie, że dzisiaj przyszłość Polski leży głównie w jej potędze umysłowej!

1841.

MORALNA PODSTAWA SPRAWY POLSKIEJ¹.

WSTĘP.

Wszelki czyn fizyczny jest objawieniem się pewnej moralnej siły, pewnej myśli; owa myśl jest dla czynu tem, czem dla jakiegokolwiek stworzenia jest pierwiastek jego życia. Przyroda pierwiastku żywotnego wpływa na cały byt stworzenia; równie myśl wyrabia czyn stosownie do swojej natury. Tę żywotną siłę czynu pozwoliliśmy sobie nazwać jego podstawą. Zastosowawszy to ogólne pojęcie czynu do czynów historycznych, do życia narodów, przenieśmy je następnie do obecnej naszej sprawy.

Niektórym zdaje się, że taką podstawą sprawy polskiej jest niepodległość narodu. Widzenie podobne, według nas, jest mylne, gdyż niepodległość jest już objawieniem się życia, a nie jego pierwiastkiem. Niepodległość w przystosowaniu do narodu musi być konieczne jakąś, musi mieć jeden przymiot główny, który określa jej przyrodę, stanowi jej charakter, równie jak życie objawiane, w przystosowaniu do stworzeń, musi być albo życiem człowieka, albo zwierzęcia, albo czemś podobnem. Niepodległość bez warunków, któreby ją charakteryzowały, byłoby to coś, czego w rzeczywistości niema; taka niepodległość, jest to tylko abstrakcja, przypuszczenie, ale jako czyn fizyczny niepodobna, a zatem niepodległość, z jaką dziś występują obrońcy zasady: wprzód być, a potem, jak być — jest to stan nieokreślony, napowietrzny, nie mogący zaspokoić istoty myślącej, praktycznej, jak naród, potrzebującej pewnych warunków do swojego życia. Stąd to wynika,

¹) Rzecz drukowana w „Piśmie Tow. Demokratycznego Polskiego“, Poitiers, 1840, str. 403—428.

że lubo pomysłowi niepodległości naznacza on pierwsze w usiłowaniach swoich miejsce, jako pierwszej narodu potrzebie, czyli życiu, wszakże zaraz obok niego, jednocześnie, stawia narodowego bytu warunki, rozmaite systemata polityczne, które same jedynie ten pomysł urzeczywistnić mogą.

Systemata przeto czyli opinie polityczne, chwiejące dziś umysłem Polski, nie jest to coś, coby można ryczałtem potępić, jako niewczesne, dowolne, a spór między niemi, jako spór szkolny; przeciwnie, wynikały one logicznie z naszej przeszłości, żyją obecnością i mają w sobie całe życie przyszłości. Nie wszystkie zapewne, ale jedna z nich koniecznie, a która — właśnie spór o to. Dodajmy na stronę konieczności tego sporu i jego ważności, że nie idzie tu o utworzenie narodu, którego nigdy nie było, o życie całkiem nowe, ale raczej o wzmocnienie życia zagrożonego, zdrowia nadwątlonego; potrzebujemy więc tylko czegoś, coby usunęło złe, które go przywiodło do stanu niemocy i utrzymuje w nim, czegoś, coby orzeźwiło jego soki żywotne i na przyszłość utrzymywało go przy zdrowiu jak może być najdłuższem; takim lekarstwem musi być jedna z tak zwanych dzisiaj opinii, bądź politycznych, bądź religijnych, czyli rzeczywisty pierwiastek narodowego życia, przywrócony do stanu wrodzonej sobie siły. Sprowadzając zatem zadanie naszych sporów do najprostszego wyrażenia, możemy powiedzieć, że idzie nam wszystkim o odkrycie i uznanie żywotnego pierwiastku społeczności polskiej, a który byłby przez to samo najskuteczniejszem lekarstwem na jej obecną niemoc.

Trzy główne pomysły walczą dziś z sobą o wpływ na obecną sprawę Polski, o chwałę jej odbudowania a następnie o panowanie nad jej przyszłością. Temi pomysłami są: katolicyzm, rojalizm i demokracja czyli ludowładztwo. Nie stawiamy w ich szeregu szlachetczyzmu; jako instytucja, przeszedł on do stanu czysto-odpornego, a nawet biernego, zwinął oddzielną swoją chorągiew, nie jest dzisiaj systematem zupełnym, całością, zamkniętą w sobie; jeżeli jeszcze występuje na scenę, to jako sprzymierzeniec niższego rzędu, a raczej, jako narzędzie już to katolicyzmu, już to rojalizmu — że zaś z drugiej strony

zajmuje jeszcze w społeczności polskiej ważne stanowisko, przeszłością swoją niepomału ciąży obecności i może w chwili starcia się rewolucyjnego żywiołów narodowych wystąpić ze swojemi roszczeniami, zasługuje przeto na szczerą rozagę i zajęcie się sobą. Co odkładając do innego miejsca, zastanowimy się tu jedynie nad katolicyzmem, rojalizmem i demokracją.

Zamiarem naszym jest przeważać na jednej nieomyłnej szali każdy z tych trzech systematów, wyższość i niższość każdego z nich, tak bezwzględna, jak w porównaniu z innemi, a tym sposobem okazać, który z nich ma najwięcej siły do podniesienia Polski, w którym z nich leży przyszłe jej zbawienie. Założenie ważne, czujemy to — dlatego kładziemy sobie za powinność zachować w ciągu naszej pracy najgłębszą sumiennność, najlepszą wiarę. Nie idzie zatem, żebyśmy nie mieli dotąd własnego przekonania; ale, że z dobrą chęcią dla Ojczyzny i kiedy chodzi o Ojczyznę można usunąć niejako na chwilę przekonanie najgruntowniejsze, żeby tem łatwiej uwolnić się od wszelkich uprzedzeń, niechęci ku pewnym opiniom, lub wyłączonej przychylności ku drugim, zostawiamy w tej chwili na boku własne swoje przekonanie, bo najwyższa nasza miłość dla Polski, najgłębsza zaś nienawiść dla jej nieprzyjaciół, a celem obecnych usiłowań naszych nie jest panowanie tej lub owej teorii bez żadnego względu na dobro lub szkodę kraju, ale przywrócenie Polski przez środek najprostszy, najskuteczniejszy, najnarodowszy.

Jako szalę sądu położymy następną, nie ulegającą niczyjemu zaprzeczeniu prawdę: Polska przyniesiona jest takim jarzmem, i w obecnym stanie Europy jest tyle nieprzychylności i obojętności dla niej, że powinna, skoro śmierć nie jest jej obojętna, rachować jedynie na powstanie o własnych siłach, przygotować się na walkę z potęgą, której nie pokona inaczej, tylko wywołaniem całej potęgi ducha i ciała narodowego, a nie wywołą jej, tylko otwarłszy szranki swobodnemu objawieniu się wszelkich sił moralnych, materyalnych i umysłowych tak w masie narodu, jak w pojedynczych jego członkach; powinna przeto przyjąć za podstawę swego działania taką myśl, czy zasadę, czy systemat, któryby łączył w sobie

dwa te konieczne warunki: 1. Żeby w objawianiu się i rozwijaniu sił takowych widział własną swoją korzyść, wzrost własnego życia, a przeto obudził je, dawał im popęd nieustanny, coraz silniejszy, bez żalu nad gruzami przeszłości, bez obawy przed przyszłością, jaka z rewolucyjnego ruchu żywiołów narodowych wysnuć się musi koniecznie — 2. żeby był zdolny kierować je harmonijnie ku jednemu celowi i wkońcu ukształtować w budowę narodową, to jest, żeby miał w sobie tyle zarazem siły organizacyjnej, ile rewolucyjnej.

KATOLICYZM CZYLI PAPIZM.

Zacniemy od katolicyzmu czyli papizmu; a naprzód, co się tyczy nazwiska. Przestalibyśmy wyłącznie na drugim, jako właściwiej malującym dzisiejszy stan katolicyzmu, gdyby nie wzgląd, że nie od wszystkich będziemy pojęci. Jeżeli więc zatrzymujemy pierwsze, to bynajmniej nie dlatego, że je uważamy za należące prawnie papizmowi, albo z nim jednoznaczne; ulegamy jedynie zwyczajowi, chociaż najmocniej przekonani, że ten zwyczaj uświęca tylko przywłaszczenie, a ulegamy jemu dla uniknięcia sporu o wyrazy, dla którego nie tu miejsce bo ważniejszy zajmować nas będzie przedmiot — istota rzeczy.

Zabierając się do krytyki katolicyzmu, czujemy całą ważność naszego zamiaru, wiemy, że możemy przez to dotknąć najdrażliwszą strunę niejednej polskiej duszy i wywołać okrzyk, jakkolwiek niedonośny, nie straszny dla człowieka, u którego dobro ojczyzny pierwsze trzyma miejsce, a który to dobro widzi w wydobyciu prawdy i obnażeniu fałszu, gdziekolwiek się one znajdują, serdeczny jednak, boleśny, a przez to nie obojętny dla spółczującego serca — wiemy, że możemy być nawet posądzeni o nierozsadek polityczny; cierpliwość.

Mamy najwyższe uszanowanie dla wszystkich w ogólności religii, tem samem dla katolicyzmu; nie śmiemy obnażać ich rozumem, jak długo trzymają się swojej nadziemskiej, świętej sfery. Ale zdarza się czasem konieczność podniesienia na nie świętokradzkiej ręki; konieczność ta

jest wyraźna, nieodparta, kiedy naród waży się pomiędzy życiem a śmiercią, a religia występuje z zamiarem ostatecznego rozstrzygnięcia jego losów, to jest: bierze na samą siebie jego zbawienie i całą za to odpowiedzialność. Można-ż wówczas mieć narodowi za złe, że w tak stanowczej chwili ucieka się do swojego rozsądku, opiera się na wszystkich władzach, jakie od Boga odebrał? Niczemu ślepo nie zawierza, zwłaszcza, kiedy mu wszystko zawiniło? W tym przypadku do sprawy polskiej znajduje się dziś katolicyzm. Żąda on po Polsce zupełnego poddania się sobie, sięga po najwyższy ster jej najżywoniejszych interesów, występuje na pole działania publicznego, jako systemat polityczny, i przez to wszystko wchodzi we szranki polemiki świeckiej, czasowej, a wchodzi w imię patryotyzmu; spotykamy go też w imię patryotyzmu. Wszakże będziemy szukać jego dobrej i złej strony jedynie jako systemu politycznego. Ocenimy jego część ziemską — po człowieczemu: zatrzymamy się, jak tylko postrzeżemy, że możemy wpaść w spór czysto religijny, dotknąć dusze katolickie w najświętszych im uczuciach bez wielkiej narodowej potrzeby — bo, jak napomknęliśmy wyżej, to tylko nasze, co występuje z tajemnej sfery prywatnego sumienia.

Przedewszystkiem dobra strona katolicyzmu. Zasługi jego w ogóle ludzkości rozciągnęły się w dobroczynnych skutkach i do Polski. Byłoby niesprawiedliwie pominąć je, mówiąc o Polsce; zresztą są to główne rysy, bez których wyobrażenie jego byłoby ułomne.

Katolicyzm ubóstwa Chrystusa, który położył za podstawę swojej nauki miłość bliźniego i jest uosobieniem zasady poświęcenia się. Przyczynił się potężnie do rozszerzenia ewangelicznej moralności — nauczając braterstwa ludzi, wprowadził narody na drogę braterstwa ludów i oczyścił pole nowemu wyobrażeniu ludzkości, w jedność urzędzonej — rozwinął wielką potęgę organizacyjną, objął nią narody i utworzył z nich pewną całość, władał przez kilkanaście wieków najoświeceniszą częścią świata, przez kilkanaście wieków trzymał się dla jej dobra, przewodniczył w walce z barbarzyństwem, cierpiał i tym podobnie — w Polsce zaś udziałem swojej nauki podniósł ją nad

ościenne barbarzyńskie plemiona, a opieką swej władzy wcielił do historycznej chrześcijańskiej ludów rodziny, przez zaszczerpienie chrześcijańskiej moralności w plemieniu polskiem rozszerzył i wzmocnił myśl braterstwa, pokrzepił ducha polskiego w najtrudniejszych czasach, przewodniczył mu nieraz w najchlubniejszych, okazał błyszczy na niejednym pomniku naszej przeszłości, zamienił się nawet w jeden z wydatniejszych rysów narodowości polskiej — położył więc przed nami wielkie, niezaprzeczone zasługi. Nie mamy potrzeby zaprzeczać mu takowych, nie widzimy żadnej korzyści w podobnem zaprzeczaniu; przedewszystkiem szukamy prawdy.

Ale czy ta dobra strona katolicyzmu jest bez zmayı? Czy wpływ jego na Polskę zbawienne tylko wydał skutki? Czy samo uwielbienie powinni mu jesteśmy? Czy wszystko, co robił, robił to dla nas samych, bez oglądania się na swoje dobro? Czy jest nakoniec takim, za jakiego chce dzisiaj uchodzić? Niestety — na każde z tych pytań jedną mamy odpowiedź: nie!

Katolicyzm, urządziwszy się raz w samowładztwo nad ludzkością, koniecznem następstwem tego czynu utworzył sobie interes oddzielny, interes Kościoła, tak różny od interesu ludzkości, jak wolność od niewoli, jak interes przywłaszczyciela od interesu uciemnionych, położył go za cel swojego bytu, wszystkie swoje prace zwrócił ku jego urzeczywistnieniu, a za najgłówniejsze narzędzie użył samejże religii w najwznioślejszych jej pomysłach, w jej stronie najmoralniejszej, najpiękniejszej. I tak na ubóstwieniu i słowach Chrystusa oparł nieograniczoną, nietykalność i nieważność swej władzy; jeżeli egzaltował ludzi miłością Boga, wyteżonym spirytualizmem, to dlatego, żeby, ich zobojętniwszy na rzeczy ziemskie i skierowawszy ku sferze duchowej, oczyścić sobie pole wolnego działania na ziemi i wyłącznego użytkowania z materii; jeżeli łagodził ewangeliczną nauką przyrodę człowieczeństwa, to dlatego, ażeby je przyprowadził z czasem do zupełnej powolności i uległości swoim rozkazom; jeżeli rozciągał węzeł braterstwa przez ludzi i narody, to dlatego, żeby pomnożył swoją trzodę; jeżeli wziął pod opiekę uciśnione ludy, to dla zdeptania ich panów — zgoła, jeżeli

podniósł którąkolwiek z pięknych stron katolicyzmu, to w widokach najmniej pięknych, a podniósł je, rozwijał z całą gorliwością, bo zyskiwał przez to przydatniejszego do swoich widoków narzędzia.

Gdybyż był przestał na tem! Ale nie przestał. Gdzie mu nie wystarczyły cnoty religijne, udawał się do zbrodni i zbrodnie do świętości podnosił — bo mu dano moc z nieba związywać i rozwiązywać według swej woli wszelkie rzeczy ziemskie. Tym sposobem nie dosyć, że zużywał religijne żywioły niegodnem ich użyciem, ale je zaraził obcą mieszaniną, postawił obok nich pierwiastek złego, który się wzniagał w miarę tego, jak dobry zużywał się, aż wkońcu przemógł i objawił katolicyzm taki, jakim go dzisiaj widzimy w całej nagości grzesznego jego życia. Nie obrzucamy go jednak za to przekleństwem, — że powiemy nawiasem. Los jego jest losem wszystkich religii, wszystkich instytucji ziemskich, jednym słowem, wszystkiego, co się dostanie w sferę ziemi. Kapłani katolicyzmu są ludźmi; jego głową, jego widomem uosobieniem jest papież — człowiek; na podobnem stanowisku ten tylko może się ostać bez pokalania, bez grzechu, wyższym nad ludzi, kto im wszystko sam z siebie daje, a nic od nich nie potrzebuje — Bóg. Ale wróćmy do rzeczy.

Czem katolicyzm był w ogóle dziejów, tem samem być musiał w życiu Polski, tylko z zastosowaniem do mniejszej miary, do miary narodu. Urządziwszy Polskę w swoim duchu, podniósłszy się nad nią władzą duchową, pojrzał na nią, jak na swoją własność, zapragnął zmienić ją w ślepe narzędzie swojego bezwarunkowego samowładztwa. Stąd wynikło, że ją ociemnił języcyzmem, duchem cudzoziemczyny sprowadził z drogi czysto-narodowej, nietolerancją zakrwawił, zesześcił, rozdzielił, zesłabił, następnie upodlił, przywiódł nad przepaść zguby i wkońcu przeklął.

Wyliczyliśmy wyżej zasługi jego — nierównie krócej dotknęliśmy grzechów. Postawiliśmy obok siebie złą i dobrą jego przeszłość; każdy obustronnie może ją obejrzeć i osądzić. Pytamy teraz, czy katolicyzm może kłaść swoją przeszłość na szalę obecnej sprawy polskiej, jako zasługę? Co do nas, odpowiadamy, że nie. Sam on zniszczył tę przeszłość, zapłacił sobie z lichwą swoje dobrodziejstwa

spełnił do ostatka swoje posłannictwo względem Polski, a gdyby położył tę przeszłość z dobrem i złem, które wyrządził, prędzejby na tem stracił, niż zyskał; złe, wynikłe z niego, jest wyłączną prawie jego własnością, ale wiele dobrego, które utrzymuje dotąd polskiego ducha, stało się wbrew jego chęci, wypływa ze źródła dalszego, czystszej, obfitszego, bo bardziej narodowego, jak katolicyzm, nie ciąży na jego sumieniu. —

Zresztą wszelka przeszłość w zagadnieniach, podobnych naszemu, jest rzeczą podrzędną: niejedna rzecz, dobra wczoraj, może dzisiaj być szkodliwą. Polecień minionego czasu nie powinniśmy inaczej przyjmować, jak warunkowo, ze ścisłą krytyką, z troskliwą oględnością na czas obecny. Choćby nawet nas przekonano, że Polska nie może nic zarzucić przeszłości katolicyzmu, to i wtedy jeszcze nie widzimy koniecznego powodu poddać się mu na ślepo. Obejrzyjmy więc katolicyzm ze stanowiska obecności w przystosowaniu go tak do przygotowań rewolucyjnych, jak do samej chwili powstania — a jakie jest owe stanowisko, wyłożyliśmy to przy końcu naszego wstępu.

W obecnych okolicznościach Polski, tem bardziej podczas ruchu rewolucyjnego, potrzeba przedewszystkiem obudzić i utrzymywać uczucie narodowości, podnosić je aż do fanatyzmu. Cóż stanowi tę narodowość? Oto, że pominiemy język, stanowią ją przymioty, wyobrażenia, interesa, obyczaje, pewne skłonności w stosunkach zewnętrznych, nawet pewne nienawiści, co wszystko charakteryzuje naród, odróżnia go w reszcie ludzkości, tworzy z niego ciało osobne, samodzielne, żyjące w sposób jemu tylko właściwy, uznające się w swoim życiu, a stąd przywiązane do niego, zaciętsze w jego obronie o tyle, o ile narodowość ta mocniej się odbija od narodowości, z którą wali.

Katolicyzm jest kosmopolita. Katolicyzm zna jedną tylko narodowość: katolicką — inne albo zaciera, albo nie troszczy się o nie; katolicyzm przeto, już to najmniej, kiedy jest niezdolny do obudzenia fanatyzmu narodowego. Jaki? A przecież on stanowi głównie tę narodowość! On głównie odróżnia Polskę katolicką od jej nieprzyjaciół

niekatolików! Któż potrafi silniej obudzić nienawiść religijną ku Moskalom i Prusakom przez różnicę religii? — Tak — i zapalić wojnę religijną, domową.... Tu się zatrzymamy. Zagadnienie powyższe musi być z tyłu stron obejrżane, następcza tyle do powiedzenia, że, aby nie powikłać porządku naszych myśli, zostawimy je przez chwilę na boku, a wprzód rzucimy słów kilka o katolicyzmie, jako podstawie narodowości polskiej.

Według nas, twierdzenie to jest zupełnie mylne. Narodowość, uważana wewnątrz narodu, jest to jego charakter — zewnątrz, jest to jego fizyonomia w całym znaczeniu tych wyrazów. Jest to i wewnętrzne jego życie i odbicie tego życia w rysach zewnętrznych — narodowość przeto jest to zbiór przymiotów i rysów, mniej więcej wydatnych, ale wyłącznie właściwych swojemu narodowi, a stąd odznaczających go pomiędzy innymi. Katolicyzm jest bez zaprzeczenia jednym z tych przymiotów i rysów, ale nie jest ich skupieniem, nie jest nawet właściwym jedynie samej Polsce: wchodzi do jej charakteru i fizyonomii tak, jak wchodzi do fizyonomii i charakteru Włochów, Hiszpanów, Francuzów.

Na tem nie koniec. Katolicyzm ma być czemś więcej: podstawą narodowości polskiej. On stworzył Polskę, on ją ożywia; on umiera — i Polska umiera. Pominiemy, co się tyczy śmierci; podobne zagadki najlepiej rozwiązuje przyszłość; zajmijmy się życiem i to życiem, dostępnem najprostszemu rozsądkowi, bo już minionem. Katolicyzm nie stworzył Polski; jest to przeciwne jego przyrodzie która go wciąż popycha do utworzenia z całej ludzkości, jednego tylko narodu, narodu katolickiego, to jest, jednej owczarni papieskiej; jest także wbrew dziejom: znalazł on Polskę już gotową, ze wszystkimi żywiołami narodowości, ze wszystkimi pierwiastkami życia, odzianą już nawet ciałem rozwiniętym, dobrze zbudowanym, silnym. Przechrzczył ją tylko na katolicką, ale nie stworzył, równie, jak nie tworzy człowieka, nie zamienia się w duszę człowieka, któremu chrztu udziela, jedynie robi z niego wyznawcę katolicyzmu, człowieka tej a nie innej religii, i nic więcej. Można-ż powiedzieć o człowieku katoliku, który już przed ochrzczeniem istniał, że bez katolicyzmu

nie byłby człowiekiem, nie żyłby, że wszystko to winien katolicyzmowi, że, odstąpiwszy katolicyzmu, utraci to wszystko, przestanie być człowiekiem? Nam się zdaje, że nie można; a jeżeli nie można o człowieku, nie można i o narodzie, który, jak Polska, żył już przed poznaniem katolicyzmu.

Pozostaje teraz odpowiedzieć na to, że katolicyzm jest najzdolniejszy sfanatyzować Polskę przeciw jej nieprzyjaciółom. Że chętny, o tem nie wątpimy; ale czy zdolny, a, będąc zdolny, czy może sfanatyzować całą Polskę — o tem wątpimy. Wytlumaczenie się łatwe. Do powstania Polski potrzeba najsilniejszego zjednoczenia się wszystkich jej mieszkańców w duchu miłości braterskiej; tę można jedynie przywołać i rozpostrzedz przez przyznanie równych swobód, równych korzyści w przyszłej Polsce całemu jej ogółowi. Do składu Polski wchodzi rozmaite wyznania: można je skierować ku ruchowi zapewnieniem wolności wyznań, przez miłość i tolerancję. Katolicyzm jest nietolerant; mając w rękę jakąkolwiek siłę, nie ścierpi obok siebie innej religii, równej sobie; zapagnie jej ucisku, zechce postępować stosownie do swojego charakteru — przez to oburzy innowierców, odstręczy ich od spółdziałania, a może nawet rzuci w szeregi nieprzyjaciół, jak to już było u nas. Pomińmy nietolerancją z umysłu, systematyczną; weźmy tylko sam czyn fanatyzmu. Obudzony fanatyzm katolików wywoła go koniecznie ze strony innych wyznań; wystąpią na scenę interesa religijne. Interesa te, raz wystąpiwszy, stłumią interes powstania narodowego. Na miejscu walki z nieprzyjacielem zewnętrznym roztoczy się walka wewnętrzna. Ku większemu rozdwojeniu Polski, nieprzyjaciele jej skorzystają z tego wypadku: Austriacy wezmą pod opiekę katolików, Moskale schyzmatyków, Prusacy protestantów, nie dla zwalczania siebie zapewne, ale Polaków przez Polaków. Ktoby to przypuszczenie chciał widzieć w urzeczywistnieniu, niech zajrzy, między innymi, do dziejów Szwajcaryi z XVII wieku. W takim starciu się religii nie można rachować na uczucie patriotyzmu w ludzie: fanatyzm podda go kapłanom właściwych wyznań, u kapłanów

interes religii przeważa nad wszystkimi innymi — pójdą więc, gdzie on ich poprowadzi, a masy za nimi.

Moralna podstawa sprawy polskiej, jej myśl zasadnicza, powinna być z całem dla niej poświęceniem, gotową podzielić wszystkie jej losy, powinna być doświadczoną wiernością i moralnością. Katolicyzm jest egoista. Stosownie do tego ma politykę właściwą sobie, swą tylko dobrem kierowaną. Każe on Sobieskiemu, odłożyć na bok względ na własną ojczyznę, wzmocnić groźniejszego, niż Turek, sąsiada, dla interesu katolicyzmu — każe Warneńczykowi łamać przymierza dla tegoż interesu. O to mniejsza — ale dla interesu katolicyzmu wyklnie tychże Polaków, walczących o wszystkie swoje świętości domowe, zmienią księży w szpiegów austriackich, w narzędzia katów. Popędzi całą Europę do Azji dla rozszerzenia swojej potęgi, zniszczy Amerykę, poburzy nawet ludy przeciwko własnym ich panom, ażeby papież mógł im deptać po karkach, ale w potrzebie wsparcia od królów też same ludy na pastwę im odda. Komu nie dość na tych przykładach, niech sobie rozwiąże następujące zadanie: Rzym, potępiając ostatnie w Polsce powstanie, uznał je tem samem za bezbożne, za niemoralne. Są, którzy inaczej o tem sądzą; w tym razie jedna z dwóch stron musi koniecznie być bezbożna i niemoralna, to jest albo powstanie polskie, albo gabinet rzymski.

Któraż więc jest taką? Myśmy już to dawno rozwiązali i na tej zasadzie twierdzimy, że szczyt katolicyzmu jest dzisiaj takim monarchą, jak inni monarchowie — ma gabinet, podobny innym gabinetom — dyplomacya jego nie lepsza od innych dzisiejszych dyplomacyi; poniżej się przed mocniejszym, opuści słabszego — a duszą katolicyzmu jest jego władza; katolicyzm przeto jest sprzymierzeniec niepewny, niebezpieczny niemoralny; na chwilę oprzeć się na nim nie można, w żadnem niebezpiecznem położeniu nie można na niego rachować.

Powstającej Polsce potrzeba władzy, którąby cały naród miłował, jak własne dziecię, szanował, jak wcielony obraz wszystkich swoich świętości, o którąby się troszczył każdym swoim członkiem, którąby jednak w razie jej nieszoldności mógł zmienić na lepszą, w razie zawiedzio-

nego zaufania pociągnąć do odpowiedzialności, ukarać, która nakoniec byłaby w zgodzie wiecznej z interesem ogółu podwładnych. Taką władzą może być tylko władza z ludu. Wyobrażenie katolicyzmu o władzy sprzeciwia się temu. Zasadnicza myśl jego hierarchii poddaje społeczeństwo zarządowi, idącemu, jak to mówią, z góry, obwarowanemu prawem boskiem, stojącemu niejako za obrębem narodu nie jako jego członek, ale raczej jako drugi, panujący jemu naród: nie zabezpiecza go przeciw nadużyciom tej władzy, przeciw kierunkowi, choćby najzgubniejszemu — zostawia życie i śmierć na łasce jednej osoby, kto wie, czy wkońcu nie gotowej poświęcić dla swojej korzyści narodowego szczęścia. I pod tym więc względem duch katolicyzmu nie jest dla powstającej Polski; może albowiem utworzyć jeżeli nie co gorszego, to dwa przeciwne sobie interesa, walczące wewnątrz wobec walki zewnętrznej.

Pewniawą jesteśmy na tropie władzy — nim zejdziemy z niego, pozwolimy sobie kilka słów jeszcze w tym przedmiocie. Katolicyzm dąży do samowładnego panowania nad ludami. Przyświadcza temu historia, przyświadcza istota władzy rzymskiej: kto nie uznaje nad sobą żadnej wyższej władzy, ten się ma za najwyższą. To właśnie stanowisko zajął monarcha rzymsko-katolicki. Gdyby tylko ten jeden zarzut był przeciwko niemu, już i wtedy pozwolenie mu zbyt wielkiego wpływu na naszą sprawę postawiłoby ją w niebezpieczeństwie. Naprawdę obrońcy papieża chcą nam wmówić, że tu chodzi jedynie o panowanie duchowe, o kierunek dusz; czyż potrzeba więcej do panowania nad ciałem? Moc nad ciałem nie zawsze daje przewagę nad duszą, ale opanowanie duszy i sumienia poddaje całe życie człowieka, całą jego istotę, bez prawa odwołania się do innej jakiegobądź władzy, bez prawa pociągnięcia jej do odpowiedzialności za nadużycie, bez prawa wyłamania się z pod niej, choćby dla zadośćuczynienia najświętszym przekonaniom, choćby nawet na drugim świecie, bo i drugi świat jest pod kluczem kościoła. Temu wszystkiemu nikt nie zaprzeczy: ci nawet, którzyby chcieli głośkaniem przyprowadzić nas do nóg papieża.

Mamyż się poddać podobnej władzy, kiedy z tego czynu koniecznie wynika, że się wyrzekamy całkiem naszej woli narodowej i bezwarunkowo składamy nasze losy w ręce papieskie? Możemy-ż mieć jakie rękojmie, że katolicyzm pokieruje naszą sprawę z takim dla niej poświęceniem się, z jakimby pokierowała władza narodowa, od narodu zawisła? Możemy ją mieć w zgodności interesu katolicyzmu z interesem polskim, a, wyraźniej mówiąc, w tym razie, gdyby kościół wierzył, że Polska niepodległa jest konieczna do jego bytu, że ta niepodległość jest prawie pewna, a następnie, że kościół rzymski może wdać się w polską sprawę bez narażenia siebie. Ale położmy przypadek przeciwny, a naówczas co nam ręczy, że nie odstąpi nas, nie poświęci naszej sprawy ocaleniu własnych interesów? Zapewne nie jego przeszłe postępowanie. Zgadza się zresztą, że nie poświęci Moskalowi, któremu ulega dotąd przez bojaźń, z którym, jako odszczepieńcem, nie może wejść nigdy w szczerze przyjazne stosunki; ale jest Austria, nieprzyjaciółka Polski śmiertelna, jak Moskwa, a przyjaciółka Rzymu — dlaczegożby nie miano katolicyzmem Polski wzmocnić katolickiej Austrii? Przez to zginąłby tylko naród, ale katolicyzm wzmocniłby się wobec heretyckiej Moskwy i Prus.

Kto zechce zgłębić i rozwinąć to przypuszczenie, kto wie, że narodami handlują nie tylko ci, którzy jawnie, bezpośrednio stoją na ich czele, kto pojmuję, że katolicyzm, zyskawszy raz przeważny wpływ na umysł polskiego narodu, będzie w możności sparaliżować usiłowania, przyprowadzić do zwątpienia i rozporządzić nim według swojej woli, komu nareszcie wiadomo, jak Jezulci, osiedli w Polsce, pracują dziś już dla Austrii, nie dla Polski — temu obawy nasze nie zupełnie wydadzą się marzeniem, ten dobrze zastanowi się nad tem zadaniem: czy można zbawienie Polski osadzić na katolicyzmie, jak na głównej kotwicy — i pewni jesteśmy, że będzie przeciwnego zdania.

Katolicyzm, przez nakaz ślepej wiary w swój kościół i poświęcenia się przedewszystkiem sprawie kościoła stawiać siebie na pierwszym miejscu, naznacza podrzędną ważność interesowi narodowemu, stłumia patryotyzm, od-

rywa od działań publicznych. „Pierwej zbawienie duszy, a potem Polska“, powtarzają nam prawowierni katolicy. I nie bierzmy tego zdania za czeze brzmienie, za chwilowe obłąkanie kwietyzmu religijnego. Nie widzieliśmy-ż w ostatniem naszym powstaniu ludzi, którzy je ściśle zastosowali? Jest ono logicznie wyciągnięte z ducha katolicyzmu; za takie musimy je przyjąć — a przyjąwszy, cóż mamy z niego wnosić? Oto, że niepodobna być zarazem dobrym katolikiem i dobrym Polakiem — a przynajmniej, że między dążeniami katolika i Polaka jest pewien rozbrat, który nadto interesowi pierwszego daje przewagę nad interesem drugiego; z takiej przyrody ich stosunków czyż nie może czasem wyniknąć zupełna między niemi sprzeczność i potrzeba, ażeby Polak ustąpił katolikowi, poświęcił swoje obowiązki obywatelskie obowiązkom religijnym? Przykład duchowieństwa polskiego, które tak pięknie odznaczyło się w ostatniem powstaniu, nie przeciw nam nie mówi. Była to tylko pewna część, zbuntowana przeciw swojej władzy; najlepszy dowód, że podpadała za to ogólnej klątwie; ale była część druga, obojętna dla sprawy ojczyznej, jak przystoi na wiernego poddanego rzymskiej stolicy, a ozdobiona męczeńskim wieniec dopiero w bezpośredniem prześladowaniu katolickich interesów, po upadku powstania. Księża, czynni w powstaniu, wystąpili jako Polacy, nie jako katolicy, wystąpili jak Polacy protestanci, schyzmatycy, mahometanie i tym podobni, pod natchnieniem religii powszechniejszej w Polsce, pod natchnieniem patryotyzmu.

Możemy-ż pominąć, że katolicyzm potępia uciekanie się do środków materyalnych przeciw nieprawemu nawet uciskowi i wyklina z góry wszelkie rewolucje, wszelkie powstania przeciwko władzy, jakaby ona była? Że tak jest, nie mamy, zdaje się, potrzeby dowodzić faktami historycznymi: każdy Polak znajdzie dowody w bolu świeżej narodowej rany; że tak być musi, temu nie zaprzeczają najzarliwsi, najstronniejsi obrońcy katolicyzmu: wszakże on przedewszystkiem spirytualista. Bardzo to chwalebne, bardzo dogodne dla niego; jako społeczność duchowa, nie potrzebuje, nie może mieć innej potęgi; ale naród w innem jest położeniu: naród jedną połową swojej istoty jest

materyą, ma interesa ziemskie, które są dla niego takiej ceny na tym świecie, jak zbawienie w przyszłym, takiej ceny, powiadamy, bo zbawienie jego zagrobowe zależy od wypełnienia ziemskiego powołania, a nie wypełni go bez pomocy materyalnych, poza sferą materyi; ma zatem jeżeli nie ważniejszą nad wszystko, to niezmiernie ważną stronę materyalną, którą nieprzyjaciele napastują środkami materyalnemi, którą podobnemi tylko środkami obronić może.

Nie upieramy się, że to potępienie jest bezwarunkowe, rozciągnięte do użycia wszelkich bez wyjątku środków. Nie upieramy się przy tem — ale dosyć wziąć jeden przykład, aby zobaczyć, jak daleko ona się rozciąga, i przekonać się, o ile może nam zawadzać ten niedorzeczny przez wybujaanie spirytualizm. I tak do powstania na stopie walki całej masy narodu polskiego nie można ominąć najlichnieszej jego części; ażeby jej użyć, potrzeba ją ożywić uczuciem miłości braterskiej — ażeby ją ożywić tem uczuciem, potrzeba ją przypuścić do braterstwa narodowego czynem, to jest, przypuścić do używania wszelkich jego korzyści czyli do równych praw, do równych swobód, jednym słowem, do równego ze wszystkiemi życia publicznego; żeby to przypuszczenie nie było pozorne, żeby, nie będąc pozorne, nie wydało skutków gorszych może, niż dzisiejsza tej klasy bezczynność, potrzeba jej dać materyalną podstawę w bycie, odpowiednim jego powołaniu, w bycie dobrym; masa, tak olbrzymia, jak masa naszych włościan, nie może mieć tego bytu bez własności: trzeba ją więc uwłaszczyć. Katolicyzm spirytualista krzyczy na ten środek, jako na materyalny. Darmo przedstawiać, że taki czyn byłby najmoralniejszy w swoich skutkach, jak jest najmoralniejszy w samymże pomysle, że tłumy całe wyrwałby z upodlenia, do którego niedostatek i ciemnota, nieodstępna jego towarzyszką, koniecznie przyprowadzają, że w jednej godzinie rzuciłby w naród nasiona więcej cnót prywatnych i publicznych, niż ich mogą rzucić całowieczne kazania, że, jako czyn sprawiedliwości, zatarłby wszystkie przeciwludowe grzechy panującego dotąd stanu, rozgrzeszyłby go z nich przed Bogiem i ludźmi, zostałyby wiecznem przymierzem wiel-

kiego narodowego braterstwa. Darmo to wszystko przedstawiać; katolicyzm widzi w tem tylko materyalizm, a dla tryumfu swojego spirytualizmu potakuje przywłaszczeniu, dostarcza samolubom broni odpornej przeciw szlachetnym namowom, uświęca nieprawość, potępia zaśluszczenie sprawiedliwości, utwierdza złych we złem, a przez to wszystko kępuje niechęcią najlichnieszy zastęp narodowej potęgi, najczerstwiejszy żywioł powstania, oddala chwilę pojednania się powszechnego, przedłuża niedolę narodu i głównie przyczynia się do jego stanu coraz niebezpieczniejszego.

Spirytualizm katolicyzmu idzie dalej. Nie przestaje na niweczeniu środków powstania: samo powstanie podciąga pod materyalizm i, jako taki, potępia. A przecież on sam uciekał się nieraz do wojen? — Niezawodnie. — Musi więc być granica, której spirytualizm jego nie przekracza. Nic pewniejszego: tą granicą jest interes Kościoła. W tym razie wszystko jest godziwe: cel tak święty, jak dobro kościoła, uświęca nawet materyalne środki, wojny, powstania, rewolucye. Ale biada ludowi, któryby się ośmielił widzieć podobną świętość w swoim narodowym celu i zechciał korzystać z przykładu kościoła rzymskiego we własnej swojej sprawie; biada tym większa, im nieprzyjaciół jest mocniejszy i ma sposobność pomścić się na kościele katolickim! Wówczas dogmata: „wszelka władza od Boga pochodzi“ — „lud powinien bezwarunkowo posłuszeństwo swoim panom“, i tym podobne, występują przeciw tobie z całą świętością, niebieskiej wyroczni, ze wszystkimi następstwami gniewu papieskiego przeciw buntownikom. Doświadczyliśmy już tego i jeszczebyśmy doświadczyli, gdybyśmy, czego Boże uchowaj, znaleźli się znowu w przypadku ostatniego powstania.

Mimo to wszystko, niektórzy przyrzekają w imieniu katolicyzmu odbudowanie Polski, byle ta oddała się jemu z zupełną wiarą — i my więc, puszczać mimo dotychczasowe nasze uwagi, jeszcze raz rozstrząśniami, czy to przyrzeczenie może mieć jaką wagę, a rozstrząśniami z nową całą stroną. Cofniemy się na chwilę w przeszłość, zobaczymy, co katolicyzm zrobił, i z tego osądzimy, co może zrobić. Naród polski, a w szczególności szlachta, była nie-

pospolicie katolicką; świadczą o tem dzieje, nie przeczą katolicy, owszem, opierają na tem, jak na twierdzeniu, obecne swoje dążenia: jeden to z najmocniejszych argumentów, i słusznie, który ciągle rzucają w oczy swoim przeciwnikom. „Wszak to wiara ojców waszych — powiadają oni — ojcowie wasi byli pobożni, gorliwi, prawowierni katolicy“, i tak dalej. Jest to więc prawda, widoczna tak dla nich, jak dla nas, że katolicyzm miał w swoich rękach cały naród polski: tak szlachtę, jak pospólstwo. Cóż się działo w tej Polsce katolickiej? Jaki był jej widok? Oto z jednej strony tyrania, z drugiej niewola. Jeżeli katolicyzm przyzna, że one były w jego duchu, naówczas wysuwa się ze wszelkiego prawa do rządzenia społeczeństwem polskiem w obecnych okolicznościach; jeżeli nie były w jego duchu, dlaczegoż ich nie zniszczył? Czy nie miał dosyć mocy? A któż może mieć więcej mocy, jak religia wobec prawowiernych swoich wyznawców? Czy nie miał dosyć czasu? Przecież od ośmiu wieków istnieje w Polsce; ośm wieków panował nad umysłem polskim jako religia stanu, i nie zamienił narodu w milującą się rodzinę, nie utrzymał go choćby przy bycie niepodległym, w okolicznościach najprzychylniejszych sobie i narodowi — a dzisiaj, z wypłowiałym swojej świętości urokiem, przy stanie narodu, na jego niekorzyść zmienionym, chce w nas wmówić, że ma dosyć potęgi do wskrzeszenia Polski, i to zapewne, nie potrzebując na to wieków; nie zrobił, nie mogąc czy nie chcąc, rzeczy łatwiejszej, a na trudniejszą się zrywa. Temu nigdy nie uwierzmy: a między innemi i dlatego, że już dzisiaj nie jest tem względem Polski, czem był dawniej. — Skażony w swoim kapłaństwie, odmieniony zabobonami z dobrej strony dla ócz ludu, obnażony we złej rozumem ukształceńszej części narodu, stracił on dzisiaj ten urok, który mu niegdyś bezwarunkowo poddawał wyobraźnię, serca, rozumy i dusze całych ludów. Ażeby się dźwignął, potrzebuje naprzód wewnętrznej samego siebie naprawy.

Ale my i temu nie wierzymy. Taka instytucja, jak katolicyzm, tak logiczna, tak zupełna w sobie, tak harmonijna we wszystkich szczegółach, tak wyrobiona podług jednego planu, nie żyje cząstkowymi naprawami; nie

pusze się w pewnych tylko miejscach zepsuciem nie nie znaczącem, nie powstaje, straciwszy raz równowagę. Jej psucie się musi być w żywotnym soku, ogarnia całe ciało — jej naprawa w całkowitem przerodzeniu się. Przypuściwszy zresztą możliwość restauracyi katolicyzmu i podniesienia go znowu do takiej potęgi, jakiej wymagamy po myśli naszej zbawicielce, nie możemy obok tego zataić przed sobą, że podobna robota wymaga takich usiłowań, tak prężnych okoliczności, tyle czasu, iż byłoby nedorzecznicią z naszej strony, w położeniu tak gwałtownem, w jakim jesteśmy, na nim budować całe nasze dzieło. Nadewszystko nie zapominajmy, że katolicyzm jest dziś w stanie upadku i chwytą się wszelkich środków do wyjścia z niego. Tyran na szczycie potęgi, chytry w słabości — oto charakterystyczne piętno papizmu.

Zakres pisma nie dozwala nam wyczerpać do dna naszego przedmiotu, sądzymy jednak, żeśmy dosyć powiedzieli do przekonania tych, którzy widzą zbawienie Polski w podniesieniu katolicyzmu do wyłączonej religijnej przewagi w jej sprawach politycznych; pragnących jaśniejszego o nim wyobrażenia odsyłamy do dziejów jezuityzmu przeszłych i społecznych. Jezuityzm jest zreasumowanie katolicyzmu w jednym zakonie; odbicie jego tem wydatniejsze, im w szczuplejszym skupione jest ognisku: tam go najwyraźniej, najzupełniej obejrzyć można.

Nie rozwinięlibyśmy w zupełności naszej rzeczy o katolicyzmie, nie bylibyśmy może pojęci, jak być chcemy, gdybyśmy w tem miejscu skończyli. Jeszcze więc słów kilka.

Oświadczyliśmy wyżej, że nie mamy żadnego nienawistnego uprzedzenia ku katolicyzmowi; to oświadczenie powtarzamy. Katolicyzm jest religią, a dla nas niema religii, którąbyśmy nienawidzili. Szanujemy je nawet o tyle, o ile powinniśmy szanować w bliżnim najgłębsze jego przekonanie, sprawę sumienia, skład wszystkiego, co jest najdroższe i najświętsze dla człowieka, stronę jego nadziemską; o tyle, o ile szanować pozwala względ na dobro ogółu, szacowniejsze od dobra pojedynczych ludzi. Szacunek ten nakazuje nam pojmowanie religii a zarazem polityka narodowa. Przez tolerancję i politykę

rozciągając tę wyrozumiałość do wszelkich wyznań w Polsce, nie możemy odmówić jej katolicyzmowi, zwłaszcza, że on niezaprzeczenie jest najwięcej narodowym i ma pod wielu ważnymi względami widoczną nad innemi wyznaniem wyższość. Tem mniej nastajemy na jego zniszczenie. Gdyby nie inne względy, to sam wzgląd na czas wstrzymałby nas od podobnego zamiaru. Polska w tej chwili ważniejszą ma pracę, jak spory religijne. Już i bez tego zanadto naśladowujemy Carogród w chwilach jego upadku. O cóż więc nam chodzi? O to jedynie, ażeby katolicyzm rozważył, co jest w nim i obok niego, żeby nie nastawał na prawa innych religii, nie pisał się do steru spraw narodowych, nie mieszał się do polityki ze szkoda i stłumieniem innych moralnych żywiołów ducha polskiego, zawiesił swoje zabiegi jezuickie, zamilkł z pretensjami do religii stanu, przynajmniej na czas walki o niepodległość zewnętrzną, nie stał na drodze objawianiu się i rozprzestrzenianiu wyobrażeń, zgodniejszych z duchem czasu, odpowiedniejszych dzisiejszym potrzebom Polski, przychylniejszych duchowi czynu, mającego losy Polski rozstrzygnąć — jednym słowem, chodzi nam o dowiedzenie, że on nie jest tą myślą, która nas zbawi, a razem i o utorowanie drogi dla tej, która zbawić potrafi.

Zresztą jesteśmy powolni i nieuprzedzeni; cieszylibyśmy się szczerze, gdybyśmy się przekonali, że pojmowanie nasze katolicyzmu jest mylne, że on ma w sobie więcej dobrego i pożytecznego, niż my dostrzedz możemy. Przybyłaby Polsce pomoc ze strony, skąd się jej najmniej spodziewamy. Wiara nasza w życie narodu wzrosłaby jeszcze silniej, jeżeli to być może, a temsamem zwiększyłaby się potęga narodu. Lecz w braku podobnego objawienia lepiej zostawić katolicyzm w jego roli przyrodzonej, pomiędzy środkami podrzędnymi, w sferze tajemnej prywatnego sumienia, a pójść za myślą, która by potężniej przemówiła do dzisiejszych pokoleń, objęła liczniejszy, cały ogół narodu, leżała od wieków w istocie ludzkości, w istocie każdego człowieka, niezawisłe od jego wtajemniczenia przez tę lub ową formułkę do tej lub

owej z dzisiejszych religii, a, wszechmocna temi przymiotami, umiłowana szczerze, jedynie obecny cel Polski, i ku jego osiągnięciu związała wszystkie nasze siły w jedno poświęcenie się ściśle narodowego¹.

1841.

¹⁾ Dalszych części tej rozprawy autor nie napisał.

PISMA SATYRYCZNE „PSZONKI“¹.

1839—1842.

¹⁾ Zebrane są tutaj ważniejsze artykuły Goszczyńskiego z czasopisma „Pszonki“ (Strasburg) z Oddziałów I. II. i III to znaczy z r. 1839, 1840 i 1841.

WYDAWCY „PSZONKI“ DO CZYTELNIKÓW.

Przychylna pismu naszemu opinia, tych właśnie, o których najwięcej sumiennym pisarzom chodzić powinno, gorliwa z ich strony wszelkiego rodzaju pomoc i zapewnienie jej na przyszłość, jak nas pokrzepiały w trudach wydawnictwa przez kończące się obecnie półrocze, tak razem wzmocniły postanowienie nasze dalszego pracowania na tejże samej drodze. Wypowiadamy to z rodzajem pewnej radości, nie dlatego jedynie, że zadamy fałsz prorocत्वom, przepowiadającym rychły nasz upadek, ale, że w tym czynie możemy ogłosić nowy dowód zdrowego rozsądku naszej emigracyi w ocenianiu swoich spraw i swoich ludzi. Teraz o rzeczy, która jest głównym przedmiotem odezwania się do was.

Kto jesteśmy, czego chcemy — to staraliśmy się wam wykazywać w samej treści pisma naszego. Że jednak wiele nam zależy na tem, abyśmy zabrali z sobą jak najściślejszą znajomość, ażebyście nie byli nigdy w przypadku odgadywania naszych dążeń, a stąd opaczego niekiedy pojmowania — więc niedwuznacznie, lubo jak najzwięźle, damy wam obraz naszej wiary politycznej, przedstawimy wam nasze założenie dziennikarskie. Chcielibyśmy przez to wprowadzić was na właściwą drogę, odkryć się w całej, że tak powiemy, naszej nagości, w śmiałym zaufaniu, że, czyniąc to, nie stracimy, ale zyskamy przed waszym sądem.

Polska niepodległa za pośrednictwem wewnętrznej swojej potęgi, niezależnie od jakichbądź okoliczności zewnętrznych, Polska przez zupełne usamowolnienie ducha i ciała jej ludu, czyli Polska, urządzona na wszechwładztwie ludowem, w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, oto jest zasadnicza dogma naszej wiary, pierwsze i ostatnie

słowo naszej nauki, początek i koniec wszelkich naszych usiłowań, cały plan naszej budowy. Jedynie w tej myśli, a nie w innej widzimy nie tylko Polskę oswobodzoną, ale Polskę powstającą, Polskę mającą powstać. Jedynie w zaszczerpieniu tej myśli na sumieniu narodowym, w jej rozwinięciu i utrwaleniu widzimy możność i skuteczność powstania, a następnie trwałe byt naszego narodu. Ona jest ostatecznym celem i jedynym środkiem naszego dzieła. Wszelkie inne zagadnienia polityczne uważamy za podrzędne, za zależne od powyższego, i dlatego tu opuszczamy je całkiem.

Alé my nie tworzymy nowej społeczności: mamy ją gotową, mamy ją wielką i starą. Jej ogrom obejmuje miliony, jej życie obejmuje wieki; powinniśmy tylko zrozumieć ją, doskonalić: wzywa nas do tego prawo postępu. Leczyć, że społeczność nasza zachwiała się, osłabła, trzeba więc ją przyprowadzić do zdrowia, zniszczyć trawiące ją zepsucie; powinniśmy ją leczyć: nakazuje nam to interes jej życia. Z natury więc powołania dzisiejszego pokolenia polskiego wypływa niejako rodzaj pracy budowania i burzenia, jeżeli burzeniem można nazwać wyrzucanie części zepsutych. Z natury podobnego dzieła wynika znowu, że obie te prace obok siebie iść muszą; przy naprawianiu burzenie jest konieczne. Zostawiając chwałę pierwszej pracy innym pismom, przestaliśmy na drugiej. W tem zatrudnieniu przewodniczy nam następne widzenie rzeczy: Naród trwa i kwitnie uczuciem duchowym, obyczajami, instytucjami prywatnymi i publicznymi — upada przez wady i zepsucie tych żywiołów swego bytu. Za pierwiastki, grające najważniejszą rolę w publicznym życiu Polski, uważamy miłość ojczyzny, duch poświęcenia się dla niej, braterstwo obywatelskie, urządzenia i wyobrażenia republikańskie, demokratyczne, budowę i cnoty rodzinne domowe, chrześcijaństwo.

Widok przeszłości i obecności naszej, bardzo jasny dla każdego, kto chce zatrzymać nad niemi swoją uwagę, pokazuje nam skażenie tych pierwiastków, a w tem skażeniu główną przyczynę obecnych naszych nieszczęść, główną przeszkodę do wydobywania się z nich narodu. Upadliśmy, bo przemogli nad żywiołami naszego bytu wyro-

dzione z nich papizm i jezuityzm, skąd poszło mdlenie ducha polskiego, gaśnienie jego umysłu, niemoralność, wyobrażenia instytucji i rządu przeciwne wyobrażeniu społeczeństwa, urządzonego na braterstwie i wszechwładztwie całego narodu — monarchizm, arystokracja, szlacheccyzna, a za niemi konieczne ich następstwa: z jednej strony, skończone zepsucie i wszystkie zbrodnie rozkiełzanej przemocy, z drugiej, upodlenie, otrętwienie większości narodowej — obok nich nienawiść bratnia, rozdrowienie wewnętrzne, których loiczem było następstwem osłabienie narodowych uczuć, rozprężenie publicznych węzłów, cofnięcie się do nikczemnej sfery egoizmu, zwątpienie o narodowej potęgę, utrata wiary narodowej, bezład, наконец upadek pod pierwszym ciosem pierwszego silniejszego wroga. Otóż macie nasze widzenie zepsutej strony społeczeństwa polskiego — oto, przeciw czemu postanowiliśmy powstać, co zburzyć, zniszczyć chcemy. Przedstawiliśmy ją wam o tyle, o ile obręb tego pisma pozwala. Wszakże myślimy, że każdy z was dosyć jest oswojony z tym przedmiotem, aby i z tego rysu, acz zwiększonego, pojął nas i cel naszego pisma, a aby ogarnął jednym rzutem oka całe pole naszej dziennikarskiej pracy.

Taka jest pierwsza część naszej do was przemowy, bracia czytelnicy. W następnej pomówimy o zarzutach przeciwko formie, w jaką podobało się „Pszonce“ swoje myśli obwijać. We złej czy w dobrej mierze podniesione owe zarzuty — tego rozstrzygać nie będziemy; radzibyśmy widzieć przynajmniej prawosć chęci w najzaciętszych naszych przeciwnikach. Bylibyśmy je nawet pominęli wiecznem milczeniem, gdyby nie to, że niektóre umysły, nie podejrzane nawet o pocziwość, ludzie naszej wiary, ale zanadto miękkoduszni, zaczęli przyjmować ten przeciw nam okrzyk za dobrą monetę. Takich to wyprowadzić z mylnego mniemania, bardziej dla interesu samej prawdy, niż dla naszego, uznajemy za świętą powinność; dla takich jedynie roztrząsnąć chcemy ten przedmiot.

Spomniane zarzuty zbito w kłębek, przedstawiając jedną tylko ważną dla nas stronę, to jest, żeśmy przyjęli, w obecnych okolicznościach Polski niewłaściwą dla polskiego dziennika formę, że śmiech i dowcipkowanie w po-

łożeniu tak smutnem, tak uroczystem, w jakim się dziś Polska znajduje, jeżeli nie są zbrodnią, przeciw ojczyźnie, to przynajmniej nieprzebaczoną lekkomyślnością.

Szanowni czytelnicy! Nie podciągajcie naszego śmiechu pod śmiech uciechy, lekceważenia świętej sprawy, obojętności dla niej! Alboż wy nie wiecie, że są różne rodzaje śmiechu, jak są różne rodzaje płaczu? Można płakać w rozplynieniu się najwyższem szczęściem, w chwili najświetniejszego tryumfu sprawy: któż takie łzy nazwie zbrodnią?... Można równie śmiać się nie tylko w stanie zupełnej szczęśliwości. Największe nieszczęście ma swój uśmiech, i taki uśmiech właśnie dowodzi wyższości nad wszelkie klęski, pełną wiarę w swoją dobrą sprawę, wiarę, niezapreczenie pełniejszą od wiary tych, co się modlą, co płaczą, co narzekają. Taki uśmiech jest dowodem spokojności umysłu, tęgości duszy. Chcecie-ż wymienienia ludzi, którzy tak cierpieli i umierali?... A nie zarzucano im bluźnienia sprawie, dla której te cierpienia, tę śmierć ponieśli. Ma jeszcze swój uśmiech wzgarda, rozpacz, wściekłość, najgłębsza ponurość, najdogryźliwsza troska. O wy, co nam śmiech zarzucacie, czy wy wiecie, że on nas więcej kosztuje, aniżeli was łza wasza — że boleść, co go rodzi, większa jest od tej, z którą nam wymawiacie nasz niby dobry humor? Przypuśćmy wreszcie, że w drwinkowaniu naszym jest coś wesołego, i zwróćmy oczy na tych, którzy robią z tego zbrodnię. Może sądzicie, że na ustach ich nie pokazał się uśmiech przez cały ciąg przynajmniej emigracyi, że przez wzgląd na nieszczęścia publicznie zrobili rozbrat z wszelkimi uciechami światowemi, że żałoba poobjęzsta powlokła wszystkie wzruszenia ich oblicza, że jej krew i łzy zalały całe ich dusze, że to są posągi boleści na jej grobie?... O, gdzież tam! I jedzą, i piją, i śmieją się, i bawią się; — nieprawdaż — a nikt jednak nie bierze im tego za zbrodnię, żaden z nich nie ma się przeto za zbrodniarza. Zważmy jeszcze, że robią to wszystko dla własnej tylko przyjemności; czemużby nie godziło uśmiechnąć się dla ogólnego dobra? Nie pojmujemy tylko, dla czego przeciwnicy nasi w świątobliwej surowości zasad zatrzymali purytańskie swoje spojrzenie na samem położeniu Polski porewolucyjnej? My dalej sięgamy. Podług

nas, Polska jest tak nieszczęśliwa, jak tylko naród nieszczęśliwym być może, nieszczęśliwa do najwyższego stopnia, od ostatniego przynajmniej rozbioru. Chwile nadziei, ulżenia, wypoczynku były tak krótkie, tak pozorne, i dla tak małej części narodu, że nie godzi się utrzymywać, ażeby w tym przeciągu czasu była kiedykolwiek Polska szczęśliwa, szczęśliwsza, jak dzisiaj. W całej tej epoce Polska nie przedstawia się nam inaczej, tylko, jak człowiek, leżący pod chłostą knuta; chwila jego odpoczynku — to czas między jednym a drugim uderzeniem, podniesienie ręki do nowego uderzenia. Zmiany polskiej doli, to były tony wyżej lub niżej, a pieśń zawsze ta sama. Wychożąc przeto ze stanowiska naszych przeciwników, potrzebaby klątwą obłożyć wszystko, co przez cały ten czas nie było jękiem.

„Ale szyderstwo jest bronią nie braterską, trąci zawsze naigrawaniem się z nieszczęść narodowych, nie nawróci tego, kogo rozumowanie nawrócić nie zdołało, i t. d.“ Przedewszystkiem nie mięszajcie ogółu narodowego z jego wyrodną częścią, nie przyklepajcie jej bezecności do chwały narodowej, nie ubarwiajcie jej upodlenia publicznymi nieszczęściami; dla nas rzeczy te są zupełnie różne od siebie. Każąc z tego tekstu, nie zakłóćcie spokojności naszego sumienia, nie bądźcie dla nas strasznymi. Jeżeli chcecie pokazać światu, żeśmy sceptycy, burzyciele, zbrodniarze, żli Polacy, to wytknijcie w naszym piśmie aby jedno miejsce, szyszające z miłości ojczyzny, z poświęcenia się, z narodu, z praw jego ludu, z jego chwały, z czystych, wzniosłych, religijnych uczuć. Takiego miejsca nie znajdziecie, bo to jest nasza wiara, dla której cierpimy, dla której tryumfu pracujemy i nie przestaniemy pracować, bo to świat naszej miłości. Ale za jego obrębem pole naszej walki, świat naszej, jeżeli nie nienawiści, to oburzenia i nieprzyjaźni. Na tem polu kto przeciw nam staje, ten nasz nieprzyjaciół, i chociaż jest Polakiem, nie posuniemy sentymentalności aż do złożenia przed nim broni, jak nie posuniemy sentymentalności chrześcijańskiej do uściskania się z Moskalami, dopóki nas ciemieją, chociaż Moskale są także chrześcijanie. Tacy Polacy, tacy chrześcijanie w naszym rozumieniu mało się od siebie różnią;

jeżeli jedni gniotą nas swoją siłą fizyczną, to głupstwa i zbrodnie przeciw ludowe drugich krępują nas moralnie, ułatwiają zwycięstwo pierwszym. Dla takich Polaków trudno prawemu sercu dochować braterskich uczuć i, szydząc z nich, tak nie ubliżamy majestatowi nieszczęśliwej ojczyzny, jakbyśmy nie ubliżali jemu, szydząc z Mikolaja. Nie, panowie, nie tu jest naigranie się z Polski, nie tu przeciw niej zbrodnia; wy wojujecie pozorem, formą wypowiedzenia myśli, a my ją w rzeczy, w myślach tylko widzimy. Propaganda jezuityzmu, rojalizmu, szlachectwa, niewoli, ciemnoty, propaganda zasad, które zepchnęły Polskę z drogi narodowego jej powołania, zaciemniły umysł narodowy, skępowały ducha narodowego, spowodowały jego upadek, a dzisiaj tłumią rozwijanie się żywiołów odnowionego bytu, bydlęcym swoim oporem cofają naród, popychany siłą młodego czasu, mamiłkami drobnego egoizmu odwodzą od sztandaru jedności ludowej, słowem, robią Polskę niezdolną do powstania. Oto jest rzeczywiste szyderstwo, szatańskie naigranie się, zbrodnia przeciwnarodowa; przeciw tej powstanie, choćby się objawiła w formie najuroczystszej, najpoważniejszej, najewangelicznniejszej. — Wolelibyście na koniec łajanie, jak szydzenie. W tem żadną miarą dogodzić wam nie możemy, a głównie dlatego, że najmianowicie i najmocniej uderza nas śmieszna strona naszych przeciwników — powtóre, mamy przekonanie, że ich łatwiej podamy w pogardę narodu, okrytych właściwym, rodzimym strojem, jak opryskanych żółcią gniewu. Kto jest za drugim, wolna mu droga; my to niesiemy sprawie ojczystej, na co możemy się zdobyć. „Kiedyż bo niezgrabnie dowcipujecie“, rzeknie ktoś z boku. A my na to: — Kto wie, możebyśmy rozmawiali jeszcze niezgrabniej. Nie dlatego stajemy do bitwy, że się mamy za biegłych wojowników, ale, że walkę uważamy za powinność. Ani nas odręca nieumiejętność robienia bronią. Byłoby słusznie wypędzać kogoś z narodowego powstania za to, że się nie umie obchodzić z orężem, jak żołnierz wyćwiczony? Niech tylko ma tyle zręczności, aby swoich nie kaleczył — a nam się zdaje, że mamy jej tyle. Ustąpimy, skoro się przekonamy inaczej. Bądź co bądź, musimy wszakże zgodzić się z nielitości-

wymi naszymi sędziami na to jedno, że podobna walka jest bolesnym widokiem. Bez wątpienia, bolesnym, ale koniecznym, dopóki mamy przeciwników. Nikt zapewne nie pragnie goręcej od nas jak najprędszego wyjścia z tego stanu. Wstając i kładąc się, wzdychamy: „Spraw, Boże, dla jak największej potęgi przyszłego powstania polskiego, dla uniknięcia wszystkich scen okropnych, do jakich naród może być doprowadzony w stanowczej, dla swego bytu, chwili, ażeby szyderstwo „Pszonki“ było najwyższem wysileniem nienawiści bratniej, wojny domowej między Polakami, aby skończyło się na placu braterskiego pojednania.“ A jednak nie założymy rąk i urzeczywistnienia tej przyszłości pożądanej nie zdamy na dzisiejszych naszych przeciwników, którzy właśnie wszystko tak robią, jakby ją na zawsze oddalić chcieli. Nawrócimy ich samych, to przynajmniej uratujemy jakąś część tych, których oni chcą do siebie, do zbrodni namówić. Nie, nie możemy obojętnie patrzeć, mimo pobożnych i szczerych, bez wątpienia, rad waszych, aby się pomnażała liczba ofiar przewrotności, aby dobra sprawa ludu znalazła się bez dostatecznej siły w chwili stanowczej dla siebie. Gdybyśmy tak zrobili, wtedy dopiero nazwanoby nas słusznie sceptykami, ludźmi bez sumienia, bez wiary.

Innych podrzędnych zarzutów nie roztrząsamy: szkoda nam czasu czytelników i miejsca w „Pszonce“ — zwłaszcza, żeśmy się starali i zarzuty i odpowiedź na nie postawić na takim stanowisku, ażeby starcie się w głównych punktach rozstrzygnęło walkę całej linii bojowej. Oto jest nasza odpowiedź. Widzicie z niej, że nie jesteśmy ludźmi bez wiary, bez miłości, że nie jesteśmy lekkomyślnymi śmieszkami na grobie ojczyzny, że, jak z jednej strony czujemy całe smutne położenie Polski, tak z drugiej przyjmujemy prawdziwe jej potrzeby, że nie burzymy Polski, ale ją oczyszczamy z zepsucia i z brudów dla zrobienia miejsca potrzebnym naprawom, że obcinamy jałowe gałęzie, ażeby rozmaite swobodniej się rozwijały, że na koniec, chociaż nie poszliśmy zwyczajną dziennikarską drogą, jest jednak właściwa, godziwa i pożyteczna, bo prowadzi do celu, spólnego wszystkim prawym Polakom: do wolności wewnętrznej i zewnętrznej polskiego ludu.

Na ostateczne zakończenie jeszcze słów kilka. Ludu polski! A przynajmniej wy, do których „Pszonka“ może się dostać, którzy go czytać możecie! Oskarżają nas przed wami z najdrażliwszej dla Polaków strony, wystawiają nas za szkodliwych polskiej sprawie. Bronimy się otwarcie, zdając się zresztą na nasze pismo. Sądźcie! Przede wszystkim jednak miejcie to na uwadze, że oskarżyciele nasi biją głównie w najslabszą waszą stronę, przekupują was słowem miłości ojczyzny. Miejcie się na baczności, ilekroć usłyszycie przemawiających tym językiem! Nas tak łatwo tą miłością ojczyzny wszędzie prowadzić, nawet do przyjaźni z Moskalami. Nieprawdaż, panowie Czartoryscy? Jakaż była potrzeba przeciwko nam jej używać? Przypuśćmy, że się śmiejemy i chcemy rozśmieszać, ale gdzież my chcemy tym śmiechem doprowadzić Polskę? Czy pod knuty moskiewskie? Czy na Madejowe łóżko kongresowego królestwa? Czy na inkwizycyjne stosy jezuityzmu? Czy pod różgę samowładną jakiego bąkarta Piastów lub Jagiellonów? Oto do umiłowania ludu polskiego, do przyznania mu jego praw, do niepodległości, do wielkości, do szczęścia całej Polski. Jeżeli to właśnie nie podoba się naszym oskarżycielom, słusznie nas potępiają: są przynajmniej loicznymi w swoim postępowaniu. Jaki cel, takie środki. Ale wy, co chcecie jednego z nami, gdybyście wy nas potępił, darujcie, że wtedy nie moglibyśmy wam tej loiczności przyznać.

OSLARNIA KRÓLEWSKA¹.

(Wyjątek z podróży po królestwie Nowo-Babińskim.)

— Jakto? — mówił do mnie kasztelan Puławski a partibus, jeden z najdostojniejszych dostojników królestwa, a mój dobry przyjaciel. — Wp. dobrodziej już tak dawno jesteś w Paryżu, dobrałeś się do samego jądra naszego państwa, poznałeś osobę króla imci, przypatrzyłeś się jego dworowi, a miałbyś nie widzieć równie ciekawej rzeczy — oślarni królewskiej? To grzech!

— Cóż w niej może być ciekawego? Osły i kwita!

— Ale jakie osły! Żeby mieć o nich pojęcie, trzeba je widzieć. Po towarzystwie literackim jest to najważniejsza nasza instytucja; pod względem umysłowym, jako polityczna, jako podpora tronu, zastępuje nam izbę parów lub wojsko.

— Jeżeli tak, to co innego — rzekłem. — Widziałoś się to rozmaite cudzoziemskie menażerye, nie godziłoby się więc pominąć obojętnie swojskie, narodowe bydłęta, zwłaszcza, że jak wp. dobrodziej utrzymujesz, grają tak ważną rolę w budowie nowobabińskiej społeczności. Nie odmówisz zapewne swojej fatygi i zechcesz być moim przewodnikiem?

— Z całego serca. Możeby nawet nie zajął wp. dobrodziej ten widok tyle, ile powinien, gdybyś nie miał kogo, coby go tłumaczył.

Chociaż nowa instytucja osłów jest pod szczególniejszą króla imci opieką, kasztelan jednak miał do niej wolny wstęp w każdej chwili. Wpuszczono więc nas na pierwsze

¹) „Pszonka“ był organem Towarzystwa Demokratycznego, które walczyło wtedy (1839) ze stronnictwem monarchiczno-konserwatywnym (ks. Czartoryski) i Zjednoczeniem (próba połączenia wszystkich obozów emigracji). Ta satyra dotyczy Zjednoczenia i jego komisji korespondencyjnej. Mianem króla chrzczono ks. Adama Czartoryskiego.

nasze żądanie. Pomieszkawanie osłów urządzone jest na kształt klasztoru lub stajni. Przecina je wzdłuż wielki kurytarz, osadzony z obu stron celami osłów, czyli, jak w stajniach końskich zowią, klatkami. Osły stoją pojedynczo, każdy w swojej klatce. Jedne są za drzwiami, drugie bez żadnego odgrodzenia ze strony kurytarza. Trafiliśmy właśnie na czas, kiedy dawano obrok. Wszystkie osły były razem, przy wspólnym żłobie. Zdaje się, że i w tem urządzeniu miano wzór klasztoru, bo lektor nawet, podczas gdy osły zajadały, czytał na głos jakiś traktat teologiczny. Zbudował mnie nadzwyczajnie ten widok osłów, zjadających z mniszym prawdziwie apetytem, a przytem w świątobliwej pokorze; uwielbiałem piękny pomysł mieszczenia obroku duchownego z cielesnym.

— Nie jedna to korzyść podobnego urządzenia — odpowiedział kasztelan, gdy mu powyższą myśl wynurzył. — Przez ten sposób rząd babiński osiąga jeszcze inne cele: zlewa całą trzodę w moralną jedność, zaciera wszelką osłą indywidualność, a następnie przetwarza tak w szczególności każde indywiduum, jak w ogólności całą trzodę na podobieństwo króla imci, co jest ostatecznem zadaniem nowobabińskiej idei.

— To wkońcu wszystkie te bydłeta przyjdą do rozumu królewskiego, do rozumu człowieczego?

— Do królewskiego? Tak. Do człowieczego? Nie. — odpowiedział przewodnik. — Tego nie pojmuję. — Ha, po Babińczyku nie spodziewałem się podobnej nieświadomości świeckich rzeczy. Wp. dobrodziej mówisz, jak heretyk. U nas wszystko idzie przeciwnie, jak w reszcie świata. Nasz król jest szczytem każdej instytucji swego państwa; jako naczelnik osłarni, jest typem osła. Stać się podobnym królowi imci jest to zostać największym osłem; i największą za to zasługą, zostać takim osłem, jak król imć. Czy pojmujesz mnie wp. dobrodziej?

— Zupełnie. Zdaje mi się z tego, co słyszałem, że w urządzeniu osłarni przebija się idea papizmu?

— Nie inaczej, i spodziewamy się, że ją to niemało wesprze: przekonamy nasz wiek niedowiarstwa, że papież nie jest napowietrzną, przekwitłą teorią, ale da się zastosować i w naszych czasach, i do rzeczy ziemskich.

— Jeszcze jedno zagadnienie! — rzekłem. — Powierzchność tych bydłać daleko odchodzi od typu zwyczajnych osłów.

— Nie są takie, jakie wp. dobrodziej dotąd widywałeś? — pochwycił kasztelan. — Spodziewałem się tej uwagi. Dlatego to uprzedzałem go, że nie wyobrazisz sobie naszych osłów, póki ich nie obaczysz. Dotąd zdarzało mu się widywać osły francuskie, niemieckie, łacińskie po naszych szkołach, polskie na naszych sejmach, te zaś są babińskie, a raczej nowobabińskie królewskie; rasa zupełnie odrębna, mieszanina rasy magnackiej z moskiewską, austriacką i pruską; jest w nich cokolwiek także krwi francuskiej, nieco angielskich torysów, a wszystko to zasilone pobożnem nasieniem osłów, pielgrzymujących do Rzymu.

— Teraz rozumiem. Co jednak uważam, to pewne rysy charakterystyczne w powierzchowności, jak gdyby rys prowincjonalne.

— W samej rzeczy tak jest, że te rysy są piętnami prowincjonalizmu.

— A więc na tem cierpi idea babińskiej jedności.

— Pozornie. Zaraz mu wytłumaczę. Myśl hierarchii jest jedną z żywotnych myśli naszego państwa; zrealizowano ją w urządzeniu samej osłarni. Podzielono całą osłarnię niby na kasty, odpowiadające prowincjom państwa. Kasty zaś uporządkowano w wyższe i niższe, stosownie do ich naturalnych usposobień i zasług, położonych w sprawie królewskości. Puławskie osły trzymają przodek: wyobrażają one przyboczną radę króla imci, są Aaronem naszego Mojżesza. Po nich następują litewskie; któż nie wie za usług starej Litwy dla idei królewskiej, dla idei przywilejów? Któż, jeżeli nie Litwa zasilała polskie społeczeństwo kniaziami? Litewskie więc osły są mniej więcej tem samem, co izba senatorska, co wysoka arystokracja; niezmordowane w dźwiganiu tronu; jest to drugie pokolenie Lewitów.

— Gdzie one są? — zapytałem.

— Tam, blisko lektora.

— W samej rzeczy — rzekłem — potrzeba przyznać, że Litwa dostarcza królowi imci najdorodniejsze osły.

— I najpowniej, dzięki Bogu — przerwał kasztelan

i tak dalej mówił: Trudniej cokolwiek jest znaleźć wybitną wyższość pomiędzy pozostałymi rasami. Wszakże król imć nie mało rachuje na rasę galicyjską. Rząd austriacki i jezuita doskonale usposabiają do osłarni nowobabińskiej. Z tem wszystkiem, nie myśl wp. dobrodziej, ażeby te kasty utrzymywała nieruchomość, jakto było u Indyan lub Egipcyan. W tym względzie idea monarchiczna zrobiła, zdaje się, koncesye demokratyzmowi: przenosi pojedynczo z kast niższych do wyższych.

— Ja myślę — rzekłem — że to jest demokracja austriacka lub moskiewska.

— O to się nie sprzeczą. Do podobnej promocji daje prawo (że się wyraziłem, zapomniałem, że u nas prócz króla nikt prawa nie ma do podobnej promocji) powtarzam, usposabiają zdolności i zasługi, ma się rozumieć, ośle. I tak np. czy widzisz wp. dobrodziej na boku to bydlę cokolwiek wyleniale? Jest ono z rasy kujawskiej, czyli dobrze podlejszej, ale ją zaczynają poprawiać: niebawem litewska policzy je między swoje. Mógłbym ci takż pokazać kilka takich z rasy ukraińskiej.

Gdyśmy podobnie rozmawiali, krążąc wokoło głównego żłobu, postrzegłem napis długi, rozciągający się na kilka naciągów klatek: „Osły wymusztrowane“. Zapytałem zaniego przewodnika o znaczenie napisu, na co tak mi odpowiedział: Stoją tu osły, ujeżdżone przez Konstantego cesarzewicza. Biegły on był i sławny w tej sztuce. Król imć wiele mu winien. Jego szkoła dostarczyła porządných, co się zowie, osłów. Wyborną miał też metodę, tylko za gwałtowną; dlatego król imć, chociaż jej daje pierwszeństwo przed innemi, wziął się do łagodniejszej, do dyplomacycznej. Cóż robić? Ten nieszczęśliwy, demokratyczny duch czasu i brak materyjalnej w naszym rządzie siły, a nade wszystko brak pieniędzy nakazuje wielką ostrożność w prowadzeniu takich nawet bydląt, jak je wp. dobrodziej oglądasz. — Nie ze wszystkiem go pojmuję. — Mówię tu o tresowaniu czyli ujeżdżaniu osłów. Musisz wp. dobrodziej wiedzieć, iż nie wszystkie osły, że tak powiem, in crudo, godzą się do naszej stajni. Tem bardziej, że mają rozmaite właściwe sobie do spełniania obowiązków. Te są przywiązane do osoby królewskiej, tamte czuwają nad na-

stępą tronu, inne są na zawołanie królowej, innemi znowu posługuje się towarzystwo kobiet, niektóre pielgrzymują do Rzymu, i t. p. Z tego powodu każdy osioł, nim zostanie przypuszczony do zaszczytu królewskiego osła, musi przejść socyalną szkołę. Byłbym rad, gdybyś wp. dobrodziej był choć raz świadkiem podobnej lekcyi. Dla dobrego Babińcyka nie jest ona bez korzyści.

— Cóż to znowu za osły weterany? — zapytałem.

— Ze szkoły Napoleona.

— A tenże, co stoi osobno?

— To ulubieniec królowej.

— Ród widać niepospolity i utrzymywany starannie, jak inne.

— W samej rzeczy, z Litwy. Nie przestaje na lada jakiej paszy. Zresztą ma wszystkie przymioty swojego rodu, tylko w stopniu doskonalszym, i dlatego ma być w wielkich łaskach u królowej. Przynajmniej taka fama chodzi. Wiedzieć dokładniej tę rzecz trudno. Nikt, jak to powiadają, nie przeciągnął nitki pomiędzy nimi.

— A też tam, w kącie, jakieś biedactwo?

— To tak, do dzwigania królewskiej biblioteki, archiwów, dyplomatycznych pakulów; pocziwie osliśko! Lada czem się kontentuje, z różnych ras wybiorki.

Przerwał naszą rozmowę rumot coraz mocniejszy: Królestwo ichmość!!! Jakoż, w samej rzeczy, ujrzelśmy wchodzącego króla i królową. Na ich widok wszystkie osły ryknęły.

— Znać, rzekłem, że królestwo ichmość mają miłość u swoich.

— Bo też jeżeli nie ciałem, to duszą złączeni z niemi — odpowiedział kasztelan. Często zwiedzają osłarnię. Król imć bowiem przekonał się, że nie tak nie utwierdza w osłostwie, jak jego obcowanie. Ale, ale, przypomniałem sobie!... Ciesz się wp. dobrodziej! Dziś właśnie będą tresować jednego nowicyusza. Oto powód przybycia króla. W takim razie jego obecność konieczna. Chodźmy za nim! I wyszliśmy z owej sali na mały okrągły plac, jak są zwykłe wszystkie ujeżdżalnie.

Zastaliśmy już tam dosyć osób, po największej części w mundurach z jezuicka skrojonych. Między tymi wskazał

mi kasztelan kilku znakomitszych dostojników, jako to: nadwornego proroka, ojca jezuitę, kapelana oślarni, wielkiego jej koniuszego i t. p. Wkrótce wprowadzono kandydata. Dziwna także mieszanina konia, muła i osła. Miał być z rasy wielkopolskiej. W jego oczach i ruchach było wiele demokratycznej niespokojności i ognia swobody, jak zwykle u bydłęcia nieujeżdżonego. Wyrwał się, wierzgał, kąsał. Król go obszedł z daleka, obejrzał wkoło.

— Przyda się — rzekł.

— Król imię jest zawołany roztrucharz w podobnych rzeczach — mówił kasztelan. — Wkońcu, zobaczysz wpodobrodziej, co to będzie za osioł z tego bystrego stworzenia! Uważaj tylko dobrze.

Patrzałem więc uważnie i nic nie prześlepiłem. Nasamprzód sam król przystąpił do zwierzęcia, z owsem w garści, i po kilka razy — to mu podsuwał owies ku gębce, to umykał, i póty to robił, aż konik pozwolił się ująć za chrapy, poczem król odszedł na bok. A trzeba wiedzieć, że każdego takiego kandydata morzą nasamprzód głodem przez dni kilka, aby mu dać uczuć wartość obroku. Zbliżyła się potem królowa, także z owsem, i robiła to samo, co król, póki zwierzę nie dał się po brzuchu pogłaskać. Potem patrzała mu długo w oczy, używając magnetycznego sposobu, jak przy kuciu koni, i uśmiechała się, a kandydat był widocznie coraz spokojniejszy, coraz łagodniejszy. Potem przystąpiła jedna z pań dworu, członek towarzystwa dobroczynności; ta pogłaskała go podobnie, jak królowa, po brzuchu, włożyła mu w ucho dukat i podała garść owsa. Potem przyszedł nadworny prorok i w drugie ucho zaczął krzyczeć, i tak długo krzyczał, aż wszystka dzikość ustąpiła z oczu kandydata. I dał się wziąć za obie uszy i stał spokojnie. Następnie przyskoczył ojciec jezuita, i przedewszystkiem oczy stulą zawiązał, a potem egzorcyzmował, jakby dyabła wypędzał; gdy to zrobił, służba królewska podniosła taki wrzask dokoła, że biedne bydło zupełnie zgłupiało. Wtedy jezuita założył w zęby munsztuk, wskoczył na grzbiet, objechał kilka razy ujeżdżalnię, stanął przed królem, zsiadł i oddał królowi cugle, a konik stał już, jak osioł. Król uradowany pocałował go w same chrapy, królowa uśmie-

chała się i głąskała, dama dobroczynna szukała czegoś w woreczku, a następnie przystępowali wszyscy dworzanie, obwąchując osła dokoła i rykiem pozdrawiając nowego towarzysza. Po ukończonej ceremonii postawiono go już na wielkiej sali, w klatce między dwoma starymi osłami.

— Otóż — rzekł kasztelan — lekcy osła. Kilka jeszcze podobnych, a ten bystry nibyto konik, jak go wpodobrodziej z początku widziałeś, zostanie takim osłem, jak inne. Tak to u nas osłów robią. Co ważniejsza, powiadają mi o projekcie naszej przedpokojowej rady, w którym przekonywają króla, że ten sam sposób da się zastosować i do ludzi; ma się rozumieć — pod względem umysłowym; a wówczas król imię będzie mógł jeździć na ludzkich duszach, jak na osłich grzbietach. Już nawet podobno, ale niech to między nami zostanie, jeden z przybocznych ministrów wygotował arcydowcipny plan tej propagandy; po planie skoczą w świat emisariusze — i tak panowanie klapouchych, jak wody w dzień potopu, rozleje się po ziemi.

NOWY UKAZ J. K. MCI.

MY
CZTERDZIEŚCI CZTERY
Z WORONICZA ŁASKI
KRÓL NOWO-BABIŃSKI
etc. etc. etc.¹⁾

Wszem wobec i każdemu z osobna, Jaśnie Oświeconym, Jaśnie Wielmożnym, Wielmożnym, Urodzonym, i Urodzić się mającym, Senatorom o dziurawych krzesłach, Posłom bez narodu, Ex-naczelnym wodzom, Ex-literatom, i wszelkiego stopnia Oficerom bez wojska, Naszym Adjutantom, Szambelanom, Sekretarzom, Bibliotekarzom, Kronikarzom, Dziennikarzom, Dziejopisarzom, Romansopisarzom, Wierszokletom, Lokajom, Pokojowcom i Przedpokojowcom, Naszym towarzystwom jedzącym, żebrzącym, strojącym się, szachrującym obojga płci i rozmaitego powołania, Naszym duchownym zgromadzeniem, Papistom, Bjuszeszystom, Parnasowcom, zgola wszelkiej barwy, wszelkiej reguły jezuitom, całemu nakoniec wymienionemu i niewymienionemu motłochowi, składającemu Nasz Babiński naród, wiadomo czynimy, co następuje:

1. Ogłaszamy, że, chociaż nieukoronowani, nienamaszczeni, nieuznani, panujemy jednak i będziemy panować na naszym zakrytym stolcu babińskim, przystępni małej tylko liczbie wybranych, dopóty, dopóki nie wypełnią się czasy, przez Naszych Nadwornych proroków naznaczone.

¹⁾ Emigrant Janusz Woronicz ogłosił 1830 r. broszurę „Rzecz o Monarchii i Dynastji w Polsce“. Wskutek tej broszury zawiązało się Tow. monarchiczno-rusurekeyjne pod mianem „Trzeciego Maja“, które uznało ks. Adama Czartoryskiego królem polskim. Organem Tow. było pismo „Trzeci Maj“. W grupie tej nastąpił potem rozłam; jedni uznawali Czar. królem de facto, drudzy tylko naczelnikiem. Stąd dalsze satyry.

2. Nie obiecujemy naszemu narodowi żadnych konstytucyi, usuwamy wszelkie ograniczenia Naszej królewskiej władzy, bo naród Nasz winien mieć koniecznie ślepą wiarę w mądrość i nieomylność naszą. Wzięliśmy to postanowienie wskutek przedstawienia Naszej Rady przybocznej czyli przedpokojowej, która przyszła do tego wniosku po długiej, bardzo mądrej naradzie i pokazała zaraz na samej sobie prawdziwość swojego twierdzenia.

3. Naszą radę przyboczną mianujemy raz na zawsze nazwiskiem Rady Przedpokojowej, zostawiając na późniejszy czas urządzenie onej i ogłoszenie listy jej członków.

4. Zważywszy, z jednej strony, że przeszłość Babina splugawiona jest kłosem republikańizmu -- z drugiej, powolni popędowi Naszego dyplomatycznego sumienia -- z trzeciej, powodowani grzecznością i sympatją dla najjaśniejszych Naszych braci, Monarchów austriackiego, pruskiego, moskiewskiego i tym podobnych -- z czwartej, krocząc w tropy książątek włoskich i pretendentów hiszpańskiego i portugalskiego -- z piątej, nakoniec, wygorszczymowani i rozgrzeszeni przez Jezuitów, natchnieni duchem nadwornych naszych mędrców i proroków, a wsparci łaską papieża, wyrzekamy się wszelkiej przeszłości republikańskiej, i nazwisko Naszego państwa dotychczasowe: Rzeczpospolita Babińska, jako niezgodne z Naszemi uczuciami i niemiłe ościennym rządowi, rozkazujemy zastąpić wyrazem: Królestwa Nowo-Babińskiego.

5. Nie pozwalamy, ażeby nazwiskiem Nowego-Babina oznaczano Polskę, lub jej emigracyę; ten zaszczyt zostawiamy dla tej tylko części Polaków w kraju i Polaków emigrantów, którzy przyjmą Nasze zasady królewskie i wiernie sprawie ich służą. Wszakże, pod tym warunkiem, zostawiamy sobie wolność rozciągnięcia ich i do oznaczenia całego narodu polskiego.

6. Przypuszczony zostanie do zaszczytu prawowiernego poddanego w państwie Nowo-Babińskim każdy, ktokolwiek zaręczy własnoręcznym podpisem przychylność ku Naszej osobie, odwoła wszelkie przeciwko Nam i naszym czynnościom protestacye, rzuci klątwę raz na zawsze na wszelkie nowoczesne wyobrażenia cywilizacyi, postępu, tolerancyi religijnej, wolności myślenia i objawiania myśli

wszechwładztwa ludu, praw ludu, szczęścia ogółu i t. p., a natomiast zaprzysięże ślepą wiarą w nauki naszych przedpokojowych apostołów, kto odgadnie w myśl naszą zagadkę o 44-ch, poświęci się Naszej sprawie językiem, piórem i ręką, przyzna prawo monopolu nad sumieniami całego świata religii babińsko-katolickiej, bije czołem przed przeszłą i obecną pocziwością Jezuitów, uważa kongres wiedeński za podstawę bytu Polski, przestaje na Polsce kongresowej, czci mową i czynami przywileje szlacheckie i arystokrackie, potępia myśl usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów, w przypadku oporu ze strony ludu jest za wdaniem się w sprawy wewnętrzne polskie monarchów obcych, nie ma wiary we własne narodowe siły, opiera nadzieję powstania Polski na dyplomacyi, kto wnosi do Naszej kasy podatek, nałożony przez Nas na głupie głowy, zwany „dobrowolne pogłówné“, w miarę swojej głupoty, kto nakoniec zobowiązuje się odśpiewywać przy codziennym pacierzu rannym i wieczornym pieśni, ułożone przez ks. Praniewicza na cześć Naszą, Najjaśniejszej Naszej Małżonki, Infantów i Infantek.

7. Naszym wiernym poddanym zaręczamy następujące korzyści: Na samym wstępie otrzyma z rąk Naszego sekretarza Naszą liberyę kompletną: to jest, surdut, spodnie, buty i czapkę, jak Litwin na chrzcie Jagiełły, kilka biuletów obiadowych i spłacenie przeszłych długów. Dalej, jeżeli vagabundus, zapewnimy mu wsparcie Naszych dam dobroczynnych, a jeżeli nawiedzony od Ducha Św., postawiony będzie na obrok duchowny i cielesny w naszym klasztoru. W miarę, jak się będzie sprawował wiernie, koczować, trzeźwo i antydemokratycznie, może mieć nadzieję zostać niby-sekretarzem Towarzystwa dam, niby-dobroczynnych, lub bibliotekarzem naszej biblioteki, niby-publicznej, jednym z Platerów towarzystwa, niby-literackiego, Hofmanem przy kronice, Woroniczem lub Bystrzonskim przy „Kraju“ i „Emigracyi“. Za szczególniejsze zaś odznaczenie się w Naszej służbie wolno mu zamówić sobie u Nas na przyszłość tytuł, jaki mu się podoba, z wyłączeniem baronostwa, który jest już zapewniony posłom wychrztom. Oprócz tego może zjadać święcone na Naszych pokojach, bywać nawet niekiedy na

herbacie Naszej, a z czasem wejść do rady przedpokojowej i oglądać, wiele razy Nam się podoba, Nasze królewskie oblicze. Po śmierci nie minie go nagrobek Praniewicza, karta w historii powstań Wrotnowskiego, rola w romansie Czajkowskiego, kazanie Jełowickiego, westchnienie Omiecińskiego, sonet Kajsiawicza, nakoniec kanonizacya Olizarowskiego.

8. Kiedy po przedstawieniu przedpokojowej Naszej rady, ażeby każdy Nowo-Babińczyk nosił wyciśnione na czole piętno Naszej służby, przekonałiśmy się, że dla braku tego miejsca, czyli bezczelności powszechnej Nowo-Babińczyków, poddani Nasi zostaliby bez piętna, uchylamy przeto to przedstawienie, a natomiast polecamy, ażeby ich piętnowano przez odcięcie części ciała najwydatniejszej u nich, to jest, przez urznięcie jednego ucha. Będzie to najwłaściwsze dla nich piętno, a uszczerbek w bożem ciele nieznaczny, bo jedno ich ucho za dwa liczyć się może.

9. Pszonkę mianujemy historyografem nie tylko publicznych spraw Naszego Nowo-Babińskiego królestwa, nie tylko Naszego tajemniczo-błogosławionego panowania, ale polecamy mu także spisywanie dziejów Naszej przeznaczonej rodziny, rady przedpokojowej, wysokiego dworu, kapituły, klasztoru, et dalej, a następnie jak najtroskliwsze zbieranie najmniejszych szczegółów nowobabinizmu i rozszerzanie jego nauki. To wszystko podajemy do wiadomości i spełnienia Naszym najpowolniejszym Babińczykom. Posłuszni otrzymają nagrody, któreśmy wyżej przyrzekli, o ile je dotrzymać będziemy mogli, o ile nawet nie będziemy mogli dotrzymać, gdyż dobroć Nasza zawsze przechodziła i przechodzi granice możliwości. Nieposłuszni zaś!... oby ich głowy zapaliły się dzisiejszą cywilizacyą, oby ich serca rozlały się w miłość ku ludzkości, oby żyli między chłopami, jak między równymi, oby konali bez spowiedzi przed Jezuitą!

Dan, na Naszym tajemnym stolcu królewskim, w Nowym-Babinie.

(Podpisy, jak zwykle).

KWESTA NA OJCZYZNĘ.

Bajeczka.

Bracia i niebracia, szlachto i arcyszlachto, napisałem dla was bajeczkę: czytajcie ją! Zaręczam z góry, że lepsza, jak wszystkie romanse francuskie, dla was, ma się rozumieć, dla Polaków, bo polska. Jest ona i fantastyczna i wesoła i okropna i bezbożna i pobożna, jak kto zechce: ma nawet i to, czego może nie każdy zechce, ma sens moralny, sumienniejszy, jak w większej części waszych dzieł gotowalnianych. Ale wy sami najlepiej to osądźcie; przeczytajcie tylko!

Zdarzyło się raz w pewnej części miasta, że pewny rozbójnik, ale rozbójnik z dziadka i babki, który miał bandę milionową i poświęcenie na herszta od namiestnika boskiego, a więc rozbójnik według wszelkich praw boskich i ludzkich napadł na pewny sąsiedzki naród, zbił go, wymordował, rozprószył, a resztę razem z ziemią zagarnął pod swoje panowanie. Ów naród rozbity, był to naród śmiały, waleczny, i t. d., ale jak wszędzie są ludzie i ludziska. tak i tam byli tchórze, głupcy, a nawet łotry — a jak często złe weźmie górę nad dobrem, tak i tam dobra polowa znalazła się słabsza od złej, dlatego musiała uleść. Matka narodu, przegnana gdzieś na kraj świata, była istotą dziwną; obok najświętszych przymiotów anielskiego ducha miała pełno ludzkich słabości. Wyliczać je wszystkie nie mamy serca — a jednakże, pomimo całej części dla jej niesłychanego nieszczęścia i nieziemskiej wielkości, miłszy dla nauki świata odchylić zasłonę i oskarżyć ją chociaż o jedną niedołężność, która się głównie przyłożyła do jej niedoli: była to ślepa miłość dla niektórych dzieci z zupełnem zaniedbaniem innych. Nieszczęście leczyło ją powoli z tej słabości, nigdy jednak tyle, ażeby nie powracała do niej; co ją zawsze ciągnęło ku jej pie-

szczoszkom. Jako pocziwa, jako wierząca w świętość swej sprawy, nie straciła ona nigdy nadziei powrotu do swoich posiadłości, do dawnego dobrego bytu, ale uważała zawsze za najskuteczniejszy środek wsparcie dostatnich swych dzieci, i na to tylko rachowała. Ile razy drudzy synowie, którzy dzielili jej tułaczkę, a do których słusznie przywiązała się całem swoim nieszczęściem, usiłowali ją przekonać o słabości tej podpory i popierali to różnemi widocznymi dowodami, tyle razy pocziwa kobieta odpowiadała im z łagodną przymówką: „Prześtańcie, przestańcie! Przez wasze usta mówi zazdrość szczęścia, rozjątrzenie biedy; w mojem przekonaniu każde z was dobrze zrobiło: wy, żeście poszli ze mną, bracia wasi, że zostali w domu i krzątają się koło mojego gospodarstwa, jak mogą. Im więcej będą mieli, tym więcej dadzą. Oddadzą nawet wszystko, bo wiedzą, że wszystko mają z mojej dobroci. Zobaczycie, powtarzała, zobaczycie, że przyjdzie pora, kiedy i oni będą tak dobrymi, jak wy jesteście, i czekają tylko mojego zażądania, aby wszystko dla mnie poświęcić.“ Trudno było przekonać matkę słowami, bo i ci, co pozostali w domu, słów umieli używać: pisywali do niej listy, litowali się nad nią, pocieszali ją, obiecywali złote góry, tylko o cierpliwość prosili. Spór więc na słowa nie przyniósłby był żadnego skutku; otóż niektórym taka myśl przyszła; poznacie ją w wykonaniu.

W pewnej tedy prowincyi pewnej niegdy rzeczypo-
litej obchodzono rocznicę Trzeciego Maja, a obchodzono ją
porządnym obiadem, jakto i między nami bywa. Niemaló
wtedy było nabożnych, przynajmniej tylu, co adjutantów
przy naszych rewolucyjnych wodzach — a wszystko lu-
dzie dobrani, to jest, z każdego oczu, jak z guzików lokaja,
wyglądały herby i korony wszelkiego kalibru; myśląc
być, że zmartwychwstał nieboszczyk sztab nieboszczyka
Skrzyneckiego. Owóż tedy dobrze jedli, dobrze pili, a co
zostawało czasu od jedzenia i od picia, rozprawiali o za-
czach publicznych. Im wyraźniej ucsta dawała się uszu
wać w żołądkach i głowach, tem śmieiej, tem głośniej
brano się do przedmiotów coraz drażliwszych: przyszło
nakoniec aż do otwartej rozmowy o sprawie polskiej.

Wtedy to dopiero wyszły na scenę: cała ostatnia rewolucja — przepraszam, powstanie tylko — wielkie ofiary, wielkie łaski, wyświadczone ojczyźnie przez każdego z biesiadników w szczególności i przez wszystkich w ogólności — niesłychane kłopoty z przyczyny emigrantów, których jednak żaden z nich nie zamieniłby za położenie emigrancie — wiekopomne narażanie się własnych osób, a nawet koni — nadludzkie poświęcenie się księcia Mesyasa — przebiegłość polskiej dyplomacji, świetne widoki polskiego narodu, gdyby się był dostał pod króla z domu opętanego wielką chorobą — piekielna myśl usamowolnienia chłopów, zniszczenia przywilejów szlacheckich, zdarcia dyplomatów hrabskich, i tym podobne zbrodnicze zamiary demokratów, jakobinów itd. Wreszcie, pośród rzewnych rozmów o nędznym stanie Polski i jej emigracyi, uprzątniono z przed litosnych panów srebra i porcelany, a miejsca ich zastąpiły kryształy. Poszły liczne toasty węgrynem: naprzód na cześć świętego dnia, którego ustawa liberalna nie była, jak się przekonali narzecze, tak strasznej liberalności dla hrabiów nawet — potem na cześć bitew, gdzie się krew z najszlachetniejszych serc lała, zdaje się, dlatego tylko, żeby jej krople spłacono pamięci męczenników kroplami wina. Przysięgam, że biesiadnicy pili nie w innej myśli.

I nie mieli-ż słuszności? — Jedni poświęcili się z całego serca, to prawda; my zostali, ale też zato upijamy się bez żadnej wymówki. — A teraz! — zawołał jeden z uczujących, podnosząc ogromny puhar kryształowy, opisany patryotycznym jakimś godłem, rysowany, uherbowany — a teraz: zdrowie naszej tułającej się, żebrzącej ojczyzny! — Tak, tak! Wyrodek, kto tego puharu nie spełni do dna duszkiem! — zawołano wokrag stołu, i wszystko się poruszyło, i wszystkie zadzwoniły kielichy. — Po raz drugi: zdrowie tułającej się, żebrzącej ojczyzny! — i po raz drugi rozległ się ten sam dźwięk i gwar. — Po raz trzeci: zdrowie tułającej się, żebrzącej ojczyzny! — Uderzyła północ, drzwi się otwarły, i weszły dwie osoby: kobieta i mężczyzna. Mężczyzna młody, silny, okazały, zdradzał w każdym poruszeniu żołnierską śmiałość i rubasność; oczy jego jaśniały odwagą Chry-

stusowego poświęcenia się, ze zmarszczków młodego czoła, z wyrobionych rysów twarzy, widać było, że niedola, oburzenie i smutki zamąciły je nieraz, ale w wyrazie całego oblicza panował majestat nieugiętej rezygnacyi, tylko częsty, zimny uśmiech miał coś tak sztywnego strasznego, że przeszywał mrozem każdą nikczemną duszę. Kobieta, którą trzymał pod rękę z uszanowaniem synowskiem, i więcej, niż synowskiem, lubo jej ubiór okazywał wielki niedostatek, miała w swojej twarzy coś tak rzewnie uroczystego, coś tak dumnie cierpiącego, że wziąłbyś ją za anioła, skazanego na pokutną pielgrzymkę wśród ludzi. Po niepewnym stapaniu wnosić było można, że była wpół ciemna; oczy jednak niezwykłym pałały blaskiem: zdaje się, że ustawne cierpienie zamieniło je w dwie lzy wielkie. — Gdzież to ja jestem? szepnęła z cicha, — wchodząc do sali. — Oniżto? Moi ukochani synowie? Oni uczują, śpiewają, bawią się, jak na weselu, a ja omdleam z niedostatku i smutku, a ich bracia konają przy obcych progach, na żebraczych torbach dla ich dobra! O!... — Matko, zatrzymaj swój wyrok — przerwał mężczyzna. — Kto wie, co to jest. Może obchodzą blizki twój tryumf? Cieszą się naprzód pewnością twojego szczęścia? Wszak wszystko w ich rękach; wszystko mogą zrobić. Zapewne oni wiedzą, co robią. Czekajmy, aż się lepiej przekonamy... Szyderstwo, oburzenie, grały widocznie po jego rysach, kiedy wymawiał te słowa pocieszenia, którym sam nie wierzył; miał jednak tyle mocy nad sobą, że wewnętrznego wzruszenia nie zdradził żadnem słowem, najlżejszym dźwiękiem głosu, uspokoił więc matkę na jakąś chwilę. Przystąpił potem do stołu, wziął talerz i tak przemówił do biesiadujących: — Ziomkowie, oto wasza matka, a ja wasz brat, a oto talerz jałmużny. Wiadoma wam nędza matki, ale tego może nie wiecie, że od obecnej chwili niemalże zależy los dalszego jej życia. Jest to chwila, w której hojność wasza może ją na zawsze uszczęśliwić. Dajcie na ten talerz, dajcie, co kto może! Przyjmijmy wszystko, choćby przekleństwo. W imię więc ojczyzny! Na porządek ojczyzny!

Taka przemowa, donośnym wydana głosem, zwróciła

wszystkich oczy ku kwestarzowi, ucieła wszystkie rozprawy, tylko szeptano gdzieś: Co to jest? Nowa składka? Że też nie można być wolnym od tych żebraków... Po chwili ustały i podobne szeptania, a wszyscy wlepili oczy w pierwszego, ku któremu kwestarz wyciągnął swój talerz. Jego znalezienie się będzie prawem dla wszystkich. On też czuł, co na nim spoczywa, ale zagadniony taką niespodzianką, w dziwnym był stanie. Zrazu pot zimny wystąpił na czoło, spojrzał potem po spółbiesiadnikach, a jakby tem jednym spojrzeniem rozmówił się z nimi i zyskał potwierdzenie tego, co dla ust przygotował, pokrzepił się, obtarł czoło, i wyrzekł nie bez zająknienia, jednak, o ile mógł, jak najprędzej: — Musisz pan wiedzieć, że pod naszym rządem wszelkie składki bez jego wiedzy surowo są zabronione... Podobano się wszystkim, że nie nie dał — nie podobano się, że dał odmowę z taką przyprawą. Odrzucał na sto twarzy wystąpiła chwilowa rozważa, i wnet można już było na każdej wyczytać inną odpowiedź. Kwestarz tymczasem rzucił ostrożnemu panu otulone gorzkim uśmiechem „dziękuję!“ i przystąpił do drugiego. Drugi za mało miał czasu na przygotowanie odpowiedzi; widoczne więc zakłopotanie przewracało mu oczy. — Śmiało, śmiało, panowie! — zawołał kwestarz. — Powtarzam, że wszystko przyjmujemy, choćby przekleństwo choćby nóż w serce. Wszystko przyjmujemy, bo kiedyś wszystko oddamy i nie będziemy się wahać. — Ha, kiedy tak — odpowiedział baron-szambelan, czy szambelan-baron — to ja z mojej strony dam radę. Nam, widzisz wacan dobrodzie, nam, co mamy stosunki z najjaśniejszym dworem, nie wypada mięszać się w coś podobnego bez jego wiedzy, mimo całego naszego patriotyzmu; więc naprzód, jako urzędnik dworu, a potem, jako brat uprzejmy radziłbym drogą urzędową... Co dalej mówił, trudno wiedzieć, bo mówił coraz ciszej i kwestarz, nie czekając końca, podziękował za część rady, jak za całą, i stanął przy trzecim... — Dostyc już tych składek, mój panie — mówił trzeci, dobrze przygotowany do odpowiedzi... — Mam już ja za swoje. Niech emigracya zaświadczy. Teraz trzeba pracować, ażeby się cokolwiek polatać. Niech inni dają... Następujący po nim

jeszcze słusniejszą miał wymówkę. — Jaby dał, bo kiedyż odmawiałem czegoś ojczyźnie, ale cóż jej z tego przyjdzie, kiedy ja sam będę dawał? I ja stracę i ona niewiele zyska. Gdybym wiedział, że wszyscy dadzą, wtedy co innego... Nie zawstydził go siedzący przy nim: mówił on do kwestarza w następujący sposób: — Nikt jaśniej nade mnie nie pojmuję potrzeb ojczyzny. Jestem zawsze pierwszy, gdzie o nią chodzi, ale dzisiaj związały mię takie okoliczności... Niedawno się ożeniłem, żona w ciąży, każdy wypadek niezwykle robi na niej wrażenie tak gwałtowne, a ty, kolego, wiesz, że gdyby rząd dowiedział się o dzisiejszej schadzce, pewnie stał nieprzyjemności, a oczy rządu i tak na mnie zwrócone. Nuż żona zachoruje, poroni, któż mi wynagrodzi stratę dziecka jedynego, pierwszego?... Kwestarz szedł dalej, wciąż dalej, i wciąż przygrywała mu podobna piosenka. Ale był to dopiero szary koniec biesiady. Niech wypróżnia ten pierwszy kielich: my tymczasem obejmijmy ucztę z grubszego, jak to mówią, końca. Otóż na miejscu honorowem siedział wybór obywatelstwa, arcyszlachta, meteory promienistsze, książęta, hrabiowie, naczelnicy, eksnaczelnicy komitetów, ekskomitetów, sławnych na świat wielki, jak miejsce ich posiedzeń, gotowych zbuntować się przeciw samemu cesarzowi za pozwoleniem cesarskiem, głowy ciała bez głowy, arcymistrze miejscowej, prowincjonalnej dyplomatyki, każdy małeńki Czartoryski w przedpokoju dyrektora policyi. Zgodni między sobą, gdy chodzi o oszukanie spółziomków, zawistni, skoro jaki świstek dyplomatyczny pocznie przeważać szalę znaczenia na stronę jednego z nich. Bez podobnych ludzi cóżby znaczyła ta cała trzoda?... Cóżby poczęła, żeby nie było kogo, żeby za nią myślał, robił? Skądżeby czerpała swoje zdanie? I w obecnej więc chwili ścisnęła się w gronka, każde przy swoim przywódco, a ze wszystkich stron zapytują: Co to jest ta kwesta? Jak sobie postąpić w tym razie? Wypadało odpowiedzieć na to zapytanie — prezes więc komitetu, znakomity nade wszystko swoim brzuchem, w ten sposób głos zabrał, popijając czarną kawę: — Panowie bracia, znacie mój patriotyzm i liberalizm. Wiecie, że czasem jestem aż za

uwolnieniem chłopów. Jednak nie boicie się mojej demokracji, bo wiecie, że rozumiem to pod pewnymi warunkami, przez które więcej zyskamy, aniżeli stracimy na zniesieniu pańszczyzny. Krótko mówiąc, znacie mnie dobrze i dlatego oddaliście mi swoje zaufanie, a na dowód zaufania obraliście mnie prezesem waszego komitetu. A o tym komitecie wie już cała Europa. Żle-ż prowadziłem publiczną sprawę? Czyż nie dowiodłem, że jestem dyplomata? Każdy protokół naszych narad sprawdzany był przez dyrektora policji, i dzięki naszemu gorącemu patriotyzmowi nie było w nim nigdy nic takiego, co by nas podało w podejrzenie; zrobiłem członkiem komitetu komisarza policji, gubernator wiedział o najskrytszych naszych robotach, krótko mówiąc, rząd nie mógł nas za nic zahaczyć. Otóż... cóż to ja chciałem powiedzieć? Ha! Otóż wszystko daje mi prawo być pierwszym pomiędzy wami; ten kwestarz powinien był wiedzieć o tem, a zrobił, jakby nie wiedział, albo, jak żeby nie było mnie tutaj. Ale nie to chciałem powiedzieć. Broń Boże! Gniewać się za to, że ktoś nie do mnie z czemś nasamprzód się udał, broń Boże! bo u mnie przedewszystkiem: kochajmy się! Ale ten jego postępek wprowadza mnie na myśl!... Ale, ale, za tydzień zamawiam na polowanie wszystkich, jak tu jesteście. Mój leśniczy pisze, mi, że odkrył wielkie gniazdo niedźwiedzi. Będzie tam i wino, świeżo z Węgier sprowadzone, ale jakie wino? (emoknął, mówiąc to, w końce palców) Nie żał mu dać gęby. Otóż ten kwestarz jest mi bardzo podejrzany; spodziewam się, że nie zechcecie swego grosza w błoto rzucić! — Tak, tak, hrabia ma rację — zawołała szlachta. — Z niczem go odprawić! Nagły ten hałas zbudził sekretarza hrabiego, który miał zwyczaj drzemać, ilekroć słuchał mówiących lub sam mówił.

— Hrabia ma rację — powiada — ale z niczem odprawić, to nie. A nuż to demokracja? Duch czasu nam wiadomy. Nie biegnijmy z nim, ale leżmy za nim. Gdyby mi sen nie morzył, powiedziałbym wam, panowie, wiele w tym przedmiocie. Na ten raz w krótkości objawię moje zdanie. Trzeba tak zrobić, żeby to nic nie dać i coś niby dać. Tłumaczcie to sobie panowie, jak chcecie... Klientela

hrabiego, nie w ciemną bitą, rozumiała myśl sekretarza; był to dla niej wyrok Salomona. Sumienia ich były zaspokojone, choćby nawet kieszeń poskrobała się w głowę, bo jakkolwiek nikiemni, pozostały im jednak z wywietrzonego zapasu patriotycznych uczuć wstyd i obawa, aby nie uchodzić za złych patriotów; gotowi byli do ofiar dla oka.

Cała ta scena była przykładną, jak wieczerza Pańska, w porównaniu z tem, co się działo w innym miejscu stołu. Tam rozpoczęty nagle hałas tak wzrastał, że głosy kilkudziesięciu gardeł mieszał w jeden gwar niepojęty; tylko głos jeden wybijał mu takty, jak tulumbas w orkiestrze: głos pułkownika; tylko jedna powaga uciszała go na chwilę, powaga deputata-dyplomaty. Deputat był to mały, pękaty, łysy siwosz, z wiecznemi mrugającymi oczami. Cała powierzchowność oszusta, ale oszusta w lepszym, że tak powiem, gatunku. Zrodzony żydem, obdarłby wioską figlęm podwójnej kredki, zrodzony majątnym szlachcicem, wszedł we sferę dyplomacyi, przyjął służbę u wyższych nad siebie oszustów, fałszywy towar, którym go obdarzali zręczniejsi od niego okpiwacze, przedał za dobry swoim braciom, i wkońcu został dla całej prowincyi wielkim człowiekiem stanu. Nie mierzono jego prawości: dziwiono się politycznym zdolnościom, bito czołem przed stosunkami z arcykapłaństwem narodowej dyplomacyi, których tajemnice zdradzał niekiedy, jakby od niechcienia, przez zagadki, gdzie zawsze tała się tu jedna myśl: głupi, kto mi wierzy. Pułkownik znowu był to stary żołnierz, który zszedł z pola w całym znaczeniu tego słowa. W latach młodszych zdolny był do wszelkich poświęceń, jak każda młodzieńcza dusza, w zawodzie wojskowym odznaczył się męstwem, bo miał krew polską. Wiek, niepowodzenia publiczne, charakter, nie wsparty wyższem rozwinięciem strony moralnej i umysłowej, zgasiły zapał obywatelski, zmarnowały męstwo, któreby można nazwać narodowem, którego polem jest pole narodowych rozpraw; nie mu z tego wszystkiego nie pozostało, tylko zapał i burda przy kielichu. Miał je także, jako pieczeniara, w obronie tych, których obiady zjadał. Brak majątku dziedzicznego i niezdolność utrzymać się własną pracą przyprowadziły go do tego, że od czasu

wystąpienia ze służby wojskowej uznał za najdogodniejsze przywdziać na miejsce barwy narodowej barwę partyi; zamiatał więc salony bogaczy laurami wojennej zasługi, i za przywilej poufania się z panami, zjadania tego, co panom odejmowano, szedł na śmietnikach arystokracji przeciwko wszystkiemu, co się pokazało nie w jej barwie, co śmiało szlachetnym zapalem rozburzać zagrody ich rachub samolubnych. Piękne figury, jak ten deputat-dyplomata i pułkownik-pieczeniarz — a one jednak rej wiodły w obecnem zgromadzeniu. Sądźcie z nich o reszcie!

Ale, wracając do burzy sejmikowo-pijackiej, powstała ona, jak następuje: Kwestarz był jeszcze w początkach swej kwesty, kiedy dwóch sąsiadów pułkownika rozpoczęli taką rozmowę: — Jak tu go odprawić? — zapytał jeden, z całą dobroduszną szczerotą. — Z niczem — odpowiedział drugi. — Ale bo to... może to i pocziwy jaki człowiek. — Co tam te wszystkie „ale“. Czy pokazał jakie listy od jakich znakomitych osób? Czy zalecił się jakimi wyższymi stosunkami? Mój sąsiad, hrabia, radzi w podobnych razach jak największą ostrożność. Właśnie tylko co gadałem z nim o tem. Wyłożył mi, jak na dłoni, że to moskiewski figiel. A hrabia potrafi sądzić o tych rzeczach. On, co takie śmieszne wiersze pisze. Ma przytem doświadczenie i stosunki. — Prawda — przerwał pierwszy — brat jego siedzi w Petersburgu i ma być dobrze położony u rządu rosyjskiego. — Cóż ma robić? Głową muru nie przebiję. Mają mu za złe i to nawet, że należał do komitetu śledczego w Warszawie. Gdyby był nie przyjął tego miejsca, i sprawy byłby nie polepszył, i byłby może stracił zaufanie monarchy. — Prawda — potwierdził pierwszy — ale i na samym hrabi ciąży zarzut, że podczas ostatniego powstania uciekł do Wiednia. — Przed cholera, zawołał drugi z niecierpliwością — na honor, że przed cholera. Hrabia wie, że tacy, jak on, ludzie zawsze są krajowi potrzebni, powinien więc przede wszystkim starać się, ażeby jak najdłużej zachować się dla kraju. Trzeba i na to jeszcze mieć wzgląd, że to familia stara, a tylko przez takie familie ojczyzna stoi. O, daj nam Boże więcej takich, jak hrabia. Ja, o ile go znam, mogę ręczyć moim honorem, że hrabia nie gorszy od innych hrabiów, nie

gorszy od nas wszystkich. — O, na to zgoda — mruczał dobroduszny sąsiad, a mówiący dalej ciągnął: — Gdybyśmy słuchali takich, jak hrabia, nie wystrzelilibyśmy pewno z żadnem głupstwem, i ten kwestarz byłby już dawno za drzwiami ze wszystkimi swojemi zamiarami. — A jakież to jego zamiary? — To jeszcze nic nie wiesz? Nowe powstanie!... To słowo „powstanie“ zadźwięczało dla naszych biesiadników, mogących je dosłyszeć, jak dla muzycznego ucha fałszywy ton w muzycznym dziele. — Co? Powstanie? zawołał pułkownik. — Tak przynajmniej hrabia mnie zapewnił, odpowiedział wielbiciel hrabiego. — Panowie — zawołał deputat — nie inaczej. Hrabia wie ode mnie, a ja mam na to dowody; czarne na białem. Ostrzeżono mię listem z Paryża z obowiązkiem przeszkodzenia temu szaleństwu. — Powstanie dzisiaj? — zawołał pułkownik i zaśmiał się szydersko z całego gardła. — Mieśliśmy wojsko, pieniądze, rząd, sejm, wszystko, co do wojny potrzeba, i upadliśmy, a dzisiaj gdzie to wszystko? Ciekawe muszą być te plany tych wojaków bez wojska — Wyłożę je wam w kilku słowach, słuchajcie — zawołał deputat. — Wszystko to, co pułkownik zaczął wymieniać, jest podług zapaleńców w narodzie. Podług ich rozumowania, materyalne środki wojny są niewyczerpane w narodzie, który ożywia zdrowa narodowa dusza. Trzeba tylko wciągnąć do wojny cały naród, poruszyć wszystko, nawet chłopów, wystąpić w całej masie. — Ruchawka! Ruchawka! — przerwał pułkownik z przekąsem. — Prześliczna wojna z ruchawką! Przypatrzyłem się ja tej przekiętej ruchawce. Pierwszy uciekłbym za morze, gdyby naród miał przyjść do tego głupstwa. Ten nierozsądek nie byłby do przebaczenia. Niech się zastanowią, że nieprzyjacieli ma piechotę z karabinami, ma kawalerię, ma działą. Może mu damy radę z kosami? — I oni, przerwał deputat, chcą przyjść do wojska porządnego, ale rozpoczynają przez partyzantkę. — Co?... zawołał pułkownik. Partyzantka, wojna podstępna, po lasach, górach, świętokrzyszcy zbójcy! — To nie dla Polaków, zawołało wiele głosów. — Nasamprzód, coby na to powiedział Napoleon, albo Jomini — odezwał się z uśmiechem młody biesiadnik, który po przeczytaniu kilku dzieł wojskowych nie wy-

obrażał sobie innej wojny, tylko określonej w książkach. — Jechał ich sęk! — zawołał jeden z hrabiów — ale w takim poruszeniu ludu co by się stało z tymi, których prawo urodzenia wyznacza na kierowników sprawy publicznej? — Mój mandataryusz — zawołał ktoś — na czele rządu! Drugi zaś: Mój leśniczy jenerałem! — A nasze prawa — wołał trzeci — jak każdy uczuje, że coś znaczy? — A nasze majątki — krzyczał czwarty, jak hołota weźmie broń w rękę! Wszystko przewróci się do góry nogami, wrzeszczał jeden przez drugiego. — Rządy rewolucyjne! Trybunały rewolucyjne! Jakobinizm! Robespieri! Straszny sąd! — Nie!... — zagrmiał pułkownik, żaden stary żołnierz nie chciałby się w to mieszać. Rząd austriacki nicby z nami gadać nie chciał. Żadnej wtedy drogi do układów z rządami, żadnej dyplomacji. — Prawda, prawda — odezwały się pojedyncze głosy, żadnego ratunku na przypadek przegranej. — Nie będzie przegranej, tylko śmierć wieczna, lub życie wieczne — odezwał się donośnie obcy głos poza kołem burzliwem. Obejrzano się, kwestarz stał ze swoją towarzyszką i powtarzał: W imię ojczyzny! Na potrzeby ojczyzny! Na te słowa deputat, jakby nagle uderzony natchnieniem, zerwał się z palającą twarzą i krzyknął: — Panowie, nie dawajcie nic! Zaklinam was na księcia Adama, zaklinam was z jego polecenia, w jego imieniu. To są ludzie niebezpieczni, podejrzani, zapaleńcy, szaleńcy, demokraci, nieprzyjaciele księcia Adama, jenerała Skrzyneckiego. Niegodni są naszych ofiar! — A porwawszy swój puhar, podniósł go nad stół i dalej mówił: — Kto Polak, niech tutaj daje; będzie to ofiara godna was, ofiara dla księcia Adama, dla jenerała Skrzyneckiego. Nagroda od was, wsparcie od was im jednym słusznie się należy. Oni to poprowadzili rewolucję tak dobrze, że aż na drugi koniec Europy zasła, oni za bożą pomocą jeszcze ją dalej zaprowadzą. Oni wyobrażają dziś naród to jest was. Oni wszystko dla was poświęcili. Książę wszystko w kraju zostawił; pyszny swój pałac, przepyszny ogród, przepyszne senatorskie krzesło, przepyszniejsze jeszcze widoki swoje względem królowania, zostawił to wszystko w kraju i dzisiaj jest w nędzy. On, taki pan, o zgrozo, musi żyć z dochodu kilkunastu wio-

sek, musi przestawać na jednym pałacu w Paryżu lub Londynie, na kilku lokajach, kilku karetach! Cóż mam mówić o jenerale? Gdyby nie wioska w Galicyi, gdyby nie wist z Karolem X. i duchowny obrok austriackiego biskupa, gdyby nie nadzieja dowodzenia wojskiem polskim raz jeszcze tak, jak już dowodził, może dotąd byłby sobie w łeb wypalił. Takim to ludziom grozi wasz potrzebny. W imię więc księcia Adama na potrzeby księcia Adama! — I potrząsnął puharem i sypały się w puhar pieniądze dla dwóch wielkich nieszczęśliwych. Kwestarz, jakby nic tego wszystkiego nie widział i nie słyszał, podstawił swój talerz pierwszemu lepszemu, ale ten, zaskrzywszy oczami, wybuchnął całym oburzeniem: — Co? Ja! mużny dla was? Albo to nie wiemy waszych zamiarów? Zebrać pieniądze, nakupić sztyletów, podburzyć chłopów, oddać im nasze majątki, a nas wymordować, zniszczyć, zrównać z chłopami. Karmelity wam na ja! mużne! Karmelity!... Kwestarz ani na chwilę nie spuścił swoich oczu z mówiącego, (którymi przewracały wino, szlachecki wstręt ku demokratom, a razem wewnętrzne jakieś pomieszanie), wtórując spokojnie, powoli słowami: Niech się każdemu stanie według jego wiary. Zaledwie to się skończyło, kiedy z różnych stron krzyknęto: Precz, precz z kwestą! Precz kwestarz! On stał ciągle z niezmiennym bynajmniej obliczem, z obojętnością trupią, tylko wodził uroczystem spojrzeniem po całym zgromadzeniu, aż póki wszystkie krzyki nie ucichły. Jeszcze raz oprowadził wzrok swój po biesiadnikach, a kiedy wszystko zamilkło aż do szmeru, zawołał donośnie. — Panowie, po raz ostatni. W imię ojczyzny! Na potrzeby ojczyzny! — Milczenie. — Jakże? Ani jednego, do którego kieszeni tenby głos przemówił?... Na to zapytanie jeden tylko deputat zdobył się na odpowiedź: Nie mamy żadnej rękoi, że to dla ojczyzny. Ojczyzna, jak zechce, trafi do nas innym sposobem. My sami najlepiej wiemy, kiedy ojczyzna potrzebuje. Moje zdanie jest zdaniem wszystkich. — A więc — zawołał kwestarz — wszyscy niech wezmą do siebie, co powiem. I to wszystko mówicie szczerze, w najczystszych zamiarach, z przekonania najsumienniejszego? Zaklinajcie się, że tak jest, zaklinajcie się na... chciałem powiedzieć na

miłość ojczyzny, na sumienie, ale takim zaklęciem moglibyście poprzeć fałsz największy. Nie, wam innego trzeba, każdemu innego. Ty, ażebyś nie miał z korca kartofli, jak garniec wódki; ty, żeby dom twój nie czekał się nigdy hrabskiego tytułu; ty, żeby żona twoja przestała jeździć kareta; ty, żeby ci na zawsze zamknięto wstęp na pokoje arcyksięcia; tobie żeby nigdy dyabełek nie dopisywał; ty, żebyś nie był w stanie utrzymywania Francuzki przy swoich dzieciach; wy wszyscy na koniec, ażeby tym podobne klęski na każdego z was padły. A ja z mojej strony. Boga tylko weźmę! — I wzniosłszy oczy do góry, modlił się głosem uroczystym: Boże Polski! Najwyższy sędzio jej synów, który nas ani na chwilę z oka nie spuszcza, bądź świadkiem przysięg, którymi zebrani w tem oto miejscu mają przytwierdzić, że jedynie powody sumienne, wyższe nad osobiste względy, nie pozwalają im przyłożyć się do wsparcia ojczyzny! Zwrócił się potem do biesiadników: Teraz zaczynajcie, panowie! Na te słowa śmiało i uroczyste i pod wpływem jakiejś dziwniej, tajemniczej ich potęgi, oniemieli wszyscy; wszystkich odbiegły przebiegłość i beczelność. Każdy w sąsiedzie swoim ujrzał przeciwnego sobie świadka i sędziego; mniemał, że stoi przed wszystkimi w całej nagości swojej duszy. W tejsze chwili grobowej niemal ciszy postać kobiety zamieniała się z wolna w ciało coraz przeźroczystsze, aż znikła zupełnie z oczu, a postać kwestarza zdawała się podrastać całą wielkością objawiającej się duszy, i duch tajemniczego przestrachu coraz wyraźniej obwiewał zgromadzenie. — Panowie! rzekł z cicha błędący szambelan, podniósłszy się z wolna — jakaś trwoga mnie przejmuje. Mam przeczucie, że pode drzwiami stoi policja. Gadaliśmy tu o takich rzeczach. Roztropność radzi rozejść się przed czasem! — Nie rozejdziecie się, zawołał grzmącym głosem kwestarz, nie rozejdziecie się, aż was pożegnam. Kobieta, którąście ze mną widzieli, była to ojczyzna. Chciała doświadczyć waszej ku sobie miłości; żądała tylko lichego grosza, i tegoście jej odmówili. Słyszycie, jak was żegna?... Zamilkł, podniósł rękę w górę, zwrócił ucho w jedną stronę, a groźne oczy wlepił w zgromadzenie. W rzeczy samej, całe powietrze napełniło się żalonym

jękiem, jak żeby miliony głosów szlochało. Czy myślicie, zawołał znowu, że takie pożegnanie przyniesie wam błogosławieństwo? Pić za zdrowie ojczyzny, rozrzewniać się jej piosenkami, oto wasze prace dla niej. Zebrzącą nogami potrać, wasza jałmużna. Wynaleźć wymówkę od poświęcenia się, wasz cały rozum. Wasze obchody — biesiada łotrów. Wasze imiona — kłamce, tchórze, samoluby, obłudnicy, niedołężni, nikczemni! I wy chcecie trzymać przodek w jej rodzinie? Chcecie używać wszystkich korzyści najlepszych synów? Chcecie opanować przyszłość? Niema jej dla was! — I uderzając o ziemię talerzem jałmużny: — Przejdziecie — wołał — jak dźwięk tego naczynia; pamięć wasza będzie się walać po śmieciach przeszłości, jak ta skorupa. Niema dla was przyszłości jeszcze raz. Używajcie więc, bawcie się, bogacie się, podcie się! Słyszycie ten okrzyk?... Podniósł znowu rękę w górę, a hałas, jakby wołanie radosne milionów, robiegł się dookoła. „Polska zstępuje do ludu! Lud wita Polskę! Skończyłem z wami“. Na domawianiu tych słów zegar uderzył czwartą poranną godzinę, odezwała się pieśń kogutów... Kwestarza już nie było.

Co potem biesiadnicy mówili, co robili, o to mniejsza; bajeczka i bez tego cała. Jakże, bracia, wszak nieźla? Jedno tylko można jej zarzucić, iż zapóźno ogłoszona. Napisałem ją po upadku wiadomej wam partyzantki. Wy zapewne nie obejdziecie się tak z Polską, kiedy waszej pomocy wezwie; nieprawdaż? Nie będziecie takimi łotrami, jak łotry mojej bajeczki; nieprawdaż?...

NIE PRZYNECISZ WRÓBLA PLEWĄ.

Kazanie polskie na kazanie rzymskie.

Papież przemówił wreszcie! „Słowa jego nie zdumiały nas, ale nas pocieszyły wielce!...“ woła Młoda-Polska 12 grudnia 1839 r. Chrześcijanie, śmieście się! Jakże się nie śmiać, kiedy papież wreszcie przemówił, a słowa jego pocieszyły wielce ewangelistów z Marais St. Germain! — Jakże śmiać się? — Jak chcecie. — Z czego śmiać się? — Tego my sami dotąd nie wiemy. Ewangelia Januszkiewiczza i spółki jeszcze nam nie powiedziała wszystkiego. Najsmaczniejszy kasek, samo słowo papieża, zachowała na wety. I słusznie!... Byłoby to może za wiele uciechy na raz jeden. Nasyćmy się wprzód przygotowaniem do niej!

„Papież, powiada Młoda-Polska, oszukany przez fałszywe doniesienia Rosyi, papież, na którym natręstwo rządu rosyjskiego wymogło ów list nieszczęsny, potępia dziś uroczyste czyn, jaki na nim wyludżono. Oddawna już on w prywatnych rozmowach z naszymi posłannikami ubolewał nad swoim postępowaniem w sprawie polskiej. — Cóżem, powtarza, miał myśleć o tej wojnie polskiej? Skąd miałem wiedzieć, że Polacy są katolicy, a Moskale odszczepieńcy? Jak zaczął rosyjski poseł kłaść mi w uszy, że rewolucya polska była produktem ducha niereligijnego, ducha anarchii, nieprzyjaźniejszego jeszcze kościołowi, aniżeli królewskiej władzy — jak mi zaczął przedkładać, że Moskale, rozbiwszy polski naród, są religijniejsi, lepsi chrześcijanie, jak Polacy, opierający się rozbrojowi — jak mi zaczął oświadczać przyjaźń swojego pana, uwierzyłem mu i wykląłem Polaków“.

Oto tłumaczenie się papieża przed Młoda-Polską. Ubraliśmy je w inne słowa, to prawda, ale przysięgamy na wszystkie ojczyste świętości, żeśmy wewnętrznego

jego znaczenia nie zmienili na jotę. Stara panna, niby uwiedziona, nie może wyrzekać naiwniej, kiedy swoją powolność chce usprawiedliwić ślepą niewinnością piętnastoletniej dziewczyny. „Jak zaczął oświadczać się, prosić, zaklinać, przysięgać, przekonywać, że w tem, czego żąda, niema nic złego, uwierzyłam, uległam.“ A jednak łatwiej usprawiedliwić starą pannę, niż papieża.

Rzymie światowładcy! A twoja wszechwiedza? A twoja nieomyślność? A życie tylu wieków? A tylu wieków doświadczenie?... Młodemu wolno poszaleć, ale starym, ale tobie?... Co na to powie mądrość Boga, dana ci ze słowem Chrystusa? Wszak to ty masz być arką tej mądrości?... Co na to powiedzą potoki krwi polskiej, wykłute przez ciebie?... Słowa Moskale, odszczepieńca, znalazły u ciebie więcej wiary, jak męczeńskie czyny narodu, rozrastającego się przez tyle wieków z korzenia słów Chrystusowych?...

Wiemy naprzód, że nam nie odpowiesz; i ty się nie znizysz aż do tego, i my tego nie wymagamy. Księga wzaajemnych naszych rachunków zbliża się już do końca wkrótce się zamknie. Apelowaliśmy przeciw tobie do Boga; przed Bogiem, czy słyszysz?... przed Bogiem złóż swoją odpowiedź; tam się ostatecznie rozprawimy. — Ale nie uносmy się, czekajmy ogłoszenia owych słów papieskich! Tylko ośm dni cierpliwości, a Młoda-Polska...

Upłynęły wreszcie czasy naznaczone. Porywamy Młoda-Polskę. Olsnił nasze oczy napis: „Przemowa Ojca świętego.“ Czytamy, opuszczamy ręce i zapytujemy siebie, czy Młoda-Polska kpi, czy drogi pyta? Nie wierzymy sobie, powtarzamy pytanie. To samo. Zawezwani tak uroczyste do uciechy, spodziewaliśmy się ujrzeć w zapowiedzianych słowach coś ogromnego, jak duch Boski nad przepaściami, a przynajmniej jak jego odbicie, duch ludzkości — coś przerażającego, jak boska sprawiedliwość. Zdawało się nam, że w nich objawi się piorun wyroku na rozbójnika dwudziestu milionów, na gwałt zadany sumieniu całego narodu, że od grzmotu jego zadrży cała ziemia, urodzi znowu olbrzyma krzyżowej wojny, jak to bywało kiedyś. Zdawało się nam, że wobec nieba i ziemi te słowa położą świadectwo prawdziwości polskiej, poświęcą

męczeńską przyszłość, zwiastują w imieniu Chrystusa życie polskiego narodu, jego prawo do życia, rozwiną się przed nim w słup ognisty, aby go do ziemi obiecannej prowadzić. Bóg wie, co się nam nie zdawało, bośmy się obalamucili brzękiem słów, echem tryumfów Młodej-Polski. I oto zamiast tego wszystkiego gawędka, jak Rusini byli szymatykami, jak potem zbliżali się do jedności z kościołem rzymskim, jak dzisiaj znowu się odszczepili. Kilka westchnień, kilka sentencji, napomnienie odstępcom, aby się pomiarkowali, a wkońcu następna kardynałowi obietnica: „nie pominiem żadnego starania u najpotężniejszego cesarza, spodziewając się, że on według swojej *sprawiedliwości i wielkomyślnego umysłu* prośby nasze i żądania przyjmie *łaskawie*“. Czy tak? I na tem koniec? Prosić go więc, jako wielkomyślnego i sprawiedliwego, to już dosyć? Dosyć dla Rzymu, dla Młodej Polski — ale nie dosyć dla polskiego narodu. Tak, Rzymie, dobrze robisz, że się nie trudzisz polskim narodem! Za wielki to ciężar na twoje barki. I on także poznaje się już na tem.

Niewiele sobie robił z twojej kłatwy; niewielką też wagę przywiązuje do twoich oświadczeń protokolarnych.

Szedł na śmierć bez twojego błogosławieństwa, pełnił swoje powołanie bez twojego przewodnictwa, nie potrzebował od ciebie przywileju na poświęcenie się, nie zbłądził ze swojej drogi, choć ty inną wzięłeś; będzie tak szedł i dalej — może nieszczęśliwy na ziemi, ale święty w dziejach.

Był, jest i będzie Polską, nie pytając, czy na to Rzym pozwoli, nie troszcząc się o to, czy jest na świecie Rzym jaki. Nie w Rzymie rozpało się jego życie, nie w Rzymie zgaśnie. Ma on w sobie samym tyle potęgi, ciała i ducha, ile mu do jego życia potrzeba. Nie zginie, zaręczamy, choć nie stanielś w naszych szeregach, choć się nas wypreszył.

Skończyła się jego chrześcijańska małoletność, skończyła się twoja nad nim opieka. Przeszedłeś z nim elementarz Bożego słowa — za to ci dzięki; ale teraz sam już wszystko przeczyta, sam potrafi porozumieć się z Bogiem; lepiej może, niż cała kongregacja poapostolska. Uczeń przeszedł mistrza. Albo tego nie widział? Nie omylił się tam, gdzie ty się omyliłeś. Nie on za tobą, ty za nim poszedłeś. Dobrze więc robisz, że się o niego nie troszczysz. Opieka

twoja już go ani świerzbi, ani boli; daje tylko oszustom sposobność bałamucić słabych na umyśle, rozrywać potęgę najpotrzebniejszej mu dziś wiary w świętość i nieśmiertelność swojej sprawy. U nas tak łatwo, gdzie chcieć, wiarę nakierować! Niema, w co byśmy nie wierzyli: w Prusaka, w Austryaka, w Moskala, królów, dyplomacyę... Dzisiaj gotowiśmy na Rzymie się oprzeć, a tymczasem nasze zbawienie w nas tylko samych. Wreszcie cóż nam przyniesiesz w pomoc? Potęgę ducha niebieskiego?... Ostatniemi dziejami przekonywamy świat, że on bezpośrednio na nas spływa, że większą, jak ty, łaskę znaleźliśmy przed nim i w tej łasce potrafimy się utrzymać. Czy królów do naszej obrony poruszysz?... Nie!... Powiedzielibyśmy przyczynę, gdybyś jej nie wiedział. Czy ludom powstać rozkażesz?... Nie!... To przeciw twojej dzisiejszej naturze, i one jużby ciebie nie rozumiały. Odkąd zacząłeś słuchać królów, straciłeś posłuszeństwo ludów. Dobrze więc robisz, że nie zadajesz sobie niepotrzebnej pracy. Jeżeli Młoda-Polska inaczej ci gada, aniżeli my, nie wierz jej! Jest to nadszkakiwanie łakomego spadkobiercy; wie ona, że przysporzyłeś sobie cokolwiek przez długie życie, że wszystkiego nie zabierasz z sobą do grobu, że zostaną po twojej śmierci różne graty, z których przez jakiś czas będzie można użytkować, dlatego pochlebia ci się, abys i o niej nie zapomniał w swoim testamentcie; bo to prawdziwa szlachcianka: próżniaczka, która tylko na chleb z cudzej pracy czyha, ale nie napędzisz jej, żeby sama zarobiła coś dla siebie i dla drugich. Nas lepiej posłuchaj, staruszk! Przeżyłeś długie wieki. Miałeś zrobić wiele dobrego, nabroiłeś niemało; zgrzybiałość odbiera ci siły coraz widoczniej, śmierć się zbliża lada chwila. Zażądają stamtąd, z góry, sprawozdania: korzystaj z drogiego czasu, uspokój się, roztrząsniij swoje sumienie, abys umiał odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, jakie zrobi ci Bóg nasz, Bóg Chrystusa, a my tutaj sami jakoś sobie poradzimy. Zresztą, jeżeli chcesz, módl się za nami; to nam przynajmniej zaszkodzić nie może, a my, mając czas po temu, odmodlimy się, prosząc Boga, aby ci przebaczył na strasznym sądzie wszystko złe, które nam wyrządziłeś, a nagroził dobre. Amen.

AKT KONFEDERACYI DYNASTYCZNEJ.

Do tajemnego, wiadomego jej użytku.

Bracia szlachta, dziedzice, panowie, obywatele, i tak dalej! Do was tylko obracamy to nasze pismo. Nasze świstki peryodyczne i nieperyodyczne, zresztą i publiczne gawędy musiały już was mniej więcej zawiadomić o naszych robotach. W tej chwili chodzi nam głównie o to, ażebyście mieli jak najprawdziwsze ich pojęcie. Nieporozumienie pomiędzy nami byłoby naszemu sercu bolesne, a sprawie szkodliwe. Zapobiegając temu, przesyłamy wam niniejszy akt naszej konfederacyi, jako najszczęśliwą spowiedź z jej pobudek, celów i ducha, jako klucz do jej tajemnic.

Niewielu nas jest, kochani bracia! Mamy wszystko przeciw sobie. Jedyna nasza potęga w rozumieniu siebie wzajemnem i zgodnem działaniu.

Nie mylimy się, twierdząc, że zarówno z nami czujecie, jak jest ciężki ten chleb emigrancki. Któż to lepiej uczuć może od was, coście zrośli na takim lekkim? Nie mieć kawiarki, coby kawę do łóżka przyniosła; lokaja, coby fajkę nakładał; stróża, coby w piecu palił; opłacać każdą przyjemność, każdą wygodę, każdą usługę a czasem i samemu sobie suknie wyczyścić, buty wychłodzić, są to jeszcze uciski, których rzadko doświadczamy, i nie wszyscy, dzięki temu, co pocziwa gawieź nazywa szczątkiem naszych fortun; przebiegiem więc tylko napomykamy o nich. Ale żyć w kraju, gdzie wszystkie nasze wyobrażenia na wywrót idą, gdzie w imię Boga opowiadają wolność i równość wszystkiego tego, czemu przodkowie nasi kilka wieków jarzmo naciskali, gdzie śmiało utrzymywać braterstwo błogosławionych potomków Noego z przeklętymi, gdzie nie wierzą w wyższość rasy szlacheckiej, w boskie jej prawa —

gdzie nawet królewska krew idzie na równi ze krwią reszty narodu, gdzie sztydzą z rachunku majątków na dalsze, gdzie lada sztydzą nie zdejmie czapki przed twojemi oknami, choć jesteś pan z panów, gdzie na ulicy hardo otrze się o ciebie lada wyrobnik, któremu we swojej wsi mógłbyś kopę bizunów wyliczyć — żyć w takim kraju zadziwionym, kiedy tymczasem podobni nam bracia nasi pozostali w kochanej ojczyźnie, używają za siebie i za nas, dobrze jedzą, dobrze piją, bawią się, śpią do woli, nie nie robią, dostają urzędy, tytuły, bogato się żenią, hulają po jarmarkach, biją chłopów!...

Nie dziw, że dobry szlachcic, rozważywszy to wszystko, wpada w rozpacz i pragnie jak najprędzej do swojej wsi powrócić. Na chlubę naszą możemy powiedzieć, że nie dziś dopiero weszliśmy na tę drogę zdrowego rozsądku: mieliśmy przecucie emigranckiej niedoli, jakeśmy tylko wyszli za wrota naszych wiosek, aby się w mieszać do smutnych wypadków nocy 29 Listopada; gryzło nas ono wśród bojów, wyciskało łzy, kiedyśmy przekraczali granice, aż póki nie zamieniło się w rzeczywiste uczucie, w dotykalne cierpienie. Bóg świadkiem, żeśmy wszystko robili, aby tylko uwolnić się od niego.

Najnaturalniejszym środkiem było przyjęcie amnestyi, ale wy wiecie, co to jest amnestya moskiewska? Zastanowiwszy się nad nią, postrzegliśmy, że moglibyśmy wpaść z deszczu pod rynnę, pomijając potwarze, jakich krótko widzący krzykacz nie omieszkalby cisnąć na nasz charakter, nasz patryotyzm. Zostawiliśmy ją więc, jako ostateczny środek po wyczerpaniu wszystkich innych i rzuciliśmy się chwilowo w odmęt emigracyjnego mroczku. Nie przez spójność uczuć, broń Boże!

Wierni naszej zasadzie: „korzystać ze wszystkiego“, dopisaliśmy tylko na chorągwi naszej pod głównym napisem: „Amnestya“, mniejszymi głoskami: „Popularność“. I w tym kierunku rozpoczęliśmy właściwe nam działanie.

Nasamprzód poszliśmy za radami zdrowej polityki i praktycznego rozumu i prosiliśmy gabinety, aby one ze swojej znowu strony poprosiły Moskalą, czy nie byłby tak grzeczny, i nie uznał się za zwyciężonego od nas,

a następnie, czy nie zechciałby dobrowolnie oddać nam tego, czego my naszą siłą wyrzucić mu nie umieli.

Przyznacie, szanowni bracia, że w takim postępowaniu był wielki praktyczny rozum. Był to najwygodniejszy sposób wrócenia do naszych majątków bez wojny, bez niebezpieczeństwa wewnętrznej rewolucyi, a wiecie o tem, że stan najcięższego ujarzmienia zewnętrznego jest jeszcze lepszy, niż najłżejsza rewolucya wewnętrzna. Była przytem i ta jeszcze dogodność, że wszyscy moglibyśmy siedzieć, jak u Boga za drzwiami, a ciężar pracy, jeżeli był jaki, spoczywałby na zdypłomacowanych barkach największej naszej figury. Cześć jej za tyle piór spisanych, za tyle krwi, zastąpionej atramentem, za tyle papieru, dostarczonego nie na ładunki, ale na fidybusy pisarzykom europejskich gabinetów.

Niestety! Szatan rewolucyi wmieszał się w sprawę i wszystko popsuł. Motłoch emigracyjny, pochopny do bojów i awantur, bo nie mający nic do stracenia, oszłomiony nowymi wyobrażeniami, nie uleczony z jadu starych republikańskich elementów, niezdolny pojąć praktycznej naszej mądrości ani cudotwórstw gabinetowych, wzburzył się nagle, „hurra!“ — potępił roboty dyplomatyczne, wynalazł sobie jakieś dziwne godło: „przez lud dla ludu“ — i Bóg wie, gdzie skierował opinię. Dziś nie usłyszysz nic innego, tylko, że przez wojnę, własnymi całego narodu siłami możemy Polskę odzyskać. Jakiś czas wierzyliśmy tyle w dobrodusznego rozsądek masy, że wszystko to mieliśmy za szal chwilowy, i spodziewaliśmy się prędzej czy później ujrzeć jego koniec, a nasze roboty szlachecko-dyplomatyczne dalej ciągnąć.

Praktyczny nasz rozum zawiódł nas w tym razie. Szalona opinia coraz się dobitniej objawia, partya ludu i powstania coraz liczniejsza, coraz się mocniej urządza, tak, że w końcu może nas, jak to mówią, posadzić na lodzie.

My przeto, niżej podpisani, wzięwszy na uwagę, że głupiemu rozum nie zawadzi — że i Polacy mogą zamarzyć o powstaniu — że to powstanie może być w duchu demokratycznym, bo dyabeł nie śpi — że w takim razie byłoby kręto z naszym szlacheństwem i państwem — że jak kto sobie pościele, tak się wyśpi, bezpiecznie

więc jest wcześniej pomyśleć o łóżku w Polsce — przyszlizmy naprzd do mądrych ogólnych wniosków, takich naprzykład: Prima charitas ab ego; — gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleźć, to jest podszywać się pod przemagającą opinię, robiąc swoją sztukę dalej; — jeżeli pęk prętów trudny do złamania, jak nas tego naucza dukat holenderski, to je trzeba rozwiązać i pojedynczo łamać; — jak tylko naród zaczyna przychodzić do opamiętania, puszczaj mu nowego baka, i tym podobnie — a następnie, w skutku tych wniosków, postanowiliśmy zawiązać i zawiązujemy niniejszą konfederacyę dynastyczną, w duchu i celach, wykazanych i objaśnionych przez poniższe artykuły.

1^o Konfederacya ogłasza za swoją własność przekonanie, że naród polski na swoje tylko siły rachować powinien i tylko narodowem powstaniem zbawić się może. Konfederacya otrzyma przez to dwie ważne korzyści: odciągnie od strony przeciwnej tych wszystkich którzy powiadają: — „Kto prowadzi, jechał go sęk — niech tylko prowadzi, a pójdziemy za nim!“ — i razem zniszczy najniebezpieczniejszy przeciw nam zarzut, że nie wierzymy w naród. Dla uspokojenia podejrzliwych sumień, któreby tym artykułem przerazić się mogły, konfederacya artykułem drugim przyjmuje za formę rządu polskiego formę monarchiczną, jako nieodbity warunek pomyslnego powstania i trwałego bytu Polski w czasy nieskończone. Tym sposobem zapewnia sobie wszystko, co tylko jest w narodzie szlacheckiego, jezuickiego, niedołężnego, pieczeniarskiego, służalczego, lokajskiego, jednym słowem: wszystkie żywioły antyrepublikańskie, tak stare, jak nowe, poczęte przez rządy: moskiewski, austriacki i pruski.

3^o Konfederacya mianuje swoją monarchię monarchią demokratyczną. Przez ten lisi ogonek pokaże gruszkę na wierzbie tym, których począł już owiewać duch antyszlachecki, wydrze na swój użytek dotychczasowym demokratom monopol nowych wyobrażeń i może nawet niejednego z nich na tę wędkę złapie, a razem dostarczy szlachcie niespożytego żywiołu do dysput z demokratami, potępiającemi jej arystokratyczne dążenia.

4^o Konfederacya ustanawia dynastję polską i zamyka całą ważność, całą potęgę, cały byt narodu w dynastyi, w jednej rodzinie, odprawiając z kwitkiem wszechwładztwo ludu. Jest to myśl olbrzymia — daj tylko, Boże, aby w skutkach okazała się tak rozumną, jak jest polityczną w poczęciu swoim. Zaciera ona naród, niszczy wiarę w wszechmocność ludu, ujmuje w kajdany wszystkie jego siły, robi z niego jedynie dobre narzędzie, zwraca znowu całe zagadnienie naszej sprawy na stanowisko, z którego się ruszył nasz pierwszy artykuł — ale zawsze upieramy się przy tem, że nasza monarchia jest demokratyczna.

5^o Konfederacya opiera się w przyszłym urządzeniu polskiego narodu na konstytucyi 3-go Maja. Ten figiel nie przerazi naszych panów, znających się na rzeczy, a ujmie za serca patryotów-prostaczków, półliberalistów, półrepublikanów, półśrodkowców, którzy w prostocie ducha zapatrują się na tę konstytucję tak, jakgdyby słońce 3-go maja 1791 roku jeszcze nie zaszło, i nie domyślają się, że żalobny kwef, który widzą na jej twarzy, pokrywa już zmarszczki pięćdziesięciu lat przeżytych.

6^o Konfederacya najuroczyściej przyrzeka, że jej monarchia będzie rozwijać urządzenia socyalne w duchu konstytucyi spomnianej, sposobem postępowym, to jest, kiedy panowie narodu uznają to za dobre dla siebie. Kto ma uszy, niech słucha! Konfederacya bierze przez to pod swoją opiekę cały obecny stan rzeczy i mimo groźby przemian, nie mającej w sobie żadnego znaczenia, zaręcza najświęciej nietykalność jego tak długo, jak długo to będzie w jej mocy. Ktokolwiek zna nas dobrze, ten wie, że taka utopia, jak myśl usamowolnienia masy, nigdy nam głowy nie zawróci. Spodziewamy się, że pojmujecie teraz naszą socyalność.

7^o Konfederacya pieczętuje powyższe artykuły i całe dzieło uosobieniem swojej dynastyi, monarchii, konfederacyi, demokracji, Polski, powstania, a jaśniej mówiąc, wszystkich swoich nie, rozmaicie pochrzczonych, w największej swojej figurze. — To jedno dostatecznie i ostatecznie zmodyfikuje artykuły, zanadto rażące duchem panującej opinii, da świadectwo wiarogodności innym,

uspokoi wszystkich naszej wiary i będzie najlepszą rekompensacją, że zostaniemy tem, czem byliśmy, mimo to wszystko, co czasem przez wzgląd na okoliczności jesteśmy lub będziemy zmuszeni powiedzieć lub zrobić.

8^o Konfederacya wysuwa przed siebie, jako swój organ, pismo pod tytułem „3-ci Maj“. „Trzeci Maj“, mówiąc przez porównanie, będzie to lokaj przy drzwiach, którego całym jest obowiązkiem wymieniać nazwiska gości, wchodzących do salonu, ale dokładna ich znajomość nie do niego należy — albo pozytywek, który to tylko wygra, na co go nakręceno. Świadomość gości i klucza od pozytywka zostanie naszą tajemnicą. Jak zrobimy swoje, szanowny klub Maja-trzeciego pójdzie sobie z Bogiem, jak sfalszowany pozytywek, albo wysłużony lokaj.

9^o Konfederacya na dobitkę przyjęła następujące postanowienie: Jeżeli emigracya będzie jej powolna, konfederacya przyrzeka myśleć o powrocie do kraju wszystkich tułaczów i nawet w chwilach swobodnych nie żałować na ten cel swoich wstawień się; w przeciwnym razie, mianowicie w razie przeciagnienia się szalu demokratycznego, konfederacya pójdzie za popędem patryotycznej tęsknoty i conte qui conte wysunie się pojedynczo, każdy do swojej wioski, a hołotę emigracyjną zostawi własnemu jej losowi.

Z tego wszystkiego widzicie, że istotą naszej konfederacyi jest naprzód utrzymanie świętego pokoju pozorami wojny, a potem zapewnienie sobie kierującego stanowiska, cokolwiek wypadnie. Znając waszą przenikliwość, przewidujemy zarzut, jaki głównie zrobicie przedstawionemu wam dziełu. Powiecie: „Stara to sztuka!“ Nic prawdziwszego, że nie nowa, ale my wiemy, z kim mamy do czynienia. Możesz im tysiąc razy jedną suknię udąć za inną, tylko ją zręcznie przewrócić i umieć bezczelnie przemówić. Nic nowego pod słońcem, i dno więc naszej polityki zawsze to same, ale czyż wszyscy znają historję, czyż bieda emigracyjna nie zrobiła naszych biednych dusz jeszcze powolniejszymi, niż były kiedykolwiek?... My wiemy, że tonący chwytą się brzytwy. Krzyknij: „Polska!“ — a pójdą, gdzie chcesz, za kim chcesz!

Na rozumniejszych, ale nikczemniejszych, mamy inne sposoby. Ściśnienia naszych rąk pańskich, uśmiechy i słodkie słowa naszych dam, wstęp na nasze salony, słodczyce naszych herbat, bilety towarzystwa dobroczynności, zasilki z grosza wdowiego, krzesła w towarzystwach literackich, perspektywa wreszcie rang, urzędów, tytułów i tym podobnie — oto są kółka, które przewlekamy przez nozdrza naszych niedźwiedziów i wlecemy ich za sobą.

Udzielając wam, szanowni bracia, w tajemnicy akt mniejszy, który jest najurzędowszą podstawą i wyjaśnieniem naszego dzieła, mamy pewność, że po rozpatrzeniu się w nim nie omieszkacie połączyć się z nami.

CZARTORYSCY JEDENASTA PLAGA EGIPSKA.

Podanie hebrajskie.

Mojżesz wielce był zafrasowany uporem Faraona. Użył przeciwko niemu wszystkiego, co jest najbrzydlwsze, najszkodliwsze, najstraszniejsze na ziemi: napelnił egipską ziemię żabami, myszami, pluskwami, a Faraon był nieugięty. Gdy to rozmyślał Mojżesz, wpadł w gniew wielki, a w tym gniewie postanowił udać się do najstraszniejszej, ostatecznej plagi, jaką zachował sobie. Bóg zobaczył gniew Mojżesza, jako gniew lwicy nad pobitemi lwiatami, przyszedł do niego, i pytał: „Co ci jest, mój przyjacielu Mojżeszu, żeś taki zagniewany?” A Mojżesz odpowiedział: „Oto użyłem dziewięciu plag przeciw Faraonowi, a zmiekczyć go nie mogłem; teraz postanowiłem użyć dziesiątej, aby raz przecie z Egiptem skończyć.”

— Dobrze robisz, Mojżeszu, ale jakąż to jest ta plaga?

A Mojżesz odpowiedział:

— Familia Czartoryskich.

Gdy to Bóg usłyszał, uchwycił się za głowę i zawołał:

— Mojżeszu! Mojżeszu! Nie rób tego, nie przyszedł jeszcze na Egipcyan ten czas ostateczny!

I długo zadumał się Bóg i Mojżesz. Nareszcie Bóg rzekł do Mojżesza:

— Mojżeszu, odstęp mi tę plagę!

A Mojżesz odpowiedział:

— Dobrze, mój Panie, ale ja, głupi Mojżesz, nie mogę domysleć się, co byś, Boże, z nią robił, na którym ludzie chcesz jej doświadczyć? Mnie się zdaje, że niema i nie będzie ludu gorszego nad egipski.

— Prawdę mówisz, Mojżeszu, — odpowiedział Pan. — Ja też nie chcę doświadczać twojej plagi na ludzie najgorszym, ale na ludzie najlepszym. Będzie on żył w kil-

kanaście czasów po tobie; będzie najmilszym z narodów przed moim obliczem, przeto będę go nawiedzał różnemi plagami, aby doświadczać jego cnót. Będę puszczał na niego klęski gorsze, jak na sługę Joba: Tatary, pomór, Krzyżaków, szlachtę, szarańczę, carów moskiewskich, Jezuitów, hrabiów galicyjskich, i wiem, że to wszystko przebędzie. Nakoniec spuszcza nań familię Czartoryskich; jeżeli ta go nie dobije, to zostanie podniesiony nad wszystkie w świecie narody.

ŚWIĘTO WIELKANOCNE

w Paryżu, przy ul. Traversière S. Honoré 23, po staro-
szlachecku uczczone.

Nie mamy kraszanek,
tłuczmy się łbami!

„Chwała Ci, Boże! Ogień dziewięcioletniej niewoli nie-
darmo czyści emigracyjne złoto. Rozpamiętywanie prze-
szłości wyłożyło, jak na dłoni, główne przyczyny naszych
nieszczęść, dało uczuć konieczność naprawy w naszej
budowie umysłowej i materyalnej. Poznaliśmy egoizm
w całej jego obrzydliwości, pod wszystkimi jego posta-
ciami, wyganiamy go z najskrytszych komórek serc na-
szych. Stępiła w nas drażliwość na drobne urazy za-
drażnionej osobistości, dotkniętego punktu honoru; znikła
skłonność do wysokiego o własnej wielkości rozumienia,
do klótni, do niezgody — bo przekonaliśmy się, że ten
robak roztaczał wiecznie podwaliny polskiego społeczeń-
stwa, nie dał się nigdy ostać jego budowie. Nasze uczu-
cie braterstwa coraz przestronniejsze, ogień miłości naro-
dowej coraz czystszy, zgoda coraz stalsza; święty, wielki
cel wspólny coraz silniej pochłania drobne poboczne dą-
żenia; krótko mówiąc, stajemy się coraz godniejsi naszego
powołania. Kiedyż stosowniej, jak nie w tej chwili, mo-
żemy się chlubić tą przemianą. Oto wielkanoc, święto po-
jednania! Przed oczami naszymi baranek mięki z chora-
giewką zmartwychwstania, godło poświęcenia, miłości,
braterstwa, wiary, nadziei, godło nas, naszych losów
obecných i przyszłych. Jeżeli kiedy, to w tej chwili, na
ten widok, zlejmy nasze serca w jeden płomień miłości,
bądźmy choć na chwilę takimi, jakimi powinniśmy być
zawsze“.

Tak mniej więcej przemawia wzruszonym głosem ka-

plan, błogosławiący święcone; serca słuchaczy otwarte, oczy zachodzą łzami, dłonie klaszczą brawo.

— To nie baranek, to podobniejsze do pudła — wyrzekł ktoś półgłosem...

Sąsiad pojrzał z ukosa. — Czegoż tak patrzysz na mnie? — Bo słuchać nie warto. — Jakto? To ja niby głupstwa gadam? — Myśl o tem, jak chcesz. — Ha! Człowiek honoru nie może tego przebaczyć. Wyzwij go ode mnie, kolego!...

— Co to za pieczeń? — Sarnia. — Nieprawda, wołowa. — Znasz się, jak koza na pieprzu. — Odzywasz się, jak osioł. — Co, ja osioł? Człowiek honoru nie może tego przebaczyć. Wyzwij go ode mnie!...

I tak dalej..

Aż oto po niedługim czasie kilka grup zaperzonych, i nie słychać, tylko: honor, obraza, wyzwanie, strzelanie się, nienawiść na śmierć. A co kością niezgody? Rzeczy zupełnie bezkosztne: pieczeń, jajko, kielbasa, baranek z cukru; bo honor ludzi honoru delikatniejszy, jak baranek, kruchszy, jak jajko, łatwiej się krwawi, jak niedopieczona pieczeń.

Ależ braterstwo! Ależ takie święto! Ależ cała nauka przeszłości! Klócić się o lada co, kiedy wrogowie pragną waszych klótni — bić się pomiędzy sobą, kiedy ze wszystkich stron biją! Gdzie loika? Przez Boga! Zamieniajcie wasz honor na rozum, na miłość! O, nieodrodni waszych ojców synowie! Plućie w oczy temu, ktoby wam śmiał powiedzieć, że nie jesteście szlachtą, nie prawem potomkami szlachty, nie jej krwią, nie jej kością. Nie, nie zawstydzicie wy waszych przodków. W łonie matek wyrto wam na sercach za maksymę stanu: „naród, to ja!“ — i nie tego napisu zatrzeć nie zdoła.

Ale uciszcie się na chwilę; posłuchajcie, co wam powiem!

Już to widno ze wszystkiego, że potrzebujecie koniecznie bić drugich lub siebie. Obcych nie możecie, bo obcy was biją; siebie nie powinniście — byłoby to coś okropniejszego jeszcze, jak rzeź niewiniątek. Czy nie możnaby zaradzić temu trybem Żydów? Nie oburzajcie się tym wzorem. Powiadają, prawda, że Żydzi naród głupi, ale w nie-

których rzeczach możecie ich naśladować bez poniżenia honoru waszego rozumu. Otóż ci Żydzi mają zwyczaj na pewną uroczystość najmować chrześcijanina, który im przedstawia przez ten czas Hamana i, co zatem idzie, musi wytrzymać wszystko, do czego tylko nienawiść ku inowiercom pobudzi zgromadzonych. Czy nie byłoby dobrze przyjąć ten zwyczaj? Sądźmy, że, jakkolwiek Żydzi są głupi, w tem jednak mają więcej od was rozumu; roztropiej jest spędzać złość swoją na kimś, jak na sobie. Żeby zaś ten obrzęd nie wykaczał przeciw miłości bliźniego, ustrójcie sobie bałwana — na podobieństwo na przykład Moskala albo Jezuity. Takiego bałwana będziecie mogli lać, rąbać, kłuć, strzelać, ile się wam podobą.

Co większa, możemy was zapewnić, że podobny przeciwnik nie będzie was niegodzien. Bo i o cóż większa część waszych sporów?... O bałwana — a zatem, kto dla swojego bałwana odsuwa na bok Polskę, godność nie-szczęścia, interes sprawy narodowej, korzyści miłości braterskiej, ten wyzuwa się z polskich uczuć, z polskiej duszy, z polskiego życia, zostaje bałwanem — i powinien zapakować się zemstą nad bałwanem.

JESZCZE JEDNO WSPOMNIENIE WSPOMNIENIA.

Niech to nikogo nie dziwi, że znowu z powodu kalendarzyka¹⁾ mówić będziemy. Usprawiedliwia nas cel książki; alboż nie napisana ona dla całorocznego użytku? Ale o to mniejsza; wolimy powiedzieć, o czym pisać będziemy.

Między innemi urojeniami, zdało się autorowi „Wspomnienia“, że pojmuje podniosły umysł i jego stanowisko w świecie estetycznym, albo, ogólniej mówiąc, umysłowym, a twierdzi najwyraźniej, że ludzie podnioslejszego umysłu, walczący o usamowolnienie ducha, o przypuszczenie nowych ras do politycznych społeczeństw Europy, nie lubią poezyi szorstkiej, krwawej, malującej rzeczywistość, a lubią poezję słodką, idealną, sentymentalną, wybrzaskaną na złotej lirze, i że dlatego właśnie są takimi, jak są.

Z tematu więc owych podniosłych umysłów powiemy słów kilka.

Dwa są rodzaje podniosłych umysłów. (Mówiąc prawdę, my jeden tylko znamy; na drugi przystaliśmy chwilowo, przez grzeczność dla kalendarznika.) Pierwszego rodzaju nie można ogólnie lepiej określić, jak własnemi słowami tekstu: są to ludzie, walczący o usamowolnienie ducha i przypuszczenia nowych ras do politycznych społeczeństw Europy. Ale trzeba tę miniaturkę rozprzestrzenić w portret. Wejrzawszy przeto w szczegóły fizjonomii, wypada, jak następuje. Podniosły umysł pierwszego rodzaju jest to człowiek, któremu podobano się być protektorem rodzaju ludzkiego. Uznał on z łaski swojej, że możnaby nareszcie duch usamowolnić i dać nowym rasom jakiś

tam udział w społecznym i politycznym życiu. Na tem nie koniec. Waleczny podniosły umysł dla poparcia swojej opinii zabiera się do walki. Ale, niegłupi, przedewszystkiem stawia się tak, żeby mu nie zaszkodziła i największa klęska jego strony; wynosi się nad ludzkość, nad materję i ogłasza, że tylko duchem dla ducha walczy. Walczy więc odziany szlafrokiem, rozpostarty w wygodnym karle, uzbrojony piórem. Jego linia operacyjna — ulica takiego naprzykład miasta, jak Paryż; punkt oparcia — stolik z herbatą, otoczony wieńcem podobnych jemu podniosłych umysłów; biwak — w kawiarni lub w pierzynch. Wojak ten manewruje, jak Skrzynecki: jest wszędzie, gdzie niema nieprzyjaciela — spotkawszy go przypadkiem, uśmiechnie się i pójdzie w swoją drogę. A że walczy duchem z duchem dla ducha, z materją więc, z ciałem, z ludzkością żyjącą, przynajmniej z jedną jej połową, nie ma nic do czynienia. Nic go też nie obchodzi, co się dzieje z jej ciałem: nadewszystko lęka się współczucia jej bólu, nie może tego pojąć, jak to boli. Zawołaj pod chłostą jękiem cierpienia, przekleństwa lub groźby, on zatyka uszy i woła: „A pfe! Kto widział tak krzyżeć! To nieszlachetnie! To nie lirycznie!“ Taki odgłos mąci harmonię jego nadziemskiej liryki, ploszy jego rajskie zachwycenie. Toż, gdyby zależało od niego, przeciągnąłby tę wojnę jak najdłużej, bo w rzeczy samej wszystko mu jedno: pokój, czy taka wojna.

Wstąpił w szranki walczących duchów, ot tak sobie, jak dyletant, z fantazyi, czasem dla pieniędzy, czasem z pretensją do umysłu takiej wzniosłości, do jakiej duch jego dosiądz może, ale zawsze pod warunkiem, żeby to nie było nic więcej, tylko wojna duchów.

Cały ten obraz zamknijemy dwoma prawdami: pierwsza, że taki podniosły umysł stoi na tej ziemi do góry nogami i bierze swój zawrót głowy z przyczyny podobnego położenia za upojenie się wzniosłym stanowiskiem — druga prawda, że taki podniosły umysł dyabła wart, nie wyłączając nawet kalendarznika.

Drugi rodzaj podniosłych umysłów nie przestaje na biernem duchowym waleczeniu o usamowolnienie ducha, o prawo do politycznego życia, ale się sam usamowolnia,

¹⁾ Kalendarz pielgrzymstwa polskiego w roku 1840. Paryż, Jelewiczki.

sam zajmuje należne mu stanowisko, nie prosząc przywłaszczycieli o zrobienie mu miejsca, jako o łaskę jaką; zabiera je takim samem prawem, jakim wciąga do piersi powietrze, którem oddycha.

Rodzaj ten walczy ciałem i duchem o ducha i ciało. Składa go gnębiona część ludzkości i szlachetna część gnębiącej, która w natchnieniu poświęcenia zrzuca się dobrowolnie korzyści swojej przewagi i łączy się ze skrzywdzonymi dla odpokutowania podziałem ich losu, całem życiem trudów i ofiar mimowolnego grzechu nałożenia przez chwilę do panujących.

Dla tego rodzaju walka nie jest igraszką, jak nie jest igraszką cały byt jego. Na kim dolegliwości niepogód, wycieńczenie pracy, tortury niedostatku, szaleństwa tyranii, wszystkie cierpienia, wszystkie klęski rodu ludzkiego grają bez ustanku, jak na muzycznym naczyniu, dla tego jedynem wytnięciem jest walka z przyczynami tego stanu, dla takiego i poezya nie brzęczy słodko, jak lira złota, ale grzmi, jak muzyka bitwy w najwyższym jej natężeniu. Koniec końców ten tylko rodzaj ma podniosły umysł i może śmiało wołać do salonowych swoich sprzymierzeńców: „Idźcie precz! Jesteście oszusty!”

KILKA SŁÓW DO TEJ SZLACHTY, CO SZCZERZE CHCE POLSKI.

PIERWSZE SŁOWO.

- Czy wy szczerze chcecie Polski?
- Szczerze, jak Bóg na niebie.
- I gotowiście wszystko dla niej zrobić?
- Wszystko, jak Bóg na niebie.

Słownie! Z takimi ludźmi można otwarcie pogadać. Na zadatek nie żądamy po was nic więcej, tylko, ażebyście oderwali się na chwilę od waszych interesów domowych i ośmielili się przeczytać, co wam napiszemy. Wszakże zaręczamy was najuroczyściej, że mówić będziemy nie o wierszach, nie o kłótniach emigracyjnych, nie o teoriach francuskich, nie o żadnej tym podobnej fraszce, ale o tem, co dla was jest rzeczą najważniejszą, jak to sami powiadacie, to jest, o zbawieniu Polski. Im ściślej rozważamy zagadnienie naszej sprawy, tem jaśniej przychodzimy do tej prostej pewności, że jej pomyślność zależy od nauczania się i użycia przez naród kilku sekretów. O nich więc rozprawiać z sobą będziemy, bez uniesień, bez metafizyki, jak przystoi na ludzi, którzy jednego pragną i odsuwają na bok osobistości, gdy chodzi o dobro ogólne.

Jednym z wyżej wymienionych sekretów jest przypuszczenie całego ludu polskiego do udziału w życiu politycznem. Wiecie zapewne, że mieć udział w życiu politycznem jest to samo, co mieć taką wolność, jaką w czasach narodowej niepodległości miał każdy szlachcic, z wyłączeniem raz na zawsze prawa do bezprawia. Nie jesteście chłopami, żebyście tego nie wiedzieli. Otóż to jedno, o co się starać powinniście. Ale wy mówicie: „To być nie może. Chłop nasz nie ma pojęcia życia politycznego, nie potrafi żyć politycznie; przypuścimy go do tego

życia wtedy, kiedy będzie miał dosyć na to rozumu.“

Zmitujcie się, panowie! Nasamprzód, jak wiecie, że chłop nasz nie potrafi żyć politycznie? Nie inaczej, chyba tylko duchem proroczym! Nie wiecie-ż jemu. Nie ostrzegł on nas o upadku Polski, nie prowadził was prostą drogą jej zbawienia, nie powinien i w tej rzeczy zasługiwać na waszą wiarę. Potem, jakim sposobem chłop nauczył się politycznego życia, jeżeli mu nie dacie wolności i zręczności uczenia się? Można-ż inaczej wprawić się w to życie, jeżeli nie przez samo życie? Podług was niktby czytać nie umiał. Bez książki nikogo czytać nie nauczysz, a wy powiadacie: „Damy mu książkę, jak będzie w stanie ją czytać.“ — Podług was niktby żyć nie mógł. Zatkaliłobyście nowonarodzonemu głębię i mówiliby-ście: „Pozwolimy mu oddychać, jak żyć będzie.“

Widzicie więc sami, że podobna metoda jest nietrafna; pozwólcież chłopu spróbować innej, tej na przykład, przez którą wy zostaliście takimi mędrkami, jakimi dziś jesteście. Wszak nie porodziliście się z rozumem politycznym, nabyliście go później. Dlaczegożby chłop nie potrafił tego, co wy możecie? Wszak i jemu, równie jak wam, dał Bóg taką samą duszę, takie pojęcie, takie umysłowe zdolności, taką własność rozwijania ich wszechstronnego. Potrzeba tylko, aby miał interes i pole uczenia się. Samem patrzeniem na was nie będzie mądry: już to tyle wieków patrzy, a sami powiadacie, że dotąd nic nie umie. Mylicie się więc, o ile macie dobre chęci, o ile przypuszczamy w was ludzi, wyniesionych nad wszystkie osobiste widoki.

Teraz pokażemy wam, że się mylicie, wyprowadzając rachuby wasze z interesu osobistego, z widoków szlacheckich. Przepraszamy, jest to tylko przypuszczenie! Przypuszczamy więc, że się lekacie, ażeby w narodzie nie było za wielu rozumnych. Ale jeżeli Bóg tego się nie bał, obdarzając rozumem każdego człowieka, to i wy możecie być spokojni. Spuście się na Boga zupełnie w tej rzeczy; już on tak to pokieruje, żeby nikomu źle nie było, a zatem i wam. Nie śmiemy także posądzać was o zazdrość. Rozum rozumowi nie robi żadnego uszczerbku; nie jest to pieniądź, który razem w dwóch

kieszeniach znajdować się nie może. Śród najmędrszych mogą mieć tyle rozumu, ile mi go tylko potrzeba. Nie pojmujemy więc zazdrości względem rozumu, wyjawsz, kiedy chcemy z drugich korzystać albo, wyrażając się gminnie, okpiwać drugich; ale tej zazdrości, tej chęci, przypisać wam nie możemy. Nieprawdaż?...

Tyle już razy was okpiono tak ciężko, tak haniebnie, że musicie brzydzić się tem rzemiosłem, jak śmiertelnym grzechem. Doświadczyliście na sobie całej jego szkarady i dlatego nie zechcecie zapewne wetować krzywdy krzywdą, i to jeszcze na niewinnych. I słusznie robicie. Wierście nam, że, jakiegokolwiek mogą być powaby i korzyści w okpiwaniu bliźnich, w ich głupstwie, nigdy nie przeważają szkód, jakie stąd poniesiemy, zwłaszcza, kiedy ci głupcy są nasi rodacy. Gdybyśmy byli wcześniej pomyśleli o rozumie naszego ludu, nie byłibyśmy dziś mieli tyle kłopotu z rozumem Moskalów i Niemców! To prawda, że głupiego łatwiej skrzywdzić, jak rozumnego; ale do czasu dzban wodę nosi. Nuż znajdzie się rozum przeciwny twojemu rozumowi i przyjdzie do głupiego, któregoś skrzywdził i powie jemu: „Twój brat rozumny skrzywdził ciebie, ale ty wiesz przysłowie, że złodziej nie brał itd. — otóż jest nas dwóch, chodźmy i odbierzmy, co ci wydarł.“ Słowa te trafiają do przekonania głupiego, połączy się z nowym opiekunem, napadną cię we dwóch, odbiorą nieprawą własność, a w dodatku jeszcze ci i twoją wydrą. Mniejsza o to, że chytry opiekun, jak to zwykle bywa, skrzywdzi głupiego na nowo, jak ty go skrzywdziłeś, kiedy — co tobie zabrali, to przepadło. Czy nie wolałbyś wtedy, żeby twój brat miał rozum i nie pozwalał się krzywdzić, a temsamem nie był w konieczności szukania sobie obcych opiekunów i mszczenia się? W przystępie pokusy możebyś się gniewał na to; pojmujemy zły humor pański, kiedy coś stoi na zawadzie jego fantazji, ale, przyszedłszy do chrześcijańskiego upamiętania, błogosławiłbyś tej przeszkodzie. A więc i to nie! To może sam widok głupców jest wam tak miły, żebyście ich jak najwięcej około siebie mieć chcieli?... Nasamprzód, upodobanie takie dowodzi złego wychowania. Ludzie, przyzwyczajeni, jakimi wy jesteście, szukają odpowiednich

sobie towarzystw i rozrywek; nie z wiatru zrodziło się przysłowie: lepiej z rozumnym zgubić, jak z głupim znaleźć — powtóre, zamknijcie się w podobnej sferze prądeży czy później wywiera swój wpływ szkodliwy na nasz własny umysł: nieczyste bagno zapowietrzy całą okolicę. Takiem bagnem jest ciemnota masy, która nas otacza; zgubnym jego skutkiem jest owa głupota, której, nie chwając się, ciągle oczywiste dajemy dowody, a najoczywistsze w tem, że z niej wyjść nie chcemy, nie widzimy potrzeby.

Nakoniec sam to przyznasz, szlachcicu panie, co za okropność twego położenia, kiedy, jako pan, masz z głupim chłopem do czynienia. Czujemy to, jakbyśmy w tobie siedzieli. Cały dzień musisz się gniewać, łajać; nawykasz do słów nieprzychylnych, że czasem w takim miejscu wyrwiesz się z niemi, że się sam wstydzisz za siebie; psujesz sobie gardło, nie zjesz z apetytem, nie strawisz dobrze, nabierzesz złego humoru, który ci zatruwa wszystkie przyjemności domowego pożycia, przy żonie takiej ładnej, wśród dzieciak obiecujących tyle dla francuzczyzny; kwaśny jesteś w gronie łaskawych gości, a niezawodnie wszystko to z gniewu, że twój chłop tak głupi. W haniebniejszem jeszcze jesteś położeniu, kiedy posuniesz się do tego, że on leży przed tobą, jak bydlę, ryczy, jak bydlę, a ty, stojąc nad nim, liczysz plagi, patrzysz na to wszystko i słuchasz tego wszystkiego. Co to wtedy musi dziać się w tobie, w tobie, który zapewne, jak chłop, masz ludzkie serce i dosyć ludzkiego rozumu do pojęcia, że i chłop ma takie czucie, jak ty, że swój ból tak czuje, jak tybys czuł na jego miejscu. Ile to musi ciebie kosztować jedna taka chwila! Miarkuję to po sobie. Kilka razy zdarzyło mi się być świadkiem podobnej sceny w domach, zresztą bardzo uczciwych. Otóż, patrząc na to, doznawałem tak dziwnego wzruszenia, że z rozkoszą byłbym widział na miejscu bitego chłopca nie siebie, to prawda, ale szanownego pana. Ja myślę, że coś podobnego musi dziać się w twojej duszy i, jeżeli bijesz chłopca, to za to chyba tylko, że taki głupi, iż bić się pozwala. Nie mogą wyszperać innego źródła podobnej wściekłości w twojem sercu, piękne, jak herb twojego domu, szla-

chetnem przez krew matki i ojców, jeżeli przypadkiem masz ich kilku. A nie byłoby tego, żeby chłop miał taki rozum, jaki ty masz mniej więcej. Teraz-że wyobraź sobie tego samego chłopca na równi umysłowej i politycznej z tobą! Przychodzi do ciebie ubrany czysto, choć nie tak, jak ty, wykwintnie, kłania się z uprzejmym uśmiechem, patrzy w oczy pogodnem spojrzeniem, zaczyna rzecz swoją bez skrobania głowy, siada obok, mówi rozsądnie o interesach prywatnych, ze znajomością rzeczy o publicznych, z uczuciem i trafnem zdaniem, tak, że, patrząc na niego, ani ci na myśl nie przyjdzie, że ten sam człowiek przed kilkunastą laty razilby twoje oczy gburowatą postawą, lachmanami ubioru a może i czemś brzydszem jeszcze, gdyby na zły humor trafił. Nie jest-że to rozkosz żyć z podobnemi ludźmi? A do tego nie więcej nie potrzeba, tylko wprowadzić ich w życie polityczne. I nie sądz, ażeby ta rzecz miała ciebie tak wiele kosztować. Część tej usilności, którą dziś obracasz na posłnienie swych braci w twojej wsi, zwrócona ku ich oświeceniu — część miłości, nie mówię już tej, którą kochasz siebie, swoją żonę i dzieci, ani tej, która w komunikantach na twój dom spływa, ale część tej, w której żyjesz z twemi końmi i psami, rozlana na całą wioskę — część ziemi, bez której możesz bezpiecznie spodziewać się miejsca w królestwie niebieskiem, a która dzisiaj, przeklęta od ludu, w jeden tylko plon wybujała, w niewolę twoją i drugich, i leży ci przed oczami, jak cerograf, dany dyabłu na duszę Polski, za co? za próżniackie przełganie kilku chwil znikomych lichej, ziemskiej wędrówki — część tej ziemi, część tej miłości, część tej usilności, poświęcona twojej wiosce — a żyłbyś wśród niej, jak w najmilszym towarzystwie, miałbyś krocie serc dla siebie, nakoniec miałbyś Polskę, i jaką jeszcze Polskę! Pomyśl nad tem!

DRUGIE SŁOWO

do tych, co chcą Polski niepodległej, a nie chcą jej robić.

Przypominacie sobie zapewne pierwsze nasze słowo; jeżeli nie przypominacie, to je zobaczcie w drugim oddziale „Pszonki“ pod liczbą stronicy 33. Otóż tem słowem

poprzedzającem mówiliśmy do szlachty, co szczerze chce Polski, uczuliśmy ją tam jednego z sekretów odbudowania ojczyzny: niepodległości: dzisiaj dla ważnych powodów musimy cokolwiek zboczyć z głównej myśli i prosimy o posłuchanie tych, co chcą Polski wolnej, a nie chcą jej robić — mniej zważając na przeproszeniem herbów, czy są szlachtą albo nieszlachtą.

„Co to jest? Co to jest? — zawoła przyszła Polska, która, żyjąc w kilkadziesiąt lat po nas, nie będzie nas znała tak, jak my się znamy. — Nowa potwarz na nieszczęśliwych, nowe urąganie ojczystemu nieszczęściu! Rozgłaszać, że są Polacy, którzy nie chcą dla Polski robić wtedy, kiedy tyle nieszczęść uderzyło w serce narodu, kiedy przeszłość i każda chwila społeczna były tak pełne i tak jasnej nauki, kiedy ci sami Polacy, oskarżeni o niechęć do pracy, ocenili tak dobrze przodków swoich, wymierzili taką sprawiedliwość ich grzechów, aż do przesady, aż do pogardy, kiedy widzieli jasno, że wiszą między życiem a śmiercią, kiedy sami, wszyscy w ogólności i każdy z nich w szczególności przywiązywali życie ojczyzny do swojego powołania, do swoich osób, kiedy czuli, że jednym z największych grzechów, przed nimi popełnionych, było właśnie owo odrętwienie, bezład w działaniu, kiedy zresztą zrobili Polskę (tu przyszłość odchrząknie i będzie dalej mówić)... na to trzeba być potwarzą, nieprzyjacielem swoich rodaków, Moskałem.“ Będziemy spokojnie słuchali przyszłości, będziemy czekali, aż ochłonie cokolwiek z pierwszego uniesienia, i dopiero wtedy wdamy się z nią w rozprawę, bo przyszłość to nie żaden Anty-Pszonkarz: można z nią rozumnie pomówić i przy dobrej sprawie, jak nasza, trafić do końca. Zgoda będzie, i prędko. Powiemy tylko: „Ależ, kochana matko, pamiętaj na to, żeśmy pisali w r. 1841; nie było jeszcze wtedy Polski niepodległej, a między Polakami jedni pracowali dla niej, drudzy próżnowali; nie pisaliśmy więc o tych, którzy robili i zrobili w końcu, ale o tych, którzy, przynajmniej w tym czasie, nie robili. Zresztą odwołujemy się do świadectwa największych naszych przeciwników, społeczników i niespołeczników.“

W istocie, jesteśmy pewni, że przyszłość nie uwierzy

od razu, żeby dzisiaj w Polsce mogli być próźniacy, trutnie polityczni — ale pokolenie społeczne, jakkolwiek sprawa z niem trudniejsza, niżeli z przyszłością, zgodzi się z nami. Któż ich nie zna? Kto nie widział choć jednej próbki? Kto nie wie, że na nieszczęście nasze tak o nich łatwo, jak o grzyby w mokrym lesie, jak o niedoręczności w dziennikach i broszurach naszych Adamitów. A są ich różne rodzaje, jak są różne pobudki wyosobnienia się. Ten bankrut polityczny, tamten jeniálny reformator wygwizdany, jeden i drugi mszczą się za swoje głupstwa opuszczeniem sprawy: tego zmęczyło już krzatanie się publicznie, tamten z góry sobie postanowił, że błogiej swojej spokojności nigdy nie narazi na burzę polityczną, inny chowa się ze swoją czynnością na chwilę powstania, ale będziesz mądry, jeśli wyczerpniesz z niego, jakim sposobem tę chwilę stworzyć. Ci próźniacy są przynajmniej spokojni, ale są próźniacy, że tak ich nazwiemy, wichryz-ciele: ci położyli sobie za zasadę nie mieć żadnej zasady, a za całą pracę nic nie robić; wściekają się więc na wszystko, co trąci zasadą lub działaniem, wszędzie widzą same intrygi menderów, czcze pozory formulek, nikczemność pryncypijków, wszędzie głupstwo, lotroństwo, zbrodnie, wszystko łaja, wszystko chcieliby zburzyć — ale, zagabnieni, czego chcą, odpowiadają, że są niezdolni coś zrobić i że nie myślą nic robić. Są próźniacy z dumy, wysokiego stopnia, znakomitej godności: może-ż były wódz robić wspólnie z podporucznikami, albo były poseł zasiąść na posiedzeniu, złożonem z motlochu? Są próźniacy z dumy talentu: on, co jest takim poetą, pisarzem, politykiem, strategikiem, a przynajmniej ma się za jednego z tych, może-ż kompromitować swój talent, swoją mądrość, zamieszaniem się w ten tłum brukowych polityków, między te jednochwilowe żyjątka, co radzą, aby nie nie uradzić, piszą, aby ich nikt nie czytał, co przelecają na wichrze wypadków ze wszystkimi mowami, czynami, pismami, jak trąba nieczystego pyłu, bez śladu, a sami tacy jaśni, tacy ważni, tacy wielcy! Są próźniacy z usposobieniem do służebności; dla takich wszystko jest w ich panu: pan za nich myśli, pan za nich robi; rzecz ich słuchać, czekać i próżnować; będą robić, jak pan

powie: czas robić. Są próźniacy religijni, zdający wszystko na Opatrzność, na cuda, na widome wmieszanie się Boga w sprawę polską. Treść ich kazań zawsze jednakowa: Co robicie — to materyalizm, bezbożność, wolimy nie mieszać się do tego; rzecz nas za modlić się, spowiadać, spokojnie zająć, myśleć o niebieskich migdałach i nie nie robić. Są próźniacy z tchórzostwa: robiliby, gdyby robota była tak bezpieczna, jak polowanie naprzykład, ale nieprzyjaciele to nie zające, mają się czem bronić i zabijać. Są próźniacy spekulanci: i oniby oddali się sprawie, gdyby sprawa przynosiła taki przynajmniej procent, jak owce lub gorzelnia. Są znowu próźniacy przez patryarchalność familijnych uczuć — spokojnego domowego życia: jemu tak dobrze w cichym własnym domu, w ciepłym łożu małżeńskim, w gronie igrających dzieci, przy piecu dobrze napalonym, na czele pańszczyzny — a życie polityczne zmieszałoby to wszystko, zawichrzyło, zakłóciło. Szanowna ta rodzina nie sam tylko kraj zaraża, część jej emigrację także zaszczycą: rozsypała się po warsztatach, fabrykach, kantorach, urządach publicznych i prywatnych; jedni się kochają, drudzy już się pożeuli, niektórzy na piękne, niektórzy na niepiękne, a spokojni przy dostatecznym dochodzie o dzienne i nocne potrzeby, poglądają z litością na emigranckie mrowisko; zagabnieni czasem przez politykę, uciekają, jak... przed muchami za swoje kantory, warsztaty, biura — i tak ma być aż do chwili, kiedy Polska oswobodzona powoła ich do siebie, aby nagrodzić za tyle cierpień emigracyjnego życia. Są jeszcze próźniacy... ale gdzież jest Homer, któryby to wszystko obejrzał i wyliczył? Koniec końców, że są.

Co to jest? — Sluchajmy! — Trafiliśmy w sedno. To oni w oburzeniu — bo ci panowie, jacy są, to są, nie lubią jednak swojej nazwy, jak jendyk gwizdania. „Próźniacy! Próźniacy! — wołają oni. Cóż mamy robić? Czy to, co wy robicie?” — dodają z szyderstwem. Słowa ich, przetłumaczone na język polski popularny, mają znaczyć: robicie samo głupstwa i nas jeszcze chcecie do tego wciągnąć; wolimy nie nie robić. O, moi panowie! Takie tłumaczenie się jest żadne, ten powód nie uspra-

wiedliwia bezczynności, nie uwalnia od spółdziałania, takie postanowienie nie jest godne ani czasu, w którym żyjemy, ani położenia, w którym ojczyzna zostaje, ani powołania, które jako Polakom spełnić nam kazano. My źle robimy? Być może. Ale nie — weźmiemy raczej wasze słowa, bez żadnych z naszej strony tłumaczeń, w ich dyplomatycznej dwuznaczności; porozumujemy na obie strony. Robimy więc albo dobrze, albo źle. Jeżeli robota nasza jest dobra i pożyteczna, nie widzimy powodu, dłaczegobyście od niej stronili i nie pragnęli udziału, choćby dla korzyści dusz własnych: wszak przez każdy czyn dobry przybywa jedno pióro do skrzydeł, na których sumienie wznosi się do rajy prawdziwego szczęścia. Jeżeli widzicie, że zła, musicie zatem powiedzieć, jaka jest lepsza; wejdźcie pomiędzy nas i róbcie lepiej, a wówczas na każdy przypadek będziecie prawdziwie pożyteczni, gdyż robimy źle albo z umysłu, albo przez nieudolność, przez niewiadomość: jeżeli przez niewiadomość — oświeceni od was, wejdziemy na lepszą drogę; jeżeli z umysłu — wdanie się wasze zostanie istotną zasługą wobec ojczyzny, bo pożytecznem działaniem zepsujecie szkodliwe.

Ale może wam nie przystoi spółnictwo z nami? Mniejsza o to. Jest was tylu, a wszyscy zapewne poczciwi i rozumniejsi od nas; porozumiejcie się i zróbcie na swoją rękę. Ale róbcie — inaczej każdy ma prawo mówić wam: „Alboście niedołęgi — albo musicie być dyable obojętnymi Polakami, skoro nie staracie się niszczyć tego, co Polskę gubi, i patrzycie tem samem okiem na zło, co na dobre.“ Może zbyt nia pokora, może nieufność w swoich siłach i zdolnościach wstrzymują was od działania? Pokora jest uczucie chwalebne, nieufność może mieć słuszne powody; ale jedno drugie ma swoje granice, jedno i drugie jest godne potępienia, kiedy odwołuje człowieka od spełnienia obowiązków, które samem spółnictwem z bliźniemi zaciągają względem nich. W sprawach ludzkich niema dzieła tak wielkiego, ażeby najlichszy człowiek nie mógł się do niego przyłożyć. Patrzajcie na ten podnoszący się budynek, co będzie wieki zadziwiał swoim ogromem, pięknnością i użytkowaniem: czy myślicie, że onby stanął bez tego dziecka, co tę cegielkę drugiemu podaje, czy myślicie, że to dziecko

jest tu niepotrzebne? W sferze literatury od natchnionego pisarza, od twórcy jeniałnych pomysłów aż do biedaka, co na papier galgany zbiera, wszystko jest potrzebne, wszystko ma miejsce, które musi być przez kogoś zajęte. A naród ma-ż być mniej systematycznie urządzony, ma-ż być puszczonej samopas, i nie mieć miejsca dla jednej części swoich członków? O, nie! Pole sprawy polskiej tak ogromne, że ogarnie, że zaprzątnie miliony rąk i myśli; rozciąga się ono przez całą przestrzeń Polski, a podnosi się na całą wysokość, od ziemi aż do nieba; sprawa sama tak święta, tak boska, że nie pogardzi najlichszymi siłami, zużytkuje wszystko, aż do kwilenia niemowlęcia; martwe trupy nawet potrzebne są do jej budowy — a wy się wymawiacie, że albo nie macie, albo nie wiecie, co robić! Powiemy wam coś więcej: oto, że wasze próżnowanie zawadza. Przez podobnych wam naród jest jak łańcuch porozrywany, jak machina, której kołom zębów brakuje. Nie sądzicie, żeby dla całości narodu było obojętne, że ktoś tam nie robi dla niego: nie wiercie temu! Naród jest to machina, w której wszystko, cokolwiek wchodzi do jej składu, jest nieodbycie konieczne, wszystko wymierzone, wyrachowane na linie, na sekundy; każdy członek narodu, który zajmuje w nim przestrzeń, korzysta z ogółu, ma przez to właśnie sobie miejsce i stosowną do miejsca rolę, ma względem narodu jakąś powinność: zaniebaj tylko tej powinności, opuść się w swojej robocie, a wnet twój ciężar zwalasz na drugiego, psujesz harmonię maszyny, rozstrajasz ją i z czasem stajesz się przyczyną zupełnego jej zepsucia. Takim to sposobem umierają narody: przez próżniactwo jednych, a przeciążenie drugich.

Tak jest. Opatrzność wyznacza narodowi pewną robotę, stosownie do liczby jego członków, a nadzór zostawia jeniuszowi ogółu narodowego. „Radź sobie, jak chcesz, mówi do niego, powinieś to i to zrobić, masz zdalnych do dzieła tyłu i tyłu, twoja rzecz dopilnować, ażeby się stała“ — i już nie wchodzi w to, że ktoś tam nie chce robić, nie troszczy się o to, ale po pewnym czasie rachuje się z całym narodem i cały karze za niespełnienie naznaczonej pracy. Musimy tu jeszcze i to powiedzieć, że

naród powinien chlubić się tem więcej, im trudniejsza wydaje się być zadana jemu praca. Opatrzność tak mądra, tak dobra, że żadnego stworzenia nie obarczy nad jego możność; to tylko wypełniać mu każe, co ono wypełnić zdoła: motyla nie zaprzątnie do ciężaru, potrzebującego siły konńskiej, po niedźwiedziu nie wymaga arcydzieł poetycznych, na Austryaka nie zesze świętego ducha republikanizmu, i tym podobnie. Naród przeto, obarczony ciężką niby pracą, powinien wierzyć, że dobrze jest położony w Opatrzności, że jest w nim zapas mocy większy, niżby mu się zdawało, że wydola swojemu powołaniu, byle mądrze, gorliwie i sumiennie sobie poczynił. Chcecież teraz wiedzieć, czemu wy jesteście względem sprawy polskiej? Oto jesteście, jako człowiek, który widzi przed sobą cel swej podróży, cel drogi konieczny: chciałby go dojść, ale sam kroku nie ruszy i czeka, aż go ktoś poniesie. Nie — tem porównaniem ubliżylibyśmy człowiekowi, użyjemy stosowniejszego do was. Jesteście więc, jako bydlę pociągowe, które powinno swój ciężar dowieźć w przeznaczone miejsce, a ono kładnie się na wóz i zamiast ciągnięcia, czeka, aż je sam wóz powiezie. Biada narodowi, gdzie są tacy, jak wy, i przejdą niepoprawieni! Sąd wasz przed potomnością będzie tem ostrzejszy i kara tem cięższa, że nie jesteście dziećmi bez pojęcia, co złe, co dobre, bez doświadczenia. O, macie wy rozum, gdzie potrzeba siebie podnieść, a kogoś poniżyć! Jak to wy pięknie gadacie o przeszłości, jak to wy umiecie wyprowadzić upadek ojczyzny z zepsucia przodków, jak troskliwie najmniejszy ich grzeszek wywłóczyć! Czy wy myślicie, że wy lepsi od nich? Śmiejcie się z tego! My wam powiadamy, że jesteście gorsi, bo robicie to samo, za co ich potępiać.

Patrzcie — oto dla przekonania was i dla waszej nauki stworzyliśmy groby przeszłowieczne, poruszmy prochy zmarłych i wyprowadzmy szlachcica, który w swoim czasie był kropka w kropkę, co wy dzisiaj: bardzo rozumny, bardzo poczciwy i dlatego spokojnie siedział za szaniami swoich gumien w epoce wysień Kościuszkowskich. Słuchajcie — będziemy z nim rozmawiali dla waszej nauki.

— Co robiłeś w czasie powstania Kościuszki?

— Siedziałem spokojnie, gospodarowałem.

— Jakto? Dusza twoja nie oburzała się na widok upodlenia narodu pod obcą przemocą? Serce twoje nic ci nie mówiło, kiedy z Krakowa rozległ się odgłos, powołujący wszystkich Polaków, aby się połączyli w ostatnim wysileniu na zrzucenie jarzma zewnętrznego? Czy twój rozum nie mówił ci, że ta chwila może być stanowcza dla Polski, że od niej może cała jej przyszłość zależeć, że wszyscy Polacy ostatnich sił powinni dobyć, aby jej nie zmarnotrawić, że jeżeli Polska, jeszcze raz przegrawszy, nie zginie ostatecznie, to zostanie w położeniu coraz niebezpieczniejszem, i walka coraz cięższa będzie dla niej?

— O, co się tego tyczy, mogę wziąć Boga na świadka, że nikt mocniej ode mnie nie czuł niedoli narodowej, nikt szczerzej nie pragnął dawnej potęgi, nikt jaśniej nie widział ważności powstania, nikt bardziej nie lękał się o przyszłość.

— Jednak nie należałeś do powstania?

— Nie mieszałem się do niczego.

— Z przyczyny?

— To rzecz była niepodobna.

— Dlaczego?

— Trzeba było żyć w owym czasie, jak ja żyłem, widzieć, co się robiło, jak ja widziałem, aby mnie pojąć i uniewinnić.

— Jednak nie nie usprawiedliwia Polaka, który stoi tylko i patrzy, kiedy ojczyzna cały swój los na grę stawia.

— Dobry to ogólnik, kiedy z daleka patrzymy na wypadki i ludzi, ale być na miejscu, to co innego. Każdy rozsądny i poczciwy byłby to samo zrobił, co i ja. Bolałem nad Polską, kochałem Polaków, ale naprzód wiedziałem, że ze wszystkich ówczesowych usiłowań nic nie będzie. Król służył Moskwie, panowie posprzedawali się zagranicznym dworom, Kościuszkę udaniem się do chłopów dał szlachcie do myślenia i zniechęcił ją, Jakóbiński rozkrzykiwali Wolność i Równość, cały kraj zalany nieprzyjaciółmi, narodowego wojska garstka mała, szlachta albo drżała przed Moskwą albo ścierała się między sobą kłótniami partyi — wszędzie nieład, nierozum, łotrowstwo;

nie było miejsca dla poczciwego człowieka — każdy rozumny mógł z góry przewidzieć, że z tego wszystkiego nic nie będzie. Byłbym się naraził bez żadnej korzyści dla kraju. Jeden człowiek mniej, jeden więcej nie tam nie znaczył. Wolałem więc cicho siedzieć, chwalić Pana Boga i służyć krajowi, czem mogłem i jak mogłem.

— Za pozwoleniem. Wiele mogło być szlachty w Polsce?

— Około miliona.

— Wiele się było?

— Kilkadziesiąt tysięcy.

— Cóż reszta robiła?

— Siedziała cicho.

— Dlaczego?

— Myślałem, że dlatego, co i ja?

— Wracaj, szlachcicu, do grobu i spij do Sądu straszego!

Słyszeliście, jak się usprawiedliwiał. Alboż nie ważne miał powody swojej nieczynności? Czy myślicie, że który z was ma ważniejsze? Odbił was, jak lustrem. Kochał Polskę, jak wy kochacie, czuł całą okropność jej położenia, jak wy czujecie, ubolewał nad nią, jak wy ubolewacie, ale w nic się nie mieszał, jak wy się nie mieszcacie, bo w społeczeństwie swoim pokoleniu widział tyle nieładu, nierozumu, łotrowstwa, tyle nieprzyjemności dla człowieka rozsądnego i poczciwego, wplątane w ten zamęt, ile wy ich widzicie w waszym dla siebie. Pod takimi samymi pozorami, jak dzisiaj, leżały na dnie, jak dzisiaj, дума, nierozum, zepsute serca, skrzywione umysły, słabości charakterów, drobne gniewy, nieczyste zamiary, jednym słowem, osobistość, chwytająca tylko łada pozorów, aby dla siebie sprawę poświęcić, a zgubiwszy ją, mieć jakie takie uniewinnienie. I wy będziecie gadać to samo, co on gadał, jeżeli was po latach kilkunastu z grobu tak wywołają, jak on był wywołany — czego przez wzgląd na szczęście Polski nie życzymy i przez wiarę w prawy jej synów nie spodziewamy się. Lepiej spijcie do sądnego dnia bez przerwy — ale, nim zaśnieć, poprawcie się i róbcie! A co robić? Rozprawę o tem odłożyć do późniejszego czasu; już za długośmy was nu-

dzili. Już i tak niejeden z was może powiada: „Przeklęty Pszonka! co za zjadliwość, kiedy nam nawet nie daje spokoju, nam, co tak spokojnie sobie siedzimy!“ Mniejsza o to; łajcie, tylko nie zasługujcie na lajanie, a Pszonka pójdzie chętnie na puszcę gładzić czterdziestodniowym postem wszystkie grzechy przeciwko wam; będzie przez ten czas szukał w sobie tego żądla, które w nim dostrzegacie, wyrwie je z największą rozkoszą, jak tylko znajdzie, i z braterskim uczuciem złoży u nóg waszych. Do widzenia; chciejcie tylko wierzyć, jak w ewangelię, a powiadamy wam to z całem przekonaniem w obliczu Boga i ludzi, że, jeżeli niema dotąd Polski niepodległej, to przez takich, jak wy.

UPRZEJME RADY Z POWODU WIEŚCI O AMNESTYI MOSKIEWSKIEJ.

Jak atmosfera ziemi ma swoje niezdrowe wiatry, tak atmosferę emigracyjną przewiewają czasami zdarzenia, wieści, które dyabelnie kuszą jej zdrowie. Niektóre z tych wiatrów emigracyjnych są niemal peryodyczne, a do nich należy puszczana od czasu do czasu wieść o amnestyi moskiewskiej, która właśnie niedawno znowu nas nawiedziła. Przewiała, dzięki Bogu, bez widocznych złych skutków, tak się nam przynajmniej zdaje — ale czy bez śladu, o tem wątpimy. Dlatego pomówimy o niej cokolwiek, jak się mówi o szarańczy, o pomorku, które, choć przeszły, mogą jednak wrócić; dobrze więc jest nie spuszczać ich z bacności.

Istny to simum, ta wieść o amnestyi. Jej pole — pustynia naszego emigranckiego bytu; ale skąd powstaje, dokąd zmierza, tego dotąd nikt jeszcze z dokładnością nie dociekl. A jakże dziwne fenomena jej obecność rodzi! Dla jednych jest to okropna piekielna z mora, dla drugich widzenie rajske, postać anielska: stosownie do rozmaitego usposobienia umysłów. W przyrodzie niema dwóch rzeczy zupełnie sobie podobnych; jeżeli kto, to emigracja polska podlega temu prawu i nie zaprzeczą jemu nawet w Zjednoczeniu. Jedni widzą jarzmo moskiewskie pod postacią stryczki, a przynajmniej psiej obróżki — drudzy w miłych barwach orderowej wstęgi, w blasku haftów kamerjunkskich, szarf oficerskich, i tym podobne. Jedni rozpoczynali rewolucję listopadową, aby wprowadzić naród na właściwą jemu drogę — drudzy przystąpili do niej dla tryumfu kilku formułek konstytucyjno-monarchicznych — trzeci przyczepili się do niej w nadziei carowania nad chłopami niezależnie od cara moskiewskiego. Jedni widzą w emigracyi ciało, powołane do dobrowolnego od-

pokutowania grzechów narodowych, do ułożenia się we wzór społeczeństwa, do jakiego cała ludzkość dąży — drudzy trzodkę, rozpędzoną biczem pańskiego gniewu, i wzdychają tylko za tem, żeby się udobruchał jak najprędzej, kiedy tamci, przeciwnie, przekleli wszelką z nim spólność i postanowili raczej zginąć na drodze swego popołowania, jak uratować się najmniejszą jego łaską.

Jedni patrzą na Polskę okiem ludzkości, odgadują w niej posłannika wolności i wielkości plemion słowiańskich, niejako Chrystusa słowiańszczyzny — drudzy nie mają tylko jedno oko Gurowskiego i niem nic więcej nie widzą w Polsce, tylko narzędzie cara, jakąś hordę, nakszalt hordy samojedzkiej, lub kałmuckiej, przeznaczoną do podniesienia tronu cara o jeden stopień wyżej — i tak dalej, w nieskończoność.

Z tych przyczyn jedni nie wierzą w możność amnestyi, ale z wewnętrznym dreszczem na jej wspomnienie, podobni do człowieka, który wierzy w pokazywanie się duchów, a jednak za nic w świecie nie chciałby przepędzić nocy z trupem na katafalku kościelnym — między drugimi są także, którzy jej bardzo mało wierzą albo wcale nie, ale dlatego tylko, że jest nadzwyczajnem dla nich szczęściem; nie wierzą jej, jak dobry katolik, co to miałby za grzech ufać nadto w zbawienie swojej duszy — mimo to żyją tą myślą, przygotowują się na wszelki wypadek, także stosownie do rozmaitych usposobień.

Byłoby to ciekawe widowisko sny tych panów, wewnętrzna ich dusz robota, gdyby się mogły odbywać na jawie. Klubista Gaudot-de-Mauroy połyka ślinę na samą myśl bankietu, jakim go powiat jego powita, bez ciężaru miesięcznej opłaty, bez despotyzmu tuzina dyrektorów, bez niemiłego widoku Demokracji lub „Pszonki“ na stole czytelnik; dyplomata leci pocztą do Petersburga i puszcza się torem Pozzo-di-Borgo; skromniejszy przestaje na stanowisku Gurowskiego; spekulant podsłuchuje szarlatanów na Polach Elizejskich; ten zgłupianizował kieszenie całego sąsiedztwa — tamten w najbliższym jarmarkowym miasteczku Palais Royal zakłada; — ów podejmuje się sąsiadowi puścić parowe wozy od kurnika do

gumna. A oważ motyla chmara dobrego tonu w wernikowanym obuwiu, z kawalkiem sera w kieszeni za całodzienne pożywienie, na skrzydłach z rewersów! Ten przynosi bulwary na uliczkę powiatowego miasteczka, zalaną półłokciowem błotem, i kokietuje żółtemi rękawiczkami żydóweczki, siedzące na garnkach z żarem; tamten wybiera sobie salon St. Żermeński w szlacheckiej ciupie, podpartej dębowym słupem i rozwala się lwem paryskim szlachcianeczek, ostupiających na widok człowieka, który mieszkał w Paryżu, jadł w Paryżu, spał w Paryżu, przechadzał się pod oknami paryskiego króla, i zawodzi z litewską po francusku. A owa pocziwa, zawiędła szlachta! O, ten brzydzi się wspomnieniem cudzoziemczyzny: chlubi się, że uniknął jej zarazy, że wrócił, jakim wyszedł; tamten wchodzi znowu na tor swoich przodków, zamienia pałasz rewolucyjny na harapnik, ściska go ze łzami, ślubuje mu wieczną wierność i kilkuletnią złość ku Demokratom spędzą na chłopach.

A dopieroż niezmordowane królo-robry! Jak się to snuje! Jak się to zwija! Jak to po wszystkich kończynach Polski rozwozi swój rozum praktyczny, nieoceniony, za pomierną cenę! A każdemu wtyka skrycie medal Adama I, w swoim rodzaju, i każdego błogosławi sakramentalną formułką: „W Tego wiara, do Tego módl się, Temu dawaj pieniądze, a sam nic nie rób! In hoc signo vinces“. I tak dalej, w nieskończoność. Ale mówmy seryo! Chcecie wracać do kraju. W tem niema nic złego. Pojmujemy znudzenie za krajem, tęsknotę do niego, bo jedno i drugie dzielimy z wami. Przyznajemy nawet, że jest lepiej dobrze pić i jeść, niżeli źle, a czasem gorzej, niż źle — że jest lepiej mieć pieniądze, niż nie mieć — mieć je bez pracy, jak z pracą — przyznajemy to wszystko. Nie wchodzimy nawet, na jakie się drogi rzucicie. Jeden to lubi, drugi owo. Różne są upodobania. Na słabości nawet mamy wyrozumienie. Ale, żeby mieć z nich rozgrzeszenie, uważamy za konieczność dopełnienie jednego warunku. Nam się zdaje, że kto dla kraju emigracyę opuszcza, robi to w postanowieniu być tam pożyteczniejszym sprawie, aniżeli na emigracyi być można. Zapewne myślicie... zgadujecie, co chcemy powiedzieć. — Jakto? Mybyśmy znowu mieli?... Car... to

nie swoboda francuska. Łada pozór, a oprzemy się, gdzie pieprz rośnie, a może tam, gdzie i pieprz nie rośnie. — Ależ nam się zdaje, że nam, emigrantom, nie chodzi o bezpieczniejsze stanowisko, tylko o dogodniejsze. — O nie! My już zużyci! — Kiedy tak, to zostańcie lepiej z nami. Kraj, rzecz zapaśna we wszystko. Nie zbywa jemu i na gałganach. Obejdzie się bez was. Prawda, że i nam niewielka z was pociecha. Z całego serca dalibyśmy wam krzyżyk na drogę, gdyby się dało tak zrobić, żebyście, stąd wyjechawszy, nie dojechali do kraju. Ale, że to rzeczy trudne do zrobienia, to lepiej z nami zostańcie! My, dawni dobrzy znajomi, łatwiej jakoś sobie poradzimy: na kraj byłoby za ciężko mieć do czynienia naraz z Moskalami i z wami.

A ty, Polsko, w suplikacyach swoich nie zapominaj i o nich! Wiele razy zaśpiewasz: „Od powietrza, głodu, ognia“, tyle razy dodaj: „i od powrotu emigrantów za amnestyą cara — zachowaj nas, Panie!“

BAŁAGUŁY.

- Mój kochany!
- Ależ bo ci już tyle razy mówiłem, że nie lubię satyry. W naszym położeniu w naszym czasie, robi ona więcej złego, niżeli dobrego, rozczarowuje ludzi.
- Powinna poprawiać.
- Jątrzy dotkniętych.
- Mniejsza o nich, kiedy ma prawdę za sobą.
- Koniec końców, nie poprawia tych, których nie poprawia wzgląd na dobro kraju.
- A więc puszczać ich samopas!?. Niech dalej brną i szkodzą!?. Więc występkom wszelka wolność, a zabiennym chęciom palec na usta?..
- O taką-bym cię zasadę posadził, gdybym nie wiedział, że należysz do tych, co lepiej robią, niż mówią, a mówią źle najczęściej z chęci sprzecznania się. Zresztą nie będzie to krytyka, tylko proste opowiadanie, obrazy; nie pozwolę sobie ani jednego zdania własnego.
- No, to słucham nareszcie.

I.

Było to we Francyi, śród emigracyi polskiej, w pewnej oberży. Jedzący tłum liczny, stoły porządnie zastawione. Jedzono, pito, śmiano się, rozprawiano mądrze i niemądrze, o polityce i nie polityce, sprzeczano się, czasami łajano się... mniejsza jednak o jedzenie, picie, śmiech — człowiek zawsze człowiekiem; mniejsza o sprzeczki, klótnie — trzymają się one nieszczęśliwych, jak pewne stworzenia żołnierzy; mam nawet pobażanie dla bójki — wszak to naród wojenny, rozbitki boju... Ale skończyło się jedzenie, gruchnięto od stołu, powstał gwar innego rodzaju. — Hej, kawy — cygarów — fajek!... Po chwili zadymiły się fajki,

buchnęły filizanki sinymi płomieniami wódek, emigracya rozgrzewa się „gloryą“...

— I cóż stąd?... Cóż w tem złego?

— Alboż ja to ganię?... Ja tylko opisuję...

— A więc dalej.

— Dalej — „Hej, kart!“ — zawolano. Uszykowano stoliki, po ich zieleni śniegiem rozsypały się karty, tłum rozłamał się na grupy, wystąpiły na plac wisty, ekarty, sztosy, dyabelki...

— Jednem słowem, grają w karty, a grają, jak świat cały...

— I to prawda. Na tem nie koniec. Otworzyły się sakiewki, zabręczał kruszec, podniosły się kupki susów, dziesiątków, dwudziestówek, pięciofrankówek nawet...

— Nudny masz sposób opowiadania. Czemu nie powiedz od razu: grają w pieniądze!.. I bardzo naturalnie... Co za gra bez pieniędzy?...

— I ja powtarzam: bardzo naturalnie... Co mi za gra bez pieniędzy między biednymi emigrantami... Co mi za gra bez pieniędzy między ludźmi, którzy wyciągają co miesiąc żebrzącą rękę, którzy dla jałmużny muszą czekać po godzinach pode drzwiami jej szafarzy, znosić ich kwaśne miny, słyszeć nieraz szemrania dobroczynnego narodu, zadłużać się gospodarzom, oberżystom, kamieniarzom, szewcom, krawcom, wywijać się przed nimi, jak pies przed muchami...

— Hola, hola! Wyjeżdżasz na plac z żołdem. A grosz, zarobiony własną, ciężką pracą? Ten przynajmniej wolno użyć dla swojej rozrywki...

— A któż przeciw temu co mówi!... Kolega umiera z głodu i inędzy, niemoże znaleźć pracy, twój datek powinien go wesprzeć — lepiej go przegrać!... Biedny ojciec chciałby dać jakie-takie wychowanie swym dzieciom, powinien mu pomódz tem, co masz nadto — lepiej przegrać!... Emigracya mogłaby wejść w konieczne porozumienie się z braćmi w kraju, ogłosić jakie pismo, pożyteczne sprawie, utrzymać reprezentację godną siebie — na to trzeba funduszów: byłoby, gdybyś przyłożył się twym groszem, ale do twych pieniędzy nikt niema prawa —

zarobiłeś je własną pracą i używasz, jak możesz najszlachetniej — przegrywasz.

— A jeśli wygram?... Ten winien, co przegrywa...

— Zapewne, ogrywać nieraz większego od siebie nędzarza, to jeszcze szlachetniej, jak przegrywać. Niewinny, prawy człowiek, jak ten, który uwodzi kobietę: nie uwiódłby jej, gdyby nie dala się uwieść!... Idzie więc gra, jak należy: jedne kupki nikną, drugie wzrastają — pieniądź przebiega stoliki w różnych kierunkach, promieniają lica szczęśliwych, chmurzą się niefortunni, krew się rozpala, serca zaczynają bić bez taktu; płomień krwi, nieład serca, udzielają się myślom, powstają sprzeczki, rosną kłótnie, odzywa się gdzieś tyralierka przy mówek, występują baterie obelg, huknęło hurra powstającego ataku, kolumny graczy w ruchu, wyzywają się przeciwnicy, już kilka pojedynków gotowych, wtem — właśnie przed chwilą weszła jakaś osoba. Niepostrzeżona, jednym ogarnęła spojrzeniem całe szlachetne zgromadzenie, zrozumiała całe dzieje chwili; stanęła, jak wryta; jej wzrok zasępił się gorzką litością, kiwa żalostnie głową, zwracając się to w jedną, to w drugą stronę i rzuca się z krzykiem: Stójcie!... kiedy kłótnia dochodziła do ostateczności.

— A, jak się masz! Jak się masz? — zawołało kilka głosów. Wróciłeś przecie. Cóż tam słyhać w naszej kochanej Polsce? Mów, pokrzep nasze dusze! Mów! Gadaj!

— Ależ uciszcie się wprzód!

— No! Cichość! Obywatele!

— Kończmy naszego robra!

— Kończmy naszą partyę!

— Zresztą słuchamy.

Usiedli, a nowoprzybyły zaczął smutnym głosem: Żle idzie, bardzo źle, przynajmniej w niektórych stronach. Słuchajcie tylko uważnie i sami osądźcie! Przebiegając Polskę, wpadłem raz do Berdyczowa, na sam właśnie Onufryjski jarmark. Wybrałem umyślnie to miejsce i ten czas, bo wiedziałem, że znajdę tam szlachtę z różnych stron Polski. Nadewszystko chciałem się widzieć z młodzieżą.

Mój przyjaciel, przewodnik i opiekun w moich podróżyach tak mi dopomógł, że jednego wieczoru miałem poznać to wszystko, co tylko między młodzieżą było najciekawszego, oświecenijszego, energiczniejszego. Czekalem z niecierpliwością tej chwili — w różnych marzeniach oczekiwałem się nareszcie, stanąłem pomiędzy nimi. Zgromadzenie było liczne, pomnażało się coraz. Przybywający wracali z teatru, balów.

— Jakto — zawołał ktoś z poza grackiego stolika — oni tam jeszcze myślą o zabawach, o tańcach przy takich nowych nieszczęściach kraju? Czula młodzież! A propos! — rzekł — zwracając mowę do sąsiada — mieliśmy wczoraj dziecinny balik u posła Ł... wcale przyjemny. Bawiono się bardzo wesoło. Nawet książę Adam tańczył. Stary lekko jeszcze zbiera nogami. Szkoda, żeś nie był. Atu!...

Opowiadający mówił bez przerwy: — Zgrzani, wpółpijani wpadli z traskiem, krzykiem, śmiechem, jak to my sami robili nieraz za dobrych przedewszystkiem czasów.

Inni siedzieli już przy kartach, jak my na przykład, nie przymierzając — drudzy strzelali korkami od szampańskiego — niektórzy poncz przyrządzali.

— Używają! — znowu jeden z graczy zawołał — a biedna emigracya cierpi! No! Wygrałem, bolę vin chaud!...

Przybyły ciągnął swoje: — Nie podobalo mi się to wszystko, ale nie zrażałem się; czekałem, patrzałem i słuchałem.

Zgraja coraz bardziej rosła, a z nią zamięszanie karczemne. Ze wszystkich stron gwar, hałas, śmiechy puste; jeżeliś zasłyszal rozmowy, to o koniach, psach, polowaniach, aktorkach, zakładach, burdach, znajomościach z publicznymi kobietami i tym podobnych rzeczach. Upatrzyłem jednak chwilę, kiedy te męty uciechy osiadły cokolwiek i gwar ucichł; chciałem wprowadzić rzecz moją — napomknąłem o niej ubocznie. Z początku otworzono oczy i gęby, jak żeby ich zlapano na gorącym uczynku — ale powoli jeden po drugim zaczął przychodzić do siebie: ten udął, że nie rozumie, tamten czemprowadź w grze się zatopił, inny wrzucił niedorzeczny koncept,

na który wszyscy się rozśmieli i, jakby czekali tego tylko hasła, zwrócili się ku butelkom i kieliszkom, a wkrótce chór cały zawołał: „Niech żyje!...“ Kto?... Co? — o to trzeba było każdego z osobna pytać. Nie śmieli wymówić imienia Polski, jak żeby czuli, że to wymówienie w takim miejscu byłoby bluźnierstwem. Znalazło się kilku niby poważniejszych, którzy mi szepnęli półgłosem: „Niechno co się zacznie, a znajdziecie nas!“ — Kropka w kropkę, jakto bywa pomiędzy nami.

W tem miejscu przerwał opowiadanie jeszcze raz wykrzyk jednego z graczy: — O biedna Polsko, jeżeli cała młodzież taka! Ale nie! Znajdą się jeszcze — i uderzył się w piersi — którzy jej całą duszę, całe życie poświęcili! — a przechylając się do sąsiada: — Żal mi odchodzić — rzekł — ale muszę; to właśnie godzina mojego rendez-vous; graj za mnie!

Tymczasem nowoprzybyły mówił dalej: Nie ucichł jeszcze rozruch toastu, kiedy drzwi się otworzyły, i wpadło kilka kobiet. „Wiwat! — zawrzeszczeli wszyscy. Tego nam tylko brakowało!“ I rzucili się ku kobietom z szalonym śmiechem, ze wszetecznymi powitaniem — a ja uciekłem.

Mówca ucichł, a w zgromadzeniu słyhać było tylko westchnienia, stukanie kart i kiedy niekiedy: Piękna młodzież!... Dama karowa!... Co to będzie?!... Walet pikowy! Zgingliśmy!... Garson! Poncza — i cztery kieliszki!...

— Na tem nie koniec, moi bracia — począł znowu przybyły. — Z całego życia schwyciłem tylko jedną chwilę, a chwil takich niemało. Co gorsza, że te chwile niosą improwizacyą, chwilowem zdurzeniem, wybrykiem wrzącego wieku; wynikają one z planu życia, układają się w szereg jednostajny, systematyczny.

— To już zanadto — zawołał Major, chmurzący się od dawna na opowiadanie, a znany ze złego humoru, skoro mu karta nie dopisuje. — Podobne nowiny najlepiej przy sobie zatrzymać. Kto pana słucha, ten musi myśleć, że wszyscy Polacy zniknęli, a Polska na zawsze zgingła. Na takich powieściach tylko Moskale zyskują.

— Za pozwoleniem — rzekł opowiadający — niech mi wolno będzie skończyć. Czybyście temu wierzyli, że towa-

rzystwo to — jest towarzystwem uorganizowanem, rodzajem związku? Należy do niego młodzież, mogąca wiele zrobić w swojej prowincyi. Celem ich hulanka, pijatyka, burda, jarmarkowa brawura; zaletą pogarda, znieważanie uczciwych kobiet, unikanie małżeńskich związków; — powołaniem rozpasanie się na wszystko co może zmysły zbestwić, duszę spodlić, oderwać myśli od najświętszych obowiązków Polaka, odrętwić uczucie na chłostę niedoli; wszystko to, jeżeli nie cel bezpośredni, to konieczny skutek ich sposobu życia. Rząd wie o tym związku, pobiłaby mu, cieszy się z niego w duchu. Nazwisko ich: „bałaguly“.

— A kraj zalany klęskami — odezwał się jeden z grających. Więzienia pełne, knuty codzien świszcza, kibitki przelatuja co chwila z ofiarami Sybiru, młodzież pędzą na Kaukaz, dzieci zagrzebują w moskiewskich koszarach, dziewczicami zaludniają żołdackie osady — co krok upokorzenie, co chwila wieść zbrodni przeciwnarodowej, gdzie rzucisz okiem, krwawe naigrawania się i groźba najświętszym uczuciom — a oni, Polacy, piją, lajdaczą się, przydają spodlenie dobrowolne do narzuconej niewoli. Nie są-ż to sprzymierzeńcy wrogów? A my cierpimy, poświęcamy się dla nich! Toż to szubienica będzie w robociel...

Skończył i grał dalej w karty, ale ja nie skończyłem jeszcze. Patrz na drugi obraz!

II.

Było to w Polsce: czy w Berdyczowie, czy w Łęcznej, czy w Tarnopolu, nie pamiętam, podczas jarmarku. Dom żydowski, zajezdny, ogromna stajnia pełna powozów i koni, ogromna izba jedna i druga pełna młodzieży szlacheckiej. Każdy ubrany do konia: skórzane spodnie, przez plecy nahajka, czerwona czapeczka na bakier, postacie dorodne, barczyste, choć mury łamać, jak taranami; twarze, jak flasze z czerwonym winem, w oczach płomień ponczu, a głowy i serca, jak beczki, z których wytoczono napój, a zostawiono tylko jego męty: znać to po śmiechach, rozmowach, żartach, odzywających się odgłosem

pustej beczki. Jedni grali w karty, drudzy pili, trzeci gadali głupio, czwarcı śmiali się jeszcze głupiej, pięci robili, co pierwsi, szóści, co pięci, i tak dalej — a wszyscy hałasowali, wili się jedni przez drugich, ledwo, że nie do góry nogami chodzili; słowem: było to zebranie Bałagulów. Jedną razą drzwi się uchyliły i weszła jakaś osoba; znać po stroju, że podróżny. Wszedł zwolna, za pierwszym krokiem wstrzymał się, ogarnął jednym rzutem oka całe zgromadzenie, zmarszczył czoło i z bolesnem urąganiem kiwał głową, aż dopóki go nie spostrzeżono. — Czy go dyabli... — zawołało kilka głosów z tłumu. Wszak to on! Wróciłeś przecie? Cóż tam przywozisz z Francyi?

— Jak to? Z Francyi? — pytali drudzy ciekawie.

— Tak jest! Świeżo, jak najświeższa ostryga.

— Musi być spragniony! krzyczeli inni. Dajcie mu — flaszkę wina.

— Tak, tak, spoić go na wstępie, niech zna Bałagulów! zawołano zewsząd.

— Nie pozwalam! — krzyknął prezes zgromadzenia. — Sprawy stanu przedewszystkiem. Trzeba słyszeć wprzód, co nam przywozi od naszych braci. Milczenie, panowie! W nagrodę wolność wychylenia trzech kielichów jeden po drugim. Teraz siadaj i powiedz nam, jak znalazłeś Emigracyę?

— Będziecie mieli cierpliwość wysłuchać mię od początku do końca?

— Nie pozwalam! Nie pozwalam! — zawołał jeden, drugi i dziesiąty. Prezes odpowiedział: O, to byłoby za długo. Mądrej głowie dość na słowie. Tak, jeden rys, gdyby można jedno słowo...

— A więc opiszę wam jeden tylko wieczór, jedną tylko częśćkę Emigracyi, w jednym tylko mieście i w jednym tylko miejscu: w oberży.

— Emigranci chodzą do oberży! — odezwał się z zadziwieniem jeden ze słuchaczy. Nie wielka to jeszcze bieda!

— Stoły zastawione, jak należy, nie brakowało nawet wina.

— Nawet wina! — przerwano znowu. — A nam i wódka dobra.

— Nie widziałem wprawdzie, tylko butelki, bo już po

obiedzie przyszedłem. Przez dym fajek i wyziewy gorących napojów ledwie mogłem poznać, gdzie jestem, jak w tej oto chwili między wami, nie przymierzając. Na jednych stolikach paliły się kawy, poncze, groki, mięso, na innych grano w karty; kropka w kropkę, jak tutaj widzę.

— Tutaj, jak tutaj. Tutaj co innego, tam co innego. Tu jesteśmy u siebie, a oni tam na łasce obcych. Przynajmniej nie w pieniądze grają?

— I owszem, w pieniądze!

— Patrz ich! A skwierczą na nędzę, a do kraju wciąż o składki wołają. A tu dobrze chłopca zdusić potrzeba, żeby się grosz wydobyło.

— Zrazu szło jako tako, była przynajmniej zgoda, a w hałasie odzywała się tylko myśl wesola. Ale wkrótce karty zaczęły skutkować, powstały sprzeczki, przyszło do ostrych przymówek, od przymówek do łajania się, za łajaniem powszechny rozruch i zamęt; na hańbę, weszła policja i oczyściła szulernię — mimo to, wiem, że wkrótce były pojedynki.

— O, lotry! — zawołali słuchacze. Im bić się pomiędzy sobą, jakby nie dosyć nam było na Moskalach i Niemcach!

— A u was lepiej?

— Bez przymówek, mój panie, jeżeli chcesz wyjść na sucho.

— Nie wyjdzie na sucho! — zawołał prezes. Musi się upić, aż się z nóg zwali.

— Brawo, brawo! — i powstał śmiech ogólny, a gdy ucichł, przybyli znów mówili.

— Otóż macie rys jeden. Sądźcie z niego o całym obrazie; z tej chwili sądźcie śmiało o życiu tych ludzi; bo, jak kropka krwi zepsutej obiega całe ciało, zaraża całą masę krwi, tak jedna wada idzie, jak nitka, przez całe pasmo życia, tylko przeobraża się stosownie do rozmaitych wypadków, położenia, kierunku życia; wyjątki, wzniesienie się nad swoje wady, są rzadkie, nie zmieniają ogólnej fizjonomii obrazu. — Przeto, jakimi widzieliście ich podczas tego wieczora, takich poznacie w ich zdaniach, pismach, obradach, przedsięwzięciach, stronnictwach, czyn-

nościach publicznych. Wszędzie ta sama porywczność, lekkość, zarozumiałość, obraźliwość, pobłażanie sobie nieograniczone, wymagania po drugich nad miarę, nielogiczność co chwila, sprzeczność mowy i czynu, w ustach najpiękniejsze słowa — a życie pełne ciągłych wykroczeń przeciw powołaniu emigracyjnemu, przeciw religii narodowej. Stąd niejedność, niepowodzenia we wszystkim, trudność wydobycia się z pod nieszczęść, a może i główne ich źródło.

— I tacy ludzie chcą nami kierować! — zawołało kilku Bałagulów, a jeden na cały głos krzyknął: — Pod szubienicą przejdą polską granicę.

— Gadacie o nich zupełnie, jak oni o was, słowo w słowo. To rzecz dziwna owo spółmyślenie.

W tej chwili zaszedł w oczy opowiadającemu chłop ogromny, chwiejący się zbytkiem napoju, i właśnie najpochopniejszy w tym stanie do burdy, a siliwszy się jakiś czas bezskutecznie, ażeby nadać swojej twarzy i oku wyraz groźny, przemówił płatanemi co chwila słowami: — Co to, kto to pan jesteś? Roznosić takie plotki, potwarze — to nasi kochani bracia! Czy już nie warci i koziej pętelki? A gdzie Polska, jak niema Polaków? Emigracya to także Polacy. Kłamstwo, że emigracya taka... Odwołaj, albo..

— Natychmiast, z całego serca. Panowie: ludzie, o których mówiłem, to nie cała emigracya polska, ale podobni do was, bałaguly za krajem, jak wy bałaguly w kraju.

Jakże ci się wydaje cała moja powieść?

— Tak, tak!... Główny pomysł nie źle pojęty, ma tylko jedną wielką wadę, że pocziwe serca rani, a w cel nie trafia.

— Jakto nie trafia?

— Przyjdź tylko jutro w wieczór, wiesz, gdzie — a sam się o tem przekonasz.

Pan Bóg z nimi! A ja tymczasem będę nabijał.

SZLACHCIC Z GŁUPIA FRANT.

SCENA NARODOWA.

OSOBY: Pan Aleksander, dziedzic. Pan Janusz, jego przyjaciel.
Podróżny, emigrant.

Rzecz dzieje się w Galicyi.

Pan Aleksander. Coś mi po żołądku kręci. Januszu, możebyśmy przekąsili?

Pan Janusz. Gadasz dorzeczniej, jak zazwyczaj. (*Bierze harapniczek ze świstaczką i już ma gwizdać, wtem słysząc turkot powozu.*)

Janusz. Ktoś przyjechał.

Aleksander. A, prawda! Najtyczanka Wajsa, mego sąsiada. Ale to nie on, coś nieznanego... Oho! Jestem już w domu! Żeby też tego Wajsa dyabli wzięli! Już go tyle razy prosiłem: nie przysyłaj mi nikogo; on zawsze swoje. Niemcowi zajechał w głowę polski patriotyzm.

Janusz. Kogo się domyślasz w tym gościu?

Aleksander. A któżby jeździł obywatelską pocztą, jeżeli nie Polak?

Janusz. Cóż w tem złego, że Polak przyjedzie?

Aleksander. Ale bo to widzisz... emigrant! (*chodzi szybko po pokoju, skrobie się w głowę.*) Biorą i biorą i wybrać nie mogą. To prawdziwa klęska na naszą prowincję. Dyabeł wie, co z nimi robić. Przyjmij grzecznie — okrzyczą cię dobrym Polakiem, a wtedy się nie odżegnasz. Nie przyjmij — zły Polak, Niemiec, Moskal, galan, Bóg wie, czem cię nie nazwą. Ale! (*staje chwilę, zamyśla się głęboko.*) Wyborny sposób, wyborny! Zaczniemy z innej beczki. Spodziewam się, mój kochanku, że nie długo będziesz tu popasał.

(*Emigrant wchodzi.*)

Emigrant. Czy mam przyjemność zastać gospodarza w domu? Jestem podróżny. Przypadek w drodze...

Aleksander, widząc niespokojność emigranta z powodu obecności trzeciej osoby, przerywa jemu: — Niech pan mówi z całą otwartością, jakbyśmy sam na sam byli. Ten pan, mój przyjaciel, równie dobry Polak, jak i my.

Emigrant. Tem lepiej. Nie potrzebuję więc wywodzić się przed panem, kto jestem. Łatwo się domyśleć. Pan Wajs nagadał mi tyle o jego polskich uczuciach, że nie spodziewam się, aby mój przyjazd sprawił mu jaką nieprzyjemność.

Aleksander. Żadnej — tak — najmniejszej. O, z całego serca. Cóż są nasze nieprzyjemności w porównaniu z waszemi! Wy tyle cierpicie dla nas... Wprawdzie zapowiedziano mi wizytę cyrkularnego komisarza, ale może nie przyjedzie. Zresztą będę naprzd wiedział. Czy palisz fajkę, kolego?

Emigrant. Jeżeli wolno. Pozwolisz więc, obywatelu, ażeby zniesiono moje rzeczy; konie także muszę jak najprędzej odesłać, przyrzekłem.

Aleksander. O to wszystko nie troszcz się, kolego! Pozwól mi siebie wyręczyć, być gospodarzem w moim domu. Może co przekąsisz? Do obiadu jeszcze daleko. Wszak przekąsisz, nie prawdaż? (*Gwiżdże, służący wchodzi.*) Wódki, chleba i masła! (*Służący wychodzi.*) Albo może lepiej jaki kawałek mięsa. Trochę dłużej zabawi, to prawda, ale do obiadu jeszcze daleko. (*Wychodzi za służącym.*) Tomasz, rzeczy nie znosić, konie z przed ganku wiaść, ale nie wyprzągać, że śniadaniem nie spieszyc się, aż zawołam — rozumiesz?

Służący. Rozumiem, jasnie panie.

Aleksander (*do siebie za drzwiami*) Jaką tu zacząć rozmowę, aby go wyrozumieć i złapać za słowo? Czartoryski, Skrzyneczki, Towarzystwo Demokratyczne, chłopci, własność, cokolwiek bądź! Z tymi ichmościami prędką znajomość, łatwa sprawa. Co na myśli, to na języku. Cokolwiek bądź! (*Powraca*) Cóż tam, kochany kolego, słyszał?

Emigrant. Nic takiego, czegobyście i obywatele nie wiedzieli; tak sędę. Duch publiczny, dzięki Bogu, o tyle

się podniósł, że wiadomość publicznych rzeczy prędko się rozchodzi. Wątpię, żebym miał coś nowego powiedzieć.

Aleksander (*do siebie*). Jakiś roztopny i zimny. Sprawa z nim będzie trochę przytłaczająca. (*Głośno*). — Arystokracya podobno głowę podnosi w emigracyi. Cóż o tem sądzisz?

Emigrant. Jak dotąd nie schylała jej. Takie przynajmniej moje zdanie. Zresztą dzisiejsze położenie Polski daje wszystkim do czynienia. Każdy robi, jak mu się zdaje najlepiej. Czas dopiero pokaże, kto praw, kto krzyw.

Aleksander (*do siebie*). O dla Boga! Jakiś pieczeniarski! Nie uratuję podobno śniadania. (*Głośno*). Skrzynecki umknął z Pragi, ma już być w Brukseli. Ten człowiek może jeszcze zagrać wielką rolę; tak niektórzy utrzymują.

Emigrant. Przynajmniej szlachetną, jeżeli zechce. Polska sprawa nie zamyka swoich szranek żadnemu pocziwemu.

Aleksander (*coraz niespokojniejszy, trze się ręką po czole*). Rozchodzi się tu manifest Towarzystwa Demokratycznego. Zapewne go czytałeś. Jakże go znajdujesz?

Emigrant. Wszystko mam za dobre, cokolwiek dziś się pisze z czystego, sumiennego przekonania, ze szczerzej miłości ku całemu ludowi polskiemu. Dzisiejsze nasze pisma, jeżeli nie inną, to mają tę zaletę, że wyrabiają wszechstronnie opinię narodową w żywotnych zagadnieniach naszej sprawy; rozjaśniają złą i dobrą jej stronę. A lepiej, że się to dziś odbywa, jak w chwilach jawnego działania.

Aleksander (*do siebie*). Dyplomata, na mój honor! Nic z nim podobno nie zrobię. Jeszcze go dotąd nie wysondowałem, a już mi i konceptu braknie. Trzymajmy się jednak. (*Głośno*)! Gdzie kolego najwięcej bawiłeś?

Emigrant. W zaleszczykiem.

Aleksander. I byłeś zapewne tam podczas owego sławnego buntu chłopów?

Emigrant. W samej rzeczy byłem w kilku miejscach świadkiem tego zdarzenia, którego buntem nazwać nie można. Gromada zbierała się, przychodziła do swojego dziedzica i oświadczała mu, że nie chce robić pańszczyzny, jaką jej narzucono. Wszystko działo się z pewną przy-

zwoitością, z pewną godnością ludzi, którzy opierają swoje żądania na sprawiedliwości.

Aleksander (*na stronie*). Ha! Demokrata! Mam cię więc. (*Głośno*) Jak to, kolego, to utrzymujesz, że ich żądania były sprawiedliwe?

Emigrant. I ty, obywatelu, nie inaczej będziesz sądził, jeżeli wyjdiesz ze stanowiska interesu osobistego, jeżeli zrozumiesz tę rzecz nie jako szlachcic, nie jako dziedzic, nie jako pan chłopów, ale jako człowiek, jako Polak.

Aleksander. Darujesz, kolego, kiedy ci powiem, na-przód, że w jednej osobie mogą się pomieścić i szlachcic i dziedzic i człowiek i Polak...

Emigrant. Nic pewniejszego, ale...

Aleksander. Za pozwoleniem. Powtóre, że, gdybym nawet był luminarzem demokratycznym, nieby mi nie przeszkadzało zdrowo sądzić o rzeczach; nazwałbym wszelkie nastawianie na cudzą własność, na cudze dobro, gwałtem, niesprawiedliwością i łupiestwem.

Emigrant. Ależ, obywatelu, własność i dobro mogą być nabyte prawnie i nieprawnie, a wtedy...

Aleksander. Nie jest to rzecz ani tej chwili, ani nasza rozbiierać i znosić wyroki niebios. Demokratycznego nawet rozumu nie uznają za najwyższą w tej sprawie instancję.

Emigrant. Zdaje się, że obywatel chce przymawiać mojej demokracji, ale o to mniejsza; więc podług niego pozostanie pierwszeństwo przy głupocie arystokracji.

Aleksander. Panie, to za wiele!

Emigrant. Nie spodziewam się, żebyś obywatel brał do siebie, co tu o arystokracji powiedziałem.

Aleksander. A ja wręcz panu oświadczam, że do siebie to biorę i wiem, że w tem jego chęć wypełniam. Bardzo mi przykro, że pierwsza chwila poznania się naszego oddali nas od siebie może na zawsze; ale po takim wypowiedaniu się wzajemnem trudno nam być razem.

Emigrant. Co to ma znaczyć? Pożegnajmy się? Wszak tak?

Aleksander. Darujesz pan mojej polskiej otwartości, ale przy takiej różności opinii politycznych mój dom

nie byłby dla niego przyjemnym pobytem. Pan jesteś demokrata, ja dziedzic, szlachcic. Może to i źle, ale największa za to wina na moich przodkach.

Emigrant (*uśmiechając się w duchu*). A pokuta może być na zadkach. (*głośno*) Obywatelu, całe to uniewinnienie nie jest potrzebne ani dla ciebie, ani dla mnie. To niezupełnie po polsku. Ja sądzę, że najprościej było powiedzieć: „Ty przyjaciel chłopów, ja ich pan — niema więc zgody między nami. Tłomok twój na wózku, konie zaprzężone, ruszaj sobie z Bogiem.“ Upadam do nóg pańskich.

Aleksander. Ale śniadanie, zjedz przynajmniej śniadanie, kolego. I tego nie chcesz? Nie laskaw jesteś? Bardzo mi przykro; cóż robić? Przynajmniej nie mam sobie nic do wyrzucenia. Co się tyczy moich opinii — moja opinia jest mojem sumieniem; nie godzi mi się jej zaprzec. Do widzenia. Odjechał. (*Do Janusza*). A cóż, zła taktyka? Ciężko mi jednak szło z początku. Poczciwie! Będzie obwoływał, żem czarny arystokrata, a ja poprostu chciałem tylko pozbyć się go z domu.

Janusz. A jak na arystokratę trafisz?

Aleksander. To udam demokratę.

Janusz. Niedarmo nam panuje Meternich.

ZOOGRAFIJA BABIŃCZYKA — SZLACHCICA.

W jednym z półlarkuszków naszego pisma daliśmy króciutką zoografię babińskiego szlachcica, w pamiętnikach pewnego nieboszczyka tułacza znalezioną; dlaczego dzisiaj powracamy do tego przedmiotu, posłuchaj, czytelniku.

Przedewszystkiem musimy wytłómaczyć się z tytułu, a szczególnie z wyrazu: zoografia. Jest to wyraz grecki, a wielu z naszych czytelników może po polsku niebardzo dobrze umie — cóż dopiero po grecku, kiedy my sami, powiedziawszy prawdę, nie umiemy tego języka, choć jego słów pożyczamy.

Otóż wyraz zoografia zapowiada, że będzie opisywał i że przedmiotem tego opisywania będzie zwierz; drugi wyraz napisu powiada, że tem zwierzęciem jest Babińczyk-Szlachcic, bo królestwo babińskie, czyli zwierzęca klasa Babińczyków składa się z rozmaitych rodów, jak np. jezuickiego, dynastycznego i t. d., Babińczyk przeto nazwisko rodzajowe, a Szlachcic wymienia tylko jeden gatunek z całego rodzaju. O samym więc tylko Szlachcicu-Babińskim będziemy teraz mówić, innych na później zostawując.

Podobne opisy krajowych naszych zwierząt uznaliśmy za rzecz przyjemną, a przynajmniej za bardzo pożyteczną. Zyska na nich i czas obecny i potomność. Patrzymy tylko, z jakim kłopotem, z jakim trudem muszą dzisiejsi naturaliści odgadywać mamutów i podobne im całkiem przepaść stworzenia. Nie byłiby w tem trudnem położeniu, gdyby ówczesni ludzie mieli nasz wzgląd na przyszłość. Wprawdzie mogli nie przewidywać potopu, mogli nie znać znikomości rzeczy ludzkich tak, jak my je dzisiaj znamy, i to ich niemało usprawiedliwia — ale nam

lekceważenie spraw społecznych nie byłoby do przebaczenia. Kiedy pod naszym okiem przeszło już tyle rzeczy — kiedy codzień przekonywamy się, że na tym świecie wszystko podlega zgniliznie, nawet wielka sława rejeraty Ksenofonta Dembińskiego — kiedy, widząc dynastyę Czartoryskich wyrastającą na tronie Chrobrych, jak zgniły grzyb na próchnie — mamy najoczywistszy dowód, że niema warstwy bytu, któraby nie skryła się pod warstwą pleśni — kiedy tak łatwo przewidzieć omyłki potomności, gdyby zmuszona była sądzić o nas z gratów jedynie naszego czasu, jak na przykład z Trzeciego-Maja lub Dziennika-Narodowego, o stanie umysłu ludzkiego w dziewiętnastym wieku — wtedy czujemy w całej sile religijną powinność: zostawić następcom rzeczy swojego czasu w lepszym porządku, jakeśmy od przodków naszych odebrali, a przynajmniej to, co znamy, dokładnie przekazać im w taki sposób, żeby w ich sądzie o nas nie zostało miejsca dla żadnej wątpliwości, dla żadnych domysłów, dla żadnych tłumaczeń dwuznacznych. Oto są główne powody, które nas skłoniły do ogłoszenia opisu naszych zwierząt krajowych, tych szczególnie, którym zagraża najbliższe zniszczenie. Niektórzy utrzymują, że podobny cel możnaby skuteczniej osiągnąć sposobem Gannala, to jest nabalsamowaniem Dynastyka, Jezuita, Szlachcica i tak dalej, przynajmniej po parze egzemplarzy z każdego rodzaju. Tej myśli nie odrzucamy całkiem. Widzimy wiele na jej stronie. Sama natura ciał sprzyja balsamowaniu pod pewnym względem; operacya na przykład wyrzucania mózgu i wnętrzości nie mogłaby tu mieć miejsca, choćby nawet była konieczną — ale z drugiej strony nie możemy poprzestać na samem balsamowaniu dla dwóch przyczyn: 1) ciała te kryją w sobie tyle zepsucia i w takim rodzaju, że go by żaden zapewne balsam nie pokonał — 2) balsam, w najpomyślniejszym razie, zachowałby tylko ciało, a nam chodzi, że się tak wyrazimy w braku właściwszego wyrażenia, o duszę, o tyle ma się rozumieć, o ile podobne zwierzęta duszę mieć mogą. Kto więc chce, niech sobie balsamuje ciało, a my zostaniemy przy naszych zoografiach, bo tym

sposobem przechowamy mniej więcej portret życia. I tak zaczynamy:

Królestwo zwierząt polskich ma między innemi wydatną bardzo klasę Babińczyków. Rodzajowe jej miano Prawowierca-Babiński, po łacinie *Orthodoxus-Babinensis*. W tej klasie wyszczególnia się gatunek Szlachcica-Babińczyka. W języku popularnym ma on różne nazwania: Pan, Dziedzic, Obywatel i tym podobnie. Zwierz ten był kiedyś bardzo rozmnożony, tak niemal, jak prusaki lub karaczany po litewskich karczmach, albo romanse francuskie. Dzisiaj znacznie się zmniejszył w liczbie. Po części wyginął. Niektórzy przypisują to własności powietrza nowoczesnego, które Szlachcicowi-Babińczykowi ma być tak przeciwne, jak woń kwitnących konopi komarom, albo moskiewskiemu carowi duch polskiej wolności. Po części przerodził się w ludzi, gdyż w przyrodzie rasy babińskiej tak samców, jak samiec jest pociąg do miłosnego związku z ludźmi: przez tę własność zajmuje ona dziwne, jedyne stanowisko w państwie zwierząt: jest czemś pośredniem pomiędzy ludźmi a małpami. Krótko mówiąc, egzemplarz tego zwierzęcia, w którymby płynęła krew czysto szlachecka, któryby zachował dzisiaj wszystkie rysy charakterystyczne swojej rasy czysto-zwierzęcej, tak pod względem fizycznym, jak moralnym, jest dzisiaj taką niemal, jak tur, osobliwością; przechowuje się w dziczach babińskich, w takich na przykład, jak Towarzystwo Literackie w Paryżu.

Skąd się szlachta wzięła i kiedy? Dociec niepodobna. Niektórzy utrzymują, że Pan Bóg stworzył pierwszego szlachcica w tym samym dniu, co i Adama, ale, stworzywszy go, nie upodobał sobie w swoim dziele i poczuł obawę, ażeby doskonałość jego utworów, wysilona na Adamie, nie zaczęła iść odtąd w stosunku wstecznym; wolął więc zaprzestać stworzenia.

W biblii przynajmniej niema o tem wzmianki. Z jakiej mieszaniny stworzeń powstała szlachta — jakie miejsca w państwie zwierząt możnaby jej najwłaściwiej wyznaczyć? — są to zagadnienia równie trudne do rozwiązania. Myślimy jednak, że prosty nasz opis rozjaśni je cokolwiek.

Budowa ciała szlacheckiego jest prawie ludzka. Chodzą na dwóch nogach, jak każdy dobry chrześcijanin, ogonów nie mają; to ich przybliża do niektórych małych gatunków. Odróżniają się od ludzi tem najwięcej, że mają kły zwierząt mięsożernych, a żołądek bydłocy. Pojętność ich łączy między pojętnością muła i osła (zobacz pismo Trzeci-Maj).

Szlachcie-Babińczyk jest najzarłocześniejsze ze wszystkich zwierząt; szczególniejszy jednak ma pociąg do tylnej części chłopskiego ciała. W tem upodobaniu przebija się jakieś pokrewieństwo z niedźwiedziem, zwanym rosomak. Co większa, żarłoczność jego w takim jest stopniu, że jeden drugiego zje sobie za największy przysmak. To go wystawia dzikszym od wilka, tygrysa, hyeny, od najdzikszych zwierząt. Widziano nieraz, jak się rzucał na własną matkę i pożerał jej wnętrzności.

Obok tego ma potulność, która dochodzi do głupoty i nikczemności. Nic tak łatwo nie da się oszukać, ugłaskać, poprowadzić lada ponętą lub chłostą. Ryba na wędeck, porównana z nim, wyda ci się przebiegłą, jak wychrzt — a pies, warujący pod nogą, dumnym, jak dawny Rzymianin. Bat i złoto wszystko z nim zrobią, a wtedy kładź mu w paszczę choćby głowę swoją, jak Fan Ambung swoim lwom.

Najpodlejszy jednak między Szlachtą - Babińczykami jest ten rodzaj, który królowie używają niby juczne zwierzęta, jak osłów lub mulów. Niektórzy z nich są piętnowani na czołach koronami hrabskimi, margrabskimi, książęcimi, innym wycinają na piersiach krzyże i gwiazdy, innym zawieszają na szyjach zamiast psiej obrożki kawalki wstążek, które nazywają wstążkami orderowemi. Cały ten rodzaj możnaby nazwać bardzo właściwie „szlachtą piętnowaną.“ Przez nich to królowie tresują najskuteczniej resztę Babińczyków, bo taka jest głupota w tej rasie, że lgnie na osłep do owych piętnowanych i tym pozwala wszystko z sobą robić.

Samice różnią się od samców w ogólności tem tylko, co zwykle w rodzajach zwierzęcych płęć od płci oddziela. Z tem wszystkiem mają niektóre rysy charakterystyczne im tylko właściwe.

Niemaló wpada w oczy szczególna ich pojętność. Gdyby należały do ptaków, stałyby nie zawodnie na równi z papugami. Zwłaszcza do francuskiej mowy widać w nich pociąg niewytłumaczony. Czasem, rzecz dziwna — śpiwają nawet po francusku. Tak potężna jest mądrość boska w samych niemych stworzeniach!

Wyszczególniają się także tem pomiędzy innemi zwierzęcemi samicami, że nie przestają na swoich samcach, i w innogatunkowych nie przebierają. Sądzymy, że ta szczególność może poniekąd wytłumaczyć ową w składzie Babińczyków różnorodną mieszaninę własności zwierzęcych, ptasich i ludzkich. Samica nosi plód swój, jak kobieta, dziewięć miesięcy; miłość jednak macierzyńska nie w każdej taka mocna, aby sama swoje niemowlę karmiła.

Na zakończenie dodamy kilka słów przestrogi dla czytelnika. Nierozważny zwyczaj miesza dotąd w jedno wyobrażenie prawdziwego szlachcica i prawdziwego Polaka. Czytelnik mniej baczny mógłby pomyśleć, że, co mówimy o szlachcie, to mówimy o Polakach w ogólności.

Tem łatwiej w ten błąd popaść, że i dziś jeszcze wielu, w których nie ma nic szlacheckiego oprócz przodków i nazwiska, uchodzi za szlachtę. Nie. My te rzeczy inaczej widzimy. Naszym zwierzęciem jest szlachcie, zakamieniały w swojej postawie odwiecznej, przesiąknięty dawnym życiem szlacheckiem, całem jego zepsuciem i na dobitkę chlubny z tego. Prosimy bardzo mieć tę przestrożę w pamięci, a będziemy zrozumieni, jak być chcemy i — pochwaleni.

ZOOGRAFIJA JEZUITY.

Nim przystąpimy do zoografii Jezuity, musimy wprzód w kilku słowach nawiasowych dopełnić to, co się ominęło w zoografii Szlachcica-Babińczyka. Mamy tu mówić o rodzaju, który w języku pospolitym zowie się Orzel-Biały (Samozwaniec), a po zoologicznemu Babińczyk-Dwupłciowiec (Hermafroditus-Babinensis). W rzeczy samej należy on do klasy mieszańców, która powstała z zeteknięcia się szlachty babińskiej z ludźmi na obraz Boga stworzonymi — nie żartem, jest to więc niby muł, niby pół psa, pół kozy. Ale jak w mule poznasz osła po uszach, tak w Orle-Białym-Samozwancu poznasz szlachcica po wszystkich jego skłonnościach, które nakształt oślich uszów wyglądają z jego duszy; stąd poszło, że czasem zwą go Osiół-Biały. Pewną jednak jest rzeczą, że Orzel-Samozwaniec wstydi się swego początku, zapiera się powinowactwa z Babińczykami. Trudno odgadnąć, dlaczego. Dość, że mu z tem bardzo do twarzy. Można by to wytłumaczyć jedynie małpią żyłką, wspólną wszystkim Babińczykom, do naśladowania ludzi w rzeczach, wprost najprzeciwniejszych babińskiej przyrodzie. Budowa zewnętrzna Orla-Samozwanca, tylko dobrze mu się przypatrzenie, stanowi przejście od zwierząt czworonożnych do ptaków i robi go najpodobniejszym do nietoperza. Skrzydełka jego są z papieru, może więc wybornie służyć dzieciom do zabawy zamiast papierowych orków, i znaleźli się już podobno, którzy w celu tej próby na wiatr go wypuścili, bo często można go złapać ze sznureczkiem. W miejscu krwi ma on atrament, a za głowę służy mu kałamarz; stąd nie ma oczu, stąd znowu nie rażą go najjaśniejsze prawdy, jak blask słoneczny orlego oka; przez to tylko można pojąć, dlaczego ma się za orła. Zwyczajny stan jego pojętności jest stan pocziwej owieczki, chorej na zawrót głowy. Tracony w slabiznę, wpada w wielką

wściekłość; wtedy widać, że ma żądło, jak niedźwiadek; na szczęście nie umie niem robić i sam się zazwyczaj kałeczy, wszakże bez wielkiej szkody, bo to tylko pióro i do tego bardzo tępe. Lekkość jego gatunkowa równa się lekkości ołowiu; czasem jednak podlatuje, bo wewnątrz całkiem jest próżny i z wielką łatwością wiatr go wydyma; stąd też kierunek jego lotu od wiatru zależy. Ale zostawmy ten przedmiot do czasu późniejszych postrzeżeń, a przejdźmy do opisu Jezuity.

Różne to bardzo stworzenie od Szlachcica-Babińczyka, choć oba do jednego działu w królestwie zwierząt należą. Szlachcie, krwawy czasem, zwyczajnie zwierzę mięsożerne, jest jednak często dobronuduszy, pocieszny: są chwile, w których można się nim nabawić, jak małpą. Nie tak się rzecz ma z Jezuitą. Łagodniejszy na pozór, w głębi swojej przyrody jest o sto razy dzikszy i krwawszy od Szlachcica.

Jezuita-Babińczyk należy także do zwierząt ssących, a przez charakterystyczne swoje własności zajmuje najwłaściwsze miejsce między nietoperzami. Zdaje się nawet, że w początkach musiał być zupełnie to samo, co jest dzisiaj nietoperz, znany pod nazwiskiem upiora (*Vespertilio spectrum*).

To postrzeżenie przyprowadziło niektórych do mylnego mniemania, że początek jego zasięga przedpotopowych czasów — spółkowania aniołów ziemskich ze wspomnianym rodzajem straszydeł. Powiadają oni dalej, że Jezuita ukrył się przed zniszczeniem potopu w głowie Adama (nie pierwszego króla *de facto*, ale pierwszego człowieka), że wyleciał z niej właśnie w tej chwili, kiedy pękały góry, bolejące nad Chrystusem, że chociaż dzisiaj odmienił swoją powierzchowność na ludzką, jednakże ślad pierwiastkowej jego przyrody pozostał w ciemnej barwie jego stroju i we wstręcie do wszelkiego światła. Twierdzenie to popierają uwagę, że Jezuita również, jak nietoperz-upiór, żyje ze szczególnem upodobaniem krwią i mózgiem ludzkim, że, równie jak tamten, wprawia łagodnem lechtaniem swoją ofiarę w sen głęboki, a wtedy wypróżnia jej głowę z mózgu, a serce ze krwi — że zresztą najulubieńszem jego mieszkaniem są pustki murów, głów i serc. Ale wszystkie

te zdania są tylko prostym domysłem; nasze jest widocznie prawdziwszem, bo ma za sobą powagę dziejów.

Podług nas tedy, pierwszy Jezuita wylął się w pierwszych ranach papizmu, które mu zadał protestantyzm, z jadu Lutra i piany wściekającego się milczkiem Rzymu duchownego. Stąd, widoczne każdemu, zespolenie własności, tak na pozór sobie przeciwnych: protestantyzmu i papizmu, stąd materyalizm pierwszego a obłuda drugiego. Jaką zagadką jest pierwszy zaczątek Jezuitę, taką samą być może późniejsze jego rozplądanie. Rzecz niezaprzeczona, że Jezuita nie ma w swoim rodzaju płci samczej, lubo doświadczenie codzienne przekonywa, że popęd jego płciowy gwałtowniejszy jest, niż w którymkolwiek ze zwierząt, i że Jezuita zaspakaja go przy stworzeniu najprzeciwniejszej przyrody — wskazże nikt jeszcze nie widział, żeby Jezuita urodził się doskonałym Jezuitą, chociaż z ojca Jezuitę. Powołujemy się w tem na świadectwo samychże matek nadobnych dzieci. Gdyby inaczej było, kto wie, czy całe plemię naszych przodków nie byłoby zjezuiczone; tymczasem tak nie jest.

Mocno więc zaprzeczamy bezpośredniemu rozplądaniu się Jezuitów, pomimo przeciwnych przykładów, dosyć pozornych, takich na przykład, jak Młodej-Polski. Skądże się oni biorą? Na honor, że tego nie dociekleśmy jeszcze. Żeby jednak tak ważnego zapytania nie zostawić bez żadnej odpowiedzi, przytoczymy tu twierdzenie — chociaż obce i rażące nas cokolwiek, bo nacechowane wiarą w dyabła, mogące jednak rozjaśnić nieco to trudne zagadnienie. Szanowni ci badacze utrzymują, że Jezuici rodzą się z dyabła, są dziećmi dyabła. Jak się tworzą dzieci dyabłów, to oni pomijają, jako tajemnicę piekła: przestają tylko na twierdzeniu, że dyabeł podrzuca swoje dziecięci położnicy, jak to dzieje się z potworami, które lud odmieńcami nazywa: podrzucone dziecię wygląda z powierzchni, jak ludzkie, ma tylko w swojej głowie jedną komórkę, której szkoła nawet Galla dotychczas nie dostrzegła, a w tej komórce siedzi dusza Jezuitę pod postacią nietoperza, drobnego, jak atom, która z czasem rozwija się w Jezuitę ciałem i duszą.

Wolno czytelnikom uważać to zdanie za prawdziwe lub

mylne; zbić go wprawdzie nie możemy, ale piętna pewnością nie widzimy na nim. Nie zatrzymując się więc dłużej nad tym przedmiotem, przejdziemy na drogę bardziej ubitą, przystępną postrzeżeniom, i opiszemy stopniowe rozwijanie się Jezuitę aż do stanu doskonałości.

Otóż, jak powiedzieliśmy wyżej, piskłę jezuickie zostaje przez bardzo długi czas podobne do zwyczajnego dziecka ludzkiego: można niemal powiedzieć, że się niczem od niego nie różni, niczem nie objawia swojej duszy tak w powierzchownej budowie, jak w skłonnościach wewnętrznych. Jest to nijaki stan jego bytu. Po nim następuje kolej stanu poczwarkowatego, przez jaki wszystkie ćmy przechodzą. Ta epoka nie u wszystkich Jezuitów przypada na tenże sam czas zwierzęcego ich życia: u jednych objawia się ona wcześniej, u innych później. Zależy to od wewnętrznej siły jezuickiego pierwiastku i od okoliczności zewnętrznych.

Pisklę przedewszystkiem zaczyna okazywać pobożność niezwyčajną, bawi się obrazkami, marzy o raju, drży przed piekłem, choć nie ma pojęcia ani o jednym, ani o drugim, stroi umizgi do Matki Boskiej, ale tę pobożność łatwo odróżnić od prawdziwie chrześcijańskiej przez to szczególnie, że jej niebem jest Jezuityzm. Bóg podobny wyobrażeń tej poczwarki musi być Jezuitą. Najświętsza Panna to kobieta, której duchownym ojcem jest Jezuita, raj to klasztor jezuicki, piekło to cały świat pozaklasztorny, aniołowie to dzieci, służące Jezuitom do mszy, święci pańscy nie mogą być inaczej ubrani tylko w czarne habity i czarne rogatki czapeczki i tak dalej; grzechem dla niej jest sama myśl, że może być coś dobrego za obrębem zakonu jezuickiego — jedyna droga do łaski boskiej i zbawienia: ślepa wiara w nieomyślność jezuickiej władzy i mądrości.

Małeńki Jezuita, postępując, zostaje pochlebcą swoich przełożonych, szpiegiem równieśników, wściekłym nieprzyjacielem Żydów; wybija im okna, ile razy może to ukradkiem zrobić; jeszcze więcej nie cierpi Lutra, żegna się przed nadchodzącym, pluje na odchodzącego i tym podobnie. Rozwijanie się tych pięknych usposobień i uczuć jest miarą dojrzewania jezuickiej istoty, co nie zawsze

jest zależne od warunków, rozwijających jej życie zwierzęce. Szczególniej pierwiastek wiary czyli ślepoty, znaczących to samo i jedno w pojęciu Jezuitów, objawia się coraz widoczniej, coraz silniej, a co nam daje piękną sposobność do bardzo mądrego postrzeżenia, że w tym razie przynajmniej natura jezuicka odbiega od natury pewnego domowego zwierzęcia, które, rodząc się ślepo, przeziara po dniach kilku, kiedy przeciwnie płód jezuicki, widzący z urodzenia, ślepnie w miarę wzrastania. Jezuita w tym paroksyzmie gada ci wciąż o ślepem posłuszeństwie władzom, o ślepej wierze w wiarę, ledwo nie o ślepym Panu Bogu; chce przekonać, że ci nie wolno myśleć o tem, że myślisz, a wkońcu gotów dowieść, że Bóg zgrzeszył przeciw Jezuitom, dawszy ludziom rozum, czy i tym podobne różnice od zwierząt, że przeciwnie, powinien był pozszywać ludzi sprężynkami, a główny sznurek dać w ręce Jezuitów. Po tym podobnych stopniach idąc, dojrzewa w powłoce swojej poczwarki, aż póki nie wyskoczy z niej zupełnym Jezuitą, czyli pater tertiae probationis.

Jezuici żyją gromadnie, jak rodzaj zwierząt, zwanych bizonami. Ich siedliskiem świat cały; służy im każdy klimat, najprzyjaźniejsza jednak jak rozplądaniu się, tak ich bytowi — ciemnota narodów i czasów, niekiedy płomienie, jak to bywało za błogosławionych dni Ś. Inkwizycji: dlatego widzieliśmy o kilka wieków nazad panowanie ich prawie powszechne, a dzisiaj lub jeszcze niedawno podnoszące się znowu we Włoszech, Hiszpanii, Bawarii, Austrii. Zresztą Jezuita jest potwór kosmopolityczny.

Nie ma on ojczyzny; niema w nim pociągu miłości do rodzinnej strony, do pokrewnych sobie stworzeń. Da się używać do tępienia samego Szlachcica-Babińczyka, a użyje go każdy, kto polechce jego chciwość, bo chciwszy jest od kruka. Z tej własności wynika, że od czasu do czasu według potrzeby odmienia skórę, czyli lenieje, jak wąż, przybiera także, jak kameleon, rozmaite barwy, stosownie do czasu i okoliczności, w których się znajduje.

Jezuita jest to pierwszy z grobowych robaków, które się objawiają na ciele trupa; poczyną on go, że się tak wyrazimy, eksploatować wprzód jeszcze, nim człowiek

trupem zostanie, przed skonaniem; a żarłoczniejszy jest od innych tego rodzaju robaków, bo, kiedy tamte przestają na martwym już ciele, Jezuita wciska się do duszy, dogryza ostatki tlejącego sumienia i pochłania to nawet, co pozostało na ziemi po umarłym, jego dostatek ziemski.

Dziwne są fenomena, objawiające się na ludziach, którzy zostali ich pastwą. Ciał nie zabijają, biorą się przedewszystkiem do duszy. Patrz na tego człowieka! Złożył ręce, oczy spuszcza, przymila się, zdaje się wszystkiego lękać, twarz tak wygłodzona, jak żeby w piersiach serca nie było. Nie prawda! Zajrzyj do piersi, znajdziesz serce, zajrzyj do serca, a tam — okropność, bo Jezuita w człowieka wypróżnionego składa obyczajem szarańczy i innych owadów swoje nieczystości. Wyżre, co ludzkiego, a próżnię zapełnia jezuityzmem.

Jezuita daje się przyswajać, o ile zwierzę tak dzikie ugłaskać można. Stąd idzie rodzaj Jezuitów, pojedynczo żyjących, nakształt odyńców (nie Odyńców poetów, ale dzikich wieprzów). Było dawniej, co i dziś jeszcze nie zupełnie przemigło, ale dawniej było powszechniejsze, że Szlachcic-Babińczyk pomiędzy innymi brzydkimi nałogami swojej zwierzęcości, jako to: obżarstwa, pijaństwa itd., odznaczał się szczególniejszym pociągiem do Jezuitów. W szlachciance ten pociąg na pożyłkość zakrawał, tak dalece, że prawowierny Babińczyk uważał się bez Jezuitów, jak bez Żyda arendarza, za zwierzę niedokończone — i kiedy człowiek zwyczajny potrzebuje do uzupełnienia swego kobiecy, żony, Babińczyk, ażeby był doskonałym Babińczykiem, nie przestawał na samicy: konieczną mu była trzecia istota — Jezuita, a samice miały naturę samców — stąd powstał rodzaj domowych Jezuitów, znanych pod nazwiskiem kapelanów, wikarych, ojców duchownych, który w istocie znaczy to samo, co pewien rodzaj zwierząt, zajmujący miejsce pomiędzy domowym ptactwem i bydłem; można go także policzyć do domowych sprzątek, takich na przykład, jak miotła, bo służy do chodzenia niby Babińczyków, niby ich dusz — do takich naczyń, jak na przykład cebrzyk na pomyje, bo w Jezuitcie ma być skład nieczystości Babińczyków — zresztą do ro-

bactwa, które się wylęga wśród brudu. Wyszło to wprawdzie z mody która dawniej mocno grasowała — niektórzy jednak Babińczycy wracają do niej, zwłaszcza Babinki, a mianowicie te, których mężowie z mody wychodzą.

Ogólna uwaga. Czy opatrność stworzyła Jezuitę na próbkę jakiegoś utworu, a przeczuwając złe, któreby stąd na świat mogło spłynąć, cofnęła się w postanowieniu i chciała osamotnieniem, w którym zostawiła Jezuitów, zachować sobie sposób ich zatrąty w każdej chwili? czy zamierzała wszystkie twory przemienić z czasem w Jezuitów? Są to zapytania, które podajemy do rozwiązania, ktokolwiek zechce i może tem się zająć.

Na zakończenie recepta, bardzo skuteczna na wygubienie Jezuitów. Sądźmy, że możnaby zapobiedz rozmnażaniu się Jezuitów, a z czasem zupełnie ten rodzaj wytępić, następującym sposobem. Skoro postrzeżesz symptomata jezuityzmu w jakim człowieku, ściśnij mu przedewszystkiem porządnie gardło dla przerwania komunikacji między głową a sercem, bo dusza-nietoperz, siedząca w głowie, wyciąga dla swego pożywienia całą treść serca. Tak opatrzonemu zostaw na trzy dni przynajmniej; po trzech dniach rozbierz głowę i wyczyść starannie wszystkie jej komórki. Jeżeli chory przetrwa podobną operację, rozwiąż mu gardło i puść wolno — będzie niezawodnie człowiekiem, jak inni poczcwi ludzie; jeżeli nie przetrwa, mniejsza o niego, już to samo pokaże, jak dalece jezuitska dusza opanowała ciało, kiedy z jej wyrzuceniem i ciało zginęło: taki człowiek choćby żył, poczcwi świat nie miałby z niego korzyści: byłby to już Jezuita i nic więcej. Chcesz-li sam ubezpieczyć się raz na zawsze przeciw Jezuitom, to, ile razy spotkasz którego z nich, wznos natychmiast całą myśl do Boga, a całe serce oddaj bliźnim.

29. LISTOPADA.

I. MARZENIA O RZECZYWISTOŚCI.

Zegar bije północ. — Wybił — ucichł — otóż i 29. Znowu 29 — po raz jedenasty 29. Jedenasta rocznica chwili wielkiej, olbrzymiej — chwili tak wielkiej, tak olbrzymiej, że niejeden może naród oddałby połowę swego szczęścia za podobną, że niejeden może umarł bez podobnej; my ją znamy, znamy się na niej, wielbimy ją, święcimy — po raz jedenasty, i zawsze na obcej ziemi. — Takie święto narodowe na obcym śmietniku, taką uroczystość w żebraczej odzieży, taką chwałę w poniżeniu, święto wolności w niewoli, hasło życia w omdleniu, do konania podobnem. I dzisiaj powtórzmy to samo, odżyjemy jeszcze raz w duchu Polski, objawimy się Polską tłumnie, jawnie, swobodnie, za pozwoleniem zwierzchności — i znowu złożymy świąteczną, narodową szatę, wrócimy do żałoby, do życia zaoczystego, do zatrudnień, do trosk, do brudów powszednich.

Oslupione oczy będą znowu pytać obcych niebios o przysze losy Polski, bezcelne kroki słać się po obcych brukach, omdlałe myśli wędrować do Ojczyzny szlakami coraz dzikszyimi i, nie doszedłszy do niej, upadać jak znużone ptaki w zamorskiej wędrowce do cieplic, gdzie którą znużenie napadło, w powszednie troski, w samolubne zabiegi, poziome żądze, brudne uciechy, obłąd, rozumu, wiarę bez kotwicy, nadzieję bez jutra, w nieład, kłótnie, zwątpienie, czczość — i znowu będziemy oczekiwać nowej, dwunastej rocznicy, ażeby przeszła, jak jedenasta, jak wszystkie jedenaście, i kółkiem tej samej kolei przyprowadziła nas do trzynastej, a trzynasta do cztertnastej, i tak następnie.

Skąd mi te myśli smutne? Skąd mają być jasne? Noc bo taka głucha. Tak zimno, mglisto, chmurno, ponuro,

nago na dworze; a w duszy jeszcze chmurniej, puściej, straszniej. Jedenaście lat nazad -- podobny był poranek, równie zimny mglisty, ponury, ale jaki wieczór zato! Życie Polski wybuchnęło słońcem, rozjaśniło, rozпалиło ogniem słońca naród cały, noc poranku świtała wieczorem, dusze promieniły przeczcuciem, serca gorzały wielkim czynem. A dzisiaj? Jaki poranek, taki będzie wieczór; tylko zimniej, posępniej, ciemniej na ziemi i w duszach, tylko może przybędzie jednym więcej zgorzenie, jeden błąd, jeden grzech, powiększy się nieład, wzmocni się nienawiść, osłabnie wiara, Polska oddali się jeszcze bardziej.

Można-ż nie mieć ponurych myśli?

I patrzałem przez okno w ciemne niebo; zawałałem nakoniec:

Nie! Święto 29 powinno być dniem zadusznym. Gdyby w ten dzień powstała cała Polska umarła ze wszystkimi poświęceniami, ofiarami, męczennikami, których zmarnotrawiliśmy przez nasze zepsucie, ze wszystkimi cierpieniami, których jesteśmy przyczyną, z całą przyszłością, okropną, którą jej gotujemy uporem naszej złości, gdyby tak weszła pomiędzy nas, bryznąła po zgromadzeniu żarem krwi swojej, zajęczała głosem wyrzutu, powołała wszystkich do rachunku z ich roboty narodowej — możeby się otworzyły nasze oczy, może, wzruszeni, zawstydzeni, przestraszeni, weszliby na prawą drogę, i następny obchód święcili w obozie walki...

O, gdyby to mogło być!...

— Może i jest! — odezwał się grzmiący głos za mną. Zwróciłem się w stronę głosu i postrzegłem niespodzianego gościa.

Zadrzałem mimowolnie. Dzwonek nie odezwał się, drzwi nie skrzypnęły, kiedy wchodził.

— Kto pan jesteś? — zawałałem. — O tej porze, jakim sposobem?

— Takim samym, jak Pszonka żyje po półtrzecia wieku. Zdumiałem się.

— Cóż to, nie poznajesz mnie waszmość?

Wpatrzyłem się. Przypominałem sobie oblicze i przypomnieć nie mogłem.

— Mistrz Akademii krakowskiej, ów lekarz, pamiętasz Waszmość?

— Czy to być może? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen.

W rzeczy samej był to ten alchemik, o którym już wam mówiłem. Poznałem go nareszcie. Stał przede mną taki sam, jak przed trzema wiekami. Uradowałem się i zasmuciłem się jednocześnie. Pomyślałem sobie: Przybył zapewne po moją duszę.

To mnie nie strwożyło. Ale porzucić ziemię w tak ważnych czasach, pożegnać Ojczyznę w takim zawieszeniu losów, w takich niebezpieczeństwach, kiedy niejedną jeszcze mogłem oddać jej przysługę — to mnie zasmuciło szczerze.

Wkońcu jednak uspokoiłem się myślą, że Bóg jest zawsze i nie da Polsce zagać, chociaż mnie w niej nie stanie. Dlatego zawałałem z głębi serca: — W sam czas przychodzisz, mój mistrzu. Życie moje upływa w takich trudach w takich udręczeniach, widok zewsząd taki nie miły, że śmierć będzie mi pociechą. Rób więc swoje.

— Jesteś w błędzie, szanowny Pszonko — przerwał alchemik. — Nie przychodzę zrywać twojego życia, ale je wzmocnić. Przychodzę cię pokrzepić, pocieszyć. Miałeś smutki? Te przeminęły, nie prawdaż? Masz je? Przeminą, jak tamte. Będziesz miał nowe? I te jeszcze przeminą. Wszystkie twoje cierpienia zresztą czemuś są przy cierpieniach Ojczyzny? Trzeba żyć. Jesteś jeszcze potrzebny i możesz być pożyteczny; trzeba tylko być gotowym na wszystko. Jesteś-że gotów dłużej cierpieć?

— Dłużej i więcej, niż dotąd cierpiałem.

— Bóg z tobą. Za to spadną z twojej duszy kajdany ciała, podniesiesz się na skrzydłach anielskich do strefy nadludzkiej i zobaczysz, czego ludzie zwyczajni nie widzą. Zobaczysz Polskę, jaka jest i będzie zawsze.

— Chodźmy! Cóż cię tam jeszcze nie puszcza?

— Jedna myśl. Daruj, ale dla emigranta to nie może być obojętne. Czyby nie można odłożyć naszej podróży do wieczora?

— Dlaczego?

— Wieczorem będzie obchód.
 — Cóż na obchodzie zobaczysz?
 — O mistrzu! Nie znasz tego widoku, nie wiesz, jak on uroczysty, rozrzewniający. To zebranie ludzi na obcej ziemi, nie zapominających o swojej, te myśli, skupione w jedną myśl, te mowy, te wiersze patryotyczne...

— A po tem wszystkiem co?
 — Po tem wszystkiem rozchodzimy się.
 — I nienawidzimy się, kłócimy się, jak dawniej, grzeszymy przeciw Polsce, jak dawniej. Widziałeś choć jednego, któryby przy takim obchodzie rzucił się z uściskiem miłości na szyję swego przeciwnika, choć jednego, któryby wobec wszystkich wyznał swoje winy, choć jednego, któryby zostawił na obchodzie swoją dumę, miłość własną, błędne zdanie, widoki osobiste, pogardę ku drugim, duch stronniczy, zwątpienie, wyniośłą pokorę, szczerość, skrucą za przewinienia, silną wolę poprawy, cześć przed zasługą innych, serce czystsze, duszę wznioślejszą, silniejszą miłość rodzinną, jaśniejsze pojęcia stanu Ojczyzny, wiarę w Ojczyznę bezwarunkową — widziałeś choć jednego, któryby lepszym stamtąd wyszedł?

— Nie znam wszystkich.
 — Ale czy znasz takiego? Powiedz, Bogiem a prawdą!
 — Bogiem a prawdą, nie znam żadnego.
 — Wasze więc obchody, takie, jak były dotąd, są tylko sceną popisu płytkich retorów, dla wykrętnych sofistów z jałową deklamacją, frazesami bez duszy, zdaniami bez ognia prawdy; są żniwem lichwej popularności dla lichszych jeszcze pyszałków, polem walki dla nienawiści rodzinnej, skalą, jak dalece zepsucie serc i rozumów może rozpierać całość narodu w rozerwane członki, są świętokradztwem, urąganiem, bluźnierstwem wielkiemu dniowi i nieszczęściu ojczystemu...

— Mistrzu, mistrzu, dla Boga, ciszej, nuż nas kto podłucha!

— Cóż stąd?
 — Mnie za grzeczniejsze wymówki okrzyczano Guzowskim, bluźniercą, szatanem, antychrystem, starowiercą, ślepym, chromym, Bóg wie nie czem.

— I to po dziesięciu rocznicach 29, po dziesięciu la-

tach nieszczęść i nauki przez nieszczęścia. Nieprawdaż? A ty chcesz być na jedenastej? A na jedenastej może cię ukamienują? Ciało im bardziej zranione, tem drażliwsze, złość tem wścieklejsza, im więcej lęka się o swoją maskę.

— Święte twoje słowa. Ale obiad!

— Cóż ci po nim?

— Tak! Nie! Chciałbym tylko wszystko widzieć i słyszeć.

— I bez tego będziesz wszystko widział i słyszał — przez ducha Polski.

— A więc wola twoja, mistrzu. Jestem gotów.

Dziwny mędrzec kilka tylko słów wymówił, kilka znaków zrobił, że ani się spostrzegłem, jak cały świat obecny zniknął, i ujrzałem się w nowym, zupełnie innym. On tylko przy mnie pozostał.

II. WIDZENIE TEGO, CO JEST.

Ujrzałem naprzód budowę nie objętego ludzkim okiem ogromu. Było to coś naksztalt świątyni, naksztalt miasta, naksztalt kraju całego, a jednak w kształcie świątyni. Styl budowy nie da się wyobrazić przez żaden ze znanych nam rodzajów budownictwa: połączone tam ujmująca prostota, przepych zdumiewający, wdzięk, co porywa, ponurość, co w melancholię zanurza. Na ciało budowy złożyły się wszystkie królestwa przyrody, na jego upiększenie wszystkie sztuki. połączone dziwnym sposobem: kolory mówiły, harmonia budowy dzwoniła najwdzięczniejszą muzyką, dźwięki płonęły wszystkimi barwami blasku.

Ogrom cały stał na oddechu ziemi, który się pod nim w obłoki podścielał, kształty jego przybrane były w błękitny eter, nieprzejrzysty, jak błękit nieba; kopuły, wieże, z podobnego eteru, podnosiły się ku niebu w niezmierzonej rozmaitej wysokości bez liku, każda dotykała swoim ostrzem jakiejś gwiazdy, a każda gwiazda była jakimś wyrazem polskim, jakimś nazwiskiem, tak, że jednym rzutem oka obejmowałeś całą ziemię polską, cały język, całe życie Polski, i z każdej spływały aż na dół po owych wyżynach strumienie światła; jedne spływały,

drugie tajemniczą siłą podnosiły się do góry, tak, że nieustannie było krążenie, ruch nieustanny, nieustanna jakby rozmowa ziemi z niebem.

Wszystkie te gwiazdy krążyły około jednego ogromnego słońca, pily światłość z jednego ogromnego słońca, które było słowem „Polska“ i wisiało na promieniu bez początku i końca, spoczywało zaś na wierzchołku kopuły ogromniejszej od wszystkich gór na ziemi, pokrywającej całe owe miasto, i całe miasto oblewającej falami polskiego słońca, igrającymi wiecznie to w dół, to w górę.

Zbliżyliśmy się do drzwi świątyni, a przewodnik rzekł do mnie: Jesteśmy w Polsce, wstąpimy w jej duch, staniemy twarzą w twarz przed Ojczyzną, a w chwili bardzo ważnej.

I tu także jest obchód 29 Listopada. Wejść każdemu wolno pod warunkiem, aby zdał szczerą sprawę z całego swojego życia polskiego. Czy jesteś gotów spełnić ten warunek?

— Jestem — odpowiedziałem z pokorą.

Mistrz puknął we drzwi po raz pierwszy, i zawołał: — W imię miłości Boga; — puknął raz drugi; — W imię miłości bliźnich; — puknął raz trzeci: — W imię miłości ludu polskiego!

Drzwi rozwarły się same przez się. Widok wnętrza świątyni równie był zdumiewający i nie do opisania, jak jej powierzchowność. Światłość wydała mi się jeszcze większą, ale przesłaniała ją w każdej, że tak powiem, iskierce jakaś żaloba, niedotykalna dla zmysłów, tylko na duszę padająca. Nieuprzedzony nawet byłby zgadł od razu, że to jest chwila obchodu w cześć 29, ale obchodu żałobnego. We wszystkich barwach, promykach, na każdej części świątyni, na każdym punkcie jej próżni, błyszczał napis świętego dnia, choć go nigdzie oko nie widziało, nie było go nigdzie, zdaje się, a jednak zapełniał całą świątynię; w każdym dźwięku, w każdym szmerze, w samej ciszy brzmiała myśl jego, ale nazwiska nigdzie słyhać nie było, a jednak je słyszałeś. Był to hymn wieczny, nieskończony, nieustający, a w jednym słowie zamknięty.

Ledwieśmy weszli, niewidziany głos zawołał od drzwi

moje nazwisko, że się rozległo, jak grzmot po pustkach świątyni, i w tejże chwili głos podobny zawołał z przeciwnego końca:

— Pszonka, do grobu Ojczyzny, przed sąd Ojczyzny!

Zadrzałem mimowolnie, postąpiliśmy jednak naprzód, i stanęliśmy przy grobie.

Widok jego był przerażający, a razem niesłychanie okazały. Wyglądał on, jak zburzone miasto, zwalone na jedną kupę gruzów, z wyciętymi mieszkańcami, ze zniszczonym całem życiem, jakie się w nim znajdowało: wszystko było tam pomieszane, gruzy, drzewa, głównie jeszcze tlejące, trupy zakrwawione. Oblewał je ten okropny płomień, który się nad pożarem po chmurach czepia, a wewnątrz głucho grały wszystkie jęki, wszystkie krzyki cierpienia, boleści, skarg, żalów, narzekań i konania. Ale gruzy, dzięki u spodu, ubierały się u wierzchu w kwiaty, pękające drzewa; pleśń zgrzybiałych trupów, unosząc się wyżej, nabierała coraz wyraźniejszej barwy życia, układała się w drobne ciała i pierzchała od szczytu na wszystkie strony skrzydlatymi aniołkami, brudny płomień pożaru i zniszczenia pałał w najwyższych swoich płomkach różowym blaskiem jutrzeńki, a śpiew śmierci, tak okropny w głębiach grobu, im bliżej szczytu, tem wyraźniej zamieniał się w radosny, grzmiący hymn zmartwychwstania.

Grob i kolyska były w tym pomniku, dwie tajemnice, tajemnica śmierci i tajemnica życia; dwa uczucia budziły się przy nim: radości i boleści, nadziei i rozpacz, oba jednocześnie, oba równie silne. Doznałem tego na sobie. W stanie zwyczajnym, na świecie zwyczajnym byłbym na zawsze oszalał; w tej chwili, nie wiedząc także nic, co się ze mną dzieje, dlaczego co robię, zalałem się łzami, nie wiem, z rozkoszy czy z bólu, zalałem ręce, padłem na kolana, rzuciłem się chciwymi ustami na glazy nagrobku i pocałem je całować, nie wiem, czy pierwszym pocałowaniem miłości, czy ostatniem, kiedy konamy lub konających żegnamy. Wnet, o dziwo, uczulem w zimnych głazach ciepło ciała żyjącego i drganie jakoby serca w pierśiach — aż oto głos przemówił, nie wiem, pode mną, czy nade mną: „Synu, twoja spowiedź już skończona. Odbyłeś

ją w taki sposób, że ci przebaczam wszystkie twoje grzechy. Słuchaj teraz, co ci powiem, i schowaj to do serca, i szanuj wiecznie, jak święty upominek matki z dnia dzisiejszego.“

(Zrobiłem, jak matka kazała, i dlatego nie udzielam nic czytelnikom; zresztą upomnienie to mnie tylko dotyczy, a dla innych może być obojętne). Zakończyła, jak następuje: „Na świadectwo łaski mojej odziewam cię szatą poświęcenia. Jest to godowa szata dni męczeńskich, purpura męczenników. Przywiązane do niej wielkie bólesci i wielkie rozkosze, wielkie trudy i wielkie zasługi. Szczęśliwy, kto na ostatecznym sądzie narodu ukaże ciało do niej podobne — dla dobra ludu. Odejdź synu i czekaj!“

Rzuciłem okiem po sobie i ujrzałem się w tej oto szacie czerwonej, którą tu widzicie. Posłuszny głosowi Ojczyzny, wstałem i stanąłem z boku grobu, mając znowu obok siebie mojego przewodnika.

Po krótkiej ciszy głos odzwrotny zagrzmiął: Emigracya!

— Przywódcy emigracyi, przed sąd Ojczyzny! — zawołał głos z grobu.

Myślałem, że ujrzę próbki stronnictw, opinii emigracyjnych; omyliłem się: cała prawie emigracya płynęła ku grobowi.

Zrobiłem uwagę mojemu mistrzowi: Wszak tylko przywódców wezwano.

Mistrz, uśmiechając się, odpowiedział zapytaniem: Wieluż masz nie przywódców? — Prawda! — pomyślałem w duchu.

„Trzeci-Maj“ pierwszy się wysunął, ustrojony w kité z piór redaktorskich i barwę książęcą.

Chciał mówić. — Daj pokój — zawołał głos grobu. — Twoje czoło mówi za ciebie: całe zginęło pod twoim grzechem. Synu, jesteś na drodze zbrodni. Głowa twoja ułomna, serce zepsute, sumienie, jak noc zamętu. Zamiast służyć narodowi całemu, wzięłeś służbę u jego sługi. Nędzną okrucieść ogółu podniosłeś nad ogół. Wiarę twoją narodową przeniosłeś od Ojczyzny do jednej osoby. Na jednej osobie oparłeś zbawienie wszystkiego. Synu, z twojej

duszy ustąpi Bóg i Ojczyzna, a ich miejsce zajęły głupstwo, nikczemność, lichy widoki własne.

Puszczasz jad na rany swej matki. Wysączasz jej krew żywotną dla pokrzepienia trupa. I do wszystkich tych przestępstw dodajesz kłamstwo. Twoje godło: Polska! — jest kłamstwem; dla ciebie Polska, jest twój król *de facto*. Ciężar narodowej zbrodni na tobie. Pokuta twoja będzie wielka. Odstąp i czekaj!

„Trzeci-Maj“ stał jeszcze, kiedy go potrafił ze złośliwym uśmiechem wymuskany panicz i wstąpił na jego miejsce. Miał on włosienicę na modnym fraku, na czole piętno hrabskiej korony, u boku różaniec, przy ustach pantofel papieża.

— Kto jesteś? — zawołał głos grobowy.

— „Dziennik Narodowy“, *ad maximam Dei gloriam*.

— Zaczynaj. — Spowiadałem się przed tygodniem. — Spowiadaj się i dzisiaj, bo co tydzień grzeszysz, ciężko grzeszysz. na wysłuchaj i to z kim? Z „Trzecim-Majem“. I o co? Że on od razu nazwał królem, co ty chcesz udawać jakiś czas za naczelnika. Żle, mój synu. Masz się za mędrszego, jak twój spółzawodnik, a naśladujesz go w grzechu głupstwa, jeszcze mu go zazdrościsz i przesadzasz w nim przez obludę. Porzuć te bałamuctwa. Potępienie w nich dla ciebie, a dla Ojczyzny cierpienie. Twój naczelnik nie jest Mesyaszem Polski, twój sejm nie czysta dziewica, żeby go porodził; twoja wiara w Rzym nie zastąpi wiary w Polskę.

Skieruj lepiej całą ku ludowi bratniemu. Wszak wierzysz w bóstwo Chrystusa? Wierz więc, że, kto był godzien krwi Chrystusowej i uzyskał prawa niebieskie, ten ma prawo do praw ziemskich. Popraw się, jeszcze raz wołam; poddaj się myśli ludu, zgódź swoją wiarę z wiarą jego przyszłości, zerwij z szatanem pychy, a przynajmniej bądź prosty, szczerzy. Odstąp i czekaj pokuty!

Dziennik ustępował, ale, ustępując, zawołał wspólnie z „Trzecim Majem“: — Królu, naczelniku *de facto*, rodzicu nasz! Wystąp nareszcie i przemów. Oto grzeszymy i cierpiemy dla ciebie, a ty się kryjesz. Jesteś wszędzie, czemuż cię nigdzie niema?

Głos grobu zawołał nazwisko wywoływanego, i po-

kazał się starzec, występując z małego grona opodał tłumu, które go swoim kółkiem zakrywało dotąd.

— Przybliź się — zawołał głos grobu. — Spowiedzi po tobie nie wymagam. Nie powiedziałbyś prawdy: skrytość i udawanie zamieniły ci się w sumienie. Zresztą, wiem twoje grzechy bez ciebie. Dam ci tylko upomnienie obrażonej matki. Synu mój, dni twoje policzone, twój grób niedaleki, co chwila bliższy; zostaje ci coraz mniej krótkiego czasu do naprawy tego, co popsuleś. Spiesz się, śpiesz się być innym, jak byłeś dotąd. Rola, jakiej całe życie poświęciłeś, nie była nigdy dobra i dobrą nie będzie. Nie uwierzyłeś we mnie, przyklejałeś mnie, jako podrzędny członek do obcego ciała, gasiłeś ogień mej piersi, ile razy samodzielnie zaczął się podnosić, wiązałeś mi ręce i nogi i wydawałeś na łaskę morderców dla mego niby zbawienia, i dzisiaj sięgasz po nagrodę najcnotliwszego, najpoświęceniejszego w narodzie, po miłość największą ludu, po władzę — za to, że byłeś bardziej Moskałem, niż Polakiem, że dzisiaj znowu chcesz być nie tyle Polakiem, ile królem. Manowce — droga twojego życia; twoja robota — nieszczęścia kraju; czas opamiętać się. Złóż pychę, którą niebawem śmierć w dym zamieni, zostań bratem ludu, rób, jak brat ludu, a przez te kilka chwil życia ostatnich zarób sobie przynajmniej na pamięć zaszczytniejszą, niż apoteoza pieczeniarczy. Tymczasem dziel karę z tymi, z którymi dziś grzeszysz. Miejsce twoje pomiędzy „Trzecim Majem“ a „Dziennikiem Narodowym“. Powinność twoja sciskać nieustannie to jednego to drugiego, aby ich dręczyć wzajemną zazdrością; twoja zaś kara, twoja... okropna, ale sprawiedliwa — niech oba piszą twoje pochwały — ostatkiem krwi twojej.

— Zjednoczenie towarzystwo! zagrział głos odzwierny.

— Protestujemy! My nie towarzystwo! — wrzasnął tłum ogromny.

— Milczcie, dzieci — zawołał głos grobowy. — To nie sejmik emigranckiej gminy. — Grzechy wasze?

— Oto akt Zjednoczenia!...

Głos grobowy przerwał mówcy.

— Dosyć! Wszystko już powiedzieliście. Dzieci moje, dzieci, jakie wy dzieci; ale co w tych dzieciach zaro-

zumiałości, co miłości własnej, co upor, co nienawiści, co myśli wykrętnych, co popędu do kabał, do intryg, co obludy, co ducha niesforności, co namiętności wyuzdanych, co nalogu najzepsutszego szlacheckiego czasu, co za dziwne zjednoczenie tego wszystkiego? I takie „Zjednoczenie“ ma wyobrażać cały naród, ma nim kierować, ma go zbawić? Błuźnicie mu, dzieci, potwarzacie go, chcecie go zgubić. Grzeszycie śmiertelnie. Poprawcie się, rozjednoczcie się. Niech, co dobre, wróci pomiędzy dobrych, a co złe, niech w odosobnieniu ginie, jeżeli się nie poprawi. Ale wytrzeźwienie się wasze leży na dnie kielicha waszego; pijcież go do dna. Waszą więc religią będzie religia nowej Polski, myślą społeczeńską nauka „Gromady Grudziądz“; wasze ślepe posłuszeństwo zostanie pod władzą...

Tu głos tajemniczy ucichł na chwilę i znowu zawołał:

— Zjednoczenie-pismo przed sąd Ojczyzny!

Wspiałem się na palce. Ciekawy byłem, jak też wygląda wice-król królestwa bożego, ale głos Ojczyzny zajął mnie znowu całego.

— Synu mój, ogłaszasz się przewodnikiem do królestwa bożego, a idziesz drogą ciemności. Twoje apostołstwo godniejsze Antychrysta, jak Mesjasza. Z księgi świętej wysłałeś tylko nienawiść żydowską; błogosławisz przekleństwami. I chcesz wmówić w braci, że głosisz miłość najwyższą, najczystsza. Synu mój, bluźnisz Bogu, bluźnisz miłości; grzeszysz najbezczelniejszą obłądą. Zaczem uzyskasz przebaczenie, bądź narzędziem kary: rządź towarzystwem Zjednoczenia, a za pokutę rządź nim z miłością i rozumem.

Zatem nastąpiły gminy, gminki, w gminkach jeszcze gminki, i tak w nieskończoności; dalej rozmaite dzienniki, broszurki, świstki, dalej konfederacye o trzech, dwóch, dziesięciu głowach, niektóre o jednej, większa część bez żadnej; dalej pojedynczy, co sami w sobie są towarzystwem, emigracją, krajem, wszystkim — ale czy podobna wszystko spamiętać i opowiedzieć? Kiedy nakoniec wypróżniono hufiec „Zjednoczenia“, usłyszałem zawołanie: „Demokrata!“ — i „Demokrata“ stanął przed sądem, a głos tajemniczy przemówił:

— Jakiegokolwiek są twoje grzechy, twoi przeciwnicy wypowiedzieli je światu i chłostą swojej nienawiści każdy już zmasali. Idź po drodze, po której dotąd szedłeś, za gwiazdą myśli, która ci dotąd świeciła. Tam jest konieczna przyszłość i życie twojej matki. Rozszerzaj wiarę we wszechmocność narodu, zstępuj coraz głębiej między lud, poświęceniem się dla jego dobra wiąż twoje serce z sercami bratnimi przez ojczyście uczucia, przez rodzinną miłość coraz ściślej utwierdzaj ducha prawej karności, gromadź przymioty apostoła, miej poddanie się męczennika, wierz, kochaj, cierp, a pracuj i trwaj, to gwiazda Polski będzie ci świecić coraz jaśniej, i coraz jaśniej będzie ci opromieniać duszę, aż ci pokaże w południowym blasku to, co dzisiaj widzisz dopiero w blasku jutrzejki. Wtedy odbierzesz nagrodę w błogosławieństwie ludu; dzisiaj masz przebaczenie wszelkich win przeszłych i błogosławieństwo matki na dalszą drogę.

Naraz wszystkie głosy świątyni zawrzały okrzykiem: — Naród! Naród! — A drzwiami wpłynął tłum ludu, jak fala potopu, i zalał cały przestwór. Ojczyzna tylko mogła objąć spojrzeniem ten ogrom.

Świątynia zamieniła się w dolinę Józafata. Rozpoczął się sąd narodu. Niepodobna opowiedzieć, jak się odbywał. Jest to nad siły moje i przeciw najświętszym tajemnicom Ojczyzny. Stawały wszystkie stany, wszystkie odłamy ludu, pojedyncze nawet osoby, i odbierały błogosławieństwa lub upomnienia, nagrody lub kary. Zawołano nakoniec: — Męczennicy! — Święty zastęp skupił się przy grobie. Półnady, obciążeni kajdanami, wychudli, wybladli, skrwawieni, nędzarze ciałem, wszyscy, jak jeden człowiek, spokojni, wdzięczni, silni, nadziemscy duchem wszyscy, jak jeden anioł. Były to ofiary więzień moskiewskich, niemieckich: postrzegłem wielu znajomych, zalałem się łzami; przygasła jasność świątyni, smutna pieśń przeciągnęła wiatrem, jęknęło wnętrze grobowca, ale wnet zagrzmiąło groźniej, niż dotąd słyszałem.

— Ludzie grzechu, patrzcie, oto męczennicy wasi! Patrzaj, narodzie cały, oto obraz Ojczyzny. Patrzaj i popraw się!

Więźnie pojrzeni po sobie, zapłakali i zawołali:

— Matko, przebacz! Nasze grzechy muszą być niezmierne, kiedy taka jest twoja męczarnia! Przebacz nam grzechy nasze!

— Nie, dzieci moje — odpowiedział głos grobu. Wy jesteście bez zmyły dzisiaj. Kochaliście tyle, cierpiełście tyle dla win cudzych, że sami zgładziliście własne. Ja żyję przez was tylko. Jestem z wami, i moje błogosławieństwo z wami wiecznie.

I w tejże chwili dwoje rąk wyszło z grobowca, zawisło nad głowami męczenników, strumienie światła wypłynęły z nich na wszystkie strony, rozlały się wokół męczenników i ułożyły się w promienną koronę nad głową każdego z nich. I tak zostali przy grobie, jak jego Aniołowie-Stróże.

III. WIDZENIE TEGO, CO DAJ BOŻE.

Krótkie było milczenie. Gwar ciągle w orszaku potępieńców, coraz większy, urosłszy w wycie wściekłości, niszczącej siebie przez siebie, wybuchnął w końcu jękiem rozpaczny:

— Matko, Matko, zlituj się nad nami; nie wytrwamy tak dłużej. Pomrzemy, przepadniemy wiecznie. Przebacz nam!

— Wskreszcie mnie wprzód — grób odpowiedział.

— Cóż mamy robić, aby cię wskresić?

— Ukochajcie mnie w ludzie moim, przysięgnijcie mi posłuszeństwo w posłuszeństwie mojemu ludowi, poświęćcie się mi poświęceniem dla mojego ludu, a zacznijcie od wyparcia się, od zniszczenia wszystkiego, co zewnątrz i wewnątrz, w myśli i czynach wyosabia was z ludu, z jego myśli, z jego życia, z jego szczęścia, co was robi buntownikami przeciw niemu, nieprzyjaciółmi albo panami jego. Wtedy wam przebaczę.

— Przebaczaj, Matko — zawołali potępieńcy. — Oto robimy wszystko, co każesz. Jesteśmy ludem, jego wola naszym prawem, jego władza naszym panem, jego szczęście naszym szczęściem, co mamy, wszystko dla niego poświęcamy.

I w tejże chwili dziwny przedstawił się widok: panowie deptali nogami swoje mitry, szlachta daria swoje dyplomy.

mata, bogacze dzielili się z biedakami swoim dobrem, król de facto na klęczkach zaklinał swoich wyznawców, aby mu pozwolili być prostym człowiekiem ludu, „Trzeci Maj“ pluł na swoje pismo, „Dziennik Narodowy“ zaśmiał się głośno sam z siebie, sejm rzucił swój mandat pod nogi tłumu, Zjednoczyciel-Spolecznik oddał, co miał nadto, a cudzego nie zapragnął i szczerze się uśmiechnął, Zjednoczyciel-Komitet uznał się niższym od narodu i przyznał „Demokracie“ słuszość — a wszyscy zmieszali się w tłum jeden, ściskali się, całowali się, płakali z radości. Nagle zagrała muzyka zmartwychwstania, grób zniknął, cała przestrzeń świątyni przybrała widok raju, a w powietrzu nad miejscem grobu jaśniała anielska postać: patrzyła ona z uśmiechem rozkoszy na scenę poprawy, nakoniec przemówiła:

— Błogosławione jesteście, dzieci moje. Zmartwychwstałam przez was. Obchód skończony. Widzieliście go duchem. Taki powinien być wasz na ziemi. Obyście go jaknajprędzej mieli.

Anioł zniknął i z nim całe widzenie zniknęło. Przez chwilę zdało mi się, że widzę dziwnego mojego mistrza: odchodził właśnie. Chciałem przemówić — nie było nikogo.

Wszystko to miało być marnem być widzeniem i nigdy się nie sprawdzić? Nie! Wierzymy w lepszość, jak w Boga; tymczasem pracujmy na nią!

NIE ŹLE JEST CZASEM NIE DOSPAĆ.

KOMEDYJKA SZLACHECKA.

OSOBY: Szlachcic. Duch Trzeciego-Maja.

Rzecz w Polsce.

SCENA I.

Monolog szlachcica.

Kancelarya szlachcica - gospodarza ubrana wiadomym sposobem: po kątach sprzęty gospodarskie — nad łóżkiem obraz Jezusa ukrzyżowanego — obok niego pałasz, strzelba i batóg — na stole papiery, porzucane nieporządnie, i świeca dogorywa.

— Szlachcic siedzi przed stołem w głębokim zamysleniu, otoczony gęstym obłokiem dymu. Słychać uderzenie dziewięciu godzin.

Szczególna rzecz! Już dziewiąta, a ja nie śpię. Cały kwadrans myślę. Jak żyję, nic mi podobnego się nie zdarzyło. Czy początki melancholii, czy śmierć, czy co? Brrr, zimno mi: Przeklęty ten „Trzeci-Maj“! Jego to sprawka. Póki sobie pisał o królu, o monarchii demokratycznej, pół biedy.

Żyje się jakoś z Moskalami, z Niemcami, pogodziłoby się z królami i demokratami, tem bardziej, że to krew swoja. Ale powstawać! Świstaki! Dobrze temu powstać, kto nie usiadł. Jednak tym tam pisarczykom nie tyle się dziwię. Niedowarzone głowy, hołota i nic więcej. Ale kto ciężki rachunek odda Bogu, to ten książe. Jak żeby nie był nigdy ministrem, jak żeby sam nie gadał, że ostatnie powstanie było smutnym wypadkiem. Tak zdradzić siebie i nas, tak się zbisurmanić, o, tego jemu nigdy nie daruję.

I on myśli, że to droga do tronu? Zje dyabła. Nie głupim dla jego korony poświęcać moją wioskę. To nie fajka

tytoniu (*postrzega się, że mu fajka zgasła*). Bodaj was kat porwał! Przez was i fajki porządnie wypalić nie można (*chce zapalić fajkę, bierze papier*). „Trzeci-Maj“! Ostatni numer, jeszcze go nie czytałem. Nic nie szkodzi, niech ginie heretyk. A może przeczytać? (*zamruża oczy, stuka palec o palec*). Czytać, nie czytać; czytać, nie czytać; czytać. Ha, trzeba przeczytać. Człowiek i tak już ze snu się wybił. (*Czyta, na twarzy widać rozmaite wzruszenia, nagle zatrzymuje oczy na jednym miejscu, przebiega je kilka razy, trze oczy ręką i powtarza zwolna, głośno*) „Święty Augustyn powiedział: Wierz w Boga i rób, co chcesz, a my powiadamy: wierz w króla i rób co chcesz“. (*Znowu zatrzymuje się, podnosi oczy w głębokiem zamysleniu*).

„Wierz w króla i rób, co chcesz“. Wierz w króla i rób, co chcesz! Ma się rozumieć: król wszystko robi, a ty rób, co chcesz, to jest nawet nic nie rób. Tak! Ej, czy niema tu tylko jakiego kruczka? (*Odczytuje*). Nie! Stoi, jak byk (*czyta*): „Wierz w Boga“ itd., a zatem nic nie rób, bo król, jak Bóg, sam wszystko robi, ty nic nie rób. I sam Salamon inaczejby nie wytłumaczył. (*Opuszcza ręce z gazetą, rozciąga się wygodnie w krzesle, zamruża oczy, przechyla głowę*). O jakże mi słodko, lubo! Nic nie robić i mieć Polskę! Cała robota: wierzyć w króla. A jechał go sęk! W dziesięciu uwierzę. Co mi to szkodzi. Niechże was uściskam, moi panowie. Teraz to co innego. Otóż to dopiero ludzie praktyczni, polityczni, patryotyczni. Z takimi ludźmi nie żal robić, to jest nic nie robić. (*Zrywa się z krzesła, biega po pokoju*). Muszę to powiedzieć mojej Kasi. Hej! A... Jejmość swawolna, a rano wstać trzeba. Poszlę po arendarza! Nie! Lepiej napiszę do hrabiego. Dawno już nie byłem w takim sztosie pisania i kto wie, czy drugi raz będę. (*Siada i pisze*).

Mój najukochańszy Jaśnie Wielmożny Hrabio!

Nie wiem dalibóg, jak ten list napiszę, bo serce tak mi skacze, a za niem ręka, że zaledwie pisać mogę. Jest mi, jak zegarkowi, w którymby pękła sprężyna i... Żle! Jest mi, jak chrześcijaninowi, któremu odpuszczonoby wszystkie grzechy przeszłe i przyszłe... Dobrze! Ale jeszcze lepiej: jest mi, jak szlachcicowi, którego by zakłęto

na dobro kraju, żeby nic nie myślał, nic nie robił; jest mnie, jak mnie! A nie mówił-żem ci, Hrabio, po tysiąc razy, że trzeba przycupnąć, jeżeli chcemy, żeby się coś zrobiło? Trzeci-Maj to samo powiada. Wyraźnie powiada: przede wszystkim myślcie o bezpieczeństwie waszych osób, waszych majątków; wyraźnie powiada: nie konspirujcie! Słowo w słowo, co ja zawsze powiadałem. Każe tylko wierzyć w króla. Mniejsza o to, byle nic nie robić. Wszak prawda, Hrabio? O, miły Boże, czemużbym nie wierzył w króla, który każe nic nie robić? Taki król godzien jest być naszym królem. Odtąd spokojnie spać będę. Nim zaśnę, wysyłam Hrabiemu ten właśnie numer Trzeciego-Maja. Jak go przeczytasz, przyznasz, że niedarmo się cieszę. Jutro sam wpadnę. Naradzimy się, co mamy dalej robić, żeby spokojnie przeczekać, aż póki Czartoryski Polski nam z sobą nie przywiezie. Wytłumaczysz mi także, Hrabio, jakimby to sposobem stać się mogło, bo mi dłużej myśleć się nie chce, a jednak ciekawy jestem. Życzę Ci, Hrabio, dobrej nocy.

Najniższy sługa.

(*Zapieczętowany list, woła*): Hej! Jest tam kto? (*Otwierają się drzwi, wbiega Duch Trzeciego-Maja w rycerskim papierowym stroju; przyłbica z osłej głowy — zamiast tarczy trzyma ogromny medal z popiersiem i napisem: Adam I., król Polski, itd.; na barkach skrzydła z półarkuszy „Trzeciego Maja“ — zamiast ładownicy dyplomatyczna teka, przy niej kałamarz w kształcie korony — z cholewy sterczy berło, u boku wisi łokciowa sakiewka, a ręce wysmarowane smołą, czy żeby do nich snadniej lgnęło — alfa i omega „Trzeciego-Maja“ — groświo, czy żeby koniecznie skalać każdego, do kogo się dotknę — o to mniejsza*).

SCENA II.

Szlachcic i Duch Trzeciego-Maja.

Szlachcic (*przestraszony*). Wszelki duch chwali Pana Boga!

Duch (*do siebie*). Znalazłem przecież kogoś, co się mnie boi. (*głośno*). Ja chwale Adama I-go, króla de facto.

Szlachcic (*zawsze przestraszony*). Co ty jesteś?

Duch (*z uroczystą powagą*). Nie bój się, mój bracie. Jestem tak miły, jak straszny, jestem pryncypium dynastyczne, stronnictwo rdzenne; jestem, który robię królem króla de facto, namaszczałem go atramentem, jego berło to moje pióro, roznoszę jego popiersia itd., itd. Jestem posłaniec Adama I-go. Jestem duch Trzeciego Maja.

Szlachcic. Czegoś potrzebujesz, duchu, który jesteś nie wiem czym? Może mszę?

Duch. Nie. Mszę odprawi w potrzebie mój Omieciński.

Szlachcic. Może obywatelskiej poczty?

Duch. Nie. Ja jeżdżę na Bystrzanowskim.

Szlachcic. Może herbaty? Może jakiej przekąski?

Duch. I to nie. Ja żyję rozumem Woronicza.

Szlachcic (*do siebie*). Ależ jaki chudy! (*do Ducha*). Czegoś chcesz u dyabła?

Duch (*otwiera sakiewkę i wskazuje na pieniądze, leżące na stole i mówi uroczysto*). Pieniądzy!

Szlachcic (*nakrywa nagle pieniądze obydwoma rękami i odpowiada słabszym coraz głosem*). Nie dam, nie dam, nie dam.

Duch. Jakto? A króla chcesz?

Szlachcic (*do siebie*). Podśluchał mnie widać, ale się wykręca. (*Głośno*). Tak, czemużby nie? Cóż mi to szkodzi? Niebardzo. I chcę i nie chcę.

Duch. A więc chcesz? A więc dawaj pieniądze! Kto chce mieć króla, musi mu dać pieniądze.

Szlachcic. O! Nigdy, przenigdy! Wolę pieniądze, jak króla. Zresztą u mnie król ten, co daje, nie ten, co bierze.

Duch. Król za to da ci Polskę.

Szlachcic (*do siebie*). Znowu mię zahaczył. (*Do Ducha*) Za pozwoleniem, chwilkę namysłu. (*Po namyśleniu*). Za pozwoleniem. Więc król sam może zrobić Polskę?

Duch. Może.

Szlachcic. Czy twój król miał kiedy pieniądze?

Duch. O, i wielkie.

Szlachcic. Czemuż wtedy Polski nie zrobił?

Duch (*w kłopotcie*). Bo, bo wtedy nie był królem.

Szlachcic. A dziś jest królem, jednak bez pieniędzy nic zrobić nie może?

Duch. Niezawodnie.

Szlachcic. To pieniądze widać ważniejsza rzecz, jak królewskość. A że ja mam pieniądze, mam coś więcej, niż króla. Jestem więcej, jak król bez pieniędzy. Nie, nie dam!

Duch. Szlachcicu, stary anarchisto, konfederacie, demokrato, jakubinie, republikaninie, przekleństwo tobie! (*znika*).

Szlachcic (*patrząc za nim*). Z Panem Rogiem. (*Ze złośliwym uśmiechem*). Aa! Rozumiem was teraz. Nie róbcie nic, tylko dajcie pieniądze, a my weźmiemy pieniądze i zrobimy tyle, ileśmy zrobili, to jest: nic. Ha, moi panowie! Chciało się wam wymieniać wasze liczmany na nasze dukaty. Gruszki na wierzbie! O, drugi raz nie wywiedziecie mię w pole. Dzięki Bogu, że do hrabiego listu nie posłałem. Otobym bąka był wyciął. A jeszcze tak długo myślałem. Cóż to ja głupstw muszę robić, kiedy nic nie myślę! Pokazuje się jednak, że dobrze jest czasem nie dospać.

Duch (*który podśluchiwał za drzwiami*). Prawda! Nie taki szlachcic głupi, jak się zdaje. Próbujmy dalej

CO TO Z NAMI DALEJ BĘDZIE?

Nieraz można słyszeć pomiędzy nami podobne zapytanie. Nie byłoby w niem nic do zgadnienia, gdyby ono znaczyło po prostu, co każde zapytanie znaczy: chęć dowiedzenia się, czego nie wiemy. Ale kiedy je kto kładzie w taki sposób, że w niem widać zniechęcenie, narzekanie, zwątpienie zupełnie o Polsce, i kiedy w głębi tego niby zapytania leży odpowiedź: Nic już z nas nie będzie — natenczas potrzeba je rozstrzygnąć według naszego także widzenia rzeczy. Na ten raz zwrócimy się głównie do smutnej strony emigracyjnego ducha, a co tu powiemy, może się w potrzebie i do krajowców rozszerzyć.

Pojmujemy narzekanie w sprawach potocznego życia. Człowiek tam kręci się po kółku poziomem, cel jego poziomy; poziomą władą prawnie jego duszą, bezsilność wobec niepowodzeń jest w porządku rzeczy, narzekanie ulżywa, człowiek naówczas jest przynajmniej w zgodzie z samym sobą. Ale człowiekowi publicznemu, jakim jest dzisiaj każdy Polak, a tem bardziej emigrant, upaść w sprawie narodowej, przez którą jest, czemkolwiek jest, upaść do tego stopnia, żeby się uchwycić tylko za narzekanie, tego ani pojąć, ani nazwać nie potrafimy. Słuchaj, ty, co narzekasz, dlaczego zostałeś emigrantem? Czy po pijanemu, czy przy zdrowych zmysłach opuszczałeś ojczystą ziemię? Czy poszedłeś, ażeby popić z Niemcami, nauczyć się po francusku, pobawić się w Paryżu, i wrócić sobie, kiedy ci się podoba, do Polski, jaka jest? Nie! odpowiadasz. Wyszliśmy z pokonanej, żeby wrócić do zwycięskiej. A przez kogo zwycięskiej? Przez takich, jak ty? Zastanów się teraz... Porzuciłeś wszystko dla twojej sprawy dobrowolnie, z wiedzą, co robisz, ślubowałeś poświęcić jej wszystko, cokolwiekby wypadło, dobrze lub źle, a dzisiaj narzekasz! Wyczerpał-żeś dla jej podniesienia wszystko, co od ciebie zależało? Poświęcił-żeś

wszystko dla niej, co możesz, co powinienes poświęcić, ażeby ci już wolno było narzekać? Masz na sobie odzież, którą możesz na tańszą zamienić, a resztę do skarboxy publicznej złożyć, a ty narzekasz! Masz na dwie potrawy, możesz obejść się jedną, a co zbędzie, obrócić na użytek publiczny, a ty narzekasz! Masz zdrowy umysł, możesz dać pożyteczną radę, a ty narzekasz! Masz władzę w rękach i nogach, możesz pójść i ubić aby jednego wroga, a ty narzekasz! Pozostało ci życie, możesz po stracie wszystkiego sam zginąć, a ty narzekasz! Powiedz-że teraz, czy jesteś dla kraju tem, czem być powinienes? Czy twój patriotyzm nie jest bryłą lodu, która taje w miarę przeciwności gorętszych? Czy twoje wykrzyki poświęcenia się nie są piosenką chwilowego pijaństwa, której po trzęwku zapominasz? Czy twoje piękne słowa nie są obludą, śluby wiarołomstwem? Czy twoje powołanie nie jest dla ciebie uciążliwą pańszczyzną? Powiedz sam, nie jesteś-że człowiekiem bez szlachetnych uczuć, bez przekonania, bez wytrwałości, słabym, niedołęgą, krzywoprzysięgą, zgola, człowiekiem najnikczemniejszym? Nie!... Polak emigrant, dopóki nie ma ojczyzny, dopóty bez szemrania, bez zachwiania się powinien wszystko jej poświęcać, a wkońcu życie — i wtedy, jeśli może, niech narzeka.

Ale kto narzeka swobodny i zdolny do działania, ten nie powinien rościć sobie prawa do ludzkiego szacunku, nie godzien używać szczęścia w przyszłej, wolnej Polsce, nie godzien jej oglądać.

DZIESIĘĆ OBRAZÓW, i t. d.¹

Kto przeczytał, jak my, Dziesięć Obrazów, całe, wszystkie, z przedmową, z poezją, z przypiskami, jednym słowem od deski do deski (wyjawszy stronicę omyłek, bośmy uważali całe dzieło za jedną wielką omyłkę) ten, zdaje się, wywalczył sobie prawo powiedzieć o nich słów kilka, wysapać się po takim trudzie.

Teraz tylko sęk, od czego zacząć? Po odbytem takim przeczytaniu niełatwo się polapać, zaprowadzić zwyczajny szyk w głowie. Poco ta troska? Alboż twórca Dziesięciu Obrazów nie dał nam przykładu grubego, jak tom o kilkuset stronicach, że przy dobrej chęci, przy śmiałości, przy pomocy bożej, można pisać bez ładu i składu, co chcemy i jak długo chcemy? Ha! Dziej się wola boża, zaczynamy!

Proza na wstępie — coś nakształt przedmowy, nakształt odezwy — potem wiersze, potem znowu proza, przypisy i jeszcze przypisy, i bez końca przypisy, nieobejrzane, niezgłębione, nieobczytane.

Mamy-ż zacząć od prozy, czy od poezyi? Ale twórca ostrzega w przedmowie, czyli we wstępnym przypisku, że jego dzieło nie jest ani prozą, ani poezją. Cóż tu począć? Zdać się na los. Bierzemy więc za poezją prozę rymowaną, a za prozę te wiersze, gdzie rymów polapać nie możemy.

Według tego, jeżeli się nie omylimy, proza będzie w przedmowie i przypisach, a poezya w scenach, zwanych właściwie Dziesięciu Obrazami. Pierwszeństwo dajemy poezyi (prosimy pamiętać, że przez przypuszczenie tylko używamy tej nazwy).

Jaka była główna myśl poety? Domyslać się tylko mo-

¹⁾ Pod tym tytułem ukazała się bezimiennie publikacya, pisana wierszem, Michała Chodźki.

zemy. Ale, że domysł może być mylny, zdanie więc o tem zatrzymamy przy sobie. Że jednak trzeba coś powiedzieć, to zresztą powiemy. Zdaje się nam tedy, że poeta chciał uwiecznić tak zwaną partyzantkę Zaliwskiego. Miarkujemy to po wprowadzonych na scenę osobach takich, jak Zaliwski, Wołowicz, Zawisza, Konarski i tym podobni. Pole działania ogarnia Francję i Polskę, dostało się nawet i górze Św. Bernarda. Działanie opiera się na wypadkach licznych i ważnych. Wtajemniczamy się w narady paryskiego węglarstwa, patrzymy na świat z gór szwajcarskich, widzimy bitwę oddziału Dziewickiego z Moskalami i śmierć dowódcy, słyszymy opowiadanie o powieszeniu Zawiszy i t. d. Wypadki te są w samej rzeczy ważne i mogą zaspokoić największy talent. Poeta nie przestał na nich: wprowadza nas jeszcze między szlachtę galicyjską, dla przypatrzenia się Majorowi T..., wcale na to nie zasługującemu przy całym duchu satyrycznym, któremu autor chciał nacechować tę scenę — nakoniec, jakby dla wyczerpania całego dramatycznego zawodu, przesnuł swoje dzieło miłosnemi cierpieniami, a wszystko zawiązał śmiercią Kassyldy, kochanki Wołowicza. Jakkolwiek litujemy się nad tą ofiarą niewinną, a jedynie, jak się zdaje, ofiarą rozhukanego ducha poety, nie możemy jednak poczytywać tej śmierci za złe, widząc, że ona zakończyła Dziesięć Obrazów, zgładziła niejako cały grzech poetyczny.

Oddaliśmy w głównych rysach główną ośnowę dzieła z całą jasnością i porządkiem, jaki mogliśmy z niego wyczerpnąć, a ze zwięzłością, dzięki Bogu, większą. Niech więc wolno nam będzie na mocy tej zasługi dotknąć jeszcze jednego szczegółu Dziesięciu Obrazów, jednego tylko. — W dramatach zwyczajnych poetów, poetów starowierców, osoby wprowadzone występują z właściwemi sobie charakterami, każdy ze swoją fizjonomiją, każdy mówi językiem stosownym w duchu swojej roli. Ale takie indywidualizowanie (sobkostwo) przeciwne jest doktrynie Dziecięciu Obrazów. Spółność własności rozszerzona tu do własności duchowych — bohaterowie weszli na scenę pod warunkiem poświęcenia całkowitego swoich osób na korzyść jednej jedności, którą jest autor — wszyscy zleli

się w autora — przez autora wszyscy mówią. Panny deklamują, jak węglarze, partyzanci śpiewają, jak panny, a wszyscy, widąc, wyuczili się, jak kanarek przy pozytywku: „Biada temu, kto zapomni, że owoce ziemi do wszystkich należą, a ziemia nie może być nieczyją własnością“. Jednym słowem, jest to widowisko poliszynela, gdzie się pokazują wprawdzie różne osoby i dokazują różnych figlów, ale ukryty figlarz piszczy za wszystkich. Pisarz przypisów, jednym słowem: przypisarz, wyobraża tu kota, znajomego publiczności Pól-Elizejskich; około nieruchomości jego nauki, jak około kota jasełek, krąży całe działanie Dziesięciu Obrazów. Z innego znowu stanowiska uważając dzieło, jest tu potrochu wszystkiego; w układzie podobne do porządku galeryi parawanowej, a w mieszaninie do siekaniny z różnego mięsiwa, opieprzonej niemilosierdzie deklamującym osobnictwem poety.

Nie jesteśmy w stanie powiedzieć coś więcej o poetycznem obliczu Dziesięciu Obrazów mimo szczerej chęci. Idźmy więc do prozy.

Powiadają, że w dziele Dziesięć Obrazów nie przypisy napisane są dla tekstu, ale tekst dla przypisów — że mniej tu chodziło o poetyczne wystawienie partyzantki, jak o wygadanie się w przedmiocie kilku niby wyobrażeń społecznych, mających ukonstytuować niby królestwo boże. Czy tak jest, czy nie, to pewna, że jakkolwiek poezya Dziesięciu Obrazów nie jest poezyą, jednak stoi nierównie wyżej od prozy przypisków. Może dlatego, że mniej się wdawała w rozumowania i przesłiznęła się tylko po wierzech doktryny w przypiskach zawartej? Tego nie wiemy.

Ale są w tem dziele rzeczy, które wiemy, o nich więc pogadamy, zapowiadając z góry, że nie zrobimy tej krzywdy zdrowemu rozsądkowi publiczności polskiej, abyśmy się wdali w szczegółowe roztrząsanie wszystkich wyobrażeń przeciwnika.

Zwrócimy się naprzód do tego, co nam się podoba i za co powinniśmy podziękować.

I tak, dziękujemy przypisnikowi za piękny cel dzieła.

Dziękujemy za to, co mówi o miłości, o poświęceniu się, o patriotyzmie, o czci, powinnej męczennikom Polski,

o ukorzeniu się przed ich wzniosłą śmiercią, o zbawieniu przyszłych pokoleń przez powszechne poświęcenie się na wzór Chrystusa.

Dziękujemy za to, co mówi o wyprawie Zaliwskiego, o mężach tej wyprawy, o jej przeciwnikach.

Dziękujemy, że chce wszechwładztwa ludu, że wierzy w lud, jako w najwyższą po Bogu potęgę.

Dziękujemy za wszystkie ciosy, wymierzone w Mikołaja, w królów, w szlachtę, w ciemniźcicieli, w bałwochwalstwo polityczne.

Dziękujemy za dawane im nazwy, złodziejów, rozbójników i tym podobne. Sami nie śmielibyśmy ich użyć, ale radujemy się w duchu, kiedy znajdujemy wyręczycieli. Prosilibyśmy tylko dodać do tej litanii komunistów. Zaprawdę, zaprawdę, powiadamy przypisnikowi, choć ich nie mamy jeszcze za jedno ani ze złodziejami, ani z rozbójnikami, ale jesteśmy przekonani, że ich doktryna, usiłująca przerabiać dziś Polskę na swoje kopyto, zrządziłaby jej tyle złego, co złodziej, szlachcie i rozbójnik Mikołaj, posłużyłaby im przynajmniej, jako pożądany sprzymierzeniec przez zawieńczenie rozumu i budowy polskiej, wywrotem wszystkich jego pojęć narodowych, wszystkich podstaw do góry nogami.

Dziękujemy, jednym słowem, za wszystko dobre, cośmy pojęli i nie pojęli. Są to myśli nasze, bo przypisnik wziął je stamtąd, skąd i my bierzemy: z serca chrześcijańskiego. Polecilibyśmy nawet podobne miejsca naszym czytelnikom, gdybyśmy widzieli w nich cierpliwość, naszej równą; jakkolwiek bowiem są piękne w swojej istocie, są obok tego przez nieszczęśliwe umieszczenie porządnie nudne — coś nakształt lukrecyi, pomimo całej usilności, z jaką przypisnik łagodził ich smak żółcią właściwej sobie chrześcijańskiej miłości. Bądź co bądź, odsunawszy na stronę tę ogólną cechę Dziesięciu Obrazów, przyznajemy, że autor okazał w tych miejscach znajomość ewangelii, jakkolwiek przetrwionej w sercu autora właściwym jemu sposobem.

Ale zato wieleż to miejsc, gdzie i tego śladu niema, gdzie przypisnik jest już to najmniej kiedy tylko brzmia-

cym cymbałem, że, z przeproszeniem przypisnika, użyjemy tego wyrazu z jego własnego słownika.

I tak przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy uderza na własność osobistą i przypisuje takiej własności jako konieczny skutek wyosobienie się ze społeczności. Własność osobista, to jest własność, nabyta godziwym działaniem władz osobistych, jest tylko wzmocnieniem, rozszerzeniem tych władz, a wyraźniej rozszerzeniem, wzmocnieniem strony materyjalnej człowieka, czyli ciała, czyli narzędzia, które mu jest konieczne, aby spełnił swoje powołanie. Zaprzeczać człowiekowi prawa do własności osobistej, jest to zaprzeczać mu prawa do jego ciała. Utrzymywać, że własność osobista wyosabia człowieka ze społeczeństwa, wychodzi na jedno, co utrzymywać, że ciało ludzkie wyosabia go z niegoż. Odjęcie człowiekowi prawa do własności osobistej nie jest rękojmnią należytego pełnienia obowiązków społecznych. Jak właściciele osobiści poświęcają się nieraz w zupełności, tak równie mogą być i są niewłaściciele, którzy się wyłamują z pod zakonu poświęcenia i odstępują swojego społeczeństwa w potrzebie. Zgola, własność osobista nie prowadzi za sobą wyosobienia się, egoizmu.

Przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy zaprowadza dzisiaj spólną własność i popiera ją głównie przykładem pierwszych chrześcijan. Własność spólna utrzymywała się między pierwszymi chrześcijanami, kiedy chrześcijaństwo nie utworzyło jeszcze oddzielnego narodu, kiedy całe zamknięte w szczupłej liczbie rozprószonych pomiędzy narodami wyznawców tworzyło rodzaj zakonu, sektę, potrzebowało nadzwyczajnych wysiłków, nadzwyczajnego stanu do utwierdzenia swojej wiary, kiedy rozpalone jeszcze dziewiczym ogniem słowa, świeżo z niebios spuszczonego, było w możliwości zdobyć się na ten byt nadzwyczajny, kiedy całe zajęte było raczej zbawieniem, jak sprawami ziemskimi, raczej dobrem zagrobowem, jak życiem doczesnem, zgola kiedy było tem, czem są i dzisiaj jeszcze zakony, nie mające własności osobistej. Zmieniło swoje wyobrażenia, kiedy ze wzrostem swoim zmuszone było zastosować naukę Chrystusa do bytu ziemskiego.

Przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy gada o zamienieniu Polski w królestwo boże. Nie dlatego, broń Boże, abyśmy sobie nie życzyli takiego, jak Pan Bóg, króla — na tego jednego dalibyśmy nasze votum. — Ale czy podobna myśl o tem na seryo, przynajmniej dzisiaj? Nam się zdaje tak niepodobna, że mamy wstręt od zbijania tego pomysłu na seryo. Powiemy jednak słów kilka, a powiemy dlatego, że jest w tem sprawa nie z samym tylko przypisnikiem i nie o boże tylko królestwo.

Znajdą się między naszymi czytelnikami, którzy odgadną, do kogo pijemy. My nie bronimy dzisiejszego porządku rzeczy; świadkami ci, którzy na nas krzyczą, jak na złodziei, rozbójników, marzycieli itp. Wierzmy nawet w przyszłe królestwo boże, ale dzisiaj — dzisiaj dajmy tylko do zrobienia tego, co zrobić można, do rzeczypospolitej polskiej, w ścisłym pojęciu dzisiejszem tego słowa. Myślimy, że na tem właśnie zależy dzisiaj najwyższa, prawdziwa miłość ludu. I my także moglibyśmy sobie wymyślić doktrynę, sprytualniejszą od wszystkich, jakie dotąd były, bardziej społeczną (komunistowską), bardziej chrystusową, bardziej króloboską, jak doktryna przypisnika i tylu pokrewnych mu przypisników, najwyższy ideał, nie już królestwa, ale carstwa bożego — bo mamy poetów, którym dzięki Bogu nie zbywa na fantazyi, a gdyby ta poszwankowała, pożyczylibyśmy jej z pierwszego lepszego domu zdrowia i przesadzilibyśmy wszystkich dotychczasowych utopistów — nie wątpimy, że o tem nikt nie wątpi — moglibyśmy więc wymyślić taką doktrynę i zabrać się do jej zrealizowania, a wszystko na zasadzie odłamaney ostatniej pieczęci ewangelicznej, ale pytamy: jaka stąd korzyść dla ludu, gdybyśmy nie znaleźli dosyć sił do zrobienia tego, co chcemy, a przeszkadzali temu, co zrobić można? Oto mybyśmy marzyli, krzyczeli, burzyli, a biedny lud cierpiałby po dawnemu. Nie, ludowi nie chodzi o najlepsze od razu, ale tymczasem o dobre: prawdziwym zaś przyjaciółom ludu powinno chodzić nie o to, aby natychmiast urzeczywistnić pierwsze lepsze widzi-mi-się, jakie wycytujemy niby z ewangelii lub pocziwego serca, ale o to, aby wprzód przygotować miejsce dla tej myśli, usposobić do niej tak przyjaciół, jak

nieprzyjaciół. Żeby z tym światem dojść do ładu, trzeba naprzód poznać, jaki jest, potem, jaki być może w pewnym czasie, z pewnemi ludźmi, a nakoniec ocenić własną zdolność do podobnych robót.

I to, podług nas, jest praktyczność, na którą przypisnik powstaje. Tak przynajmniej sądzimy; jeżeli się mylimy, wina jego ogólników.

Z taką praktycznością pogodzić się życzymy przypisnikowi z całego serca, dla dobrej sprawy i dla jego własnej reputacji. Może ten wyraz jest zimny, nadużyty, a co pewna, nie bardzo swojski, ale nie tak i niedorzeczny, jak się zdaje, bo pomiędzy innemi i to on powiada, że nie można urządzić tego świata w takim stanie umysłu, jak żeby tylko co się wyszło z uczty w Kanie Galilejskiej,

Na tem nie koniec. Królestwo boże pod warunkami, podanemi przez przypisnika, zaprowadza niewolę, jak należy. Dowiedlibyśmy tego jasno, ale to przedłużyłoby naszą gawędkę, a możeby ściągnęło podejrzenie, żeśmy się zarazili chorobą, którą leczycy chcemy, i że w samej rzeczy uważamy za coś ważnego gawędę przypisnika.

Idziemy więc dalej i jeszcze raz słyszymy próżny brzęk cymbału. Słyszymy go w tem miejscu, gdzie przypisnik napędza do utworzenia królestwa bożego przez stan społeczności, w którym wzajemna tylko miłość ma być prawem, władzą itd. — miłość, ma się rozumieć, taka, jaką przypisnik okazuje. Wyobraźmy sobie teraz gminę, złożoną z podobnych ludzi i podobnie urządzoną: piękna mi boża gmina! Zresztą możeby to i nie było tak złe, jak się nam zdaje; może przypisnik ma siłę, dostateczną do urządzenia społeczności. Dobrzeby zrobił, gdyby dał próbę swoich zdolności, na przykład przez uzyskiwanie nasamprzód własnych wyobrażeń lepsze, niż jest w przypisach.

W powyższych pomysłach przypisnik wydaje się cymbałem brzmiącym, ale są miejsca, gdzie go już widzimy nawet bez przymiotnika. Daje on na przykład gdzieniegdzie do zrozumienia, że odłamał jedną z pieczęci pisma świętego, czyli, że pojął ewangelię. Na Boga! Niech tego nie gadał Kto go przeczyta — albo mu ubliży niewiara, albo, uwierzywszy, może powziąć o ewangelii wyobrażenie nie bardzo korzystne, ujmujące jej świętości. Jest-

że co ewangelicznego, tchnącego duchem pierwszych rozsielców chrześcijaństwa w tej gadaninie, oprócz kilku myśli, żywcem z ewangelii ni przyszytych, ni to przyłatanych, oprócz kilku wyrazów, które uwziął się wszędzie mieszać, jakby na sparodyowanie podstaw chrześcijaństwa?

Ta żółć burząca na dnie każdego pomysłu, każącego niby miłość — ten brak natchnienia, bez czego w przedmiocie tak ważnym, tak wzniosłym ani pisać, ani mówić dobrze nie można, brak, który ciągle włości pisarza po płaszczyznach myśli, tarza go jedynie w jej mętach, to wieczne wirowanie około jednej myśli, które nie rozjaśnia ich o jedną isierkę więcej, nie posuwa naprzód o krok jeden, te stopy wyrazów bez myśli, to bagno myśli bez duszy, jestże to owa prostota, godność, wzniosłość, pokora natchnionych opowiadaczy słowa miłości, słowa bożego, jest-że to ten niebieski ogień, święta po nich spuścizna? Nie przystoją-ż one raczej półmędrkowi, który obok siebie nie widzi nic równego sobie, niezdolnemu strawić umysłowego swojego pokarmu, zloszczącemu się na świat, że nie rozumie tego, czego on sam nie pojął? Między widać te czasy, kiedy celnicy, rybacy, napojeni słowem Chrystusa, rozlewali je na świat strumieniem tak jasnym, czystym, świętym, tak godnym swojego źródła; dzisiaj profesorowie nawet wyrównać im nie mogą. Dlaczegoż to? Dlatego niezawodnie, że, nie przymawiając nikomu, udajemy apostołów, nie mając ich przymiotów — prostaczków, mając rozum przewrotny — miłujących, a opętanych miłością własną — gadających o poświęceniu się, bez chęci poświęcenia się. I my, tacy ludzie, w takich czasach nie przestajemy na rzeczypospolitej polskiej: pniemy się do królestwa bożego! O, nie! Dopóki będzie, jak jest, przynajmniej w Dziesięciu Obrazach, dopóty wszystkie nasze przypisy i nieprzypisy będą, jako brzęk cymbała, dopóty będziemy wołać: biada temu, kto się z Chrystusa zgorszy!

Zresztą niema nic złego, coby na złe nie wyszło: kto gada, ten się wygada. W tym przypadku zdaje się nam być przypisnik.

Zapomnieliśmy jeszcze za to podziękować. Właśnie

ten popęd do wielomóstwa odkrył nam przyczynę, dla której przypisy nie robią wielkiego zamieszania w umysłowym świecie polskim. Tą przyczyną jest brak talentu i sensu. Bo proszę tylko wyobrazić sobie tłum liter, zapelniających kilkaset stron w wiecznym obrocie około kilku myśli, a raczej kilka myśli, depczących wiecznie po jednej ścieżce ślady tych samych liter. Wiemy, co mówimy. Wiemy o tem, że nie jest wadą dzieła, kiedy w niem panuje kilka tylko głównych myśli; nawet jedna może się rozwinać w dzieło bardzo wielkie, a jednak zajmujące, kiedy rodzi się lub zamyka logiczny szereg myśli koniecznych. Ale przypisom nie można tego zarzucić. Są to wprawdzie przypisy, każdy z nich stanowi osobną niby całość, cóż, kiedy ta osobność nie ma nic osobnego, bo każdy mówi o tem, co wszystkie, a wszystkie o tem, co każdy pojedynczo. Dlatego też każda całość jest tak dobrze nudna, jak wszystkie razem, i w tem tak są do siebie podobne, jak portret Wollowicza, na początku dzieła umieszczony, do twórcy dzieła, jeżeli pobocznym wieściom wierzyć mamy; w czem zresztą nie widzimy nic ubliżającego — przynajmniej pisarzowi.

Teraz pozostaje nam prosić szanownych rodziców Dziecięciu Obrazów, aby nam nie brali za złe, jeżeli w sposobie żartobliwym mówiliśmy o dziele, tak ważnem przez swoją objętość — jeżeli czasem wymknął nam się żart, za ostry może dla ich serc kochających. Bóg nam świadkiem, że ten uśmiech nie poczyna się w nas ani z pogardy ani z nienawiści, a tem mniej ze sceptycyzmu. Jest on nam wrodzony, jak bywają wrodzone najlepszym ludziom ponurość i dąsanie się. Nie krępujemy go, bo wiemy, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy, pomimo uśmiechu naszego, wierzą w nasze braterskie dla nich uczucia, jak oni sami kochają ludzi, choć ich łają, gdzie napadną — nakoniec i to wiemy, że mogą się pomścić, kiedy zechcą, bo w ich prawicach spoczywają gromy „Pogromek.“

PO PRZEŁOMIE MORALNO-RELIGIJNYM.

(1842—1872).

SŁOWO O POŚWIĘCENIU.¹

§. 1. DWA RODZAJE PRAWD.

Są prawdy, niekonieczne każdemu człowiekowi, obójtne jemu. Poznane, nabyte, mogą się przydać; niepoznane, nienabyte, nie przynoszą żadnej szkody; czyli inaczej to samo: są prawdy, bez których znajomości człowiek może być bardzo uczciwym, a nawet wielkim. Prawdy, na przykład, astronomiczne, są to rzeczy, bez których znajomości człowiek obejść się może, bo może być i bez nich dobrym członkiem rodziny, sumiennym obywatelem, pobożnym synem swojego kościoła, krótko mówiąc, uczciwym człowiekiem z każdego względu, jak równie może być najgorszym z każdego względu, posiadając je w wysokim stopniu. Do tego rzędu należy wszystko, co się zamyka wyłącznie w sferze handlowej, przemysłowej, rozumowej, w sferze bądź czysto fizycznej, bądź moralnej, ale odnoszącej się do pewnej tylko chwili istnienia człowieczego, do chwili ziemskiego istnienia — wszystko, co rozwija jedynie albo dobry byt materialny, albo wiedzę rzeczy doczesnych, przydatnych tylko po tej stronie grobu. Takich prawd zgłębienie, nauka, może sobie zostać, jako wyłączny udział pewnych ludzi, i przynosić nawet pewny użytek, jako mózgowe rzemiosło pewnych ludzi, ale dla ogółu nie jest konieczne bo, jak niema potrzeby, ażeby każdy człowiek umiał szewstwo wówczas, kiedy można być pewnym, że szewców nigdy nie zabraknie, i kiedy można być bardzo uczciwym, nie umiejac robić butów — tak równie niema potrzeby kierować się każdemu na filozofa, bo naprzód na filozofach nie zbędzie tak długo, jak długo będą na świecie rośliny, o których powiada nasze przysłowie, że na nie ni sieją,

¹) Rzecz ta wydana w osobnej broszurce w Poznaniu 1845 r.

ni orzą, same się mnożą — powtóre, że filozofia nie robi uczciwym człowiekiem, jak na to mamy przykłady w tyłu filozofach — po trzecie nakoniec, że się bez filozofii obejść można łatwiej, jak bez butów, to jest, można żyć jak najuczciwiej, czemu przyświadczaają i codzienny widok tyłu milionów ludu nieuczonego, a jednak uczciwego, i tyle przykładów z przeszłości ludzi świętych, a nawet prawdziwie wielkich, którzy jednak nie drogą filozofii doszli do tego. Prawdy tego rodzaju są to prawdy doczesne, poziome, podrzędne, ludzkie. Są znowu inne prawdy, bez których żadną miarą obejść się nie można dlatego, że bez nich nie można żyć uczciwie. Są one wieczne, bo każdy rodzący się przynosi je z sobą, z niemi przebywa byt ziemski i z niemi odchodzi z tego świata. Są one niezmiennie; coraz wyraźniejsze dla człowieka, w miarę jego postępu wewnętrznego ku Bogu — są jednak niezmiennie, bo są kolejną na drodze jednej myśli boskiej, która spoczywa niezmiennie na całym stworzeniu, aż do jej ostatecznego spełnienia się. Są one święte, bo objawione przez samego Boga. Są one konieczne do dobrego bytu człowieka nie tylko materialnego, ziemskiego, ale tego bytu, który jest ważniejszy, jak materialny, bo trwalszy, jak ziemski. Są one warunkami przymierza między Tworem i jego Twórcą, bez których kroku dobrego zrobić nie można, bo są światłem i drogą, przeciw którym żadne wykroczenie nie ujdzie bezkarnie, bo są razem i prawem i wykonawcą prawa. Żyjąc ich arka spoczywa w ostatnich głębiach serca ludzkiego, w samym źródle życia nie tylko ziemskiego, ale tak wiekowego, jak jest wiekowym pierwiastek wszelkiego życia; stamtąd kierują one jego siłą, bądź to życie jest w formie zmysłowej, bądź innej. Nie są one myślami martwemi, abstrakcjami, ale częściami najżywotniejszymi człowieka wewnętrznego, jego żywiołami; one tylko wcielają się w myśli, jak w czyny dają im swoje życie, ogień, lot, siłę, podnoszą je, uszlachetniają, uświęcają — one to dają życie uczciwe, szlachetne, wyższe. W życiu ziemskim ducha ludzkiego one przechodzą i do głowy, jak we wszelki inny członek, nie, żeby były narzędziem rozumu, ale, żeby nim kierowały, jak władzą wszelkiego innego członka, jak wogóle całym

ciałem. całą duszą, całą istotą człowieka — i przez to one jedynie rzeczywiście rozwijają rozum, podnoszą umysł. Czucie takich prawd jest konieczne każdemu człowiekowi, jak czucie ciepła krwi, jak czucie jej bicia w pulsach; konieczna jest ich znajomość, jak znajomość praw swego kraju, bo one są prawami ducha ludzkiego i będą niemi pory, póki ten duch nie przestanie należeć do społeczności stworzenia; konieczne jest pojmowanie ich coraz głębsze, przenikanie się niemi coraz mocniejsze, bo one, jako prawa stworzenia, są jedynym warunkiem właściwego życia i szczeblowania coraz wyższego w tem życiu.

Do takich prawd, do takich praw, liczy się poświęcenie; dlatego poczułem potrzebę pomówić o niem.

§ II. PRAWDA RELIGIJNA NIE DA SIĘ UJAĆ W FORMĘ TEORYI.

Co powiem, nie jest to żadna teoria, żaden systemat, żadna doktryna, nie jest nawet żaden ułamek ani doktryny, ani teorii, ani systemu. Jest to po prostu kilka pomysłów ze skarbu jednego ogromnego pomysłu, kilka promyków z ogniska, które wydaje miliony takich promieni, z ogniska niewyczerpanego, większego nad wszelkie objęcie.

Moja cała teoria skupia się w tem jednym: Bóg! Podobna-ż ogarnąć ją rozumem, jakąkolwiek władzą ludzką — podobna-ż zamknąć ją w książce? Ależ taka książka przedstawiałaby Boga, byłaby Bogiem na ziemi — a następnie jej Twórcą byłby przynajmniej Bogiem, jeżeli nie czemś więcej.

Gdyby teoria rzeczy porządku nadziemskiego była podobną i pożyteczną, nikt do tej pracy nie był sposobniejszy, jak Chrystus. Nie uskutecznił jej jednak, nie napisał nawet jednego słowa o Bogu. Weźmy to za ostrzeżenie, że taka praca jest niepodobna, a wszelka jej próba nie pożyteczna.

§ III. JAKA PRAWDA, TAKI JEZYK.

Mój przedmiot przez swoją istotę sięga z jednej strony sfery najwyższych zagadnień stworzenia, a z drugiej ob-

chodzi los każdego człowieka, aż do najniższego w szeregu ludzkości; nadto jest żyjący, jak wszystko, co płynie z najwyższego źródła życia. Przedstawienie jego w słowach musi być odpowiednie tym względom. Dlatego nie znajdziecie tu ani suchych formuł filozofii, ani urzędowego języka teologii, ani ozdób, jakimi się nadstawiają pisarze z rzemiosła. Tego wymagał przedmiot, tego wymaga przeznaczenie tej pracy, bo największa część czytelników, najpotrzebniejsza darów prawdy i najzdolniejsza do ich przyjęcia, nie są ani teologami, ani filozofami, ani artystami — są głównie chrześcijanami. Do chrześcijan trzeba mówić językiem najpiękniejszym dla nich, językiem chrześcijańskim. Co większa, tym językiem trzeba mówić do niechrześcijan nawet, o rzeczach z ducha chrześcijańskiego. Język, jak duch chrześcijański, ma to do siebie, że on jeden najłatwiej trafi do wszystkiego, co ma jakiegokolwiek uczucie religijne. Mówiąc przeto w tym duchu i tym językiem, mówi się do wszystkich ludzi religijnych — i tym sposobem prędzej, niż jakimkolwiek innym, ułatwia się im poczęcie i przyjęcie prawd Chrystusowych. Świadczą o tem dzieje pierwszego wzrostu chrześcijaństwa i społeczne. Misyjonarze, którzy nawracają niechrześcijan, czy przychodzą do tego filozofowaniem, językiem szkolnym? — Nie. Tworzą chrześcijan językiem ducha chrześcijańskiego. Nic łatwiejszego, jak dowieść, że inny język, n. p. jakiej szkoły filozoficznej, użyty do oddania prawdy religijnej, zaciemnia ją, zaciemnia: stąd to lud nasz ma u siebie wyrażenie: „język niechrześcijański“ na wszelki język, którego nie rozumie.

Że mogą być ludzie, którym się taki język nie podoba, których będzie raził, o tem nie wątpię, ale to jest wyjątek, na który sumienny pisarz chrześcijańskiego, jak nasz, narodu mieć względu nie powinien. Jemu idzie przede wszystkim o ogół, o część większą, o część, która ma wszelkie prawo do jego pracy, do jego usług; powinien on być sługą ducha rodzimego, nie pochlebcą jego przeciwników, jego odstępców.

Trzeba to mocno poczuć. Ażebym to poczuć, trzeba głęboko wejść w siebie. Kto tego dobrze dopełni, ten się przekonają, że, jak Bóg obejmuje sobą świat cały i jest na każ-

dem miejscu, tak wszystkie nasze zagadnienia moralne, polityczne, naukowe, zgola wszystkie, poczynawszy od najpowszedniejszych do najogólniejszych, leżą w sferze religijnej — że niema żadnego, któreby się nie zahaczało bezpośrednio lub pośrednio o ideę religijną — jasno on zobaczy, że żadnem usiłowaniem nie wyjdzie z tej sfery na włoskę, że samo usiłowanie, najłżejsze, nie ujdzie bezkarnie, spowoduje błąd i cierpienie. Biada temu, kto tego nie poczuje. W sercu jego jest już próżnia po Bogu, nie Bogiem zapełniona, a on sam jest już daleko na drodze, na której wszelka praca idzie jedynie na szkodę swego narodu, a jeszcze na większą szkodę własną.

§ IV. PRZYPOMIANKA DLA PISARZY.

Czując takie wymagalności mojej pracy, starałem się przede wszystkim, dla uczynienia im zadość, stracić siebie z myśli, zapomnieć o sobie, a wszystko w to włożyć, aby zostać pojętym przez jak największą liczbę, zostać jak największej liczbie pożytecznym. Zaparłem się w sobie pisarza, bo my, pisarze — (niech mi będzie przebaczone to małe zboczenie, które jest na swoim miejscu) — otóż my, pisarze, mamy zły zwyczaj, pisać niby dla drugih, nie myśleć o tych, dla których piszemy, ale o sobie: nie tyle troszczymy się, żeby nas pojęto i korzystano z nas, jak raczej, żeby dziwiono się naszej nauce, naszej biegłości w pisaniu, naszemu talentowi. Jesteśmy cokolwiek podobni do wiejskiego awanturnika, który, rzucony losem w świat daleki, wiele widział, wiele słyszał, przeżył dziwne przygody, a nawet zubożał się. Po pewnym czasie wraca do swojej wioski. Wieś cała, znajomi i nieznajomi przybiegają z ciekawością, cisną się do niego, otaczają go: on zasiada między nimi z grzecznością i dumą pana, ustrojony jak na bal miejski — i opowiada im o dziwnych krajach, które przeżył, o wielkich miastach, w których mieszkał, opisuje im obyczaje obce, niepojęte dla nich, nic nie zamilczy, co widział, doświadczał, przyda nawet, czego nie widział i nie doświadczył, powie czasem, co powinni wiedzieć, ale najczęściej, coby korzystniej było dla nich nie wiedzieć, bo nie myśli o tem,

żeby ubogi jego ziomek odniósł jakiś pożytek z jego doświadczenia, lecz jedynie, aby się nad nim zadziwił. Jednym podobalo się, co mówił, choć nawet nie rozumieli, drudzy, zrażeni, odeszli w pół opowiadania, roztropniejsi szeptali, że kłamca i samochwał, wszyscy czuli, że sobą tylko zajęty, w niejednym też młodem sercu odezwała się chętka do dziwnego, a nieporządnego życia, a nikt nie skorzystał z opowiadania, bo ani rzecz, ani język, przywożne z obcego świata, nie przylegały do wioski biednej, ustronnej. Byłby on jednak na swoim miejscu, gdyby, bogaty doświadczeniem, zapomniał całkiem o sobie dla wioski, do której powrócił, stanął pomiędzy wieśniakami w ich stroju i, zamiast popisywać się wymową przed zgromadzeniem, udzielał w rozmowach poufalitych, co komu potrzebne: rolnikowi zrobił dar z przywożnej rośliny, mogącej być przyswojoną, rzemieślnikowi odkrył ulepszenie zagraniczne w jego rzemiośle, z młodego serca wyrwał złą skłonność szczerem przedstawieniem złych skutków, jakie się z niej rodzą, a co on widział gdzieindziej na żywe, własne oczy — jednym słowem, żeby zechciał nie błyszczeć w swojej wiosce, ale być jej pożytecznym.

Co do mnie, miałem się ciągle na baczności, aby nie wpaść nigdy na drogę podobnego awanturnika. Nie wiem, czy mi się to udało. Nałogi pisarskie, trudne do pozbycia, jak wszelkie inne, wracają mimo chęci i wiedzy. Kto długi czas przepędził w więzieniu, niełatwo przyjść mu do tego, aby jego życie nie traciło czasem życiem więzienia. W jednym punkcie odbiegłem wyraźniej od ogółu pisarzy; mam na to świadectwo w moim sumieniu i ten punkt muszę wykazać, bo może z tego niejeden skorzystać.

Jeżeli, popierając się powagą, wyższą od mojej, przytaczam gdzie słowa święte, lub stawiam przykłady święte, robię to nie dlatego tylko, że one trafiają do mojego rozumu. Nie wszystko święte, co trafia do ładu rozumu, bo, jeżeli rozum sfalszowany, to fałsz trafia do niego, jak prawda. Otóż dla mnie, cokolwiek ma powagę prawdy, to ją ma dlatego, że w tem przeżyłem, przeobrałem, a w końcu znalazłem szczęście. Tak jest — przeżyłem już w tych prawdach; przez boleść i radość poczułem, że są

żywotnymi częściami człowieka, przez przymierzenie do ducha chrześcijańskiego, który jest nieomylny, bo Chrystusowy, poznałem, że są prawdami nieomylnymi. Dlatego śmiem je innym podawać.

§ V. DZISIEJSZA KOLEJ POŚWIĘCENIA.

Mówiono zawsze wiele o poświęceniu; my dzisiaj mówimy o niem więcej może, niż kiedykolwiek, a zawsze z narzekaniem na brak jego. To pokazuje, że poświęcenie jest rzeczą ważną a razem rzadką, że ludzkość ma instynkt prawdy, leżący w jej duchu, a nie ma siły urzeczywistnić jej, objawić na zewnątrz. Można powiedzieć, że wyraz „poświęcenie“ strząsał się już, jak bicz długiem a próżnem trzaskaniem, a rzecz sama zesłała do rzędu papierowych pieniędzy, które się pokazują, kiedy następuje brak brzęczącej monety, lecz jej nigdy nie zastąpią, a o ile się mnożą, o tyle są skazówką zwiększającego się ubóstwa krajowego. W takich czasach pozorna obfitość pieniędzy większa, niż kiedykolwiek, bo o papier łatwiej, jak o drogi kruszec, ale ta obfitość jest pozorna; z tego zła rodzi się drugie: występują lichwiarze, skąpce, spekulanci a nawet fałszerze, i kiedy ludzie dobrej wiary wydają ostatni pieniądz kruszcowy, inni czyhają na to, łapią rzeczywistą wartość, kryją, a natomiast puszczają w bieg dowolną, pozorną fałszywą. Społeczność przychodzi z czasem do tego stanu, że musi już i to przyjmować z obawy, ażeby nie wyginęła z nędzy. Chwilowy to ratunek, ale dobrze jeden dzień więcej jakiegobądź życia, a tymczasem może się odkryje nowa kopalnia, nowa droga handlu, nowa gałąź przemysłu, nowe źródło bogactwa narodowego, i powiększy masę wartości rzeczywistej, a tym sposobem dozwoli zniszczyć pozorną, fałszywą, i wybawi społeczność.

Kolej poświęcenia w naszych czasach bardzo podobna. Są ludzie dobrej wiary, którzy wydobywają z pod serca czyste złoto, prawdziwy pieniądz i nie przestają nim zasilać krążenia ogólnego skarbu; ale obok nich jest także banda spekulantów, lichwiarzy, fałszerzy, samolubów, którzy w swój interes, jak w bezden skąpca, ciskają drogi kruszec, a natomiast zarzucają, oszukują społec-

czeństwo pieniądzem, nie mającym żadnej wewnętrznej wartości, i przyprawiają przez to o wielkie szkody dobroduszną uczciwość ogółu.

Ten stan jest tem smutniejszy, grozi przesileniem tem boleśniejszym, że stracono prawie pojęcie poświęcenia wówczas, kiedy to pojęcie podniosło się na wyższy stopień, kiedy poświęcenie jest trudniejsze; gdyż dotychczasowe było tylko przygotowaniem do takiego, do jakiego Bóg dzisiaj ludzkość powołuje, z powodu postępu, z prawa rozwijania się życia boskiego w stworzeniu, a następnie we wszystkich jego szczegółach.

§ VI. SŁOWO NAWIASOWE O POŚWIĘCENIU FAŁSZYWE.

W tem, co dopiero powiedziałem, odznaczyła się już wyraźnie jedna z głównych stron mojego przedmiotu, to jest poświęcenie fałszywe. Że jest poświęcenie fałszywe, albo inaczej, że fałsz podszywa się pod poświęcenie, wątpię, aby temu kto zaprzeczył; ale że jest powszechniejsze, zřęczniejsze w ukryciu się, szkodliwsze i niebezpieczniejsze, niżby to się zdawać mogło, to zobaczyć nie każdemu łatwo przez samego siebie. Jest więc konieczną rzeczą dotknąć cokolwiek mocniej przedmiotu poświęcenia z tej strony i w miarę podnoszenia zasłon, kryjących świętość prawdy przed ziemskim okiem, wytrząsać z jej fałdów kłamstwa, które w tem przystrojeniu oszukują człowieka i szkodzą sprawie prawdy. Dlatego, mówiąc o poświęceniu, nie pomnę poświęceń fałszywych i nawet obszernie o nich pomówię.

Użyłem wyrażenia: poświęcenie fałszywe — ostrzegam jednak, jak sam czuję najmocniej, że poświęcenie fałszywe nie może właściwie zwać się poświęceniem. Samo słowo „poświęcenie“ oznacza czyn, oświecający człowieka, czyli ofiarę dla celu dobrego, wyższego, świętego; takiego skutku nie może wydać ofiara na korzyść zła i kłamstwa, nie może człowieka uświęcać. Jeżeli użyłem lub używać będę wyrażenia „poświęcenie fałszywe“, to jedynie dla wyraźniejszego odcieniowania poświęcenia

właściwego, i w przekonaniu, że to nikogo nie wprowadzi w mylne wyobrażenie o poświęceniu.

§ VII. POŚWIĘCENIE NIE JEST ABSTRAKCJĄ.

Ale owo poświęcenie prawdziwe jest — że jednakowe i właściwie przez wszystkich pojmowane w swojej najwyższości, to jest, w całej swojej prostocie i prawdzie? Wątpię. Tymczasem na tem porozumieniu się u szczytu zależy porozumienie się w zdaniach podrzędniejszych; trzeba przyjąć te same pewniki, aby te same zagadnienia podobnie rozwiązać.

Przedewszystkiem powinienem powiedzieć, że poświęcenia nie uważam za abstrakcją i dlatego nie uważam go za taką. Abstrakcja jest dla mnie idea martwa, liczman w świecie umysłowym, liche bawidełko w sferze życia. Może być przydatna do kuglarskiej gimnastyki władz mózgowych, może w różnych swoich kombinacjach zabawić, jak partya szachów, może nawet rozwinać się w ogromne systema filozoficzne, które w całej dziedzinie filozofii rewolucyą zrobi — ale nie rozwija rzeczywistego życia stworzenia, nie obowiązuje nikogo, nie ciąży na sumieniu choćby tego móla, który ją zniszczy, jako kawałek papieru: sam nawet twórca abstrakcyi nie troszczy się o jej realizacyą we własnym swoim życiu, nie stosuje się bynajmniej do niej — i dobrze robi, bo nie jest przez to ani nieszczęśliwszy, ani gorszy.

Abstrakcja poczyną się w głowie, nie w sercu, rodzi się z głowy, nie z serca, jest formą pewnej myśli, niema jej ducha, jest trupem. Można z abstrakcyi wyprowadzić szereg abstrakcyi, utworzyć systema doktrynerskie w historii, w polityce, w moralności, nawet w religii — nie można z abstrakcyi wyprowadzić szeregu czynów, drogi prawdziwego życia: niech kto potrafi zniżyć bańki mydlane i zrobić z nich naszyjnik, jak ze sznurka perel. Szczytem potęgi abstrakcyi jest utworzenie książki, albo co jeszcze mniej, człowieka dysputującego, bo ten zwykle trwa krócej, niż książka, jest śladem abstrakcyi nietrwałym, jak książka. Biblioteki są smentarzami abstrakcyi, książki nagrobkami, jedynymi pomnikami pewnej trwa-

łości, na jakie abstrakcyja zdobyć się może — a na każdym z nich dosyć położyć napis, jakiby położono poronionemu dziecku: „Umarło, jak urodziło się — nie żyjąc!“... Abstrakcyja jednak nie powinna się lekceważyć. Nie jest niczem, powiększa ona masę Złego, wysysa Sumienia ludzi i narodów, jak upiór, cięży na ich życie, jak trup, psuje ich zdrowie, jak zgnilizna grobów. Najwyższe, najświętsze, najżywotniejsze idee można zamienić w abstrakcyje, przyjmując je bez miłości czynnej, zatrzymując w dziedzinie zimnego rozumowania lub wyuzdanego marzenia, szafując niemi bez tej energii, która strzela z człowieka najwewnętrzniejszą siłą, która tchnieniem ust jego działa, jak mieczem, i ciska wokoło siebie czyny nawet w słowach. Wtedy w miejscu tych idei występują na plac życia czynnego idee poziome, drobne, karłowate, martwe; głuchną grzmoty wiekowego boju na polu stworzenia, następuje trzask fajerwerków; kończą się ogromne czyny, wypadki, a zaczyna się krzątanie drobnych, osobistych interesów; gasną światła wielkich cnót, a noc gęstniejąca rozplądza wielkie zbrodnie; narody rozwiązują się, a około myśli zniszczenia tworzą się hordy pustoszące — historie zamieniają się w opowiadania, które bez klucza wielkiej Myśli żywotnej, wielkiego Ducha Epoki, wiążącego czyny w jedno ciało, tłumaczącego wzajemne ich do siebie powinowactwo, są tylko przedstawieniem martwej ich formy, podaniem potworów hieroglificznych za rzeczywistość, albo chemicznymi rozbiorami wielkich wydarzeń, wielkich ludzi, składającymi w przyszłość, jak w gabinet anatomiczny, szczątki trupów. Wtedy to w sferze polityki mnożą się partye polityczne, i rozgrabiają pomiędzy siebie żywotną Myśl ludu; w dziedzinie umysłowej szkoły filozoficzne, w religii dysputy — a człowiek narodu zostaje niczem więcej, tylko teologiem, filozofem, artystą, arystokratą, demokratą, kupcem, bankierem, samolubem; do siebie odnosi całą narodowość, w siebie wsysa życie narodowości, i naród rozbija się w tysiąc narodków, nie większych, nie silniejszych, nie bardziej żywych, jak jeden człowiek — człowiek bez Boga. W takim porządku rzeczy prawdy wyższe, jeżeli są znane, to tylko z imienia, a rzeczywistość nie są niczem

innem, tylko pokrywą najprzeciwniejszych im fałszów i narzędziem zbrodni.

§ VIII. POŚWIĘCENIE JEST, RZECZYWISTOŚCIĄ ŻYCIEM, PRAWEM BOGA.

Takim pozorem i narzędziem świętokradzkim może zostać i poświęcenie, skoro wchodzi w sferę abstrakcyi i zaczyna się brać głową. Ja nie tak je wziąłem; nie głową, nie jako abstrakcyę. Uczylem się go życiem, wziąłem pierwiastkiem mojego życia, jak wszystko boskie brać się powinno, i temu tylko winienem, jeżeli przyszedłem do jakiegokolwiek czucia i pojęcia w tym względzie. Dopiero, kiedy dotknąłem się go w życiu i osobie Chrystusa, kiedy uderzyłem czołem z milionami bliźnich, kiedy w proch padłem przed Jego ubóstwieniem w Chrystusie — dopiero wtedy poczułem je i pojąłem, o ile człowiek czuć i pojmywać winien. Daj Boże każdemu taką chwilę! Tajemnica jej są święte, nie godzi się ich kalać piórem piarskiem. Podzielę się ze wszystkimi tem, czem wolno podzielić się, co może być, co powinno być przez wszystkich przyjęte i strawione.

Wtedy to poczułem, że poświęcenie nie jest abstrakcyą, jak Bóg nie jest abstrakcyą, i nie zna abstrakcyi. Bóg, źródło wszelkiej rzeczywistości, jest najwyższą rzeczywistością; źródło wszelkiej siły — działa w tej chwili, kiedy myśli; nie myśli, tylko czynami; źródło życia, nie wydaje z siebie, tylko życie; każde więc prawo, płynące z niego, jest, jak on sam, rzeczywiste, żyjące, czynne, a zatem i prawo poświęcenia ma te wszystkie cechy.

Wskrzeszany promieniem tej prawdy, pod wpływem jego ciepła, poczułem naprzód własne życie; pod jego blaskiem ujrzałem naprzód własne życie; wtedy jasno zobaczyłem, że tylko droga poświęcenia jest dla człowieka droga prawdziwa, żyjąca, boska; wtedy i przeszłość przestała mi być ciemną — i przyszłość przestawała mię niepokoić: wiem odtąd, że ta mgła, co leży przede mną, to słabość mojego wzroku, ale nie mgła drogi, mój cel ostateczny zawsze mi widny.

Pewny mojej drogi, ośmieliłem się rzucić w jej kierunku

spojrzenie na całą ludzkość, a co tam widziałem, potwierdziło prawdę mojej sfery indywidualnej. Ujrzałem tam na skalę olbrzymią prawo poświęcenia, idące przez dzieje narodów, dotknąłem wszędzie jego życia, jego działania; wtedy to dopiero i pomyślności i klęski narodów potwierdziły dla mnie wszechobecność miłości i sprawiedliwości Boga — wtedy dopiero dzieje narodów stanęły mi w świetle nowem, prawdziwszem.

Rozszerzając ten wzrok dokoła, przekonałem się, że poświęcenie, przez boskość swojej istoty, jest prawem, obejmującym całe stworzenie, że nic z pod tego prawa wyłamać się nie może. Wolno próbować wyłamania się, ale to usiłowanie jest daremne; jak w społeczeństwie dobre urządzone, pod władzą mądrą i silną, wolno próbować buntu przeciw prawu narodowemu, wolno nawet zbuntować się, ale nie bezkarnie, bo albo prawo schwyci buntownika i ukarze go, albo buntownik, unikając surowości prawa, zmuszony będzie opuścić swój kraj, zostać wygnańcem, tułaczem, cierpieć pod obcem prawem za bunt przeciwko swojemu. Lecz, jeżeli w porządku ziemskim można poza swoją społecznością znaleźć inną społeczność, można uciec z pod mocy swojego prawa, opuściwszy miejsce, na którym się ta moc ogranicza — jak uciec z pod prawa, które cały świat ogarnia, gdzie znaleźć świat poza światem Boga?

Potęga tak straszliwa może przerazić; nie powinna jednak, bo na dnie wszystkich potęg boskich znajduje się miłość. Jest ona dotykana i w prawie poświęcenia. Nie pojmie poświęcenia, kto tego najmocniej nie poczuje. I ta moja praca byłaby daremną, gdyby nie miała przed sobą tego głównie celu. Mam nadzieję, że odpowiem jemu. Dlatego wolno mi głębiej wejść w istotę poświęcenia. Nie dano ludziom przebiec ten promień w całej jego długości, jak przebiega całe stworzenie i spaja oba swoje końce w Bogu; wystarczy nam jednak i ta jego część, która jest widoczniejszą w sferze naszej, w sferze człowieka. Zginęlibyśmy z ludzkiemi tylko siłami w przepaściach, które dokoła tę sferę otaczają.

§ IX. OKREŚLENIE POŚWIECENIA BARDZIEJ SZCZEGÓŁOWE.

Co najwięcej może nam utrudniać pojęcie poświęcenia, przyznanie jemu konieczności, boskości, to wstręt ku niemu. Ten wstręt zdaje się być naturalny, jako wstręt ku wszelkiemu cierpieniu, ku wszelkiej boleści, bo w rzeczy samej wyobrażenie boleści nieodstępnie towarzyszy wyobrażeniu poświęcenia. Temu zaprzeczyć nie można, ale łatwo przekonać się, że na człowieku samym ciąży cała wina, jeżeli cierpi i lęka się cierpienia. Wszystko, co powiem, potwierdzi to założenie.

Z porządku rzeczy nasuwa się samo z siebie zapytanie, skąd powstało prawo poświęcenia? Stamtąd, skąd idą wszelkie prawa: zaczęło się ze złości. Bo cóż jest poświęcenie w najogólniejszym pojęciu? Walka ze złem, z fałszem, na korzyść prawdy. Gdyby nie było zła, nie byłoby walki z niem, nie byłoby konieczności poświęcenia. — Poświęcenie jest dobijanie się prawdy przez boleść, bośmy zadali boleść prawdzie, odstupując jej. — Prawo poświęcenia jest prawem boleści, ale zasłużonej, ale boleści, prowadzącej nas do rozkoszy.

Zobaczmy to jaśniej w bliższym rozpatrzeniu się.

Poświęcenie jest niejako stanem ducha, którego skutkami są ofiary. — Nie zgrzeszymy jednak nawet przeciw całości, używając obojętnie jednego lub drugiego nazwania. — Poświęcenie, ofiara, jest nic innego, tylko czyn wewnętrzny i zewnętrzny człowieka dla osiągnięcia wyższego stanowiska na drodze prawdy, przy całkowitem zapomnieniu siebie, to jest, przy wyrzeczeniu się stanowiska niższego, z jego wszystkimi korzyściami, ponętami, rozkoszami, aby otrzymać to wszystko w stopniu wyższym na stanowisku wyższym; innemi słowy, jest to zamienianie życia niższego, bardziej zwierzęcego, na wyższe, mniej zwierzęce, duchowniejsze, bliższe życia boskiego. Ofiara więc czyli poświęcenie podnosi całego człowieka w jego stronie materialnej i duchowej, jego całe życie moralne i fizyczne, oczyszcza ciało, uszlachetnia wszystkie uczucia, rozjaśnia wiedzę bliższym widokiem prawdy, robi zdolniejszym do czynów wyższych, daje większą siłę czyli

większą władzę nad wszystkim, co niższe. — Inie napróżno ją daje. Albowiem wijmy się, jak chcemy, a musimy poczuć prędzej czy później, że ostateczne zadanie człowieka jest, mówiąc językiem religijnym, zbawić swoją duszę i dusze innych. Wszelkie sprawy życia bądź prywatnego, bądź publicznego są podrzędne, poddane tej sprawie głównej, i o tyle tylko są dobre, o ile są w harmonii ze sprawą główną. Nie pojmowałby poświęcenia, ktoby je ograniczał na wyłącznem podnoszeniu siebie samego. Jak z jednej strony źródłem jego jest miłość ku wyższemu, tak z drugiej powinno mu towarzyszyć pragnienie wyższego szczęścia dla wszystkiego, co niższe, czysta miłość ku niższemu. Nakazuje to człowiekowi prawo wywyższania się. Obarczony ziemią, nie miałby siły podnieść się na włos nad stanowisko, raz zajęte, bez pomocy wyższego szeregu stworzeń, bez ich miłości dla siebie, jak niżsi od niego bez jego pomocy podnieść się nie mogą. Co im daje, wypłaca się z tego tylko, co wziął od innych. Odrzucanie tego obowiązku odejmuje całą świętość z poświęcenia, zamienia je w pragnienie osobistego dobra, pozbawia wyższej siły, wyższej pomocy, jest wykroczeniem, wzmocnieniem zła.

Poświęcenie przeto jest koniecznym warunkiem rzeczywistego życia. Powinno być ponętne, bo daje wyższość za niższość; straty tutaj są pozorne, jak odważenie w handlu mniejszej sumy dla zyskania większej, jak w rolnictwie rzucanie w ziemię ziarna, aby po pewnym czasie mieć z niego kilkadziesiąt. Jest ono nieuchronne, jako ofiara z przeszłości dla przyszłości, z tego, co umiera, dla tego, co żyje. Któżby miał chwilę obecną, gdyby nie chciał puścić się przeszłej? Ktoby mógł żyć, gdyby dla uczucia nowego oddechu nie chciał wypuścić tego, co ma w piersiach? Pod tym względem jest ono prawem oddychania, ale w świecie moralnym, i z tą różnicą, że mu towarzyszy wolność, jak w świecie materialnym przymus. Wiąże się ono z prawem powszechnego braterstwa, przez prawo miłości do wyższego i obowiązki miłości niższego. Jest na koniec jedynym warunkiem postępu, jedyną drogą postępu, bo przez nie człowiek zbliża się do Boga, przetwarza się na Jego podobieństwo według

ideału Boga-człowieka, ideału dotykającego, bo przed ośmnastą wiekami świat go widział wśród siebie i za taki uznał.

Człowiek, co tak poczuł poświęcenie i uznał je za swoje prawo, nie ma odtąd przed sobą, jak jedną drogę, w której spajają się harmonijnie dwie jego natury: materialna i duchowa, jak w jego ideale zlewało się bóstwo z człowieczeństwem. Światło, co goprowadzi, jest mu widome, jak człowiek, a niemyślne, jak prawda boska. Czystość, miłość, braterstwo powszechne, wolność prawdziwa, towarzyszą mu, jak chór święty. Stopnie ofiar czystych prowadzą go coraz wyżej, wśród nagród w rozkoszach coraz słabszych i coraz krótszych. Sama śmierć dla takiego człowieka jest tylko śmiercią jego ciała, a najwyższą ziemską nagrodą, bo przez tę śmierć opadają więzy formy, która krępowała jego wolę ziemią, przykuwała jego czynność do sfer niższych — a otwierają się bramy świata wyższego, prac szlachetniejszych, wolności większej.

§ X. POŚWIĘCENIE FAŁSZYWE.

Ale człowiek jest wolny; może on przez nadużycie swojej wolności powstać przeciw prawu stworzenia, zejść z drogi porządku, odrzucić uczucie powszechnego braterstwa, wzgardzić wyższemu i niższemu, siebie nad wszystko podnieść, całą swoją miłość ku sobie samemu zwrócić, w sobie samym widzieć jedyne źródło wszelkiej prawdy, wszelkiej siły, siebie tylko, swoją własną wolę uważać za jedyne prawo swojego bytu. Wtedy zaczyna się dla niego szereg ofiar innego rodzaju: idzie pod prawo poświęcenia fałszywego, a zamiast drogi jednej wchodzi na niezliczone manowce obłądu.

Poświęcenia fałszywe są, na nieszczęście, tak dziś powszednie, że w rzeczy o poświęceniu mogą służyć, jak w matematyce znaki wiadome, dla dojścia niewiadomych; dlatego muszą im dać tutaj obszerne miejsce.

Łatwo przewidzieć, że nie zamierzam sobie przedstawić fałszywego poświęcenia w jego wszystkich postaciach, bo łatwo pojąć, że praca podobna jest nad siły ludzkie:

poświęceń fałszywych jest tyle, ile dróg bezprawia. Przystępuję na kilku rysach ogólniejszych.

§. XI. OGÓLNY WIDOK POŚWIĘCENIA FAŁSZY- WEGO.

Poświęcenie fałszywe zaczyna się, jak tylko człowiek porzuca drogę, wytkniętą mu ściśle przez Słowo Boga, a wchodzi na niewłaściwą, niższą. — Poświęcenie fałszywe, jakikolwiek ubarwia je pozór wolności, jest pod prawem niewoli, bo pod prawem niższego stworzenia: jest cierpieniem pokutnym, coraz większym, bo, rozszerzając i umacniając Zło własnem przyłożeniem się, coraz mniej siły zostawia człowiekowi do wydobycia się z pod jego ciężaru. Tak w porządku społeczeńskim człowiek pragnień nieporządných, wykroczywszy złym postępkiem przeciw prawu krajowemu, traci wolność obywatelską, a idzie pod prawo więzienia i przychodzi pod coraz surowsze, w miarę, jak postępuje droga złości, aż w końcu zamykają go, jako zbrodniarza, w więzieniu dożywotniem albo i śmiercią karzą. Stan poświęcenia fałszywego jest podobnie stanem niewoli; cierpienia tego stanu, bez żądzy wyjścia z niego przez ofiarę czystą, są cierpieniami niepoprawnego zbrodniarza, a droga jego doprowadza do śmierci straszniejszej, jak widoma naszym oczom, do grobu, którego robaki nie umierają.

Można przyjąć za pewnik, że wszelkie poświęcenia fałszywe, czy to obnażone całkiem, jak zbrodniarzy lub bezbożników, czy osłonięte świętymi pozorami prawd najwyżej nieziemskich, są skutkami jednej przyczyny — a tą przyczyną jest rozbrat z Bogiem i ubóstwienie siebie. Jedno i drugie jest dziś powszechniejsze, niż się zdaje: jedno i drugie wrzuca taką ślepotę, taką nieczułość w duszę, że prawie niepodobna domyślić się swojego złego stanu. Co większa, może tu być taki pozór zdrowia, że nawet patrzących zewnątrz omyla. Jest to skutkiem powszechności choroby. Ma ona jednak swoje symptomata nieomyślne. Nie od rzeczy wymienić niektóre. Skoro spotkasz człowieka ze wzrokiem tak krótkim, że nie widzi poza grobem, tak tępym, że się na świecie

materyalnym zatrzymuje — skoro jego rozum zimny rozkłada się po ziemi, a w świecie niematerialnym tworzy sobie miary abstrakcyi — skoro czujesz w nim miłość przedewszystkiem samego siebie, trwogę o dobro doczesne, jako jedyne, cały ruch życia skierowany ku ziemi, wszystkie skłonności, pragnienia zamknięte w sferze ziemskiej — skoro widzisz, że najwyższe prawdy obcina do miary powszedniego życia, stosuje tylko do użytku ziemskiego, że najświętsze uczucia obraca na lechtanie zmysłów, nerwów i serca, że siłę niezwykłą daje mu tylko szal krwi, wzburzenie żółci lub tym podobny bodziec zwierzęcej strony człowieka — bądź pewny, że ten człowiek jest już w chorobie fałszywego poświęcenia.

Wszakże ten stan chorowity nie uwalnia od ofiar, które w końcu stają się boleśnieszce, niż być może jakakolwiek ofiara dla prawdy. Żeby to jaśniej zobaczyć, weźmy następny przykład. Człowiek zdrowy i chory zarówno oddychać musi, ale z jak różnym skutkiem! Człowiek zdrowy, rosnący w życie, to jest, dążący do pełności siły, do wieku dojrzałego, nabywa z każdym oddechem coraz więcej sił żywotnych i nic nie traci na wydychaniu powietrza. Przeciwnie człowiek słaby, czy to słabością przypadkową, słabością wieku, która go już prowadzi ku grobowi, drogą grobu, z każdym oddechem wyrzuci część życia, której oddech następny nie wynagradza — i, kiedy człowiek zdrowy żyje bez wysilenia, oddycha lekko, człowiek gasnący darmo się wysila, darmo cierpi coraz więcej; życie jego ustaje coraz widoczniej, i w końcu ginie pod największą boleścią, jaka ciało dotknąć może, bo pod boleścią śmierci. Przystosujmy to porównanie do porządku wyższego. Jakikolwiek ze strony ciała gasnącego są ofiary dla życia w celu utrzymania się przy niem, życie odrzuca je, to jest, opuszcza ciało, ponieważ nieczystość śmierci już padła na nie. Podobnie odrzucane są od Boga, który jest życiem wszelkiego życia, ofiary porządku wyższego, skoro człowiek zeszedł z drogi zdrowia i siły, z drogi Jego Prawdy; odrzucane są dopóty, dopóki leży na nich najmniejsza nieczystość fałszu, który jest drogą do śmierci duchowej. Wszakże w tem przystosowaniu wybija się jedna różnica, której nie mogą w milczeniu pominąć. W po-

rzędu materyalnym cierpienia, przez które człowiek gasnący przechodzi, zwłaszcza, kiedy jego słabość i śmierć są już skutkiem domierzonego wieku, nie tylko, że mogą się uważać, jako proste spełnienie koniecznego prawa jego bytu ziemskiego, jego formy ziemskiej, nie tylko, że mogą nie być karą, ale nawet nagrodą, stopniem do wyższych nagród, przejściem do bytu wolnego od podobnych cierpień — przeciwnie w porządku duchowym, w porządku wyższej wolności, ofiary nieczyste, cierpienia nieczyste, nie tylko, że są odrzucane, ale prowadzą za sobą kary czyli cierpienia jeszcze dotkliwsze, ponieważ są Złem dobrowolnem, rozmyślnem, ponieważ niema prawa boskiego, które-by zmuszało człowieka żyć w fałszu, jak jest prawo, podług którego ciało ludzkie musi się rozwiązać po pewnym czasie.

§ XII. OBRAZ POŚWIĘCEŃ FAŁSZYWYCH W KILKU PRZYKŁADACH.

Przypatrmy się bliżej temu, co dotąd ogólnie powiedziałem w kilku przynajmniej szczegółowych rysach. Może te rysy, drobniejsze a dotykalsze, dadzą żywiej poczuć, jaśniej pojąć, coby wszystkie serca i rozumy przeniknąć powinno. Bo, powtarzam, napróżno usiłowaliśmy wymknąć się prawu poświęcenia; jest ono wszechobecne, jak Bóg. Gdziekolwiek pójdziemy, wymykając się właściwej nam sferze, znajdziemy je tem cięższe, tem boleśniesz, im ta sfera jest dla nas niewłaściwsza, to jest, niższa od naszej; znajdziemy i ofiary tem cięższe i wydobycie się z nich tem trudniejsze. A co wtedy pogorsza położenie nasze, to właśnie wielkość boleści, przez którą sądzymy nabywać jakichś praw do wyższych nagród, a których nie otrzymamy, i pozory ofiar, tak mylące swoją świętością, że często największe boleści nie są w stanie przyprowadzić nas do poznania się na nich. Patrzmy, sądźmy sami i korzystajmy!

1. Człowiek partyi politycznej.

Poświęca-ż się, na przykład, człowiek pewnej partyi politycznej, pewnej idei, pewnej doktryny politycznej, pod-

rzędnej, ciasnej, martwej, ale przez to samo dogadza-jącej chęciom krótkim, potrzebom zwierzęcym, ruchom poziomym, a dumie tem wyuzdańszej, im bardziej w dół idzie jej kierunek? Poświęca-ż się taki człowiek, kiedy pod chorągwią podobnej doktryny, zaprzysięgłszy na śmierć wojnę Prawdzie wyższej, że mu nie pochlebia, że nie wchodzi w przymierze z jego dumą, że go wreszcie chce wyrwać z błota, w którym się zagnieździł, odważa wszystko w tej walce, aby tylko obronić swoje legowisko i siebie w niem? Niedołężny sam przez się, obarcza się całem stronnictwem, wydobywa z ostatniej głębi swoich wnętrności, co tylko fałsz, дума, poziomość mają nieczystego, powiększa tem wszystkim masę brudów spólnych, otacza się ich trującą atmosferą, robi najcięższe ofiary z godności swojej, z wolności, zostaje pochlebą swoich spólników, kłamcą urzędowym, niewolnikiem swojego stronnictwa, mnoży wszystkimi sposobami swoje więzy, aby tylko utrudnić Prawdzie przystęp, zerwanie jego więzów i podniesienie go do wyższego świata. Stawi życie nawet, aby tylko nie dać sobie wszcześcić życia prawdziwego. Ten człowiek robi wszystkie ofiary, na jakie tylko zdobyć się można; ale jest-że to poświęcenie?

2. Człowiek nauki.

Poświęca-ż się pisarz, filozof, mędrzek, dajmy, najodważniejszy od świata, najobojętniejszy na korzyści życia ziemskiego, zamknięty cały w pracowni, obwieszanej najświętszymi godłami mądrości, religii, prawdy, Boga, ale którego pycha rozumu tak opętała, tak odurzyło kadzidło własnego dla siebie uwielbienia, że samemu Bogu o tyle tylko pozwoli prowadzić stworzenie drogą Boga, o ile on uzna w swoim rozumie za przyzwoite? Cała przeszłość powinna wesprzeć jego urojenia, cała przyszłość powinna jego urojenia przyjąć za prawo. Biada temu, kogo czyste natechnienie postawi wobec niego, jako Sługę Prawdy! Zawieść zamieni w żółć całe jego ciało, całego ducha, wygrzebie on z ostatnich głębin swojego wnętrza, co tylko jest wściekłości szatańskiej i obrzydliwości zepsucia, cisnie to wszystko na Obraz Prawdy, co śmiała postawić swoje

światło naprzeciw ciemnościom jego kłamstw, sfałszuje go, oszpeci, aby tak sfałszowanym i oszpeconym odwieść braci od uczczenia i przyjęcia Prawdy, a ku sobie zwrócić. Poświęca-ż się taki człowiek? A on jednak w tygiel swojej doktryny zrzuca wszystko, co człowiek ofiarować może: ciało i duszę, obecność i przyszłość.

3. Człowiek stanu.

Poświęca-ż się tu człowiek stanu, który dla otchłani swojego gabinetu zaparł się całego życia zwyczajnego, wyrzekł się wszystkich darów światła pod jasnym niebem, zerwał wszystko, co innych nęci do towarzystwa ludzkiego, wiąże z nim? Miłość, przyjaźń, związki rodzinne, wszelkie spójczuko ludzkie, rzucił to wszystko w paszczę swojego systematu. Niema na nim ciała, krew wyschła w jego żyłach, kości zwidły, ogień życia zaledwie tli. Trudno więcej poświęcić — ale dla czego? Oto, ażeby w sercu nocy wyszperać, jakie tylko tam znaleźć się może oszustwo, wykręt, podstęp, podejście dla tryumfu swojego systematu — ażeby zdradą lub gwałtem wciągnąć miliony w jego jarzmo — ażeby z tej kryjówki, obyczajem upiора, wyssać z ludzi, co jest ludzkiego, a przeprowadzić ich do stanu maszyny, poruszanej tylko sprężynami jego polityki — ażeby wydrzeć Myśli Boskiej, a do swojej zaprząd. Kto dla podobnych celów robi ofiary, choćby najtrudniejsze, można-ż powiedzieć, że się poświęca?

4. Pobożny.

Poświęcają-ż się pobożni, jakich dziś nieraz napotkać możemy? Nie mówię już o obłudnikach z umysłu; biorę najczystszych, najsumienniejszych żyjących, według dzisiejszego wyobrażenia pobożności. Ślubował czystość ciała i przestrzega jej, jak ksiądz; martwi się postami, słabnie w czuwaniu, na modlitwach, przyszedł do tego, że już ma za marność świat z jego rozrywkami, ponętami, wielkościami, chwałą; na każde jego zbliżenie się ku sobie ciska znak krzyża i ucieka przed nim, jak przed pokusą;

zaledwie pობлаża związkom rodzinnym, bo mu rodzina obrazy i posagi jego kościoła; z góry pogląda na obowiązki społeczne, lituje się nad wszelką robotą polityczną, nad wszelkiem poświęceniem politycznym, jak nad marnością, bo cały przeszedł pod prawa kanoniczne: brakuje mu tylko sutany, aby został obywatelem duchownego państwa rzymskiego, tylko śmierci, aby zrobił ostatnie poświęcenie z ostatniego więzu społeczeństwa. Przyjrzyjmy-ż się bliżej, czy jest w tem wszystkim poświęcenie? Nie, niema go. Rzuca on cały ciężar swojego krzyża na świat, a sam w okazłości obrzędów religijnych, w błogosławionej atmosferze kościołów i w swobodniejszej jeszcze samotnego rozmyślania wysysa tylko słodczy wiary. Ucieka na pustynie kongregacji przed złem świata, a Bóg tymczasem jest wszędzie, cierpi wszędzie od swoich przeciwników i wymaga po swoich żołnierzach, aby, gdzie Wódz, tam i oni byli i walczyli. Pisze rozprawy teologiczne, składa psalmy wtenczas, kiedy-by więcej zrobił, gdyby stanął na placu boju i dotrzymał na nim duchem, pełnym Boga, chociażby w milczeniu zupełnem — jak żołnierz lepiej pełni swoją powinność, kiedy stoi nieruchomo przy boku dowódcy pod ogniem nieprzyjaciela, niż, gdyby podtenczas pisał w namiocie najcudowniejsze dzieło taktyczne albo hymny, zapalające do boju. Ale patrzcie! On podejmuje trudy, znosi nieprzyjemności długiej podróży do grobu Chrystusa! Prawda, tylko że Chrystus dawno zmartwychwstał i jest na całej ziemi — tylko że On kazał nam szukać nie swojego grobu, ale siebie żywego, i przyrzekł żyjącym pokazać się temu, kto go szukać będzie. Krótko mówiąc, ten pobożny, cokolwiek robi dla Boga, to jest na równi z tem, coby robił kochanek dla umarłej kochanki albo ktoś inny dla miłości kobiety, której nigdy nie widział i nie spodziewa się nigdy zobaczyć, bo sam ją sobie wymarzył. Może-ż taki pobożny mieć jaką zasługę przed Bogiem żyjącym, prawdziwym? Nie podstawia-ż on sobie za Boga siebie samego? Nie pragnie-ż on przedwcześnie, skradłszy kawałek nieba, zamieszkać wśród niego w szczęściu Chrystusa, wymijając drogę Jego krzyża? A wtedy wszelkie ofiary jego mogą-ż mu być policzone u Boga?

5. Kobieta dobrego tonu.

Poświęca-ż się męczennik innego rodzaju, kobieta, na przykład, ze świata ucywilizowanego, ze świata, gdzie najczęściej mówią o poświęceniu i najczęściej jest pretensyi do popisania się z niem, ze świata, który przywykliśmy uważać za kwiat epoki, za wszystko? Ta kobieta, czując duch swojej sfery i nie chcąc być poślednią, łoży wszystkie usiłowania na to, aby ten duch najwidoczniej w sobie wyobrazić i przewodzić innym przez najsubtelniejszą treść tej sfery, przez ton, salonowym zwany. Patrzmy tylko, co ona nie robi, aby przyjść do tego tonu, ustalić się w nim i panować przezeń, aby walczyć nim bez przerwy i ciągle zwyciężać. A ta praca, ta ofiara, obejmując zarówno ciało i duszę; co większa, najważniejsza jej część zostanie wiecznie światu skryta, w cieniach sypialnego pokoju, za firankami gotowalni. Co tam walk wewnętrznych, co mąk, co nocy, napół bezsennych, co porannych i wieczornych godzin, poświęconych ułożeniu, przystrojeniu, uzbrojeniu ciała i ducha ubiorem, wdziękiem, uśmiechem, spojrzeniem, głosem, ruchem każdym, a wszystko fałszywemi, a w taki jednak sposób, żeby wszystko miało pozór prawdy! Dopieroż, kiedy wystąpi na scenę, w jakim musi być czuwaniu nad sobą i drugimi, żeby nie ubliżono władzy, którą ona wyobraża, żeby uwielbiono wszystko, co się jej przedstawić podoba! I niema nic tak wzniosłego, tak świętego, tak żywotnego dla człowieka, czegoby ona nie zamknęła w swojej sferze. Poczciwość, miłość, życie rodzinne, życie publiczne, cnoty domowe i publiczne, mądrość, pobożność, wszystko to ją wieńczy, przykrojone do miary jej głowy i serca, wszystko to powinno być jako wzór uznane, przynajmniej w jej obecności, przynajmniej zewnątrz, jeżeli nie w głębi sumienia, bo takie jest prawo grzeczności, przyzwoitości, na mocy którego ona panuje, na mocy którego jest w swoim salonie; to samo, co teolog, co kapłan w swoim kościele. Łatwo sobie wyobrazić, przez ile to ofiar przejść potrzeba, aby dojść do takiej władzy i w jakiej potrzeba być gotowości do najniższych ofiar, aby się przy tem berle utrzymać. W rzeczy samej, kobieta, doskonała

w tym rodzaju, gotowa wszystko poświęcić dla utrzymania swego tonu. Miłość kochanka, męża, dzieci, przyjaźń — rzuci je na ofiarę, gdyby tego była potrzeba; rzuci więcej: prawdziwą pobożność, prawdziwe cnoty, zachowując jednak ich pozory, jak wszystko w niej jest tylko z ciała i dla ciała, jak jej bóstwem rzeczywistym jest to, co ona sama, przede wszystkim piękna forma, chociaż nieraz tak subtelna, że ją trudno odróżnić od istoty. Zastanówmy się teraz chwilę, do czego zmierzają: ten stan ciągłego czuwania na jednym stanowisku, te trudy, ofiary, boleści, godne nieraz przez swój ogrom największej sprawy? Komu nie obce salony, kto w obecności salonowej kobiety nie zatrzymał oka swojego na powierzchni, ale sięgnął w jej duszę, życie i zgłębił świat jej działania, ten wie, ile złego stamtąd się rozszerza i utwierdza — ile tam wzniosłych uczuć ginie pod sztyderskim uśmiechem — ile kłamstw wciska się w dobroduszne serca z uprzejmym głosem — ile odstępstw, zdrad, zaparcia się prawdy, ile potakiwań złemu, aby tylko harmonia świata grzeczności, uosobiona w królowej salonu, skłócona nie została. Kobieta, pod której wpływem rozwija się to wszystko, może-ż się spodziewać, że u Boga jest nagroda jej życia ofiar?

§ XIII. WNIOSEK POCIESZAJĄCY Z POWYŻSZYCH PRZYKŁADÓW.

Byłże-by Bóg sprawiedliwy, gdyby przyjmował poświęcenia, które wymieniłem, i im podobne, a których jest bez liku? Gdyby brał za miłość dla Siebie, co w istocie jest nic innego tylko miłość własna? Gdyby obłudę kładł na równi z prawdą? Bo wszelkie ofiary podobne nie są to ofiary dla dobra wszystkich, nie z miłości ku wszystkim, nie Bogu wszystkich, ale Bogu swojemu, urobionemu przez siebie, na podobieństwo swoje, to jest, sobie samemu, swojej dumie, swoim ziemskim dogodnościom, przecedzonym przez marzenia o wyższym świecie, przestrojonym za Boga w lachmany, na jakie mógł się zdobyć w swojej nędzy.

Gdyby takie ofiary prowadziły wyżej, coby zostało

dla tych milionów, które ze swoich poświęceń nie odnoszą żadnej widocznej korzyści na ziemi, które je pełnią bez nadziei tych korzyści dla siebie, a nawet bez ich pragnienia? Nie byłoby to z krzywdą poświęceń czystych, bezinteresownych a trudniejszych o tyle, o ile ucisk ziemi, krzyż tego życia, jest cięższy, wystawia na cięższą próbę miłość ku sprawcy wszelkiego dobra?

Ale Bóg nie przyjmuje podobnych ofiar. Jakkolwiek Jego miłosierdzie jest niewyczerpane, wszakże Jego sprawiedliwość jest także bez zmały. Nie robi On nikomu dobrze z krzywdą drugiego, nie potakuje obłudzie, nie utwierdza w złem.

Gdyby ofiary, bez względu, jakie jest źródło, z którego płyną, i jaki cel, do którego mierzą, zyskiwały odpłatę boską, miałby do niej prawo i zbójca, który, popchnięty namiętnością lub ciśniony potrzebą, naraża swoje życie w czynach zbrodniczych, z takim jego lekceważeniem, z takim, można powiedzieć, zapomnieniem siebie, który tak je naraża i tak je wkońcu traci; miałaby prawo do niej i nierządnicą, która wlece swoje życie w takiej nędzy moralnej i materyalnej, w takich cierpieniach wszelkiego rodzaju, niepojętych nam, bo nie dzielonych przez żadne współczucia; a mieliby oboje prawo tem większe, że najczęściej są nietylko narzędziami, ile mimowiestnemi ofiarami złego, że nie ubierają go w pozory piękne, że niema w nich obłudy.

O, można śmiało powiedzieć, że lepszy jest od obłudnych świętoszków ten zbrodniarz, który na rusztowaniu uznaje swoje zbrodnie, żałuje za nie głębią duszy, w narzędziu swojej kary wielbi zasłużony miecz sprawiedliwości boskiej, i tylko woła do Boga w pokorze i żalu, jak ów łotr z krzyża do Chrystusa wołał: „Pamiętaj o mnie, Panie, w raju!” — lepsza jest nierządnicą, która wśród nędzy swojego bytu, wśród upodlenia, spętana okowami losu, bez siły do ich zerwania, czuje jednak jego obrzydłość i, kiedy cały świat woła jej ukamienowania, ona stoi przed Bogiem w pokorze i milczeniu, czeka na Jego wyrok sprawiedliwy, albo oblewa łzami Jego nogi i obciera je swojemi włosami: słaba, upadająca ciałem, nie udaje się przynajmniej za lepszą, jak jest, pozostaje czy-

stą wewnątrz, w pokorze, w miłości ku Ojcu swojej duszy i za to usłyszy kiedyś: „Przebaczone jej wiele, bo kochała wiele“.

Całe życie obojga może być jedną czystą ofiarą przed Bogiem; kary ziemskie mogą być całkowitem ich oczyszczeniem, skoro były przyjęte w miłości i czci dla prawdy. Ale udawanie, kłamstwo, płyną z wewnątrz, zdradzają nieczystość w samym źródle życia i nie przejdą nigdy bezkarnie: z takiego źródła czyste poświęcenie płynąć nie może.

§ XIV. FANATYZM I SAMOLUBSTWO.

Schwyciwszy nitkę fałszywego poświęcenia, żebyśmy później nie mieli potrzeby wracać do niej, snujmy ją dalej, chociaż ogólnie, jak to przystoi temu pismu.

Określiliśmy już raz źródło poświęceń fałszywych; wszakże, zapatrując się na nie z różnych stanowisk, możemy tu powiedzieć, że źródłem poświęceń fałszywych jest wstręt do prawdziwych. To źródło jest jedno, ale, wyszedłszy raz ze stanu spoczynku, rozdrabia się, niby w tysiące kropel, w niezliczone rodzaje fałszywych poświęceń, jak są niezliczone położenia ludzi pojedynczych, pobudki ich działania, cele i kształty ich czynności. Nie pójdziemy za pędem tej wody w różnych jej kierunkach, zatrzymamy się przy dwóch punktach głównych.

Najzdrożniejszym z fałszywych poświęceń jest to właśnie, które się najbardziej okrywa pozorem prawdziwego, które się zahacza o sferę religijną: takim poświęceniem jest poświęcenie fanatyzmu.

Fanatyzm jest poświęcenie się każdego, którego prowadzi nie idea religijna prawdziwa, nie duch, nie życie wiary prawdziwej, lecz albo jej forma, litera martwa, jak np. Hiszpanów, mordujących ludność amerykańską, albo idee fałszywe, jak niegdyś Mongołów.

Fanatyzm idzie na śmierć nie z odwagą, ale z zuchwalstwem, nie w miłości dla swoich przeciwników, ale w nienawiści; jego cel główny — zniszczenie. Zato też w chwili tryumfu wypłaca sobie niebezpieczeństwa, na które się narażał, zemstą, okrucieństwem nad pokonanymi.

Obrzydliwość takiego poświęcenia się staje w całej nagości, kiedy ją postawimy obok wzoru Chrystusa. On także poświęcał się dla Boga, ale jaka różnica w Jego poświęceniu! Zawsze nieporuszony, spokojny wśród wściekłości swoich morderców, łagodny wśród największych cierpień, konający ze słowem przebaczenia, w modlitwie za swoimi zabójcami! Takie poświęcenie, konając, zwycięża!

Takiego poświęcenia się przykłady, chociaż mniej czyściej, więcej ziemskie, stawiał naród polski. Ile razy nieprzyjaciół zagrażał ojczyźnie, szlachcic polski porzucał wszystko, siadał na konia, pędził z odwagą na pola śmierci, a. wyparłszy nieprzyjaciela z granic, zapominał o nim, wracał do domu i żył spokojnie, jak wprzód. Prowadziła go na wojnę nie żądza łupów, lub nienawiść ku obcym, ale głównie miłość wyższej idei, wyobrażanej przez jego myśl narodową; złożyłwszy ofiarę czystą wyższej myśli, wracał do spokojnego używania jej ziemskich darów.

Widzimy tu różnicę poświęceń ze stanowiska miłości i ze stanowiska nienawiści. Ważny to punkt, bo energia nienawiści łatwiejsza; wszystko ją na ziemi podsyca. Żelazo do zabicia, kamień do skałeczenia, błoto do obryzgiwania człowiek wszędzie znajdzie — ale po siłę poświęcenia z miłości trzeba się podnieść aż do Boga. Energia miłości jest energią życia boskiego; żeby ją mieć, trzeba żyć po bożemu.

Drugim, można powiedzieć, biegunem sfery fałszywych poświęceń jest poświęcenie się dla interesu wprost materialnego, poświęcenie samolubstwa. Może ono być rachubą, może być także i szaleństwem przez rozpalenie krwi, przez wzburzenie żółci — i wtedy jest niczem więcej, tylko miotaniem się zwierzęcej strony człowieka, budzonej bodźcami zewnętrznymi, materialnymi. Jest to poświęcenie najwyżej pogańskie, najprzeciwiejsze epokom chrześcijańskiego życia ludzkości. Jest wykroczeniem o tyle większem, o ile osłania się wyższym celem, a kara spada straszliwiej. Daremność jego jest konieczna: świętokradztwo nie może ująć bezkarnie. Takiem świętokradztwem może być wszelkie wysilenie, nawet narodowe, skoro z celu narodowego wzięto stronę jedynie materialną; wówczas koniecznem następstwem wchodzi

w grę materialna tylko strona pojedynczych ludzi, a gdzie ona rej wiedzie, tam są konieczne: interes osobisty, namiętności, widoki sprzeczne, niezgoda, nieufność, nienawiść. Bóg się usuwa od takiej walki; zostaje siła ziemska naprzeciw ziemskiej i większa pokonywa mniejszą. Niech pozór sprawy będzie najświętszy, wysilenia bohaterские — dosyć jest postawić przeciwności ziemskie, dosyć jest wytrwać, a zniknie z duszy cel sprawy, odejdzie siła, niedoleżność jednej osoby skrępuje całe masy, upadek jednej osoby wytraci broń tysiącom.

Najniebezpieczniejsza zbrodnia, jaką bywa dyplomacya, ona już nieraz dowiodła, że dosyć jej sposobów, aby tryumfować nad najwyższem ziemskiem bohaterstwem.

Żadna ziemska siła nie poradzi człowiekowi, który ma w sobie samym cel wyższy, który ma jego miłość, jego widzenie jasne i drogę do niego pewną, a który przez to ma siłę nadziemską, bo zdolność czerpania w każdej chwili z jej źródła: żadna siła nie pokona człowieka, który działa pod natchnieniem prawdy religijnej.

Wspomnieliśmy o poświęceniu przez rachubę, i w rzeczy samej niema samoluba tak skamieniałego, leniwca tak martwego, któryby nie musiał robić poświęceń. Stan to bardzo nieszczęśliwy, bo też i zbrodnia wielka; tem większa, im zimniejsza, im wyrachowańsza. Jak wszelki człowiek fałszywego poświęcenia grzeszy tem, że siebie mniej więcej uważa za całość, do siebie wszystko odnosi, a Boga i cokolwiek z niego idzie, ma za swoje części, tak samolub jest ideałem podobnych ludzi, jest ich wyrazem najdoskonalszym, najwybitniejszym.

Na tem kończę. Co miałem osobno powiedzieć o oddziale poświęcenia fałszywego, a co zostaje do powiedzenia ważniejszego, przyjdzie samo z siebie w tem, co będę mówił o poświęceniu w ogólności.

§ XV. POŚWIĘCENIE PRAWDZIWE. SKALA JEGO NIEMYSLNA.

Wartość poświęcenia jest w jego celu, w pobudkach do niego i w stanie, w jakim je spełniamy, a przedewszystkiem w celu. Na tym punkcie oprę się głównie, z niego

wysnuję wszystko, cokolwiek może rozjaśnić ideę poświęcenia.

Cel najwyższy, bezpośredni wszelkiego poświęcenia był i będzie po wszystkie wieki, od stworzenia świata aż do jego skończenia, zawsze jeden i zawsze ten sam dla wszystkiego, co stworzone. Tym celem jest Bóg. Oprócz tego celu niema żadnego innego, wszelkie inne są podrzędne, są środkami dojścia do celu głównego.

Nie można było bardziej uprościć człowiekowi jego drogę wiekową, zabezpieczyć go przeciw obłudom, pokazać mu całą godność jego, otworzyć mu obfitsze źródło siły, szlachetniejszy zawód — наконец, nie można było jaśniej objawić Miłość Boga i potęgę tej Miłości, jak wytakając cel podobny.

Jeżeli zapalamy się miłością dla kobiety, jeżeli w tej miłości czerpiemy niekiedy zadziwiająca siłę do pokonania przeszkód, stojących na drodze połączenia się z nią, jeżeli częstokroć gotowi jesteśmy wszystko poświęcić dla pozyskania jej sobie, jeżeli jej wzajemność przyjmujemy, jak największą łaskę, z zachwyceniem, bo wchodzimy przez to w używanie wspólne wszystkiego, co do niej należy, co jest nią — jakież powinno być nasze zachwycenie, jakie uwielbienie dla Boga, który otwiera nam drogę, wzywa nas do zjednoczenia się z sobą? Bo i cóż jest kobieta ze wszystkim, co posiada, ze wszystkim, czem nas może uszczęśliwić, obok tego, co jest źródłem, dawcą, twórcą wszelkiej piękności, miłości, szczęścia, co jest samą Pięknością, Miłością, Najwyższem Szczęściem, bo najwyższem życiem?

Nielatwo to dziś pojąć, bo Nielatwo poczuć — wiem o tem. Przyszliśmy do tego, że podobne uczucia odesłane są, i to nawet przez ludzi dobrej wiary, do sfery uniesień ascetycznych. Czy słusznie? Za odpowiedź postawię na przykład dwie miłości ziemskie, jedną obok drugiej. Jest na przykład młodzieniec prosty, niewiunny, szlachetny, żyjący cały w każdym swoim uczuciu, nie myślący ani chwili o sobie; ujrzał kobietę, pokochał ją, oddał się całej swojej miłości, nie postrzegając nawet, czy ta kobieta piękna lub brzydka, bogata lub uboga, czy jego miłość jest w oczach świata szalona lub roztropna, nie wcho-

dząc, na czem się skończy; kocha kobietę dla niej samej, nie dla siebie. Jest znowu starzec zużyty, doświadczony, roztropny: zakochał się, ożenił się, bo kobieta, z którą się ożenił, jest piękna, młoda, ale nadto szlachetnie urodzona, a nadewszystko bogata: na dnie rzeczy kobieta dla tego człowieka jest rzeczą podrzędną, a główną jej urodzenie, majątek; miłość tego człowieka jest tylko udaniem, koniecznością, środkiem, tak dalece, że wkońcu kobieta, najgodniejsza miłości, niknie mu całkiem z oczu przed nikczemnymi rachubami chciwości lub dumy. Podobnie w stosunkach człowieka z Bogiem, z najwyższym jego celem. Potrzeba tej prostoty, tej niewiunności, tej czystości wewnętrznej niezepsutego młodzieńca, aby poczuć wszystkie wdzięki tego celu i ukochać je dla nich samych tylko; my zaś poszliśmy drogą zepsutego starca: przydatki doczesne, korzyści podrzędne, używanie ziemi, środki do głównego celu wzięliśmy za cel główny, przewróciliśmy porządek rzeczy i coraz więcej błakamy się, cierpimy i gubimy się wśród celów niezliczonych, zagrzebując się coraz głębiej w gruzach świata, który sami rozburzamy. Nie dziw, że dzisiaj straciliśmy już z oczu cel główny, to jest, zerwaliśmy z nim wszelki związek żyjący, nie dziw, że odzyskanie tego związku umieściliśmy już w poczet marzeń — bo, jak trudno rozpustnemu starcowi wrócić do czystej miłości dla żony, którą raz opuścił dla pewnych względów światowych, jak trudno zrobić dla niej ofiarę z tych względów, a przestać tylko na jej miłości, na jej pieśczętach, kiedy rozpusta odrętwiała nawet uczucie na rozkosz podobną — tak trudno wrócić do prawdy, kiedyśmy się za długo tarzali w błędach.

To nam wyjaśnia po części, dlaczego poświęcenie jest tem trudniejsze, tem radsze, im więcej dobrego człowiek przez nie zrobić może, czyli inaczej, im wzniolejsza jest prawda, która wyzywa do poświęceń. Albowiem w miarę tego wyzywu, podniesienie się wewnętrznego musi być wyższe, a owo podniesienie się jest większe oderwanie się od ziemi, odrzucenie jej ponęt, zapomnienie siebie, co wszystko nie może stać się bez przejścia przez wielką boleść zepsutej strony człowieka.

Niezmierny jest ogrom tych, którzy robią wielkie po-

święcenia dla swojego interesu materialnego i robią je z wielką łatwością, bo cel, tuż przed nimi, dotykalny a więc bardzo wyraźny, łatwy, bo w sferze zwierzęcej człowieka, a więc niższej, niż człowiecza: dosyć zamrużyć oczy i stoczyć się ku niemu, jak po górze pochyłej. Mniej jest, którzyby poświęcili się dla bliźniego, chociażby nawet w sferze materialnej, pod popędem takich uczuć serca, jak przyjaźń, miłość kochanki, matki i t. p. — a jeszcze mniej, którzyby z zupełnem zapomnieniem o sobie poświęcili się dla ojczyzny. Odsuwam tu na bok rzadkie chwile narodowego zapału, kiedy nadzwyczajne jego technienie porwa całe masy i pędzi najzimniejszych do wspólnego celu; odsuwam je na bok, bo ludzie wtedy są ślepemi narzędziami, a ja mówię o poświęceniu dobrowolnem, rozmyślnem, którego źródło wewnątrz nie w zewnętrznych wypadkach i bodźcach, którego ogień goreje czynnem życiem, kiedy łód wokół, kiedy może być poczytane za dobrowolne szaleństwo przez tych nawet, dla których się robi, i okryte szyderstwem, pogardą, a może i złorzeczeniem; mówię o poświęceniu, które wyprzedza wielkie wypadki, a nie wlecze się za nimi: otóż-to do takiego poświęcenia w sprawie ojczystej czy jest wielu zdolnych? — pytam... Co do mnie, widzę ich bardzo mało, bo idea ojczyzny jedną swoją połową jest już w świecie nadziemskim, wystrzela nad poziom zwyczajnego człowieka. Jej droga pnie się pod górę; trzeba zrzucić z siebie wiele ziemi, aby mieć lekkość, potrzebną do tej podróży. Wszakże idea nawet ojczyzny nie jest jeszcze niemyślną próbą człowieka i czystości poświęcenia się: jeszcze i tutaj można ustroić się jego pozorem, trzymając w głębi serca swoje „Ja“ tak starannie ukrywane, że z czasem własne oczy przestają je widzieć. Taką próbą jest dopiero Bóg — sprawa Boga na ziemi.

Ów cel jest tak wyniesiony nad ziemią, że niczem ziemskim dosięgnąć się nie da; droga do niego tak prosto idzie w górę, że tylko lotem wewnętrznym przebyć ją można; idea jego tak ogromna, że nie można jej schwycić niczem innem, tylko tem, co w człowieku jest boskie, a do czego przyjść nie można bez oczyszczenia

tej iskry, bez odgrzebania jej z nasypu ziemi, bez postawienia jej w rodzimej czystości.

Cel święty, i droga do niego święta być musi, i stanu świętości potrzeba w człowieku, aby siedł po niej i utrzymywał się na niej. Tu jest próba ludzi, tu wewnętrzny człowiek musi cały wystąpić na jaw, musi pokazać, jakiego było rodzaju dotychczasowe jego poświęcenie się, w jakim stopniu zdolny jest do poświęcenia prawdziwego; tutaj najchytrzejszy, najbieglejszy w udawaniu nie potrafi się wymknąć obłudą, bo tu jest kres, jak ziemskim widokom, interesom pojedynczego człowieka, tak równie ziemskiej przebiegłości, rozumowi, wszelkiej ziemskiej sile. Może on łudzić siebie i podobnych sobie, ale nie złudzi tych, co patrzą ze stanowiska boskiego; prędzej czy później będzie on tak postawiony, mimo swej wiedzy i woli, że cała nieczystość wewnętrzna wystąpi na jaw w owocu dotykального czynu.

Dlatego-to w czasach wyzywu przez podobną ideą dziwny ruch powstaje na świecie: zamyślanie, gwar, szyderstwa, złorzeczenia — bo idea boska, podnosząc wyżej każdy cel podrzędny poświęcenia się, podnosi poświęcenie się wszelkiego rodzaju na wyższy stopień, od najdrobniejszych do najwyższych, wywołuje szczerość, czystość, a wszelkiej obłudzie zdziera maskę. Wówczas świat ucieka się, jak do okupu, do poświęceń mniejszych; ten się zastawia patryotyzmem, ów zamyka się w pobożności i ucieka pod ołtarz, inny chroni się do swojego kółka politycznego, kobieta wymawia się cnotami domowemi, religijnem życiem, mędrcy dostrzegają systematami teozoficznemi, duchowni z powołania bronią się teologią, najbezbożniejsi udają strach przed nową herezyą. A cały ten widok przedstawia coś podobnego do widoku okolicy, gdzie się rozchodzi głucha wieś i wyzyw do powstania: co było nieczystych, obłudnych w patryotyzmie, wnet się porusza; każdy z nich, nie pytany nawet, wynajduje jakąś wymówkę, jakieś usprawiedliwienie swojej niemożności należenia do powstania, które jeszcze nie wiadomo, czy nastąpi — niejeden w tej właśnie chwili dostał szumu w głowie, który mu zapowiada ciężką a pewną chorobę, inny pod pozorem nagłych spraw dla

dobra ojczyzna, umyka w miejsce, gdzie-by go nie osiągnął ruch niebezpieczny, inni dowodzą nawiasem niewczesności, szaleństwa wszelkiego powstania, inni podobnym nawiasem rozsiewają podejrzenia na osoby, które duch okolicy stawia przecuciem na czele ruchu. Wielu dziwi się temu wzburzeniu, ale ci, co przynieśli tajemnie wieść powstania i rozpuścili ją, ci wiedzą, co to wszystko znaczy.

Jedną z głównych cech takiego ruchu w ludzkości, jedną z przyczyn konieczności jego jest to, że z objawieniem się wyzywu do ofiar wyższego stopnia wszystko, co było dotąd zaczepnem, przechodzi w stan odporny. Nie zapominajmy o tem: świat to cuje. Tu się zjawiają poświęcenia biernie, wbrew poświęceniom czynnym. Poświęcenie się dziś dla Boga nie jest to oderwanie się od świata dla jakiegoś chóru zakonnego, zamknięcie się w celi z obrazem Ukrzyżowania; nie jest-to bezpłodne życie modłów, marzeń pobożnych, praktyk religijnych; nie jest ograniczenie się na niewolniczym pełnieniu przepisów kościelnych, jednym słowem, poświęcenie się, które dziś możemy nazwać biernem. Czas jego przeminął. Miało ono swoją zasługę, swoją konieczność, swoją epokę, jak w wojsku jest czas szkoły rekruta. Ale człowiek dzisiejszy przebył już tę szkołę i staje, jak żołnierz wyśmienity, do boju z nieprzyjacielem uszykowanym. Oddać się dzisiaj życiu ustronnej pobożności jest tak samo, jak żeby wojownik wśród obozu zajmował się musztrowaniem blaszanych żołnierzy. Nie dosyć już mieć Boga w sercu i pieścić Go na osobności, potrzeba iść z Nim otwarcie i świat Mu zginać. Nic nie znaczy, że poświęcenie biernie może być nawet z wielkimi nieprzyjemnościami, z cierpieniami; jest ono tylko stanem odpornym, stanem niedołężności dobrowolnej, a więc podle — a dopiero przez poświęcenie czynne człowiek stawia się w stanie zaczepnym i, nie tylko, że odpiera napady, ale, nie czekając przeciwników, sam ich szuka, wyzywa i walczy. Tak Chrystus wyzywał przez trzy lata Żydów do ukrzyżowania Siebie i przez to zostawił nam wzór najwyższy poświęcenia się dla Boga.

§ XVI. CELE POŚREDNIE POŚWIĘCENIA.

Ale człowiek, w takiej odległości od Boga, jak jest na tej ziemi, oddzielony od Niego nieprzeliczonemi zagrodami, nie może z położenia swojego żyć w czynnem, bezpośredniem poświęceniu się dla Niego: musi przebijając się ku Niemu łamaniem tych zagród. Stąd poświęcenia pośrednie, stąd pośrednie cele poświęceń.

Owe cele są nieobliczone w swojej rozmaitości; są one różnego rodzaju i stopnia, jak są różne położenia ludzi w rozmaitej wysokości na prawdziwej drodze powołania ludzkości, jak są rozmaite, właściwe każdemu przeszkody, które w pełnieniu swojego powołania złamać powinien. Ta różność, ta konieczność celów podrzędnych, niższych, godzi się łatwo z koniecznością celu najwyższego, głównego; nie powinna go zakrywać i nie zakrywa, skoro na każdym z nich promieni piętno Myśli Boskiej, skoro przez nie idzie droga naszego posłannictwa. W najdrobniejszej czynności, dla celu, na pozór najmniej znaczącego, najbardziej ziemskiego, możemy złożyć najczystsza ofiarę, jeżeli ten cel bierzemy tylko za szczebel, ułatwiający nam wejście na szczebel wyższy, jeżeli na nim nie zatrzymujemy się, nie usadowiamy się, jak żebyśmy wszystkiego już dokonali, jeżeli na nim nie zaczynamy już używać nagród, przeznaczonych dla pracy dokonanej — nieba na ziemi. Takie cele są w obrębie życia domowego i publicznego, są w obrębie wszelakich obowiązków, jakie życie na ziemi z ludźmi względem ludzi, w stworzeniu względem całego stworzenia wkłada na człowieka. Bóg, położony za cel, ofiara dla Boga, nie wrywają człowieka z pod warunków jego bytu ziemskiego: ofiarą dla Boga może być wszelka ofiara, spełniona czy to w sferze publicznej, czy prywatnej. Bóg nie żąda, ażeby człowiek pozabawiał się dla niego życia, bo życie jest darem Boga — ale żąda, żeby dobrze używał tego daru, ażeby przez nie zbliżał się do Boga, żeby je zamieniał w życie coraz bliższe boskiego, przez czyny, coraz podobniejsze do boskich. Na to nie potrzeba koniecznie stać na czele narodów, poruszać swoim ruchem miliony, podbijać Bogu ziemię zwycięstwami, brzmiaćmi przez całe wieki; jeszcze

mniej potrzeba umrzeć światu, życiu świata u stóp ołtarza, w zaparciu się człowieczeństwa, w pobożności mniszej, w osamotnieniu pustelniczym; nie — dla czynu boskiego, dla życia boskiego jest miejsce wszędzie, jak Róg jest wszędzie, jak dzisiaj Zło jest wszędzie: na urządzie najskromniejszym, w zaciszu domowego życia, w kółku rodzin na stanowisku ojca, męża, brata, syna, przyjaciela itp. gdziekolwiek można sobie powiedzieć: „Jakby też Bóg żył, gdyby mu się podobało zająć na chwilę po człowieczemu moje miejsce, bez wyrzucia się z Istoty Boskiej?”

§ XVII. KILKA PRAWD, ROZJAŚNIAJĄCYCH OGÓLNE POJĘCIE PRAWDZIWEGO POŚWIĘCENIA.

Powyższe zapytanie jest największej wagi; dla człowieka dzisiejszego wszystko jest we właściwym jego rozwiązaniu u siebie i przez samego siebie. — Łatwo odgadnąć przyczyny, dla których nikogo w tem wyręczyć nie mogą. Wszakże wolno mi rzucić na nie cokolwiek więcej światła; może to posłuży komu, jako pomoc w jego pracy.

We właściwym rozwiązaniu powyższego zapytania jest całe poczucie i pojęcie prawdziwego poświęcenia, poświęcenia, odpowiedniego dzisiejszemu duchowi ludzkości. Rozwiązanie to byłoby inne wprzód, inne dzisiaj być musi, bo zagadnienie spaja się ściśle z ideą Boga, a ta idea, dostateczna dla przeszłości, dla ludzkości młodszej, nie wystarcza dzisiaj, ludzkości dojrzalszej. Postęp Sprawy Boskiej w sferze stworzenia podniósł ideę ofiary o tyle, o ile duchowa strona ludzkości wzięła przewagę nad materialną. Jest więc ważną rzeczą poznać z tej strony wymagania epoki. Owa wiedza, ażeby była płodna, musi być wyrobem własnej pracy; ja niosę tylko pomoc w kilku ogólnych napomknieniach.

Ofiary, uważane dotąd za najwyższe, takie na przykład, jak z dobrego bytu, z uczuć serca, jako przyjaźń, miłość i tym podobne, z życia nawet, są już dziś niedostateczne. Droga ośmnastu wieków chrześcijaństwa usłana jest niemi. Co większa, znane one już były poganom i przez pogan pełnione; przez nie poganizm gotował ludzkość do

chrześcijaństwa. Dokonały swego przeznaczenia, i można już śmiało złożyć je w przeszłości pod nazwiskiem ofiar materialnych, ażeby postawić na ich miejscu ofiarę duchową. Nie powinno być w tem nic dziwnego dla dzisiejszego chrześcijanina. Natchnięty, karmiony, rosnący przez wieki Słowem Bożem, powinien dzisiaj kupić w sobie całe życie ubiegłych wieków, znać swoją wyższość nad poganinem, wiedzieć, że jego byt nie zamyka się cały w tym żywocie ziemskim, że jego ciało nie jest jego istotą, że jego powołaniem iść ku Bogu tem, co jest jego istotą, że ten chód ku Najwyższemu jest podnoszeniem się, a podnoszenie się jest w ofiarach coraz mniej materialnych.

Wszelkie ofiary, jakie dotąd robił, były ofiarami z miłości zewnętrznego swojego człowieka, z miłości ku pewnym jego cząstkom; odtąd ma składać ofiary z miłości ku temu, co się kryje w głębiach jego istoty, jednym słowem z miłości własnej w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Najwyższa to dziś ofiara, bo wychodzi z głębin człowieka, nie tkniętych dotąd; najcięższa, bo jej towarzyszy boleść, przenikająca tam, gdzie dotąd nie przeniknęła.

Z tej głębokości poświęcenia wynika koniecznie inny jego przymiot: ustawiczność. Dopóki ofiary były cząstkowe, doczesne, dopóty mogły być chwilowymi — lecz odtąd zaczynają obejmować cały, że tak powiem, ogrom człowieka, odtąd stan człowieka musi być stanem ciągłej ofiary lub gotowości do ofiary, co na jedno wychodzi. Niegdyś byłoby to nad siły człowieka; dzisiaj każde wyjście z tego stanu jest upadkiem. Z tego względu poświęcenie jest dziś daleko trudniejsze, niż było kiedyś, bo jeżeli wprzód można je było spełnić w chwilowym zapale, w chwilowym podniesieniu, pod bodźcem siły zewnętrznego wypadku lub wpływu — dzisiaj tę chwilę potrzeba rozszerzyć na całe życie, ten zapal zamienić w stan zwyczajny, ten bodziec mieć wewnątrz siebie. Na pozór zdaje się to niepodobne, ale w istocie jest możliwe i konieczne. Że jest możliwe, świadczą między innymi przykłady wielkich ludzi, bo cóż jest życie wielkiego człowieka, jeżeli nie stan ciągłego gorzenia wyższą myślą, jeżeli nie stan

ciągłej ofiary dla niej z życia poziomego, zwyczajnego? Że jest konieczne, przyznaje to każdy, który się chlubi wyższością dzisiejszego stanu ludzkości nad dawnym. Ta wyższość jest niezaprzeczona, ale trzeba ją przyjąć ze wszystkimi jej warunkami. Daje ona wyższe prawa człowiekowi, za to nakłada na niego trudniejsze powinności, a jednym, jak drugim, świadczy o jego większej sile, stawia go na czynniejszym polu w jedynej walce, jaka się toczy w stworzeniu od wieków, między Dobrem a Złem. Człowiek prowadził dotąd wojnę podjazdową, przygotowawczą, ażeby się w niej zaprawił, usposobił na porządnego żołnierza; dzisiaj staje w szyku i musi czuć pod bronią, dopóki wróg przed nim.

Z tej istoty dzisiejszego poświęcenia wypływa jeszcze jedna prawda, której nie mogłem przemilczeć, bo jest jedna z najważniejszych. Wszelki czyn poświęcenia, wszelka ofiara musi się naprzód spełnić wewnątrz człowieka, wewnętrzną jego siłą. Kto nie zdolny zrobić najwyższego poświęcenia w zupełnem oderwaniu się od ziemi, bez żadnych rachub osobistych, bez nadziei nagrody ziemskiej, bez pragnienia pochwał, oklasków ludzkich, bez obawy sądu przeciwnego i największych niebezpieczeństw, bez świadków, przed Bogiem tylko i tylko z czystej miłości ku wyższemu, tego poświęcenie nie będzie nigdy prawdziwe, ten nie jest zdolny do poświęcenia. Przeciwnie, kto je tym sposobem wykona, a wykona w sobie ostatecznie, ten świadczy o swoim mocnym związku ze światem wyższym, o głębokim jego poczuciu, o swoim życiu śród niego — i on sam może liczyć na siebie i inni na niego liczyć mogą: dał on próbę swojej siły własnej w najtrudniejszej robocie. Dla takiego objawienie zewnętrzne ofiary wewnętrznej jest już niczem, choćby na pozór było najtrudniejsze, najprzykrzejsze.

Ofiara pełna, wewnątrz odbyta, tak dalece jest wszystkim, że często przyjęta bywa za spełnioną zewnętrznie. Nie dziś dopiero znana to prawda. Wyraźnie tego świadectwo mamy w księgach Starego Zakonu. Bóg zażądał od Abrahama ofiary z syna. Abraham idzie za wolą Boga, poświęca syna w duchu — za to w chwili, kiedy

zewnętrznym czynem ma uzupełnić swoją ofiarę, Bóg przestaje na ofierze wewnętrznej i zostawia syna ojcu.

Na zakończenie tego rozdziału wytknę jedną z głównych cech prawdziwego poświęcenia. Może się ona przydać nieraz, jak probierczy kamień prawdziwości poświęcenia własnego lub innych. Poświęcenie jest życiem porządku wyższego; działa, objawia się w różnych kierunkach, rozszerza się, jak wszelkie życie; życie porządku niższego dąży głównie do objawienia się w porządku niższym, duchowe w materialnym, bo tylko tym trybem wszystko niższe wstępuje wyżej. Stąd poświęcenie, kiedy jest prawdziwe wewnątrz, usiłuje przedewszystkiem objawić się na zewnątrz, zamienić się w czyn, nie daje ci spokoju, zostaje twoją męczarnią, dopóki go nie objawisz w czynie ziemskim. Ofiara, która nie działa w tobie tym sposobem, nie jest czysta, a przynajmniej nie ożyła jeszcze w tobie; może być dobrą myślą, nie jest życiem. Przyczyna tego jest i w tem, że wszelka ofiara rodzi się zwykle z boleści nad cierpieniami innych, z boleści większej, niż może być boleść, której w walce dla drugich, w poświęceniu się dla drugich na swojej osobie doświadczyc możemy. Dlatego to, mówiąc nawiasem, najpoświęceńsi mogą się znaleźć między ludźmi bardzo szczęśliwymi na pozór — równie, jak największe samoluby między najlichszymi nędzarzami. Gdyż ta boleść jest całkiem moralna, wewnętrzna, czysta od wszelkiej osobistości; cierpienie fizyczne może ją niekiedy obudzić, powiększyć, ale jej nie rodzi: można cierpieć fizycznie jak przez siebie, tak tylko dla siebie.

§ XVIII.

Więc poświęcenie prawdziwe jest tak trudne, że go nie ma prawie na ziemi? Łatwe nie jest, to prawda — ale jest na ziemi, i powszechniejsze, niż się zdaje. Jest ono tam, gdzie o niem nie rozprawiają, gdzie nawet nie wiedzą, że je pełnią. Jest ono w całych milionach, ale dusz, wierzących w Boga z miłością i bojaźnią, cierpiących dla Boga z miłością, czystych, prostych przed Bogiem.

Jest ono coraz radsze i trudniejsze, im głębiej wcho-

dzimy, w dzisiejszy świat ukształcony, który jest nie innego, tylko żywioł ziemski, żywioł, przeciwny boskiemu, podniesiony do swojej najwyższej potęgi. Że tak jest, zobaczmy to każdy w szczęśliwej dla siebie chwili sądu, wolnego od złudzeń ziemskich, a przyczynę znajdzie w Ewangeli. „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego“ powiedział Chrystus, a Chrystusa nie można posądzać o uprzedzenie bezzasadne przeciw pewnym klasom ludzi, o słabość dla drugich: sami Faryzeusze, którzy ciągle czyhali, aby Go w czemś podchwycić i zgubić, sami Faryzeusze przyznawali, że nie ma względu na osoby, a drogi boskiej w prawdzie nauczają. Bogacze ziemi powinni by dobrze rozważyć te słowa. Bogaczami zaś nie są jedynie ludzie, mający pieniądze, dostatki ziemskie, czyli bogacze materialni; są oprócz nich bogacze moralni, podobnie jak są, wspomniany przez Chrystusa z błogosławieństwem, ubodzy w duchu; są bogacze rozumem, cnoty, pobożności. Nie przez to, że je mają, o, nie; nie to stanowi bogacza. Może nim być każdy człowiek, który jakikolwiek dar Boga, pożyczkę Boga uważa za swoją własność, przywłaszcza ją sobie wyłącznie, zapomina, że jest niczem więcej, tylko dłużnikiem, szafarzem, rozporządza pożyczką, jak swoją własnością, obraca ją na swoją korzyść ziemską, panoszy się nią i nadyma się, aby sobą zasłonić Boga.

Z takich to bogaczy składa się po większej części świat ukształcony, i dlatego poświęcenie w tej sferze tak rzadkie i trudne.

§ XIX. ŹRÓDŁO SIŁY POŚWIĘCENIA I WARUNKI DLA JEJ PRZYJĘCIA.

Nie dosyć jest uznać potrzebę poświęcenia, nie dosyć postanowić sobie wejście na jego drogę, trzeba mieć do tego całą, niezmyśloną ochotę, trzeba mieć odwagę stanąć raz na tej drodze, wytrwałość w utrzymaniu się na niej, jednym słowem, trzeba mieć siłę poświęcenia. Skądże ją mieć? Oto jest pytanie, na które czuję potrzebnym obszernie odpowiedzieć.

Siły do poświęcenia nie da cześć słowo, żadna nauka,

żadna abstrakcja. Człowiek nie poświęca tego, czem żyje, dla tego, co nie żyje; poświęci on dla śmierci śmierć, dla abstrakcji abstrakcję, ale na tem konie. Gdyby się znalazł, ktoby się poświęcił dla abstrakcji, litujemy się nad nim, jak nad obłąkanym.

Nie da tej siły żadna Sprawa, która najwyższy cel poświęcenia umieszcza w sferze jedynie ziemskiej, materialnej, choćby ten cel w porządku ziemskim był jednym z najpiękniejszych, jednym z najwznioślejszych, jak są na przykład cele narodowe. Z celów wyłącznie narodowych tworzą się natychmiast interesa wyłącznie narodowe. Naród zaczyna przedewszystkiem sobą się zajmować, dla siebie pracować, zostaje samolubem, czyli poświęca innych dla swojego dobra, co jest wręcz przeciwnie duchowi prawdziwego poświęcenia, które stawia dobro innych przed własnem i tylko tą drogą dochodzi do własnego. Cele wyłącznie narodowe rozdzielają ludzkość na tyle członków nieprzyjanych sobie, ile jest narodów. Cóż dopiero, gdybyśmy cel poświęcenia umieszczali w sferze jeszcze niższej, na przykład rodzinnej? Wtedy naród rozpada się na tyle osób nieprzyjanych sobie, ile jest rodzin. W takim rozdrobieniu, bądź na interesa rodzinne bądź w mniejszem, jak na interesa narodowe, może-ż się znaleźć źródło siły, zdolne utrzymać człowieka w stanie poświęcenia się dla wszystkich? Takie rozdrobienie jest rozprzężenie się życia bądź ludzkości, bądź narodów, jest chaos, wojna, lotrostwo, pokryte w sferze prywatnej pozorami cnót domowych, w sferze publicznej pozorami roztropnej polityki. Niema człowieka, któryby, zostawiony swoje własnej sile ludzkiej, nie został starty w tym zamęcie. Nie wytrwa tu człowiek najlepszej woli: może on przez jakiś czas stawić swoją czystością opór podobnemu porządkowi rzeczy, może do pewnego kresu przeciągnąć swoją z nim walkę — ale w końcu albo musi wyjść ze świata, odgrodzić się od niego dziczami pustyni, jak dawni pustelnicy, albo, niezdolny zerwać węzłów, które go przykuwają do niego, musi wejść z nim w przymierze, przyjąć prawo przyzwoitości i potakiwać według tego prawa choćby największym zbrodniom, ale dopełnianym w pewnej powszechnie przyjętej formie, i postępować

koleją wszystkich. Zostanie on samolubem, oszustem, zbrodniarzem w obliczu prawa Chrystusowego — ale d ziemi będzie człowiekiem porządnym, przyzwoitym, dobrym członkiem rodziny, dobrym obywatelem. Nie mając nic wyższego nad cel ziemski, nie będzie miał nic więcej nad siłę pospolitą; nie zdoła wynieść się nad zwyczajnych ludzi, i musi służyć powszechnemu złemu. Taki dopiero stan jest stanem rzeczywistej niewoli — tam nawet, gdzie są pozory największej wolności politycznej. Wówczas formy polityczne, wyzwalać człowieka w jego stronie materyalnej, niższej, ujarzmiają tem wyzwoleniem stroną wyższą, duchową, są istotnemi kajdanami ziemskimi na to, co powinno zostać w człowieku najswobodniejsze: zamieniają go w więzienie dla złożonej w nim Myśli Boskiej.

Pamiętajmy nadto, że wszystko, cokolwiek mamy, to mamy dlatego, abyśmy w potrzebie innych wsparli: to przykazanie stosuje się i do siły poświęcenia. Skoro ją mamy, już powinniśmy dawać temu, kto jej nie ma. Możeż ją dać innemu, przepuścimy, w walce narodowej, człowiek, poświęcony głównie swojej rodzinie, albo podnosząc się do sfery wyższej? Możeż ją dać członek pewnego narodu cudzoziemcowi, jeżeli czucie jego nie przebiega za kółko swojego interesu narodowego? Anglik na przykład, cały zatopiony w swoim krajowym interesie, nie widzący nic, nie czujący nic poza obrębem tego interesu, nie mający nic w poświęceniu się swoim dla cudzoziemca, jakim sposobem może go natchnąć poświęceniem dla Anglii wówczas, kiedy interes jego może być całkiem przeciwny interesowi tego, w którym szuka pomocy? A tymczasem ta wzajemna pomoc, tak między członkami jednego narodu, jak równie między członkami na większą skalę jednej ludzkości, jest w prawie Boga, wypływa z wyższego braterstwa pomiędzy ludami, jako zbiorowemi dziećmi tego samego ojca — Boga.

Jeżeli taka sfera, jak rodzinna, jak narodowa, nie może być źródłem siły poświęcenia — jeszcze trudniej, ażeby człowiek znalazł ją w sobie samym, jako człowieku. Nie dadzą mu tej siły żadna władza jego, ani materyalna ani moralna, ani popęd gniewu, ani ogień krwi, ani siła ro-

zumu, ani rozrzwinięcie serca. Wszystko to jest niczem przed ogromem potęgi ziemskiej, którą poświęcenie przełamać powołane. Krew wzburzy się i uciechnie, na rozum znajdą się tysiące rozumów, serce da się ustraszyć lub złudzić, masa ciał skrepuje ciało, masa dusz zgniecie duszę, bo człowiek, zostawiony sam sobie, jest niczem więcej do stworzenia, jak jednostka do liczb nieobrachowanych.

Trzeba więc gdzieindziej szukać źródła tej siły. I znajdziemy je po jego cechach niemylnych. Wymienimy niektóre.

Źródło takiej siły musi być Prawda. Musi ona stać przed wszystkimi, jak wspólny cel wszystkich ludzi, narodów, całego stworzenia, ażeby w życiu stworzenia, w czynnościach pojedynczych była harmonia i jedność; musi być nadziemska, ażeby człowiek nie wahał się poświęcić dla niej wszystko ziemskie; musi być niemylne, nie wymysł rozumu ludzkiego, ażeby człowiek nie zachwiał się nigdy w tem przekonaniu, że, w potrzebie tracąc dla niej ziemię, nic nie traci, i owszem, zyskuje; ażeby zaś dała człowiekowi większą siłę, to jest, większe życie, musi być sama życiem, nie martwą literą; ażeby dała życie, zdolne trwać w swoim czasie, pośród zła swojego czasu, musi być ogólnem jego życiem; ażeby jej siła była boską, musi wypływać z ducha Chrystusa; ażeby mogła udzielać się ludziom, musi zstąpić między nich, dać się im poznać, dotknąć. Taką prawdą miała każda wielka epoka ludzkości; taką prawdą jest Słowo epoki, duch epoki wcielony, a Kościół, który jest niczem innym, tylko wielkowiek przybytkiem, wiekowem ciałem takiego Ducha, jest skarbem tej Prawdy, źródłem siły do poświęcenia. Oprócz tego źródła nie ma innego wszelkie prawdziwe poświęcenie.

Na nim nigdy ludzkości nie zbywało; ale nie można z niego korzystać, nie stanąwszy w koniecznych do tego warunkach. W krótkości one zebrać się dadzą: Ukorzyć się przed Bogiem i ogromem Jego Dzieła, wyznać całą swoją nicość — stań w całej prostocie chłopskiej, niewinności dziecięcej twojego ducha. Poddaj się zupełnie Woli Boga — poczuj, że on wszystko może, że On wszystko robi,

a, co się dzieje, nic się nie dzieje bez Niego; poczuj tę Jego Wszechmocność. Oddaj mu wszystkie swoje miłości, a Jego miłością wszystko ukochaj. — Pójrzyj na siebie i na wszystkie ziemskie, jak na chwilowe narzędzia, lub pomoce do pracy chwilowej. — Zapragnij świata wyższego, zabolej nad wszystkim, co niższe, co cierpi — a chwila, która skupi w tobie te wszystkie uczucia, będzie dla ciebie chwilą wejścia na drogę prawdziwego poświęcenia, otworzy ci źródło jego siły.

§ XX. NIEBEZPIECZEŃSTWO WYŁAMYWANIA SIĘ Z POD PRAWA POŚWIĘCENIA.

Wypowiedziałem, co mi przyszło do duszy, jako najważniejsze o poświęceniu. Wiem, że nie wypowiedziałem wszystkiego, ale i to wiem, że ani ja, ani nikt wszystkiego w tym przedmiocie nie wypowie. Dlatego kończę. Co dodam, uważam za konieczne dopełnienie tego, com już przedstawił.

Nie mam ja zarozumienia, że tem pismem nauczę kogokolwiek poświęcać się, czyli, co na jedno wychodzi, że mu dam siłę do poświęceń. Sądząc podobnie, naśladowałbym owych pisarzy religijnych, którym się zdaje, że swojemi książkami zrobią niepobożnych pobożnymi, że wprowadzą wewnątrz nich Boga. Ale jak ich praca jest marna tam, gdzie sam Bóg nie może dać się poczuć. On, który od tylu wieków przemawia w każdej chwili do człowieka, który tyle razy objawiał się w sposób tak wyraźny, ogromny, a często tak straszliwy — tak i moje słowa byłyby próżne do ludzi, do których nie przemawia tyle żywych przykładów poświęcenia się w czasach przeszłych i obecnych, w osobach bądź ludzi pojedynczych, bądź narodów całych, dla których przykład samego Boga-Chrystusa jest, jak żeby go nigdy nie było. Com napisał, jest to nie nauka, ale raczej ostrzeżenie, napomnienie, zresztą pewne porozumienie się braterskie. Chciałbym, ażeby wszyscy ten list wzięli do siebie, odpieczętowali go, przeczytali i zrozumieli — ale czy to nastąpi, nie śmiem tego rozstrzygać. To tylko wiem, że mogą być ludzie, którzy z różnych powodów nie rozumieją go,

a między nimi jedni zostaną za to bez grzechu, drudzy zaś będą winni. Dobrze byłoby, ażeby każdy, nim wyda swój sąd dla siebie o tej rzeczy, wszedł na chwilę, przymierzył się do narodu, ocenił swoje stanowisko względem stanowiska narodowego. Skoro poczuje się niższym od narodu albo wyższym, tego uprzedzam zawczasu, ażeby nie brał do siebie słów moich; nie pojmujemy się. Zwracam się do tych tylko, co są dzisiaj na równi z duchem narodu, jak ja być czuję się: ci powinni wiedzieć i czuć to samo, co ja wiem i czuję, i od tej powinności niczem wymówić się nie mogą. Tem gorzej dla tych, którzy zechcą wymawiać się i bronić się przeciwko wyższemu Prawdzie. Ich upór, ich zaprzeczenie nie zmienia nic a nic porządku wyższego. Dzień w noc nie zamienia się, że ktoś przez wstręt do jasności oczy sobie zasłonił. Niech człowiek, jak chce, w śmierć nie wierzy, przecież umrzeć musi. Ziemia nie stanęła, słońce nie zaczęło krążyć około niej, kiedy odrzucano prawdę, objawioną przez Kopernika; ziemia toczyła się, jak od wieków, i niosła na sobie tych, którzy zaprzeczali jej ruch.

Jeżeli niepodobna oprzeć się prawom świata materialnego, jeszcze niepodobniej oprzeć się prawom świata duchowego. Czy to niszczy Boga, że ktoś zaprzecza jego bytu? Czy to zmienia Jego Istotę, że ktoś swojego przedstawia? Bóg jest i będzie, jakim jest, jakim go objawił jeden tylko, który był zdolny to uczynić — Chrystus. To samo i z prawami boskimi duchowego świata, a które przez to są prawdami wyższymi; to samo z prawem poświęcenia. Naród, porządnie uorganizowany, prowadzony władzą mądrą a silną, nie upada pod zbrodniarzami lub buntownikami: poskramia ich, karze, wiesza, wygładza z porodka siebie, gdy tego potrzeba, a sam idzie dalej swoją drogą: społeczność stworzenia porządniejsza, potężniejsza, jak którakolwiek społeczność ludzka, bo prowadzona wprost przez samego Boga, tem mniej lęka się buntowników, choćby to były całe narody, a nawet całe planety, całe systemata słoneczne; ogrom stworzenia idzie swoją drogą, a opieszalych, krnąbrnych, występnych wyrzuca, zostawia lub druzgocze kołem swojego pędu. Stworzenie żyło, żyje i żyć będzie poświęceniem, dlatego po-

święcenie jest warunkiem życia każdego człowieka! Na nic tu zaparcie jego, nieposłuszeństwo jemu. Jedyne ich skutek, że zaczynają ofiary mimowolne, bolesne, a jednak bez zasługi, czyli nie posuwają człowieka ku Dobremu. Są to już kolce, które miłość Boga, i tutaj obecna, rozsypuje po mylnej drodze człowieka, aby go ostrzegały o złym kierunku. Szczęśliwy, kto skorzysta z pierwszych ostrzeżeń i w początkach upamięta się, albowiem ofiary mimowolne i bolesti z nich, im dalej, tem są cięższe, jak zimno tem dokuczliwsze, im dalej odchodzimy od słońca; albowiem powrót jest coraz trudniejszy: tą samą drogą, którą odchodziliśmy od Dobra, musimy ku niemu wracać, z tem samem cierpieniem, w tych samych kolkach możemy przebyć prędzej co do czasu, biegiem, podskokami; cierpienie może być krótkie, ale równie wielkie; albowiem, nakoniec, i to jest najgorsze, możemy przyjść aż do kresu, gdzie się kończą ofiary ostrzeżenia, a zaczyna się kara, męczarnia, mająca swoją wielkością zgładzić wielkość przestępstw, a która przez wieki ciągnąć się może, jak przez wieki trwać może złe dzieło występnego.

Przypatrzymy się temu bliżej na obrazie zbrodniarza w sferze praw pewnego narodu, czego już raz zlekka dotknąłem. Droga, która go zaprowadziła aż na śmierć haniebną, jest niczem innem, tylko zboczeniem z drogi, wytkniętej przez prawo krajowe. Zboczenie to objawiło się zrazu w małych wykroczeniach; kary były lekkie, raczej ostrzeżenia, aniżeli męczarnie — ale on, przyjmując je z rozjątrzeniem przeciw prawu, wymykając się im nieprawym sposobem, zaczął popełniać większe bezprawia, czyli składać większe już ofiary Złemu, które go popychało. Tak szczeblując po występkach coraz większych, zawsze na drodze buntu przeciw prawu, doszedł do zbrodni. Wówczas prawo odebrało mu całkiem wolność, skazało go na więzienie dożywotnie. Niepoprawiony i tem cierpieniem, szukając ratunku na dawnej zawsze drodze, popełnił nową zbrodnię w stanie niewoli i został ukarany śmiercią. Ten nieszczęśliwy doznał bolesti, jakich tylko człowiek doznać może, utracił, co jest najdroższem dla człowieka: prawa obywatela, prawa człowieka, na koniec życie — ale można-ż te cierpienia, te straty poli-

czyć mu na karb czystego poświęcenia? Można-ż prawo krajowe obwiniać o niesłuszność, o Nielitość względem niego? Bynajmniej, bo ofiary jego składane były bezprawiu na szkodę prawa, a śmierć jego była ostatnim owocem złego, które nad wszystko ukochał, to jest całkowitem usunięciem ze społeczności, utwierdzonej na Dobru.

Taka sama jest kolej opuszczających drogę wszelkiego prawa wyższego, wiecznego; kolej na skalę nierównie ogromniejszą, jak obszerniejsza jest sfera, w której to prawo panuje. Co tutaj jest okrugiem lat kilkudziesięciu, to tam roztacza się w wieki, co tutaj dosięga głów nie człowieka fizycznego, formę jego ziemskiego życia, to tam bierze go w jego istocie, w jego życiu całkowitem, aż póki nie dojdzie do kresu, gdzie się już zaczyna więzienie wiekowe, cierpienie wiekowe, a ostatecznie śmierć tego, co w człowieku jest niematerialne, czyli zepchnięcie w przepaść, skąd wszelkie zło wychodzi. — Śmierć tak długa i okropna, jak wielkie jest życie ducha ludzkiego.

§. XXI. IDEAL OFIARY W SYMBOLU ZMYŚLOWYM.

Chciałbym wszelkimi siłami ułatwić jak najmocniejsze pocucie tego, co powiedziałem; dlatego ośmielał się przyzwać w pomoc największe chrześcijanina świętości, w przekonaniu, że im nie ubliży sposobem, w jaki się ich dotknę.

Wejźdźmy w siebie, oddalmy na chwilę z nas naszego człowieka, wysoce ucywilizowanego, zostawmy tylko z niewinnem sumieniem, jakie mieliśmy w dzieciństwie, z prostym rozsądkiem zdrowym, który nigdy człowieka nie opuszcza, o czem przekonamy się na sądzie ostatecznym najdalej — i zapytajmy siebie szczerze, po prostu, dlaczego Chrystus zmarł tak okropną śmiercią? Czy dlatego tylko, aby go stawiano po ołtarzach, aby przed Jego ołtarzami kładzono, śpiewano, msze odprawiano, aby pobożne niewiasty i poety rozczulały się wspomnieniami Jego smutnego losu? To nie podobna! Najlichszy z dzisiejszych konspiratorów nie poświęciłby się jedynie dla czci podobnej; ma on przed sobą cel rzeczywistszy, dla którego

się poświęca. A gdyby się znalazł taki, cobysmy o nim pomyśleli? Nie nazwalizbysmy jego chęci najnieodrzeczniejszą próżnością, szaleństwem? Cóżby dopiero trzeba myśleć o ludzkości całej, któraby przez wieki uwielbiała, ubóstwiała takiego człowieka nie tylko słowami, ale wylewała potoki krwi dla Jego imienia, padala tysiącami, milionami, pod Jego chorągwią dla dowiedzenia Mu swojej miłości, dla rozszerzania Jego czci? Cobysmy myśleli o takiej ludzkości? Nie byłoby to dla nas zagadką nierozplątana? Tak jest! Na szczęście, że nie mamy potrzeby dręczyć się podobnem zaciekaniem ani narażać się na grzech zuchwałym sądem przeciw ludzkości. Wie ona, komu wierzy. Na jej sercu znajdziesz wypisaną taką odpowiedź: „Chrystus-Bóg przeszedł byt człowieczy, ażeby okazał człowiekowi, co człowiek jest, czem być może, czem być powinien. Kolej bytu Chrystusa jest koleją każdego człowieka. Naśladowanie Chrystusa jest warunkiem wiekowego życia każdego człowieka.“

Stąd najwymowniejsze ze wszystkiego, co o poświęceniu napisać można, jest msza.

Chrześcijanin, obecny mszy, widzi w symbolu dotykającym przedstawienie poświęcenia się najwznioślejszego, najczystszej, jakie było w świecie i być kiedykolwiek może. Nie jest to przedstawienie teatralne, martwe, albo przypomnienie moralne; jest w tym obrzędzie coś więcej: jest tam odsłonięcie sposobem widomym, dostępnym zmysłowemu nawet człowiekowi, nie tylko, jak Chrystus poświęcił się, ale razem, jak się dotąd poświęca, jak dotąd cierpi. Tajemnicza forma tego obrzędu, a tak prosta, osłania nie abstrakcję, ale rzeczywistość, straszną, niezgłębianą, nieogarniętą, którą jednak poczuć można, o ile człowiek poczuć powinien, aby powołania swojego dopełnić. Jest to jakoby wieść, przybywająca od czasu do czasu z pola bitwy, gdzie sam wódz z małą garstką zasłania cały naród w stanowczej walce, sam stoi na celu wszystkich pocisków nieprzyjacielskich i od czasu do czasu pokazuje się w oddaleniu, okryty ranami, reszcie swojego wojska i wzywa je do walki.

§. XXII. ZAKOŃCZENIE.

Co do mnie, powtarzam, nie przemawiam, jako nauczyciel; nie narzucam nikomu moich widzeń. Chcę ze wszystkimi podzielić się szczęściem, jakiego doznaję, ile razy jestem na jego drodze; wzywam do uczestnictwa w najwyższem dla człowieka szczęściu. Nie wchodzi tu w grę żaden widok osobisty; zabroniłem sobie nawet przynęty, któremi pisarze z powołania wabia czytelników. Odrzuciłem je razem z dumą pisarską, z pragnieniem chwały autorskiej, w głębokiem poczuciu ich nicości, wśród leżących przed nami czasów bohaterskiego życia; odrzuciłem je, jak wychodzący z domu obłąkanych odrzuca odzienie, które mu stanęło jego przypomina.

Prawdy, które podałem, nie są moją własnością; nie wyrozumowałem ich, nie stworzyłem. Wydobyłem je tylko ze składu, jaki niejeden ma w swoim sercu — wydobyłem to, co niejeden ma, a może w większej nawet ilości, jak ja; wydobyłem, jak odszukaną zgubę. Może kto pozna z tego, co objawiam, że i on ma coś podobnego, a wtedy niech wejdzie w siebie, niech się zagłębi w siebie, niech przetrząśnie wszystkie kryjówki serca swojego, a może znajdzie sam w sobie, czego mu nie mogłem pokazać, może znajdzie więcej, niż ktokolwiek pokazać mu zdoła, więcej, niż ktokolwiek inny posiada. Nie dziwiłbym się, gdybym nie przez wszystkich był pojęty, dziwiłbym się i bolałbym, gdyby mnie nikt nie pojął; bolałbym nie nad sobą, ale nad tymi, którzy powinni byli pojąć, a nie pojęli. W tym razie o mało nie pragnąłbym, aby na mnie samego spadła cała wina, że nie zdołałem przeprowadzić przez moje serce i rozum tych kilku promyków prawdy w całej ich czystości. Ale jeśli moje usiłowanie powiodło się, jeśli się znajdują, którzy poznają w tem, co im podaję, spólną własność, część spuścizny spólnego Ojca — niech ją biorą, niech z niej korzystają, niech ją pomnażają bez obawy zadłużenia się mnie choćby najblizszą wdzięcznością. Nie ja dałem, co wzięli. Człowiek sam od siebie nic a nic drugiemu człowiekowi dać nie może: Bóg daje, a człowiek wysługuje sobie, co bie-

rze — ofiarą czystą. Kto mniema, że wziął od człowieka — już on dawno to miał, co niby bierze — on tylko wraca do utraconego. Utracił przez ofiarę dla fałszu, a odzyskuje przez poświęcenie prawe.

1845.

MOWA NAD GROBEM MICKIEWICZA

podczas poświęcenia pomnika na cmentarzu w Montmorency 21 maja 1867 r.

Panowie!

Ten grób, świeżo w oczach naszych poświęcony, nie jest grobem pospolitym. Zamyka on śmiertelne zwłoki męża, który był mężem całej Polski; usprawiedliwi mię więc polskie wasze czucie, że się ośmielał zatrzymać was dłużej chwil przy tym pomniku. Sądzę, że do tej ofiary z naszej strony ma pewne prawo mąż, któremu nikt nie zaprzeczy życia pełnego poświęceń dla swego narodu. Cześć w suchych słowach, adoracya jałowa, pochwały pośmiertne są zapewne obojętne duchowi, który się już pozbył swojej powłoki cielesnej, a z nią próżności, do zmysłów przywiązanej, ale jest mu drogą przechowana w nas miłość dla tego, co było w nim dobre, czyste, wzniosłe, święte za życia. Ta miłość nadzmysłowa, nieśmiertelna, wiążąca nie już same ciała, ale dusze ludzkie, nie zna tamy grobu, a objaśniona przez nas, świadczy za nim przed Bogiem, co jest najpożądane dla ducha, świadczy samemu duchowi o naszym nierozzerwalnym związku, o wspólności ojczyzny, choć mieszkającym w dwóch różnych światach, o wspólności celu i dróg, a tem samem zjednywa nam jego spóldziałanie. Rzućmy mu ten wieniec przez grób jego na świat, w którym on dziś przebywa!

Jak rzeczywistą wartość narodu widzimy wtedy, kiedy go bierzemy w jego chwilach najwydatniejszych przez energią w sprawie dobrej, w jego ludziach znakomitych — tak rzeczywistą wartość człowieka widzimy w jego czynach, najjaśniej napiętnowanych podnieceniem się, natchnieniem wyższem, wydanem w ofierze najpełniejszej. Nie dosyć jest napełniać naród swoim imieniem: trzeba

go jeszcze napelnić prawdami, pożytecznemi jemu; nie dosyć być światłem: trzeba świecić narodowi na jego drodze prawdziwej. Do rzędu tych ludzi należy Adam Mickiewicz. Bóg go uposażył w potęgę słowa, naznaczył mu pole słowa za główne pole działania; tam przedewszystkiem było jego powołanie, a jak się z niego wywiązał, komuż z nas nie jest wiadomo?

W rzeczy samej dziś wzmianka jego imienia, pomyślenie o nim, stawia nas wobec najważniejszych zagadnień ludzkości w różnych jej sferach: w sztuce, w poezji, w literaturze, w polityce, w religii, w sprawie Polski i całego chrześcijaństwa.

Sąd bezstronny o rozwiązaniu tych zagadnień należy do potomności, ale trudno temu zaprzeczyć, że geniusz jego rzucił na każde z nich pasmo wiecznego światła z prawd niezaprzeczonych, z idei porządku wyższego, które im ułatwią wydobycie się ostateczne z ciemności. Droga to spuścizna dla naszego narodu, a możemy śmiało powiedzieć, dla całej ludzkości.

Zostawił nam nadto, a co w moich oczach stanowi najistotniejszą jego wartość, zostawił nam drogę własnego życia. Nie patrzymy na tę drogę ze zboczeniami od niej, z upadkami na niej, od czego jeden tylko Chrystus był wolny: bierzmy ją raczej jako główny kierunek do jednego celu ostatecznego; z jednej strony ze wszystkimi wadami, tem trudniejszym do przebycia, im droga musi iść wyżej i prościej — z drugiej z energią, z wytrwałością, z ofiarą pielgrzymującego po niej — a dopiero wtedy wyrok nasz o nim może być w pewnej części słuszny.

Droga ta człowieka jest to krzyż człowieka. Krzyż ten jest tem cięższy, im wyższe stanowisko człowiek zajmować przeznaczony. Ludzie idą za jednym ze swoich albo siłą pędzeni, albo rwani potęgą krzyża, który przed nimi idzie. Naród nie pójdzie za tym, kto niezdolny nieść krzyż narodu. Kto chce iść przed narodem, ten musi odważyć się na niesienie krzyża narodu; musi niekiedy i skonać na nim. Znamy stanowisko Adama Mickiewicza w naszym narodzie — mamy więc skalę do zmierzenia wielkości jego krzyża, możemy przeniknąć choć w części tajemnice jego życia męczeńskiego.

Tak jest, słusznie mu należeć może nazwa męczennika. Cierpiał on nie męczeństwem ciała, ale męczeństwem daleko boleśniejszym, daleko trudniejszym do zniesienia, bo męczeństwem ducha. Sądzę, że je pojmiacie i ocenicie. Czyż wy sami nie przechodziliście i nie przechodzicie przez nie? Jest-że między wami, któryby nie zaznał tortury uczuć swoich? A tortury tem boleśniejszej, im czucie jest głębsze i przestronniejsze. Potęga boleści Adama musiała być wielka; znamy ją po części z dźwięków jego poezji, z dźwięków, wpadających niekiedy aż w ton rozpacz, zemsty — a jeszcze lepiej daje się poznać tem, że ona to przedewszystkiem wstrząsła, porwała serca polskie, skupiła je przy Pocię, najwierniejszym śpiewaku ich boleści, i dała mu pierwsze miejsce w ich uczuciach.

Rodacy, wy sami dzieci boleści, wy się nie będziecie dziwić temu, co o niej mówię. Boleść dla prawdy, dla sprawy dobrej, to najszlachetniejsze piętno człowieka; a kiedy człowiek, poślubiony jej, nie schodzi z prawej drogi, aby przed nią uciec, nie odrzuca swoich obowiązków, aby się od niej uwolnić, nie zrywa ze światem, nie zamyka się w sobie, aby ją umorzyć, wtedy boleść robi człowieka wielkim mężem przed ludźmi i przed Bogiem.

Wielka to próba ludzi; i tę przebywał nasz Adam, jak niewielu przebyćby ją mogło. Cóż go krzepiło w tych boleściach? co mu dawało siłę do niesienia jego krzyża? co go prowadziło drogą prawdziwą? gdzie, jednym słowem, było źródło jego natchnień proroczych, potęgi jego słowa? Oto w celu najwyższym jego drogi, a który dla stworzenia nie może być inny, jak Stwórca; oto w strzeżeniu tego stosunku, który wiąże ducha ludzkiego w ciele ziemskim ze światem duchów, wolnych od organizacji materialnej, z ojczyzną nadziemską. Stosunek taki ażeby był czysty, zbawienny, musi być utrzymywany z wiarą, opartą na Duchu Chrystusa, środkami uświęconemi przez jego wzór i naukę a strzeżonemi przez religię katolicką. Adam Mickiewicz był katolikiem, jak lud jego, z wiarą we wszystkie dogmata, z częścią dla wszystkich obrzędów, jako środków budzenia ducha do życia i podnoszenia go ku Bogu; jeżeli wyszedł z koła nieruchomości reli-

gijnej, pobożności martwej, wiary ślepej tam nawet, gdzie Bóg pozwala otworzyć oczy, to dlatego, że słuchał więcej głosu Boga, jak ustanowień ludzkich, że w dziele Chrystusa odnosił się więcej do jego Ducha, jak do martwej litery i jej wykładaczy. Człowiek słabszy, zamilowany więcej w spokoju, oglądający się więcej na ludzi, niż na Boga, jednym słowem mniej silny uczuciem religijnem, jak był Adam Mickiewicz, nie byłby zdolny do podobnego czynu, bo ta przyszłość katolicyzmu, który przyjął za swoją, obarcza człowieka trudniejszymi obowiązkami i wzywa do większej miłości Boga i ludzi, do większej i czynniejszej, do ofiary wyższego stopnia, ciężkiej dla człowieka, mającego ofiarę ciała, życia za najwyższą, do bliższego naśladowania Chrystusa, do ściślejszego pełnienia praw Jego i życia w ich duchu. Nie uląkł się jednak tych trudności, bo, przeniknąwszy istotę religii, widział, że, jeżeli co, to religia jako naczelniczka i podstawa wszelkich ludzkich instytucji powinna mieć życie, a tego niema bez ruchu i postępu; że prawdy religijne, pełne i jasne w źródle swoim, w niebie, zesłane ziemi, muszą się rozwijać, rozrastać, aby z postępem czasu i ludzkości, dojrzewającej z czasem, mogły być użyteczne człowiekowi. Tak pojmując katolicyzm w przyszłości, wiernym był synem jego Kościoła. I nie znam w życiu jego chwil wznioślejszych nad czas, który przeżył pod natchnieniami, płynącymi ze źródła tej wiary rozszerzonej. Prawdy, płynące przez niego na katedrze paryskiej, są może najwyższem jego natchnieniem poetyckiem.

Jeżeli kto, to my, Polacy, powinniśmy przyjąć za swoje to piętno religijności, odznaczające drogę Mickiewicza Adama; jeżeli komu, to nam najszkodliwszą jest bezbożność, a nawet obojętność w religii, która zresztą jest tylko innem licem bezbożności.

Najpotężniejszym sprzymierzeńcem naszych wrogów jest bezbożność. Bezbożność jest ich Bogiem. Wszystkie bezprawia, które popełniają względem nas, są to ofiary, składane na ołtarzu bożyszcza bezbożności. — I to im daje siłę. — Ale my, my, stając się bezbożnymi, schodzimy na ich pole, uznajemy ich bóstwo za swoje, tracimy oręż naszej wiary, zostajemy bezbronni, jesteśmy przed walką

pokonani; — wtedy wróg nasz, mocniejszy od nas na tem polu i w tej wierze, w większej łasce u swego Boga, może śmiało poglądać z uśmiechem szyderskim na wszelkie nasze wysiłanie się przeciw sobie. — Wolność nasza w tym stanie jest pozorna, ciosy nasze bezsilne, bo żywioł wolności, źródło siły, duch nasz, już jest skrępowany jego pętami przez cześć, oddawaną temu samemu bożyszczu. Zły duch moskiewski, zły duch niemiecki, panuje już nie tylko ciałom naszym, ale w duszach naszych, nie już z zewnątrz, ale wewnątrz nas, skoro wygnaliśmy z siebie Boga ojców naszych, skoro zerwaliśmy nić wiary z potęgami narodowej naszej przeszłości.

Życie polskie jest w tym tylko, w kim nie zamarło życie przeszłości polskiej, w kim potracone ogniwo obecności obudza i wprowadza w grę cały łańcuch życia, przeżytego przez jego przodków, kto, jednym słowem, związany jest przez ducha swojego z duchem przodków. Kto nie jest w tych warunkach, ten przyszłości nie poda życia polskiego, bo rzeczywiście sam już nie jest Polakiem. Może mieć jeszcze formę zewnętrzną Polaka, ale ta forma będzie martwą; jest on już za życia umarłym dla Polski prawdziwej: a jeśli pracuje nad Polską, to nad taką, do jakiej się nie przyzna ani Polska prawdziwa tu, na ziemi, ani tam, na niebie, Bóg, Stwórca Polski Bożej; jak ów robak, który się wylega z trupa, nie jest człowiekiem, jakim był trup, kiedy go duch ludzki ożywia, chociaż wylął się z człowieka.

Bez tego wewnętrznego związku z Polską przeszłą, bez tego wspólnego z nią życia i uczucia nie dosyć jest mieć ciało polskie, nie dosyć mówić językiem polskim od kołębki. Można mówić rodowitym swoim językiem, a obok tego można go nie umieć, nie rozumieć... i nie być zrozumiałym. Ażebym umiał i rozumiał język polski, potrzeba, ażeby słowa polskie trafiły tak do mojej duszy, jak trafiały do duszy starych Polaków, i te same i tak silne budziły w niej uczucia. Na czele takiego słownika narodowego leżą między innymi takie wyrazy, jak: Bóg, ojczyzna, dusza, wiara, miłość Boga i bliźniego, ofiara itp.

Otóż jedno ze źródeł, jedna z tajemnic potęgi geniuszu Mickiewicza, że przez miłość przeszłości polskiej, przez

niezerwany z nią związek, znał i rozumiał język przodków; że ten język, że każdy jego wyraz żył w nim, jak żył w przodkach; że każdy ten wyraz uderzał dawną siłą w strunę Jego ducha i wydobywał z niej te dźwięki, które tak czarodziejsko grały naszym duszom, naszym sercom muzyką całej naszej przeszłości i wprowadzały nas w przysze życie. Oby i w tej chwili odezwały się w naszych wnętrzach!

Tem pragnieniem zawiązuję ten wieniec, na jaki mogłem się zdobyć, i składam go na ołtarzu Adama Mickiewicza, aby Jemu świadczył o naszej miłości dla niego, a nam przypominał ważną tę prawdę, że objawienie się w narodzie takich ludzi, jak Adam Mickiewicz, obowiązuje naród do zajęcia stosownej wysokości i wkłada na niego wielką odpowiedzialność, jeżeli zbacza z drogi, wiodącej do tego szczytu!

MOWA NAD GROBEM IZABELLI DOBROWOLSKIEJ

w d. 30 Września 1872 r.

Za chwilę ten grób otwarty, który widzimy, zamknie się i odejmie nam na zawsze to, co jeszcze niedawno było małżonką, matką, światłem ogniskiem rodziny, wzorem miłości chrześcijańskiej i poświęcenia się w różnych kolejach żywota. W takiej chwili, wobec tych zwłok śmiertelnych, a jeszcze bardziej wobec ducha nieśmiertelnego, który je ożywia, a który w tej chwili widzi nas i słyszy, bo jest nieśmiertelnym, nie tylko godzi się nam, ale jest powinnością dla nas, okazać naszą ludzką boleść z tego, chociaż doczesnego rozstania się, o ile ta boleść da się wysłowić po ludzku. Jest to dług miłości i boleści, płacący ową miłość i boleść, która z tego ducha przez te zwłoki wyląła się podczas jego żywota w jego zakresie ziemskim.

Tą boleścią składamy także i cześć, zmarłej należną.

Uwielbiamy żołnierza, który w obronie dobrej sprawy ginie z bronią w rękę na polu bitwy, i słusznie, bo okazał męstwo, wytrwałość, spełnił ofiarę aż do poświęcenia swego życia — ale kto wie, czy nie dzielniejszym żołnierzem jest niewiasta polska w obecnem położeniu narodu, niewiasta, która przez całe swoje życie potrafiła wypełniać wszystkie swoje obowiązki chrześcijanki, Polki, członka rodziny, kto wie, czy takiej niewieście nie większego potrzeba zapasu odwagi, wytrwałości, energii, ducha poświęcenia się, jednym słowem więcej siły duchowej na jej polu walki skromnem, ograniczonem ścianami domowego życia, zakrytem dla oczu świata, aniżeli żołnierzowi, uzbrojonemu w oręż, walczącemu wśród tysięcy pod bodźcem chwilowego zapału? I kto wie, czy wartość takiego żołnierza-niewiasty nie jest większa przed naszym

Ojcem niebieskim i Sędzią najwyższym, jak wartość żołnierza, padającego na trupach swoich wrogów.

Do takich żołnierzy-niewiast możemy śmiało policzyć zgasał wśród nas Izabellę Dobrowolską. Upoważniają nas do tego nieodparte świadectwa, a temi świadectwami są żyjące owoce Jej żywota ziemskiego, obecna tutaj bolejąca Jej rodzina, wychowana pod Jej sercem, prowadzona Jej czuciem po drodze chrześcijańskiej i polskiej, a choć wyrwana z gruntu rodzimego, wierna religii przodków, wierna duchowi narodowemu, wierna tak ciężkim obowiązkom, jakie ten czas męczeński na społeczność naszą wkłada. Szczegóły jej półwiekowego niemal życia na czele rodziny mogłyby pokazać w jaśniejszym świetle to życie pełne poświęcenia, ale są tu rzeczą podrzędną; wymowniej od nich mówią te świadectwa, jak powiedziałem, żyjące w członkach jej rodziny, wychowanej i dochoowanej przez nią Bogu i Ojczyźnie.

Śmierć zamyka rachunek ziemski człowieka przed Bogiem. Wyroki sądu bożego są dla nas tajemnicą — ale nam wolno kłaść na szalę ulubionych nam osób naszą boleść, naszą miłość — i ufajmy, że Bóg ich nie odrzuci. — Złożmy je więc na tym progu świata, do którego się przeniósł duch zmarłej, w modlitwie, aby Chrystus Pan położył je w poczet jej zasług, i życiem wiecznem nagrodził trudy życia doczesnego, wiecznym pokojem burze, przebyte w świecie ziemskim, wieczną Ojczyzną Ojczyznę doczesną, wiecznem szczęściem niedolę obecnych dni naszych, niedolę, która mimo to nie zdołała sprowadzić zmarłej z drogi jej powołania jako matki, żony, Polki i chrześcijanki, ani osłabić w niej miłości Boga i bliźniego.

Racz przyjmając, o Panie, tę ufność naszą w miłosierdziu Twojem, jako najgorętszą naszą modlitwę, jako jedyną ofiarę, na którą w tej smutnej chwili zdobyć się możemy! Prosimy Cię nie tym językiem ludzkim, nieudolnym, ale uczuciami naszymi, których szczerość, głębokość i boleść widzisz lepiej, niż je wydać możemy.

W tej modlitwie żegnają Was, drogie zwłoki, towarzyszy dogonny Waszego żywota na trudnych drogach Waszych, żegnają Was osierocone dzieci, żegnają przyjaciela, bliźni i dalsi znajomi, żegnają wszyscy tu obecni za siebie

i za nieobecnych, a z którymi w jakikolwiek bądź sposób byliście związane na tym spólnym padole boju i cierpienia — żegnają Was na wieki jako cząstkę doczesną, śmiertelną zmarłej — nie żegnają na zawsze Ciebie, duchu nieśmiertelny, który ożywiłeś te zwłoki, ale do spotkania się mniej więcej rychłego w świecie bliższym Boga, szczęśliwszym, niż ten doczesny, w tej oraz ufności, że dochowasz im miłości, która Cię wiązała w życiu śmiertelnem z nimi, a oczyszczony cierpieniem ziemskim i pobytem w sferze większej łaski i światła bożego, nie przestaniesz ich nawiedzać i wspierać Twoją miłością, jakżeś ich wspierał widomy w tem oto cielem.

Wieczny pokój w ziemi i na niebie Tobie i zwłokom Twoim, Izabelle, w Królestwie Chrystusa Pana.

Wieczny Ci pokój, błogosławionym obiecany!

PRZEDMOWA

do wydania wrocławskiego z roku 1852.

Pisma, zawarte w niniejszym zbiorze, są częścią jednej z głównych prac mojego życia, w wywiązywaniu się z powołania, jakie czuję na sobie dla dobra moich ziomeków i mojego własnego.

Moim pragnieniem było widzieć zbiór ten większy, pełniejszy, całkowity, i tym sposobem złożyć w jednej całości, raz na zawsze, mojemu narodowi, co mu odemnie należy z długiego, ważnego okresu mojego życia; jakkolwiek bowiem plody te nie zawsze są wartości pożądaney i użytku pożądanego, wszakże śmiem sumiennie twierdzić, że względnie do czasu, do ogólnego stanu rzeczy, do ducha przeszłości, pod wpływem których były wydawane, poczynaly się w chęciach czystych i szczerych, w usiłowaniach ofiary żyjącej, czynnej jak ją wówczas pojmowałem, na jaką wówczas zdobyć się mogłem. Okoliczności, przeszkody, niezawisłe od mojej woli, nie dozwoliły mi ziścić tego pragnienia, musiałem ograniczyć się do czasu na ogłoszeniu cząstkowem, nie tracąc nadziei, że wkrótce innemi drogami zbiór ten dopełnię i zamknę.

Cokolwiek nastąpi, czuję się w obowiązku poprzedzić te pisma kilku słowami, któreby pomogły czytelnikom widzieć je w świetle jak najprawdziwszem, przynajmniej z pewnej ważnej ich strony, a to dlatego jedynie, aby przyniosły jak najmniej szkody przez to, co może w nich być szkodliwe, a przysłużyły się prawdzie czątkami prawdy, które się w nich zawierają: chciałbym jednym słowem, aby z ich użytkowano z tego stanowiska bezstronności, z którego ja sam patrzę dzisiaj na nie.

Pomijam formę, stronę zewnętrzną tych utworów, nie, żebym ją lekceważył, ale, że ją mam za rzecz podrzędną,

że byli już i znajdują się jeszcze bez wątpienia, którzy właściwiej i lepiej ze stanowiska sztuki rzecz tę roztrząsają i osądzają, że na koniec w samem tworzeniu zajmowała mię głównie idea, istota utworu. Ograniczam się więc na tem tylko, przez co możnaby mieć sąd jak najwłaściwszy o istocie tych pism, o ich wartości wewnętrznej.

Nie pisałem nigdy w widokach zysku materialnego — tak zawsze wysoko ceniłem świętość natchnienia, że handel nie kładłem na równi ze świętokupstwem; a być rzemieślnikiem w pisarstwie, na to, dzięki Bogu, nigdy się nie mógł zdobyć, nawet pod bodźcami najdogliwszych potrzeb życia.

Nie pisałem nigdy dla rozrywki, dla uciechy własnej lub innych. Powołanie poezji schodzi, według mnie, z takiej wysokości, że zamienianie jej w narzędzie igraszki lub rozkoszy, w trefnisią lub nierządnicę, uważam za jedną z wielkich zbrodni moralnych, wielką, w czytelniku, jeszcze większą w poecie. Szanowałem też samego siebie tyle, żem się nigdy nie zniżył do podobnego spodenia.

Nie pisałem nawet nigdy dla oklasków, dla chwały ludzkiej. Taką cześć czuję w naszej chwale poziomej, że nie byłbym nigdy zdolny jednej nocy dla niej nie dopaść. Dlatego jeszcze nie pojmowałem nigdy owej zasady: sztuka dla sztuki, i nigdy nie uderzyłem czołem przed jej bałwanem.

Człowiek działania, otoczony zewnątrz niedolą rzeczywistością, wewnątrz budzony to bólami rzeczywistości, to przewidywaniem, a niekiedy i poczuciem szczęścia rzeczywistości, wpleciony w koło rzeczywistości wszystkiemi władzami ciała i ducha, całą istotą, miałem zawsze, chciałem mieć poezję za rzeczywistość, za czynny środek, za potężną dźwignię w robocie rzeczywistego postępu ciała i ducha ludzkiego, podnoszenia się ich ze sfery ziemskiej, materialnej, ku sferze coraz duchowniejszej, coraz bliższej Boga. Z jakichkolwiek światów przyjmowałem natchnienia, uczucia, idee, w jakiegokolwiek ubierałem je ciało, pod jakąkolwiek przedstawiałem je formą, mój cel główny, moje stałe usiłowanie było zawsze: tak je zastoso-
sowywać do chwili danej, do potrzeb obecnego położenia, aby życie obecne zasilać przeszłem lub przyszłem, wi-

dome, dotykalne podnosić, uświęcać niewidomem, nadzmysłowem.

Do tegom zawsze zmierzał, tegom nie zawsze dopiął, a może nigdy w pełni. Jest to powszechna niedola czasu; wszystkie drogi ludzkie w sferze przeszłości, następne siłom ludzkim, samym sobie zostawionym, zaufanym w sobie samych, są pod jej prawem. Winny spólną wszystkim winą, byłem pod prawem wszystkich. Jako poeta nie mogłem być lepszym od innych, którzy są bez porównania potężniejsi, jak, ja ale na drogach równie niewłaściwych. Koleje nasze, jeżeli nie te same, to podobne sobie, bo krążą po tej samej sferze: stąd w całym ogóle te same wady, upadki, ta sama mieszanina prawdy i fałszu, świętość celów a pogaństwo środków, wyraz natchnienia nieodpowiedni jego wysokości; na dnie czysta religijność, a w objawieniu oszpecona nizkimi namiętnościami; walka na śmierć ze złem, z fałszem, z uciśkiem, a w tej walce taktyka i oręż brane ciągle od przeciwnika; stąd szamotanie się bez końca i następnie gorczyz tonu, rozpacz, zwątpienie, omdlenie, albo, w potężniejszych duchach, wyrzeczenie się sfery ziemskiej, oddalenie się z pola boju, życia, działania, ofiary, a utonienie w sferach marzenia, nierząd z marami i szczyt tego stanu, prorokowanie bezpłodne, czyli dostrzeganie prawdy zamglone, bez mocy, bez wiedzy dojścia do życia przez nią i doprowadzenia drugich do tego życia.

Oto jest charakterystyczne piętno utworów naszego czasu; czas ten odbija się i w moich pismach. Niepodobna mi było uniknąć tego upadku, ze światłem i siłą, które nam daje przeszłość, trzymana dotąd przez ludzi, niepodobna mi było postrzedz się nawet na nim bez nadzwyczajnej pomocy z ogniska wszelkiego zbawczego światła, wszelkiej prawdy żyjącej. Ta pomoc dotknęła mię, kiedym usłyszał, kiedym przyjął słowo żywe nowych czasów, zapragnął całym duchem wyższego życia chrześcijańskiego, poddał się wyższemu prawu Chrystusowemu, postawił krok pewny na drodze ofiary wyższej, duchowniejszej.

Jest to jedna z chwil najważniejszych, nie tylko w moim żywocie obecnym, ale w mojej wieczności, w całym bycie

ducha mojego, kiedym się zbliżył z mężem, przez którego mi ta pomoc, ta nadzwyczajna łaska niebios zesłała. Nie tu miejsce i pora obszerniej to opowiedzieć, ale dopełniam obowiązku braterskiej miłości, składając i w tej chwili, w tych kilku ogólnych słowach świadectwo prawdzi, opiece wyższej, gotowej zawsze ratować człowieka, na koniec mężowi, który dla mnie stanął wiernym jej organem.

On to, między innem dobrem, które mi sprawił, także mię wprowadził i w tajemnice poezji, głębiej i jaśniej, niż wszystkie najlepsze o tem książki, niż najbieglejsi estetycy i krytycy, niż najwyżsi poeci, a tem samem zobaczyłem w większej prawdzie i siebie i moje prace na tem polu.

Patrząc z nowego mego stanowiska, miałem chwilę jakby przerażenia, do tego stopnia, że mi przeleciała myśl zniszczenia wszystkich pism moich z tego okresu, zamkniętego już dla mnie. Ale światło tego samego stanowiska, kiedym się lepiej rozpatrzył, odkryło mi drogę prawdziwszą. Poczulem, że nie miałem tego prawa życia i śmierci nad moimi utworami, że jestem niemi dłużny mojemu narodowi, mojemu czasowi. I zacząłem usiłować, aby jak najprędzej wypłacić się z tego długu. Tem ogłoszeniem wypłacam się z pewnej części. Nie jest w mojej możności wypłacić wszystko od razu. Mam pewnością, że to wkrótce nastąpi.

Dopełniając i zamykając, com wyżej powiedział, ostrzegam:

że pisma, zawarte w niniejszym zbiorze, należą do okresu życia, który, mam nadzieję w Bogu, zamknął się dla mnie już na zawsze; nie będą więc nigdy stanowiły doskonałej jedności z tem, co piszę obecnie, a co chciałbym także jak najprędzej ogłosić;

że wszystkie te pisma nie przechodzą za datę r. 1842, kiedym stanął na innem stanowisku widzenia prawdziwszego wszelkiej rzeczy;

że ich nie podaję za pomniki sztuki. Najwłaściwiej cały ten zbiór jest jakoby część pamiętników rymowanych mojego życia i moralnego i ziemskiego, rodzaj spowiedzi z przeszłości, odgraniczonej obecnością inną. I w rzeczy

samej, są one objawieniem różnych dróg, po których w przeszłości duch się mój błakał, odznaczając je widomie poezjami.

I to był główny powód, który mię skłonił do ogłoszenia tych poezyi. Czytane, rozbierane ze stanowiska prawdziwego, w swoim złem i dobrem, mogą być bardzo pożyteczne. Mówię to z własnego doświadczenia.

A to stanowisko prawdziwe, na którym człowiekowi złe nie szkodzi, a dobre zasila go całem swoim życiem — jest w mocy każdego.

Ja z mojej strony, com powinien był zrobić, o ile prawda, o ile możność bliźniego zostawiła mię wolnym w tej rzeczy, to zrobiłem: dałem klucz do tego stanowiska, a przynajmniej wskazałem, gdzie go trzeba szukać, gdzie można znaleźć. Klucz ten posłuży nie na samem tylko polu poezyi.

Dobra wola, prawdziwe czucie chrześcijańskie łatwo mię pojma, a czytelnicy tej przemowy mogą być pewni, że, prędzej czy później, pójdzie każdemu według jego pragnień najgorętszych, według kierunku usiłowań jego.

Oto słów kilka, do których naród mój z powodu tych pism miał prawo, które mu koniecznie byłem winien, które mu przesyłam w pragnieniu, aby je przyjął z takim rozmysłem i miłością, z jakim rozmysłem i miłością pisałem je dla jego dobra.

Pisałem 4 lipca 1851 r.

PRZEDMOWA

do poematu „Posłanie do Polski“ (Paryż, 1869).

Poezja, ofiarująca się dzisiaj moim Ziomkom, napisana była w pierwszych dniach 1856 roku, pod wpływem ówczesnych wypadków, ze względem na ówczesny stan Europy i Polski. Dwanaście lat upłynęło od tej chwili. Wiele zmieniło się — na pozór, istota pozostała ta sama. Zło przybrało inne formy, mniej rażące, ale w istocie swojej pozostało, czem było, a właściwiej mówiąc, zrobiło postęp, pogorszyło się. Najwidoczniej odbija się to na naszej ojczyźnie. Sądzę, że byłoby zbyt cennym dowodzić tej prawdy, pisząc się tak krwawo na sercu polskiem. A jeżeli członek — Polska — tak chory, to i ciało — Europa — nie może być zdrowem: bo niech, co chcę, mówią i robia, Polska była i pozostanie członkiem ludzkości — i swoim zdrowiem lub chorobą będzie wpływać na całe ciało, będzie skalą stanu Europy i chrześcijaństwa. Służę więc Ziomkom, czem pragnąłem służyć im przed laty dwunastu.

Pozostaje mi jeszcze dodać słów kilka, objaśniających, co może być przytłaczającym do pojęcia czytelnikowi, nie obytemu w sferze, z której zaczerpnąłem niektóre pomysły, niektóre wyrażenia, użyte w tym utworze. Czytelnik dobrej woli wejdzie przez to na moje główne stanowisko, obejmie jednym rzutem oka całość, a tem samem będą mu jaśniejsze składające ją szczegóły.

Jesteśmy w sferze ludzkości, znającej już prawa Chrystusowe, w sferze ludzkości chrześcijańskiej.

W tej sferze Naród, jako członek chrześcijaństwa, ma na sobie obowiązek wykonania w pewnej części dzieła, które Chrystus wykonał całkowicie w duchu, a którego plan zupełny zostawił w swoich słowach i czynach, i w związku swego kościoła z kilkunastu swoich uczniów. Dzieło to jest nie innego, tylko wyparcie ziemi panowaniu du-

cha, przeciwnego Bogu, a przywrócenie jej do stanu, w jakim była przed upadkiem człowieka, kiedy myśl, w jakiej Bóg stworzył ziemię, objawiała się przez człowieka w całej swojej jasności. Upadek człowieka, a następnie zniżenie się całej ziemi, jako poddanej jego kierunkowi, stało się winą człowieka, i nie może się odstać, tylko trudem człowieka na drodze poprawy — z pomocą Boga, spływającą dla człowieka przez świat wyższy ducha. Ta praca człowieka, z utworzeniem się narodu przechodzi na naród, a ta praca narodu jest jego posłannictwem narodowem. Świat wyższy, nadmysłowy, widzący w pełni myśł bożą, którą Naród winien urzeczywistnić na ziemi, rozjaśniający mu tę myśl, prowadzący go po drodze właściwej, przychodzący mu z pomocą w jego potrzebach, jest myślą bożą dla narodu, jego gwiazdą jasną, jego aniołem-stróżem, jego duchem narodowym; naród jest ciałem tego ducha. Naród idzie dobrze, póki idzie w jedności, w zgodzie ze swym duchem; widzi jasno swój cel, swoją drogę, ma siłę do pokonania najtwardszych przeciwności, do pełnienia najtrudniejszych ofiar: krzyż biały, część krzyża Chrystusowego, przedstawiający ofiarę dobrowolną, jest jego krzyżem. Naród idzie źle, kiedy zerwie ze swoim duchem; traci wtedy widzenie celu i drogi, schodzi z niej na bezdroża, napotyka przeszkody nad swoje siły ludzkie; każdy krok trudniejszy, każda chwila coraz cięższa, a coraz mniej siły; krzyżem jego nie jest już krzyż Chrystusowy, ale krzyż czarny: trudy, ofiary mimowolne, podparciem wypadków, okoliczności; żyje na osłep, działa jako niewolnik sił, wewnętrznych jemu.

Wtem bolesnem położeniu jest dzisiaj nasz naród. Przeniewierzenie się chrześcijańskiemu jego posłannictwu, a stąd, jeżeli nie zupełne zerwanie, to wielkie zwolnienie związku z jego duchem wyższym, są dziś głównem źródłem naszych cierpień, naszej słabości niebezpiecznej; lekarstwo przeciw temu jest jedynie w przyjsciu do jedności z naszym duchem, w życiu tym duchem.

Jesteśmy parci ku temu wołaniu bożemu, tem silniej, tem boleśniej, że upadek nasz moralny wpływa źle na stan innych ludów chrześcijańskich. Nasze dzieje, nasze in-

stytucje społeczne i polityczne, nasze zasady w życiu publicznem, wiadome całemu światu, świadczą, że byliśmy narodem, między innemi, najgłębiej czującym, co Chrystus zostawił światu, najczystej stosującym do życia prywatnego i publicznego jego prawa, najzdolniejszym do ofiar, których On wzór nam zostawił. Przez to dokonało się wiele dobrego w chrześcijaństwie, i na odwrót ziele się bardzo wzmocniło przez naszą niewierność Bogu. Chrześcijańska ludzkość czuje to instynktem, jeżeli nie widzi jasno rozumem; stąd miłość dla nas, litość, współczucie jednych, a oburzanie się, niechęć drugih.

Parcie to na nas i ziemi i nieba jest w chwilach obecnych tem gwałtowniejsze, że całe chrześcijaństwo powołane jest na stopień wyższy o wiele wieków, do wejścia w epokę, która po epoce teorii słowa bożego, przygotowania się w duchu i w ciele, ma być już epoką ściślejszego pełnienia praw, płynących z tego słowa, widoczniejszego życia duchem więcej ucieleśnionym, jaśniejszego promienienia się miłości Boga i bliźniego w życiu ludzi i narodów. A zadanie to chrześcijaństwa płynie ze świata wyższego. Dla Polski płynie ono także z owego świata przez jej ducha narodowego, który razem jest ogniskiem ubłogosławionych, uświęconych przodków naszych. Przeto prosty powrót i spoczęcie w czystej pobożności ojców naszych nie przyprowadzi nas jeszcze do zupełnej jedności z duchem naszym; musimy podnieść się nad przeszłość, do wysokości, do jakiej wzywa nas dzisiaj duch polski, abyśmy mieli siłę poświęcenia, odpowiednią sile złego, której Bóg dopuszcza wzrastać do pewnego kresu, w miarę większego wpływu prawdy bożej na ziemię.

A gdy tego dopełnimy przy pomocy bożej, otworzy się nam pole walki pomyślniejsze, niż dotąd, wystąpimy uzbrojeni orężem, któremu podobnego przeciwnik nasz mieć nie może — i pokonamy go na wieki.

Oto osnowa podarku, który dziś składam Narodowi, jako wywiązanie się ze świętej, leżącej na mnie względem niego powinności.

Kończę świętem pragnieniem i życzeniem w prostej wierze naszego ludu, aby Zbawca nasz, Chrystus, w swojej

łasce, przywiązanej do pamiątki, uroczyste w tych dniach święconej, raczył objawić się w sercach polskich i podnieść je do życia, którego wzór nam zostawił, jak przed ośmnastu wiekami objawił się dla całej ziemi.

Paryż, 25 grudnia 1868 r.

RZECZ O POEZYZI POLSKIEJ.

Mamy przed sobą przedmiot bardzo ważny dla narodu naszego, jego poezję, będę więc usiłował, o ile mię stać na to, dotknąć go jak najbliżej, obejrzeć jak najwszechstronniej, ażeby to zatrzymanie naszej nad nim uwagi przyniosło nam korzyść rzeczywistą. Może nie powiem nic nowego, o to się nie kuszę, ale wywiążę się z mego założenia, jeżeli potrafię wypowiedzieć w sposób treściwszy, jaśniejszy, co już może było nieraz powiedziane; jeżeli potrafię przedstawić ten mój przedmiot w całej jego prawdzie, najwierniej według tego, jak on się przedstawia mnie samemu. Winienem przytem uprzedzić, że nie z duchem krytyki wchodzę na to pole naszej poezyi; główne zadanie, jakie sobie położyłem, jest wskazać stanowisko, z którego mógłby każdy najpewniej, własnym swoim sądem oceniać naszych poetów i ich utwory, z którego mógłby każdy własnem okiem objąć całe pole naszej poezyi i własnym rozsądkiem ocenić, ile w niej może być prawdy, a ile fałszu, co może być zbawienne i przyjęte, a co szkodliwe i odrzucone.

Przedewszystkiem weźmy poezję polską w jej znaczeniu najwyższem, najprawdziwszem, w jej całości, której poezya bądź śpiewana, bądź pisana jest tylko częścią, jest tylko jednym z owoców tego olbrzymiego drzewa. Tak jest, nie byłoby poezyi pisanej, gdyby nie było poezyi samorodnej, że tak się wyrażę. Nie poeta tworzy poezję, ale poezya tworzy poetę, jak nie człowiek tworzy świat ducha, ale świat ducha wydaje z siebie człowieka. To, co nas porywa, unosi w utworze poety, co nazywamy poezją, leży w istocie każdego utworu, przez Twórcę tam złożone, jak woń, jak dźwięk, jak światło w sferze materialnej; jest to ruch, drganie życia, ducha tego tworu, jest to położone na nim piętno miłości bożej, ofiary bo-

żej, która ten twór spłodziła, ożywiła technieniem bożem, częstką Ducha Bożego, i zachowuje.

Jest to poezya, odziana formami zmysłowemi, materyą, uderza też głównie nasze zmysły, przemawia do zmysłów, porusza ducha naszego przez naszą organizację materyalną. Ale też sama poezya, i potężniejsza, jest w świecie nadzmysłowym i działa wprost na ducha ludzkiego. W tem jest cała tajemnica tego stanu poety, który nazywamy natchnieniem.

Przypatrzymy się bliżej tej tajemnicy. Nie jest ona niewytłumaczoną dla tego, komu jest prawdą świat zazmysłowy, związek jego ze światem naszym, spóldziałanie tych dwóch światów. Przeczuwano tę prawdę przed Chrystusem; wyznawali ją poeci pogańscy, greccy na przykład, którzy uosobiali natchnienie w swoim Febie. w swoich muzach; widzimy ją jasno w poetach hebrajskich, w prorokach, kiedy aniołowie otwierają im oczy na przyszłość, a w usta kładą prawdy, potrzebne ludowi. Największej jednak wagi są dla nas przykłady z dziejów poezyi chrześcijańskiej. Anioł, posłaniec Chrystusa, wprowadza św. Jana w światy nadziemskie, aby stamtąd zobaczył dzieje ludzkości aż do końca świata, do całkowitego spełnienia się Myśli, którą Bóg na globie ziemskim położył. Dante z duchem Wirgiliusza zwiedza piekło i czyszciec, z duchem Beaty do raju się wznosi. Milton wzywa pomocy ducha św., zaczynając pieśń swoją o raju utraconym. Znany całemu chrześcijaństwu hymn: „Przybądź, Duchu Stworzycielu“, znany szczególniej narodowi naszemu, bo ta modlitwa o natchnienie ze świata wyższego poprzedzała każde otwarcie sejmu, każdą ważniejszą publiczną czynność.

Wszystko to, zastosowane do przedmiotu, który nas obecnie zajmuje, świadczy tej prawdzie, że natchnienie poety jest to potracenie ducha jego przez świat zazmysłowy, a w tem potraceniu zasilek z ciepła i światła, z czucia i z idei, to jest z ruchu i z kierunku tego ruchu. Rzecz poety skorzystać z tego zasilku dla dobra swego i drugich, a wartość jego: o ile z niego korzysta, lub go zmarnuje, na czem się często kończy.

Wróćmy teraz do głównego wątku naszej rzeczy.

POETYCZNOŚĆ ZIEMI POLSKIEJ.

To, cośmy dotąd wyłożyli, określa nam plan dalszego ciągu rzeczy. Trzymając się tego planu, zrobimy przegląd pod względem poetyczności ziemi naszej, dziejów naszych i w końcu poezyi naszej pisanej.

Poezja najpierwsza przyjmuje człowieka, przychodzącego na ten świat, poezja, w różne formy dotykalne przybrana. Ta matka, kładąca na czole dziecka pierwszy pocałunek, zwilżony łzą przeminionych bólów a gorący radością z nowego życia, którem się życie jej rozszerza, to pierwsza miłość, biorąca nowego człowieka w swoją opiekę, a więc pierwsze dla niego objawienie się poezyi. Troskliwość ojca więcej ukryta, radość jego poważniejsza, siłą męską dopełniają, co tkliwości niewiasty brakuje. Dziecię ma poezję rodziny. Dom rodzicielski osłania je swojemi ścianami, — nakrywa swoim dachem; drzewa, co pierwsze uderzyły słuch jego szumem, kwiaty, co pierwsze zwróciły na siebie wzrok jego blaskiem barw swoich, woda, co pierwsza pokazała mu w swoim zwierciadle niebo pogodne lub chmurne, słoneczne lub ugnieźdżone, jakby je ucząc niemym ale wymownym obrazem z związku ziemi z niebem; ptaki z pierwszym dla jego uszu szczebiotem, zwierzęta domowe z pierwszemi dla niego pieśczołami — to pierwsze jego sługi, pierwsi mistrze miłości. A przez miłość zna już ojczyznę ziemską na małą skalę, jest pod opieką poezyi, tryskającej z tworów szczebla niższego, z rodziny, młodszej od człowieka.

Któż z nas nie unosi się do owych chwil swojego dzieciństwa, swojej pierwszej młodości, do owej okolicy, gdzie mu te chwile spłynęły? Jest-że ktoś, co by nie zaznał w nich szczęścia, jakim darzy miłość dawana i otrzymywana, co by zaprzeczył, że był wówczas poetą, nie piszącym, ale czującym i żyjącym? Mniejsza o to, że ten dom, że ta okolica, była gdzieś na piasku mazowieckim, w borach poleskich, lub na stepie ukraińskim, że się nie odznaczała żadnym szczególnym wdziękiem, — mniejsza o to, miała ona wdzięk, miała urok, którego żaden powab zewnętrzny nie zastąpi, wplotła się w życie nasze swoją nam służbą, swoją dla nas miłością.

Czem jest dla Polaka pojedynczego jego dom rodzinny, jego okolica rodzinna, tem samem jest dla całego narodu polskiego ziemia, którą posiada, z którą związał się, zlał się w jedno przez miłość zobopólną, przez spółzycie, nie kilku lub kilkunastu lat, ale wielu wieków. Z pozoru ogół jej niema tych piękności, jakimi się odznaczają ziemie innych ludów, ale ma rysy niektóre, co tworzą piękność jej tylko właściwą, jak między ludzkimi twarzami są twarze niby niepiękne, według przyjętych mniemań o piękności, a jednak piękne przez kilka rysów, które się raczej odgadują, niż chwytają okiem, piękne blaskiem piękności wewnętrznej, piękności duszy.

Masz tu olbrzymie Tatry i długi łańcuch Karpat z całym światem tajemniczym duchów różnej nazwy, różnych postaci. U ich prawie podnóża Kraków ze swoimi mogiłami, ze swoim Wawelem, uwieńczony krocim podać, których początek ginie w cieniach wieków. Dalej Gopło z Kruszwicą, uwiecznioną podaniem Piasta. Obok Gniezno — gniazda orłów, kolebka przyszłej Polski. Od północy ziemie pruskie, pełne jezior, zroszone krwią św. Wojciecha, a później pole dwuwiekowej walki Polski z Krzyżactwem. Dalej, na brzegach morza bursztynowego Żmudź z ludem, tak dziś chrześcijańskim, jak był niegdyś zacięty w swoim pogaństwie. Na wschód i południe lasy i jeziora Litwy aż do bagien Poleskich, aż do puszczy dziewiczych. Z nich wychodzisz na ziemie ruskie to płaskie, jak Wołyń, to górzyste, jak Podole w stronie naddniestrzańskiej, to wdzięczne mieszaniną stepu i lasów, płaszczyn i jarów, jak Ukraina. Dalej step rozlany, jak morze, a zamyka go morze Czarne. A też nasze puszcze: Niepołomska, Świętokrzyska, Białowieska i inne. A też nasze rzeki: Wisła, Odra, Warta, Dniepr, Dniestr, Boh, Dźwina i wiele innych. Ale nade wszystko te istoty tajemnicze, któremi je wyobraźnia ludu osiedla, owe Rusalki, Świtezianki, Bogińki, Dziwożony, te wszystkie podania, legendy, przywiązane do mogił, do zameczysk, jak to wszystko przystraja ziemię naszą w barwę poetyczną!

Szyller w jednej ze swoich poezji, zresztą pięknej, jak wszystko, co się wylało z jego głębokiego czucia, ubo-

lewa nad zniknięciem bogów Grecyi dawnej, przez co świat materyalny obumarł, opustoszał.

Szyller nie znał widać naszego ludu i świata, w którym on żyje. Gdyby go znał, byłby wiedział, że dla ludu naszego wszystko żyje w przyrodzie, i życiem wyższem, niż było w dawnej Grecyi, a zwłaszcza od czasu, kiedy go obwionęło tchnienie ducha chrześcijańskiego. Posłuchaj jego pieśni, gdzie wszystko przemawia i czuje, jako mające swoją duszę, posłuchaj krążących między nim powieści, przypatrz się jego różnym zwyczajom, obrzędom, jego stosunkowi do bydła, do drzew, do ziemi!

I to jest poetyczność naszej ziemi, ale nie jedyna i nie najwymowniejsza. Wymowniejsza od niej jest w tem, że każda niemal jej stopa przeorana jest pracą i trudem wiekowych pokoleń, zroszona ich potem lub łzami i krwią. ugwieżdżona, że tak powiem, spomnieniami walk o święte prawa człowieka i narodu, że według słów papieża, którego proszono o relikwie dla Polski, każda garść jej ziemi, ściśnięta w rękę, krwią prysnie — jednym słowem jest najwymowniej poetyczną dlatego, że przeszły po niej wieki i pokolenia w miłości Boga i bliźniego i w ofierze czystej i wytoczyły na jej duchu niezatarte ślady swojego przejścia.

Przejdźmy więc zaraz na pole dziejów, na pole życia narodowego publicznego, do poetyczności, jaka się objawiła w wiekowym życiu przodków naszych.

POEZJA DZIEJÓW POLSKI.

Rozszerzam się nad dziejami, bo życie przodków najwięcej obowiązuje następców, najjaśniej przedstawia życie ofiar i na poetów wkłada największą odpowiedzialność za ich utwory. Dzieje narodu są najwyraźniejszym objawem jego ducha. Prawodawstwo może być tylko dobrą chęcią, pięknem nawyknięciem, ale czyny narodu są dla niego wszystkim, są wszystkim dla ludzkości, a prawie wszystkim przed sądem Boga. Naród sądzony jest według tego, co zrobił, nie według tego, co gadał lub chciał zrobić. — Dzieje narodu dopiero pokazują stopień ofiary pełnej, to jest zrealizowanie Myśli Bożej, a zatem stopień wartości narodu.

Poezja polska na tem polu jest najłatwiejszą do śledzenia; naprzód dlatego, że się objawia w ludziach lub ich czynach, bądź pojedynczych, bądź narodowych, a więc w sposób dotykalny, przystępny sądowi każdego; powtóre dlatego, że się objawia pod światłem idei religijnej, w której wyraziło się wielkie posłannictwo Polski. A ta idea jest: zastosowanie prawa Chrystusowego do życia prywatnego i publicznego, ściślejsze i na skalę obszerniejszą, niż w którymkolwiek innym narodzie. Tak jest! Żaden naród chrześcijański nie położył przed sobą tak wzniesłego celu i żaden nie zbliżył się do niego tyle, ile Polska się zbliżyła. Na nieszczęście zatrzymała się, kiedy powinna była i mogła go osiągnąć, wszakże i tak żaden jeszcze naród nie stanął na tej wysokości, na jakiej ona stanęła przed swoim zatrzymaniem, i, co za tem idzie, koniecznie cofnięciem się, a raczej skrzywieniem swego kierunku prawdziwego.

Weźmiemy wątek jej dziejów w samym jego początku, jak go nam podania przechowały. Czasy jeszcze pogańskie, ale błyskają już ideami pokrewnemi tej idei, która będzie prowadzić Polskę chrześcijańską. Pierwsza postać jest ów Lech wółbajeczny, brat Czecha i Rusa, ucieleśniona idea braterstwa wszystkich plemion słowiańskich, leżąca przed nimi przez wieki, dotąd nie spełniona. Pod nim to wzbija się w lot po raz pierwszy orzeł biały, nasz dotąd ptak narodowy, buduje się Gniezno, najpierwsza stolica Polski i przez długi czas, a dzisiejsza Wielkopolska zajmuje stanowisko, z którego przez wieki rozstrzygały się najważniejsze dla narodu wypadki. Po nim wychodzi na scenę Krakus, założyciel Krakowa i drugiego ogniska, które w połączeniu z ogniskiem wielkopolskiem utworzy związek, rozwijający się, wzrastający stopniami, aż się objawi jedną Polską. Jego córka, Wanda, to pierwszy typ Polki, poświęcającej się w sprawie swojego narodu. W wyjściu Piasta na scenę narodową mamy już ideę przyszłego obioru królów przez naród — tak zwane dziś wszechwładztwo ludu. Polska się skupia jakby pod tajemniczym wpływem zbliżającego się do niej ducha chrześcijańskiego. Objawia się on nareszcie z niewiastą czeską, Dąbrówką. Poranek tego dnia, w życiu młodzieńczej Polski

światny i czynny, jak młodość, oświeca swoim blaskiem ogromną postać Bolesława Chrobrego. Związek jego ze Św. Wojciechem, jest to braterstwo religii z polityką — co mu daje siłę dokonać wielkich rzeczy na jednym i drugim polu. Pierwszy swoim Szczerbcem zarysowuje granice, które po wiekach zostaną granicami Polski, ale plan jego dalej sięga: — nosi się z myślą związania wszystkich Słowian w jedno ciało.

Po nim uderza postać Bolesława Śmiałego, przez waleczność rycerską i tajemniczy koniec. Niepospolitym także jest Bolesław Krzywousty, ale podzielenie Polski na kilka księstw, słabo związanych naczelnictwem księstwa Krakowskiego, otwiera szranki domowym kłótniom, wojnom i rodzi pierwszą zbrodnię przeciwnarodową przez oderwanie się Szląska. Wkrótce występują na scenę Krzyżacy, plód, wypastowany przez jednego z najgorszych Polaków. Łokietek wprowadza naród w karby porządku, dzieła jego dopełnia Kazimierz Wielki. Po jego śmierci Polska razem z Węgrami ma za rządcę Ludwika, któremu za jedną tylko rzecz winna wdzięczność: za Jadwigę.

Jej czas jest chwilą najwyższego wzniesienia się ducha polskiego na drodze chrześcijańskiego swojego posłannictwa. Okazał on w tej chwili, że nie zmarnował kilku wieków upłynionych, że mimo burz, które nim miotają wewnątrz i zewnątrz, mimo przeciwności wszelkiego rodzaju, rozwijał się, rósł w siłę do ofiar, do poświęceń. Pomnożył skarb swojej miłości. Bo temu jedynie winniśmy zbratanie się z Litwą. Jadwiga szła na czele tego dzieła, pierwsza spełniła ofiarę, bardzo trudną dla niewiasty, pierwsza dała z siebie przykład poświęcenia się dla Prawdy Świętej i dla narodu. Zbratanie się tych dwóch narodów pozostanie jedną z najwznioślejszych chwil w życiu Polski i trzyma ją na wysokim stopniu potęgi materialnej i moralnej przez dwa wieki z górą. Zygmunt August aktem Unii Lubelskiej przypieczętował na zawsze jedność trzech ludów: Polski, Litwy i Rusi. Ta potęga dała sposobność i pole Batoremu rozwinąć swoje przymioty wielkiego człowieka. Tej potędze winniśmy jeszcze pod rządami Zygmunta III. wielkie zwycięstwa nad wrogami bardzo silnymi i znakomitych mężów we wszelkim rodzaju.

Ale zło wzbiera w łonie narodu; pycha możnowładców, rozerwanie jedności moralnej przez reformę religijną, swawola ogółu szlachty, występują coraz jawniej ze szkodą Rzeczypospolitej. Skarga ciska z kazalnicy straszne pro-roctwo, ale napróżno: we dwa wieki dopiero ocenione będzie, ale zapóźno. Żarodek złego wewnątrz narodu ułatwia złemu zewnętrznemu działanie zgubne dla Polski: horyzont jej zaciemnia się ze wszystkich stron, dokoła kupią się chmury, przygotowuje się burza niuchronna; wybucha nareszcie, jak na dane hasło, w chwili buntu Chmielnickiego. — Polska znika w ciemnościach burzy. Wszakże zdobywa się jeszcze na kilku mężów, silniejszych, niż zło, które ją załaziło. Najjaśniejsi między nimi: Czarniecki i ksiądz Kordecki. Wiara i dzielność starych Polaków znalazły jeszcze swoje uosobienia. Burza zewnętrzna uciszona, ale nie zniknęło z nią zło wewnętrzne. Nowe groźne ostrzeżenie w proroczej mowie Jana Kazimierza i złożenie przez niego korony królewskiej. Serca zamknięte na ten głos, a oczy na przyszłość. Przez chwilę nadzwyczajny blask chwały nad Polską: Sobieski, pogromca Turków pod Chocimem, a przez zwycięstwo pod Wiedniem grom boży, który stanowczo strząsał ich potęgę, dotąd groźną Europie. Ostatnie to wielkie zwycięstwo nad wrogiem zewnętrznym, ostatni wielki zapasnik Polski całej i niepodległej w walce na zewnątrz, ostatni promień jasny poezji jej dziejów; odtąd zaczyna się ich poezja mglista, posępna, krwawa.

Pycha jednych, podlenie się drugich idą obok siebie i razem wzrastają. Postacie pojedyncze drobnieją, a co między nimi okazalsze, to po największej części karykatury, podrzeźniające przeszłość Polski. Rozkład narodu coraz widoczniejszy — on dopiero daje widzieć z jednej strony cale toczące go zepsucie, z drugiej to wszystko, co zdołało pozostać zdrowem. Wznoszą się między nimi nad innych Rejtan, Pułaski, ksiądz Marek. Pierwszy rozbiór Polski, przyjęty przez Sejm, który był wyobraźni-lem narodu, rozbudził energią lepszej jego części. Praca Sejmu Czteroletniego miała ocalić Ojczyznę ustawą 3. Maja — lekarstwo było zapóźne i niewłaściwe. Samiż Polacy pierwsi rzucili się na nową budowę; przyszli im

w pomoc wezwani przez nich obcy, uderzyli połączonemi siłami, obrońcy nieliczni, zdradzeni, ulegli po krótkim oporze. Runęło w kilka tygodni, nad czym pracowano lat kilkadziesiąt. Ale z pod tych gruzów wydobyła się garstka wytrwałych, a między nimi najpierwszy Kościuszko. — Jeszcze jedno wysilenie, niestety — ostatnie, na kawalku niepodległym z dawnej, tak obszernej Polski. Na polach Maciejowic padli ostatni jej obrońcy, a upadek ich zamknął, zapieczętował życie Polski, przez dziesięć wieków trwającej.

Odtąd zaczyna się inna kolej, inne dla niej życie: życie rozpraszania się, tułactwa, to nadziei, to rozpacz, to tryumfów chwilowych, to klęsk strasznych. Przez dwadzieścia blisko lat świetna przyszłość zdaje się promienieć w blasku oręża Legionistów, przez dwadzieścia blisko lat wojenna ich sława poza Polską łagodzi bole niewoli w Polsce — a dźwięk ich pieśni przygłusza brzęki kajdan. Jest nawet chwila pewności, zaręczająca jej odrodzenie się zupełne; trwa krótko, zostajemy znów na łasce wroga.

Wkrótce fałszywość tego położenia daje się nam uczuć tak silnie, że zmuszeni prawie jesteśmy wyjść z niego. Powstajemy i upadamy, powstajemy znowu i znowu upadamy. — Ale są to dzieje, w których każdy z was jest świadkiem i czynnikiem — dzieje tak świeże, przemawiające takim głosem, że w tej chwili czuję się niezdolnym do ich określenia. Zresztą mojem założeniem było, jak to powiedziałem, wydobyć tylko poetyczność naszych dziejów, która sama przez się świadczy o sobie, jak tylko wymienimy pewne czyny narodu, pewne jednostki, więcej promieniujące w tym czynie. I temu założeniu starałem się odpowiedzieć, o ile mogłem, o ile mi dozwalał zakres tego pisma.

Schodzimy więc z pola poezji, żyjącej przez ludzi, poezji, objawionej w czynach, a wchodzimy na pole poezji pisanej, objawiającej się w utworach poetów.

POEZJA PISANA.

Poezja ziemi polskiej, przyrody, zamkniętej w granicach tej ziemi, następnie poezja dziejów Polski, są głów-

nem tłem poezji naszej w ogólności. Na tem tle dopiero objawia się poezya — dzieło pisarzy, wydobywających z dwóch powyższych źródeł i ze swego własnego wnętrza, co może pokrzepiać, poruszać, ożywiać ducha narodu.

W przeglądzie tym będziemy ogólni, jak w przeglądzie poetyczności czynników; wytkniemy tylko, jako główne punkta niektórych pisarzy, niektóre utwory, o ile w nich widzimy wyraz pewnego czasu, pewnego kierunku ducha narodowego lub poezji polskiej.

Pierwszym pomnikiem naszej poezji pisanej, poninkiem aż dotąd przechowanym, jest „Boga Rodzica“, pieśń religijna, ułożona przez św. Wojciecha. Była ona zarazem pieśnią bojową naszych ojców przez siedm. wieków: śpiewano ją przed rozpoczęciem każdej bitwy. Ma więc niepospolitą wartość wewnętrzną. W rzeczy samej jest ona niejako streszczeniem chrześcijaństwa, jak je czuli najpierwsi nasi ojcowie w chrześcijaństwie.

Nie idzie za tem, żeby przed tą pieśnią, jak i po niej przez całe wieki, aż do Reja, serca i usta naszych przodków były nieme. Tem trudniej w to wierzyć, że Słowianie od najdawniejszych czasów słynęli, jako śpiewacy, że w ich religii liczyli się do kapłanów guślarze czyli gęślarze, że nie było żadnego obrzędu rodzinnego, jak np. wesela, bez pieśni. Można z pewnością twierdzić, że są pieśni, oprócz kanticzkowych, a krążących dziś w sferze naszego ludu, które pochodzą z tamtych czasów, niemych dzisiaj dla nas. Mamy nawet poparcie tego przypuszczenia w kronikach, które zapisały początek pieśni, witającej przybycie Kazimierza Mnicha. Były pieśni, oplakujące śmierć Ludgardy — przechowała się pieśń o bitwie Grunwaldzkiej. Zresztą pisma Reja upoważniają do mniemania, że miał już wzory przed sobą: język i formę poezji.

Cokolwiek bądź, Rej powinien się uważać za pierwszego w porządku naszych poetów piszących. Od niego zaczyna się wiek, nazwany Zygmuntofskim albo „złotym“ w literaturze. Ale gwiazdą tego wieku, gwiazdą pierwszej wielkości, jest Jan Kochanowski. I natchnienie i forma, jaką umiał dawać natchnieniu, dają mu prawo do tego miejsca. Jego przekład Psalmów, jego Treny nad śmiercią córki, a nawet Odprawa Posłów, dramat w tonie po-

ezyi greckiej, zapewniają mu jedno z pierwszych miejsc między poetami polskimi wszystkich czasów. Najważniejsze to, że był zarazem poetą i obywatelem, biorącym udział w życiu publicznem.

Są inni z jego czasów, ale tych możemy pominąć w milczeniu.

Później mamy przed sobą drugą gromadę poetów, między którymi zasługuje na wymienienie Szymonowicz. Pisał on sielanki, ale miał szczęśliwe natchnienie malować wiernie lud swój i śpiewać nieraz w tonie pieśni ludu.

Czasy Władysława IV., Jana Kazimierza, roją się poetami rozmaitej wartości. Większa ich liczba za dni naszych zaczęła być odgrzebywaną, a najgłośniejsi i zawsze krążący między publicznością czytającą, są: Klonowicz, autor „Flisa“ i „Worka Judaszowego“, Kochowski, Twardowski, historyk, rymujący wojnę z Kozakami, a mający niekiedy wzniesienie się rzeczywiście poetyczne.

Czasy chylenia się Polski ku upadkowi odznaczają się głównie poetami satyrycznemi w różnej formie i stąd mającymi wartość historyczną. Widzimy w nich zło owych czasów. Na nieszczęście obrazy te nie przemawiały do współczesnych, jak się to powszechnie powtarza. Z grona tego najwięcej jest znany Opaliński, pisarz satyr.

Ala wyższe bez porównania miejsce przyznać potrzeba Wacławowi Potockiemu, którego „Wojna Chocimska“ może się uważać za epopeję polską. Tłumaczył on także Argejidę z zastosowaniem jej do Polski. W ogólności wielką jego zaletą jest natchnienie, płynące z miłości Ojczyzny.

Po nim, aż do czasów Stanisława Augusta, nie widzimy nikogo, żeby jako poeta zasługiwał na wzmiankę. Zresztą stan języka, jak stan umysłów, był oplakany.

Nareszcie stan ów zaczyna się zmieniać, przynajmniej pozornie. Budzi się pewien ruch umysłowy, język się oczyszcza; jeżeli nie istota poezji, to jej forma przybiera kształty wdzięczne — i w rzeczy samej wychodzą na jaw pisarze, znakomici pod pewnemi względami: dowcipny i pełen zdrowego rozsądku Krasicki, klasyczny w swoim języku a bez żadnych zasad Trembecki, ciężki, ale niekiedy poetyczny Naruszewicz i tak dalej. Wszakże najwięcej natchniony, najwięcej mający czucia, najwięcej polski

jest Karpiński. Jego pieśni religijne niektóre są przyjęte przez Kościół, a pieśni świeckie i sielanki upowszechniły się, jako pieśni ludu.

Należy do nich jeszcze Niemcewicz, ale tem się wyszczególnia, że, kiedy inni z owej gromady zamilkli na zawsze razem z upadkiem narodu, on się znalazł na drodze nowego kierunku i na tej nowej drodze pełnił swoje powołanie, aż je zamknął w naszych oto oczach.

Czasy legionów, oprócz pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“, wydały innych poetów, poetów-żołnierzy, jak Gołębski, Tymowski, Gorecki, kiedy społeczne Księstwo Warszawskie brzmiało odami Molskiego, Koźmiana, Osińskiego.

W czasach królestwa Kongresowego zwiększa się ta gromadka o kilku członków więcej, z których celniejsi: Feliński, autor „Barbary“ i Kropiński, autor „Ludgardy“.

Osobne i wyższe stanowiska od wszystkich wyżej wymienionych zajmuje Woronicz, kapłan, kaznodzieja, a nade wszystko poeta i nierzadko rzeczywiście natchniony. Śpiew jego odzywa się nieraz tonem, który przypomina narzekania Jarembasza nad upadkiem Jerozolimy albo jęk żydów w niewoli babilońskiej. Jest on w całym znaczeniu tego słowa wieszczem swojego narodu w pewnej jego chwili.

Zamyka się wreszcie i to koło poezyi polskiej, znanej pod nazwą klasycznej, a otwiera się koło nowe poetów, ochrzczonych przy pierwszym swoim pojawieniu się „romantykami“. Na przejściu z jednego koła do drugiego stoi Brodziński. Wartość jego wielka. Natchnienie nie wzniosłe, ale czucie proste, rzewne, głębokie, prawdziwie słowiańskie, prowadzi go zawsze drogą prostą, uczciwą, polską. Dlatego poezye jego były dla wielu młodszych poetów nowej warstwy rodzajem abecadnika, dlatego utwory jego, jak np. „Rzecz o narodowości“ i „Posłanie do braci wygnańców“ przejdą do potomności dalszej, niż wiele poezyi, niby natchnionych.

Jesteśmy więc wobec nowego koła poetów polskich. Zatrzymajmy się przed niem chwilę. Zasługuje ono na to nie tylko przez wzgląd, że dało poezyi polskiej nowy a prawdziwszy kierunek, ale przez wzgląd na okolicz-

ności, wśród których powstało. Cesarz Aleksander żył jeszcze, ale usposobienia jego dla Polski były zupełnie różne od tych, jakie okazywał, tworząc królestwo Kongresowe. Duch rosyjski, choć niewiedomie, gotował się ugodzić nas nowymi ciosami; podniesiono sprawy tajemnych związków, wkrótce miało nastąpić prześladowanie szkolnej młodzieży, jednym słowem, zanosilo się już na walkę zaciętszą, niż dotąd między Polską a Rosyą, gdzie Polska będzie potrzebować większej siły ducha, niż ją dotąd pokazała, większego ognia, większej energii, a do czego przyjąć nie mogła bez głębszego poruszenia ducha. I oto powstają ludzie, w których powołaniu właśnie to leży, a powstają niemal jednocześnie na różnych punktach Polski, nie znając się, bez porozumienia się, tylko niby obudzeni głosem opatrności, czuwającej nad Polską. Biorą się każdy do swej roboty, wzmacniają się miłością przyrody rodzinnej, zespala ją się z duchem ludu, biorą jego wierzenia, i z tym orężem, w tej spółce duchowej z ludem i przyrodą polską występują na pole poezyi. Wkrótce też rozpoczęła się walka jawna.

Jaką rolę poezya w niej odgrywała i dotąd odgrywa, jaką usługę oddała sprawie narodowej, ile wzmocniła i wzmacnia naród — to zdaje mi się tak widocznem, że uważam za zbyteczne rozszerzanie się nad tem. A poeci, narzędzia tej poezyi? Nie widzę potrzeby ich wymieniać. Któż z was nie zna ich nazwisk?

Zresztą nie zamierzałem sobie bynajmniej sądzić ich ze strony artystycznej. A sąd, o ile dopełnili lub dopełniają swojego posłannictwa, czy są lub nie są na wysokości swojego czasu — ten sąd, choćbym go sobie pozwolił, mam wolność zachować dla siebie samego.

Tego tylko przekonania nie mam potrzeby tać, że stan wyższy lub niższy poetów zależy w wielkiej części od stanu narodu. Im więcej jest poezyi w narodzie, tem potężniejsi są jego poeci.

Wszakże mamy prawo do pewnych wymagań od poetów. Mamy prawo widzieć w nich przedewszystkiem ludzi ofiary, żądać od nich, aby byli ludźmi ofiary, a ofiary w znaczeniu jej najwyższem: nie ofiary ciała tylko, ale ofiary ducha. Mamy prawo mówić do nich: „Powołani

jesteście obudzać uczucia szlachetne, wzniosłe, dawajcież nam pierwsi wzór tych uczuć w życiu waszem cnotliwym, przykładnem. Podnoście nas, wzmacniajcie nie tylko waszemi utworami poetyckimi, ale waszem życiem całem!"

Takimi być powinni poeci polscy, w tych czasach zwłaszcza, i takich wam życzę.

1870.





NOC BELWEDERSKA.

PRZEDMOWA.

Wszelki czyn narodu ma stronę moralną, nauczającą; jest to niejako łupina, zamykająca w sobie, jak ziarno, pewną prawdę, która stanowi istotę, ducha, wartość czynu, a pomnaża skarb wiedzy narodowej. Są prawdy, wytryskujące same przez się z czynu, uderzające od razu zmysł rozumu, są znowu, których schwycenie wymaga głębszego wniknięcia we wnętrze czynu organem wyższym od rozumu zwyczajnego, i te właśnie są najważniejsze: są to prawdy rzędu wyższego, mogące się nazwać prawdami prawd. Między wypadkami z ostatnich dziejów naszych, jako wypadek brzemienny w te prawdy, zajmuje naczelne miejsce powstanie 1830-go roku, tem samem noc 29 go listopada, ta noc, w której rozbrzmiało jego hasło na całą Polskę. Stąd ważną jest dla nas rzeczą wyświecić, co w tym czynie podała przeszłość naszej przyszłości. Czterdzieści lat, upłynionych od tej chwili, szkoła cierpień, którąśmy w tym przeciągu czasu przeszli, namiętności uciszone a przynajmniej słabsze, powinny robić nas zdolniejszymi do odkrycia prawdy, zamkniętej w tem wydarzeniu, i do skorzystania z jej przestrogi.

Ten wzgląd przedewszystkiem spowodował mię do opowiedzenia na nowo wypadków nocy 29-go listopada, do postawienia mojego obrazu obok obrazów, które nam skreśliło kilku pisarzy, zajmujących się tym przedmiotem. Uważałem to nawet za obowiązek względem pokoleń młodszych, jako mający udział w owym wielkim ruchu narodowym i w pewnej części odpowiedzialny za jego następstwa.

Opierając się głównie na moich wspomnieniach co do niektórych szczegółów, na mojem osobistem przekonaniu co do sądu o rzeczywistej istocie, o prawdzie, w tym fakcie zawartej, pozwoliłem sobie dla zupełności obrazu korzystać głównie z dwóch opowiadań, najwierniejszych,

o ile mi to wiadomo, z których pierwsze jest Wysockiego Piotra, drugie Maurycego Mochnickiego.

Pismo Wysockiego jest niejako sprawozdaniem przed narodem, a ogranicza się do ogólnego poglądu na dzieje związku wojskowego i do działania szkoły Podchorążych podczas nocy 29-go. Sprawozdanie to, napisane w porozumieniu się z głównymi przywódcami ruchu, ogłoszone w *Kurjerze Polskim* w kilkanaście dni po wypadkach, przyjęte bez żadnych zaprzeczeń, ma już przez to samo powagę urzędowości. Opowiadanie moje jest niektórych jego części streszczeniem, a niektórych punktów sprostowaniem. W owych pierwszych dniach wzburzenia umysłów, zamętu różnorodnych żywiołów, Wysocki czuł potrzebę wraz z innymi mieć wzgląd na drażliwość opinii, jarzmiącej jeszcze pewne warstwy społeczeństwa naszego, i chwilowo zrobić jej mniej ważne ustępstwo z rzeczywistości; dlatego powiada z rodzajem nacisku co do Konstantowa, że podług planu, życie jego miało mu być zachowane, kiedy rzecz miała się całkiem przeciwnie: wszyscy byliśmy tego przekonania, że W. Książę, uwięziony tylko, byłby prawdziwym niebezpieczeństwem dla rewolucyi, przy skłonności naszych panów do dyplomacyi, do układania się, a że śmierć jego rozstrzyga od razu całą sprawę: naród albo się przestraszy, wyprze się nas i odda pod stryczek w kilkanaście godzin, albo, przyjąwszy nasz czyn za swój własny, wydobędzie ze swej głębi wszystkich sił przeciw nieublaganej już mściwości rządu moskiewskiego, zamknie na zawsze pole dyplomatom, oczyści się z nich. Jedyny to punkt, który potrzebował sprostowania i wyjaśnienia; inne niedokładności są tak małej wagi, że można pominąć je milczeniem.

Równie ważnem, jak sprawozdanie Wysockiego, jest opis tej nocy przez Mochnickiego w jego historii powstania. Opis wierny, szczegółowy, obejmujący wszystkie ruchy powstańców, ale trochę zagmatwany, zanadto obciążony sądami autora o rzeczach i ludziach, zbyt obszerny, ażeby mógł służyć do użytku powszechnego; z tych pobudek uporządkowałem go, jak mi się zdało najlepiej, streściłem w tej części, która wchodzi do mojej pracy, a w wielu miejscach przytaczam go dosłownie.

Jest więcej pism w tym przedmiocie, ale w moim zakresie dostateczną mi była pomoc owych dwóch wymienionych; znalazłem w nich wszystkie potrzebne mi materiały.

Niech czytelnik nie szuka w mojej pracy pisarza, oddzielnego w uroczystą szatę historyka. Nie mam do tego ani zdolności, ani pretensyi; usiłowałem tylko być jak najwierniejszym prawdzie.

Wstrzymuję się nawet, o ile można, z moimi uwagami, sądami, raz dla większej zwięzłości i jasności, potem, że uważałem za najwłaściwsze umieścić własne moje widzenie na samym dopiero końcu opowiadania.

Zakres mojego pisma nie pozwala mi wdawać się w portretowanie osób pojedynczych. Ulegam temu nie bez żalu bo mam na mojej drodze niejednego, który na to zasłużył swoją zasługą. Z drugiej strony mam tę korzyść, że wolny jestem od niemilej pracy wpatrywania się w oblicza mniej znaczne. Krótko mówiąc, zajmuję się więcej gromadami, jak pojedynczymi, więcej samą masą dobrego lub złego, jak drobiazgiem ich narzędzi, zostawiając podnoszenie ich lub poniżanie czynom, w których się ukazują. Sąd historyka, oparty na wzroku historyka, może się pomylić, ale światło, jakie rzuci na człowieka czyn jego, to światło jasne lub ciemne (bo są światła i ciemne), to światło, przylgnąwszy raz do spomnienia człowieka, zostanie już na wieki najwierniejszą jego historią i trwalszą od pisanej.

Oddzielony przeciągiem lat czterdziestu od chwili, którą dziś wywołuję, wiele zapewne tracę; niejedno wypadek zniknął z pamięci, niejedno wrażenie zatarło się w duszy. Bliższy jej, możebym skupił w moim obrazie więcej rysów wydatnych, więcej barwy ówczesnej, więcej życia — ale, że to jest niepodobnem, przestaję na tem pragnieniu: byłbym zupełnie tem zaspokojony, gdybym wydobyl z owej chwili choć iskierkę życia, które buchało z niej takim płomieniem, i podał ją przyszłości, bodajby jak tę lampkę, co ledwo połyska w zmroku nagrobnej kapliczki, ale i tem błyskaniem opromienia pamięć zmarłych, a myśli żyjących wprowadza w uroczystą sferę tajemnic śmierci i zmartwychwstania.

Paryż, 24. czerwca 1869. roku.

I. RYS OGÓLNY HISTORII ZWIĄZKU WOJSKOWEGO.

Z upadkiem Napoleona spadła i Polska znowu do punktu, na którym znajdowała się w chwili, kiedy Francja połączyła jej sprawę ze swoją: ujrzała się zostawiona własnym swoim siłom, na łasce sprzyśniętych przeciw niej mocarstw, bez punktu podpory na zewnątrz narodu. Wycieńczenie materyalne, przynajmniej w wielkiej części jej ciała, było wielkie, łatwe do pojęcia, kiedy weźmiemy na uwagę, że walka, gdzie nie oszczędzano jej sił i zasobów, trwała przez lat dwadzieścia. Wycieńczenie to wpływało na jej stronę moralną: Polska potrzebowała chwili wytchnięcia. Święte Przymierze, pod przewagą usposobień cesarza Aleksandra, przychylnych naówczas Polsce, szczerzych czy nieszczerzych, o to mniejsza, dało tę chwilę. Część narodu, jedna z warstw jego, zatrzymała się na tej chwili, jak na stanie. odtąd normalnym dla Polski: nie widziała już podobieństwa bytu oddzielnego, a przynajmniej troska o to zostawiona była pokoleniom nieokreślonej przyszłości, i zaczęła krzątać się około wprowadzenia narodu na drogę, przez siebie obraną. Rząd rosyjski mianowicie przykładał się do tej pracy, tolerując niejakię swobody na polu publicznym i umysłowym, okazując pewne poszanowanie dla wiary, języka, obyczajów narodowych; rząd rosyjski widział w tem, i po części słusznie, krzątanie się więcej około formy, jak istoty, w a t o w a n i e, że tak się wyrażę, jarzma, aby mniej dolegało, zaczęł naród wprawić się do niego. W istocie robota owa, zostawiona swobodnemu chodowi w kierunku, przez nią wziętym, byłaby wkońcu, przy najlepszej chęci pracowników, o czem nie wątpię, przy wszystkich formach i pozorach polskości, zamorzyła ducha polskiego, a z przejściem letargu Polak ujrzałby się był Moskałem. Ale Bóg czuwa nad Polską, i jego czuwaniu śmiemy przypisać rozliczne przeszkody, które ten konserwatyzm polsko-moskiewski znaj-

dował wciąż na swojej drodze, że nie mógł ośwładnąć wyłącznie duchem narodu. Jedną z tych przeszkód była natura samego rządu rosyjskiego. Przy całym ułożeniu się swoim na wzór kota z pazurami w puchu łapek, duch mongolski, wkradający się w ducha polskiego, nie mógł, przez niezmierną między nimi różnicę, tak się ułożyć, aby nie zadrasnął czulego polskiego wnętrza, aby mu nie zadał bólu i nie ocucił go ze snu używania: streszcza się to najwierniej w osobie wiel. księcia Konstantego, którego strażę powierzono Królestwo Kongresowe, trzy gubernie litewskie, przytem Wołyń i Podole. Drugą, ważniejszą przeszkodą była przeszkoda, leżąca w łonie samegoż narodu: część jego mniej zrażona, mniej znużona, mniej spragniona spoczynku i używania, warstwa, mająca ducha polskiego o czulszym karku na jarzmo, choćby najłżejsze, ale że obce, że nie polskie, więc nieznośne. Zadaniem jej było nie obalać, co było dobrego w robocie pierwszych, ale zająć się więcej istotą narodu, trzymać przed jego okiem cel właściwy jemu, budzić go niejako od chwili do chwili alarmem, któryby mu wciąż przypominał chwilę nieuniknioną, a coraz bliższą, stanowiącej walki o przyszłe losy ojczyzny. Środkiem do tego była k o n s p i r a c y a. Zaród jej miał być w ostatnich słowach generała Dąbrowskiego, przekazanych narodowi z łoża śmiertelnego. Przyjęły się one w sercach polskich, a z nich rozdziły się razem kolejno jedno po drugim: W o l n e m u l a r s t w o, zamienione przez Łukasieńskiego w W o l n e m u l a r s t w o n a r o d o w e — Kosynierzy generała Umińskiego — Templariusze kapitana Majewskiego; między młodzieżą: Filaretów i Promienistych w Wilnie, Wolnych Braci Polaków w Warszawie, i wiele innych z niewyraźnym śladem lub bez żadnego śladu, aż do Towarzystwa Patryotycznego, spólnego wojskowemu i cywilnemu, liczącego do pięciu tysięcy członków, działającego już w porozumieniu ze spiskiem samychże Rosyan. Związek ten odegrał ważną rolę w ówczesnych dziejach Polski. Odkrycie jego zbiega się z wejściem na nową kolej Rosyi i Polski przez śmierć Aleksandra a wstąpienie na tron Mikołaja; liczba i ważność osób uwziętych, proces, ciągnący się lat kilka, sąd sejmowy, wię-

szany w tę sprawę, wyrok tego sądu, tak mocno przeciwny żądaniom ducha moskiewskiego, a stąd przesładowanie Sędziów, wszystko to oznacza miejsce wyraźniejsze temu związkowi w ostatnich naszych dziejach. Nie sprowadził on wybuchu jawnego, ale wstrząsł silnie duchem polskim na całej przestrzeni kraju, natężył umysły, usposobił je do wybuchu jawniejszego objawieniem się ducha polskiego z jednej strony, a z drugiej ducha Moskwy w jego usposobieniu rzeczywistym dla Polski. Dzieło Towarzystwa Patriotycznego i poprzednich sprysiężeń miał wykonać inny związek. Naród nie spoczął, aż znalazł miejsce swego wybuchu, jak korzeń drzewa, którego pień ścięto, nurtuje przez jakiś czas pod ziemią w różnych kierunkach, a coraz wyżej, aż go ogrzeje promień słoneczny i wyprowadzi na wierzch latorostką.

Spełniło się to przez związek wojskowych. Historia jego krótka, dwa lata niepełne. Oto jej treść w głównych zarysach:

Polska cała a tem bardziej Warszawa pod wrażeniem, które zostało po sądzie sejmowym, Rosya i jej armia zajęte wojną turecką: tak dobiegał do swego kresu rok 1828-my. Dnia 15-go grudnia tegoż roku w mieszkaniu oficerskiem zeszło się kilku podchorążych. Oficerem tym był Piotr Wysocki, podporucznik z gwardyi grenadyerów a razem wykładający taktykę w szkole Podchorążych. Podchorążowie, goście jego byli: Karol Paszkiewicz, Józef Dobrowolski, Karol Karśnicki, Aleksander Łaski i Józef Gurowski. Między nimi pierwszymi wyszła na jaw myśl związku, stanął jego zarodek. Nazajutrz wezwali trzech innych kolegów: Kamila Mochnackiego, Stanisława Ponińskiego i Seweryna Cichowskiego. Tegoż dnia oznaczyli sobie cel działania, ułożyli dla siebie przysięgę, wykonali ją i podpisali. Przysięga ta była zarazem konstytucją związkowych — a wszystko to zamykało się we trzech peryodach tej osnowy:

„Przed Bogiem i Ojczyzną naszą ujarzmioną, odartą z praw i przywilejów konstytucyjnych, przysiegamy:

„Naprzód: nie wydać na przypadek uwięzienia żadnego

członka zawiązującego się Towarzystwa, choćby z tego powodu przyszło ponieść najsrozsze męki.

„Powtóre: połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba, w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej.

„Po trzecie: ostrożnie rozszerzać związek za wiedzą podpisanych członków Towarzystwa, nie przyjmując ani pijaków, ani szulerów, ani skazitelnego charakteru pod jakimkolwiek bądź względem“.

Wysocki, ma się rozumieć, gra tu główną rolę, uznany jest naczelnikiem związku. Przez niego zostaje wprowadzony kapitan gwardyi grenadyerów, Paszkowicz Kazimierz. Po nim wpędce: z 2 batalionu saperów Przedpelski Wojciech i Nowosielski Feliks, a z kompanii wyborczej 1-go pułku strzelców pieszych Koszucki. Propaganda idzie szybko. Związkowi, pomnożeni w liczbę, postanawiają wejść w stosunki z cywilnymi, co jest dla nich tem konieczniejsze, że z końcem marca chcą powstać, korzystając z wojny tureckiej, która wówczas zajęła najważniejszą część wojsk rosyjskich. Paszkiewicz Karol odkrywa się Julianowi Niemcewiczowi i odchodzi z radą, aby się „zatrzymano z działaniem“, „a chwila pożądana przyjdzie“.

Józef Gurowski wprowadza brata swego Adama, Kamil Mochnacki swego brata Maurycego, Cichowski brata Adolfa.

Z posłów są wtajemniczeni pierwsi: Walenty Zwierkowski, Franciszek Trzciniński i Gustaw Małachowski. Ten ostatni najbardziej wpływa na to, że zmieniono postanowienie zaczęcia w marcu, a przedsięwzięto czekać do koronacyi Mikołaja w maju, rozszerzając tymczasem związek między wojskowymi.

W tym czasie Wysocki wprowadza do związku Piotra Urbańskiego, porucznika gwardyi grenadyerów, a jednego z późniejszych naczelników. — Nabytek ważny. Miał on pod swoim dozorem skład amunicyi swojego pułku i w każdej chwili mógł dostarczyć kilkadziesiąt tysięcy ładunków. Z odroczeniem powstania wiąże się ustęp, w historii związku bardzo ważny, a stąd szczególniejszy, że o mało nie był przyczyną największej klęski dla spiskowych i szkół

Podchorążych. Wysocki pomija go milczeniem, Mochnacki opowiada szczegółowo według broszury Gurowskiego Adama. Opowiadanie to skracam.

Wiadomem się już stało, że Mikołaj przybędzie z całą rodziną do Warszawy w maju, aby się koronować królem polskim. Tytus Działyński napomyka Gurowskiemu, że nie byłoby źle, gdyby się znalazła garstka odważnych, którzy korzystała z tak dobrej sposobności i postąpiła sobie z całą rodziną „bez ceremonii“. Myśl ta podobała się Gurowskiemu; odniósł ją natychmiast Wysockiemu i podchorążym, którzy ją przyjęli z zapalem takim, że na wniosek Gurowskiego powstanie, naznaczone w marcu, nie wahali się odłożyć do czasu koronacyi, a tymczasem wszystko do tego czynu przysposobić. Gurowski zawiadamia o tem Działyńskiego; przystępuje Bernard Potocki. — Wysocki co do tego przedsięwzięcia porozumiewa się ze Zwierkowskim — Zwierkowski ma naradę z Potockim, Działyńskim i Małachowskim względem ułożenia planu, który ostatnio ma przejść przez rozprawę szkoły podchorążych. — Jakoż Małachowski wygotował ten plan wspólnie z Działyńskim, Gurowskim i Potockim i przedstawił go zgromadzonemu w mieszkaniu Zwierkowskiego: Wysockiemu, Nowosielskiemu i dwom innym podchorążym. Główna jego ośnawa była ta, że zamiar postąpienia sobie z carem i jego rodziną w sposób wiadomy, gdy będzie chwila ku temu, ma być do skutku przyprowadzony, i dla tego celu wszystko przygotować w wojsku. A tymczasem Działyński uda się do Berlina, aby wy badać znajomego sobie posła angielskiego, jak jego gabinet będzie uważał to przedsięwzięcie — Bernard Potocki uda do się Wiednia dla takiegoż wybadania, przez stosunki swoich krewnych, gabinetu austriackiego — Małachowski bierze na siebie szerzyć tę myśl między obywatelstwem Galicyi, Sandomierskiego i przyległych mu województw — Zwierkowski ma przygotować posłów, a Gurowski kaliszanów. Jakoż w rzeczy samej, około Wielkiej Nocy rozjechali się wszyscy. — Zbliży się czas koronacyi. Mikołaj przybywa. Podchorążowie, którzy w czasie przegładu na Saskim placu mieli skończyć raz na zawsze z carem i jego rodziną, opatrują się w ostre ładunki,

przypuszczają do tajemnicy większą liczbę. Aż oto nagle wszystko się zmienia, prawie w wilią koronacyi. Posłowie, przed którymi Zwierkowski się odkrył, odparli cały projekt jednomyślnie. Potocki nie wyjeżdżał do Wiednia, Działyński do Berlina, Małachowski, lubo objechał szlachtę, w tej chwili stanowczej okazał się przeciwnym temu, w co niedawno tak wierzył. Wobec takich przeszkód Wysocki i podchorążowie uznali niepodobnem wykonanie swojego zamiaru — ale łatwo sobie wyobrazić, jak musieli przepędzić noc przed koronacją, bo w każdej chwili mogli się spodziewać skutków strasznych, jeżeli ich zamiar odkryto. Tak im noc przeszła, tak przeszła godzina parady na Saskim placu pod komendą Łaskiego Aleksandra. Myślano skorzystać jeszcze z wieczornej uczty ludu. Wysocki zażądał rozmówienia się z niektórymi posłami, uważanymi za lepszych jak inni. Zebrano się wieczorem w ogrodzie Nejmanowej — bez skutku. Napróżno Wysocki wysilał się na przedstawienia, przekonywania — nie mógł wymóżyć ich przyzwolenia.

Takim miał być dzień 20-go maja — dzień koronacyi. Nie był takim — i niema czego żałować, co jednak nie uniewinnia tych, którzy parli do tego dnia, a potem nagle zmienili swoje widzenie, odstąpili powolnych sobie i tem odstępstwem narażali ich na wszystkie skutki okropnej zemsty rządu moskiewskiego.

Od tego dnia związek wojskowy kładzie przed sobą cel inny, przedsięwzięcie inne środki: działa powoli, ale skuteczniej, rozszerza się, organizuje się, przybiera do pomocy inne żywioły, wytwarza w sobie siłę materyalną, zdolną w danej chwili poruszyć cały naród.

Sejm, zebrany w maju 1830-go r., sejm ostatni, daje związkowi sposobność wejść w bliższe i liczniejsze stosunki z posłami, a lubo odprawiano ich zawsze z tem słowem „nie czas jeszcze“ — stykanie się to jednak miało swoje dobre skutki.

Po odbytych sejmie stanęło obozem pod Warszawą, jak w każdym roku, całe wojsko polskie, co ułatwiło za-
szczępianie ducha związku we wszystkich pułkach.

Ruch lipcowy we Francyi przebiegł i Polskę tą iskrą

tajemną, która od wieków zespala te narody, i przyłożył się niemało do posunięcia naprzód dzieła związkowych.

Tu zaczyna się odznaczać wyraźniej żywioł cywilny, ognisko cywilne obok wojskowego. Wysocki i Urbański, naczelnicy niejako dotychczasowi związku, wchodzą w bliższy stosunek z cywilnymi. Przedstawiają ich głównie: Józefat Ostrowski, Maurycy Mochnacki, Ludwik Nabelak, Ksawery Bronikowski, Ludwik Zukowski, Michał Dębiński, Anastazy Dunin, obywatel wołyński, bawiący w Warszawie, Włodzimierz Kormański, dymisyonowany szaser gwardyi, i t. d.

Dotąd związkowi nie byli ujęci w karby organizacyi, któraby złożyła z nich jedną porządną całość. Ku końcowi września zajęto się tą czynnością, i oto jest, na czem stanęło, lubo ostatecznie organizacya ta ustaliła się dopiero w końcu października.

Na czele tej organizacyi jak propagandy związku postawieni byli przez wybór związkowych: Wysocki, Urbański i Zaliwski. Ten ostatni trudnił się głównie wtajemniczaniem oficerów kompanii grenadyerskich i karabinierskich, przebywających w Warszawie.

Związek dzieli się na sekcye; każdy pułk miał swoją sekcję; w kompaniach tylko grenadyerskich i karabinierskich tak było urządzono, że każde cztery kompanie tej samej brygady stanowiły jedną sekcję.

Każda sekcya miała swego delegowanego do znoszenia się z Wysockim, Urbańskim, Zaliwskim i Paszkowiczem, jako wyobrażającymi naczelne ognisko związku.

Oto są delegowani:

Wysocki Piotr; przedstawiał związek pierwiastkowy i szkołę podchorążych.

Urbański i Grabowski Seweryn — pułk grenadyerów gwardyi. Co do kompanii grenadyerskich i karabinierskich:

Zaliwski Józef — pułk 1-szy liniowy.

Łączyński Adolf — pułk 2-gi liniowy.

Biedkowski — pułk 3-ci liniowy.

Adam i Tytus Przeradzy — pułk 4-ty liniowy.

Breński — pułk 5-ty.

Dąbrowski Floryan i Bortkiewicz — pułk 7-my liniowy.

Dąbrowski i Skrzynecki — pułk 8-my liniowy.

Stryjeński Aleksander — pułk 3-ci strzelców pieszych.

Oficerowie 4-go pułku liniowego, wprowadzeni do związku przez Urbańskiego i Zaliwskiego, zbierali się dla narady osobno; podobnie pułk grenadyerów i batalion saperów — a ośmnaście kompanii grenadyerskich i karabinierskich razem.

Przy końcu października związek liczył w garnizonie warszawskim siedmdziesięciu siedmiu oficerów, a przed samym 29-tym listopada było ich około dwustu.

Mędzy tymi artylerya miała: Stolzmana, Nieszokocia, Chajęckiego, Waligórskiego Józefa, Kowalskiego Gabriela i Chrzęszczewskiego Antoniego.

Z końcem września Warszawa zaczyna wrzeć coraz silniej, coraz wyraźniej ogniem wybuchu. — Stąd parcie na związek wojskowych. W skutku tego parcia, wspieranego przez część wojskowych, Wysocki naznacza termin powstania na dzień 18-ty października. — Hasłem jego miała być śmierć w. księcia w czasie parady na Saskim placu — Wysocki położył jednak warunek, że wprzód porozumie się z Urbańskim i Zaliwskim. Z narady tych trzech wypadło odłożyć jeszcze powstanie, co sprowadza pewne zaburzenie w łonie związku, grożące nieledwie rozbiciem związku. Niektórzy zrażają się i usuwają od działania. W tem groźnem położeniu rzeczy Wysocki wchodzi w ściślejszy stosunek z cywilnymi — a z pomiędzy tych Ksawery Bronikowski energicznem wzięciem się do roboty naprawia wszystko, daje pomyślniejszy obrót działaniu. Z drugiej strony policya podwaja swoją czynność. Zaczynają się aresztowania. Urbański badany i uwolniony po dniach kilku, Wysocki badany. Ustanowiona komisya śledcza z kilku jenerałów polskich pod przewodnictwem Stanisława Potockiego. Szkoła podchorążych idzie pod ściślejszy nadzór. Wszystko to przekonywa związek wojskowy o niepodobieństwie dłuższego ociągania się, o konieczności wystąpienia jawnego.

Dnia 21-go listopada sprowadza Bronikowski Wysockiego i Zaliwskiego z Lelewelem. — Chodziło wojskowym koniecznie o to, jak naród przyjmie powstanie, a w Lelewele widzieli tłumacza usposobienia narodowego. Wskutek tego zejścia się i podczas tejże narady postanowiono

zacząć 28-go listopada. Zmieniono to postanowienie po naradzeniu się z innymi związkowymi i naznaczono 29-ty, jako termin nieodwołalny. 26-go listopada narada trzech naczelników związku, na której uchwalono zwołać w ogólne zebranie wszystkich delegowanych i oświadczyć im w imieniu obywateli, mających słowa powagi, że zamiary związku pochwalają i będą wspierać, natomiast zapowiedzieć im, że plan operacji będzie im odczytany 28-go listopada wieczorem.

Tą rząz nie było już żadnej odwłoki: stało się, co było zapowiedziane. Dnia 28-go listopada, który był dniem niedzielnym, o godzinie siódmej wieczorem zebrał się delegowani Związku w koszarach gwardyi w mieszkaniu Bortkiewicza, podporucznika z 7-go pułku, i plan działania został ostatecznie ułożony i przyjęty.

Nakoniec 29-ty listopada zamyka dzieje tego związku i zlewa je w historię całego narodu.

Rysy niektóre ogólne tego obrazu uwydatnią się szczególnie w dalszem opowiadaniu.

II. OGNISKO CYWILNE I JEGO UDZIAŁ.

W powyższym rysie ogólnym dziejów związku wojkowego widzimy w działaniu jego cywilnych; w istocie utworzyło się obok ogniska rewolucyjnego wojkowego, ognisko rewolucyjne cywilne. Można powiedzieć, że te dwa ogniska dopełniały się wzajemnie, a były konieczną wynikłością natury działania. Gdy jedno wyobrażało, co się właściwie działaniem zowie — czyn fizyczny — drugie przysposabiało materiały. Środki czynu, ułatwiał go na drodze umysłowej, moralnej. Nie powiadam, ażeby jedno i drugie kupiło w sobie wszystkie siły narodu, było najwyższym wyrazem jego ducha, jego potęgi fizycznej i moralnej, nie — ale to widoczne i stwierdzone późniejszymi wypadkami, że oba były temi punktami, na których objawiła się najsilniej działalność narodu w obu sferach. Osobno wzięte, nie było ani jedno, ani drugie głową lub sercem Polski rewolucyjnej, ale w ich połączeniu były i głowa i serce i ramię. Ognisko to cywilne miało przede wszystkim charakter literacki; polem jego

działalności była literatura — literatura z piętnem nowem, z duchem, różnym od dotychczasowego. Miała ona tę zasługę i przy niej pozostanie, że wprowadziła i utwierdziła samodzielność, do pewnego stopnia, ma się rozumieć, ale zawsze większą, niż była dotąd — wyzwała ducha polskiego z leszczotów obczyzny na polu umysłowym i moralnym — odkrywała większą głębię jego, przenikając głębiej do ducha ludu — literaturę naśladowczą zamieniła w literaturę oryginalną — szlachę, w bardziej ludową, a właściwie pożeniła je z sobą. Objawiło się to najwidoczniej i z największym wpływem na korzyść przyszłej Polski we dwóch szczególnie galeziach literatury polskiej, a które według mnie są najważniejszymi w literaturze każdego narodu, to jest w historii i poezji. Pracownicy byli na różnych punktach Polski, mniej lub więcej głośni; robota rozpoczęła się od lat wielu, ale w tej chwili przez pewną gromadkę, skupioną jednym dążeniem, skierowaną była głównie w jeden punkt: obudzić w narodzie samodzielność polityczną, o niepodległość już wywalczoną, przygotować walkę dla ducha polskiego w literaturze. A robiło się to bez planu, bez żadnej organizacji, jak przez pewny czas w ognisku wojkowym, i jak w owem ognisku przez podoficerów i niższych oficerów piśmiennictwa. Starszyzna za ubocza, pośrednio wspierała; przynajmniej nie stawała w poprzek drogi, jak wojskowa. Dwa dzienniki w samej Warszawie były głównymi organami tej młodzieży: „Dziennik powszechny“, urzędowy, pod naczelną redakcją Adama Chłędowskiego, referendarza rady stanu, — i „Kurier Polski“, którego właścicielem był Adolf Cichowski. Przy pierwszym pracowali stale: Jędrzej Moraczewski i Ludwik Nabelak, do drugiego pisali: Maurycy Mochnacki, Ludwik Żukowski i Ksawery Bronikowski. Artykuły Józefa Ostrowskiego ogłaszał najczęściej „Dziennik powszechny“. Franciszek Grzymała, naczelny wydawca Gazety bankowej, chociaż w swoim piśmie nie miał swobodnego pola dla swoich przekonań, swoim życiem należał do ogniska rewolucyjnego. Poza tem ogniskiem, ale z wielkim wpływem na młodzież stał Leleweł i wyobrażał niejako historię tak, jak Bohdan Zaleski, złączony ze

wszystkimi wyżej wymienionymi ścisłą przyjaźnią, wyobrażał poezję.

Wszyscy byli mi znani, oprócz Nabelaka, świeżo przybyłego z Galicyi. Z niektórymi wiązała mię przyjaźń od lat dziesięciu, z czasów pierwszego mego pobytu w Warszawie. Poczulem się wśród tej gromadki w swoim żywiole, odetchnąłem nakoniec właściwem mi życiem, przybywszy do Warszawy z Michałem Grabowskim przy końcu czerwca lub w początku lipca: Grabowski z zamiarem założenia pisma czasowego na wzór francuskiego *Revue de Paris*, ja na stały już pobyt w Warszawie. Przywiozłem nadto z sobą do ogłoszenia dwa tomy poezyi, z których pierwszy mogłem zaraz złożyć w cenzurze, a nad drugim miałem jeszcze pracować. Zamieszkaliśmy w domu Sakramentek. Był to apartament zacnego pana Smolikowskiego, ex-rektora szkół lubelskich — ale, że on z rodziną przebywał lato na wsi, mieszkanie jego zajmował pod ten czas Józefat Ostrowski i z niego dwa pokoje nam odstąpił. Dotykam tego sześciu nie tylko dla wielu wiążących się z nim miłych i ważnych dla mnie pamiątek, ale i z przyczyny, że mieszkanie to było przez pewien czas rodzajem naszego klubu. Tutaj zbieraliśmy się wszyscy wieczorami pewnych dni i rozprawialiśmy. Nie było to już schadzki i znowy konspiratorów; wojskowi w owej porze nie zawiązali tych ścisłych stosunków z cywilnymi, jakie nas później połączyły, i oprócz Ostrowskiego i Mochnackiego, który od brata swojego Kamila przypuszczony był do tajemnicy związku, żaden z nas podobno nie stykał się z nim czynnie — ale było to jakby posiedzenia przygotowawcze, poświęcone rozprawom tak politycznym, jak literackim. Wszak chodziło o wspólne wydawanie pisma czasowego: trzeba było porozumieć się, zgodzić się. Byli między nami lubiący i umiejący dobrze i wiele mówić; mieli do tego pole i korzystali z niego. Zdarzyło się kilka razy, że dopiero świt zamykał posiedzenie, a niektóre były tak burzliwe i gwarne, że można było spodziewać się denuncjacyi jakiegoś szpiega i jej skutków. Dziś już nie pamiętam głównej treści tych rozpraw, jak i wówczas nie byłbym w stanie zdać z nich sprawy, bo choć mię w pewnej części zajmowały, ale kończyło się na tem, że już

nie wiedziałem, o co rzecz idzie, i kładłem się w łóżko i spałem w najlepsze mimo różnych tonów hałasu. Ale zawsze było to życie, i piękne życie, które wybuchało w ten sposób, zaczęło trafić na właściwszy.

Jedna szczególnie chwila zasługuje na wzmiankę, przy najmniej w dziejach naszego podówczas życia literackiego. W sierpniu, jeżeli się nie mylę, przybył do Warszawy Jan Nepomucen Kamiński, dyrektor teatru lwowskiego, znany nam, jako autor komedyi: „Wesele krakowskie“ i rozprawy o filozoficzności języka polskiego, w jednym i drugim dziele mający wiele oryginalności i barwy polskiej. Przybycie jego podało nam myśl uczt, któraby była zarazem objawieniem uczucia braterskiego, wiążącego wszystkie odłamy Polski, a szczególnie na polu życia publicznego Galicyi, poczynającej wówczas budzić się przez swoich pisarzy, jak w kilka miesięcy później powstała całkiem ze snu lat kilkudziesięciu przez żołnierzy, których dostarczyła naszej walce z Rosyą. Ta uczta miała miejsce za Pragę, w tak zwanej kolonii Winena; był to dom z ogrodem, należący do jednego z muzyków orkiestry teatru warszawskiego. Grono nasze było liczne, składało się z reprezentantów wszystkich prowincyi polskich. Polityka i literatura podały tam także sobie dłoń bratnią. Z posłów, o ile pamiętam, byli: Lelewel, Kantobery Tymowski i Trzeciński; z wyższych, urzędników referendarz Chłędowski, od teatru warszawskiego Ludwik Dmuszewski, z poetów Bohdan Zaleski i Witwicki — a że lista wszystkich byłaby za długa, przestanę na wymienieniu Franciszka Grzymały, Michała Grabowskiego, Mochnackiego, Nabelaka, Żukowskiego i Ostrowskiego.

Była to biesiada z początku uroczysta, przy końcu gwarna, przeplatana toastami patryotycznymi, nawet improwizacyami Tymowskiego i Witwickiego, a zawsze stąd piękna, że ją opromieniali już te polyski dusz polskich, rwących się ku swobodzie, które we trzy miesiące objawiły się pożarem, ogarniającym cały naród.

Miedzy raportami policyi w tajnem archiwum w. księcia, zabranem z Belwederu, znaleziono raport i o tej naszej biesiadzie, i bardzo dokładny. Ale nasz patryotyzm obja-

wiał się tam w takich ogólnikach, że policya nie miała się o co zaczepić.

Tymczasem zbliżało się do zmiany w naszym potocznym życiu literackim. Rewolucya lipcowa we Francyi przyspieszała burzenie się żywiołu rewolucyjnego w Warszawie. — Rozprawy w naszym kółku zaczęły przybierać wyraźniej charakter czynu; doktrynowanie spadało coraz niżej ku zeru. W niepodobiestwie pogodzenia wyobrażeń Grabowskiego z temi, jakie nam przewodniczyły, projekt jego pisma spelzł na niczem. Z posiedzeń w tym celu zostało mi w pamięci jedno u Mochnackiego przez znajdowanie się na niem Aleksandra Wielopolskiego, z którym Mochnacki bliżej się stykał. Poznałem go wtedy i widziałem po raz pierwszy — widziałem, nie słyszałem, bo przez cały czas nie odezwał się prawie, słuchał tylko z powagą dyplomatyczną.

Pod te czasy zeszliśmy się po raz pierwszy i poznaliśmy się z Piotrem Wysockim w mieszkaniu Ostrowskiego. Wiedzenie to nie miało dla mnie innej wagi, prócz zetknięcia się osobistego z tym mężem. Rozmowa nasza była krótka i obojętna, ale wiedzieliśmy o sobie, że idziemy po jednej drodze. Zresztą związek wojskowy nie był jeszcze w tej porze bardzo czynny; nie myślano jeszcze o stanowczem wyrzeczeniu co do chwili powstania, co i nam, cywilnym, zostawiało dosyć czasu na zajmowanie się pracami literackimi. Mielśmy wtedy w kilku na naszym warsztacie romans Walter-Skota „Klasztor“, dla drukarni stereotypowej, założonej przez Waleryana Krasińskiego. Ja tłumaczyłem tom pierwszy i wszystko w całym dziele, co musiało być wierszem oddane — albo pracowałem nad drugim tomem moich poezyi. Ale zatrudnienie to nie stało na przeszkodzie ważniejszej czynności mojej — czynności przygotowawczej. Między innemi powodami, że sfera mojego działania w szczuplejszym zamykała się obrębem, niż innych, był niedawny mój pobyt w Warszawie, a stąd mała liczba znajomości. Moi znajomi albo już należeli do związku, albo byli pod kierunkiem moich spółzwiązkowych. A łapać pierwszych lepszych, których się spotkało, i odkrywać im robotę tego rodzaju, byłoby to może działać gorliwie, ale nierozsądnie. Dawałem się w tem

ubiegać moim kolegom, którzy przez długi pobyt w Warszawie wrosli już niejako w jej ludność, byli w niej, jak w swoim domu. Ogłębność ta była tem potrzebniejsza, że czujność policji zwiększała się, że znaleźli się nikczemni, zaprzędani policji, którzy maską patryotyzmu łapali mniej ostrożnych. Jednym z takich był np. eks-major wojska polskiego, Petrykowski, który tworzył spisek patryotyczny, odbierał przysięgi na szarbie niby Kościuszki, naznaczał schadzki do swobodnych rozmów w jednej kawiarni, gdzie ukryci za lekkim przepierzeniem policyjanci wszystko słyszeć mogli — zaczęły następowały aresztowania, badania, po których, jak po nitce do kłębka, dochodzono do czynności istotnie patryotycznej. Okazało się później, że i tak już za wielu i za daleko przypuszczono do tajemnicy, zwłaszcza między młodzieżą.

Miesiąc wrzesień schodzi na tych fajerwerkach, które poprzedzają zwykle wybuch ogólny, a niekiedy tłumią go całkiem jałową pukaniną, która oznacza tylko albo płochość, albo zadowolenie niskich namiętności; bawi ona gawiedź, ale nie godna jest świętej, wielkiej sprawy, jak sprawa narodu, gdzie idzie gra może o wieki jego przyszłości. Zjawiały się afisze o najęciu Belwederu od Nowego roku, pogróżki W. Księciu. Potrzeba było wypadku, że niejaki Janiszewski w osobistej sprawie obił na ulicę prezydenta miasta, Wojdę, a stąd zaraz laski nazwano w o j d ó w k a m i. Gdy się to działo, jakby umyślnie, aby nie dać drżymać policji, policja w istocie zaczęła podwójne czuwanie i tak już natężone. Szły ciągle raporta do W. Księcia o coraz nowym dniu powstania. Z początku im wierzył, postawił garnizon na stopie gotowości stłumienia ruchu w każdej chwili; często sam w nocy wypadał z Belwederu i alarmował wojsko — wkońcu, zwiedziony po wiele razy fałszywemi doniesieniami, przestał im wierzyć.

Nie dzielono jego ubezpieczenia się w sferze wyższej rządowej. Sumienia występne mają często bystre przeznaczenie. Szaniawski, narzędzie Moskwy na polu cenzury, wyjechał do Wiednia, poświęcając rewolucyi, jak powiadał, swój domek na Nowym Świecie na barykady — Nowosilców do swego majątku na Litwie. Niewiele lepsi od

nich zostawali wprawdzie w Warszawie, ale w ciągłych tworgach.

W miarę tego popłochu, w miarę, jak stawało się coraz powszechniej wiadomem istnienie związku, mającego i mogącego zrobić powstanie, burzyła się ludność, przynajmniej znaczna jej część, i parla związek do wystąpienia czynnego. Parcie to było tak silne, że mu Wysocki uległ, jak sam to oświadcza. Wezwał więc Nabelaka do Łazienek dla porozumienia się z nim, bo czynność miała polegać głównie na cywilnych, a Nabelak był naówczas pośredniem ogniwem pomiędzy wojskowymi a cywilnymi. Cały plan zmierzał do tego: śmierć W. Księcia w czasie jego przejazdu z Belwederu na paradę Saskiego placu — miejsce do tego krótka uliczka, prowadząca od ulicy Jerozolimskiej do Dzieciątka Jezus i wychodząca na ulicę Mazowiecką, bo tą drogą przybywał zazwyczaj W. Książę na plac Saski. — Uskutecznić to mieli cywilni z pomocą kilku ochotników podchorążych. Dzień wykonania: kiedy wojsko polskie będzie zajmować wszystkie warty. W chwili rozprawy z W. Księciem wojsko polskie, będące na placu, miało otoczyć i uwięzić wszystkich generałów moskiewskich, którzy zazwyczaj asystowali W. Księciu podczas parady. Taki był plan, powierzony Nabelakowi do wykonania. Wysocki zastrzegł tylko sobie porozumienie się poprzednie ze swoimi kolegami, Urbańskim i Zaliwskim. Ale rzecz postawiona była na pewno; dzień 18-ty października na to przeznaczony, a od wojskowych przyłączył się do Nabelaka Konstanty Trzaskowski podchorąży dla wspólnego działania — później miało jeszcze kilku innych podchorążych wzmocnić oddział cywilnych, aby cios był pewniejszy.

Nabelak udzielił mi to wszystko i chciał, abym mu pomagał. Ma się rozumieć, że nie odmówilem. Obejrzelśmy razem pole naszej czynności. Ulica krótka i wąska: kilka szynków po jednej i po drugiej stronie. Miało się więc odbyć, jak następuje: po szynkach ukryć się mieli spiskowi, kilku innych we dwóch, trzech lub czterech dorożkach tak mieli manewrować, aby w tej chwili, kiedy powóz W. Księcia wpadnie w uliczkę, dorożki stanęły wpoprzek na jednym i drugim końcu, co widocznie za-

trzymałoby powóz W. Księcia, a spiskowym dałoby czas rzucić się na niego. Wieść o tem przeleciałaby błyskawicą na plac Saski, gdzie wojsko spełniłoby, co na niem leżało. I jak na hasło wybuchłaby rewolucja w całym mieście, przygotowanem już do tego.

Pozostawało nam teraz zająć się przysposobieniem wykonawców. Część tej roboty, przypadającej na mnie, ułatwiał mi Józef Mejzner, który, jako magister prawa i uczeń uniwersytetu, miał liczne znajomości między swoimi współuczniami. Był on w związku od kilku tygodni, a ze mną i Nabelakiem w najbliższym i najczęstszym stosunku. Młodzieniec zany, skromny, wielkiego ognia i poświęcenia, umarł w Paryżu w 1842 roku i swoją śmiercią natchnął Słowackiego jedną z najrzewniejszych jego poezyi. Ułożyliśmy zejście się nasze w kawiarni, głosnej w swoim czasie pod nazwą kawiarni Brzezińskiej, przy ulicy Koziej. W nocy 16-go października wymówilem sobie u tak zwanej przez nas Cioci, która prowadziła zarząd kawiarni, osobny pokój dla mnie i dla mających przybyć moich przyjaciół. Jakoż między jedynastą a dwunastą godziną nadszedł Mejzner, a z nim Zenon Niemojowski, Michał Szwajcer i jeszcze jeden czy dwóch, których dziś już nie pamiętam; wszyscy mi nieznan, a każdy przewodniczący w pewnym kółku swoich kolegów. Widziałem ich po raz pierwszy, wszakże Mejzner był mi dostateczną rękojmią, więc odrazu przystąpiłem do rzeczy, przedstawiając z siłą, do jakiej byłem zdolny i w szczerzej nagości, o co idzie, nie powiększając ani zmniejszając niebezpieczeństwa, na które powinni być przygotowani. W mojem przedstawieniu zobaczyli jasno i plan ogólny i udział w nim każdego z nich. Przyjęli moje słowa, jak się tego spodziewałem po tej młodzieży, z ogniem i radością. Zaczęła bić dwunasta, czas było rozejść się. „Samielu, pomagaj!“ wykrzyknął Szwajcer słowami z Frejszycy. Wezwany Samiel złe mu usłużył, bo w kilkanaście dni osadził go u Karmelitów, przez co nie mógł być czynnym w chwili, do której tak rwał się. Przy rozejściu się wskazałem im kawę wojskową przy Saskim placu, jako punkt skupienia się naszego na dwie godziny przynajmniej przed godziną parady, gdzie miało

nam być podane ostatecznie, co postanowili wojskowi, chociaż na chwilę nie wątpiliśmy o wykonaniu przyjętego planu. W tej pewności Niemojowski i Szwajcer otworzyli się szczerzej przed swoimi kolegami. Chwila, tak bliska otwartego działania, zwiększyła zapał zmniejszała ostrożność. Opatrywanie się w broń, lanie kulek i tym podobnie, zaczęło się tak skwapliwie, że nie było prawie tajemnicą. Środki ostrożności uznano prawie za zbytczne, roztropność za tchórzostwo. Szczęście tylko, że czas większego skompromitowania się był za krótki. Nadszedł 18-ty października. O godzinie wyznaczonej byliśmy na naszym stanowisku w zupełnej gotowości: ja w kawiarni wojskowej. Przynieśiono mi nakoniec słowo stanowcze: było to odroczenie powstania do chwili nieoznaczonej. W naradzie między Wysockim, Urbańskim i Zaliwskim uznano, że wojskowi nie są jeszcze dosyć silni do otwartego wystąpienia. Złe skutki tego wahania się zaczęły następować jedno po drugim, a coraz groźniejsze. Policja na tropie związku winą lekkości młodzieńczej, pomnażała liczbę tajnych agentów. Najgłośniejszy między nimi, perukarz Makrot, podwoił swoją czynność. Zaczęły się aresztowania młodzieży szkolnej. Ustanowiono komisję śledczą z kilku generałów polskich, między którymi byli Rautenstrauch, Maksymilian Fredro, Roźniecki; przewodniczył Potocki Stanisław, zwany *Stasiem*; sąd, łagodny w swoim obchodzeniu się z badanymi, ale nie mniej groźny dziełu związkowych. A co najsmutniejsza, między samymiż wojskowymi objawiło się rozdwojenie. Widzieliśmy w organizacji związku podział na kilka głównych korpusów; te korpusy zaczęły się oddzielać; wystąpiły stronnictwa osób. Wysocki szczególnie wzięty był za cel oskarżeń, potwarzy, intryg.

W takim stanie wewnętrznym naszego związku przysła nam dobra myśl: uczcić nabożeństwem żałobnym rocznicę rzezi na Pradze, 4-go listopada. Odbyło się ono u Kapucynów przy ulicy Miodowej. Kościół był zapelniony w największej części młodzieżą. Najwięcej zwracał na siebie uwagę obecny temu obchodowi Lelewel, który, chociaż dziecko w czasie tej rzezi, był już niejako jej świadkiem i miał ją w pamięci. Łatwo się domyśleć, że

między nami, skupionymi we wspomnieniach dnia tego, było dosyć policyi widomej i tajnej, a na czele stał wice-prezydent miasta, Lubowidzki. Nabożeństwo odbyło się z całą godnością i spokojem, jakia przystoją podobnej uroczystości. Nie tak było na Pradze, gdzie część młodzieży zamówiła nabożeństwo w tamecznym kościele Karmelitów. Myśl sama z siebie chwalebna, szkoda, że jej wykonaniu towarzyszyło zgorszenie, walka z komendantem żandarmeryi, Jurgaszką; wprawdzie w tej walce ucierpiał Jurgaszko, ale ten chwilowy studencki tryumf trzeba było później opłacać cierpieniami prześladowania i ściślejszego śledzenia kroków młodzieży.

Wracam do związku i jego burzenia się wewnętrznego.

W rzeczy samej, burzenie się to było wielkie i stanowiło niekiedy widok, który nam boleśń zadawał. Ostrowski zamknął się dla sprowadzenia ze swego tropu śledzącej go policyi; w tem zamknięciu odwiedzałem go co dni kilka, przynosząc mu wiadomości z naszego świata, za co mi płacił radami, jak się mam tłumaczyć, kiedy będę uwięziony i przed sąd stawiony, z których nie przyszło mi nigdy na myśl korzystać, bo obawa więzienia nigdy mię nie schwyciła na prawdę. Mochnacki, nie mogąc wszczepić w związkowych przekonani i wyobrażeń swoich, w pewności, że ich robota skończy się jak najsmutniej, usunął się całkiem i ze mną tylko, mogę powiedzieć, został w stosunku dawnym, po części z powodu wspólnej pracy nad romansem Walter-Skota, który tłumaczyłem z niemieckiego, a potem przy jego pomocy poprawiałem według oryginału angielskiego; praca, dla której spędziłem nieraz wspólnych kilka godzin, do pierwszej, do drugiej po północy, zawieszając ją czasem dla wysłuchania jakiejś dumki, które nam przysyłała z ulicy późna katarynka — poczem następował zazwyczaj serdeczny, a często wzniosły wylew jego, o który było mu tak łatwo w przedmiocie muzyki, poezji. Niektórzy zwątpili całkiem o skuteczności naszej roboty i zabierali się do opuszczenia kraju. Jeden z takich, a jeden z najzacniejszych i najśmielszych w dni kilkanaście, podawał mi już myśl udania się do Francji przez Prusy, dosyć łatwą do wykonania, bo miał stosunki, które nam zapewniały bezpieczny

przejazd przez Polskę i przebycie granicy pruskiej. Nie przyjąłem tej myśli, a nawet udało mi się natchnąć jego samego większą wytrwałością. Jednej tylko ostrożności dozwoliłem sobie: złożyłem moje rękopisy i inne papiery, w których zresztą nie było nic niebezpiecznego dla mnie, u Tadeusza Bielińskiego, oficera kwatermistrzostwa, który, chociaż wiedział o naszych zamiarach, nie dzielił naszych czynności z powodów, które nie zmniejszały ani mojego szacunku dla niego, ani zaufania w jego prawości.

Rzeczy jednak brały pozór obrotu coraz groźniejszego. Jeden z podchorążych, w paroksyzmie chorowitego patriotyzmu, który go przeraził widmem klęski, jaką grozi Polsce spiszek wojskowy, wypowiadał się przed W. Księciem ze wszystkiego, co wiedział. Inni dwaj, doniesieni przez szpiegów, którzy ich zajrzeli na schadzce z akademikami w kawiarni Baroka, byli aresztowani i pod okrutną chłostą wiele wyznali. W skutku ich wyznań szkoła podchorążych poszła pod surowszy dozór: powierzono ją generałowi Trębickiemu, uwieziono i badano Urbańskiego, ale go puszczono na wolność w dni kilka; przeszli także przez badanie Wysocki i Zaliwski. Ale nie z tej strony zagrożony był związek.

Mnożyły się aresztowania młodzieży. Ogniwo za ogniem, dobierano się do coraz ważniejszych. W pierwszej połowie listopada osadzony u Karmelitów Michał Szwejcer. Spotkał go ten los za gorliwość w ratowaniu innych. Poszedł on do kawiarni Baroka, aby odwiedzić innych swoich kolegów od schadzek w tem miejscu. Za to pokazanie się w owem zebraniu oskarżony został i uwięziony, jako jego uczestnik. Uwięzienie to miało i dla mnie pewną wagę, bo od pierwszego zetknięcia się naszego w kawiarni Brzezińskiej wszedłem z nim w ścisły i częsty stosunek.

Wszystkie te okoliczności, tak nam nieprzyjemnie groźne, pobudzały wojskowych do zajęcia się sprawą, któreby jej nadało obrót pomyślniejszy. Wysocki ze swojej strony robił wysilenia do wprowadzenia zgody i jedności między wojskowymi — ale najwięcej przyłożył się do postępu związku na właściwej mu drodze Ksawery Bronikowski. Jego czynności, energii, roztropności i taktowi

można śmiało przypisać, że związek stanął wkrótce na stopie wystąpienia w otwartem działaniu. Rozeszły się nadto wieści prawdziwe lub mylne, ale prawdopodobne, że kasy Banku i Skarbu Królestwa mają być wywiezione do Petersburga, że z wiosną wybuchnie wojna przeciw Francyi, a tymczasem wojsko polskie ma być posłane w głąb Rosyi, a Polska zajęta przez wojska rosyjskie. Wieści te a stąd zatrwożenie i parcie opinii publicznej wpłynęły, zdaje się, niemal do stłumienia sporów wewnątrz związku i skupienia umysłów w jednym kierunku do głównego celu, to jest, do jak najrychlejszego powstania. Odtąd byłibyśmy pewni, że lada dzień zostaniemy wezwani do działania z bronią w ręku. Plan, wykończony później, był nam już wiadomy w głównych swoich zarysach. Co do mnie, wiedziałem, że najważniejszym punktem będą: Belweder i Łazienki; na ten punkt przeznaczyłem siebie. W tej myśli poświęciliśmy jeden dzień z Bronikowskim na dokładne obeznanie się z miejscowością wspomnianego punktu. Objechaliśmy w doróże koszary, Belweder, zwiedziliśmy wszystkie aleje, wszystkie drogi w tej okolicy. Gorączka ruchu wzrastała. Jednego dnia Mejzner powiedział mi, że młodzież zniecierpliwiona chce zacząć sama, bez oglądania się na wojskowych, a zaczęcie to miało wykonać się z pewną wystawą teatralną. Oto ich pomysł streszczony: rzucić się na W. Księcia w jednej z jego przejażdżek po Warszawie, zamordować go, przywiązać trupa do powozu, umyślnie już na to przygotowanego i okrytego polską chorągwią, i tak go przewlec po ulicach Warszawy; Mejzner, ma się rozumieć, wpływem swoim dokazał, żeby spełnienie tego zamiaru odłożyli jeszcze do jakiegoś czasu. Wkrótce straciłem w nim spółdziałacza. Został uwięziony i osadzony u Marcinkanek przez winę jednego z uwięzionych wprzód, który w ciągu badania wymienił go, jako znajomego sobie. W kwadrans może po jego odjeździe z komisarzem policyi wpadłem do jego mieszkania, nie wiedząc o niczem, bo takie odwiedzanie się w pewnych porach dnia było między nami umówione; znalazłem je odemknięte i puste; przeczułem aresztowanie, a burgrabia domu potwierdził mój domysł. Szczęściem, było to na tydzień przed 29-m;

nie przeszedł nawet ani przez jedno badanie: rewolucya znalazła go u Marcinkanek i uwolniła; nazajutrz miał być przewieziony do Karmelitów.

Wojskowa część związku przywiązywała wielką wagę do poparcia swojego czynu przez potwierdzenie sejmu, który wyobrażał naród. Chodziło im więc głównie o zapewnienie się w tej mierze przed zaczęciem powstania. W tym celu postanowiono zasięgnąć zdania Lelewela i wyznaczono Wysockiego i Zaliwskiego. Bronikowski sprowadził im Lelewela do biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Lelewel, zapytany, jak naród a mianowicie sejm przyjmie rewolucyę, zrobioną przez wojskowych, nie mógł za sejm ręczyć, ale co do narodu, odpowiedział prawdziwie, że naród podziela uczucia wojska i że przyjmie, co zrobią czterdzieści tysięcy wojska, ożywione jednym duchem, dążące do jednego celu. Było to dnia 21-go listopada, zasługującego stąd na wspomnienie, że w ten dzień i na teje schadzce z Lelewelem wyznaczono na dzień powstania 28-my listopada, zastąpiony później przez 29-ty, jako dogodniejszy, między innymi powodami i dlatego, że w tym dniu cała służba garnizonu w mieście odbywała się przez wojsko polskie. W wilią więc powstania, to jest w niedzielę, o godzinie siódmej wieczorem zebrali się delegowani wszystkich sekcji i przyjęli plan, który miał te cztery główne punkta: 1. Zapewnić się względem osoby Konstantego. 2. Zmusić jazdę rosyjską do złożenia broni. 3. Opanować arsenał. 4. Rozbroić dwa pułki piesze rosyjskie, stojące w Warszawie.

Pozwinięcie szczegółowe tego planu pokaże część następującą.

III. PLAN POWSTANIA.

Plan powstania musiał być i był zastosowany do sił, jakimi związkowi rozporządzać mogli, do tych, jakie mieli przeciwko sobie, zresztą do pola, na którem działać mieli.

Siła polska.

Wojsko polskie, stojące w Warszawie — jako to:

Pułk grenadyerów gwardyi, 2 bataliony.

Kompanie wyborcze grenadyerów, około 3 batalionów.
4 kompanie karabinierów, (wyborcze z 4-go pułku strzelców).

4-ty pułk liniowy, 2 bataliony.

Batalion saperów.

Szkola bombardyerów, 30 ludzi i 4 działa.

Bateria pozycyjna konna gwardyi, 8 dział.

Pułk strzelców konnych gwardyi.

3 działa w arsenale

2 działa lekkie w szkole artylerii na ulicy Miodowej

Siła moskiewska:

Pułk gwardyi litewskiej, 2 bataliony.

Pułk strzelców wołyńskich, 2 bataliony.

Pułk kirysyerów podolskich —

Pułk huzarów grodzieńskich —

Pułk ułanów — każdy złożony ze czterech szwadronów.
Wogóle 5,400 ludzi.

Nadto w Błoniu batalion instrukcyjny —

W Górze bateria pozycyjna piesza gwardyi, 12 dział.
Tamże bateria instrukcyjna korpusu litewskiego, 4 działa —
W Skierniewicach bateria lekko-konna gwardyi rosyjskiej.

Rozłożenie tych sił czyli stanowiska, zajmowane przez nie:
Łazienki pod Belwederem.

Polacy: Szkoła podchorążych piesza i konna.

Moskale: Trzy pułki kawalerii.

W najbliższych temu stanowisku koszarach ordynackich mieścili się 2 kompanie karabinierskie 1-go pułku strzelców pieszych, 2 kompanie 3 pułku strzelców pieszych, 2 kompanie grenadyerskie 6-go pułku liniowego. Razem 6 kompanii, 1,000 ludzi z górą.

Koszary Aleksandryjskie, niegdyś koronne.

Polacy: Grenadyery gwardyi polskiej, około 2,400 ludzi.

2 kompanie wyborcze 1-go pułku liniowego.

2 kompanie wyborcze 3-go pułku liniowego.

2 kompanie wyborcze 7-go pułku liniowego.

Większa część tych dwóch ostatnich kompanii zajmowała warty na Solcu i na ulicy Franciszkańskiej.

Moskale: Pułk pieszy gwardyi litewskiej.

Koszary, niegdyś artylerii, przy ulicy Dzikiej, a obecnie

koszary gwardyi wołyńskiej: pułk moskiewski gwardyi wołyńskiej.

Polacy: Szkoła bombardyerów, 30 ludzi i 4 działa.

O kilkaset kroków w koszarach Mikołajewskich przy placu Marsowym, batalion saperów.

Koszary na Pocięgowie: 2 kompanie wyborcze 2-go liniowego.

Pałac Sapieżyński: 4-ty pułk liniowy.

Koszary Mierowskie: pułk strzelców konnych gwardyi.

Koszary artylerji gwardyi: bateria Chorzewskiego, 8 dział pozycyjnych.

Były oprócz tego niektóre kompanie, kwaterujące w domach prywatnych.

Obok tych stanowisk, zajmowanych przez wojsko, były inne punkta, ważne dla powstania, jako to: Arsenal, Bank. dwa mosty na Wiśle — i Praga: więzienia polityczne Karmelitów na Lesznie i Marcinkanek. Więzienia cywilne. Zresztą Stare Miasto, jako gniazdo ludności, łatwej do poruszenia.

Stosownie zatem do sił obustronnych i do ważności niektórych stanowisk, przyjęto plan następujący.

Miasto podzielone było na dwie połowy: północną i południową. W północnej najważniejszymi punktami były koszary, zajmowane przez Moskali, arsenał, bank i t. d. W południowej Belweder i koszary łażeniowskie. Kierunek ruchu działania w pierwszej połowie przyjęli na siebie głównie Zaliwski i Urbański, w drugiej Wysocki. Chwila wybuchu — godzina szósta wieczorem. Hasło najpierwsze: pożar browaru na Solcu, a winien mu był natychmiast odpowiedzieć, jako hasło dla części północnej, pożar jednego domku na Nowolipiu w okolicy arsenału. Po takich hasłach plan nakazywał:

Najważniejszym punktem dla związkowych był naczelnik siły, im przeciwniej, w. książę Konstanty — przeto napad na Belweder i zabezpieczenia się od osoby w. księcia, chociażby nawet przez śmierć jego, było najpierwszą czynnością wybuchu. Czynność tę wzięli na siebie związkowi cywilni. Miało ich być pięćdziesięciu, liczba dostateczna do wykonania tego zamiaru. Dwóch tylko podchorążych przy-

dano im, jako obeznanych z wewnętrznym rozpołożeniem Belwederu.

Jednocześnie z napadem na Belweder szkoła podchorążych miała wpaść do koszar jazdy moskiewskiej i tę rozbroić. W tej czynności miały ją wesprzeć sześć kompanii wyborczych, zajmujące koszary Ordynackie, a które na hasło, dane pożarem, miały natychmiast uderzyć na jazdę moskiewską od strony miasta. Cztery działa bombardyerów miały zająć stanowisko, górujące pod koszarami Radziwiłowskiemi, i strzałami na wiatr demoralizować Moskali, a tym sposobem ułatwić swoim ich rozbrojenie.

W tej samej chwili, ma się rozumieć, winna była rozpocząć się czynność wybuchu na wszystkich innych punktach, a mianowicie:

W koszarach gwardyi Aleksandryjskich grenadyery z dwoma kompaniami 3-go pułku mieli wpaść z bronią nabiłą do sal gwardyi litewskiej i wziąć ten pułk w niewolę, a dwie kompanie 1-go pułku wyruszyć w tejże chwili na Pragę, opanować tam prochownię i oba mosty na Wiśle. Rozbrojenie pułku litewskiego powierzono Piotrowi Urbańskiemu, zajęcie Pragi Kiekiernickiemu i Czar-nomskiemu.

Rozbrojenie to ważne miało korzyści: powstańcy zostawali panami Pragi, Nowego i Starego Miasta, środka Warszawy, a razem i Wisły między dwoma mostami.

Pułk 4-ty liniowy zajmował tego dnia przez swój pierwszy batalion i część drugiego główne warty w mieście. Oficerowie dowodzący jedni mieli pozostać na wartach, drudzy zejść z nich; między tymi Julian Zajączkowski i Stanisław Górecki, którzy zajmowali odwach na Krakowskim Przedmieściu, powinni byli wpaść do Teatru Rozmaitości, aresztować oficerów moskiewskich, którychby tam znaleźli, na koniec udać się do arsenału, alarmując mieszkańców ulic, przez któreby przechodzili. Miniszewski u Franciszkanów, Grotowski w prochowni przy ulicy Mostowej, mieli czuwać nad utrzymaniem porządku między więźniami. Reszta 4-go pułku powinna była natychmiast opuścić koszary i udać się na zajęcie swego stanowiska przy arsenale.

Co się dotyczy pułku strzelców wołyńskich, sprawa z nim

była trudniejszą; powstańcy nie mieli do ich rozbrojenia, jak trzydziestu bombardyerów. Wołyńcy mogli łatwo odeprzeć napad, mogli zamknąć się w koszarach, lub wystąpić do walki ze swojemi czterema działami. Na przypadek więc, gdyby nie udało się rozbrojenie, a ten pułk wystąpił z koszar i zmierzał na plac przed giełdą i arsenałem, które w razie alarmu zająć był winien, saperzy mieli nań uderzyć od pola, a z przodu batalion 4-go pułku, zbywający od warty, i dwie kompanie 5-go liniowego, które w tej chwili powinny już były znajdować się przy arsenale.

Dwóm kompaniom wyborczym 2-go liniowego przeznaczony był do zajęcia plac przed giełdą —

Dwóm 8-go liniowego rynek Starego Miasta.

Inne oddziały wojska polskiego, nie potrzebujące mieścić się do walki, miały czuwać nad arsenałem, bankiem, więzieniami, gmachami rządowymi i wszelką własnością narodową.

Lud miał być poruszony przez pewną liczbę cywilnych, którzy w tym celu obrali sobie za główny plac czynności rynek Starego Miasta, ale nie miał być uzbrojony. Tylko wywołane do ruchu jego masy miały swoją obecnością i zapalem wspierać działanie wojska. Plan powstańców był tego rodzaju, że ściśle jego wykonanie oddawało w ich moc nieprzyjaciela bez orężnego z nim starcia się.

IV. WYKONANIE PLANU POWSTANIA.

W tej części mego opowiadania przedstawiam szczegółowiej ruch powstania, o ile sam byłem jego uczestnikiem; co do reszty ograniczam się na zarysach ogólnych, trzymając się wiadomości, podanych przez Maurycego Mochackiego w jego historii, które są bardzo szczegółowe i zasługujące na zupełną wiarę, do niego też odsyłając czytelnika, pragnącego mieć dokładne wyobrażenie dziejów tej nocy.

Od kilkunastu już dni wiedzieliśmy, że lada dzień będziemy wezwani do działania i że ten dzień bardzo bliski. Mielśmy, każdy z nas, wiadomą sobie czynność do spełnienia. Dzisiaj, 28-go listopada, miało już zapaleć stanowcze

postanowienie, i o tem zawiadomić nas miano. W tym celu wieczorem zebraliśmy się, kilku nas cywilnych, w jednej cukierni na Krakowskim Przedmieściu. Był Nabelak, Żukowski, ja; innych nie przypominam sobie w tej chwili. Wkrótce przybył Bronikowski Ksawery i oznajmił nam, że powstaniemy jutro wieczorem o godzinie szóstej — a zatem o tej godzinie każdy na wiadomym sobie stanowisku znajdować się powinien. Było przytem porozumienie się w rzeczach podrzędnych.

Szło teraz o zawiadomienie innych, tych zwłaszcza, którzy się podjęli działania w Belwederze i poruszenia ludu. Co do mnie, wziąłem na siebie zawiadomić, między innymi, Mochackiego, który od pewnego czasu nie stykał się ze związkowymi, a ze mną był w ciągłym, bardzo bliskim stosunku, Józefa Kozłowskiego, mecenasa, mającego wielką wziętość szczególnie w dzielnicy Starego Miasta — i jeszcze kilku innych. Nie było potrzeby dopełnić tego dzisiaj; do Kozłowskiego tylko wpadłem, a chociaż pora nie była zbyt późniona, znalazłem go już w łóżku, ale, jak tylko mu oznajmiłem, o co idzie, zerwał się natychmiast, ubrał się i wybiegł porozumieć się ze znanymi sobie mieszczanami. Zostawiając resztę do jutra, wróciłem do Nabelaka, u którego miałem tę noc przepeścić, bo w mojem mieszkaniu mogłem być aresztowany, do czego było wielkie podobieństwo, szczególnie po uwięzieniu Józefa Mejznera, który był jednym z najbliższych mnie ogniw w tym łańcuchu sprzysiężenia, a byłoby mi boleśnie przeżyć w więzieniu i bezczynności chwilę, do której unosiłem się od lat wielu. Wieczory listopadowe długie, mieliśmy dziś co robić w naszym mieszkaniu, byłem przytem cokolwiek głodny, poszliśmy więc z Nabelakiem na piwo, już to dla posilenia się, a jeszcze więcej dla badania usposobień publiczności. W powrocie naszym do domu drobny wypadek na pozór zrobił na mnie wrażenie, które podniosło jeszcze wyżej dobrą moją otuchę o dniu jutrzejszym: trąciłem nogą jakiś kawałek sukna, leżący na bruku, podniosłem go: był to pasek, jaki mają na swojej kurtce ulani rosyjscy. „Dobry znak“ odezwałem się do Nabelaka, pokazując mu znaleziony pasek. „Mamy już łupy z nieprzyjaciela“. I wróżba nie zawiodła. Na-

bielak mieszkał w izbie która była także biurem redakcyjnym „Dziennika powszechnego“. Łóżko było jedno i na jedną osobę, ale zato stół ogromny i stosy dzienników. Zaskaliśmy stół dziennikami — musiałem znaleźć tę pościel bardzo wygodną, bo przespałem, jak zabity, noc z 28-go na 29-ty — i zbudziłem się z całą czerstwością i swobodą umysłu, chociaż stała mi natychmiast przed myślą nadzwyczajna ważność tego dnia — dla mnie i dla Polski całej.

„A teraz do roboty, może ostatniej w tem życiu!“ — powiedziałem sobie. Ale przede wszystkim musiałem jeszcze wpaść do mojego mieszkania i załatwić sprawę niższego rzędu. Potrzeba było odnieść do drukarni rękopism czwartego tomu romansu Walter-Skota: „Klasztor“. Tom ten przełożył Ksawery Bronikowski, ale wszystko, co było wierszem w tym romansie, to mnie było powierzone do przełożenia na wiersz polski, i w tym tomie miałem jeszcze kilkanaście wierszy do zrobienia.

W parę godzin ułatwiłem się z tą pracą, zaniósłem rękopism do drukarni, zabiegłem do p. Franciszka Grzymały dla uiszczenia się z małego dłużku pieniężnego i pośpieszyłem do Mochnackiego. Zastałem go nad pracą. — Drukował właśnie swoje dziełko o literaturze polskiej, a w tej chwili pisał rozdział o muzyce polskiej, który miał zamknąć dzieło, ale, kiedy mu zapowiedziałem, że „dziś wieczór zaczynamy nieodmiennie“, przyjął tę wieść z oznaką radości: przekreślił natychmiast wielkimi pociągami pióra krzyż na kilka stronnie, już zapisanych. „Zostawmy to na później“ zawołał „a teraz natychmiast biegnę do szaserów“. Mówił tu o strzelcach konnych gwardyi, z których kilku oficerami był w stosunku i liczył na ich współdziałanie w powstaniu.

Od niego udałem się na Miodową ulicę, gdzie w domu Zawadzkiego mieszkało kilku oficerów artylerii pieszej, a zawiadomienie których było mi polecone. Jeden z nich, Antoni Chrzęszczewski, był mi dobrze znany, jako Ukrainiec i kolega ze szkół humańskich. Od kilku tygodni był dymisyonowany i miał wracać na Ukrainę, ale, w tajemniczo przeze mnie w sprawę rychłego powstania, pozostał w Warszawie, aby mieć w tym czynnie swój udział.

Mieszkał z kilku swoimi kolegami z artylerii, Gabrielem Kowalskim i Chałęckim. Zastałem wszystkich. Byli oni już oddawna w związku; w tej chwili szło tylko o to, aby wiedzieli chwilę powstania i byli gotowi na swoich stanowiskach. Z zapalem przyjęli wieść, tak dawno upragnioną; posłali natychmiast do szkoły artylerii i w kilkanaście minut przybiegł z niej Onufry Korzeniowski, którego wtedy także po raz pierwszy poznałem. Po krótkiej naradzie rozeszliśmy się każdy w swoją stronę do spełnienia swojej czynności: Chałęcki do szkoły bombardyerów, Korzeniowski do szkoły artylerii, inni dla zawiadomienia i przygotowania swoich kolegów. Spełniwszy kilka jeszcze podobnych zleceń, że już zbliżał się wieczór, zeszliśmy się z Nabelakiem, aby razem zjeść obiad i razem udać się na nasze stanowisko w Łazienkach.

Spółstolownikiem naszym był Jędrzej Moraczewski, późniejszy historyk, a wówczas pracujący, jak Nabelak, w redakcyi „Dziennika powszechnego“; człowiek znaczny, jak i później, szanowany od nas, ale niewtajemniczony. Widzieliśmy w nim wychowanka uniwersytetów niemieckich, zdolniejszego rozprawiać uczenie, jak robić broń na placu boju. Szczęściem, omyliliśmy się, bo w kampanii późniejszej był jednym z dzielnych strzelców Grothusa; sam go widziałem takim, kiedy z wielką moją radością spotkaliśmy się w kilka miesięcy nad Wisłą na przeciw samych Puław, gdzie oddział jego obserwował Rosyan, snujących się po drugiej stronie Wisły. I wtedy jedliśmy obiad, ale obiad żołnierski, gdzie już nie było uczzonej dysputy.

Pozór Warszawy zwyczajny — nic nie objawiało ruchu, zdradzającego jakąś ważną czynność. Policja snuła się, badała, odgadywała, ale tropu schwycić nie mogła. Ja sam w moich kursach skrzyżowałem się kilka razy z komisarzem Szymanowskim, z generałem Roźnieckim. Mimo ich oka sprzysiężeni wojskowi przygotowywali materiały wybuchu. Przed godziną drugą popołudniu wszyscy już związkowi, mający na sobie ważniejsze czynności, zawiadomieni byli o chwili i przedsiębrali stosowne środki. Przede wszystkim potrzeba było ładunków. Zaradzono temu następującym sposobem. Dąbrowski Floryan, oficer

z 7-go pułku liniowego, i Przyborowski Józef z 1-go strzelców pieszych, wzięwszy dwa furgony i dwóch żołnierzy, przybyli do obozu, gdzie w baraku generała Blumera złożone były ładunki, uwięzili podoficera od weteranów, który miał straż nad składem, zmieniawszy wprzód wartość niby z rozkazu gubernatora, przebyli napowrót rogatki, odpowiadając, zapytani, co wiozą, że „nowe mundury dla wojska“ i tym wybiegiem pomyślnym dostarczyli kilkadziesiąt tysięcy ostrych nabojęw, które oficerowie rozebrali i w kieszeniach roznosili po koszarach i rozdawali swoim żołnierzom. W tej dopiero chwili oficerowie osądzili za rzecz przyzwoitą powiedzieć żołnierzom, do czego to zmierzają, a żołnierz przyjął to z taką ochotą, z taką szczerą chęcią wypędzenia Moskale z Polski, że nie żałowano, iż go nie wciągnięto do spisku.

Z nadchodzącym zmrokiem ruch poczynął być powszechniejszy i wyraźniejszy. Za ogrodem Krasińskim, na małym placu przy rajtszuli, pod bokiem prawie generała Lewickiego, komendanta miasta, widziano gromadzących się żołnierzy. Byli to grenadyrzy 5-go liniowego, wyprowadzeni z kwater na ulicach Wroniej, Łuckiej i Lesznie, przez podporuczników Lipowskiego i Czarneckiego. Na innych punktach pokazywały się równie gromadki żołnierzy, przesuwali się oddziały, znaczniejsze nawet, ale nie zwracały szczególnej uwagi, a jeżeli zwróciły, dowodzący nimi oficerowie, zapytani, odpowiadali, „że pułki występują na patrol jeneralny z rozkazu komendanta miasta“. Wogóle szkoła artylerji, batalion saperów, kompanie wyborcze, warty na wszystkich punktach były w pogotowiu i oczekiwały tylko na znak nmówiony.

W tejże gotowości znaleźli się cywilni, mający poruszyć lud na Starem Mieście. Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Maurycy Mochnacki, Ludwik Żukowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin i Michał Dębiński, zgromadzeni w tym celu w jednej kawiarni, wyglądali tylko błysku hasła, dla tej części miasta pożaru na Nalewkach.

Dobrze się już ściemniło, kiedyśmy się puścili nareszcie ku Łazienkom. Droga, jaką mieliśmy przed sobą, nie była tak długa, abyśmy nie mogli stanąć o szóstą na

naszem stanowisku, przytem powietrze cokolwiek zamglone, niebo przysłonięte całkiem, jakby zasłoną, chłód przenikający, to też po drodze wstąpiliśmy jeszcze do cukierni, blisko kościoła S-go Krzyża dla ogrzania się szklanką ponczu. Zastaliśmy tam Romana Soltyka, który, wtajemniczony w naszą robotę, wpatrywał się w nas z wielkiem zajęciem. Po chwile ogrzania się ruszyliśmy w dalszą drogę, popod kościołem S-go Aleksandra, a później wielką aleją. Spuszczając się już ku Łazienkom, zetknęliśmy się z pułkownikiem Olędzkim, któremu od kilku tygodni poruczono dozór nad szkołą podchorążych, polegając na jego wierności rządowi rosyjskiemu. Pomimo ciemności poznałem go, a że i ja byłem jemu cokolwiek znany, osłoniłem twarz lepiej wysokim kołnierzem mojego płaszcza, nasunąłem daszek mojej czapki na oczy i tak przeszliśmy koło siebie. On jednak wrócił tą samą drogą do szkoły podchorążych, powiadając im, że jacyś cywilni włóczą się w okolicy szkoły o porze, nie dozwolonej cywilnym, i dając rozkaz, aby natychmiast wysłano jednego z podchorążych, który miał się dowiedzieć, kto są ci, co śmieją być o tej porze w tych miejscach. Po tym rozkazie wrócił do miasta, zrobiwszy mimowoli nam i podchorążym przysługę, zawiadamiając ich, że jesteśmy już na naszem stanowisku.

Dochodziliśmy do posagu Sobieskiego, który według planu miał być punktem zbornym dla oddziału belwederskiego, kiedy błysnęła łuna pożaru na Solcu — hasło powstania na wszystkich punktach, a tymczasem nie było, jak pól do szóstej — a nas wszystkich przy posagu ledwo kilkunastu. W tej chwili uderzono alarm w koszarach — odezwały się dzwonki odwachów, — posyłki żołnierskie zaczęły się przemykać po lasku. W tym, nie pojętym dla nas, rozruchu nie pozostawało nam, jak rozprószyć się i przeczekać, aż się rzecz wyjaśni. Każdy więc znalazł sobie swoje drzewko i ukrył się za niem. Wiele zapewne byliśmy winni ocalenie nasze ciemności nocy, tem większej między drzewami, ale najwięcej jakiejś wyższej opiece nad nami; koło mnie samego przebiegli kilka razy żołnierze o kroków kilka. A trwało to przez pół godziny z górą.

To hasło, zawczesne i chybione, miało wielki wpływ na cały ruch powstania i zasługuje na kilka słów wyjaśniających. Materiału palnego do podpalenia browaru na Solcu miał dostarczyć Wysockiemu kapitan Stolzmann, jeden z zarządzających pracownią ogniową, pod warunkiem, aby uprzedzony był o tem na dni kilka; Wysocki zażądał ich dopiero w wilię powstania, to jest w niedzielę, kiedy pracownia była zamknięta, Stolzmann więc nie mógł ich wydać ani w niedzielę, ani nawet w poniedziałek, bo, jak zapowiedział, potrzebował na to dni kilku. Dwóch podchorążych, przeznaczonych do podpalenia browaru, musieli przestać na słomie. Operacja ta szła nasamprzód z wielką trudnością, a kiedy się wreszcie udała, pożar był tak słaby, że go w krótkim czasie z łatwością stłumiono. Dlaczego był przedwczesny? Nie wiadomo — czy wina zegaru, którego się radzili podchorążowie — czy wina ich niecierpliwości. Bądź co bądź, wypadek ten zawichrzył powstanie w samym jego zarodku i materialnie i moralnie, jak to później zobaczymy.

Po upływie dobrej półgodziny pożar zgaszony, Łazienki uspokojone. Mogliśmy wyjść nareszcie z poza drzew naszych, skupić się, obliczyć i coś postanowić. Nie było innej rady, jak porozumieć się ze szkołą podchorążych. W tym celu udał się do niej Nabelak. Ale i szkoła zaniepokojona: Wysockiego nie widać, z podchorążymi, podpalającymi browar, nie wiadomo co się stało. Z tem tylko wrócił między nas Nabelak. Trzeba było jeszcze czekać, a czekać śród niebezpieczeństw widocznych. Lada co mogło wydać naszą obecność w miejscu, tak zabronionem, w porze, tak już spóźnionej; usprawiedliwienie się trudne, tem trudniejsze, że wielu z tej młodzieży uzbroidło się w pistolety i sztylety, bez potrzeby, bo do czynu mieliśmy przygotowane dla siebie karabiny przez wojskowych.

W tem położeniu upłynęła nam jeszcze cała godzina. Nabelak znówu pobiegł do szkoły podchorążych i znówu miał wracać z niczem, kiedy, wracając, spotkał Wysockiego, spieszącego z miasta ze Szleglem, Dobrowolskim, Paszkiewiczem i Rotermondem. Od tej chwili zmienia się postać rzeczy; dzieło rozpoczyna się naprawdę. Wysocki ze Szleglem i Dobrowolskim spieszą do szkoły podchorą-

żych, Paszkiewicz i Rotermond zostają przy oddziale belwederskim.

W kilka minut przybył Nabelak w towarzystwie podchorążych Trzaskowskiego i Kobylańskiego, przeznaczonych do prowadzenia naszego oddziału; otrzymaliśmy także karabiny z bagnetami i po 20 ładunków. Obliczyliśmy się — było nas ośmnastu. Liczba cokolwiek za szczupła w stosunku do wyprawy takiej ważności. Widziałem z tego powodu zamięszanie na niektórych twarzach; mnie samego przebiegło chwilowe zwątpienie, ale to nie trwało, jak chwilę. Wszyscy poczuli obowiązek rzucić się w działanie bez żadnego względu na liczbę i dalsze skutki. Nabiliśmy karabiny i ruszyliśmy w pochód dwoma oddziałami, złożonymi każdy z dziesięciu ludzi. Jeden miał wpaść główną bramą do Belwederu; w tym oddziale był Ludwik Nabelak, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Ludwik Orpiszewski, Ludwik Jankowski, Walenty Nasiorowski, ja i podchorąży Konstanty Trzaskowski, przewodnik oddziału.

W drugim oddziale byli: Paszkiewicz Karol, Rotermond Edward, Poniński Stanisław, Trzcinski Edward, Świętosławski Aleksander, Krosnowski Walenty, Rettel Leonard, Kosiński i podchorąży Kobylański, przewodnik. Oddział ten wszedł do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu, gdyby tą stroną wielki książę chciał się wymknąć.

Droga nasza szła między Belwederem a ogrodem botanicznym. Żadnej przeszkody na niej, tylko co kilkadziesiąt kroków, wzdłuż sztachet, otaczających dziedziniec belwederski, budka szyldwachy i przy niej weteran moskiewski. Widok tych weteranów natchnął jednego z nas zapytać weterana po moskiewsku, czy w książę jest w domu „Jest“ odpowiedział weteran. — Na to zapytujący: „Będzie miał gości.“ — Weteran schował się w budkę. Wkrótce musieliśmy przyspieszyć kroku; usłyszeliśmy strzał i krzyk człowieka z ogrodu. W drugim oddziale strzelono do kirysera, będącego tam na warcie przy pałacu i raniono go. Paściliśmy się biegiem na odgłos, jakby grzmotu, który nas doszedł ze strony koszar. Było to pierwsze powitanie podchorążych dla jazdy moskiewskiej. Jednocześnie

nie prawie z tym strzałem wpadliśmy przez bramę na dziedziniec Belwederu. „Śmierć tyranom!“ wykrzyknął mój oddział, a wyraz oczu i twarzy moich towarzyszy odbijał dobitnie, co ich okrzyk zapowiadał. Widziałem to tem lepiej, że miałem cały spokój wewnętrzny i nie wnięszalem uniesienia mego do tego chóru. Kilku ludzi ze służby w. księcia stało na podwórzu przed pałacem, kiedyśmy wpadli w bramę. Na okrzyk nasz rzucili się natychmiast do głównych drzwi wchodowych i chcieli je zamknąć, ale nie mieli na to dosyć czasu; razem prawie z nimi byliśmy u drzwi, przez pół zamkniętych, które się wnet całkiem otwarły pod naszym naparciem i zostały nam swobodne wejście, ale jak do pustki. W tej chwili i drugi oddział połączył się z naszym. Przebiegliśmy pędem, z łoskotem, którego łatwo można się domyślić, dół i pierwsze piętro — i nigdzie w. księcia. Zniknął nam — pustka zupełna — tylko w przedpokoju sali audiencyonalnej jakiś człowiek, kryjący się za drzwiami. Był to wice-prezydent miasta, Lubowidzki. Rzucono się ku niemu; dotknęło go kilka bagnetów, upadł na posadzkę, zlany krwią kilku ran, ale żadna nie była śmiertelną.

Zwiedziwszy w ten sposób cały pałac i nie znalazłszy, czegośmy szukali, nie spełniwszy, cośmy zamierzali, mieliśmy się do odwrotu, nie bardzo radzi z siebie, kiedy ujrzeliliśmy na dziedzińcu gromadkę ludzi, która gotowała się niby przeciąć nam odwrót. Była to służba w. księcia, którą zebrał i dowodził generał Żandr. Byli między nimi uzbrojeni szpadami, ale największa część miała łopaty, widły i inne narzędzia. Starcie się z nimi trwało krótko. Jeden z pierwszych upadł sam Żandr, skłuty śmiertelnie. Dziś jeszcze budzi się we mnie żal nad tym człowiekiem, ten sam, jaki się zbudził na widok, kiedy leżący na ziemi i przybity niejako do niej bagnetem, schwycił oboma rękami lufę karabinu i błagającym głosem zawołał: „Ja niewinowa!“ — Mój spokój dozwolił mi to widzieć, równie, jak ocalić może życie jednemu z naszego oddziału. Zaciętrzewiony nacieraniem, nie uważał, jak jeden z lokal, zbiegłszy mu z tyłu, mierzyl w głowę łopatą; na szczęście, spostrzegłem to i tak w samą porę pchnąłem go bagnetem, że łopata ześlizgnęła się tylko bokiem twarzy,

ale jej ślad na długo pozostał, bo nadwężyła cokolwiek kość policzka. Na widok śmiertelnie ranionego generała i kilku innych reszta uciekła do stajen i tam się zamykała w największym przestachu, o ile mogłem sądzić ze wrzawy wewnątrz stajen. Nie było też naszym zadaniem walczenie z nimi. Szło nam teraz głównie o połączenie się ze szkołą podchorążych. Opuszczając Belweder, kierowaliśmy się szczęśliwym jakimś przeczuciem. Najkrótsza nasza droga była ta, którą przyszlismy; my jednak wzięliśmy się w kierunku zupełnie przeciwnym. Naprzeciw Belwederu, po drugiej stronie alei, był jakiś ogród, dosyć obszerny i zarosły drzewami; wzięliśmy się więc cokolwiek na lewo, ku rogatkom, potem, rzuciwszy aleję, poszliśmy wzdłuż ogrodzenia, zamierzając, obszedłszy tym sposobem ogród, dostać się do ogrodu botanicznego. Właśnie byliśmy już zasłonięni ogrodem od alei, kiedyśmy usłyszeli na niej tentent jazdy. Był to oddział kirysyerów, który pędził na obronę Belwederu. Wpadł on tam w kilka minut po naszym odejściu. Łatwo odgadnąć, co by się stało z nami, gdyby nas byli zastali w miejscu, albo, że byśmy byli wracali drogą najprostszą: kilkunastu ludzi z karabinami tylko przeciwko szwadronowi kirysyerów! Uniknęliśmy wielkiego niebezpieczeństwa, ale nie całkiem; potrzeba jak najrychlej dostać się do ogrodu botanicznego. Przyspieszamy biegu, docieramy do alei, jesteśmy już przy ogrodzie, a za chwilę z drugiej strony płotów ogrodowych. Tu odetchnęliśmy cokolwiek, czego niektórzy między nami bardzo potrzebowali: tego spierały kolki z gwałtownego biegu, ten skaleczył sobie rękę, przeskakując do ogrodu, i, osłabiony, już dalej iść nie mógł — jakoż w rzeczy samej został i, chowany pod osłoną przez poczciwego ogrodniczka, trzeciego dnia dopiero wrócił do miasta — i tym podobnie. Zaledwo puściliśmy się w głąb ogrodu, kiedy poza nami, alea, którą tylko cośmy opuścili, zagrziała znowu pod kopytami jazdy: byli to ci sami kirysyerowie, którzy przed chwilą wpadli do Belwederu, a teraz galopowali — nie wiedzieliśmy, gdzie: ku miastu, czy ku koszarom. Wymknęliśmy się im powtórnie. Szybko, jak się można tego domyślać, przebyliśmy ogród botaniczny, drogą, idącą od wielkiej

kawy do mostu łażeniowego; po chwili byliśmy przy moście. Rzucamy okiem za sobą, a oto droga, którąśmy. dopiero porzucili, wypełniona jest kirysyerami równie, jak droga, idąca w górę między Belwederem a ogrodem botanicznym. Po trzeci raz Bóg nas ocalił. Odtąd możemy bezpiecznie stawić czoło naszym nieprzyjaciółom. Jesteśmy w większej liczbie: przy moście Sobieskiego złączyliśmy się ze szkołą podchorążych, która po napadzie na koszary jazdy cofnęła się na chwilę i zajęła to stanowisko tymczasowe.

Odtąd czynność naszego oddziału ze szkołą podchorążych wspólna, ale dla pełności opowiedzenia potrzeba wrócić do chwili, w której Wysocki przybył z miasta. Nie zapominajmy, że było to już po siódmej godzinie, a więc spóźnienie się dłuższe, jak o godzinę. Nie było czasu do stracenia. Wykładano właśnie podchorążym teorię sztuki wojkowej, kiedy wszedł Wysocki ze Szległem i Dobrowolskim i, dobywszy szpady, zawołał donośnym głosem: „Polacy! Godzina zemsty wybiła! Dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!“ — Dzielna młodzież czekała tylko na to; odpowiedziała też natychmiast grzmiącym okrzykiem: „Do bronii! Do bronii!“ a w kilka minut rozebrano ładunki, nabito karabiny, uszykowano się przed szkołą i posunięto się ku koszarom z Wysockim na czele. Było ich stu sześćdziesięciu kilku przeciwko trzem pułkom jazdy, ale celniejszych strzelców, bieglejszych w robieniu bronii, jednym słowem, doskonalszych żołnierzy nie miało pewno żadne wojsko. Pomyślność ataku zareczyło naprzód położenie jazdy w tych koszarach. Opasywał je dokoła szeroki i głęboki kanał, nieprzebyty dla koni. Wnętrze, chociaż miało kilka obszernych placów, ale zabudowane było kilkudziesięciu stajniami i mnóstwem pomniejszych domków, gdzie kwatrowali żołnierze. Nadto pomniejsze kanały o kilkunastu mostkach oddzielały jedne koszary od drugich. Położenie to, dobre dla piechoty, miało wielkie niedogodności dla jazdy, napadniętej przez piechotę.

Druga okoliczność, tłumacząca ten krok śmiały podchorążych, była ta, że według planu sześć kompanii z koszar

ordynackich miały w tymże samym czasie zaatakować koszary z przeciwnej strony, podczas kiedy cztery działa bombardyerskie ze wzgórza pod koszarami Radziwiłłowskiemi miały strzałami na wiatr siać popłoch w szeregach moskiewskich.

Podchorążowie, zbliżając się do koszar, zagrzmieli jednym wystrzałem na wiatr, już tak dla przerażenia Moskali, jak dla dania znaku kompaniom. mającym przybyć z miasta, że walka już rozpoczęta, w tej samej chwili, kiedyśmy wpadli do Belwederu — poczem wskoczyli w środek koszar ułańskich i ujrzeni przed sobą trzystu, już uszykowanych do szarży. Mimo to posunęli się ku nim na pół strzału karabinowego i danym ogniem spędzili z miejsca ten oddział. Ale ten uszykował się na nowo za chwilę i ruszył klusem naprzód; wtedy podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości przyjęli go tak gęstym i celnym ogniem, że kilkunastu padło z koni a reszta pierzchnęła w największym nieładzie, zwłaszcza przy tłoczeniu się na mostki pod ciągłym gradem kul polskich. Ale na tem musiano przestać. Spodziewany posiłek nie przybywał; kirysyery i huzary mieli czas wsiąść na koń, wyjść z koszar i zająć drogi, prowadzące do miasta — zresztą mały zapas ostrych ładunków, zmusiły podchorążych opuścić zdobyte koszary a zająć stanowisko przy moście Sobieskiego, gdzieśmy ich znaleźli.

Wysocki liczył ciągle na spodziewaną piechotę i działa, ale, wysłany na zwiady, Kamil Mochnacki wrócił po chwili, powiadając, że zamiast polskiej piechoty widział tylko kirysyerów, uszykowanych dla przecięcia nam drogi do miasta. I tak było w istocie. Kirysyery zajmowały tak drogę, idącą w górę ku alei Mokotowskiej, jak i tę, co szła ku wielkiej kawie. Wysocki daje rozkaz rzucenia się z bagnetem na nieprzyjaciela; sam na czele kilkunastu zwraca się w prawo ku konnicy, zajmującej trakt boczny. Na chwilę Moskale cofnęli się już to przed bagnetami, już przed ogniem tyralierskim podchorążych: mogliśmy wziąć drogę ku miastu. Kolumną bojową, przy odgłosie bębna jednego, bijącego nam pochód, doszliśmy spokojnie do wielkiej kawy, chociaż obserwowani przez kirysyerów, postępujących za nami. Przy wielkiej Kawie

nowy nieprzyjaciół przed nami: szwadron huzarów z całym pułkiem w odwodzie, uszykowanym nieco dalej. Nowa walka. Szczęściem, tuż na lewo były koszary Radziwiłłowskie, budowa niedokończona. Mielśmy czas szybkim ruchem dopaść do niej; większa część naszych zajęła jej wnętrze i z okien raziła Moskali, którzy usiłowali zająć drogę do miasta — kilkunastu zostało pod bramą; byłem właśnie pomiędzy nimi. Sam nie strzelałem, zaopatrywałem tylko mojami ładunkami podchorążych, a czasem ramie moje służyło ich karabinom za soszkę do lepszego celowania. O kilka kroków przedemną przesuwali się huzary, a w tem przemyskaniu się nie jeden w moich oczach spadł z konia. Wysocki myślał przez chwilę utrzymać się na tem stanowisku, raz przez chęć zatrzymania na sobie jazdy moskiewskiej, aby tym sposobem dać powstaniu w mieście porę rozwinięcia się, powtórę w nadziei, że się doczeka wyglądanych kompanii: brak coraz większy ładunków nakazywał dalszy pochód. Na okrzyk: „oblegają nas“ cała szkoła rzuciła się z bramy na jazdę a ta pierzchnęła na prawo i na lewo przed naszymi bagnetami. Ostatnia zaporą padła — wchodziliśmy do miasta, jak zwycięzcy.

Koło kościoła Aleksandra, spotkaliśmy generała Potockiego, zwanego Stasiem. Stał on tam dla szkodenia powstaniu i już mu niemało zaszkodził, o czem my, ma się rozumieć, nie mogliśmy jeszcze wiedzieć. Przeciwnie, był on, jako jeden z towarzyszy Kościuszki i Napoleonów, przedmiotem czci naszej, a w tej chwili nieoczekiwanym, gdyby chciał stanąć na czele naszym. Otoczyliśmy go z uszanowaniem: — „Jenerale — wołaliśmy — prowadź nas dalej przez miasto!“ — Wysocki i Szlegel połączyli swoje prośby z naszymi: „Zaklinamy cię, jenerale, na miłość ojczyzny, na więzy Igielstroma, stań na naszym czele! Nie sądź, że szkoła tylko powstała; całe wojsko jest za nami.“ — Zdawał się wahać jakąś chwilę, ale zła myśl przemogła; nie dał się zmiękczyć. Wysocki rozkazał zostawić go i ruszać dalej. Postępowanie Wysockiego tłumaczy się tem, że Zaliwski zapewniał go, jakoby Potocki zobowiązał się przed nim słowem honoru stanąć na czele powstania, gdyby mu brakło innego dowódcy.

Inaczej byłby aresztowany, a może w tej chwili byłby go potkał smutny koniec, jaki go spotkał kilka godzin później. Stracił on na zwłocę, bo się obciążył większą winą przeciw sprawie narodowej.

Wkroczyliśmy nareszcie na Nowy Świat. Była to część miasta, zamieszkała najwięcej przez wyższych oficerów i urzędników moskiewskich. Weszliśmy jakby w pustkę, jakby w atmosferę grobu. Żadnego ruchu, żadnego życia; domy pozamykane, okna podobnie. Napróżno wołamy „do broni!“ bijemy we drzwi i okiennice kolbami karabinów. Żaden głos, żaden ruch życia nie odpowiada. Smutek, oburzenie, wkońcu pewna wściekłość opanowuje nasz oddział. Wchodzimy na Krakowskie Przedmieście. Oblicze i atmosfera ta sama. Jakby sen zakłęty ogarnął wszystkich, a my jedni żyjący, samotni na tym cmentarzu. Duch powstańców nie upadł, ale rozdrażnienie doszło do wysokiego stopnia. Odtąd biada temu, kto się z nim zetrze. Ciosy krwawe, śmiertelne, będą budziły śpiących lub zmyślających uśpienie. W takim usposobieniu podchorążych wpadł pierwszy w ich ręce generał Trębicki. Od kilku dni poręczony mu był nad nimi szczególny dozór, i w tem urzędowaniu okazał całą surowość wojskową. Mimo to, mimo, że powiedział im natychmiast otwarcie, dokąd idzie (do w. księcia), widzieli w nim tylko zdolnego żołnierza i mogącego być pożytecznym narodowi w sprawie wyzwania się; zaczęli więc od łagodnego wezwania, aby ich prowadził dalej. Trębicki na to odpowiedział nie tylko odrzuceniem ich wezwania, ale najsurowszymi pogrozkami, jeżeli nie złożą natychmiast broni i nie zdadzą się za jego pośrednictwem na łaskę carewicz. Podchorążowie zdolali jeszcze pohamować się, tylko otoczyli go eskortą i prowadzili z sobą dalej. Dochodziliśmy do pałacu namiestnika, kiedy zajechał Hauke, minister wojny, mając obok siebie swego szefa sztabu, Mieczysławskiego, a za sobą generała Rautenstraucha. Chciał on przerazić nas ostrem odezwaniem się; mniej na to zważaliśmy — ale Mieczysławski dał się skusić myśli nieszczęśliwej: dobył pistoletu i, strzelawszy w tłum, ranił w nogę jednego z podchorążych: we mgnieniu oka już ich nie było na koniach, a dwa trupy leżały na bruku. Rautenstrauch, zaraz po

strzale Meciszewskiego zwrócił się coprędzej w ulicę Trębacką i zniknął — żywy. Smutniejszy był wypadek z jenerałem Nowickim. Po odprawie z Haukiem zbliża się kareta; stangret na zapytanie „kto jedzie?“ — odpowiada: „Jenerał Nowicki“. Podchorążym zdawało się, że mówi: jenerał Lewicki (jenerał moskiewski, komendant miasta) — i kilka strzałów padło w karetkę i biedny starzec zginął przez omyłkę.

Z Krakowskiego Przedmieścia wzięliśmy drogą ulicą Wierzbową. Zatrzymano się tam na chwilę i próbowano jeszcze raz obudzić polskie czucie w Trębickim. „Połącz się, błagali go, zaklinamy cię, połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele! Widziałeś, co spotkało zdrajców.“ Trębicki odpowiedział z najzimniejszą krwią: „Nie stanę na waszem czele; wy jesteście *nikczemni*, wy jesteście *mordercy*.“ Ale po takich nawet obelgach, powiedziano mu tylko: „Jenerale, dajemy ci czas do namysłu“ — i prowadzono go ulicą Bielańską. Dopiero przy końcu prawie ulicy zatrzymano się, ale gdy na ich nowe naleganie odpowiedział stanowczo: „Możecie mi życie odebrać, ale nigdy nie zmusicie mnie do złamania wiary, zaprzysiężonej monarsze“ — padł, przebity bagnietem podchorążego Pawłowskiego. W kilka jeszcze godzin widziałem jego trupa, leżącego na tem samem miejscu, w rynsztoku ulicy.

W kilka chwil byliśmy przy arsenale z wielką naszą radością. Arsenał otoczony był na wszystkie strony wojskiem powstańcem; ruch, zgiełk, nieład powstania — ale w tem wszystkiem życie, poświęcenie się, gotowość na wszystko jaśniejące na wszystkich twarzach, we wszystkich oczach. Pułk wołyński świeżo odparty, a jako ślad walki, leżący na bruku trup jenerała Blumera, który prowadził ten pułk dla owdzięcia arsenału, a wszystko to oświecone niezgasłym jeszcze pożarem domu na Nowolipiu, podpalonego, jako hasło powstania w tej części miasta, a wszystko zakończone radosnem powitaniem szkoły podchorążych, która ze wzorowem poświęceniem spełniła swoją powinność tej nocy. Jeżeli nie wszystko jej poszło, jak plan zakreślał, to przynajmniej nie z jej winy. Jej odwaga, jej patriotyzm wyszły czyste z tej

próby. Zostawieni samym sobie, utrzymali się na wysokości swojego stanowiska: wobec napotkanych przeszkód dokonali więcej, niż zwyczajna siła ludzka zrobić może. Przyjęli chrzest, godny tej walki, która ich czeka w dal szem rozwinięciu się powstania; z tym chrztem wlewają się w ogół, w naród, walczący o swoje święte prawa.

Zostawmy na chwilę nasz obóz, a przeniesmy się teraz do głównej kwatery obozu nieprzyjacielskiego, w okolicy Belwederu. Rozpoczyna się tam robota, której formy są, jak na teraz, mało wydatne, ale duch jej zabójczy, i z czasem dopiero objawi się na polu działania naszego. Przenieśmy się w chwilę, kiedy opuściliśmy Belweder; wróćmy do niej.

V. W. Ks. KONSTANTY.

W tem miejscu wyręcam się słowami Mochnackiego, malującemi wiernie wypadek, do którego się odnoszą:

Wice-prezydent Lubowidzki przybył do Belwederu z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucyi. Wielki książę przesypiał się o tej porze, według swego zwyczaju.

„Powstanie, pisze Mochnacki, zastało carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem kamerdyner Kochanowski budzi go; przecierającego jeszcze oczy, porywa gwałtem z łóżka i wypycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżnej Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżnej miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany; gdy carewicz wbiegł do pokoju księżnej w nieładzie odzienia, kazała ona kobietom poklekać wkoło niego i na głos odmawiać pacierze, pewna, że wśród zastępu, silnego modlitwą i płcią, żadna go zemsta z rąk polskich nie osiągnie. W takiej postawie, z gestami, okazującymi bojaźń największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, błądy i słowa wyrzec nie mogąc. W godzinę jeszcze potem drżał, jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemię zakładać.“

Dotąd słowa Mochnackiego.

Konstanty wsiadł na konia, znalazł oddział kirysyerów przed pałacem, na jego czele udał się między aleje i tam całą swą jazdę zgromadzać począł.

Wejrzyjmy głębiej w istotę całego wypadku na tym punkcie

W Belwederze nie było pełnego zwycięstwa materyalnego. W. książę ocalony, pulki moskiewskie nie rozbrojone. Ale odniesiono zwycięstwo ważniejsze, bo moralne: okazano poświęcenie się i potęgę ducha polskiego. Ta potęga rozbiła ognisko ducha moskiewskiego w łonie Polski, a owo rozbitcie rozstrzygało cały ruch na korzyść powstania i cała późniejsza jego świetność była skutkiem tego rozbitcia. Od tej chwili przewaga moralna ducha polskiego nad duchem moskiewskim, przewaga, mogąca wkońcu uwięzić stanowczem zwycięstwem Polskę walczącą, gdyby w tejże samej chwili nie wcisnął się w ziarno ruchu zarodek klęski, który wkońcu miał cały ruch strawić. Nie był on dziełem Moskali, ale naszym własnem. Konstanty strącony był ze swego tronu w Polsce, był powalony, ale nie był pokonany; odurzony, zgłuszony na chwilę, przyszedł wkrótce do przytomności ducha i, poźornie przestraszony, ogłupiały, niedołężny, pokazał się mędrszym od swojego otoczenia, które go nagliło, aby natychmiast siłą tłumić powstanie, jaśniej widzącym, niż się jemu samemu w owej chwili zdawało. Przyznawano to Mongołom, że są najniebezpieczniejsi w ucieczce; Moskwa, żyjąca spadkiem ducha mongolskiego, stwierdziła nieraz prawdę tego mniemania, i Konstanty, wierny temu duchowi, udaje się do jego taktyki odwiecznej. Ucieka przed Polakami, a pokonanie ich zostawia samymże Polakom, dokonanie swego dzieła zdaje na samychże Polaków: „To sprawa Polaków, niech sami między sobą się rozprawią, (c'est une affaire polonaise, qu'ils s'arrangent entre eux)“ powiedział między innemi Władysławowi Zamoyskiemu, kiedy ten, w pełnieniu wiernem swoich adjutantckich przy nim obowiązków, przyniósł mu od Stasia Potockiego radę, jakim sposobem może jeszcze stłumić powstanie, choć się to działo już około północy i ruch powstańczy trudniejszy był do stłumienia, niżli, kiedy się

rozpoczął. Słowa te padły na serca Polaków tej warstwy, która przed stu laty przyzwala Moskwę do pomocy w urzędzeniu wewnętrznem, i nie zna właściwego dla siebie punktu podpory w swoich robotach śródnarodowych, jak przemoc, choćby nawet cudzoziemską i nieprzyjazną Polsce.

Zajmijmy się teraz wypadkami, które stwierdzają i wyjaśniają prawdę powyższej myśli głównej, a stąd ważnej, że tu, w atmosferze Konstantego, objawił się naprzd zarodek organizacyi, która stała się reakcją wcieloną nasamprzód w pierwszej Radzie Administracyjnej, a później rozrosła się w formy większe.

Owóż pierwszym widowym punktem oparcia dla ducha opornego przyszłości polskiej jest osoba Konstantego, władza, w nim uosobiona. Do tego punktu odnoszą się teraz wszystkie czynności reakcyi, a jedną z pierwszych jej ofiar były właśnie sześć kompanii, które miały wspólnie działać ze szkołą podchorążych.

„Z pomiędzy oficerów wspomnianych kompanii jedni wcale nie należeli do związku, drudzy, dopiero od kilku dni wprowadzeni, napróżno usiłowali wespół z kilką dawniejszymi spiskowymi odjąć komendę starszym, którzy nie czuli w sobie wielkiej ochoty do działania w duchu sprzysiężenia, bo w nie bezpośrednio nie wpływali. — Kompanie ruszyły z koszar (ordynackich) dobrze już po terminie. Szły częściami, nie razem. Luźne te oddziały, w miarę, jak zbliżały się do kościółka św. Aleksandra, odmawiał, białamucil Stanisław Potocki, demoralizowali adjutanci carewicza, nakoniec obstępowała dokoła kawalerya. Tym sposobem jedna kompania po drugiej dostawała się w moc w. księcia. W tym czasie właśnie szkoła podchorążych ucierała się pod Ujazdowem i koszarami Radziwiłłowskiemi z kirysyerami i huzarami. Carewicz wyjechał na spotkanie tej piechoty. Chciał coś mówić do żołnierzy. Wtem jeden z oficerów związkowych Wołoszyński, podporucznik z 3-go pułku strzelców pieszych, wyrывa karabin żołnierzowi, obok stojącemu, i bierze na cel w. księcia. Spotrząga to Konstanty, spina konia ostrogami i odskakuje w bok, krzycząc: „Strzelaj! Strzelaj!“ Trzy razy Wołoszyński chciał dopełnić tego rozkazu,

ale za każdą razą karabin nie spalił. Stąd zamieszanie: Wołoszyński korzystał z niego, przedarł się przez Moskali i przybył pod arsenał razem ze Stryjeńskim i innymi. Mniej skompromitowani zostali przy carewiczu. Dwie kompanie zostały w tył odprowadzone ku Belwederowi. — Działo się to między ósmą a dziewiątą godziną.

Teraz, co się tyczy owych czterech dział bombardyerskich, na których współdziałanie Wysocki liczył w rozprawie z jazdą moskiewską.

Szkoła bombardyerów była pod dowództwem Nieszokcia, a dwaj niżej jej oficerowie byli: Chałęcki i Janusz Czetwertyński. Nieszokoć zawiadomiony był o chwili powstania przez Stolzmana dopiero 28-go listopada. Nie był nawet w związku, tak związkowi byli go pewni. Zawiadomienie o powstaniu nie znalazło w nim zupełnej wiary; sądził także, że powstanie, potrzebujące dział, powinno być wcześniej o nich pomyśleć, tem bardziej, że działa jego stały w polu za obozem saperów, o miłą prawie od koszar Radziwiłłowskich, gdzie miały być czynne, ludzie do nich w koszarach gwardyi wołyńskiej, konie w koszarach artylerji gwardyi, a amunicja w pracowni wojennej. Przesiedział więc spokojnie cały dzień następny w swoim mieszkaniu. Wybiła szósta godzina, siódma, już wpół do ósmej, a żadnego ruchu, więc zwątpił ostatecznie o wybuchu powstania. Dopiero okrzyk „do broni“ przekonał go o prawdzie tego, co mu Stolzmann zapowiedział. Ogromne miał zawady, ale, energiczny i czynny, przy pomocy Chałęckiego i Czetwertyńskiego wszystkiemu dał radę. Zebrał szkołę, w arsenale uzbroił swoich ludzi w karabiny — w drodze po działa przyłożył się ze swoimi bombardyerami do odbicia więzienia Karmelitów na Lesznie, dostał się do swoich dział, wprowadził je do miasta przez Wolskie rogatki i szedł ulicą Elektoralną, zmierzając ku kościołowi Aleksandra, skąd miał się dostać do koszar Radziwiłłowskich, niestety, zanadto późno, bo było to już między dziewiątą a jedenastą godziną; został zaprowadzony gdzieindziej. Nieświadomy rzeczywistego stanu rzeczy, trafia w bliskości banku na oddział strzelców konnych gwardyi, którzy już patrolowali przeciw powstańcom; tem bezpieczniejszy, że Wysocki i Stolzmann zape-

wnili go o nalezieniu szaserów do spisku, powierza się oficerowi oddziału, który bierze na siebie eskortowanie go niby i obronę przeciw Moskałom, a tymczasem zaprowadza do carewicza, co bombardyerzy pocziwi spostrzegli dopiero wtedy, kiedy pułkownik Turno przybył do nich z czułem podziękowaniem od księcia, że w samą porę przyprowadził mu działa. W rozpaczy Nieszokoć i Chałęcki chcieli sobie życie odebrać, zwłaszcza, że żołnierze i podoficerowie czynili im gorzkie, poniekąd słuszne, wyrzuty za spóźnienie tej wyprawy. Odparli jednak myśl samobójstwa tem postanowieniem, że na przypadek, gdyby w. książę rozkazał atakować miasto, obróćą działa przeciw niemu. Oto wyjaśnienie, dlaczego Wysocki nie miał tych dział, jak to było w planie.

Połączenie się z Moskałami strzelców konnych, których tu widzimy już w czynności przeciw powstaniu, było jednym z najsmutniejszych wypadków tej nocy, jednym z najboleśniejszych dla nas ciosów, tem boleśniej, że niespodziewanym. Związkowi liczyli na ich współdziałanie, Konstanty był dla nich dosyć zimnym, jak świadczy w swoim piśmku Wł. Zamoyski; niedawno jeszcze dowodził nimi Seweryn Krzyżanowski, najwydatniejsza postać w związku Towarzystwa Patryotycznego — wszystko to kazało się spodziewać po nich czego innego, jak wystąpienia przeciw rodakom w obronie rządu moskiewskiego. — Pułk ten mieścił się w koszarach Mierowskich. Około godziny ósmej, kiedy ruch powstania objawił się już niedwuznacznie, kapitan Trębicki, brat generała a jeden z adiutantów polskich carewicza, z własnego natchnienia pospieszył do ich koszar, zgromadził cały pułk, wyjąwszy jeden oddział, odbywający służbę patrolu na Saskim placu, i zaprowadził go do w. księcia. — W. książę uradował się nadwyzwyczajnie tą niespodzianką, która mu dostarczała broni polskiej przeciwko Polakom. Oświadczył im, że polega na ich honorze, na ich wierności, że winien im wdzięczność, zapewniał, że o tym szlachetnym postępku cesarz uwiadomiony będzie i t. p., a kiedy te wszystkie oświadczenia podnieśli jeszcze wyżej Kurnatowski, Krasinścy Wincenty i Izydor, Zielonka, Skarżyński, pułk ten, prawdziwie nieszczęśliwy, zmie-

nił się całkiem w narzędzie czynne przeciw powstaniu, w narzędzie zacięte, bo gotów był więcej, niż jazda moskiewska, przelecieć galopem Warszawę i strącić „ten bunt“. Wykonanie tego rozpoczęło się pod dowództwem pułkownika Turno, także jednego z adjutantów carewicza, który zajął z patrolem służbowym stanowisko na Saskim placu.

Wróćmy teraz do wątku rozwijającego się powstania na innych punktach, w planie wytkniętych, i do chwili, w której pożar na Solcu miał dać hasło.

Uderzyła godzina szósta na miejskich zegarach — pożaru na Solcu nie widać. Uprywiają minuty, kwadrans, liczone niecierpliwie przez związkowych w tem oczekiwaniu zwątpienie zaczęło wielu ogarniać. „Dzisiaj, mówili między sobą, nic już z tego nie będzie“. Wybiła godzina siódma — i jeszcze wszystko spokojne. I jeszcze pół godziny przechodzi w oczekiwaniu. Aż nagle rozlega się po mieście wiadomość o walce w Łazienkach i Belwederze. — Na tę wieść kilka ulic zagrzmiało okrzykiem „do broni!“ — na wielu punktach ozwały się bębny, Warszawa budziła się — powstanie zapukało do jej serca. Związkowi chwytają za broń. — Ale w tej chwili i Moskale odpowiadają na wyzyw alarmu. W koszarach gwardyi wołyńskiej Czetwertyński wyprowadza szkołę bombardyerów z pośród Rosyan, a z Belwederu przylatuje do rozkłą jakiś wyższy oficer moskiewski, każe uderzyć w bębny, wola o ludzi, zdalnych do armat — Wołyńce ubierają się, szykują się i stają, gotowi udać się na stanowisko, które im naznaczono na przypadek alarmu, a tem stanowiskiem dla Wołyńców były place przed arsenałem i giełdą.

W koszarach Aleksandryjskich gwardya litewska, postrzegłszy ruch niezwykle między Polakami, wychodzi na dziedziniec uzbrojona i uszykowana; czeka tylko na swego dowódcę, Engelmana, który był na ten czas nieobecny, aby się udać na plac Marsowy, swoje stanowisko alarmowe. Nie rozbrojeni w salach, jak plan nakazywał, mogli być rozbrojeni jeszcze na dziedzińcu przez grenadyerów, chociaż z większą trudnością, a nawet może z rozlewem krwi, ale kapitan służbowy Łękievicz, nie

będący w związku, staje z dobytą szpadą w bramie koszar polskich i zabrania wychodzić żołnierzom, składając się tem, że niema na to rozkazu. Naddbiega podpułkownik grenadyerów Kolbersz i równie, jak Łękievicz, chce oczekiwać rozkazów, a przynajmniej generała Żymirskiego. Pod ten czas generał Lewicki, gubernator, wpada do koszar i wyprowadza gwardyę litewską na plac Marsowy. Związkowi, po długim sporze z Łękieviczem i Kolberszem, wyprowadzają wreszcie grenadyerów na dziedziniec; Kiekiernicki, jak mu zlecono, bierze dwie kompanie i udaje się z niemi na zajęcie Pragi, co wkrótce dokonywa — ale reszta, większa, zatrzymana jest jeszcze przybyciem generała Żymirskiego, który, postrzegłszy na placu dwie kompanie, gromi za to oficerów, równie, jak za rozdanie ładunków — każe zsypać proch z panewek i daje rozkaz udania się za sobą na plac Marsowy, stanowisko alarmowe dla grenadyerów, jak dla gwardyi litewskiej. Żymirski miał być wtajemniczony przez Paszkowicza, niektórzy więc oficerowie związkowi sądzili, że działa w duchu powstania, a co teraz robi, to tylko dlatego, aby się nie skompromitować przed czasem; inni, wiedzeni lepszym przecuciem, odłamali swoje kompanie od kolumny, jak tylko przeszły bramę koszar. Tym sposobem Czechowski, Łaski, Klemensowski, Roguski, Bortnowski i Bortkiewicz ocalili kompanie 9-tą, 10-tą, 11-tą, 12-tą, i 2-gą wołyżerską, któremi dowodzili, i przez Fawory, Zdroje, ulicę Zakroczymską udali się do arsenału. Nad Zbrojami spotkali się już z pikietami Kiekiernickiego, który zajął Pragę i oba mosty. Żymirski z innemi kompaniami stał jakiś czas na placu Broni, obserwując niby gwardyę litewską, a wkońcu zaprowadził je do wgo księcia.

W koszarach Sapieżyńskich pułk czwarty przeszedł także przez walkę ze swoim pułkownikiem Bogusławskim. Względem w. księcia dla tego pułku a stąd robione mu przymówki, rozbudziły tylko jego patriotyzm. Żołnierze, jak oficerowie, niczego nie pragnęli, jak chwili najrychlejszego powstania. Gdy się ta chwila zbliżała, Przeradzki i Kosicki rozdali żołnierzom ładunki, poczem Wyszowski i Święcicki wyprowadzili je z koszar, gdy w bramie zaszedł im drogą Bogusławski. Opór jego był da-

remny — rozbił się o energię związkowych. Niewiele, a byłby zginął. — Skończyło się na tem, że go zwalono na ziemię, a pułk ruszył dalej. Dowództwo nad nim objął kapitan Roszlakowski i przez ulicę Franciszkańską zaprowadził pod arsenał, na sam czas rozpoczynającej się tam walki.

Przy arsenale były w owej chwili dwie tylko kompanie piątego liniowego. Jedna z nich, dowodzona przez Czarneckiego, stała na ulicy Przejazd, między pałacem Mostowskich a koszarami gwardyi artyleryi konnej — druga, pod Lipowskim, z przeciwnej strony, między baryerami rajtszuli artyleryi a małym placem przy ulicy Nalewki. Odtąd działanie ich ograniczało się na chwytnianiu przez małe oddziały, wysunięte naprzód, oficerów rosyjskich, przemykających się tą stroną. Tak zostali ujęci generałowie Ksawer i Engelmann, dowódcy dwóch pułków pieszych moskiewskich, oprócz nich kilkunastu oficerów niższego stopnia. Osadzono wszystkich na odwachu przy arsenale.

Zapalono wreszcie dom na Nalewkach jako drugie hasło powstania.

Wtem pokazali się Moskale. Byli to Wołyńce. Podzieleni na dwie części, zbliżali się dwoma ulicami ku arsenałowi, mając działa na przodzie. — Grenadyerzy Lipowskiego, jak tylko ich spostrzegli, przyjęli ich ogniem tak rzęsim, że zaraz padło ich kilkudziesięciu. Nie lepiej powiodło się drugiemu batalionowi, który przed pułkownikiem Owandrem przybywał przez mały plac za ogrodem Krasińskich. Przybyła właśnie kompania 4-go pułku z Roszlakowskim i wzmocniła kompanię Lipowskiego. Rozpoczęło się strzelanie na bardzo krótko; kiedy Moskale odślaniali działa, nasi rzucili się z bagnetami. Porębski, sierżant z 4-go pułku, zsadził bagnetem z konia komendanta artyleryi, Wołyńcy pierzchli w nieładzie, zatrzymali się na chwilę o kilkanaście kroków, zabrali swoje trupy i znikli. — Było to pierwsze i ostatnie w tych dniach starcie się z wojskiem rosyjskiem.

Arsenał został już stanowczo w naszym posiadaniu.

Wtedy zginął także generał polski Blumer. — Przybył on pod arsenał razem z Wołyńcami w zamiarze przemó-

wienia do powstańców. Schwytany i prowadzony na odwach, usiłował rozbrajać żołnierzy. Odpowiedziano mu strzałami karabinów. Dwie tylko kule trafiły, ale żołnierze mówili, że miał tyle ran w głowie i sercu, ile niesprawiedliwych wyroków podpisał, stosując się do woli carewicza. Jednocześnie prawie Gresser, adjutant Konstantego, przemykał się z jednym za sobą kozakiem. Zatrzymano go przed pałacem Mostowskich, ale gdy zażądał w imieniu Konstantego, aby mu powiedziano „kto tu dowodzi?“ — posypał się grad kul, który zwałił go z konia. Mniej szczęśliwy był kozak; chciał się wymknąć, w lot konia trafiła go kula — koń wysunął się z pod niego i popędził dalej, a on został na bruku bez życia.

Patrzałem na to. Był to jakiś cywilny, wyglądający na mieszczanina, którego strzał tak był celny; a widziałem to dobrze, bo stał o kilka kroków ode mnie.

Właśnie tylko co przybyliśmy pod arsenał ze szkołą podchorążych, a z innych stron nadeszły grenadyery gwardyi i dwie kompanie pułku trzeciego.

Ważna to była chwila, wydatna w dziejach tej nocy. Najgłówniejsi naczelnicy związku znaleźli się razem. Obdzielono się nawzajem wiadomościami, złożono naradę. Stan rzeczy nie był pomyślny, nie poszło według planu — zostawało wiele, bardzo wiele do zrobienia, a przeszkody ogromne. Nie tracono jednak ani odwagi, ani wiary w dobry koniec tego ruchu; postanowiono utwierdzić się w tym punkcie, bronić się do upadłego, a przedewszystkiem utrzymać się w posiadaniu oręża i pieniędzy, to jest arsenału i banku.

Dopełniając poprzednie umocnienie arsenału i ażeby przerzedzić cokolwiek wzrastający natłok, Łaski postawił pod pałacem Mostowskich swoich grenadyerów, i wznieziono barykadę z działami, wymierzonymi na ulicę Dziką. Sprowadził je Feliks Nowosielski, podporucznik z batalionu saperów, ze szkoły artyleryi, do której był przyłączony oficer inspekcji. Nie było koni, ni czasu, szukać ich, więc podoficerowie szkoły zatoczyli je swojemi rękami aż pod arsenał — podoficer Korzeniowski sprowadził ładunki z laboratorium.

W tymże czasie występuje na scenę działania batalion

saperów. Wyruszył on ze swoich koszar i zmierzał ku arsenałowi — na Muranowie spotkał się z czołem kolumny Owandra, porażonej pod arsenałem. Dwie te kolumny przeciwne nie mogły się minąć, weszły z sobą w układy i przepuściły się wzajemnie. Wołyńce udali się na plac broni, gdzie się połączyli z gwardią litewską, osadziwszy drugim batalionem swoje koszary i przyległe domki — sapery zaś ku arsenałowi. I oni musieli stoczyć walkę ze swoim dowódcą Majkowskim na placu broni. Chciał on zawrócić ich do koszar; napróżno oficerowie batalionu: Kraśnicki, Gawroński, Koltunowski, Malczewski, Dernez przekładali mu że „muszą połączyć się z narodem“; on obstawał przy swoim, aż porucznik Malczewski strzelił do niego z pistoletu — a kula, która świsnęła mu koło uszu, obudziła w nim czucie polskie, w którym już wytrwał przez cały ciąg późniejszej kampanii — i szczerze, według świadectwa Mochnackiego.

Batalion ten był na równi z pułkiem czwartym ulubiony Konstantemu, i mocno go przeraził swoim przystąpieniem do rewolucyi.

Dotąd powstanie wzrasta wzmagającą się siłą wojskową, ma oblicze żołnierskie. Ale to nie wystarcza do jego tryumfu: przychodzi nareszcie chwila, gdzie się lud warszawski poruszył i wystąpił na pole walki, a tem wystąpieniem zmienia oblicze ruchu, ożywia go duchem narodowym, nadaje mu olbrzymią postać powstania rzeczywiste narodowego. Ruch ten objawia się po raz pierwszy na dwóch szczególniejszych punktach: na Krakowskim Przedmieściu i na Starem Mieście; na pierwszym punkcie zbudzili go wojskowi, na drugim cywilni. Zaczęło się od Teatru Rozmaitości. Zajączkowski, komendant odwachu na Krakowskim Przedmieściu, z Józefem Dobrowolskim wpadają na teatr z dobytymi szpadami, wołając: „Panowie! W najlepsze się bawicie, kiedy Moskale naszych w pień wycinają“. Można sobie w części wyobrazić skutek podobnego okrzyku na publiczności, zajętej komedją. Aktorka, będąca wówczas na scenie, miała zemdleć. Jakkolwiek było, to pewna, że publiczność przerażona rozpierzchła się natychmiast na wszystkie strony i zanosła popłoch w różne punkta stolicy. — Zajączkow-

ski i Dobrowolski, zabrawszy wartę, pospieszyli dalej z okrzykami: „do broni!“ Tak przebiegli Podwale, Senatorską i Miodową ulicę, i z młodym Żandrem, oficerem rosyjskim, schwytanym przy kolumnie Zygmunta, stanęli przy arsenałach, w samą porę starcia się z Wołyńcami. Ale ich przechód przeraził tylko pewną warstwę ludności.

Daję tu miejsce dosłownemu opowiadaniu Mochnackiego, jako naocznego świadka tego, co się działo w tej dzielnicy.

Wszędy, powiada on, z trzaskiem zamykano sklepy, domy. Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, którego wypadki mogły być tak wątpliwe, druga patrzała nań z okien, z góry. Śmielsi, ciekawsi wybiegali na ulicę i zbierali tysiące bajecznych wieści. Wogóle jednak miasto obróciło się zaraz w pustynię; tylko lud prosty, rzemieślnicy, szewcy, krawcy, kovali, ślusarze od razu, o co rzecz idzie, zrozumieli. Na Starem Mieście, pośród tradycyi 94-go roku, na tym samym klasycznym bruku, gdzie za Kościuszki tyłu zdrąpców wisiało, Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin, Michał Dębski, Ludwik Żukowski i ja oczekiwaliśmy sygnału do działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na innych punktach stolicy. — Godzina siódma już wybiła, a nie było końca próżnemu oczekiwaniu. Bronikowski poszedł na zwiady ku Nowemu Światu. Za pół godziny przywiózł najosobliwszą wiadomość: że Konstanty teraz dopiero wracał do Belwederu z teatru francuskiego. Coraz niespokojniejszy o los powstania, usłyszawszy z dała głos bębna, wychodzimy na rynek, krzycząc: „do broni! do broni!“ Właśnie nadciągały dwie kompanie ósmego liniowego pułku z pobliskich koszar (Marcinkanek). Jeden z oficerów, zapytany przez nas: „Czy czas już działać?“ — odpowiedział z udanem zadziwieniem: „O jakim działaniu panowie mówicie? My tu jesteśmy, dodał, bo tu jest nasz plac alarmowy“. Ta odpowiedź, pokazująca wygórowaną ostrożność, miała swe słuszne powody, bo, jeśliby się rewolucya nie udała, mniej skompromitowani oficerowie mieliby zawsze w rezerwie ów

rozkaz patrolowy, który ich wyjście z koszar usprawiedliwiał przed w. księciem. Po chwili jednak krzyki z Podwala, z Piwnej ulicy i widok żołnierzy zwały na rynek mnóstwo mieszkańców Starego Miasta. Przemawialiśmy do nich, jakśmy mogli. Gdy się zebrały cokolwiek większe tłumy, ruszyliśmy z nimi przez ulice Senatorską i Miodową ku arsenałowi. Obydwie kompanie postępowały za nami. Na Senatorskiej zatrzymały się i zajęły dziedziniec Prymasowskiego pałacu. O paręset kroków od arsenału na ulicy Długiej już była wielka masa, coraz więcej łączyło się ludu z kolumną, którąśmy z sobą przyprowadzili ze Starego Miasta, wszędzie brzmiały rewolucyjne odgłosy. W tym właśnie momencie nasi dali ognia od arsenału do nacierającej wołyńskiej gwardyi. Wrażenie tych pierwszych strzałów było tak silne, że, co tylko przybyło z nami, co nadeszło z Podwala i z Nowego Miasta, pierzchno we mgnieniu oka, i nie wiem, gdzie się podziało, tak, że tylko sami spiskowi pozostali na ulicy. Ten chwilowy popłoch przeszedł, myśmy znowu pobiegli na Stare Miasto i lud znowu zaczął się zgromadzać, rozszerzając z pierwszego przerażenia wieść, „że Moskałe naszych wyrzynają“, co niemało pomogło do podburzenia pospólstwa, ugrupowania go w różnych punktach stolicy i ściągnięcia z najodleglejszych przedmieść ku środkowi.

Według planu broń, znajdująca się w arsenale, miała pozostać nietkniętą. Nie było potrzeby uzbrajać ludu, gdyby Moskałe byli rozbrojeni, ale, że się inaczej stało, że nieprzyjaciół przeważał już powstańców swoją liczbą, uzbrojenie ludności było koniecznem. Wezwano wielu rzemieślników do wysadzenia z zawias ogromnych drzwi dębowych arsenału. Gdy się ta robota zanadto przedłużała, Nowosielski, zniecierpliwiony, kazał wyłamać kraty w oknach. Przez jakiś czas wynoszono oknami karabiny, pistolety, pałasze. Wysadzono wreszcie i bramę. Ale wszystka broń palna nie miała skałek; Stoltzmann dopiero wskazał miejsce kryjome, gdzie skałki były złożone. Odtąd zaczyna się uzbrojenie ludu, nielicznego z początku, ale w godzinę cisnącego się już niepoliczonym tłumem. W godzinę później wszystkie już ulice mię-

dzy arsenałem a Pragę roily się zbrojnemi gromadami ludu.

Nie spuszczając się na tę nową siłę, wzmocniono punkt arsenału. Znaleziono w arsenale trzy działa; mieliśmy więc z dwoma, przyprowadzonymi wprzód ze szkoły artyleryi, dział pięć. Rozstawiono je w ten sposób: dwa działa pod komendą Grabowskiego broniły przystępu od Muranowa, dwa drugie pod komendą Waligórskiego za barykadą, na prędcie zbudowaną z cegieł, ostrzeliwały plac przed pałacem Mostowskich, piąte, skierowane na Leszno, było powierzone Nowosielskiemu. Brakło amunicyi, ale znaleziono trochę prochu w arsenale: podoficerowie ze szkoły artyleryi wzięli się natychmiast do robienia ładunków. Nie było r a s s y: grenadyery i sapery pozrucali natychmiast rękawice, chociaż zimno było dokuczliwe, i z pomocą tych rękawic poszła robota ładunków. Kule stosami leżały przy arsenale, chodziło tylko o wybór ich, odpowiedni kalibrowi dział, któreśmy mieli.

Nie wszystkie jednak punkta, ułatwiające nieprzyjacielowi przystęp do nas, były obwarowane, jak tego wymagało działanie, ale była do rozporządzenia, beczynna dotąd, główna bateria garnizonu, licząca dział ośm, w koszarach artyleryi gwardyi. Dowodził nią pułkownik Chorzewski. Kiedy Nieszokoć oddalił się z bombardyerami po działa, stojące w obozie saperów, porucznik Czetwertyński i Gajewski Wojciech, podoficer, nalegali na Chorzewskiego, aby przynajmniej tymczasem wysłał kogoś na Pragę po amunicję, złożoną tam w prochowni. Na to Chorzewski odpowiedział ostrem sfukaniem Gajewskiego. Uległ dopiero w części, kiedy przybył Nowosielski z odwiezionym pistoletem w rękę, zostawując mu do wyboru śmierć albo współdziałanie w sprawie narodu. Wskutek tego Czetwertyński z podoficerem Szadurskim, wzięwszy trzy furgony i jaszczyk, eskortowani przez pluton 4-go pułku pod komendą Przeradzkiego, udali się na Pragę. Pomnażał eskortę lud, wzywany do tego po drodze, z powodu fałszywych pogłosek, że kirysyery przecinają od Solca komunikację między Warszawą, a Pragę. Zatrzymano się przez chwilę na Krakowskim Przedmieściu dla strzelców konnych, którzy zaczęli patrol saperów od

Saskiego Placu, ale wkrótce musieli się cofnąć przed ogniem saperów — poczem wyprawa przybyła na Pragę, którą, jak widzieliśmy wyżej, zajął Kiekiernicki. W jego też mocy była i prochownia, z której wydał natychmiast Czetwertyński żadaną amunicję. W godzinę po wyruszeniu z koszar artylerji wrócił do nich Czetwertyński z zapasem ładunków, rozdawszy część ich po drodze uzbrojonemu ludowi. Chorzewski jeszcze się wahał, jeszcze się wymawiał tem, że bez osłony nie może wyprowadzać dział na ulicę. Sprowadzono więc z pod arsenału kompanię grenadyerów; ale, gdy zwiłczył dalej pod pozorem, że oczekuje wyższych rozkazów, rada oficerów piechoty postanowiła położyć koniec tej zwłoce śmiercią jego. Ocalił go Czetwertyński, przedstawiając im, że oficer ten może jeszcze być pożyteczny sprawie, że nie wymawia się od udziału w rewolucji, tylko oczekuje jakichś wyższych rozkazów. Kiedy nareszcie Onufry Korzeniowski przemówił do niego wobec wszystkich, że odtąd bez wyraźnej zdrady nie może zatrzymywać dział w koszarach, rad nie rad kazał wystąpić baterji. Jakoż około północy wyruszyła ona z koszar i rozłożyła się w tych stanowiskach: Orłowski z pierwszym plutonem skierował działa swoje na Nalewki i Nowolipie; Ekielski i Łabanowski ze czterema działami stanęli na placu Kasińskich, z tych jedno obrócone wylotem na ulicę Freta, drugie na Miodową, a dwa pod teatrem; Hauke zajął Tłumackie, wymierzając jedno działo z Bielańskiej do Saskiego Placu, a drugie na Leszno skąd zeszedł był Nowosielski. Tym sposobem zapelnione zostały przerwy obronnej linii wokoło stanowiska, zajmowanego przez powstańców, zabezpieczona podstawa działania. O to też głównie w tej chwili chodziło, zaczęli nadejście pora zaczętych ruchów. Przez ten czas liczne tylko patrole wysyłano w różnych kierunkach. Ze strony Rosjan nie czyniono także żadnych kroków naprzód. Kawalerya ich z w. księciem od rogatek Mokotowskich, pułki piesze, wołyński i litewski przy placu Marsowym stały spokojnie. Tylko strzelcy konni podsuwali się ciągle i docierali do Saskiego Placu, ale za każdą razą zmuszeni byli cofać się przed ogniem saperów, którym towarzyszył uzbrojony i gwarny tłum ludu.

Tę chwilę skupienia się dwóch sił przeciwnych odznaczyły dwa smutne ustępy: śmierć generałów Siemiątkowskiego i Potockiego. Siemiątkowski grał właśnie w wista z pułkownikiem Skrzyneckim, kiedy się objawił w mieście ruch i zgiełk powstania, i zdaje się, nie miał chęci opierania się jemu; ale Skrzynecki przedstawił mu, że jako szef sztabu ma obowiązek udać się tam, gdzie osoba cara jest zagrożona. Mimo tę radę Siemiątkowski wahał się, ale kiedy Skrzynecki odezwał się: „Co powiesz, generale, w. księciu jutro, czem się usprawiedliwisz, kiedy on to wszystko uspokoi? Allez, dodaj, et dites à Monseigneur, que je suis corps et âme à lui“. Siemiątkowski wsiadł na konia, a ledwo zrobił kilkadziesiąt kroków, trafił na oddział saperów i kompanię grenadyerów, a gdy przemówił do nich ostro, z góry, w tonie generała posłusznego w. księciu, odpowiedział mu śmiertelnym strzałem Baliński, podoficer z ósmej kompanii grenadyerów gwardyi. Tak Siemiątkowski padł trupem na Saskim Placu, a Skrzynecki wymknął się z Warszawy i wrócił do Pułtusza, gdzie pułk jego stał garnizonem. We trzy miesiące został naczelnym wodzem powstańców.

Smutniejszy jeszcze, bo więcej zasłużony, jest koniec Stanisława Potockiego.

Widzieliśmy go, jak pierwszy wystąpił czynnie przeciwko powstaniu i najwięcej przyłożył się do zamieszania go w samem zaczęciu przez zbalamucenie kilku kompanii, które miały wesprzeć szkołę podchorążych, jak odepchnął błagania, zaklęcia w imię ojczyzny, aby stanął na czele jej sprawy; ale na tem nie przestał. Zły duch, który go opętał, bo niczem innem nie da się wytłumaczyć to obłąkanie, ten upór na drodze niepolskiej starca, otoczonego dotąd miłością i czcią rodaków, zły ten duch trzymał go i prowadził aż do ostatniej jego chwili; natchnął go radą, którą przez Władysława Zamoyskiego przesłał w. księciu, aby niezwłocznie puścił swoją jazdę na miasto i jej kopytami strącał powstanie, nie wzmocnione jeszcze, opędził go po całym mieście, nareszcie przyprowadził w okolicę arsenału. Stała w tem miejscu kompania grenadyerów 5-go pułku liniowego pod dowódcą Lipowskim; Potocki przemawia do żołnierzy, usiłuje na-

wrócić ich, wkońcu rozkazuje Lipowskiemu, aby ze swoją kompanią szedł za nim do Belwederu. Widząc to, kilku cywilnych, przybiegają do Zaliwskiego, który znajdował się wtedy niedaleko, na Tłumackiem, i powiadają mu, że Potocki rozbraja żołnierzy. „To mu palcie w łeb“ odpowiedział Zaliwski. Owi cywilni spieszą na powrót, otaczają Potockiego, zrywają pióro z jego kapelusza, on się broni szpadą, ale ciśnięty coraz większym tłumem, kiedy mu i szpadę złamano, zostaje obalony na ziemię, zbity, skrwawiony; nadbiegał właśnie oddział żandarmów i byłby go może uratował, ale kilka strzałów z szeregu grenadierów na śmierć go zraniły. Zaniesiony do pałacu Zamoyskich, umarł w kilkanaście godzin.

Były to ostatnie prawie krwawe ciosy broniącej się rewolucyi.

Oprócz tych kilku chwil, gdzie groźna sprawiedliwość ludu zmuszoną była zrumienić swój miecz krwią synów, śmiących jej stawiać czoło hardego oporu wobec rozwiniętej chorągwi narodowej, ogół tej nocy przedstawiał obraz, który podnosił serce i ducha nad wszelką obawę o przyszłość narodu, przeniósł je w chwile wielkości i swobody, znane przodkom naszym, napełniał uczuciami życia i radości, jakie może zrodzić tylko spełniona czysta ofiara dla narodu, tylko zmartwychwstanie. Miałem czas i swobodę przypatrzeć się jemu. Z przybyciem naszym pod arsenał, zadanie moje główne, jak na tę chwilę, było dopełnione; główny obowiązek prowadzenia dalszej walki spoczął na wojskowych, cywilnym nie pozostawało, jak złąć się z ludem i nastrajać moralną jego stronę do tonu wypadków, zaszłych i mających nastąpić. Złożyłem w arsenale mój karabin, zachowałem sobie na pamiątkę jeden z ładunków, danych mi w Łazienkach, zaopatrzyłem się w parę pistoletów i szablę, zawiesiłem szablę na ręczniku, którym byłem opasany po płaszczu, zatknąłem pistolety za pas, zawiązałem w papier garść prochu i kilka kulek, któremi opatrzył mię jeden podoficer, i tak rzuciłem się w tłum ludu. Nie czułem najmniejszego znużenia, najmniejszej potrzeby snu, tylko głód, skutek konieczny takiego ruchu ciała przez godzin kilka, cokolwiek mi dokuczał. Ale w podobnej porze i w podobnym wzburzeniu

miasta, kiedy wszystko prawie było zamknięte, a co otwarte, zapchane było tłumem, przez który nie podobna się przedrzeć, mogłem znaleźć wódkę, nie miałem nadziei posilić się choćby kawałkiem chleba. Wtem spotkałem się z Robertem Chmielowskim i Tomaszem Malinowskim, których znałem od kilku tygodni, jako należących do naszej roboty, a tej nocy czynnych w środku miasta. We trzech trafiliśmy na dobrą radę: wpadliśmy do Nejmanowej przy Długiej ulicy, gdzie byłem bliżej znany; było już około północy, ale gospodyni, dobra Polka, nie zamknęła swej gospody i pożywiła nas, czem mogła. — Potem znowu sam zostałem, bo miałem potrzebę dowiedzieć się na chwilę do mego mieszkania, ale, że, jak powiadam, nie czułem znużenia, wróciłem znowu na scenę publiczną.

Noc ta miała oblicze zasepione. Niebo powleczone mgłą, jakby jedną chmurą. Ale w tych ramach ponurych obraz, pełen ruchu, wrzawy, życia, zapалу, który ogrzewał, oświecał, ożywiał. Cała okolica arsenału i pobliskie place oświecone ogniskami; żołnierze, jedni przy ogniskach i broń w kozłach, inni, uszykowani pod bronią; patrole w różnych kierunkach, jedne wracają, drugie wychodzą. Twarze poważne, surowe, wyraz uroczysty, jak przystało w chwilach podobnej ofiary, a opróśnione blaskiem swobody, tłumionej przez lata, blaskiem wiary w świętość sprawy. Dokółta tego obrazu ulice, jak promienie jego, rojące się tłumami zbrojnego ludu, w ruchu nieustannym wrące gwarem głuchym i groźnym, jak huczenie nadchodzącej burzy; kiedy niekiedy to tu, to tam strzał pojedynczy, lub grzmot ognia plutonowego, ile razy strzelcy konni bliżej się podsunęli, a w tem wszystkiemu ład, zgodne działanie, karność wojska wyćwiczonego, jak żeby jedna wola kierująca uosobiona była w jednym naczelniku, chociaż w rzeczywistości na każdym punkcie każdy dowódzca oddziału w sobie samym szukał rady, dowodził i rozkazywał niezawisłe. A ten dziwny, jedyny widok był tylko owocem tego samego zapалу dla świętego celu, tego samego zaparcia siebie w poświęceniu się dla wszystkich.

W tem miejscu zdaje mi się właściwem dotknąć pewnych zarzutów, które spotykają związkowych, a mianowicie, że nie ujeli w swoją rękę najwyższej władzy nad

narodem powstającym, czyli, że nie wystąpili jako rząd rewolucyjny, powtóre, że przez tę noc trzymali się więcej odpornie, jak zaczępnie. Mojem zdaniem, sąd, wolny od wszelkich teorii a sumienny w ocenianiu ze względem na rzeczywistość, uniewinni ich, jak w jednym, tak w drugim razie. W ówczesnym stanie stron obu najwłaściwszym było trzymanie się przez pewien czas odporne. Powstanie tym sposobem urządziło się wewnątrz, wzmacniało podstawę swojego działania, unikało niepotrzebnego krwi rozlewu, zwłaszcza krwi bratniej, od kiedy część wojska polskiego znalazła się w obozie w. księcia, nie stawiało powstania na los walki, zawsze nie pewny, a tem mniej pewny śród warunków, w jakich było jeszcze powstanie tej nocy. Zwłoka nie pogorszała ich stanu. Pułki rosyjskie otoczone były wojskiem polkiem: przed sobą miały załogę stolicy, za sobą na prowincyi pułki niektóre tak bliskie, że mniej, niż jeden dzień marszu potrzebowały, aby stanąć pod Warszawą: prędzej więc czy później byłoby zmuszone poddać się. Chodziło tu tylko o czas.

Pierwszy zarzut ma więcej za sobą pozorów. To wzięcie władzy rewolucyjnej przez ludzi rewolucyjnych, najwyższy kierunek sprawy w ręku tych, którzy ją podnoszą, dobre jest, jak czysta teoria, ale często niepodobne do wykonania w danej rzeczywistości. Naczelnicy powstania znali tę teorię doskonale, a jednak nie zastosowali się do niej, i jest to jeden z najpiękniejszych rysów, odznaczających dusze i rozsądek twórców powstania. Okazali przez to znajomość narodu i jego ówczesnego usposobienia i, trudniejszą jeszcze, znajomość samych siebie. Czuli, do czego byli zdolni — i to wykonali, a nie brali się do tego, do czego sił w sobie nie czuli. Była w tem pokora, była czystość moralna, która zasługuje na pochwałę i na naśladowanie. Pełni poświęcenia się dla zachęca, gotowi na śmierć haniebną nawet, gdyby się nie udało, a udania się nic im nie zapewniało bezwarunkowo, spoczęli zresztą w wierze, że naród cały gotów jest, jak oni, do ofiar i poprze ich dzieło i poprowadzi ich przez ludzi, których sam uznają za zdolnymi do tego: było więc w tem uszanowanie woli narodu, poddanie jej swojej

własnej woli. Zresztą dzielili z narodem cześć dla pewnych władz, dla pewnych osób, korzyli się z nim przed ich zasługami przeszłymi, ufali im, jak naród ufał. Widzieliśmy, jak w pierwszym kroku ofiarowali władzę, poddawali się natychmiast pod rozkazy Stasia Potockiego, Trębickiego nawet. Była w tem pewna wzniosłość prostoty, ufności dziecięcej, zaparcia siebie, wolność od jakiegokolwiek zarozumiałości, która rozrzewnia. Tem mniej można im mieć za złe, że budowali na takim jenerale, jak Chłopicki, że nie mogli w nim dojrzeć zakrzepnięcia polskich uczuć, jak również w wielu innych, których wartość wewnętrzną, niższą od przypuszczanej, później się dopiero odkryła, pod wypadkami, pracami do ofiar niedwuznacznych. Jednem słowem, co mogli zrobić, co założyli sobie, to zrobili; co inna część narodu chciała wziąć na swoją odpowiedzialność, tego zatrzymać przy sobie nie mieli ani siły, ani prawa i za to nie są odpowiedzialni. Powstania późniejsze wychodziły z władzami już gotowemi i mimo tego upadły; nie jest to więc rękojmnia powodzenia tak ważna, jak się niektórym zdaje; wszystko zależy od jednoci lub rozstrojenia kierunków, a stąd woli zbiorowej, w głębi duszy ukrytych.

Wracam teraz do ciągu mego opowiadania.

Obraz, na którym zatrzymałem się, ze zbliżającym się dniem wypełniał się coraz więcej, co raz więcej się ożywiał. Gromady zbrojnego ludu mnożyły się i pod przewonictwem to cywilnych, to wojskowych, przybierały coraz wyraźniej postawę zaczępną, zacierły śmielej nieprzyjacielowi w oczy. Obronna linia głównego stanowiska powstańców posuwała się naprzód w różne strony, rozszerzała okrąg działania. Nad samym rankiem przybył zastęp posiłkowy, na który powstańcy najwięcej liczyć mogli z pewnością: utworzył się legion, cały prawie złożony z uczniów uniwersytetu i innych szkół, mając na czele swoich kompanii uwolnionych świeżo więźniów, lub należących do wyprawy Belwederskiej, a najwyższym naczelnikiem profesora Lacha Szyrmę i już, jeżeli się nie mylę, Kazimierza Brodzińskiego. Legion ten zajmował głównie Leszno.

W takim stanie ujrzał powstańców świt 30-go listopada,

ale ujrzał i drugie lice tego obrazu, które się wykłuło w ciągu tej nocy i objawiło z dnem nowym. Był to duch, przeciwny duchowi powstania, kierunek jego odwrotny, ubrany już w ciało i przymioty władzy. Jakkolwiek opowiadanie moje rozszerzyło się nad zamierzony mu zakres, wszakże nie podobna mi pominąć w milczeniu tego zjawiska, które, jak robak w zawiązku owocu, osiadło zarodek powstania i, przybierając różne przeobrażenia, roztoczyło je wkońcu. Dla kilku powodów, a głównie przez wstręt do tego przedmiotu w treści tylko przedstawię, jak się stało; ciekawi szczegółów znajdują je w Pamiętniku Władysława Zamoyskiego.

Około ósmej wieczorem, kiedy się już powstanie zaczęło, wpadł do Władysława Zamoyskiego Bezobrazow, adjutant w. księcia, z wieściami o tem, co się stało w Belwederze i w Łazienkach; Zamoyski był także jednym ze trzech polskich adjutantów przy w. księciu.

Zamoyski wsiadł natychmiast na konia i pospieszył do w. księcia. Znalazł go w wielkiej alei Ujazdowskiej, otoczonego licznym orszakiem, w którym byli generałowie polscy Krasiński, Kurnatowski, pułkownik Turno, jeden z polskich adjutantów księcia, a dokoła dywizya kawalerii gwardyi, to jest trzy pułki rosyjskie i czwarty, polski, strzelców konnych; z piechoty: kilka kompanii polskich, które podchwycił, jak widzieliśmy, Staś Potocki. Konstanty, jak tylko postrzegł Zamoyskiego, przemówił do niego słów kilka, w których przebiegało się oburzenie, przestrasz i zadziwienie, i rozkazał mu wracać zaraz do miasta po wiadomości, narzekając, że nikt mu prawdziwych dać nie może. Zamoyski spełnił rozkaz i wkrótce powrócił, oznajmując, że powstańcy są panami arsenału i więzienia karmelickiego, że pułk czwarty i batalion saperów ze swojemi oficerami są na czele powstania. Ta ostatnia wiadomość przeraziła widocznie w. księcia; te dwa korpusy najwięcej lubił, jako najlepiej wyćwiczone.

Po chwili wysłał znowu Zamoyskiego do miasta. Zamoyski dociera do placu bankowego, gdzie Staś Potocki trzymał w bezczynności kilka kompanii grenadierów liniowych, które nie domyślały się jeszcze prawdziwych zamiarów tego generała. Potocki widział jaśniej i nie

śmiał prowadzić ich otwarcie przeciw powstańcom bez wyraźnego na to rozkazu. Teraz, mając sposobność znieść się z w. księciem, przesyła mu tę radę: „Niech w. książę rzuci całą jazdę w ulicę; niech szwadrony kłusem zmiażdżą, co tylko napotkają, i na wszystkich z kolei punktach się ukazują. Oto, co mu pozostaje do zrobienia. Ale niech nie traci ani chwili. Od trzech godzin powinien był to zrobić.“ Działo się to już około jedenastej.

Zamoyski pospiesza z temi słowami do wgo księcia. Usłyszawszy to, Konstanty zawołał z żywością, że nie ma kawalerii. Po krótkim milczeniu jaśniej się wytłumaczył, że kawaleriya, będąca przy nim, to są Rosyanie, a żaden Rosyanin, chyba zmuszony bronić się, ani wystrzeli ani dobiedzie szabli w całej tej sprawie. Najważniejsza część jego wybuchu zamyka się w tych kilku słowach: Polacy zaczęli — to sprawa polska — niech się między sobą rozprawią. „Teraz pokaże się, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw.“ Mówił dalej w tej treści i jeszcze raz tem zakończył: „Ja do niczego się nie mieszam, to rzecz Polaków, Polacy powinni ją załatwić.“ Zresztą, po pewnej przerwie dodał, wskazując na strzelców konnych: „Oto są Polacy; weź ich i zaprowadź do Stasia Potockiego, niech z nimi robi, co chce.“ I ostatecznie dał rozkaz Wincentemu Krasińskiemu i Kurnatowskiemu, aby z tym pułkiem udali się do miasta.

Zamoyski był przerażony słowami w. księcia. Dotąd był przekonany, że powstanie jest burdą, którą łatwo pokroć w. książę, teraz otwarły mu się oczy: zobaczył, że ten wybuch, chociaż niewczesny, źle obrachowany i kłęskę tylko zapowiadający, nie jest tak łatwy do stłumienia. Wdania się nawet szaserów nie uważał za środek stanowczy. Ale, jak sam oświadcza, zapamiętał te tylko słowa Konstantego: „Nie mieszam się do niczego, niech Polacy sami sobie radzą.“

A niema innego sposobu zaradzenia, tylko opanowanie powstania przez władzę z ludzi porządku, że zaś to opanowanie było niepodobnem przez siłę, więc je opanować podstępami — kłamstwem.

Rzecz prosta, że do podobnego pomysłu mieli najpierwsze prawo ludzie, utrzymujący porządek w Polsce pod

berłem carskiem — to jest Rada, tak zwana, administracyjna, rada ministrów; a że Adam Czartoryski był jej członkiem, chociaż od 1818 roku nie brał udziału w jej czynnościach, do niego więc pospieszył Zamoyski. Czartoryski znalazł myśl tę dobrą, widział także potrzebę władzy, zaczął rewolucya opamięta się i swoją postawi, i wysłał natychmiast Zamoyskiego do Sobolewskiego, prezesa Rady, z wezwaniem go w imieniu Czartoryskiego, aby zwołał Radę. Była północ, ulice były pełne wojska lub zbrojnego ludu. Zamoyski, na prośbę Sobolewskiego, wziął na siebie zawiadomienie sekretarza rady Tymowskiego i Lubeckiego, ministra skarbu. Mostowski, minister spraw wewnętrznych, nie mógł być zawiadomiony z przyczyny, że mieszkanie jego znajdowało się otoczone powstaniem.

O godzinie drugiej zebrała się w mieszkaniu Sobolewskiego większa część Rady, oraz kilku wyższych urzędników i senatorów. Zamoyski powtórzył zebrany swoją rozmowę z wielkim księciem, która jasno pokazywała Radzie, że na pomoc siły moskiewskiej nie powinni rachować. Postanowiono jednak przedewszystkiem wysłać deputację do wgo księcia dla urzędowego przekonania się o prawdzie tego, co im Zamoyski udzielił. Czartoryski i Lubecki, wybrani przez Radę, udali się w tym celu do obozu księcia, którego już uprzedził o tem Zamoyski. Konstanty przyjął ich słowami tej samej osnowy, w jakiej mówił Zamoyski. Po długiej rozmowie deputowani pożegnali go, oświadczając, że ze swej strony zrobią wszystko, co potrzeba, aby owładnąć ruchem.

Po powrocie deputacyi do miasta przystąpiono natychmiast do dzieła. Zajęto się najprzód składem nowego rządu. Dla omamiania ludu wezwano osoby, które miały jego cześć i zaufanie, jako to: Czartoryskiego, Paca, Niemcewicza, Michała Rądzewskiego, Chłopickiego i t. d. Ogłoszono go aktem drukowanym, podpisanym tylko przez Lubeckiego i Sobolewskiego; Pac mianowany tymczasowym wodzem naczelnym, bo Chłopicki, wypłoszony z teatru rozmaitości przez powstanie, krył się w prymasowskim pałacu u pułkownika Sobieskiego. Ten akt był dobrze przyjęty przez dobrodusznym powstańców, mniej

nawet zważano, że zaczynał się od słów: „W imieniu cesarza Mikołaja.“ Po większej części widziano w tem tylko formułę niedorzeczną rutyny.

Przeciwnie, akt drugi, równocześnie rozdawany i rozrzucany, wywołał wielkie powszechne oburzenie. Umieszczamy go dosłownie:

„Polacy! Równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego dnia i nocy spowodowały rząd do przybrania do grona swego obywateli, z zasług swych znanych, i do odezwania się do was. Najjaśniejszy W. Książę Cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronil, gdyż rozdwojone umysły Polaków Polacy sami skojarzyć powinni. Czy Polak we krwi bratniej ma broczyć dłoń swoją? Chcielibyście dać światu widok największego dla kraju nieszczęścia, domowej niezgody? Właśnie umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pograżenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przemina z nocą, która je pozrywała. Pamiętajcie na przyszłość drogiej, a tylu nieszczęściami skolataniej ojczyzny; oddalcie wszystko, coby mogło narazić nawet samo jej istnienie. Do nas będzie należało dopełnić powinności naszej w zapewnieniu bezpieczeństwa ogólnego, w poszanowaniu praw i konstytucyjnych swobód krajowych.“ Podpisani: Czartoryski, Rądzewski, Kochanowski, Pac, Niemcewicz, a z dawnych ministrów — tylko Sobolewski i Lubecki.

Tan akt można uważać jako pierwsze próbowanie opinii publicznej. Niepojęty, przyjęty z zapalem, ułatwiałby nowemu niby rządowi wziąć władzę na prawdę, cały ruch stłumić, główniejszych jego sprawców wydać Moskalom, przeprosić w. księcia za wszystkie nieprzyjemności, jakie go spotkały od złe myślących Polaków, wzmocnić jego władzę i ująć Polskę w karby surowszego jeszcze porządku i spokojności — i używać ich w błogiem otąd bezpieczeństwa.

Ale przyjęcie tego aktu przez lud warszawski przekonało tych przyjaciół porządku, że nie są jeszcze dosyć silni do wystąpienia jawnego, że trzeba dalej przeplatać kłamstwo wybuchami niby szczerości — że przy zimnej

rachubie i wytrwałości postawią wkońcu na swoim. Niestety! Wytrwali i postawili na swoim.

Ale w tej chwili oburzenie nasze było krótkie — trwoga jeszcze krótsza. Zapał wzrastał z każdą godziną. Najświeńszą przyszłość leżała dotykalnie przed nami. Po dniach kilku Konstanty ze swemi pułkami zniknął z okolic Warszawy. Miasto błyszczało polskim tylko orężem. Cała Polska w granicach Kongresówki wrzała zapalem walki o swoje prawa; cała Polska ożyła duchem, który 29 listopada objawił się tylko w małej gromadce jego synów.

Tyle tylko chciałem opowiedzieć i opowiedziałem, jak mogłem najwierniej.

DOMÓWIENIE.

Taki był początek tego wielkiego ruchu narodowego, pełen zapału, najświeńszych nadziei, wiary w ich ziszczenie; koniec jego wiadomy. Kilkuset wojskowych, kilkudziesięciu cywilnych, po krótkiej pracy, bo po dwuletnim sprysiężeniu, porusza cały ogrom narodowy, wywołuje potęgę, która się mierzy przez dziesięć miesięcy z pierwszorzędną potęgą europejską i kończy się na tem, że ten sam naród, silny wojskiem, licniejszym, niż je miał przed powstaniem, daje się rozbroić, idzie pod jarzmo cięższe, niż było dotąd. Wypadek ten przeto zamyka w sobie prawdę, równie ważną dla nas, jak straszną, musi mieć przyczyny, których wyświecenie może nam służyć nadal za wielce zbawienną naukę. Nie nowy to przedmiot naszych rozmyślań i rozmów, nie jest jednak tak już wyczerpany, aby nie zasługiwał na nowe zastanowienie się nad sobą.

Z dwóch stanowisk można patrzeć na przyczynę upadku powstania Listopadowego: ze stanowiska pewnej części narodu, zwącej się inteligencją, której piętnem charakterystycznym jest spoczęcie w sferze, przystępnej tylko rozumowi, i tylko pod jej światłem patrzącej na wypadki i wyrokującej o nich z objawów, uderzających jedynie zmysł rozumu, nie widzącej nic poza robotą ludzką — albo ze stanowiska ogółu narodowego, to jest, nie-

zmiernej większości narodu, ważnej nie tylko stąd, że jest liczniejszą, ale że swoją wiarą podnosi się nad sferę rozumu, widzi we wszystkim Boga, do niego wszystko odnosi, w nim widzi pierwszą przyczynę wszystkiego, w nim szuka lekarstwa na wszelkie zło swoje, czyli, krótko mówiąc, żyje w atmosferze religijnej, otwartej ludzkości przez Chrystusa. Jest to stanowisko po prostu chłopskie, jak pierwsze mogące się nazwać właściwie *pańskim*. Najpowszechniej z tego drugiego stanowiska badamy powstanie Listopadowe, patrzymy na przyczyny jego upadku i podajemy lekarstwa na nie; ale te wszystkie przyczyny, jak na przykład między innemi: nie ujęcie władzy przez powstańców, reakcja pewnej warstwy narodu, dyplomacya, zdrady i t. p. są już skutkami innych przyczyn, a podawane przeciw nim środki zaradcze o tyleby skutkowały, co plastry, przykładane na ciało, którego organa żywotne są rażone chorobą wewnętrzną i wymagają tak zwanej kuracji radykalnej. Idzie nam dzisiaj nie o przyczyny podrzędne, które są już skutkami, ale o przyczynę najwyższą, o przyczynę przyczyn. Dopiero ta przyczyna, odkryta, pokazuje nam istotę choroby, całe jej niebezpieczeństwo i zarazem podaje w sobie lekarstwo na nią. Zadanie to rozwiązuje się najłatwiej ze stanowiska, które nazywam chłopskiem, bo się sprowadza do tego najwyższego, a najprostszego wyrażenia, że walka Polski z Rosją jest przedewszystkiem walką dwóch idei religijnych, przeciwnych sobie: katolicyzmu i schyzmy — katolicyzmu, ma się rozumieć, nie koszlawionego przez ludzi, ale jakim chce go mieć boski jego budowniczy, Chrystus, któryby był najczystszy objawem Jego Ducha, najwyższym stopniem chrześcijaństwa.

Cóż to jest ta schyzma? Jest to duch, który zaraz w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wziął za narzędzie swojej polityki ziemskiej potęgę prawd niebieskich, zespolony później z duchem, który okrzykiem: „do Rzymu! do Rzymu!“ — pędził hordy Hunnów, Mongołów i inne na Europę. Schyzmie dzisiaj chodzi nie o miasto; nie zburzenie lub opanowanie Rzymu jest jej celem; ciosy jej wymierzone są przeciw idei najwyższej, a przeciwnej jej dziełu; tę ideę chce ona zabić, a na jej miejscu siebie

postawić. Pierwsza Polska znalazła się na jej drodze, w Polsce pierwszej powinien się być objawić katolicyzm w całej potęgę swojego ducha. — Nie objawił się — schyzma wygrała wielką bitwę. Mielśmy katolicyzmy: doktrynerski i zakrystyjny, artystowski, salonowy, jezuicki, romansujący z niebem, i t. p., które przeciw potęgę schyzmy czynnej, żyjącej, stawiały albo martwe formy, albo nawet wchodziły z nią w porozumienie — a nie wystąpiła do walki potęga jego istoty — i żywa, czynna istota fałszu wzięła górę nad martwymi formami, chociaż prawdy.

Tu jest źródło wszystkich błędów, win, zbrodni, popełnionych w powstaniu 1830 roku bądź przez pojedyncze osoby, bądź przez stronnictwa. Tu leży główna przyczyna smutnego końca tego ruchu pomimo bohaterstwa na polu walki, pomimo ofiar niezliczonych, które naród złożył. Były ofiary wielkie, szczere, nie było jeszcze ofiary pełnej, wytrzymanej, idącej z głębi ducha, poświęcającej ducha, a czego ofiara ciała jest tylko następstwem podrzędnym.

Podnoszę tę prawdę, choć może nazbyt ogólnie, dlatego że ona jest kluczem upadku nie tylko powstania Listopadowego, ale wszystkich późniejszych.

Niezmiernie ważnem jest dziś, jak dla narodu, tak dla każdego z nas pojedynczo, wznieść się aż do tej przyczyny i z tego stanowiska wejrzeć w siebie i w swoją polską robotę.

Zadanie dziś nasze: robota jak najprędza, ale zarazem najskuteczniejsza; dojście do Polski drogą jak najkrótszą, czyli jak najprostszą, a taką drogą nie może być nic innego, tylko droga prawd Chrystusowych. Inne narody mogą sobie pozwolić wielomówstwa, ruchania się fałszywego, durzenia się robotami wątpliwych skutków; ale dla nas taka swawola jest zbrodnią. Nie łudźmy się! Jesteśmy między życiem a śmiercią, jak żaden naród w chrześcijaństwie. Nie wiele mamy czasu do tracenia na rozprawianie, na próby doktryn, teorii, systematów, którym niema i nie będzie końca; spożyliśmy już dosyć szarlatanów leków: nie dla nas kuracya na chybił — trafił. Każdy dziś Polak ma przed sobą wybór między dwoma kierunkami: jeden na życie, drugi na śmierć narodu,

i pójdzie mu przed sądem Boga i przyszłości według tego, co dla siebie obierze.

Nie jesteśmy narodem zwyczajnym i żyjemy nie w czasie zwyczajnym. Łudzimy się, kiedy myślimy, że jesteśmy, jak każdy inny lud podbity, pracujący nad wyjarzmieniem się, że nam wystarczą środki, pomoce, które innym wystarczają, które i nam wystarczały w dalszej przeszłości. Czas obecny jest nadzwyczajny nie tylko dla nas jednych, ale dla całej ludzkości. W naszym przeznaczeniu leży tylko, aby na nas pierwszych objawiła się dotykalnie ta nadzwyczajność, abyśmy cierpieli pierwsi przez nieuznanie tej prawdy i pierwsi byli zbawieni przez jej uznanie, przez zastosowanie się do niej.

Już przed dwudziestu kilku laty Adam Mickiewicz widział dziwne podobieństwo między wysileniami narodu naszego, począwszy od konfederacyi Barskiej aż do powstania 1830 r., a walką ludu żydowskiego pod Machabeuszami. — Jak jedne, tak drugie były czyste, święte co do celu, pełne bohaterskich poświęceń się w wykonaniu, a mimo to bezskuteczne, bo w wyrokach bożych jak jedynym, tak drugim zamykała się ich przeszłość, a otwierała się przyszłość wyższa — a zawady na drogach im znanych, ubitych, powinny były otwierać im oczy na niedostateczność środków pospolitych, zwracać ich ducha na drogi nowe, gdzie ich czekają przygotowane siły nowe, większe, zdolne zmierzyć się ze złem, które także postępuje i wzmacnia się w siłę większą. — Tak jest! Powstaniem Listopadowem zamyka się koło wielowiekowego życia Polski przeszłej, a otwiera się koło Polski nowej. Idea, którą żył naród przez dziesięć wieków, spożyta, przestaje być posilną, musi wzmocnić się nowym zasilem, myślą bożą dla narodu, objawioną w większej pełni, w większej jasności, odpowiedniejszą gwałtowniejszym a wyższemu potrzebom narodu. Z tą epoką otwarła się sfera ofiar trudniejszych, więcej wewnętrznych, ale zarazem schodzi i siła do pełnienia tych ofiar w jaśniejszym widzeniu celu i drogi człowieka. Cierpienia narodu wskutek upadku powstania Listopadowego były dopuszczone jedynie dla zwrócenia go w tym kierunku, a emigracyi przeznaczeniem było skupić się w duchu i rozpatrzyć się

w przyszłości, którą Bóg otwierał przed narodem, i postawić krok stanowczy na jej drodze: emigracya ta była to część narodu, powołana przez wyroki wyższe, aby zaszczerpiła, że tak się wyrażę, przyszłość na przeszłości.

To nam wyjaśnia późniejsze dzieje nasze. Wszystkie odtąd wysilenia, wszystkie powstania musiały skończyć się, jak się skończyły: strasznemi klęskami, coraz większem osłabieniem narodu, coraz większym wzrostem potęg, jemu przeciwnych, bo nie brały kierunku, jaki Bóg zakreślał. A kiedy to mówię, mam do tego prawo, bo mówiłem to i nie sam wprzód, nim zaszły te wydarzenia, i nie przestanę powtarzać, jakkolwiek głos mój może być słaby, że wszystkie środki, wysilenia, ruchy w służbie narodowej nie osiągną swego celu, póki nie będą poświęcone tej łasce bożej, która czeka tylko na chwilę naszej dobrej woli, aby nas uzbrajała siłą nie pokonaną.

Na zakończenie niech mi wolno będzie odezwać się do was, starzy towarzysze niegdyś na polu walki z wrogiem, a potem aż do dnia dzisiejszego spółnicy niedoli tułaczey. O was myślałem głównie, cofając się pamięcią do nocy 29-go listopada. O was głównie myślę, rozważając smutną obecność i unosząc się w przyszłość. Śmierć przerzedziła nasz zastęp, czas długiego tułania się między obcymi wytrawił siły nasze, a mimo to nie zdjęte z nas powołanie nasze; powinniśmy zostawić następnym pokoleniom drogę prawdziwą do Polski. Przetorowaliśmy drogę tułania się poza ojczyznę, przetorujmyż drogę powrotu do ojczyzny. Od czterdziestu lat bijemy się po bezdrożach, w ślady za obcymi, za polyskiem ich kaganów; czas wrócić do naszej gwiazdy polskiej, pokazać się sobą samymi, wziąć drogę prostą, polską, bo tylko ta jedna do Polski prowadzi — drogę, jaką lud nasz wierzący trzyma — lud, rdzeń narodu. Oto już czterdzieści lat dochodzi, jak krążymy po pustyni świata, podobni do Żydów, wędrujących czterdzieści lat przez puszcza do ziemi obiecanej. — Żydzi po czterdziestu latach znaleźli wreszcie ojczyznę, a my?... Mielizbyśmy jeszcze przed sobą siedemdziesiąt lat babilońskiej niewoli? — Od nas to zależy. Nie w naszej mocy los przyszłych pokoleń — każdemu z nich pójdzie według tego, jak sobie zasłuży:

nie w naszej mocy ta lub owa Polska — będzie ona taką, jakimi będą Polacy — ale w naszej mocy wskazanie prawdziwego kierunku, na naszym sumieniu danie dobrego przykładu, przelanie naszymi czynami życia lub śmierci w przyszłość narodu. Przejmijmy się głęboko tą myślą, że według tego, jak pojmimy i spełnimy nasze powołanie, spocznie na pamiętce naszej albo błogosławieństwo naszych następców, albo ich złorzeczenia. — Co nie daj, Boże!

BIBLIOGRAFIA.

CHRONOLOGIA PISM S. GOSZCZYŃSKIEGO.

Ułożyliśmy tutaj pisma poety według daty ich powstania, o ile tę dało się ściśle określić, oznaczając w miarę możliwości i miejsce, gdzie utwór był napisany.

Obok każdego utworu wystawiamy bibliograficznie datę i miejsce pierwszego druku.

Utwory, które: a) były dotąd nieznanne, b) które weszły teraz pierwszy raz do naszego zbiorowego wydania, lub też c) podane są przez nas w nieznannej dotąd redakcyi — oznaczamy gwiazdką*.

Skrócenia: *Lw.* oznacza: Pisma S. G-o w 3 tomach, Lwów 1838, Piller i sp. — *Struny*: Trzy struny przez S. G-o, Strasburg 1839—40. Oddziały I—II. — *Wr.* oznacza: Dzieła S. G-o, Wrocław 1852, Z. Schletter. 3 tomy. — *Lip.*: Dzieła S. G-o, Lipsk 1870, F. A. Brockhaus. 2 tomy.

1818.

* Do przyjaciół. Z Horacyusza księgi Epodon pieśń 13. Humań. „Dziennik Wileński“, marzec 1820.

1819.

*Sonety. Hordaszówka. „Wanda“, tygodnik polski. Warszawa 1821, I, 42—43.

*Tryjolety. Hordaszówka. „Wanda“. 1821, I, 68—69.

1820.

*Duma o Stefanie Czarnieckim. Świniarka. „Wanda“. 1821, I, 26—34.

1823.

- *Ostatnia przechadzka. Stawki. „Astrea“. Warszawa 1824, I, 30—37 (podpisany literą X); „Kłosy“, Warsz. 1866 (w art. K. Wł. Wójcickiego Nieznane utwory S. Goszczyńskiego), nr. 35.
Zdanie się. Kajetanówka. Struny. I, 37.

1824.

- *Noc w Zofiówce. Humań. „Kłosy“ 1866, n-ry 35 i 36 (urywki); całość w „Głosie“, Warszawa 1898, w art. Z. Wasilewskiego „Nieznane utwory Goszczyńskiego“, nr. 29 i 30.
Kłątwa sumienia. Humań. „Nowa Polska“. Warszawa 1831, nr. 58 z 3 marca (p. t. Głos sumienia).
Modlitwa wolnego. Humań. „Nowa Polska“ 1831, nr. 67 z 12 marca.
Uczta zemsty. Humań. „N. Polska“ 1831, nr. 74 z 19 marca; w broszurze: „Jan Konstanty Cesarzewicz i Joanna Grudzińska“. Paryż, 1834.
Larwa niewoli. Humań. „N. Polska“, nr. 47 z 20 lutego.
Korab wolności. Humań. „N. Polska“, nr. 46.
Ojczyzna matka. Humań. „N. Polska“, nr. 53; Trzy struny I, 42 (p. t. Ojczyzna do syna prześladowanego).
Rejtan. Humań. „N. Polska“ 1831, nr. 37.
*Moja piosenka. Humań. Lw. I, 171.
*Porada. Humań. Lw. I, 135. (Do...)
*Do mojej wierzby. Humań. Lw. I, 156.
Wieczór. Lw. I, 123.
*Południe. Samhorodek. Lw. I, 131.
*Topielec. Samhorodek. Lw. I, 147.
*Pustelnik. Samhorodek. „Głos“ 1898, nr. 32.

1825.

- *Cerkiew św. Andrzeja. Kijów. Struny I, 20.
Pieśń wulkanu. Wr. II, 22.
*Podróż jesienna. Samhorodek. „Rusalka“ na r. 1841, wydana przez Al. Grozę. Wilno 1841 (J. Zawadzki), str. 111 i 112 (p. t. Podróż).

- *Żegluga poety. Samhorodek. Rękopis. Wyjątek podany przez M. Mochnackiego w dziele „O literaturze polskiej“, str. 118—119.
Przy krosienkach. „N. Polska“ 1831, nr. 38 z 11 lutego (p. t. Kochanka żołnierza; pod tym tytułem ob. Pobudka, 17).

1826.

- *Duch wiosny. Samhorodek. Lw. I, 160 (p. t. Rozkosz wiosny).
*Wianek przyjaźni. Leszczynówka. Lw. I, 177.
Do młodego poety. Sławianin (Jaszowskiego). Lw. 1837, I, 131.
Odblask wodny. Leszczynówka. „N. Polska“ 1831, nr. 46 z 19 lutego (fragment); Struny, I, 32 (całość).
Zamek Kaniowski. Leszczynówka — Aleksandrówka. Część I i II.

1827.

- Zamek Kaniowski. Aleksandrówka. Część III. Całość wydana w Warszawie drukiem N. Glücksberga, 1828, in 8°, str. 160.
*Do nadziei. Leszczynówka. W „Kłosach“ 1866 II, 430.
*Lutnia Sury. Melitele (Odyńca). 1830, 144.
Łza tajemnicza. Aleksandrówka. Wr. II, 43.
*Podróżny. Aleksandrówka. „Głos“ 1898, nr. 32.
*Orzeł. Leszczynówka. Wr. II, 34.
*Przeznaczenie gieniusza. Aleksandrówka. Lw. I, 160 (w wydaniu wrocławskim i lipskim p. t. Powołanie g.). Ob., jako dodatek do Zamku Kaniowskiego, w wyd. paryskim i Bibl. Mrówki.

1828.

- Dobranoc z oddalenia. Wr. II, 60.
*Zameczysko. „Kłosy“, 1866, II, 429—430.
*Szczęście. Lw. I, 141 (pt. Szcz. człowieka).
Na mogile Kościuszki. Lip. II, 238.

1829.

Proroctwa Izajasza: 1. Przeciwno prześladowcom Izraela,
2. Przeciwno Idumejczykom, 3. Przeciwno Moabitom,
4. Strącenie Lucyfera. Pobudka (Poezye Seweryna
Goszczyńskiego, Warszawa 1831. Nakładem autora),
str. 51—64.

*Do przyjaciół. „Kłosy“, 1866, II, 411 (bez tytułu).

1824—1829.

*Rozstanie się. Lw. I, 133 (p. t. Rozstanie się z przyjaciółmi).

*Do widzenia. „Głos“, 1898, nr. 32.

*Przebudzenie. „Głos“, 1898, nr. 32.

*Straszna chwila. „Głos“, 1898, nr. 32.

*Burza. Lw. I, 143.

*Gwiazdy bliźnięta. Lw. I, 172 (pt. Dwie gwiazdy).

Rozmowa ze słowikiem. Lw. I, 145.

Iskra boża. Lip. II, 228.

*Zagadka tkliwego. Lw. I, 158.

Zimowa pogoda. Lw. I, 167.

*Błędy geniusza. Lw. I, 129.

Dwa anioły. Lw. I, 163.

*Gołąbek z posłaniem. Lw. I, 154.

Tęsknota. (Humań 1824?) Lw. 1838, I, 149.

Matka przyroda. Lw. I, 125.

Nad płaczącym dzieckiem. Lw. I, 127.

Objawienie się ojczyzny. Struny, I, 18.

Moje nabożeństwo. Lip. II, 239.

1830.

Święto Trzeciego Maja. Aleksandrówka. „N. Polska“ 1831,
nr. 42 z 15 lutego.

Orzeł biały. Powieść. Pobudka, 21; „Dziennik powsz.
krajowy“, 1831, nr. 229 z 21 sierp.

Antychryst wolności. „N. Polska“ 1831, nr. 84 z 29 marca.

Powstanie Polaków. Pobudka, 43.

Pobudka północna. Struny, I, 15.

1831.

Marsz za Bug. „N. Polska“ 1831, nr. 129 z 14 maja.

Wiśła i św. Jakób. Struny II; Lip. 1870, II, 268.

Szklane oko. „N. Polska“ 1831, nr. 219 z 16 sierpnia
(p. Skłanne oko).

Cholera. Struny II; Lip. II, 263.

Żołnierz przed wojną 1812 r. „N. Polska“ 1831, nr. 39
z 12 lutego (w wyd. lipskim II, 262 p. t. Żołnierz
w r. 1811, ze zmianami w tekście).

Śpiew ludu polskiego. Pobudka, 33—35.

Piorun w Siedlcach. Pobudka, 15.

Skowronek. Warszawa, kwiecień. Pobudka, 5; „Dzien.
powsz. krajowy“, 1831, nr. 232 z 24 sierpnia.

Chmura. Warszawa, kwiecień. Pobudka, 31.

Kosynier. Warsz. Pobudka, 9—13; Struny II, (p. t. Duch
kosyniera).

Dziewczyna w strapieniu. Warsz. Pobudka, 19 (p. t. Pio-
senka).

Żołnierz zebrzący. Galicya, listop. Lip. II, 270.

Wyprawa braci wychodźców. Galicya, listop. Lip. II, 272.

Wyjście z Polski. Granica Pruska. Lip. II, 271.

Przy sadzeniu róż. Do M(ichała) S(zwejcera). Łopuszna.
Wr. II, 16.

*Mazurka w kłopotcie. Mikołajowice. „Słowo Polskie“, Lwów
1902, nr. 238.

Kołęda polska na r. 1832. Mikołajowice. „Słowo Pol-
skie“, Lwów, 1902, nr. 238.

1832.

Tęsknota dziewicza. Wr. II, 139.

Świat nowy. Wr. II, 19.

Gwiazda pokuty. Wr. II, 169.

Dobre Polki. Wr. II, 21.

Pieśni Ossyana. Mikołajowice. Lw. 1838, u Piotra Pillera,
t. II i III.

1833.

Ustroń pieszczoty. Wr. II, 118.

Do trzydziestoletniej. Wr. II, 137.

Goszczyński. IV.

- Wojsko Królowej Jadwigi (marzec). Lip. II, 275.
 Z więzienia. Glinna, 14 paźdz. Lip. II, 280.
 Moja piosenka najlepsza. Wr. II, 105.
 Gęślarz. Lip. II, 285.
 Do dzieci. W imionniku. Wr. II, 20 (Dla dzieci...)
 Biada nam (paźdz.) Lip. II, 234.
 Wyjątki z dziennika podróży po zachodniej części Galicyi, „Ziewonia“ p. Augusta Bielowskiego. Lwów 1834, str. 1—28.
 Sobótka, z powieści p. n. Kościelisko. Ziewonia, 179—220.
 *Krzyż szubienica (grudzień). Rękopis.
 *Uczta na obczyźnie. Rękopis.
 *Marzenia więźnia. Rękopis.
 *Kościelisko (plany i urywki). Kurjer Warszawski 1900, Nr. 296, 297 i 298 z 26, 27 i 28 października.
 *Prorocтва ks. Marka. Dodatek tygodniowy do „Słowa Polskiego“ z maja i czerwca 1910 r. i osobno w książce.

1834.

- Twórcze chwile poety (czerwiec). Ziewonia II. Strasburg 1839, str. 62—63.
 Zasłona oddalenia. Wr. II, 65.
 Pielgrzymka krzyżowa. Wr. II, 76.
 Mara ojczyzny. Wr. II, 79.
 Czarne natchnienie. Wr. II, 81.
 Potok życia. Noworocznik Demokratyczny 1842, str. 278.
 Uniewinnienie poety. Wr. II, 103.
 Kochanka ducha. Wr. II, 110.
 Obraz kochanki. Wr. II, 114.
 Dobrydzień. Wr. II, 117.
 Dzień rozkoszy. Wr. II, 119.
 Do grającej. Wr. II, 121.
 Rękojmia wierności. Wr. II, 123.
 Pokusa. Wr. II, 126.
 Do dumnej. Wr. II, 134.
 Do uwięzionych. Lip. II, 291.
 Do ludu moskiewskiego (listop.). Lip. II, 287. (Po raz pierwszy drukowana w Noworoczniku Demokr. Paryż 1842, str. 235 p. n. Do moskali, ze zmianą w I strofie.)

- Piotr Pszonka Jasieńczyk. Powieść, Ziewonia II. Strasb. 1839, str. 113—121.
 Skarb ducha. Niebylica. Wr. II, 192.
 Do wysnionej kochanki. Lw. I, 137.
 Do.... Lw. I, 139.
 Modlitwa kochanki. Lw. I, 152.
 Pożegnanie kochanki. Lw. I, 153.
 Gwiazdy niezapominajki. Lw. I, 173.

1835.

- Kropla kochanka słońca. Struny I, 38.
 Włosy kochanki. Tłum. z Parnego. Wr. II, 146—147.
 Pieśń na czatach. Wr. II, 148.
 Pieśń godowa. Wr. II, 149.
 Zasłony życia. „Powsz. pam. nauk.“ 1835, II, 22. Wr. II, 153.
 Nodam. Powiastka litewska. „Powsz. pam. nauk.“ Kraków 1835, I, 225.
 Północ krakowska. Kraków, 24 luty. Lip. II, 298.
 Muzyka wojskowa. Kraków, 1 maja. „Pszonka“, Strasburg 1840, str. 36; Album „Pszonki“, Paryż 1845, str. 463.
 *Przedmowa (do Powsz. pam.). Powsz. pam. nauk. i um. I, 5.
 *Nowa epoka poezji polskiej. Tamże, I, 9, 201. 361, II, 5.
 *Wyprawa Igora na Połowców, p. A. Bielowskiego. Rozbiór. Tamże I, 325.
 *Giaur, tł. A. Mickiewicza. Tamże I, 325.
 *Korsarz, tł. E. Odyńca. Tamże I, 325.
 Podróż do Tatrów. Tamże. I, 51, II, 369.
 Opis doliny Kościeliska. Tamże. I, 264.
 Czorsztyn (z ryciną). „Przyjaciół Ludu“. Leszno 1835. Rok II, t. I, 109.

1836.

- Westchnienie do Boga. Ziewonia II. Strasb. str. 59 (Modlitwa do Boga).
 Modlitwa przedsejna. Wr. II, 30.
 Prośba do burzy (16 lutego. Ziewonia II. Strasb., 64—66.
 Małżeństwo. Wr. II, 97.
 Skrzypek na księżycu. Wr. II, 128.

1837.

- Gwiazda ducha. Wr. II, 31.
 Rozpacz Polki. Wr. II, 24—27.
 Chwila łza (Boże Narodzenie). Wr. II, 71.
 *Zaliwski w więzieniu. „Polak IX“, Paryż 1837.
 Pokrzepienie. Lip. II, 236.
 Do braci Polaków. „Polak III“. Paryż 1838 str. 200.

1838.

- Poezya szatańska. Wr. II, 91.
 Kilka słów o Ukrainie i rzezi humanńskiej (jako wstęp do Zamku Kaniowskiego) Lw.
 *Memorjał do Tow. Demokratycznego o stanie Galicji. Rękopis. Z. Wasilewski, „Życia poety romantycznego“. Lwów 1910. Tow. Wyd.

1839.

- Król Zameczyska (skończony w 1840). Poznań 1842, W. Stefański. Wr. I, od 107.
 Cześć pośmiertna Konarskiemu. Pamiętnik obchodu ku uczczeniu prac i męczeństwa Szymona Konarskiego. Strasburg 1839, Silbermann, str. 14—15; Lip. 1870, II, 297.
 Pieśń wiary. Pieśni demokracji polskiego. Lip. II, 301.
 Zmartwychwstanie. Pieśni demokracji polskiego. „Krzyż a miecz“. 1850, str. 3.
 *Oślarnia królewska. „Pszonka“ 1839, oddz. I Nr. 6.
 *Wydawcy Pszonki do czytelników. Tamże, oddz. I Nr. 7.
 *Nowy ukaz J. K. Mości. Tamże, oddz. I, str. 42.
 *Okólnik Pszonki. Tamże, oddz. I Nr. 8 (listopad).
 *T. V. Raspail. La Pologne sur les bords de la Vistule et dans l'émigration. Paris 1839 (sprawozdanie). Pszonka I 1839, str. 48.
 *Posłanie Ukraince (wiersz). Album Muzeum Nar. w Rap. I 1872 (Poznań pod red. J. I. Kraszewskiego).

1840.

- Walka poranna. Wr. II, 87.
 Anna z Nabrzeża. „Orędownik“ 1844 (wyjątki). Wr. III, 155.
 *Kwesta na Ojczyznę. „Pszonka“ II, 1—5.
 *Nie przynęcisz wróbla plewą. Tamże II, 5.
 Korespondencya z stolicy à mr. Pszonka, Polonais. Tamże II, 6.
 *Akt konfederacyi dynastycznej. Tamże, II, 13.
 „Trzeci maj“ — denuncyant. Tamże II, 14.
 Kalendarz pielgrzymstwa polskiego (spraw.). Tamże II, 15.
 *Czartoryscy XI plaga egipska. Tamże II, 17.
 *Święto wielkanocne po staropolsku uczczone. Tamże, II, 27.
 *Im dalej w las, tem więcej drzew. Tamże II, 30.
 *Jeszcze jedno wspomnienie wspomnienia. Tamże II, 33.
 *Kilka słów do tej szlachty, co szczerze chce Polski. Tamże II, 33.
 *Uprejme rady z powodu wieści o amnestyi moskiewskiej. Tamże II, 34.
 *Bałaguly. Tamże II, 46.

1841.

- *Zoografia Babińczyka szlacheica. Pszonka III, 2.
 *Trzydzieści trzy a zero to zero. Tamże III, 3.
 *Nowe niebezpieczeństwo św. przymierza ze strony dyplomacyi polsko-pańskiej. Tamże III, 3.
 *W żarcie jest połowa prawdy. Tamże, III, 5.
 *Humanński mędrzec, co z cudzego nabierze, a na swój kładzie. Tamże III, 7.
 *Zoografia jezuit. Tamże III, 9.
 *Szlachcic z głupia frant. Tamże III, 14.
 *Drugie słowo do tych, co chcą Polski niepodległej, a nie chcą jej robić. Tamże III, 17.
 *29 listopada. Powieść fantastyczna. Tamże III, 21.
 *Nieźle jest czasem niedospać. Tamże III, 25.
 *Kroniczka kieszonkowa. Tamże III, 26 (i w r. 1842 2 numery).
 *Co z nami dalej będzie? Tamże III, 33.
 *Moralna podstawa sprawy polskiej. Katolicyzm czyli pa-

- pizm. „Pismo Tow. Dem. Pol.“ Poitiers 1840, druk Saurin, w zesz. zakończonym 15 sierpn. 1841, str. 403—428.
- * „Trzy wieszczby“ L. Siemieńskiego (Paryż 1841). „Demokrata Polski“ IV. Paryż 1842. Zeszyty z 30 września i 18 paździer. 1841, str. 93—112.
- * „Pamiętki JP. S. Soplicy“. „Dem. Polski“ IV, Paryż 1842, zeszyty z 11 czerwca do 3 lipca 1841, str. 14—16, 19—24, 29—32.
- * O potrzebie narodowego polskiego malarstwa. „Dem. Polski“ IV, 1842, zesz. 9 z 21 września 1841, str. 17—80, 84—87.
- * Obchód doroczny 29 listopada (wiersz). „Demokrata Polski“ z 2 grudnia 1841 w sprawozdaniu z obchodu. Dzieła. Lipsk 1870, II, 299.
- Straszny Strzelec. Paryż w grudniu. „Noworocznik demokratyczny“. Paryż 1842, W. Heltman, str. 283.
- * Konieczność stosunków literackich Polski z jej emigracją „Dem. Pol.“ Rok III z 24 stycz. 1841, 180.

1842.

- * „Dziesięć obrazów“... (spraw.) Pszonka 1842, III (marzec i kwiecień), 37.
- * Główny żywioł demokracji polskiej. „Demokrata Polski“ IV. Paryż 1842, zeszyty z 8 i 17 lutego, str. 187—190, 198—199.
- * Poezje B. Zalewskiego. (Paryż 1841.) „Demokrata Polski“ IV. Paryż 1842, zeszyty z 24 marca do 30 kwietnia, str. 229—232, 236—240, 244—248, 251—256.
- Oda. Paryż. „Dziennik domowy“. Poznań 1842. Wr. I, 3.

1843.

- * Stanowisko poetów w społeczności. „Rok 1843.“ Poznań 1843, I, 95.
- * Z dziennika poety. „Rok 1843“, VI, 117—125.
- * W strapieniu mojem... (20 listopada). „Kur. Warsz.“ 1901, nr. 56.
- * Cisza powszechna jak po długiej wojnie (24 listop.). „Tyg. Ilustr.“ 1901.

1844.

- * Słowo o poświęceniu. „Orędownik“ 1845. Osobno: Poznań 1845, J. Łukaszewicz, str. 121 in 12ⁿ.
- * Tyle, o Boże, Tobie się przyrzekło... „Kur. Warsz.“ 1901, nr. 56.

1847.

- * Pożegnanie Maria Stein (17 lipca). Warta, książka zbiorowa, ofiarowana X. Fran. Bażyńskiemu. Poznań 1874, str. 45—46.
- * Modlitwa w rocznicę biesiady na górze Etzel. — Rękopis niedruk.
- * Chrystus Pan wzywa swego żołnierza (paźdz.). Rękopis.

1851.

- Przedmowa do wydania wrocławskiego. 1852, I str. I—XV (4 lipiec).

1853.

- * Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobótki. Petersburg 1853. Nakładem B. M. Wolffa, str. IV, 294 i 3 nl.
- * Spór aniołów o spór dyablów. Nanterre (3 lipca). „Słowo Polskie“ 1909, nr. 610.

1855.

- * Do ducha mego. Rękopis.
- * Pokój i wojna (niewykończ.). „Słowo Polskie“, 1908.

1856.

- * Pieśń pogrobną Mickiewiczowi (niew.). Tydzień, dod. literacki do „Kuryera Lwow.“ Rok VI, 1898, nr. 20 i 21.
- * Posłanie do Polski. „Dziennik Literacki“. Lwów 1861, w numerach 19 i 59 ogłosił części V, VI i VII. (Posłannictwo Polski, Polska wskrzeszona i Modlitwa wieszczka.) Osobne wydanie, Paryż 1869, księg. Luxemburska, str. 94.

1858.

*Drobiazgi: Córka matce w dzień jej imienin, Szumowiny, bajka (niedok.), Obraz leniwca (31 stycznia). Najgłupszy (aforyzm). „Świat“, Warszawa 1901, nr. 45.

1862.

*W Tobie jednym, Boże Panie... (14 stycznia). „Kur. Warsz.“ 1901, nr. 56.

1864.

*Wyimki z poematu Bogarodzica. „Biblioteka Ossolińskich“, t. V (poczet nowy). Lwów 1864, str. 211—230.

1865.

J. Duboye. Silna wola. Komedia. Przekład. Rękopis.

1867.

Robert Dyabel. Dramat Ernesta Raupacha, przełożony na język polski przez Seweryna Goszczyńskiego, Warszawa 1867, J. Kaufmann.

*Mowa na cześć Adama Mickiewicza (21 maja). Pomnik Adama Mickiewicza w Montmorency. Poglądy i mowy w tłumacz. na język francuski. Paryż 1867, ksiąg. Luxemburska, str. 26—42.

1868.

*Przedmowa do Posłania do Polski. Paryż 1869.

1869.

*Noc Belwederska. (Przedmowa pisana 24 czerwca). Paryż 1870. Księg. Luxemburska, dwa tomiki: część I str. 47, część II str. 68.

1870.

*Rzecz o poezji polskiej. (Odczyt, wygłoszony w Paryżu 8 kwietnia.) Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu, 1872.

1872.

*Mowa nad grobem Izabelli Dobrowolskiej z Lewandowskich (30 września w Krakowie). „Gazeta Narodowa“ z 16 listopada 1872.

1873.

*W imionniku młodej Polki (pny Lucyny Bukowskiej). Warta, księga zbiorowa, ofiarowana X. Franc. Bażyńskiemu. Poznań 1874, str. 44.

1874.

*W Albumie (p. Anny Wolskiej). Rękopis.

WYDANIA ZBIOROWE PISM GOSZCZYŃSKIEGO.

Pobudka. Poezye Seweryna Goszczyńskiego. Warszawa 1831. Nakładem autora, str. 64 w 16-ce.

Pisma Seweryna Goszczyńskiego. 3 t. Lwów 1838. Nakładem Pillera i sp., w 8-ce. Tom I: Zamek Kaniowski. (Kilka słów o Ukrainie i rzezi humanńskiej, jako przedmowa.) Tomy II i III. Pieśni Ossyana.

Trzy Struny przez S. Goszczyńskiego. Strasburg. Oddział I, 1839, str. 72, w 12-ce. Oddział II, 1840. (Oddz. III nie wyszedł.)

Poezye Seweryna Goszczyńskiego, wydane przez Edwarda Racyńskiego. Tomy I i II w Poznaniu 1841. Tom III w Paryżu 1838.

Dzieła Seweryna Goszczyńskiego. Wrocław 1852. Nakładem Zygmunta Schlettera. T. I Powieści prozą, str. XV, 214 i 2 nl.; t. II Poezye liryczne, str. III, 204; t. III Powieści wierszem, str. 272, w 8-ce m.

Dzieła Seweryna Goszczyńskiego. Nowe wydanie poprawne. 2 tomy. Lipsk 1870, F. A. Brockhaus. Biblioteka pisarzy polskich, t. 60 i 61. T. I str. XIX i 275; t. II str. VI i 306 w 8-ce m.

Seweryn Goszczyński. Zamek Kaniowski. Sobótka. Anna z Nabrzeża. Wiersze pomniejsze. Warszawa 1874. Nakładem S. Lewentala, str. 270 i 2 nl.

Pisma S. G. Wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnymi. Pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. T. I i II. Lwów — Warsz. Towarz. Wydawnicze. Tom I. Z portretem autora. Zawiera powieści i utwory młodzieńcze. — Tom II. Pieśni Ossyana. Dalsze tomy nie wyszły.

WYDANIA OSOBNE POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW.

Zamek Kaniowski. Warszawa, 1828. Drukiem N. Glücksb erga, str. 160 w 8-ce m.

Król Zamczyska. Powieść. Poznań 1842. Drukiem Walentego Stefańskiego, str. 122, w 8-ce.

Słowo o poświęceniu. Poznań, 1845. J. Łukasiewicz, str. 122 w 12-ce.

Król Zamczyska. Wyd. II niezmiennione. Poznań, 1847. N. Kamiński i sp., str. 120 w 8-ce.

Sobótka. Wrocław, 1852. Schletter, str. IV i 40 w 8-ce (odbitka z Dziel).

Zamek Kaniowski. Wrocław, 1852. Schletter, str. 114 w 8-ce (odbitka z Dziel).

Dziennik Podróży do Tatrów przez autora Sobótki. Petersburg, 1853. Nakładem B. M. Wolffa, str. IV, 294 i 3 nl. w 8-ce.

Sobótka. Petersburg, 1857. Nakładem i drukiem B. M. Wolffa. Z drzeworytami rysunku Leonarda Straszynskiego, str. 40 w 4-ce. (Osobne odbicie z Plejady Polskiej, tamże, od str. 177.)

Robert Dyabeł. Dramat Ernesta Raupacha, przełożony na język polski przez Seweryna Goszczyńskiego. Warszawa, 1867. J. Kaufmann.

Zamek Kaniowski. Paryż, 1868. Księg. Luxemburska, str. X i 70 w 16-ce. (Bibl. Ludowa Polska, zesz. 47.)

Posłanie do Polski. Paryż, 1869. Księg. Luxemburska, str. 94 w 12-ce.

Noc Belwederska. Paryż, 1870. Księg. Luxemburska. Bibl. Ludowa Polska. Część I str. 47, część II str. 68 w 16-ce.

Zamek Kaniowski. Wyd. VIII. Lwów, 1875. Księg. Polska, str. 127 w 16-ce. Bibl. Mrówki, t. 37.

Sobótka. Lwów, 1877. Księg. Polska, str. 48 w 16-ce. Bibl. Mrówki, t. 42.

Anna z Nabrzeża. Lwów, 1878. Bibl. Mrówki, t. 50.

Straszny Strzelec. Lwów, 1877. Bibl. Mrówki, t. 45.

Król Zamczyska. Lwów, 1879. Bibl. Mr., t. 10.

Zamek Kaniowski. Warszawa, 1879. Wyd. A. Wiślickiego, str. 98, w 16-ce.

Sobótka. Warszawa. Wyd. A. Wiślickiego.

Oda. Warszawa. Wyd. A. Wiślickiego.

Zamek Kaniowski. Sobótka. Warszawa, 1891. Nakładem red. Wędrowca, nr. 144, w 8-ce.

Anna z Nadbrzeża. Oda. Warszawa, 1891. Nakładem red. Wędrowca, str. 158.

Król Zamczyska. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Jan Michalski. Warszawa. M. Arct. Książki dla wszystkich, nr. 390.

Zamek Kaniowski. Brody. F. West. Opracował dr. M. Janik. Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, nr. 45.

Król Zamczyska. Brody. F. West. Opracował dr. M. Janik. Arcydzieła polskich i obcych pisarzy, nr. 56.

Zamek Kaniowski. Biblioteka powszechna W. Zuckerkandla w Złoczowie, nr. 200.

Sobótka. Tamże, nr. 281.

Król Zamczyska. Tamże, nr. 414.

PRZEKŁADY.

Walter Scott. „Klasztor“, t. I. Warszawa, 1830.

Pieśni Ossyana. 1832. Mikołajowice. Pisma. Lwów, 1838, t. II i III. Drugie wydanie poprawione. Pisma. Lwów, 1904. Tow. Wydawnicze. Tom. II.

Ernest Raupach. Robert Dyabeł. Dramat, przełożony przez S. G-o. Warszawa. 1867. J. Kaufmann.

J. Duboye. Silna wola. (Volonté). Komedia w 4 aktach.

Przeł. S. G-i. Rękopis w autografach Bibl. Poturzyckiej (Dzieduszyckich), l. 93.
Przekłady te nie weszły do wydania niniejszego.

PRZEKŁADY DZIEŁ S. GOSZCZYŃSKIEGO NA JĘZYKI OBCE.

- Das Schloss von Kaniow, übersetzt von J. B. Werner. Mariahelden (Swajcarya). 1832, w 4-ce.
Les Ukrainiennes de Goszczyński et Malczewski, traduits par Robert Clemence. Paris, 1835, str. 326, w 8-ce.
I. A. Merklein. (Le château de Kaniow, p. 113.)
Zamek Kaniowski, powieść, przekład V. O. Berka. Praga, 1871, w 12-ce.
Zamek Kaniowski, przełożył na rosyjski Sergjusz Pobiedonoscew. „Russkij Wiestnik“ 1844.
Charles de Noire Isle (Przeddzieki). Poëtes illustres de la Pologne au XIX s. Cycle ukrainien. Nice, 1878, chez Visconti. [Charakterystyka i życiorys G-o, przekład Mission du Génie, oraz Le château de Kaniow, str. 276—436.]
Poets and poetry of Poland. Collection of polish verse, edited by Paul Soboleski. II Edit. Chicago, 1883, str. 464, w 8-ce. [Goszczyński: portret, charakterystyka i biografia, oraz wiersze: Conscience, New years prayer, str. 370—377.]

ŹRÓDŁA BIOGRAFICZNE DO GOSZCZYŃSKIEGO.

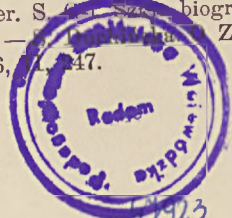
Materiały do pamiętnika i listy w archiwum rękopism. w Muż. Rapp. wyliskiem. Autobiografie w dziełach: Noc Belwederska. Dł. pamiętnik podróży do Tatrów, Z dziennika artysty. Przedmowa do wydań. — Listy M. Grabowskiego do B. Zaleskiego, Włg. Ilustr. 1890, nr. 16 i następne. —

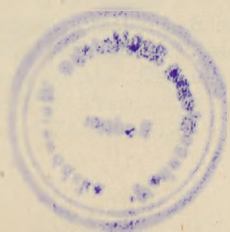
Dwa listy do W. Pilawskiego (1824) w Księdze pamięt. Mickiewicza, Warszawa, 1898, I, 175. — Między kolegami z Humania (listy i pamiętniki 1823 — 1830). Tamże, str. 159—174. — Al. Groza. Mozaika kontraktowa. Wilno, 1857.
K. Wójcicki. Kawa literacka. Warsz. 1873. — Tenże. Ostatni klasyk. Warszawa, 1872. — Tenże. Nieznane poezye S. G-o w „Kłosach“ 1866. — „Nowa Polska“, Warszawa, 1831, nr. 37, 46. — Listy i pamiętniki w Z. Wasilewskiego książce „Z życia poety romantycznego“ (1831—1842). Lwów, 1910. — Z. Kaczkowski. Mój pamiętnik. Lwów, 1899. — Wł. Zawadzki. Ludwik Nabelak. Lwów, 1886. — Z. Feliński. Pamiętniki. Kraków, 1897. — Korespondencya J. B. Zaleskiego. Wydał Dyonizy Zaleski. Lwów, 1900—1903. 4 tomy.

Zyg. Wasilewski według źródeł opracował: Narodziny poety romantyka (1801—1819). Stosunki G-o ze Słowackim (1839—1849). O ton w poezyi i w życiu (1842). Do Waterloo (1843). Kolenda polska z przed lat 50 (1856—1869). G-i o Mickiewiczu (1842—1855). Powyższe prace mieszczą się w książkach: Śladami Mickiewicza, Lwów, 1905 — i Od romantyków do Kasprowicza. Lwów, 1907. Poza tem tegoż autora: Między kolegami z Humania. Nieznane poezye S. G-o, „Głos“, Warszawa, 1898, nr. 27 i nast. O Fredrze i G-m. Tamże 1897. Z życia poety romantycznego. S. G-i w Galicyi. Nieznane listy, pamiętniki i utwory (1831—1842). Lwów, 1910. Kościelisko. „Kur. Warsz.“, 1900.

Wł. Belza o G-im. Tydzień, Lwów, 1876, nr. 10. — Listy do E. Zamojskiego i J. Koźmiana (1847—49). „Kronika Rodzin.“ 1882. — Al. Brzostowski. Ze wspomnień o S. G-m. „Gazeta Warsz.“ 1901, nr. 56. — Fr. Rawita Gawroński. Nieznane utwory S. G-o (1824—27) w studyach i szkicach historycznych. Lwów, 1903, I, od 287.

Wład. Mickiewicz w dziełach: Współudział Ad. Mickiewicza w sprawie Towiańskiego. Paryż, 1877. — Żywot Ad. Mickiewicza. Poznań 1890—95. — Pogrzeb śp. S. G-o. Lwów, 1876 (broszura). — A. Giller. S. G-o w biograficznym w „Sobótce“. Lwów, 1875. — J. Zaleski. „Bibl. Warszawska“, 1886, t. 1, 147.









Biblioteka Pedagogiczna w Hadomiu

nr inw.: K - 47923



BGZs 47923